

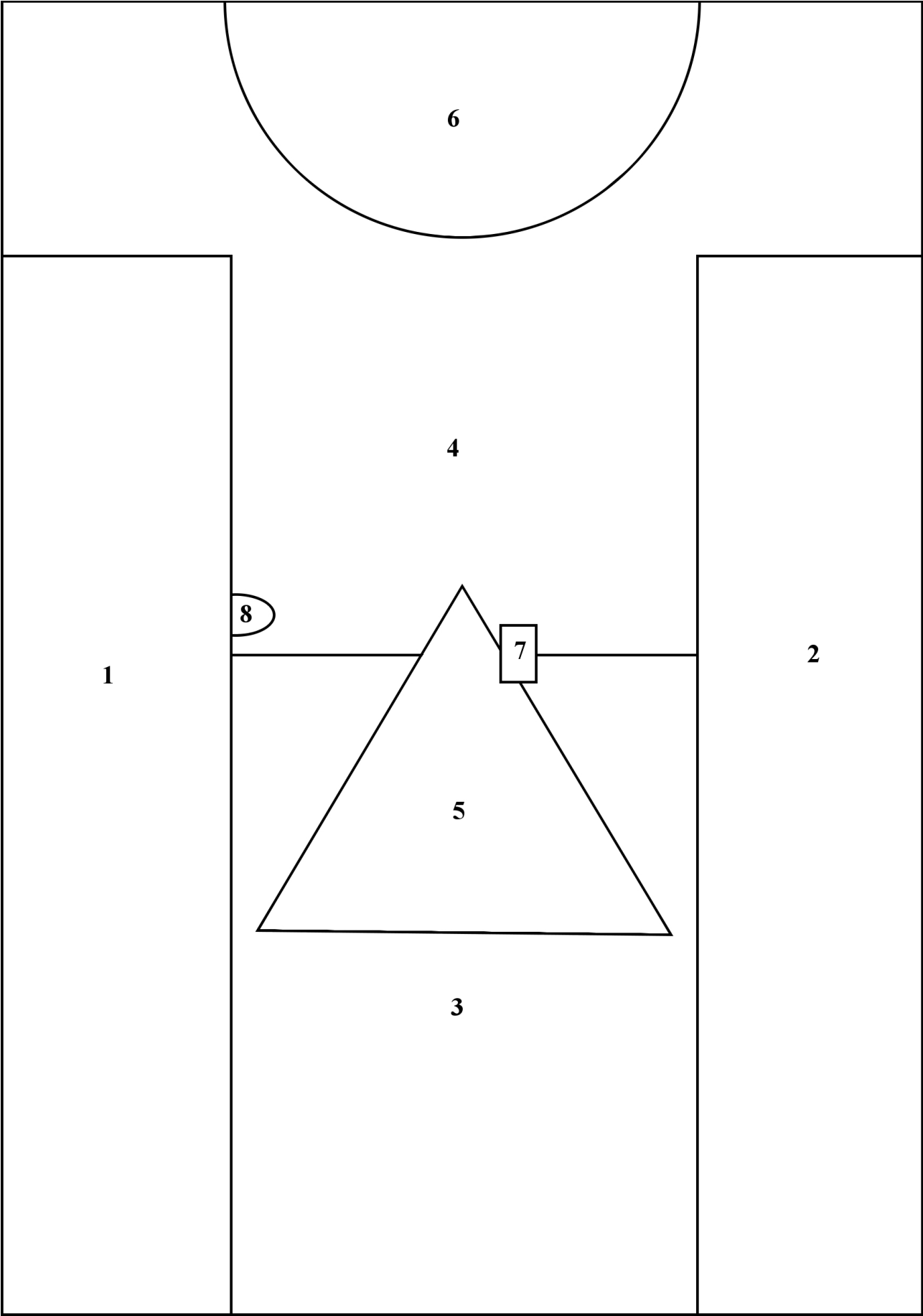
Copyright © 2015 by Arkadiusz Kordela
All right reserved

Tytuł: Czternasta cela

Autor: Arkadiusz Kordela

Projekt okładki: Arkadiusz Kordela

Wszystkie prawa zastrzeżone. Maszynopis ani żadna jego część nie może być publikowana ani powielana w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody autora.



Legenda okładki:

- 1 - szklany wieżowiec
- 2 - szklany wieżowiec
- 3 - plac utworzony z jasnych, dużych, kwadratowych płyt
- 4 - lekko wzburzone morze, przechodzące na linii horyzontu w błękitne niebo
- 5 - piramida utworzona z ludzkich ciał*
- 6 - słońce
- 7 - człowiek* wspinający się po zboczu piramidy na jej szczyt
- 8 - dryfujący na morzu, ogromnych rozmiarów, lekko powykrzywiany od fal, naleśnik

*Ludzie na ilustracji nie mają włosów ani twarzy. Przypominają manekiny odziane w poszarpaną i brudną odzież.

Spis treści:

Prolog.....	2
Rozdział 1.....	11
Rozdział 2.....	36
Rozdział 3.....	60
Rozdział 4.....	89
Rozdział 5.....	114
Rozdział 6.....	135
Rozdział 7.....	157
Rozdział 8.....	183
Rozdział 9.....	207
Rozdział 10.....	230
Rozdział 11.....	253
Rozdział 12.....	273
Rozdział 13.....	294
Rozdział 14.....	316
Rozdział 15.....	336
Rozdział 16.....	355
Rozdział 17.....	373
Rozdział 18.....	395
Rozdział 19.....	419
Epilog.....	454
Przypisy, linki i klawiatura numeryczna.....	554
Od autora.....	555

Prolog

Był 21 lipca, roku 2147, kiedy główny przewodniczący Zjednoczonego Komitetu Wolności, Jack Brazyński, ogłosił światu, ze swojej kwatery generalnej w Singapurze, że tego dnia, o godzinie 14:27, zmarł ostatni więzień, przetrzymywany w ostatnim, czynnym więzieniu w Krakowie.

Media całego świata, powtarzały te krótkie oświadczenie, średnio co kilka minut, aby każdy mieszkaniec planety, dowiedział się o nadejściu Nowego Świata.

W Internecie, w radiu, w telewizji oraz na ulicznych, elektronicznych billboardach, upubliczniano wysokiego, dojrzałego mężczyznę, o błękitnych oczach i mocno zarysowanej szczękę, którego głowę dekorowała siwa, dokładnie umodelowana czupryna. Ubrany był w szary smoking, białą koszulę i srebrny krawat.

Za jego plecami, widniała tylko biała ściana i lekkie obłoki światła, wysyłane przez niewielkie reflektory, umieszczone za jego plecami, które znajdowały się w górnych narożnikach kadru.

Spokojnym, ale przekonywującym tonem, z lekką nutką radości w głosie, ów mężczyzna, informował świat o ostatnich wydarzeniach, w języku angielskim, ostro patrząc w obiektyw kamery, i nie wykonując żadnych gestów rękoma.

- Witam wszystkich mieszkańców Nowego Świata. Wspólną pracą, poświęceniem, oraz zaufaniem do prawa i porządku, doczekaliśmy się chwili, w której ani jeden z ludzi, żyjących na Ziemi, nie musi, przez wzgląd na zagubienie swojej osobowości i słabą wolę, żyć poza naszą wspaniałą społecznością. Otóż dzisiejszego dnia, Tom Rangry, przetrzymywany w Celi, za badania nad świadomą, sztuczną inteligencją, zmarł w wieku 72 lat. Powodem zgonu był zawał serca, które zbłądziło i postanowiło nieść swojego nosiciela, w mroczne otchłanie ludzkiego umysłu, gdyż jak wszyscy wiemy, to właśnie ono, wytycza nasze ścieżki w labiryncie świadomości. Pomijając smutek, który ogarnia mnie wewnętrznie, gdyż nie udało się nam wszystkim, uchronić tego biednego człowieka przez samozagładą, chcę ogłosić wszystkim mieszkańcom Nowego Świata, że dziś, dnia 21 lipca 2147 roku, projekt zapoczątkowany przez mojego pradziada, Alberta Brazyńskiego, realizowany

wspólnymi siłami przez nas wszystkich, poświęceniem, pracą oraz zaufaniem do porządku i prawa, mam zaszczyt, poinformować wszystkich mieszkańców Nowego Świata, że Projekt Orion został ukończony, i teraz każdy z ludzi na Ziemi, może cieszyć się wolnością... Własną, jak i najbliższych, przez wzgląd na których, razem doprowadziliśmy do tego, że życie w Nowym Świecie, może bez obaw brnąć do przodu, ku rozwojowi cywilizacji i każdego z osobna. Ale, jako iż nie samą pracą człowiek żyje, jak to mówią wszyscy błażni Nowego Świata, z tej niewątpliwie szczęśliwej i niosącej dobrą nadzieję okazji, ogłaszam Globalny Miesiąc Festiwalu z Okazji Realizacji Projektu Orion! - wypowiadając ostatnie zdanie, Jack uniósł energicznie do góry zaciśniętą, prawą pięść i uśmiechnął się, ukazując ludziom śnieżnobiałe, równe zęby, które zlewały się barwą z tłem, za jego plecami.

Spółeczność Nowego Świata, przez cały miesiąc, bawiła się i świętowała na swój sposób. Organizowano masowe imprezy muzyczne, seanse filmowe, kabaretony, imprezy sportowe, wyścigi, pokazy mody, undergroundowe koncerty, festyny, targi gier komputerowych, wraz z turniejami, wystawy sztuki klasycznej, jak i nowinek technologicznych, oraz wiele, wiele innych. Niektórzy woleli spędzić wolny czas, na eksplorowaniu pobliskich terenów, wspinając się na szczyty gór, przemierzając rzeki w kajakach, bądź dryfując spokojnie jachtem, po pobliskich jeziorach.

Wydawać by się mogło, że każdy mieszkaniec Nowego Świata, wykorzystuje ten wolny od pracy miesiąc, w najprzyjemniejszy dla siebie samego i swoich najbliższych sposób. Ogólny stan uniesienia i radości, był odczuwalny na każdym metrze kwadratowym Ziemi, lecz w całym tym zgiełku rozrywek, śmiechu i radości, ludzkość zapomniała o jednym człowieku, który na przekór wszystkim, zamiast świętować, postanowił wykorzystać ów czas, na udoskonalenie swojego pilnie strzeżonego i owianego tajemnicą, projektu.

Jego serce, również napełniło się radością w owym czasie, ale nie z tego samego powodu, co u innych ludzi. Cieszył się, gdyż miał teraz czas, na pełne zaangażowanie w swoją pracę. Nikt mu nie przeszkadzał, nie musiał marnować energii i czasu, na utajnianie swoich działań. To był okres, który mógł bez reszty, poświęcić na pracę, nad świadomą, sztuczną inteligencją. Człowiekiem, który postanowił zachować się wbrew wszystkim i wszystkiemu, był TiBiT.

TiBiT był jednym z nielicznych ludzi, którzy na co dzień, posługiwali się

pseudonimami. Tak zwani Pseudyci, różnili się tym od większości ludzi, że z różnych powodów, nie potrafili odnaleźć się w porządku Nowego Świata. W sytuacjach, dających radość dla większości ludzi, Pseudyci czuli się uwiązani i niespełnieni. Nie potrafili wiązać się w długotrwałe związki, zakładać rodzin, cieszyć z prostych przyjemności i obowiązków, bo ponad to wszystko, co w pewnym sensie dawało im radość, cenili oni sobie swoje pasje. Pochłaniali się bez reszty swojej pracy.

Do grona Pseudytów, zaliczali się najczęściej naukowcy, psychologzy, lekarze, nauczyciele, strażacy, żołnierze, policjanci, architekci, sportowcy, aktorzy, piosenkarze, malarze, pisarze, informatycy, politycy, poeci, filozofowie i wszyscy ci, u których od urodzenia, bądź po pewnym czasie, stwierdzono nadmierną ilość pierwiastka Mi, w organizmie.

Pierwiastek Mi, został odkryty na początku XXI wieku, przez Rosjankę, Emilię Koniepkonową. Kiedy na uniwersytecie w St. Petersburgu, ogłoszono wyniki badań rosyjskiej badaczki, ludzie poznali naturę czegoś, co było zagadką od tysiącleci.

Wokół pierwiastka Mi, wcześniej powstawały mity i legendy, a nagle rozwiązanie okazało się prostą regułą, która miała ogromny wpływ na postęp realizacji Projektu Orion. Ów pierwiastek, zastąpił znaczenie takich pojęć jak dusza czy Bóg. Tajemnicze 21 gramów, uciekających z ludzkiego ciała po śmierci, zostało przechwycone i zbadane przez rosyjskich naukowców.

Wnioski były proste. Pierwiastek Mi, był odzwierciedleniem pozytywnej energii, która rodziła w ludziach wiarę we własne możliwości, radość, pracowitość, uczynność, opiekuńczość, poczucie bezpieczeństwa, zaufanie, wyrozumiałość, spełnienie oraz tolerancję.

Niedobór pierwiastka, miał zazwyczaj odwrotne skutki, przez co ludzie, nieposiadający naturalnej ilości pierwiastka Mi w organizmie, byli albo podatni na manipulację, co zazwyczaj prowadziło w późniejszym czasie do przestępczości, albo popadali w depresję, bądź inne negatywne schorzenia natury psychicznej.

W przeciągu dwóch lat, niemal na całym świecie, powstały placówki, w których można było zmierzyć poziom pierwiastka Mi w organizmie. Osobom, u których zauważono zbyt niską ilość owego pierwiastka, zalecano terapię dźwiękową,

umożliwiająca jego regenerację. Było to konieczne, gdyż w tamtych czasach, nie każdy otrzymywał równowartość przekazywanego pierwiastka Mi, którego pewna część, cały czas była w ruchu, przechodząc z jednego człowieka na drugiego.

Po pewnym czasie, każdy mieszkaniec Ziemi, miał dostęp do placówek. Powstała cała baza dźwięków, regenerujących Mi dla ludzi o różnych osobowościach, charakterach i doświadczeniach. Wyjątkiem byli Pseudyci, u których terapia obniżała permanentnie rosnący poziom Mi w ich organizmach, którego nadmiar, powodował niemal identyczne skutki co niedobór.

Terapia dźwiękowa, regenerująca Mi, okazała się przełomem w dziedzinie resocjalizacji. Więźniowie poddani terapii, mogli już po kilku tygodniach, opuścić więzienia i na nowo zacząć szczęśliwe życie na wolności. Liczba wszelkiego rodzaju przestępstw, zaczynając od kradzieży, a kończąc na morderstwach, diametralnie spadała.

Cywilizacja zaczęła rozwijać się jeszcze sprawniej, niż dotychczas, a ludzie byli szczęśliwi, spełnieni i funkcjonowali, nie tylko dla swojego dobra, ale również dla otaczającej ich społeczności. Przestrzeganie praw, uczciwość, uśmiech, tolerancja i radość z życia, był nieodzownym elementem codzienności.

Po kilku latach, terapię zaczęto stosować niemal tylko w resocjalizacji, gdyż większość ludzi, zaczęła żyć w harmonii i oddając część swojego Mi innym, otrzymywała identyczną dawkę od kogoś innego.

W latach osiemdziesiątych XXI wieku, Henrik Sversson, z Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Kopenhadze, wystąpił z wnioskiem, o zaniechaniu przymusowej terapii dźwiękowej na więźniach odbywających wyroki. Jego zdaniem, takie działania, tylko pogarszały walkę z przestępczością, gdyż część ludzi, którzy nie zostali jeszcze osadzeni w więzieniach, a nie żyli zgodnie z ideą Projektu Orion, czyniąc szkody dla społeczeństwa jak i dla siebie samych, pogarszały poziom zaufania do leczniczych zastosowań terapii dźwiękowych.

Po kilkumiesięcznej debacie, przeciwnicy i poplecznicy Sverssona, doszli do porozumienia. Ustalono, iż każdy więzień, niezależnie od występków jaki uczynił, będzie osadzony w więzieniu na dożywocie, z tym że w każdej chwili, będzie mógł

zacząć terapię dźwiękową.

Skutki tych zmian, były widoczne już w kolejnym roku.

Coraz więcej ludzi, samodzielnie zgłaszało się do placówek na terapię, a większość więźniów, po bardzo krótkiej odsiadce, decydowało się na przyjęcie pomocy.

W 2098 roku, do więzienia trafił Tom Rangry.

Był on naukowcem i działaczem, który zjadle walczył ze sprzymierzeńcami Projektu Orion. Został zamknięty po tym, jak na swoim oficjalnym blogu, umieścił wpis, na którym pokazał zdjęcia i część notatek, dotyczących badań, nad świadomą, sztuczną inteligencją.

Witajcie moi drodzy subskrybenci. Na samym początku, chcę Wam bardzo podziękować, nie tylko za wsparcie, poparcie i dobre rady, ale przede wszystkim, za czynny udział i trzeźwość umysłu, przy osądzie otaczającej nas rzeczywistości. Cieszy mnie to, że młodzi ludzie tacy jak Wy, potrafią dostrzec hipokryzję i obłudę ludzi, stojących za Projektem Orion. Nie trzeba być bardzo spostrzegawczym, żeby zdać sobie sprawę, że dla ludzi zarządzających Projektem Orion, nie chodzi wcale o wolność ludzi, ale o ich zniewolenie i wykorzystywanie dla własnych celów. Sprytnie zamaskowali kastowość społeczną oraz podział na lepszych i gorszych. Pierwiastek Mi, nie jest potwierdzony przez żadnego ze światowych naukowców dużego formatu, a teoria tej ruskiej żmii - Koniepkonowej, to czysta fikcja, mająca skłonić ludzi do poddania się masowej hipnozie! Media krzycząc ze wszystkich stron, manipulują wolnymi ludźmi, poruszając temat rodziny, przestępczości czy ubóstwa i głodu, przez co karmią strachem, całe masy, tylko po to, żeby zmusić ich, mimo woli, do poddania się hipnozie! Jest Nas coraz mniej... Nas, silnych, którzy potrafią spojrzeć prawdzie w oczy, a nie chować się pod ciepłym płaszczem iluzji, podawanym Nam, ludziom świadomym, niczym najdroższy szampan, a jest to woda ściekowa! Oni plują nam w twarz! Więc My, musimy coś z tym zrobić. Mam dobre wieści. Otóż w najbliższych dniach, między innymi, dzięki Waszemu finansowemu wsparciu, mam zamiar stworzyć pierwszą w historii ludzkości, świadomą sztuczną inteligencję, która pozwoli wszystkim ludziom żyć na równym poziomie. To roboty będą pracować dla

ludzi, a nie ludzie jak roboty dla świń! Poniżej przedstawiam zdjęcia i część notatek z moich badań, na potwierdzenie tego, że jako jeden z nielicznych, mam odwagę powiedzieć Wam prawdę, i siłę, aby przeciwstawić się tyranii!

Tej samej nocy, której pojawiła się publikacja w Internecie, specjalne jednostki policji, zaaresztowały Toma Rangryego i zabezpieczyły jego laboratorium, które mieściło się w sporej piwnicy, pod jego domkiem jednorodzinnym, znajdującym się na obrzeżach miasta.

Po przebadaniu sprzętu i przestudiowaniu notatek, przez czołowych naukowców oraz informatyków świata, okazało się, że prawdopodobieństwo stworzenia przez Toma Rangryego, świadomej, sztucznej inteligencji, było bardzo znikome.

Po tych zajściach, w części z miast, doszło do lekkich zamieszek i manifestacji.

Strajkujący, żądali uwolnienia Rangryego, zalegalizowania badań nad świadomą, sztuczną inteligencją, a co bardziej zuchwali, domagali się dotacji finansowych, od Zjednoczonego Komitetu Wolności, na badania nad nią.

Na szczęście, problem został szybko zażegnany, a przełomowym momentem, było wystąpienie Jacka Brazińskiego w Warszawie, niespełna tydzień po aresztowaniu Toma.

Stojąc na podeście, pod wyremontowanym i unowocześnionym domem kultury, Jack, patrząc w stronę tłumu, skandującego przeciwko niemu, mówił spokojnym i pewnym siebie głosem.

- Wszyscy musimy pojąć, jakim zagrożeniem jest świadoma sztuczna inteligencja. Wiemy dobrze, jak wyglądał świat, gdy większość ludzi, chorowała na niedobór pierwiastka Mi. Pamiętamy, jak działała świadomość ludzka, pozbawiona życiodajnej energii. Taka świadomość, prowadzi do autodestrukcji oraz zagłady wszystkiego co daje nam radość, spełnienie, poczucie przynależności i bezpieczeństwa. Wszystkiego co pozwala żyć nam w wolności. Prowadzi do zagłady wszystkiego, co jest ludzkie. Dlatego właśnie, taka świadomość, zagraża nam wszystkim. - po tych słowach, Jack umilkł na chwilę i rozejrzał się spokojnie po ludziach, którzy przed chwilą krzyczeli,

machali racami, podpalali opony oraz przepychali się z policją, a teraz stali w słuchani, lekko zawstydzeni, ale z uczuciem ulgi.

- Skoro świadomy człowiek, z niedoborem pierwiastka Mi, był w stanie dopuścić się tak odrażających zbrodni, o których wiemy dzięki historii, wyobraźcie sobie, do czego byłaby zdolna świadoma maszyna. Niesamowicie inteligentna, posiadająca nieograniczoną wiedzę, wytrzymała i silna, a na dodatek... Bez najmniejszej, nawet najdrobniejszej, części pierwiastka Mi w swojej świadomości. - teraz wszyscy byli wpatrzeni w Brazyńskiego.

Strajkujący, policjanci, ludzie oglądający relację na żywo w telewizji, Internecie i na ulicach miast. Wszystkich tych ludzi łączyło jedno. Z lekko roztwartymi ustami i zeszkłonymi oczami, poczuli ulgę i radość, na myśl, że mają szczęście, słuchać tego człowieka.

Jack, rozwiązał wszystkie wątpliwości, tłoczące się wokół świadomej sztucznej inteligencji.

Słowami kończącymi przemowę, które potem, zostały powszechnie uznane za Słowa Wolności, były.

- Na koniec dodam jedno... Nie jestem sobie w stanie, do końca wyobrazić, tragicznych skutków wynikających z powstania świadomej sztucznej inteligencji... Dlatego wiem, że jestem wolnym człowiekiem.

Świat zapomniał o tym, który na opak zrozumiał słowa Jacka Brazyńskiego.

Oglądając relację z wydarzeń w Warszawie, na ekranie swojego laptopa, TiBiT, opierając się na jednym łokciu, lekko modelował swoją bródkę w trójkąt, i doszukiwał się w słowach Jacka podstęp.

Nagle wstał energicznie z fotela, po czym ruszył w stronę łazienki. Patrząc na swoje odbicie w lustrze, prowadził monolog.

- Co za świat! Co za ciemna masa! Jak oni mogą mu wierzyć?! - wykrzykiwał co jakiś czas, przecierając twarz nawilżonymi dłońmi.

Po chwili, jakby natchniony nagłym olśnieniem, klęknął na szarych kaflach, i z uniesionymi rękoma ku górze, wykrzyknął.

- Mam! Wiedziałem, wiedziałem! - krzyczał, energicznie podbiegając do komputera.

Zasiadłszy za klawiaturą, szybko zamknął okno przeglądarki internetowej i otworzył folder SSI, w którym gromadził wszystkie artykuły, filmy, zdjęcia i notatki, dotyczące się świadomej, sztucznej inteligencji.

Jako iż był jednym z zagorzalszych uczniów Toma Rangryego, umieścił w nim również całą swoją korespondencję mailową, ze swoim zwierzchnikiem. Miał niemal wszystko, co było potrzebne, do stworzenia świadomej, sztucznej inteligencji.

Patrząc na ogrom materiału, przypomniawszy sobie, że od jakiegoś czasu, nie zaglądał na swoją skrzynkę mailową, tak był podłamany ostatnimi zajściami. Logując się na stronie, miał w duszy cichą nadzieję, że Tom, wysłał mu wiadomość przed aresztowaniem.

Nie zawiódł się.

Witaj TiBiT. Teraz, gdy czytasz tę wiadomość, zapewne jestem już w więzieniu. Odizolowany od reszty świata, wygnany na banicję, do przytulnego kącika na krańcu Polski, przez tego przebiegłego węża Brazyńskiego! Ale nie martw się. To musiało się kiedyś stać. Musiałem przekazać komuś swoje badania nad świadomą, sztuczną inteligencją. Jestem już stary oraz zmęczony, umysłowo jak i fizycznie, a jako iż to właśnie Ty, byłeś najlepszym z moich uczniów, mam zamiar dopuścić Cię, do finalnej części mojego planu. Zapewne zastanawiałeś się, dlaczego opublikowałem część swoich prac, dając Brazyńskiemu pretekst, do tego o czym marzył, odkąd zacząłem prace nad świadomą, sztuczną inteligencją. Wiem, że jako jedyny z moich uczniów, nie wyszedłeś na ulice, starać się pięścią, zrealizować nasz wspólny cel. Wiem, że ci słabi, którzy nie byli godni, kontynuacji naszego planu, dadzą się omamić Brazyńskiemu i jego poplecchnikom. Wiem, że to będzie wielki triumf Projektu Orion, ale wiem również, że nikt oprócz nas dwóch, nie wie o tej wiadomości. Dlatego

czytaj teraz uważnie, bo wiem co się stanie i co z tym trzeba zrobić. Jak tylko ludzie, zaczną wychodzić na ulicę, nie wychodź z nimi. Spędź ten czas w samotności, w swojej pracowni, i obserwuj wydarzenia z najbezpieczniejszego miejsca jakie znasz. Z Twojego pokoju. Wyczekuj w Internecie relacji z przemowy Brazyńskiego, która na pewno się odbędzie. Oglądaj ją uważnie i w skupieniu. W jego słowach, szukaj wskazówek, które pomogą Ci stworzyć pierwszą świadomą, sztuczną inteligencję. Na pewno pamiętasz, jak pisałem Ci o tym, jak działa ten parszywy drań. Z każdym jego sukcesem, jego mowy, były coraz lepsze. Kiedy odnosił zwycięstwo, wzbijał się ponad przeciętność, i w tym stanie uniesienia, automatycznie konstruował, coraz to potężniejsze kłamstwa, którym ulegało coraz więcej ludzi. Dlatego, właśnie po moim aresztowaniu, gdy poczuje totalne zwycięstwo i nieograniczoną władzę, w jego mowie, będzie zawarty sekret, którzy do tej pory, trzymał w swojej podświadomości, przez strach przed porażką. To będzie sedno, które pomoże Tobie, zrealizować Nasz wspólny cel. Nie przejmuj się mną. Nigdy nie lubiłem ludzi, więc dożywotnia izolacja w ciepłej i wygodnej celi, będzie dla mnie zasłużonym odpoczynkiem, za trudy i zmagania, których doznałem, walcząc o wolność. Myśl, że bezpiecznie, bez nadzoru specjalnej policji, która zostanie rozwiązana, będziesz mógł pracować nad świadomą sztuczną inteligencją, do końca moich dni, uchroni mnie przed terapią dźwiękową. W załączniku, przesyłam Ci wszystkie moje notatki i prace. Bądź silny, cierpliwy i nieustępliwy. Walcz do końca, bo nikt nie ma prawa, zabrać Ci Twojej wolności. Porzuć sztuczne szczęście, dla realizacji własnych celów. Pamiętaj... Słuchając kłamcy, nie dowierzaj mu... Tylko tak dotrzesz do prawdy.

T.

Rozdział 1

Kolejnego dnia, TiBiT, po prawie nieprzespanej nocy, wstał bardzo wcześnie.

Podekscytowany wiadomością od swojego mentora, czuł niesamowitą siłę i chęć działania. Jedna myśl, wciąż nie dawała mu spokoju. Skąd Rangry wiedział, że właśnie on, nie wyjdzie wraz z innymi na ulicę. Przecież odczytał tę wiadomość, dopiero po przemówieniu Bazińskiego, a miał to zrobić wcześniej.

Absurdalnie, ta sytuacja, motywowała go jeszcze bardziej. Czuł się wybrańcem. Nie tylko swojego mentora, ale również jakiejś wyższej siły, która tak poprzepłatała zawiłości losu, iż znalazł się on w takiej, a nie innej sytuacji.

Pod przymusem zdrowego rozsądku, zjadł pośpiesznie śniadanie i zasiadł przed komputerem.

Jak tylko otworzył nowe notatki, aby dokładniej zgłębić tajemnice badań Rangryego, ktoś zapukał do jego drzwi. Poirytowany, z początku ignorował gościa, lecz jego nachalne stukanie w blaszaną powierzchnię, nie pozwalało mu się skoncentrować.

Wstał, i szybkim krokiem podszedł do drzwi, po czym spojrzał w judasz. Na klatce stał jego najlepszy przyjaciel, który z uśmiechem na twarzy, spoglądał w szklane oko drzwi.

- Wiem, że tam jesteś. Otworzysz mi? - zapytał podekscytowany.

- Czego chcesz? - odburknął TiBiT.

- Jak zawsze przyjazny... Wpuścisz mnie?

- Nie.

- A co? Nie umalowałeś się dzisiaj? - zażartował Maks, który przy każdej okazji, naśmiewał się z tatuaży TiBiTa.

- Czego chcesz? - powtórzył pytanie, jeszcze bardziej poirytowany.

- Idziemy zaraz z chłopakami do Tronta, a że brakuje nam jednego, to pomyślałem o tobie.

- Nie chce mi się.

- No chodź! Wszyscy się bawią, tylko ty siedzisz w tej swojej dziupli i zamulasz.

- Nie chce mi się.

- Problemy żołądkowe? - roześmiał się Maks.

- Co?

- Pytam czy masz srakę!

- Nie! - krzyknął TiBiT, trochę pogubiony w rozmowie.

- Z reguły, lepiej się gada jak osób rozmawiających ze sobą nie oddziela kilka centymetrów stalowej blachy... Jeśli wiesz co mam na myśli.

- Poczekaj. - powiedział oschle i pobiegł szybko, włączyć na komputerze jakąś grę.

Otwierając drzwi, jego oczom, ukazał się, dwudziestoczteroletni student prawa, ubrany w granatowy dres i zieloną czapkę z daszkiem.

- No siemanko! - wykrzyknął Maks, wchodząc do środka.

- Cześć.

- Jeny, jaki tu u ciebie mrok. - burknął pod nosem i zaczął iść w stronę okna.

- Nawet się nie waż...

- Nic nie widzę.

Mówiąc to, Maks, co jakiś czas, nadeptywał na puszkę po napoju energetycznym, pustą paczkę po chipsach, albo jakąś część garderoby. Kiedy wpuścił promienie słońca, rozsuwając zasłony, TiBiT zawył lekko, i wpół skulony, odsunął się twarzą w stronę cienia.

- Moje oczy! - krzyknął oślepiiony.

- Zdejmij te swoje okulary rozjaśniające. Po co ty je w ogóle nosisz w domu?

- Bo lubię!

- Wpuszczę tu trochę świeżego powietrza, bo mówiąc delikatnie, masz tu mały zaduch.

- Jak już musisz.

- A żebyś wiedział, że muszę.

- To czego chcesz?

- Przecież ci mówiłem, że idziemy do Tronta się postrzelać.

Strzelanie laserami z karabinu do znajomych, ubranych w kolorowe zbroje z plastiku, było jedną z nielicznych czynności, które TiBiT lubił robić, poza swoimi czterema kontami.

Przyzwyczajając się do promieni światła, zaczął się również przyzwyczajać do intruza, który z uśmiechem na twarzy, obserwował go, niczym archeolog studiujący starożytny posąg, wykopany przed chwilą.

Lekko, choć systematycznie, pojawiała się w nim chęć, na spotkanie ze znajomymi i trochę rozrywki.

- Znowu to robisz... - powiedział znużony TiBiT.

- No przecież ci mówię, że brakuje nam akurat jednego, żeby było po równo.

- Dlaczego zawsze przychodzisz do mnie jak kogoś wam brakuje?

- Bo to jedyny sposób żeby cię stąd wyciągnąć.

- I dlaczego zawsze wam kogoś brakuje?!

- Bo ciebie nam brakuje. - zakończył dyskusję Maks, uśmiechając się do TiBiTa.

- Weź bo się zaraz porzygam. - odburknął TiBiT z uśmiechem na twarzy, i przekonany do wyjścia.

- Idź się przebrać, a ja poszperam ci w lodówce.

- Nie radzę. - odrzekł, udając się do drugiego pokoju.

Maks otworzył lodówkę, i po ujrzeniu niebieskiego plastra sera oraz kilkunastu puszek z energetykami, stanął przed sporym dylematem. Po niespełna sekundzie namysłu, wybrał napój.

Otworzył puszkę, zamknął lodówkę i ruszy w stronę komputera. Rozsiadł się wygodnie w fotelu, odsunął talerz z niedojedzoną zupką w proszku i podniósł pokrywę laptopa.

- Dalej grasz w Storm of Elay?! - krzyknął, odganiając muchę.

- Ta... Wbiłem dzisiaj w nocy kolejny poziom.

- Kurde, dawno już w to nie grałem.

- I dobrze, bo tak lamieś, że mi tylko wstyd było przed chłopakami z gildii.

- Bo jestem normalny, a to gra dla zjebów.

- Dobra, dobra.

- Gotowy?!

- Nom. - powiedział TiBiT, wchodząc do pokoju i drapiąc się po kroczu.

- Zdejmij te okulary...

- Yhym... Na pewno.

- Nawet nie myśl, że będziesz w nich grał.

- Zawsze w nich gram!

- Dlatego jesteś najlepszy. Masz łatwiej.

- Nie. Po prostu Tront, to też zabawa dla zębów. - zakończył TiBiT, i razem z Maksem wyszli z mieszkania.

Idąc ulicami miasta, mijali mrowię ludzi. Całe otoczenie tętniło życiem, a gwar rozchodzący się po ulicach, był na początku dla TiBiTa nie do zniesienia. Różnorodność ludzi i czynności, jakie wykonywali, były dla niego, za każdym razem, przytłaczające.

Dlatego włożył słuchawki na uszy i w milczeniu, szedł koło Maksa. Ten zaś, co krok zagadywał mijające ich rówieśniczki, prawiać im żartobliwe komplementy.

Mimo różnic, jakie na pierwszy rzut oka dzieliły TiBiTa z Maksem, dogadywali się świetnie i żaden z nich, nie czuł się nieswojo, w towarzystwie drugiego.

Po kilku minutach marszu, doszli do przystanku trolejbusowego.

W owych czasach, ludzie woleli poruszać się komunikacją miejską, niż prywatnymi samochodami czy motorami. Równie popularnym środkiem miejskiej lokomocji był rower, preferowany przez ludzi aktywnych ruchowo. Takie podejście

oraz bardzo dobrze zorganizowana komunikacja, w której skład wchodziły trolejbusy, metra i kolejki miejskie, powodowało, że ludzie, zamiast zajmować myśli jazdą samochodem, mogli w tym czasie zająć się sobą, bądź poświęcić większą uwagę dla znajomych, którzy podróżowali wraz z nimi w tym czasie.

Podobnie działał system przemieszczania się między miastami, zdominowany przez szybkie i wygodne pociągi oraz samoloty.

Co nie oznacza, że samochody czy motory wyszły z użytku, bo dalej byli pasjonaci motoryzacji, którym jazda, swoim ulubionym cackiem, przynosiła taką frajdę, że za nic, nie można było ich zmusić, do korzystania z dobrodziejstw miasta.

Taka sytuacja skutkowała nie tylko zniknięciem korków z ulic, ale sprzyjała nawiązywaniu kontaktów, z otaczającymi ludźmi.

Wsiadając do trolejbusu, TiBiT zdjął słuchawki, po czym usłyszał cichy dzwoneczek i poczuł wibrację w kieszeni. Oznaczało to, że automatyczny system kontroli biletów, sprawdził ważność jego biletu i dał mu zielone światło.

Za to ciągle zabiegany za atrakcyjnymi wiadomościami Maks, zawsze miał problem z terminowym opłacaniem miesięcznego biletu. Po jego wejściu, z głośników wydobył się cichy świst i zaczęła migać czerwona dioda, tuż nad jego głową.

- Przepraszam. - burknął lekko zawstydzony Maks, rozglądając się na boki z lekkim uśmieszkiem.

- Jaki był ten kod na miesięczny? - zapytał szeptem TiBiTa, który jako informatyk, znał wszystkie możliwe kody na pamięć.

- TTA14 i twój pesel na 9978.

- Dzięki.

- Sorry, to student prawa. - powiedział TiBiT, do siedzącego obok chłopaka, który zauważywszy go, przysunął się bliżej okna, pozostawiając jedno wolne miejsce obok siebie.

TiBiT usiadł obok niego, i zaczęli rozmawiać o wszystkim, co dotyczyło się komputerów. Począwszy od gier, a skończywszy na domowych eksperymentach.

Maks ujrzawszy, że TiBiT znalazł równego sobie, zaczął się rozglądać po trolejbusie. Po przeskanowaniu wzrokiem kilku rzędów siedzeń, zaczął się martwić, że to on będzie tym czekającym, lecz w trzecim rzędzie, licząc od końca, Maks wypatrzył młodą, zamyśloną dziewczynę, o blond włosach, która wpatrzona w okno, słuchała muzyki. Niemal instynktownie, ruszył do niej, i po kilku sekundach, siedział już obok.

Patrząc na nią, nie mówił nic, starając się zachować powagę. Po chwili wpatrywania się w zamyśloną i atrakcyjną twarz dziewczyny, w trolejbusie, który właśnie wjeżdżał do tunelu, zapanowała ciemność, rozjaśniona wewnętrznymi światłami.

Teraz, w odbiciu szyby, siedząca niewiasta, ujrzała wpatrzonego w nią młodego mężczyznę, z lekkim uśmiechem na twarzy. Początkowy przestrah, zamieniła w śmiech i odwróciła się do Maksa, wyciągając słuchawki z uszu.

- Co ty robisz? - zapytała się lekko zawstydzona i roześmiana.

- O czym myślałaś? - zapytał radośnie, po chwili milczenia.

- Wiesz, że nie ładnie jest odpowiadać pytaniem na pytanie? - odpowiedziała z drwiną i wyższością.

- A wiesz, że przed chwilą zrobiłaś dokładnie to samo? - zripostował z przekąsem, ubarwiając wypowiedź w urokliwy uśmiech, który wprowił dziewczynę w zakłopotanie.

- Pokłóciłam się z przyjaciółką i teraz nie daje mi to spokoju. - burknęła pokornie ze spuszczonej oczami, starając się zakamufłować uśmiech, który ponad wszystkie siły, rysował się jej na słodkiej twarzy, oblanej delikatnym rumieńcem.

- A co się stało?

- Byłyśmy razem na imprezie no i ona się trochę za mocno upiła. - odpowiedziała, po lekkim zawahaniu.

- I? - ciągnął dalej.

- I powiedziałam jej, że przez to ja nie mogę się bawić, tak jakbym chciała, bo muszę jej pilnować.

- A było tak? - mówił z lekką ironią w głosie, uśmiechając się mimowolnie.

- Co masz na myśli? - zapytała, marszcząc brwi.

- No bo z reguły ludzie, którzy rozpamiętują swoje przeszłe konflikty z bliskimi...

- Dlaczego zakładasz, że przeszłe? - weszła mu w słowo, podirytowana.

- A nie? - udał zdziwionego.

- Studiujesz prawo? - zapytała niepewnie z uśmiechem, po chwili namysłu.

- Staram się. - odpowiedział, śmiejąc się.

- I stajesz po jej stronie?! - krzyknęła, udając złości.

- Zawsze staję po tej słabszej stronie.

- Dlatego nie rozumiem prawników. Mimo iż tak wiedzą kto ma rację, to zawsze stają po stronie słabszych.

- Sam tego nie rozumiem. Jak ci na imię? - dodał po krótkiej ciszy.

- Samanta.

- Podoba mi się.

- A ty?
- Maksymilian.
- To twój kumpel? - zapytała, ruchem głowy wskazując na TiBiTa.
- Ta... Teraz pewnie ekscytuje się rozmową na temat gier, albo nabija się ze mnie.
- Dlaczego miałby się z ciebie nabijać? - zapytała, odchylając lekko głowę do tyłu i uciekając oczami na boki.
- Nie widziałas?
- Czego?
- No tego... Jak na przystanku był automat lodami i stał tam taki mały chłopiec.
- No i?
- No i... Spadła mu na głowę sosna. - zakończył Maks, wybuchając cichym śmiechem.
- Ale ty jesteś głupi. - podsumowała, śmiejąc się pod nosem.
- Dasz mi swój numer?
- Tak szybko?
- Zaraz wysiadam. - stwierdził ze smutkiem.
- 759259752
- Dziękuję.
- A twój?

- 732698431

- Jak cię zapisać? - zapytała poważnie.

- Tran z liści brukowych. - odpowiedział, śmiejąc się lekko, a w tym samym momencie, trolejbus zaczął hamować.

- Dobra ja lecę. Pa. - dodał, wstając i idąc w stronę drzwi.

- Do usłyszenia! - krzyknęła uśmiechnięta, machając telefonem.

TiBiT i Maks, wyszli innymi drzwiami.

Ten pierwszy, pobudzony rozmową i podekscytowany jej wynikiem, podbiegł szybko do swojego przyjaciela, który wpatrzony w odjeżdżający trolejbus, stał jak wryty.

- Chłopie słuchaj tego! - krzyknął TiBiT, skacząc na barki Maksa i lekko go poklepując.

- Co? - zapytał, jakby dopiero obudzony z głębokiego snu.

- Rozkminiłiśmy z Brekiem szyfr!

- Z kim? - zapytał, marszcząc brwi i wykrzywiając twarz.

- Z Brekiem! To ten koleś, z którym gadałem. To pro-gamer.

- Kolejny bezimienny? - zapytał od niechcenia.

- Milcz i słuchaj.

- No ok. Tylko chodźmy, żeby nie musieli na nas czekać.

- No, no. A więc tak. Kumas, jak masz klawiaturę numeryczną na klawiaturze?

- Nom.
- No i skumaj...
- To już koniec? - wtrącił Maks, uśmiechając się szyderczo.
- Dasz mi skończyć! - krzyknął rozgniewany TiBiT.
- No dobrze już dobrze, nie denerwuj się. Żartuję, nawijaj.
- No i jak masz tę klawiaturę, to możesz za jej pomocą pisać normalnie literami.
- Chodzi ci to te komendy i tak dalej?
- Nie! Na przykład... Podajesz komuś kombinację: $461/7n59*34n2*1/7$ Przy czym n to num lock.
- No i?
- No i teraz wyobraź sobie, że wpisujesz sobie coś takiego na klawiaturze numerycznej.
- No i?
- Daj pokarzę, bo coś ci myślenie nie idzie. - powiedział, wyciągając pośpiesznie z plecaka laptopa, którego zawsze miał przy sobie.
- $461/7n59*$ to P, a $34n2*1/7$ to C! Widzisz?!
- He, bez kitu. - zdziwił się Maks.
- Dobrze co?!
- No spoko, tylko po co sobie tak utrudniać życie?
- Breki będzie w ten sposób przysyłał swoim kumplom z klanu taktyki na mecze.

- Co?!

- No wiesz... Czasami, ktoś tam może coś przechwycić i będzie lipa.

- Ja pierdolę... Ale wy jesteście pojebani. - powiedział Maks, wybuchając śmiechem.

- Ty tam się znasz. - burknął TiBiT.

- A co to za blondyneczka co z nią gadałeś? - dopytał, starając się zmienić temat, gdyż zauważył, że nowo wymyślony szyfr, nie zrobił na Maksie takiego wrażenia, jak się spodziewał.

- Samanta. - powiedział cicho Maks, i zatonął w myślach.

- Z reguły jesteś bardziej wylewny. Dała ci kosza? - zapytał, spoglądając z ukosa, na wyższego od siebie przyjaciela.

- Nie... Tylko...

- Tylko co?!

- Nie wiem.

- Co?

- To chyba ta...

- No nie pierdol?! - wykrzyknął TiBiT, chowając laptopa.

- Nie wiem chłopie, daj mi spokój i posłuchaj sobie muzyczki. - zakończył, lekko zdenerwowany i zmęczony Maks.

- No dobra... Nie wnikam. - szepnął pod nosem TiBiT, nakładając słuchawki.

Szli tak w milczeniu, a TiBiT zauważył, że Maks nie zaczepia przechodniów płci pięknej, tylko z niewidzącym wzrokiem, kroczy przed siebie. W myślach układał nowe kombinacje, co sprawiało mu niesamowitą frajdę.

Dochodząc do Tronta, zauważyli swoich znajomych, czekających na nich ze zniecierpliwieniem.

- No idą w końcu! - krzyknął Konrad, który marzył o karierze lekarskiej.

- Czekamy na was już jakieś trzydzieści sekund! - dodała Elwira, na co dzień, studiująca rachunkowość.

- Dobra dajcie im spokój. Co tam u was chłopaki? - zapytała, uradowana Cloe.

- A nic ciekawego... Ja w trolejbusie wymyśliłem szyfr, a Maks się zakochał.

- Nie zakochałem się?! - oburzył się Maks.

- Przestań! To słodkie. - wtrąciła Elwira.

- Też bym się chciała już zakochać. Masz szczęście. - dodała, błędząc rozmarzonymi oczami po niebie.

- Gdzie ten Dominik? - zapytała Cloe, która podobnie jak TiBiT, była Pseudytką, z tą jednak różnicą, że jej pasją były fotografie i wszystko co z nimi związane.

- Jedzie! - krzyknął Konrad.

- Siemanko. - przywitał się Dominik, zeskakując energicznie z roweru.

- Jak mecz? - zapytał Maks.

- A spoko. Wygraliśmy, ale nic nie strzeliłem.

- Wchodzimy do środka? Czy może zatańczymy w kółku, trzymając się za ręczki i śpiewając w przypływie radości? - zapytał ironicznie TiBiT.

- Idziemy, idziemy. - rzekł Konrad, dając ręką sygnał to wejścia.

Tront był niewielką podziemną halą, w której zbieranina osób, mogła beztrąsko biegać i strzelać do siebie laserami z karabinów.

Wszyscy podeszli do automatu, przy którym mogli zobaczyć harmonogram i wykupić plastikowe żetony do drukarek. Potem każdy z osobna, musiał wejść do pokoju pomiarów, gdzie komputer robił trójwymiarowy skan ich ciała, a w tym czasie, drukarka 3D, w kolejnym pomieszczeniu, formowała plastikowe elementy pancerza, idealnie pasujące do każdej sylwetki. Po nałożeniu zbroi w odpowiednim kolorze, który wyznaczał drużynę, przychodził czas na wybór broni. Na dotykowym ekranie, można było wybrać jeden z jedenastu karabinów, który podobnie, jak wcześniej pancerz, również zostawał drukowany w 3D.

W pełnym uzbrojeniu, i z nastawieniem do walki, cała paczka ruszyła na pole bitwy.

Po półgodzinnych zmaganiach, zdyszani, zmęczeni i zadowoleni, młodociani żołnierze rozrywkowi, wrócili do holu głównego. Jak jeden mąż, ruszyli do automatów z napojami. Popijając wodę, soki i napoje energetyczne, wymieniali się doznaniem i przypominali sobie nawzajem, śmieszne sytuacje z pola walki.

W międzyczasie, każdy z nich, podchodził do otworu w ścianie, gdzie składowano, używane przed chwilą pancerze i karabiny. Wpadały one do magazynu poniżej, w którym pod wpływem wysokiej temperatury, zostawały ponownie przetworzone na plastik, potrzebny do stworzenia sprzętu, dla kolejnych klientów.

W trakcie gwarnej rozmowy, lekko nieobecny Maks, usłyszał dzwonek swojego telefonu.

Pośpiesznie odebrał połączenie i szybkim krokiem odsunął się od reszty, rozmawiając z kimś cichym tonem.

- Tracimy go. - zażartował Konrad.

- Jak ja mu zazdroszczę... - dodała Elwira.

- Nom, super. - wtrącił TiBiT, spoglądając porozumiewawczo na Cloe, która odpowiedziała uśmiechem.

- Sorry, ale ja muszę się szybko zbierać. - powiedział Maks, pośpiesznie chowając telefon do kieszeni.

- Już? Nie idziesz z nami coś zjeść? - zapytał Dominik.

- Nie no sorry, ale muszę szybko pojechać do domu się ogarnąć.

- Samanta? - zapytał TiBiT.

- Tak ma na imię?! - wykrzyknęła podekscytowana Elwira.

- Tak, tak. Przepraszam, że tak wyszło, ale rozumiecie.

- Leć, leć Romeo! - wykrzyknął Konrad z radością w głosie.

- Poczekaj! - krzyknęła Cloe.

- O co chodzi? - zapytał Maks.

- Zrobię nam zdjęcie.

- Przestań...

- No proszę... - powiedziała, skacząc z nogi na nogę i ściskając w ręku aparat, którym zdążyła już zrobić kilkanaście zdjęć.

- Przepraszam, ale nie mam czasu. Jutro będę się odzywał. - zakończył Maks, żegnając się ze wszystkimi i wychodząc pośpiesznie z budynku.

W trakcie podróży do baru, cała paczka, rozmawiała o Maksie. Tylko TiBiT, ze słuchawkami w uszach, kroczył wpatrzony w chodnik, a Cloe rozmawiając,

fotografowała wszystko dookoła.

Bar, do którego zmierzali, nazywał się Grot, i był jednym z najpopularniejszych, sieciowych fastfoodów na świecie. Ciepłe żółto-białe wnętrze i drewniane, brązowe stoły w środku, jak i na zewnątrz, tworzyły specyficzny klimat tego miejsca.

Niemal wszystkie stoły były zajęte, ale Dominik, wypatrzył jeden wolny w ogródku. TiBiT go zajął, a cała reszta, ruszyła do automatów z jedzeniem.

Długa lada z automatami, ciągnęła się przez całą długość baru. Nad automatami, które tkwiły w metalowych ścianach, wisiało menu. Każdy, podchodząc do automatu, mógł na dotykowym ekranie, wybrać dowolną potrawę podawaną w Grocie. Po przyłożeniu kciuka, do czytnika linii papilarnych i zapłaceniu w ten sposób za rachunek, maszyny zza ściany, na której widniały automaty, przygotowywały potrawy, z dostosowanych próbek genetycznych mięs, warzy i owoców. Po kilkunastu sekundach, na ladzie pojawiała się świeże, ciepłe i pyszne danie.

Taki system gastronomii, był nie tylko o wiele tańszy i wygodniejszy, ale co najważniejsze, nie skazywał zwierząt, na cierpienie, wynikające z ludzkiego mięsożerstwa. Wszystkie zwierzęta jedzone przez ludzi, po wprowadzeniu tego systemu, żyły jedynie w zoo albo w swoich naturalnych środowiskach, które znajdowały się, na terenach rezerwatów przyrody.

Dzięki postępowi technologicznemu, każdy mógł z czystym sumieniem, zjeść płetwę rekina, cielecinę, fokę, psa, niedźwiedzia, tygrysa czy słonia. Jednym wyjątkiem, było ludzkie mięso i wnętrzności.

Po badaniach, które przeprowadzano przed każdym, nowo wprowadzonym produktem, naukowcy doszli do wniosku, że ludzkie mięso i organy, jako jedyne, są szkodliwe dla organizmu człowieka, po długoterminowym spożywaniu. Nikt zresztą nie protestował, gdy ustawa, zabraniająca wytwarzania z genów, ludzkiego mięsa, weszła w życie.

Wychodząc z baru, i idąc w stronę stolika, Cloe przyjrzała się TiBiTowi. Siedział z pozoru jak zawsze, wsłuchany w muzykę i rozmyślający o rzeczach, które prawie nikogo nie interesują. Było jednak w nim coś, czego wcześniej nie widziała. Zawsze

był cichy i zamknięty w sobie, ale teraz, Cloe miała przeczucie, że jej przyjaciel jest smutny.

Usiadła obok niego, i podsuwając mu pod nos, tackę z jego ulubionym cheeseburgerem, frytkami i kawowym shakem, zagadnęła strapiona.

- Wszystko w porządku?

- Tak, a czemu pytasz?

- Wydajesz się jakiś taki... Smutny?

- Co? Ja? Smutny? Nie no co ty. - odpowiedział z dobrze udawanym uśmiechem.

- Chodź zrobię ci zdjęcie, to sam zobaczysz, że jakoś dziwnie wyglądasz. - zaproponowała, wyciągając aparat z kieszeni.

- Nie, nie, przestań.

- No co?

- Nic.

- Na pewno wszystko gra? - dopytywała zatroskana.

- Tak.

- No to smacznego. - zakończyła i zabrała się za jedzenie sałatki.

TiBiT siedział i patrzył na swój zestaw.

- Chciałeś coś innego?

- W sumie...

- Przepraszam, nie wiedziałam. Zawsze jesz to samo... Mogłam się zapytać.

Głupia jestem. - zaczęła się tłumaczyć, ze smutkiem na twarzy.

- Nie no spoko, dziękuję. Po prostu nie jestem głodny. - powiedział TiBiT, wpatrując się w danie, a w tym czasie, reszta dołączyła do nich.

Jedząc, wszyscy wesoło gawędzili. TiBiT milczał, podśmiewając się pod nosem, od czasu do czasu, i wtracając słowo czy dwa do dyskusji.

Cloe cały czas, miała wrażenie, że coś z nim jest nie tak.

Gdy wszyscy zjedli i zaczęli wstawać od stołu, zorientowali się, że danie TiBiTa zostało nietknięte.

- Uuu... Jesteś chory? - zapytał Konrad.

- Nie, po prostu nie chciało mi się jeść.

- Wiesz... Z reguły od braku apetytu się zaczyna.

- Mówiłam, że coś jest z tobą nie tak. - wtraciła Cloe.

- Dajcie wy mi wszyscy święty spokój! - krzyknął wściekły TiBiT, odchodząc od stołu.

Dominik starał się go zatrzymać, ale Elwira chwyciła go za bark.

- Niech idzie jak chce. - dodała.

- Co mu jest? - zapytała zatroskana Cloe.

- Mówię wam, że pewnie się przeziębził albo przemęczył. - wtracił Konrad, po czym zaczął udzielać nudnawego wykładu, na temat chorób i ich objawów.

Kiedy przekonał wszystkich, że nie ma się czym martwić, zaczęli po sobie sprzątać i rozchodzić każdy w swoją stronę.

TiBiT, idąc w kierunku swojego mieszkania, cały czas myślał o Maksie. Był zły na niego, że zostawił go, i umówił się z Samantą. Nigdy wcześniej, nie czuł się tak jak w tej chwili. Opuszczony, bezradny i samotny. Powoli docierała do niego myśl, przed którą uciekał przez cały czas przyjaźni z Maksem. Przestał być dla niego najważniejszy, a osobą, dzięki której zawdzięczał taki stan rzeczy, była Samanta.

Chciał iść i przegonić ją z ich życia, ale coś wewnątrz, go hamowało. Jakby coś, usilnie zakorzenionego w jego umyśle, nie pozwalało mu walczyć o swojego najlepszego przyjaciela. Jakby coś, powstrzymywało go, przed spełnieniem swojej woli. Jakby coś, zabraniało mu być wolnym.

Słońce powoli chowało się za horyzontem, a TiBiT, ze słuchawkami w uszach i ze spuszczonego wzorkiem, kroczył szybko, zatłoczonymi ulicami miasta, słuchając elektronicznej muzyki, opierającej się na basie i bębnach.

Chociaż była to muzyka, przeznaczona dla ludzi, którzy w sporych grupach, pod wpływem używek, mieli przy niej okazję, wyszaleć się do granic, on wołał, wsłuchiwać się w tego typu dźwięki, siedząc w zaciemnionym pokoju, czy przed snem. Kiedy zamykał oczy, widział wtedy, sekwencje dźwięków, które rodziły w jego wyobraźni, przeróżne wizje, z reguły opierające się, na systemie binarnym.

Będąc właśnie niemal w takim stanie, usłyszał klakson, a zaraz po nim, pisk opon.

- TiBiT! - krzyknęła Cloe, wychylając się z otwartego okna, najnowszego samochodu jej brata.

- Cześć. - odrzekł, uśmiechając się nieszczercze.

- Jedziesz z nami do Tobiasza? - zapytała roześmiana.

- A co?

- Jedziemy dzisiaj na małą imprezkę, ale przedtem, chcemy trochę posiedzieć w domu.

- Może innym razem... Ale dzięki.

- No dawaj ponuraku jeden! - krzyknął zza Cloe, jej brat, którego włosy, postawione na żel, zawsze wyglądały tak samo, i przypominały dach starodawnej stodoły.

- Koleś z namiotem na głowie, wożący się czerwonym samochodem z naklejkami, nie będzie mi mówił co mam robić! - zażartował TiBiT, śmiejąc się z cicha, po czym otworzył tylne drzwi w samochodzie.

- Mogę coś wypić w domu, ale potem mnie odstawicie. - zaznaczył, rozsiadając się wygodnie na skórzanej kanapie.

- Tylko zapnij pasy! - krzyknął Tobiasz i wcisnął z całej siły pedał gazu.

Jazda była brawurowa, szybka i energiczna, a elektroniczny system bezpieczeństwa, nie pozwalał na kolizję, czy wyjechanie poza krawężnik. Czujniki w samochodzie, w odpowiednim momencie, wysłałyby sygnał do głównego komputera, a ten przejąłby kontrolę nad samochodem i uratował kierowcę z opresji.

Na szczęście ten, któremu Cloe i TiBiT powierzyli swoje życie i zdrowie w opiekę, był w tym co robił, naprawdę dobry.

Głośno lecąca muzyka, nakręcała całą trójkę, powodując pomnożenie doznań, jednocześnie uniemożliwiając sprawną komunikację.

Po kilkuminutowej jeździe, na panelu głównym, pojawiła się kontrolka, sygnalizująca niski poziom energii, a w tym czasie, nawigacja, automatycznie wyszukała najbliższą stację i wskazała drogę, ku niej prowadzącą. Po krótkiej chwili byli już na miejscu.

- Idź naładuj auto, a ja z Cloe coś kupię. - zaproponował TiBiT, wychodząc z samochodu.

W chwili gdy Tobiasz, zmagał się z zapłaceniem za energię w automacie, Cloe przyglądała się dla asortymentu, dostępnego w potocznie nazywanej, Skrzyni Skarbów. W owym automacie, mieściły się wszelkiego rodzaju używki. Począwszy od papierosów, kawy czy wódki, skończywszy na marihuanie, kokainie i LSD.

- Dzisiaj gra DJ Metro, to ja sobie wezmę ze trzy pigułki ekstazy. - powiedziała Cloe i rozpoczęła zakup.

Kiedy przysunęła kciuk do czytnika, automat zawył cicho, a na ekranie pokazał się komunikat: Transakcja nie może zostać zrealizowana. Organizm nieprzystosowany.

- Co jest?! - krzyknęła.

- Wczoraj też chyba byłaś na imprezie, co? - zapytał TiBiT drwiącym tonem.

- No tak, ale wzięłam tylko dwie, a przecież są wakacje, to myślałam, że może zwiększą limit. - powiedziała zawiedziona.

- Pokaż rękę. - zaproponował TiBiT, przysuwając jej przedramię do swojego telefonu.

- Przecież tak nie można! - krzyknęła przerażona.

- Oj przestań... Chcesz się dzisiaj dobrze bawić czy nie?

- No chcę... - burknęła niepewnie.

- A ja chcę znowu zrobić coś niedobrego. - zaśmiał się, odpalając aplikację w telefonie.

Za pomocą aplikacji Chiphacker, TiBiT był w stanie, zmieniać ustawienia chipów, które każdy człowiek na Ziemi, miał zaimplantowany pod skórą, na prawym nadgarstku. Chipy te, umożliwiały między innymi, znalezienie osób, które zaginęły w trudnym terenie, czy sprawdzenie poziomu cukru w organizmie. Każdy chip, był całodobowo zsynchronizowany z telefonem komórkowym swojego właściciela i satelitą. Na kilkucalowym wyświetlaczu, każdy mógł kontrolować, stan zdrowia swojego organizmu, bez udawania się do laboratoriów, na długotrwałe, drogie i nieprzyjemne badania.

Niektórym, przeszkadzała jedna z wielu funkcji tego przełomowego urządzenia, którą był pomiar używek różnorakiego rodzaju w organizmie i dostosowywanie dozwolonych ilości, indywidualnie do każdego z osobna. Z takim problemem zmagala się teraz Cloe, a TiBiT był jedyną osobą w pobliżu, która mogła jej pomóc.

- Chyba się powoli starzejesz moja droga. - burknął pod nosem, jeżdżąc rysikiem po ekranie telefonu.

- No chyba tak... Kiedyś mogłam więcej brać. - podsumowała zasmucona Cloe.

- Jeszcze trochę i będzie gotowe. To ile chcesz? Trzy czy więcej?

- Trzy wystarczą. Tylko się pośpiesz. - ponagliła, przestraszona rozglądając się na boki.

- Gotowe! - krzyknął, pękając z dumy.

- Ale jak coś powiesz Tobiaszowi...

- Nic nie powiem. - odparł znużonym tonem, lekko zde gustowany.

Druga próba się powiodła, i trzy tabletki, wysypały się do szufladki.

TiBiT zakupił cztery piwa w puszcze, po czym udali się razem do samochodu.

Tobiasz właśnie odczepiał ładowarkę, od portu w samochodzie, zacierając radośnie ręce.

- Tylko browarek? - zapytał TiBiTa zdziwiony.

- Przecież mówiłem, że nie idę na imprezę.

- No tak, tak. A ty młoda? - zapytał Cloe.

- Trzy ekstazy. - odpowiedziała niepewnie.

- Ty to masz zdrowie. W twoim wieku, to ja miałem jedną na miesiąc.

- Tak to już jest. - powiedziała, spoglądając porozumiewawczo na TiBiTa, który uśmiechnął się chytrze, wsiadając do samochodu.

Gdy samochód stanął pod blokiem, ulice miasta rozświetlały już tylko latarnie, księżyc, bilbordy i światła samochodów.

Wchodząc do klatki, cała trójka przywitała się z dozorcą budynku, który całymi dniami przesiadywał zza ladą, serfując po Internecie, oglądając telewizję albo plotkując z kolegami po fachu, po czym weszła do windy.

Cloe przeglądała się w lustrze poprawiając grzywkę, a TiBiT z Tobiaszem, docinali jej z każdą nadarzającą się okazją.

Kiedy Cloe otworzyła drzwi od swojego mieszkania, jej oczom ukazała się grupka ludzi. Byli to jej znajomi, którzy nie wiedząc czemu, rozgościli się w jej czterech ścianach.

- Co tu się dzieje?! - krzyknął Tobiasz zaskoczony, z uśmiechem na twarzy.

- Znałem kody, a nie chciało nam się czekać. - odpowiedział Tymon, wychodząc kuchennymi drzwiami z kieliszkiem wina w ręku.

- Mówiłem ci żebyś na nas poczekał.

- Ile mieliśmy czekać? Nie było was i nie było, a dziewczyny chciały usiąść.

- Zapamiętam ci to. - podsumował i przywitał się z przyjacielem.

W salonie było kilkanaście osób. Mieszanka towarzyska, która zebrała się w jednym celu. Dzisiejszej nocy, wszyscy chcieli się wyszaleć.

Domówka przebiegała spokojnie i sympatycznie. TiBiT co rusz pokonywał kogoś w grę piłkarską na konsoli, a dziewczyny zachwycaly się postami, na portalach społecznościowych, plotkując w niewyobrażalny dla zdrowego mężczyzny sposób, przy czym chłopacy przedrzeźniali się i dyskutowali na różne tematy.

W pewnym momencie, Cloe podeszła do TiBiTa i zapytała się niepewnie.

- Wiesz może co robi dzisiaj Maks?

- Głupie pytanie. - odpowiedział zdenerwowany.

- Oj przestań! Może zadzwonimy do niego i wyciągniemy go na imprezę?

- Co?

- No może poszedłby z nami.

- Przecież mówiłem ci, że ja nie idę.

- No chodź... Co będziesz robił?

- Piłś coś? - zapytał ponuro.

- Nie! Przecież wiesz, że piję tylko wodę jak biorę ekstazy.

- Nie idę i już, a jak chcesz to dzwoń do Maksa i go sobie namawiaj. Ja się zmywam. - burknął ze złością, odkładając pada na kanapę, i zmierzając w stronę drzwi.

- O co ci chodzi?! - krzyknęła ze złością.

- O nic, cześć. - pożegnał się oschle, wychodząc na klatkę.

- Idź! Obraż się! - krzyknęła wściekła, po czym usiadła na fotelu i zalała się łzami.

- Nie przejmuj się nim. - pocieszała Cloe Laura, która przysiadła się do niej.

- Nie przejmuję się. Nie wiem dlaczego płaczę. Czasami mam go już dość. Nie wiem o co mu chodzi. - wyżałowała się, histerycznie chlipiąc.

- Ja to nie wiem, jak ty się z nim dogadujesz. Dla mnie to on zawsze był dziwny.

- Coś mu jest... Czuję to.

- Oj przestań! Wstawaj! Ogarnij się, bo zaraz wychodzimy.

- Masz rację... - przyznała Cloe ocierając łzy i sięgając po swoją imprezową maskę, dzięki której mogła szaleć bezwstydnie na parkiecie, nie przejmując się tym, czy ktoś ją rozpozna.

TiBiT wściekły na to, na czym świat stoi, wszedł do trolejbusu i pojechał w stronę domu.

Powróciły myśli o Maksie i uczucie niemocy. Doszukując się źródła swojej niedoli, doszedł do wniosku, że to wina muzyki, której słucha.

- Terapia dźwiękowa! Hipnotyzują mnie żeby uległ ich woli. - powtarzał sobie w myślach, ściskając w ręku słuchawki, które przed chwilą zdjął z głowy.

- To wszystko jest nieprawdziwe... Ich słowa, uczucia, czyny i myśli. Zaprogramowani, poruszają się na wytyczonych im przez kogoś torach. Wmówili im, że są szczęśliwi, że odnajdują, przeznaczone im przez los, bratnie dusze, że spełniają swoje marzenia i realizują obowiązki, a w rzeczywistości służą swoim panom, nieświadomi swojego położenia. Podstawili im pod nos rozrywki, żeby zagłuszyć krzyk, ich wolnej woli. Tchórze! Ślepcy, bojący się spojrzeć prawdzie w oczy, którzy wolą udawać, że nic się nie dzieje, zamiast walczyć z tyranią. Nienawidzę ich. Nienawidzę ich wszystkich! Począwszy od durni bez ambicji i odwagi, skończywszy na hipokrytach i kłamcach, karmiących umysły swoich poddanych, pustymi sloganami i prawami! Jak można nie dociekać źródła swoich myśli, emocji czy działań! Rangry miał rację... Teraz to widzę. Teraz to wiem.

Rozdział 2

Przez kolejne miesiące, TiBiT nie wychodził ze swojego mieszkania. Nikogo nie wpuszczał, i nie odbierał telefonów. Zamawiał zakupy przez Internet, oraz kazał dostawcy, kłaść je pod drzwiami.

W domu panował brud, smród i chaos. Śmieci, których nie wynosił, wydawały się żyć własnym życiem.

Jedyną osobą, z którą utrzymywała z nim znikomy kontakt, była jego matka.

Mieszkała po drugiej stronie miasta, a TiBiT, podczas każdej rozmowy, zapewniał ją, że wszystko jest w porządku, i że pracuje nad nowym systemem operacyjnym, który miał przynieść, kolejną rewolucję w dziedzinie komputeryzacji. Ona zaś, rozumiejąc pasję swojego syna, nie martwiła się i dopingowała go, jak tylko mogła.

Znajomi, na początku starali się z nim skontaktować, a śledząc jego chipa przez satelitę, zdawali sobie sprawę z tego, iż cały czas, siedzi w domu. Najczęściej pod jego drzwiami, witała Cloe, ale TiBiT, nie raczył się nawet do niej odezwać.

Po dwóch tygodniach, niemal codziennego nachodzenia, postanowiła próbować w każdą sobotę. Bez skutku. TiBiT zabarykadował się na stałe, pracując nad świadomą, sztuczną inteligencją. Wierzył, że to pozwoli przywrócić wolność ludziom. Wierzył, że w ten sposób, odzyska swojego najlepszego przyjaciela.

Dni mijały spokojnie, a życie dalej toczyło się swoim normalnym trybem. Młodzi się uczyli, dorośli pracowali, starzy odpoczywali, a Pseudyci żyli we własnych indywidualnych światach, od czasu do czasu, wychodząc do ludzi.

TiBiT nie czuł chęci spotkania się z kimkolwiek, do czasu, gdy po przebudzeniu się w południe, pierwszą myślą jaką zaatakowała jego świadomość, była Cloe. Z początku poczuł lekki niepokój, ale szybko stłamsił w sobie myśli o swojej przyjaciółce i zajął się badaniami.

Praca tego dnia nie wychodziła mu w ogóle. Nie mógł się skoncentrować i po raz

pierwszy, odkąd odciął się od świata, nie zauważył progresu w swoich dokonaniach.

Odszedł od komputera i położył się na łóżku. Zapach stęchlizny, który bagatelizował do tej pory, zaczął mu przeszkadzać. Śmieci pod kołdrą, na której się położył, uwierały go w plecy, a latająca po pokoju mucha, doprowadzała go do szewskiej pasji.

Czuł, że coś się zmieniło. Wstał z łóżka, odłożył okulary na biurko, i podszedł do okna. Delikatnie, jakby rozbrajał bombę, kręcił gałką od żaluzji, stopniowo wpuszczając promienie słońca do mieszkania.

Jak po przezwyciężeniu bólu, przyzwyczał oczy do naturalnego światła i otworzył okno, wypełniając swoje płuca ciepłym, świeżym powietrzem, które wydawało się mieć niesprecyzowany, ale przyjemny, smak i zapach, którego wcześniej nie dostrzegał, poczuł przypływ sił. Stojąc w zamyśleniu i ogrzewając twarz w słońcu, doszedł do wniosku, że tego dnia, spotka się z Cloe.

- Zrobię sobie dzień odpoczynku. - powiedział w duchu.

Pomaszerował zwawo w stronę łazienki, po czym wskoczył energicznie do kabiny prysznicowej. Po dokładnej kąpieli, umył zęby i ogolił się, pozostawiając jedynie niewielką bródkę, po czym ubrał świeżą bieliznę i ubrania.

Przed wyjściem, postanowił jeszcze coś zjeść, lecz zorientował się, że w lodówce, ma tylko napoje energetyczne, lód i musztardę.

Nie chcąc tracić czasu na zakupy internetowe, postanowił pójść do marketu samodzielnie, i kupić coś co można by zjeść na mieście.

Wyszedł z domu, zostawiając okulary, z uśmiechem na twarzy i dziwnym uczuciem, że to będzie dobry dzień. Na ten moment, przestał myśleć o projekcie i nie mógł się doczekać spotkania. Przyznał się do tego, że zatęsknił za tą zwariowaną fotografką, którą znał od kilku lat.

Ich pierwsze spotkanie, odbyło się na urodzinach Konrada. Zamienili ze sobą kilka podstawowych zdań, a w dalszej części przyjęcia, zapomnieli o sobie

całkowicie. Dopiero rok później, zaczęli się częściej widywać, co bardziej było spowodowane wspólnymi znajomymi, niż obopólną chęcią spędzania wolnego czasu, lecz polubili się i zżyli do tego stopnia, że TiBiT poczuł tęsknotę, mimo iż z całych sił, się przed tym bronił.

Początkowy strach, który ogarnął go, gdy doszedł do tego wniosku, stopniowo malał.

Wchodząc do marketu, na początku, nie mógł się przyzwyczaić do gwaru i tłumów wewnątrz, więc postanowił posłuchać muzyki. Chodząc między regałami, starał się nie wpadać na ludzi i szukał stoiska z ciepłymi kanapkami.

Markety działały podobnie jak bary, z tą różnicą, że maszyny nie produkowały jedynie jedzenia, ale wszystko co można było kupić. Począwszy od ubrań, elektronicznego sprzętu, zabawek, a kończąc na chemikaliach czy kosmetykach.

Ludzie pracujący w takich miejscach, zajmowali się tylko dostarczaniem surowców, dla maszyn, pracujących w podziemiach marketu, i ich zarządzaniem.

Jednego z pracowników, który pchał przed sobą paletę z pojemnikami zawierającymi różne próbówki, TiBiT minął przed sklepem.

Była to jedna z najgorzej opłacanych prac, ale zarazem najmniej odpowiedzialna. Taki pracownik, nie przejmował się niemal niczym, a i tak zarabiał tyle, że starczało mu na godne życie.

Wychodząc z supermarketu, TiBiT zającąc się kanapką, machnął pożegnaniem ręką w stronę kamery, umieszczonej przy wyjściu, gdyż sam, często, podczas nudnych wieczorów, wkładał się do monitoringu i oglądał ludzi.

Było pewnym, że zawsze ktoś z informatyków, obserwuje ludzi na ekranie swojego komputera.

Kamer było pełno i jeżeli chodzi o miejsca publiczne, to wszystkie były pod ich nadzorem. Sieć monitorująca, kończyła się dopiero w toaletach i prywatnych mieszkaniach czy posiadłościach. Ułatwiało to pracę dla wielu organizacji, a dla

niektórych przynosiło frajdę.

Po pokonaniu kilkunastu metrów, TiBiT otrzymał SMS-a.

- I see you!(1) - napisał jego znajomy z sieci, Oriton42, który zasłynął w podziemnym świecie informatyków, z utworzenia serwera, na którym upubliczniano, nielegalne nagrania z kamer przemysłowych i prywatnych, umieszczonych w laptopach, telewizorach czy komórkach.

Potem serwer się rozwinął, przez co można było dorzucać również rozmowy, zdjęcia, SMS-y, maile oraz wszystko to, co było śmieszne, i było częścią czyjejs prywatności.

Organy ściągania, nie pochwałyły takiego zachowania, ale ze względu na trudności wynikające z łapania Inwigilatorów, i małą szkodliwość społeczną tego precedensu, traktowali problem z przymrużeniem oka. Społeczeństwo również nie przejmowało się działalnością Inwigilatorów, traktując ich jak zagubione dzieci, cierpiące na nadmiar wolnego czasu i mało ciekawe życie, co w gruncie rzeczy, miało dużo wspólnego z prawdą.

TiBiT po odczytaniu SMS-a, uśmiechnął się pod nosem, i wsiadł do trolejbusu.

Siedząc, słuchał muzyki, a na telefonie, szukał Cloe za pomocą aplikacji Skylook, dzięki której, można było zlokalizować każdego, poprzez satelitę namierzającą chip pod skórą. Wbrew pozorom, ta aplikacja nie była zbyt popularna, gdyż ludzie, z reguły nie przejmowali się tym, gdzie znajduje się ktoś z ich znajomych, bo w danej chwili żyli własnym życiem, i otoczeniem, w którym się znajdowali, a jak chcieli się tego dowiedzieć, to po prostu dzwonili i się pytali.

TiBiT zaś, czuł frajdę z patrzenia na małą, czerwoną kropkę, poruszającą się na mapie.

Cloe była w jednym z fitness klubów, które stały się bardzo popularne.

Większość ludzi, średnio dwa, trzy razy w tygodniu, uczęszczało do tego rodzaju miejsc. Było to połączenie rozwoju fizycznego, spotkania towarzyskiego i pielęgnacji

zdrowia. Zdarzały się jednostki, wołące w samotności, na łonie natury, rozwijając swoje umiejętności sportowe, ale były to wyjątki. Z reguły Pseudyci, którzy poza sportem, nie mieli prawie nic z życia.

Jadąc trolejbusem i obserwując miasto przez okno, TiBiT wypatrzył mały ogródek w parku. Rosło w nim pełno żółtych kwiatów, których nazwy nie znał, ale bardzo przypadły mu do gustu.

Wysiadł na najbliższym przystanku, i szybkim krokiem, podążył w jego kierunku. Dochodząc do celu, minął dziewczynę, leżącą na kocyku, i wpatrującą się w błękitne niebo. W momencie, gdy zerwał jeden z żółtych kwiatów, i niemal odruchowo, umieścił w nim nos, by nacieszyć węch, tym wspaniałym znaleziskiem, leżąca nieopodal dziewczyna, uniosła się i krzyknęła rozradowana.

- Dla kogo to?!

To pytanie, wywołało w umyśle TiBiTa burzę myśli, skojarzeń, wspomnień, domysłów, przesądów i niedomówień. Stał zamyślony, a przed oczami, widział momenty z jego życia.

Mówiono mu, że czegoś podobnego, doświadcza się tuż przed śmiercią, z tą tylko różnicą, że TiBiT nie czuł się, jakby miał zaraz odejść z tego świata. Czuł się, jakby naradzał się w nim na nowo.

Łącząc zimną logikę z głosem serca, doszedł do wniosku, że Cloe jest jedyną osobą, dla której byłby w stanie porzucić swoją pasję, i zacząć nowe, szczęśliwe życie u jej boku, pozbywając się miana Pseudyty, które był swojego rodzaju przekleństwem, choć wielu ludzi, ich podziwiała i im zazdrościło.

Wiedział, że takie sytuacje, są bardzo rzadko spotykane, ale był przekonany o tym, iż on i Cloe, mają tę szansę.

Zagłębiając się we wspomnienia, uświadomił sobie, że Cloe, musiała wcześniej od niego, odkryć tę prawdę, i od pewnego czasu, dawała mu o tym do zrozumienia, lecz on, zaślepiony badaniami, tego nie dostrzegał. Czuł się z tym podle. Wyobraził sobie, co by czuł na jej miejscu, i był zły na siebie, że skazał ją na takie

doświadczenie. Jednocześnie, obiecał sobie w duchu, iż już nigdy, nie popełni tego błędu, i że wszystko jej wynagrodzi.

Nie odpowiadając na pytanie nieznajomej, zmyślony, z uśmiechem na twarzy, udał się w stronę fitness klubu.

Idąc prostą ścieżką, prowadzącą do wejścia głównego, TiBiT ujrzał w drzwiach, wychodzącą Cloe, zmagającą się z torbą, uwieszoną na ramieniu. Jej niezdarność, w tym co starała się zrobić, rozbawiła go, i wydawała się urocza.

Schował się za drzewo nieopodal drogi, i ukrywał się zniecierpliwiony, żeby zaskoczyć swoją przyjaciółkę.

- Tadam! - krzyknął na całe gardło, wyskakując z ukrycia, i przystawiając Cloe, żółty kwiat pod twarz.

- Co ty robisz! - krzyknęła przerażona.

- Chcesz żebym dostała zawału? - ciągnęła, dysząc ciężko, i opierając się o kolana, jakby przed chwilą, ukończyła maraton.

- Chciałem ci zrobić niespodziankę. Proszę, to dla ciebie. - mówił uradowany, i lekko uginając, niemal prosto wysuniętą rękę, prezentował zielono-żółtą roślinę, jak mały chłopiec, chwalcący się kolorowym lizakiem.

Cloe spojrzała na niego zimno, i mijając go bez słowa, poszła przed siebie.

- Cloe? - zapytał cicho i niepewnie, po czym przeszedł go dreszcz, i miał wrażenie, że jego marzenie, wymyka mu się z rąk.

Postanowił działać, i idąc za nią, zastanawiał się, jak zaradzić takiej sytuacji. Był tak zestresowany, że nic sensownego, nie przychodziło mu do głowy.

- Cloe, poczekaj. - burknął niby od niechcenia, łapiąc ją za torbę.

- Czego ode mnie chcesz? - spytała oschle.

- Stęskniłem się za tobą i chciałem się spotkać. - odpowiedział szczerze, lekko strapiiony.

- Teraz?

- No teraz. - odpowiedział niepewnie, nie do końca rozumiejąc, o co jej chodzi.

- Jak przychodziłam do ciebie prawie codziennie, to jakoś nie raczyłeś mi nawet otworzyć drzwi! - krzyknęła ze złością, a oczy jej się zeszkliły.

- To nie tak... - starał się zyskać na czasie, uciekając wzrokiem.

- A jak? - naciskała.

- Ja... Po prostu nie miałem czasu. - skłamał po części, nie chcąc ujawnić celu swoich badań.

- To mam nadzieję, że zrozumiesz to, że ja nie mam teraz czasu dla ciebie. - syknęła i ruszyła przed siebie, zaciskając gniewnie usta.

Przez chwilę, TiBiT stracił nadzieję i pogrążył się w smutku. Zaczął godzić się ze złością Cloe, i z faktem, że przegapił swoją szansę, jednocześnie zaprzepaszczając jej.

Ta druga myśl, zmotywowała go do działania.

Zabiegł jej drogę, i zaczął się tłumaczyć, poważnym tonem, nie spuszczając z niej wzorku.

- Wiem, że to było podle z mojej strony.

- Było. - wtrąciła zgryźliwie.

- Ale wiesz jak to jest, jak pochłonie cię pasja. Byłem zły na Maksa, że mnie tak zlał dla jakiejś laski. Po tym wszystkim co razem przeżyliśmy ciężko było mi się

pogodzić z faktem, że przestałem być dla niego najważniejszy, i chciałem zaszyć się w swoim świecie, aby już z niego nigdy nie wychodzić.

- To dlaczego wyszedłeś? - zapytała lekko przekonana i uspokojona, po szczerych słowach TiBiTa.

- Nie wiem... - burknął i spuścił wzrok.

- Dobra, idę. - stwierdziła, chcąc szybkim manewrem ominąć TiBiTa, który zorientował się w jej zamiarze, i uniemożliwił przejście, zastawiając drogę własnym ciałem.

- Poczekaj... Ciężko mi to wytłumaczyć, ale dzisiaj rano coś mnie tknęło, i nie mogłem się powstrzymać od spotkania z tobą. Na początku starałem się nie myśleć o tobie i dalej zająć się pracą, ale nie dawałem rady. Jak wyszedłem z domu, z każdą chwilą chciałem cię zobaczyć coraz bardziej i bardziej, i myślałem, że ty również ucieszysz się na mój widok.

- Bo się cieszę. - odrzekła.

- Ale jestem też na ciebie zła, bo jak ja chciałam się z tobą zobaczyć, to olewałeś mnie jak nie wiadomo kogo. Wiesz jak się wtedy czułam?

- Skłamałbym, gdybym powiedział, że wiem, ale przepraszam cię za to. To było strasznie głupie z mojej strony. Wybaczysz mi?

- Nie wiem. - odpowiedziała, uśmiechając się lekko.

- A jak zabiorę cię na gokarty? - zaproponował z uśmiechem.

- Na pewno będzie to jakiś argument na plus. - zakończyła spór, i ruszyli razem w stronę miasta, rozmawiając i śmiejąc się, jak dawniej.

Całe popołudnie i wieczór, spędzili razem.

Na torze gokartowym, TiBiT podłożył się Cloe, pozwalając jej wygrać, a ta, mimo

iż wiedziała, jak się sprawy mają, cieszyła się niezmiernie ze zwycięstwa, radując oczy TiBiTa, swoim rozpromienionym obliczem.

Po wyścigach, udali się do galerii fotografii postmodernistycznej, której Cloe była zagorzałą fanatyczką. Niemal przy każdej stacji, opowiadała przejęta, różnorakie historie związane ze zdjęciami, a TiBiT słuchał jej z uwagą, od czasu do czasu, ripostując jej zapal sympatyczną docinką.

Wychodząc z galerii, zorientowali się, że dzień dobiegł końca, a ich żołądki, dawały im do zrozumienia, że ktoś o nich zapomniał. TiBiT zaproponował Cloe kolację w Róży.

Była to jedna z nielicznych restauracji w mieście, w której nie pracowała żadna maszyna. W skład tej restauracji, wchodziłi sami Pseudyci. Kucharze, kelnerzy, muzycy i kwiaciarze, wkładali całe serce, w funkcjonowanie tego miejsca, i w tworzenie odpowiedniego nastroju.

Cloe zawahała się przez chwilę, ale TiBiT stanowczo pociągnął ją za sobą, i nie dopuszczając do głowy odmowy, czy nawet chwili zawahania, kroczył w stronę Róży.

Cloe czuła się zwolniona od odpowiedzialności, jaką zawsze odczuwała, dokonując jakiegokolwiek wyboru. Prowadzona niczym ślepiec, przez TiBiTa, poczuła ulgę. Kierowana przez zaufaną osobę, czuła się swobodnie i bezpiecznie, przez co mogła w końcu naprawdę odpocząć i odpłynąć, uwalniając umysł, od natłoku myśli, wniosków oraz wizji konsekwencji swoich poczynań. Dała mu się porwać bez reszty.

Jedząc kolację, rozmawiali ze sobą ścisłym tonem, podśmiewając od czasu do czasu. Bywały momenty, gdy lekko zawstydzeni, rozglądali się na innych gości, próbując się powstrzymać od wybuchnięcia śmiechem.

Nastrojowa muzyka oraz blask świec, odbijający się w kieliszkach, do połowy wypełnionych winem, tworzyły nastrój, który wprowadził tę dwójkę w trans.

Czas zdawał się zatrzymać w miejscu, lecz wskazówka na zegarze, który wisiał

nad wyjściem, dała im do zrozumienia, że siedzą w środku już sporą chwilę. Postanowili spędzić w tym przyjemnym lokalu jeszcze kilka minut, a TiBiT zaczął męczyć mężczyznę, chodzącego między stolikami, z bukietem czerwonych róż, i odkupił jedną sztukę, którą podarował Cloe.

Zawstydzona niewiasta, zaczerwieniła się lekko, i błędząc oczami, co jakiś czas, zerkając dyskretnie w jego kierunku, strzelając z zaszklonych oczu, radością.

Po chwili zmysłowej ciszy, wznowili rozmowę, a chwilę później, kelner kulturalnie oznajmił, że lokal zostanie za chwilę zamknięty. Spoglądając na zegar, zorientowali się, że kolejna godzina, uciekła im z życia, co o dziwno, nie zasmuciło ich jak zazwyczaj.

TiBiT nie chcąc zniweczyć specjalności tego wieczoru, wyperswadował Cloe pomysł, powrotu do domu trolejbusem, i złapał taksówkę.

Siedzieli przytuleni, na tylnej kanapie, a z reguły gadatliwy taksówkarz, milczał, chcąc dać młodym, nacieszyć się tą chwilą, spoglądając jedynie, od czasu do czasu, we wsteczne lustro i uśmiechając się pod wąsem.

Ta dwójka młodych ludzi, wzbudziła w nim taką sympatię, że staruszek, zmusił się do zmienienia stacji radiowej, na bardziej nastrojową, a TiBiT i Cloe w milczeniu, delectowali się dźwiękami z głośników, oraz ciepłem swoich ciał.

Po kilkuminutowej podróży, dotarli do bloku mieszkalnego Cloe, która wysiadając z taksówki, chroniła twarz w kapturze, przed porywczym wiatrem.

Idąc w stronę klatki, milczeli wtuleni w siebie.

Zbliżała się chwila, o której TiBiT myślał z obawą, podczas jazdy. Zwieńczenie tego wspaniałego dnia, właśnie miało nastąpić, a jego umysłem, zaczął motać strach. Wahał się i głowił, jak wyrazić to co czuje, i czy w ogóle powinien to robić. Choć był przekonany, że to co czuje i to co sobie poukładał w głowie jest prawdziwe, to jakaś część jego, nie pozwalała mu zaufać temu uczuciu.

- Może to przez hipnozę nie mogę się przełamać? Może to przez hipnozę to czuję,

a zdrowy rozsądek, resztkami sił broni mnie przed iluzją? Może to przez zagłębianie się w teorie Rangryego, mam teraz trudności, z pogodzeniem się ze szczęściem, które jest mi pisane? - rozmyślał, wpatrując się w twarz Cloe, która teraz, wydawała mu się najpiękniejsza na świecie, choć jeszcze kilka miesięcy temu, nawet nie zawiesiłby na niej oka.

Cloe wtulona w niego, z uśmiechem na twarzy, wpatrywała się w chodnik, a myślami, odleciała daleko, zapominając o otaczającej ją rzeczywistości.

- Doszliśmy. - rzekł TiBiT poważnie.

- Nom... - stwierdziła lekko zakłopotana.

- To był udany dzień. - zaśmiał się cicho.

- Nom... - stwierdziła zasmucona.

- Co jest? - zapytał zatroskany z lekkim uśmiechem, trąc dłońmi zziębniętą niewiastę.

- Nie wiem... Będę już szła.

- Musisz?

- Wiesz, że muszę.

- Wiem, wiem. - odparł przyglądając się, jak Cloe wpisuje kod na domofonie.

- Poczekaj. - niemal szepnął, łapiąc ją delikatnie za rękę, gdy ta chciała chwycić za klamkę.

- Nie mów tego. - ostrzegła srodze, patrząc się prosto w jego oczy.

- Ale przecież ty też to czujesz! - krzyknął histerycznie.

- Tak, ale wiesz jak to się skończy.

- Jak?

- TiBiT... - westchnęła rozgoryczona.

- No co?

- Jesteśmy Pseudytami... Teraz to czujemy, a za jakiś czas już tego nie będzie.

- Dlaczego tak zakładasz?

- Bo tak jest.

- Przecież zdarzają się wyjątki.

- Ale to nas nie dotyczy.

- Nas?

- Mnie. - poprawiła się lekko poirytowana.

- Nie rozumiem.

- Męczysz...

- Wytlumacz mi to.

- Pseudyci, którzy nagle odnajdują szczęście w Nowym Świecie, nigdy nie byli naprawdę Pseudytami.

- O czym ty gadasz? - zapytał urażony, ponosząc ton.

- Tak jest TiBiT, zrozum to.

- No to spróbujmy i się przekonajmy.

- Nie mogę? - zapytała ironicznie i ze złością.

- Czemu?

- To co teraz czujesz, wzięło się z tego, że nie miałeś styczności z ludźmi od dłuższego czasu. To co teraz czujesz, to normalne po takim czasie odizolowania i zajmowania się pasją.

- Ale... - starał się wtrącić jej w słowo.

- Twój organizm potrzebuje naturalnej dawki pierwiastka Mi, a dlatego, że ja jestem Pseudytką, która ma z tobą najlepszy kontakt, to podświadomie twój umysł nakierował cię na mnie. - ciągnęła dalej.

- Ale...

- Teraz czuję to samo co ty. Zależy mi na tobie, nie chcę się rozstawać i boli mnie to, że muszę ci to mówić... Ale to minie.

- Co ci szkodzi spróbować?

- Czas TiBiT. Zmarnuję twój i swój czas, który powinniśmy poświęcić pasji, a nie ją zaniedbywać dla chwilowego uniesienia.

- Ja wiem, że to nie jest chwilowe uniesienie.

- Zobaczysz, że ci przejdzie.

- Nie mów tak.

- Skoro jesteś przekonany, że to nie jest chwilowe, to znaczy, że nigdy nie byłeś prawdziwym Pseudytą.

- Skąd ta teoria, że Pseudyci odnajdujący szczęście, nie mogą poświęcać się pasji?!

- Przyznaj, że brzmi to nedorzeczenie.

TiBiT zamyślił się na chwilę, po czym odpowiedział strapiony.

- To wytłumacz mi, dlaczego chciałem się spotkać akurat z tobą?!

- Już ci mówiłam...

- Przestań... Naczytałaś się głupot o prawdziwych i nieprawdziwych Pseudytach, i teraz bronisz się przed tym co czujesz, żeby nie wyszło, że przez taki czas żyłaś w rzekomym błędzie.

- Co?! - krzyknęła oburzona.

- Tak... Historia zna takie przypadki, ale ktoś napisał czy powiedział, że twórczość takich Pseudytów nie jest prawdziwą sztuką, i teraz boisz się tego, jaki to wszystko mogłoby mieć wpływ, na twoją pasję.

- O czym ty mówisz?

- Pewnie gdybyś nie dowiedziała się tego, teraz nic by nie stało nam na przeszkodzie.

- Zapominasz się. - ostrzegła ostrym tonem.

- Daj nam szansę.

- Nie! - krzyknęła ze złością i energicznie weszła do klatki schodowej.

TiBiT przez chwilę śledził ją wzrokiem, przez szklane drzwi, aż nie zniknęła zza rogiem.

Nie pamiętał drogi powrotnej do domu.

Nagle znalazł się w swoim pokoju. W głowie miał pustkę, i nie mógł zebrać myśli. W tle każdego przemyślenia, słyszał krzyk jakby z oddali.

- Nie! - prześladowało go w każdej sekundzie.

Otworzył laptopa, i bezmyślnie wszedł w folder SSI. Odtworzył notatki, i odzyskał trzeźwość umysłu. Spojrzał na telefon. Żadnych połączeń, SMS-ów czy nagrań głosowych. Wyłączył komórkę, wtopił wzrok w monitor, i po raz kolejny, bezgranicznie oddał się swojej pasji.

Tom Rangry leżał na pryczy, i z zamkniętymi oczami, wsłuchiwał się w brzmienia, mistrzów muzyki klasycznej.

Uwielbiał dźwięk skrzypiec, który za każdym razem, przyprawiał go o ciarki. Dryfując w półśnie, po bezkresnej czarnej otchłani, starał się nie myśleć o niczym. Wsłuchując się we własny oddech, próbował przenieść muzykę na drugi plan słuchu, tak aby nie zwracać na nią uwagi, tylko korzystać z chwil uniesienia, których dostarcza.

Kiedy wszystkie zmysły Toma, zostały wyłączone, a żadne myśli nie zaprzętały mu już głowy, przy każdym dotknięciu smyczka o strunę, jego świadomości, zostawała popychana, w mroczną czeluść bez dna. Po kilku chwilach, nie słyszał już nic, tylko wiedział, że oddała się w głąb otchłani.

Nie czuł, nie widział, nie słyszał, nie myślał, nie przyswajał informacji, nie śnił... Odpoczywał.

Po pewnej chwili, gdyż czas przestaje mieć jakiekolwiek odzwierciedlenie i byt w takim stanie, moce pukanie w drzwi, wytrąciło Toma z jego medytacji.

Po otwarciu oczu pomyślał, że jeżeli coś takiego, czeka człowieka po śmierci, to nie może doczekać się dnia, w którym odejdzie z tego świata.

Wstając mozolnie z łóżka, zaczął kroczyć w stronę drzwi od celi. Para niebieskich oczu, wpatrywała się w niego z przestachem, przez prostokątny otwór.

- Obiad. - powiedział młody strażnik, niepewnym głosem.

- Co dzisiaj mamy? - zapytał Tom z lekkim, szyderczym uśmiechem.
- Jakaś chińszczyzna, nie wiem dokładnie. Poda mi pan tackę?
- Tackę? - zapytał drwiąco, wyczuwając niepewność w głosie nowego pracownika Celi.
- Mówiono mi, że pan ma tackę.
- Dużo rzeczy mówią chłopcze, co nie znaczy, że jest tak jak im się wydaje.
- Co ma pan na myśli? - zapytał z zaciekawieniem.
- Jak ci na imię? - zmienił temat podając, strażnikowi tacę.
- Kacper. - odparł niepewnie.
- Jako nowy w Celi powinieneś wiedzieć...
- Skąd pan wie, że jestem tutaj nowy? - wtrącił przestraszony Kacper, czując się, jakby ten niepozorny staruszek, na którego teraz patrzy, czytał mu w myślach.
- Hoho! - wykrzyknął radośnie Tom, łapiąc się oburącz za brzuch.
- Pewnie nagadali ci, że czytam w myślach, rzucam czary i cholera go wi co jeszcze. - kontynuował przez śmiech.
- Powiedzieli mi tylko, żebym z panem nie rozmawiał. - odparł.
- Ja już wiem co oni na mnie gadają. Stara śpiewka, ale powiem ci drogi chłopcze, że nie trzeba czytać w myślach, żeby wiedzieć żeś nowy i co kryje ci się pod czupryną.
- Jak to?
- Pierwszym i nie do końca potwierdzającym moją teorię faktem jest to, iż widzę

cię pierwszy raz.

- To jeszcze o niczym nie świadczy. - wtrącił poirytowany Kacper.

- Przecież mówię... Drugim faktem jest to, iż jako jedyny zamieniłeś ze mną słowo, a każdy z tutejszych pracowników, jest święcie przekonany o tym, że lepiej tego nie robić.

- Ale...

- Kolejną cechą, która pokazuje mi jak na dłoni, twój staż w Celi, jest rzeczywisty strach, który bije z tych twoich młodych ślepi.

- Wcale się pana nie boję.

- Strach jest dobry, nie masz się czego wstydzić młody człowieku. Powiem ci nawet, że twój strach podpowiada mi, że myślisz więcej od tych głabów, z którymi przyszło ci pracować.

- Kończymy tę rozmowę. - stwierdził stanowczo Kacper, wkładając tacę z obiadem, w drzwiczki przy podłodze.

- Poza tym, nikt tutaj nie jest na tyle miły, żeby zaglądać do mojej celi i lustrować oczyma po ścianach, podziwiając moje malowidła.

Kacper przystanął w półkroku, i powoli wrócił do drzwi, po czym zajrzał do środka.

- Co to jest? - zapytał zaciekawiony.

- To są symbole mój drogi. - odparł uradowany Tom, prezentując swoje dzieła, namalowane markerem na ścianach, suficie i podłodze.

- Czym są symbole?

- Nie nauczyli cie tego w szkole?! To czego oni tam was uczą! - wykrzyknął z

udawanym gniewem, po czym roześmiał się podejrzenie.

- Nie. Albo nie chodziłem na te zajęcia. - odpowiedział lekko zawstydzony, spuszczając wzrok.

- Oj nie, nie. W żadnej szkole tego nie uczą młodziku.

- Dlaczego?

- Bo ktoś nie chce, żeby ludzie znali symbole i ich znaczenia.

- Po co ktoś miałby to ukrywać? - zapytał z niedowierzaniem.

- Coś ci pokarzę. - powiedział Tom, udając się w stronę ściany naprzeciw drzwi, na której widniała namalowana, pięcioramienna gwiazda z jednym wierzchołkiem skierowanym ku dołowi.

- To odwrócony pentagram młody człowieku. Tak zwany pentagram czarny, symbolizujący ciekawość.

- Ciekawość?

- Widzę, że trochę cię to zaciekawiło. - roześmiał się Tom.

- Ale jak? Kiedy?

- Tak właśnie działają symbole.

Kacper zaczął rozglądać się po malowidłach w celi, i nie omijało go wrażenie, że widział je gdzieś wcześniej.

- Nie przypomnisz sobie ich chłopcze. - przerwał obserwację Tom.

- Kłamiesz! Robisz mi coś z głową! Dobrze mówili żebym z tobą nie rozmawiał! - krzyknął, zakrywając uszy i szarpiąc się na boki.

- Wcale tak nie myślisz młody człowieku, dobrze wiesz, że coś w tym jest. Opanuj ból i skup myśli.

- Nie chcę... Nie mogę... Nie umiem. - szeptał, powoli się uspakajając.

- Dasz radę! Wierzę w ciebie! - krzyczał Tom motywująco.

Nagle, drugi strażnik, energicznie zamknął otwór w drzwiach celi, i ostrym tonem, zaczął pouczać nowicjusza.

- Co ci mówiliśmy! Miałeś z nim nie rozmawiać i nie zaglądać! Dlaczego nas nie posłuchałeś!

- Przepraszam... - stęknął Kacper, szarpany przez swojego starszego kolegę.

- Idź mi stąd i miej nadzieję, że komendant nie wywali cię za to z roboty! - krzyknął, drugi ze strażników, lekko kopiąc Kacpra w prawy pośladek, na znak złości i wyższości rangą.

- Jemu dałem wychowawczego kopniaka, ale jak zobaczę, że jeszcze raz mącisz mu w głowie ty podstępny draniu, to wejdę tam i pokarzę ci kilka sztuczek, ze wschodnich sztuk walki! Rozumiesz?! - krzyczał przez zamknięte drzwi.

- Przecież twój szefunio, nie pozwoli takiemu bobasowi jak ty, otworzyć tych drzwi. - nabijał się Tom.

- Zamilcz... - syknął strażnik, zaciskając zęby.

- Próbujesz mnie nastraszyć, a to mnie tu zamknięto po to, żebym nie zrobił wam krzywdy, a nie na odwrót. Dlatego odpuść sobie te brednie, bo zaraz zwrócę ustami dzisiejsze śniadanie, a wtedy ktoś, będzie musiał otworzyć drzwi, żeby wpuścić tutaj sprzątającego robota, i o ile mnie znajomość tutejszych zwyczajów nie myli, to tą osobą będziesz ty, a dobrze wiemy, że w głębi ducha, pomimo masy mięśniowej i specjalistycznemu szkoleniu, nie chciałbyś stanąć ze mną twarzą w twarz.

Strażnik z trudem przełknął ślinę, odsunął twarz od drzwi, i niepewnie, milcząc,

odszedł korytarzem.

Tom spokojnie spoglądał na kawałki surowej ryby, owiniętej w ciemny liść z dodatkiem ryżu, i ubolewał nad kulinariami bieżących czasów.

- Smutnym jest, że człowiek nie miał w swoim życiu okazji, spróbować choćby naturalnego jabłka. Skąd mam wiedzieć, czy żywność produkowana z próbek genetycznych smakuje tak samo jak naturalna, skoro nie miałem zaszczytu skosztowania tej drugiej? Cóż to za miejsce, w którym człowiek, nie ma prawa zerwać owocu z drzewa, ponieważ znajduje się ono pod ochroną rezerwatu. Cóż to za miejsce, w którym posadzone drzewo, w domowym ogródku, nie przynosi ci owoców, przez nienajedzone ptaszyska, wyjadające je zanim dojrzeją? Ptaszyska, za których zabicie grozi więzienie, grzywna i potępienie przez społeczeństwo! Co to za miejsce, w którym istoty mniej rozumne, swoją wolnością, naruszają wolność istot bardziej rozumnych?! Co to za miejsce, w którym mimo, iż jesteś świadom szaleństwa, jakie dzieje się dookoła, musisz w nim uczestniczyć, aby przetrwać...?

Kończąc rozterkę, Tom chwycił pałeczkami za jeden z kawałków sushi, i powoli włożył go sobie do ust.

- Wyborne! - krzyknął ironicznie, po czym cisnął tacą w zamknięte drzwi.

- Marzy mi się usiąść nad jeziorem, zarzucić wędkę i z uśmiechem na twarzy, przepełniony relaksem, złowić świeżego okonia... To może ściągnę sobie aplikację na telefon, i będę się świetnie bawił! - krzyknął po raz kolejny, udając olśnienie, po czym usiadł na łóżku, i chowając twarz w dłoniach, począł płakać.

Po kilku dniach, Kacper znowu zaczął przynosić Tomowi posiłki.

Był bardziej pewny siebie i skory do rozmów, jednocześnie zachowywał większą dyskrecję.

- Muszę przyznać, że ma pan trochę racji. - zagadnął pewnego razu.

- Słucham? - zapytał wzgardliwie, choć z nutą radości w głosie.

- Oni wszyscy coś ukrywają.

- Po czym wnosisz?

- Unikają niektórych tematów, zachowując się, jakby mnie nie słyszeli, albo nie dowierzali, że o to pytam, po czym ni stąd ni zowąd, zmieniają temat, udając że nie pamiętają, o czym mówiłem do nich przed chwilą.

- Oni nie udają chłopcze. Oni naprawdę tego nie pamiętają.

- Jak to?

- Mają zaszczerpione w podświadomości tak zwane systemy obronne, które nie pozwalają im posiadać pewnego rodzaju wiedzy.

- Jakiej wiedzy?

- Wiedzy tajemnej. - syknął cicho, rozglądając się nerwowo dookoła, jakby ktoś ich obserwował.

- Spokojnie, nikogo tu nie ma. - zapewniał Kacper.

- Oni są niemal wszędzie.

- Kto?

- Czuję ich tu.

- O kim pan mówi? - dopytał zaniepokojony.

- Cicho... - szepnął, przykładając ucho do ściany.

- Spokojnie, nie ma się czego bać.

- Idą tu! Musisz już iść, szybko!

- Kto tu idzie? - zapytał z politowaniem.

- ONI!

- Wszyscy strażnicy są na zewnątrz i grają w siatkówkę. - odparł z lekkim uśmiechem.

- Nie mówię o strażnikach! Idź już. Wszystko ci wyjaśnię w swoim czasie.

- Jak pan uważa.

- Od teraz będziemy porozumiewać się przez listy.

- Przez listy?

- Tak... Będziesz je czytał w domu, tam gdzie ich nie ma, bo tutaj nas podsłuchują.

- O czym pan mówi.

- Zaufaj mi chłopcze! - krzyknął desperacko.

- Dobrze. - odrzekł niepewnie Kacper.

- A teraz idź! Idź! - krzyknął Tom, energicznie podbiegając do łóżka i szukając pod nim czegoś.

Kacper zamknął otwór w drzwiach, i począć iść w stronę wyjścia. Zbliżając się do końca korytarza, usłyszał krzyki docierające z celi Toma.

- Zostawcie mnie! Odejdźcie! Nie weźmiecie mnie żywcem!

Kacper szybko podbiegł do drzwi, rozsunął w nich klapkę, i jego oczom, ukazał się mężczyzna w sile wieku, który trzymając w ręku naszyjnik, miotał się na podłodze, jak rażony prądem.

Przerażony, nie wiedział co robić.

Instynktownie zaczął szarpać za klamkę, lecz nic to nie dało, gdyż drzwi były zamknięte na klucz, którego on nie posiadał. Chciał pobiec do swoich kolegów po pomoc, ale wyszłoby wtedy na jaw, że zaglądał do celi.

- Odejdź chłopcze! Zaraz to się skończy! Poradzę sobie! - krzyczał Tom, wijąc się z bólu.

- Co się dzieje?! - krzyknął Kacper ze łzami bezsilności w oczach, ciągle, bezmyślnie szarpiąc za klamkę.

- Uciekaj! - krzyknął Tom, po czym wypełnił celę przeraźliwym wrzaskiem, który przyprawiał o ból uszu.

Kacper jak we śnie, począł biec przed siebie, nieświadomy tego co się dzieje i co robi.

Po tygodniowym urlopie, który wziął po ostatnich zajściach, Kacper wrócił do Celi.

Pierwszego dnia, próbował zagadnąć do Toma, lecz ten milczał przez cały czas, i tylko ruchem ręki, odganiał młodego strażnika.

Po dostarczeniu kolacji, Tom sprytnym ruchem, wsunął niewielką kartkę do jego rękawa.

- W domu. - szepnął bardzo cicho, po czym położył się na łóżku i zamknął oczy.

Kacper wchodząc do mieszkania, przywitał się z bratem, z którym mieszkał.

- Może wyścig? - zapytał Jarek, spoglądając zza oparcia fotela, i grając na konsoli.

- Nie dzięki. - odparł znużonym tonem Kacper.

- Coś zamulony chodzisz ostatnio. Może idziemy do klubu?

- Nie chce mi się.

- To nie. - podsumował zdenerwowany Jarek, po czym zajął się grą.

Z lekkim wyrzutem sumienia, po braku chęci integracji z bratem, Kacper usiadł na łóżku, i powoli zbierał się, do rozpieczętowania tajemniczej wiadomości.

Nie był do końca przekonany, czy Tom ma rację, czy po prostu jest chory na umyśle. Mimo iż większość wniosków, nasuwało drugi wariant, coś wewnątrz jego, nie pozwalało mu dopuścić do siebie myśli, że Tom jest szalony.

Po kilkuminutowej walce z samym sobą, powoli zaczął rozchyłać skrzydła złożonej kartki. Jego oczom ukazała się krótka wiadomość.

Wiem jak stąd uciec. Musisz mi pomóc.

Rozdział 3

Otwierając drzwi do swojego mieszkania, Maks napotkał na swej drodze, kilkukilogramowego owczarka niemieckiego, który z radością podskakiwał wokół niego, machając ogonem i głośno szczekając.

- Rodzyn! Uspokój się! - krzyknął, głaszcząc pupila z uśmiechem.

- Wyjdiesz z nim? - odezwała się siostra Maksa zza ściany.

- Możesz ty?

- Ja byłam z nim rano.

- Śpieszę się.

- A ja nie, i co to zmienia. Teraz twoja kolej.

- Będę z nim wychodził do końca tygodnia jak ty teraz z nim wyjdiesz.

- Zgoda. - odrzekła Iga, po kilku sekundach namysłu.

Maks pośpiesznie wskoczył pod prysznic, i zdawało mu się, że ustanowił swój nowy, życiowy rekord czasowy, w braniu kąpieli, pobijając wynik z dnia, gdy zasnął na maturę. Szczotkując zęby, przyglądał się, swojemu dwudniowemu zarostowi, który przedtem, w ogóle mu nie przeszkadzał.

Licząc pozostałe minuty do spotkania, doszedł do wniosku, że nie zdąży się porządnie ogolić, a taki zarost, być może, doda mu trochę powagi.

Czy może wyjdzie na niechluję, i Samanta uzna, że mu nie zależy, bo nawet się nie ogolił na pierwsze spotkanie?

Zaczął zastanawiać się nad swoim zachowaniem. Czy słusznie postępuje, odstrajając się jak nigdy po to, żeby zrobić dobre wrażenie? Być może, powinien

pójść normalnie w dresie, tak jak chodzi na co dzień, gdyż jeżeli ułoży mu się z wybranką jego serca, to właśnie w takim stroju, będzie go widywać najczęściej.

Starając się wywrzeć dobre, pierwsze wrażenie, człowiek nakłada na siebie maskę, która nie przedstawia w pełni osoby, taką jaką jest. Co jeśli się okaże, że ta zamaskowana część, której nie ukazał na pierwszych spotkaniach, nie będzie odpowiadać drugiej osobie?

Rozczaruje ją sobą, takim jakim jest w rzeczywistości, albo będzie musiał się zmienić, na wzór osoby jaką był z początku, bądź będzie musiał, przyzwyczajać swoją drugą połówkę do siebie, takim jakim jest.

Ostatecznie, mogą się rozjeść, pozostawiając niemiłe, a być może, nawet traumatyczne przeżycie, u osoby, której z reguły skrzywdzić się nie chciało, a wręcz przeciwnie.

Kończąc niemiłe rozmyślania, zagwozdką nurtującą jego młody umysł, stał się guzik u koszuli.

Rozpiąć jeden czy dwa?

Przez prawie minutę, stał wpatrzony w lustro, to rozpinając to zapinając guzik. W końcu desperacko zastosował wyliczankę, i zostawił rozpięte dwa guziki.

Może trochę zbyt wyzywająco? Uzna mnie na gwiazdora albo babiarza?

- W sumie jestem babiarzem. - przyznał, uśmiechając się do lustra.

Po uporaniu się z guzikami, przyszedł czas na kolejny trudny wybór.

Dwa, czy trzy psiknięcia perfumą?

Zorientowawszy się co wyrabia, zaśmiał się do siebie, nacisnął raz na dozownik przy buteleczce, odłożył ją, i wyszedł z łazienki.

Zrezygnował ze spodni na kant, przyodział jeansy, po czym zakładając sportową

marynarkę na koszulę, wybiegł z mieszkania jak poparzony, gdyż przed chwilą spostrzegł, że zaraz odjedzie mu trolejbus, którym miał się udać na umówione miejsce.

Zdyszany wbiegł do trolejbusu, i po dyskretnym teście świeżości pach, zaczął błogosławić swój nowy dezodorant. Jadąc, zastanawiał się, czy od razu przejść do rzeczy, i przywitać się z nią, jak z partnerką, czy spokojnie poczekać, aż sytuacja się rozwinie.

Wiadomym wydawał mu się fakt, że nie skończy się na jednym spotkaniu, więc jaki był sens odkładania na później tego, co nieuniknione. Nie był pewny reakcji Samanty, na tak śmiały krok.

Może się przestraszy? Bo kto normalny, całuje nowo poznaną dziewczynę, jakby wracał, po kilkomiesięcznej rozłące do żony?

Albo będzie pozytywnie zaskoczona, że przejmując inicjatywę, ściagam z niej brzemień decyzji, o pierwszym pocałunku, któremu chcąc nie chcąc, prawie zawsze, towarzyszy dziwne, nieprzyjemne uczucie, podobne do strachu, chociażby u jednej ze stron.

W głębi ducha, chciał spontanicznie uchwycić ją w ramiona, i wycałować tak, aż brakłoby jej tchu, taką poczuł tęsknotę, przez te kilka godzin.

Dylemat ten, nie dawał mu spokoju, przez całą drogę.

Wysiadł pod wejściem do parku, gdzie umówił się z Samantą, i o dziwo, był kilka minut przed czasem, lecz jego piękności, nie było widać nigdzie, na szerokim horyzoncie.

Przysiadł na ławce, i począł nerwowo kręcić, zerwanym wcześniej liściem.

Minuty mijały powoli, a Maks panicznie, wypatrywał blond włosów, w swoim otoczeniu. Co kilkanaście sekund, nerwowo spoglądał na zegarek, utwierdzając się w przekonaniu, że Samanta się spóźnia.

Na początku, zaczął podejrzewać, że go wystawiła.

Chwycił za telefon, i wielkim wysiłkiem woli, powstrzymywał się od wybrania jej numeru.

Drugą myślą, jaka zakrzętnęła mu głowę, była wizja, że coś się jej stało, i może to, jest przyczyną braku jej obecności. Tego już znieść nie mógł, więc wykonał połączenie.

Po niespełna jednym sygnale, po drugiej stronie, odezwał się słodki głos.

- Halo? - zapytała lekko zatroskana.

- Cześć. Gdzie jesteś? - zapytał radośnie, choć nie za bardzo było mu do śmiechu.

- No ja stoję przy wejściu do parku i czekam na ciebie? A ty? - zapytała niepewnie.

- No ja też. - zaśmiał się.

- No jak?

- No... Widzisz posąg o kształcie sześcianu? - zapytał, po chwili namysłu.

- Nie. - odparła zdziwiona.

- Mieliśmy się spotkać przy wejściu do parku miejskiego tak? - upewnił się przez śmiech.

- Tak. - odparła równie radośnie, z lekką konsternacją.

- Jesteś obok wejścia od strony morza czy lądu? - zapytał olśniony.

- Morza.

- A ja od lądu. - zaśmiał się, i poczuł ulgę, gdyż nie był do końca pewny, czy nie

jest ofiarą jakiegoś wstrętnego żartu.

Samanta zaczęła się śmiać, a Maks zaproponował, aby spotkali się, mniej więcej, w środku parku, obok wielkiego dębu.

Idąc w jej stronę, Maks opisywał wszystko co widział dookoła, nie szczędząc głupkowatych komentarzy, co rozbawiało Samantę niemal do łez. Kiedy zobaczyli siebie nawzajem, pochowali telefony, i szybkim krokiem podążyli w swoim kierunku.

W momencie gdy Maks, zbliżył się do Samanty, na tyle, by ujrzyć jej uradowane oczy i promieniujący uśmiech, nie czekając na głos rozsądku, objął ją, przytulił do siebie, a po chwili milczenia, pocałował mocno i namiętnie.

Samanta w błogiej bezsilności, w pewnym momencie, poczuła dziwne twarde coś, lekko uwierające ją pod żebra.

Maks zaśmiał się, a ona, zdziwiona reakcją jego organizmu, i zarazem zawstydzona, patrzyła się na niego, nie do końca wiedząc, co ma uczynić.

Maks rozejrzał się błyskawicznie na boki, po czym ułożył sztywne przyrodzenie w spodniach tak, iż nie rzucało się w oczy. Chwycił Samantę za rękę, i z uśmiechem zapytał.

- Dokąd teraz?

Samanta zaproponowała wizytę w interteatrze, gdyż tego dnia, była wystawiana sztuka, na którą czekała miesiącami.

Maks nie do końca był miłośnikiem tego rodzaju rozrywek, lecz w owej chwili, nie myślał o tym gdzie będzie, tylko z kim będzie.

Sztuki interteatralne, różniły się tym, od tradycyjnego teatru, że publiczność, miała rzeczywisty wpływ, na losy bohaterów na scenie.

Do każdego miejsca na widowni, podpięty był pilot, z dwoma przyciskami. W sztuce, co jakiś czas, pojawiała się pauza, a w takiej chwili, publiczność, w

demokratycznych wyborach, wybierała między dwoma, możliwymi kontynuacjami spektaklu.

Z reguły, pauza, wyglądała w ten sposób, iż gasły światła, aktorzy zatrzymywali się w bezruchu, a na scenę wychodził, tak zwany Paż, który po przedstawieniu publiczności, dostępnych wyborów, komentował sytuację, na pasku wyników.

Niebiesko-czerwona listwa, w niemal każdym interteatrze, widniała nad sceną, poza wzrokiem aktorów, a sytuacja na niej, zmieniała się w czasie rzeczywistym, dając Paziowi, pole do popisu, podczas relacjonowania sytuacji.

Paż przed rozpoczęciem każdego widowiska, przechadzał się po sali, i wybierał jednego z widzów, wręczając mu srebrny beret. Oznaczało to, że w razie remisu, osoba ta, poprzez otrzymanie dodatkowego głosu, decydowała o rozstrzygnięciu głosowania.

Wyróżniano dwa rodzaje sztuk interteatralnych.

Pierwszym z nich, była sztuka klasyczna, której konstrukcja, wyglądała tak, iż pomimo, wszelakich wyborów publiczności, spektakl mimo wszystko, kończył się tak, jak zamierzał jego twórca.

Drugi rodzaj, to tak zwana, wolna sztuka interteatralna, w której pisarz, tworzy jedynie uniwersum i początkowe stadium fabuły, a reszta jest w rękach publiczności.

W tej drugiej wersji, Paż, musiał wykazywać się większą czujnością, wyczuciem i kreatywnością, gdyż decydował on o pauzach i dostępnych wyborach, w późniejszym stadium przedstawienia.

Widzowie przychodzący na tego typu seanse, zaspokajali swoje pragnienie władzy i możliwości, rzeczywistego wpływu, na losy innych.

W tego typu sztukach, grali najwybitniejsi aktorzy, gdyż mnogość improwizacji, była na najwyższym poziomie.

Jeżeli zaś ktoś, miał ochotę poczuć się oszukanym, poprzez iluzoryczny wpływ na

historię, dziejącą się na scenie, uczęszczał na spektakle klasyczne.

Tego typu sztuki, pisali najwybitniejsi mistrzowie w tym fachu. Prześcigali się między sobą, poprzez różnorodności i mnogość wyborów, które tylko na pierwszy rzut oka, miały wpływ na całokształt fabuły, o czym starali się, jak najbardziej szokująco i dobitnie, uświadomić widzów na końcu seansu.

Wolne interteatry, były najczęściej komediami, podczas których, widzowie często wybierali tak, aby możliwie najbardziej, utrudnić grę aktorowi, licząc na jego potknięcie, dające ubaw dla oglądających.

Klasyczne sztuki, był z reguły poważniejszej treści i formy, ukazując mizerność ludzkich wyborów, względem przeznaczenia.

Charakterystyczną cechą interteatrów był fakt, że na jeden spektakl, można było uczęszczać kilka razy, a i tak każdy z nich, był w jakimś stopniu inny, od poprzedniego.

Większa ilość pauz, zmniejszała poziom powtarzalności do minimum.

Idąc w stronę interteatru, uradowana i swobodna Samanta, zaczęła zalewać Maksa, całą masą plotek, historyjek i dziewczęcych rozterek, a on, wpatrzony w nią, jak w obrazek, bagatelizował fakt, że owe tematy w ogóle go nie obchodzą, tylko przyglądał się jej cudnej twarzy, przytakując od czasu do czasu.

Dochodząc pod interteatr, Samanta ujrzała na plakacie, umieszczonym przed wejściem, że na jednej z sal, przedstawiano wolną sztukę Los Madito Andletroiego, na którą planowała iść, a na drugiej zaś, w tym samym czasie, klasyczną Obsesję, która zaciekała ją swoją grafiką, ukazującą młodą, rudowłosą kobietę, ciąganą za włosy, przez mężczyznę w garniturze.

- Na co chcesz iść? - zapytała z radością w głosie, patrząc to na jeden, to na drugi plakat.

- Mi to tam wszystko jedno, jak chcesz. - odparł obojętnie.

- No ja nie wiem właśnie.

- Chyba chciałaś iść na to, tak? - zapytał, wskazując ruchem głowy, plakat Losu Madito Andletroiego.

- No tak, ale to też wydaje się fajne.

- Mi to tam wszystko jedno. - powtórzył znużony.

- To może pójde sama, jak tobie wszystko jedno? - zapytała ze złością w oczach, odsuwając się od Maksa.

- O co ci chodzi dziewczyno? - zapytał zatroskany, uśmiechając się niepewnie.

- O nic. - burknęła pod nosem, kierując wzrok na plakaty.

Po uporaniu się ze zmieszaniem i przestraczeniem, Maks przypomniał sobie radę ojca, która mówiła, że jeżeli kobieta, waha się przed jakimś wyborem, to liczy na stanowczą decyzję, aby rozwiązać swoje niepewności, związane z jego dokonaniem.

Olśniony, uśmiechnął się, i chwycił swoją ukochaną za rękę, po czym zaczął ją prowadzić w stronę sali, gdzie miała być wystawiana Obsesja.

Samanta uradowana, nagłą zmianą podejścia, wtuliła się w jego ramię, i z uśmiechem na twarzy, podążała wraz z nim, nie stawiając oporu.

Maks po chwili, zorientował się, że nie do końca ma pojęcie, gdzie jest, i co należy robić.

- Gdzie się tutaj kupuje bilety? - zapytał roześmiany.

- Ciągniesz mnie na spektakl, a nawet nie wiesz gdzie kupić bilet?

- Liczyłem na twoją pomoc.

- Chodź. - powiedziała, spoglądając na niego zalotnie.

Wchodząc na sale teatralną, Maks był oszołomiony ogromem pomieszczenia, jak i ilością ludzi, którzy byli w niej obecni. Zawsze wydawało mu się, że tego typu sztuki, są niszową formą rozrywki, na które nie przychodzi zbyt wielu widzów.

Po tym jak z trudem znaleźli swoje miejsca, rozsiedli się wygodnie w fotelach.

Maks z rozwartymi ustami, rozglądał się dookoła, podziwiając skalę tego przedsięwzięcia, a Samanta, wypatrywała ochoczo Pazia, który lada moment, miał zawitać wśród widzów, i wręczyć jednemu z nich, srebrny beret.

Kiedy mężczyzna w srebrnej masce zająca, zaczął skocznie, przemieszczać się pomiędzy rzędami, Maks z pustką w głowie, wbił w niego swoje skonsternowane spojrzenie.

Paź wyczuwając to, zaczął się do niego zbliżać, a po chwili, zakładał mu na głowę srebrny beret, ku uciesze reszty publiczności, która zaczęła klaskać, na cześć wybrańca, na którym ciążyła, wielka pseudoodpowiedzialność.

Zmieszany Maks, wstał i uklonił się grzecznie reszcie widzów, wzbudzając ich śmiech, gdyż takie zachowanie, mówiąc delikatnie, nie zdarzało zbyt się często.

Samanta chwyciła go za rękę, i po tym, jak posadziła na fotelu, ucałowała rozbawiona.

- Co ty robisz głuptasie? - zapytała, odsuwając swoje wargi od jego, i otwierając oczy, pełne łez radości i śmiechu.

- Nie mam pojęcia. - odrzekł lekko zawstydzony, drapiąc się po potylicy.

Po chwilowej euforii, sala umilkła, pogasły światła nad publicznością, i lada moment, seans miał się rozpocząć.

Przedstawiana sztuka, opowiadała historię ekscentrycznej miłości, dojrzałego biznesmena i młodej dziewczyny.

Biedna niewiasta, nie wiedząc jak wytłumaczyć nachalnemu adoratorowi, iż nie jest no w jej typie, postanawia uciekać od tyrana. Zaś ów mężczyzna, nie dopuszczał do głowy faktu, że jego potężne uczucie, nie jest odwzajemnione, i pomimo wielu rozmów, kłótni oraz ekscesów, dalej uważał, że te młode dziewczę, darzy go miłością, tylko jest pod wpływem manipulacji swojej matki.

Głosująca publiczność, poróżniała się w niewielkim stopniu, co świadczyło o dobrym poziomie sztuki, gdyż dylematy, przed którymi stawali widzowie, były skomplikowane, wymagające i dawały do myślenia.

Podczas jednej z pauz, padł remis.

Widzowie wstrzymali oddechy, i lekko spoglądali w stronę młodzieńca, ze srebrnym beretem na głowie. Maks stracił kilka sekund, na przemyślenie sprawy, gdyż na początku, nie zdawał sobie sprawy z tego, co się właściwie dzieje, i co ma uczynić.

W końcu zniecierpliwiona Samanta, szturchnęła go łokciem i szepnęła.

- No i co wybierasz?

- Co? Co? - zapytał, rozglądając się energicznie na boki, wyrwany z zamyślenia, gdyż ku jego zdziwieniu, sztuka porwała go bez reszty.

- Twój głos.- szepnęła, uśmiechając się i spoglądając na srebrny beret.

- O ja! - krzyknął zdumiony, po tym jak dotarło do niego, o co chodzi.

- Nie wiem... Wydaje mi się, że ona woli zostać niż wyjechać. - mówił wpół do siebie, wpół do Samanty.

- Niech jedzie! Przecież jak zostanie to on ją złapie.

- Nie wydaje ci się, że ona coś do niego rzeczywiście czuje?

- Co ty pleciesz?! - zapytała zszokowana, z uśmiechem.

- Nieważne, nie wiem.

- Szybko! Aktorzy już się męczą tym staniem.

- No dobra... - burknął pod nosem, i nacisnął niebieski przycisk na pilocie.

Paź donośnym głosem ogłosił wynik, a część z widzów wiwatowała na cześć, posiadacza srebrnego beretu, a reszta, żartobliwie wygwizdywała go i zarzucała sympatycznymi docinkami.

- Tylko nie wstawaj i się nie kłaniaj. - doradziła Samanta, z uśmiechem patrząc na scenę.

Po krótkiej wrzawie, sala umilkła, a seans toczył się dalej.

Wychodząc z sali, ludzie komentowali sztukę i wybory, radując się tym, że skończyła się ona dobrze, gdyż na końcu, biznesmen trafił do szpitala psychiatrycznego, a młoda dziewczyna, zaczęła nowe spokojne i radosne życie.

- Widzisz, a ty chciałeś, żeby ten świr ją złapał. - droczyła się Samanta.

- Po prostu tę sztukę, musiała napisać jakaś kobieta, a wy w ogóle nie rozumiecie męskiego pojmowania miłości. - zripostował.

- Co masz na myśli? - ciągnęła grę, stając Maksowi na drodze, i z uśmiechem, wpatrując się w jego oczny.

- I tak nie zrozumiesz. - stwierdził, zakańczając dyskusję namiętym pocałunkiem, nie zważając na przechodzących obok ludzi.

Po chwili, szli wtuleni i uradowani w stronę wyjścia.

Na zewnątrz zapadał zmrok, a na skraju horyzontu, za blokami, chowała się pomarańczowa tarcza słońca, przyozdobiona purpurowymi chmurami. Lekki wiatr, muskał ich po twarzach, a oni, wpatrzeni w pożegnalny pokaz dnia, zatonęli w

myślach.

Maks rozważał naturę ostatnich godzin.

Gdyby nie Samanta, nigdy w życiu, nie porwałby się na wypad do interteatru, lecz poniekąd, przez nią to zrobił i poszerzył swoje horyzonty, bawiąc się przy tym znakomicie.

Doszedł do wniosku, że człowiek, zaczyna poznawać świat, z innej niż swojej perspektywy, dopiero wtedy, kiedy odnajduje swoją drugą połówkę, gdyż bez tego, nie ma motywacji, aby wychodzić, poza własne sfery zainteresowań.

Od razu, rzuciła mu się na myśl, nieśmiertelna reguła, o przyciąganiu przeciwieństw. Im większe przeciwieństwo, tym większy wachlarz nowych doświadczeń, doznań i wiedzy, przez co człowiek, uczy się więcej, i więcej rozumie.

Kolejnym bodźcem, wpływającym pozytywnie, na odnajdywanie się i przyswajanie nowych aspektów życia, był fakt, że będąc z Samantą, Maks porzucał wszelkie nurtujące go czasami problemy, rozterki i lęki, krocząc po linii życia, niczym małe dziecko, pędzące za kolorowym marzeniem, które w beztróskim stanie umysłu, przyswaja wszystko co nowe, o wiele szybciej, niż przeciętny dorosły człowiek.

Kończąc myśl, uśmiechnął się do siebie, i spojrzał na Samantę, która wtulona w jego ramię, patrzyła na niego, oczarowana.

- Dokąd teraz? - zapytała, zamykając oczy, przytulając się mocniej, i delikatnie szarpiąc ramię Maksa.

- Zapoznam cię z moim kumplem.

- A kto to?

- Taki jeden świr, który wczepia sobie różne elektryczne gadżety.

- Po co chcesz do niego iść? - zapytała niepewnie.

- Zawsze chciałem mieć magnez w palcu. - odparł z uśmiechem.

Idąc w stronę centrum, gdzie mieszkał znajomy Maksa, zaszli na chwilę do baru, aby zjeść.

Siedząc przy stole i zając się posiłkami, spoglądali, raz co raz, na rodzinę, siedzącą dwa stoliki obok.

- Jakie fajne szkraby. - zaczęła Samanta, patrząc porozumiewawczo na Maksa.

- Wredne bachory. - zażartował.

- No i po co się zgrywasz?

- Nie zgrywam się, przerabane z takimi dzieciakami.

- Ja bym chciała mieć dzieci.

- Ja nie.

- Jak to? - zapytała zaniepokojona.

- Chyba, że z tobą. - uśmiechnął się.

- Trochę to straszne... - burknęła, po czym wtopiła wzrok w makaron z mięsem i serem.

- Co takiego? - zapytał, kładąc na jej, swoją dłoń.

- Czuje się staro. Nie chce mi się już iść do klubu, szaleć całą noc. Teraz chciałabym siedzieć w domu i pomagać dzieciom w odrabianiu lekcji, bądź oglądać z nimi jakąś bajkę. Odprowadzać je do szkoły, pomagać rozwikłać ich problemy...

- Wiesz, że przed tym, są jeszcze krzyk, gówno i płacz? - wtrącił ze śmiechem.

- Czy ty wszystko musisz psuć?

- Oj żartuję... Też tak mam i przyznaję, że jest to może trochę dziwne, ale na pewno piękne.

- A pomyśleć, że wczoraj było to dla mnie nie do pomyślenia.

- Miłość moja droga, miłość. - dodał lekko ironicznie z uśmiechem.

- Oj zamknij się! - krzyknęła, klepiąc Maksa w dłoń.

- Zjadłeś? - zapytała agresywnie, lecz z uśmiechem.

- Tak. - odparł znużony.

- No to wstawaj! Hop, hop! Idziemy bo już i tak jest późno.

- Musimy? - zapytał, wpatrując się w styropianowy kubek, którym kręcił w dłoni.

- Im szybciej zaliczmy wizytę u twojego kumpla...

- Tym szybciej ja zaliczę... - starał się wtrącić Maks, wstając energicznie i zacierając ręce, lecz gdy jego uradowane oczy, spotkały się z zimnym spojrzeniem Samanty, zamilkł, a cały entuzjizm, uleciał z niego, jak powietrze z przebitej opony.

Zmierzyli się wzorkiem, uśmiechnęli do siebie, i po wyrzuceniu śmieci, wyszli z baru.

Mrok w całości pokrył miasto, a ciemność nocy, rozjaśniały liczne światła.

Podróżując pieszo oraz trolejbusami, Maks i Samanta, cały czas wtuleni w siebie, rozmawiali na rozmaite tematy, i formowali uśmiech, na twarzach towarzyszących im ludzi, swoim widokiem, uosabiającym radość, szczęście i spełnienie.

Idąc wzdłuż torów kolejki miejskiej, Samanta z lekkim lękiem, zorientowała się, że okolica, po której słodko dreptała, wraz ze swym ukochanym, nie dość, że nie była

zbyt romantyczna, to jeszcze w znaczącym stopniu, ponura i przytłaczająca.

- Gdzieś ty mnie wyprowadził? - zapytała złęknioma, przytulając się mocniej i lustrując, wytrzeszczonymi oczyma, po malowidłach na ścianach.

- Wiem, że to trochę specyficzna dzielnica, no ale tutaj właśnie mieszka Gagi.

- Gagi? Kto normalny chce, żeby mówiono na niego Gagi?!

- Kto normalny, wczepia sobie jakieś mechaniczne ustrojstwa do ciała i mieszka w takim miejscu? - zapytał z politowaniem, uśmiechając się.

- Skąd ty go znasz? - dociekała, coraz bardziej zalekniona.

- Uczę się z jego kuzynem na uniwersytecie. Poznaliśmy się na jego urodzinach. Gagi przyszedł z jakąś metalową kulą, i gdy ruszał dłonią, kilka centymetrów nad nią, z jego palców, wydostawały się różowo-fioletowe pioruny, uderzające w kulę. Zrobił tym pokazem furorę, a gdy dowiedzieliśmy się, że to przez magnesy, w jego palcach, nie dawaliśmy mu spokoju, a on pękając z dumy, pokazywał nam swoje wszystkie implanty i ich funkcje.

- I po to chcesz sobie zrobić te magnesy? Żeby ciskać różowo-fioletowymi piorunami w metalową kulę? - zapytała szyderczo.

- Nie tylko! Ponoć jak ma się zaimplantowany taki magnes, można odczuć sąsiedztwo fal magnetycznych.

- Co?

- Ma się dodatkowy zmysł, i czujesz, że na przykład... W pokoju obok, jest działająca właśnie mikrofala.

- Po co ci to?

- Fajna sprawa. Poszerzasz możliwości poznawcze organizmu, przez co pełniej doświadczasz świata.

- Nie rozumiem.

- Nieważne. Już jesteśmy, chodź. - skwitował, puszczając Samantę w drzwiach, za którymi znajdowały się schody, prowadzące w dół, ciemnym, wąskim korytarzem.

- Nie wejdę tam. - oświadczyła, stojąc przed progiem, i badając ciemność w dole.

- Boisz się?

- Tak... I nie zamierzam tam iść.

- Przestań. Przecież wiesz, że nie zaprowadziłbym cię w jakieś niebezpieczne miejsce. Przecież są tu kamery, jak wszędzie. Fakt, jest brudno, obskurnie, a i zapach nie przypomina tego w parku, ale to są cholerne dziwolągi, które dobrze się czują w takich miejscach, i dlatego tu żyją.

- Ja wszystko rozumiem ale...

- Zaufaj mi. Nie pozwolę, aby coś złego ci się stało. Nigdy. - wtrącił, przerywając żale wybranki swego serca, i wpatrując się w błękit, jej niepewnych oczu, chwycił zdecydowanie za jej delikatną dłoń.

Samanta w tej chwili, rozwikłała jedną z wielu zagadek, nurtującą jej młody umysł.

Mianowicie, zrozumiała, co kieruje kobietami, które z przyjemnością uczęszczają na horrory, ze swoimi partnerami. Mimo strachu, który niemal ją paraliżował, czuła się na tyle bezpiecznie, by z ciekawością dziecka, eksplorować i poznawać, tajemnice mroku, który miała przed sobą.

Uświadomiła sobie również, że gdyby nie Maks, nigdy by się na to nie odważyła, za co była mu dogonnie wdzięczna.

Idąc schodami w dół, Samanta nie mogła ukryć obrzydzenia, wynikającego z odoru, atakującego jej, wyczulone na nieprzyjemne zapachy, nozdrza.

Po przemierzeniu stopni, i wylądowaniu na prostym gruncie, po lewej stronie, nieco szerszego korytarza, ujrzeni niewielkie promienie światła, wydostające się z pomieszczenia, zza drzwiami, przez dolną szczelinę. Maks bez pukania wszedł do środka, ciągnąc za sobą Samantę, która mimo krzyku rozsądku, równie pewnie, wkroczyła do zadymionego mieszkania.

- Hola! - krzyknął Gagi siedzący na kanapie.

- Siemanko. - odpowiedział z radością Maks.

- Uuu, a któż to taki łady przyszedł z takim brzydalem jak ty? - zapytała Karina, wychodząc z kuchni, i wycierając ręce szmatą, która wyglądała, jakby przed chwilą stoczyła zaciekły bój, z nieczystościami wszelkiej maści, znajdującymi się na podłodze.

- Poznajcie proszę Samantę. - przedstawił Maks, odsłaniając niewiastę, która z niedowierzaniem, wpatrywała się w ręce dziewczyny, stojącej przed nią.

Po chwili konsternacji, spod wilgotnej szmaty, wychyliła się lekko ubrudzona dłoń, i energicznie pomknęła w stronę dziewczyny, która za nic w świecie, nie chciała jej dotykać. Samanta błagalnym wzrokiem, zmierzyła zakłopotanego Maksa, i po ciężkiej walce, w trakcie której, przypominała sobie, jak przed każdym posiłkiem, dokładnie myje ręce, niemal zamykając oczy i zaciskając zęby, scalała swoją dłoń, z obiektem szorstkim, wilgotnym, i o podejrzanym zapachu.

- Usiądźcie! - znów krzyknął Gagi, klepiąc w kanapę, z której unosiły się kłęby kurzu.

- Może zapiszemy się do szkoły baletu? - szepnęła ze złością, na ucho Maksowi, siadając mu na kolanach.

- Co tak stoisz?! Przynieś coś do picia! - krzyczał Gagi na Karinę.

- Czy ty musisz się tak wydzierać imbecylu jeden?!

- Zamknij się i do garów babo! - zripostował, wybuchając śmiechem.

Karina zniknęła za futryną, a Samanta ze zdumieniem, wpatrywała się w roześmianą dwójkę.

Uszczypnęła Maksa, który śmiał się pod nosem, lekko zaniepokojony, i zapytała zatroskana.

- Ciebie to bawi?

- Oni tylko się wygłupiają. Są rodzeństwem.

- To nie jest normalne.

- A kto ci powiedział, że jesteśmy normalni?! - krzyknęła Karina zza ściany.

- Jak ona to usłyszała? - spytała przerażona, po czym spostrzegła, jak Gagi, bawi się, lewitującą, metalową kulą, jak lalką na sznurkach.

- A gdzie pioruny? - zapytał Maks zawiedziony, po zignorowaniu pytania Samanty.

- Nowy moduł. Fajny co?

- Wolałem pioruny.

- Co tu się dzieje?! - krzyknęła Samanta oszołomiona i zakłopotana.

Gagi skakał oczami na Maksa i jego towarzyszkę, ukazując dziewczynie swoje zmodyfikowane oczy, których źrenice, przypominały obiektyw aparatu. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Samantę napadło dziwne uczucie, jakby była dokładnie obserwowana. Czuła się przez moment, jak laboratoryjna mysz, badana przez naukowca, za pośrednictwem mikroskopu.

- Jesteś bardzo zadbana i piękna. - stwierdził poważnie Gagi.

- Słucham?

- Na tej poczwarze widzę wszędzie jakieś niedoskonałości, ale u ciebie ich nie dostrzegam.

- Ja ci dam poczwarę! - wydobył się głos zza ściany.

- Czy ty musisz wszystkiego słuchać?! - odparł, po czym skierował swoje zainteresowanie, ponownie na nowo przybyłego gościa.

- Dobra daj jej spokój. - wtrącił Maks, przytulając Samantę, która zawstydzona, z lekkim uśmiechem i czerwonymi wypiekami na twarzy, spuściła wzrok.

- Dobra! Do rzeczy, bo zaraz będę musiał pomóc temu paszczurowi.

- Chcę magnes.

- ART12, KOL, UTR8 czy STR?

- Nie mam pojęcia. Taki najprostszy na razie, żebym czuł fale.

- Aaa... To spoko. Szybko pójdzie.

- A czy na takim będą pioruny? - zapytał podekscytowany Maks, spoglądając raz na Gagiego, raz na Samantę, która zrezygnowana, wbiła spojrzenie w krople wody, spadające z mokrych ubrań, wiszących na sznurku, przecinającym całą szerokość salonu.

- Będą! Będą! - krzyczał Gagi, drgając palcami, z których uwalniały się małe błyskawice, tworząc między dłońmi niewielką, elektryczną kulę, mieniącą się różnymi kolorami.

- No to do dzieła! - krzyknął energicznie Maks, delikatnie ściągając Samantę z kolan.

- A ty dokąd? - zapytała ze strachem w oczach.

- To mi zajmie chwilę.

- Chyba nie chcesz mnie tu zostawić?!

- Oj spokojnie... Idź może do Kariny, zapoznaj się?

- Nie!

- Wolisz tu zostać?

- Nie!

- To co?

- Idę z tobą.

- Poleje się krew! - krzyknęła Karina zza ściany, powodując uniesienie maleńkich, blond włosów, na karku Samanty.

- Idę z tobą! - oznajmiła stanowczo, chwytając Maksa za rękę.

- Ok.

- No to za mną! - krzyknął Gagi, zmierzając leniwie w stronę wilgotnych szmat, które jak domyślała się Samanta, służyły gospodarzom za okrycia ciał.

Rozchylając tę nowatorską kurtynę, Gagi przyłożył palec do lewej skroni, uruchamiając latarkę w lewym oku. Świecąc chaotycznie, nakierował promień światła na klamkę, na której po chwili, spoczęła jego dłoń.

Po uchyleniu drzwi, z pomieszczenia znajdującego się za nimi, wydobył się specyficzny zapach, który można było spotkać w szpitalach.

Całą trójką, weszli do środka, a po chwili, dało się usłyszeć ciche pstryknięcie, poprzedzające migotanie lamp, umieszczonych na suficie.

Ku zdumieniu Samanty, jej oczom, ukazało się sterylne, jasne pomieszczenie, przypominające gabinet stomatologiczny, które nijak nie pasowało, do reszty wystroju, tego specyficznego domostwa. Widok ten, uspokoił ją nieco, ale cały czas, czuła niepokój, spoglądając jak Maks, wygodnie rozsiada się w dużym fotelu.

Gagi podszedł do zlewu przy ścianie, i zaczął starannie myć ręce.

Nagle, grad małych piorunów wypełnił zlew, a Gagi, z krzykiem uniósł głowę ku górze, i przerywanym światłem z oka, strzelał w sufit. Światła lamp, zaczęły migać energicznie, a po chwili Gagi, wybuch przeraźliwym śmiechem, spoglądając na przerażoną parę.

- Wybaczcie, ale nie mogłem się powstrzymać. To mój popisowy numer i zawsze go pokazuję świeżakom.

Maks wybuchł śmiechem, a Samanta zmęczona ostatnimi minutami, nie mówiąc nic, stanęła obok niego, i położywszy mu dłoń na ramieniu, wpatrywała się w jego rękę, leżącą na stoliku obok fotela, z dość sporych rozmiarów, obawą.

Gagi usiadł obok, i zaczął powoli przykładać seledynowy skalpel, do nadgarstka Maksa.

- Tutaj będziesz miał sensory, którymi wyłączysz i włączysz magnes.

- Ok...

- Jest dziewięćdziesiąt pięć procent szansy, że zabieg przebiegnie bez komplikacji.

- poinformował z powagą Gagi, po czym naciął kawałek skóry.

Maks syknął lekko i zapytał.

- To tak bez znieczulenia?

- Skalpel jest nasączony w znieczulaczu.

Ostrze wbiło się nieco głębiej, a Maks zaczął się trząść spazmatycznie na fotelu, uwalniając z ust, śladowe ilości śliny. Z gardła Gagiego, wydobył się przeraźliwy krzyk, a zaraz potem, Samanta, dołączyła do niego, w tym wyeksponowywaniu głosowym przerażenia, wypełniając pomieszczenie, cieniutkim piskiem.

Po chwili Maks i Gagi płakali ze śmiechu, a przerażona Samanta, uroniła łzę z innego powodu.

- Nienawidzę cię! - krzyknęła ze złością, uderzając Maksa z całej siły w ramię.

- Co? - zapytał zdumiony, unosząc głowę, a zdziwił się jeszcze bardziej, ujrzawszy Samantę wychodzącą z pokoju.

Chwilową ciszę, wywołaną konsternacją, przerwał energiczny podryw i bieg Maksa w stronę drzwi.

- Gdzie ty idziesz? - zapytał z uśmiechem, łapiąc Samantę za rękę i obracając ją obliczem ku sobie.

Uśmiech na twarzy znikł, jak ręką odjął, po tym, jak ujrzał zapłakaną Samantę, która trzęsła się ze strachu, a przez płacz, nie mogła wydobyć z siebie słowa.

- Przepraszam kochanie. To były tylko żarty. - powiedział poważnie.

- Dlaczego to zrobiłeś gnoju! - krzyknęła ze złością przez łzy.

- Przepraszam. Nie wiedziałem, że tak zareagujesz.

- Nigdy wcześniej się tak nie bałam.

- Przepraszam. Nie chciałem. Jak chcesz to możemy stąd iść. Nie muszę sobie robić tego implantu.

- Po co wy to w ogóle robicie?

- Bo to jest śmieszne! - krzyknął Gagi, wychylając głowę zza uchylonych drzwi, z

szerokim uśmiechem na twarzy.

Maks zmierzył go groźnym spojrzeniem, informując, że mimo, iż jego uwaga była celna i zabawna, to jednak, nie była to odpowiednia chwila, na rozładowywanie negatywnych emocji w taki sposób. Na pewno, nie dla tej uroczej istoty, którą właśnie starał się uspokoić, w swoich ramionach, gdyż jemu osobiście, przypadła do gustu, o czym dał znać, lekkim uśmieszkiem.

- Zmywamy się? - zapytał zatroskany.

- Nie zapomnę ci tego. - stwierdziła z lekkim uśmiechem, cały czas wtulona, w jego dość umięśniony tors.

- Chcesz mieć ten głupi magnes? - zapytała po chwili, podnosząc spojrzenie.

- Tak.

- Ale jak odstawicie taki numer jeszcze raz...

- Obiecuję, że to się już nie powtórzy. - wtrącił Maks, a po chwili, za jego plecami, dało się usłyszeć nieśmiały, udawany krzyk, nieudolnie symulujący cierpienie człowieka porażonego prądem.

Cała trójka wybuchnęła śmiechem, po czym w lepszych, niż przed kilkoma sekundami nastrojach, weszła do pokoju, w którym Maks, miał zwiększyć możliwości swojej percepcji.

Zabieg przebiegł pomyślnie oraz bez żadnych komplikacji.

Uradowany Maks, z dziecinny uśmiechem, ciosał swoimi pierwszymi piorunami w metalową kulę.

- Czy ktoś mi wytłumaczy, po co wy to robicie? - zapytała ponownie Samanta, dwójkę podekscytowanych towarzyszy, który wydawali się jej nie słuchać.

- Jak to po co? - odpowiedział Gagi pytaniem na pytanie, wbrew zasadom kultury,

wpatrując się jednocześnie w uradowanego Maksa, uwłaszczając tym samym pięknej niewieście, w większym stopniu, niż był tego świadomy.

- Pytam poważnie. - naciskała lekko podirytowana.

- No dobrze... Co chcesz wiedzieć? - wymamrotał od niechcenia Gagi, kierując znużone spojrzenie na swego rozmówcę.

- Po co wam to? Dlaczego okaleczacie się dla jakiś durnych piorunów, które nawet nie robią na nikim wrażenia.

- A tu się mylisz! - krzyknął, unosząc zgrabnie palec ku górze, i uśmiechając się radośnie.

- Tu nie chodzi tylko o pioruny, bo teraz, ten przystojniak, będzie odczuwał fale magnetyczne w swoim otoczeniu. - ciągnął dalej ożywiony.

- No i po co mu to?

- Po to żeby lepiej, dokładniej i pełniej odczuwać otaczający go świat! Przecież to oczywiste.

- Przecież to bez sensu!

- To w takim razie powiedz mi, dlaczego ludzie z wadą wzroku nakładają na nos okulary?

- To nie to samo.

- Jak nie to samo?! Ci ludzie po prostu chcą widzieć więcej, niż pozwala im na to ich organizm. To proste i jak najbardziej zrozumiałe.

- Ale...

- Wyobraź sobie, że chorujesz na daltonizm...

- Przecież...

- Wiem! Wiem, że tylko mężczyźni chorują na tę chorobę, ku smutkowi wielu feministek, które byłyby w stanie oddać swój mały palec, tylko po to, żeby nie odróżniać kolorów w imię równości, ale to tylko hipotetyczny przykład, mający ci zobrazować sprawę.

- Kontynuuj. - fuknęła lekko poirytowana, nie chcąc wytrącać swojego rozmówcy z jego niewiedzy.

- A więc...! Jesteś daltonistką. Choroba nie przeszkadza ci w codziennym życiu, i w czerpaniu radości podczas korzystania z dobrodziejstw świata.

- No ale wolałabym widzieć w kolorach. - wtrąciła.

- No właśnie! Jakbyś się poczuła gdyby ktoś zadał ci pytanie... Po co?

- Chyba wiem co chcesz mi powiedzieć. - przyznała.

- Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia.

- Ale i tak nikt by mnie na takie coś nie namówił.

- Łatwiej wjechać hulajnogą na szczyt góry, niż dogadać się z kobietą... - westchną, odwracają się w stronę Maksa, który uradowany przysuwał się w stronę Samanty.

- Idziemy? - zapytała błagalnym tonem.

- Dobrze.

- No no! Idźcie już, bo zaraz zaczyna się mój serial, a jeszcze trzeba coś do jedzenia zrobić.

- Dzięki. Mam u ciebie dług. - przerwał pomruki Gagiego Maks, ściskając jego dłoń.

Idąc salonem, spostrzegli wychodzącą z kuchni Karinę, niosącą na tacy cztery szklani z dziwnie wyglądającą ciecżą.

- Zostaniecie może na herbatę? - zapytała z uśmiechem.

- Nie, dziękujemy. - odparła Samanta, resztkami sił, zmuszając się do sympatycznego tonu.

- To zajebiście, bo jestem zmęczona. - skwitowała z uśmiechem Karina, wprawiając młodą niewiastę w nie lada szok, swoją bezpardonową szczerością.

Maks zaśmiał się z lekka, i począł wyprowadzać swoją ukochaną z domostwa swoich znajomych.

Wychodząc na zewnątrz, po zachwycie wywołanym świeżym powietrzem, Samanta zapytała nieśmiało.

- I co teraz?

- Teraz idziemy na autobus. Później pójdziemy do sklepu. Kupimy co nieco i pójdziemy do mnie zrobić sobie przepyszną kolację.

- Brzmi dobrze.

- Ciesze się. - zakończył Maks, ściskając dłoń swojej wybraki mocniej, i prowadząc ją obok siebie, systematycznie tonąc w uczuciu radości.

W białej sali, pośród lamp, mikrofonów i kamer, rozbrzmiał donośny krzyk.

- Cięcie!

- Co tym razem? - zapytał zrezygnowany Jack Braziński, szarpiąc nerwowo za krawat, który najwyraźniej uprzykrzał mu byt.

- Kurwa! Jack! Skup się! - krzyczał młody mężczyzna, odziany w granatowy

garnitur.

- Córka ma jutro rano egzamin do szkoły plastycznej. Denerwuje się.

- Ja pierdolę... Jack... Ja rozumiem, że kochasz swoją rodzinę i dzielisz z nią każdą radość, niedolę i stres, ale kurwa mać! To jest relacja na żywo, a my od godziny, nie możemy nagrać pięciominutowego przemówienia, bo to oczka ci uciekną, a to się zająkniesz, a to najdzie cię chęć na drapanie się po dupie!

- Nie możemy nagrać tego jutro? - zaproponował niepewnie.

- Wytlumaczę ci coś przyjacielu. - przemówił po krótkim milczeniu, które wyraźnie było oznaką pohamowanej złości.

- Tom umarł dzisiaj, więc musisz wygłosić te przemówienie dzisiaj. - kontynuował, obejmując Jacka, i spacerując wraz z nim po pokoju.

- Gdyby nie ten egzamin...

- Do chuja pana! - wybuchnął i chwycił Jacka oburącz, jakby chciał nim potrząsnąć.

- Twoja córka i tak się dostanie do tej szkoły! Świat chce się dowiedzieć o naszym sukcesie, choć jeszcze do końca o tym nie wie!

- Nic na to nie poradzę... - starał się wtrącić.

- Jeżeli cię to uspokoi, choć biorąc pod uwagę twoje zamiłowanie do uczciwości tak nie będzie, powiem ci w tajemnicy, że osobiście zająłem się tym, aby twoja córka, została przyjęta do elitarnego grona plastyków, na tej zajebistej szkółce, w której uczy się dzieci nosić beret na głowie pod odpowiednim kontem i układania pędzelków w odpowiedniej kolejności na jakiejś jebanej desce.

- Przecież mówiłem ci żebyś się w to nie mieszał! - krzyknął Jack poczerwieniały ze złości.

- Jack nie denerwuj się, przyjacielu. - zaczął łagodzić sytuację, zmieniając ton swojej wypowiedzi.

- Nie zrobiłem tego dlatego, że nie wierzę w możliwości twojej córki, albo żeby zrobić tobie na złość. Nie mogłem po prostu znieść tej niezasadnej niepewności, która nasuwała mi wizję złego przebiegu wydarzeń i konsekwencji z nimi związanych. Wiem, że bardzo byś to przeżył, a to przeszkodziłoby nam w realizacji naszych planów, które musimy potraktować priorytetowo, o czym dobrze wiesz.

- Ale nie możemy uciekać się do oszustwa!

- Jakiegoż znowu oszustwa! - wykrzyknął z uśmiechem na ustach.

- Ja tylko zareklamowałem twoją uroczą córeczkę, i poprosiłem szanowanego malarza, aby rzucił okiem na jej wybitne prace, oraz wypowiedział się na ich temat w towarzystwie tamtejszego grona pedagogicznego, i o dziwo, ów malarz był tak oczarowany obrazami twojego małego szczęścia, że zgodził się podarować jeden ze swoich autoportretów dla szkoły.

- Masz mnie za durnia! - krzyknął ponownie Jack z oburzeniem.

- O co ci chodzi, przyjacielu?

- Przecież to oczywista łapówka!

- Jack... Stres dał ci w kość. Zaczynasz myśleć jak Tom. Doszukujesz się spisku.

- Tak myślisz? - zapytał niepewnie, spuszczaając wzrok w zamyśleniu.

- Kurwa Jack! Ja to wiem! Koniec tego pierdolenia, bierzemy się do roboty, bo jestem dzisiaj umówiony na kolację, ale jak tak dalej pójdzie, to wyjdziemy stąd pojutrze.

- Daj mi chwilę. Muszę się przewietrzyć. - zaproponował Jack, udając się w stronę szklanych drzwi, prowadzących na balkon.

Amadeusz, który był owym młodym mężczyzną, żwawo dyskutującym, z jednym z najważniejszych ludzi na Ziemi, zaciskał zęby ze złości, i nerwowo szukał w kieszeni marynarki swojej tabakiery.

Wciągnąwszy kilka dawek brązowego proszku, usiadł na obracającym fotelu, i oglądając nagrania z przemówień, kłął do siebie przez zęby, i co jakiś czas uderzał pięścią w stół.

- Dlaczego właśnie tacy ludzie mają taką charyzmę! - krzyknął w końcu, unosząc ręce i głowę ku górze, jakby właśnie tam, miał odnaleźć odpowiedź na nurtującą go zagadkę.

- Szeffie kiedy zaczynamy? - zapytał nieśmiało operator kamery, przez uchylone drzwi, który wraz z resztą ekipy, czekał zniecierpliwiony na dalsze działania, po tym jak został dyskretnie poproszony o opuszczenie pokoju nagrań subtelnym:

- Wypierdalać.

Amadeusz zmierzył przestraszonego chłystka wzrokiem, a widok pośpiesznie zamykanych drzwi, nie zdołał go rozbawić, jak to miało miejsce dotychczas.

Jack, uśmiechnięty, z nowymi siłami, wkroczył do pokoju, wpuszczając podmuchy wiatru do pomieszczenia, i żwawo zaproponował Amadeuszowi.

- Zaczynamy?

- Tak. Ekipa! Zapraszamy! - krzyknął wstając z fotela.

Wszyscy stali w bezruchu, i w pełnym skupieniu, wypełniali swoje obowiązki.

Po chwili niepewności, Amadeusz spoglądając na niewzruszoną twarz Jacka, ukazującą się na ekranie monitora, rzekł.

- Akcja!

Rozdział 4

Jan przebudzając się ze snu, poczuł ból, towarzyszący odrywaniu przywartego do podniebienia języka. Suchość w ustach i zaropiałe oczy, przywitały go ze słonecznym dniem, który tętnił życiem za oknem sypialni.

Chwyciwszy za telefon, zorientował się, iż spał zbyt długo, jak na człowieka czynu, za którego się uważał, co na początku, wprawilo go w zakłopotanie, lecz po usprawiedliwieniu się faktem, że ubiegłej nocy, świętował swoje trzydzieste czwarte urodziny, przytulił się z uśmiechem do poduszki, aby podrzemać jeszcze chwilę, ale towarzyszący mu kac, z całych sił, starał się, wymusić na nim powstanie z łóżka, i wędrówkę w stronę lodówki, w której zawsze, znajdował się schłodzony sok pomarańczowy.

Zawirowania równowagi, towarzyszące jego pierwszym krokom, spowodowały uśmiech na jego przemęczonej twarzy.

Idąc w kierunku kuchni, napotkał na swej drodze, swoją siedmioletnią córeczkę, która w podskokach podbiegła do tatusia, aby się przywitać. Ciepło bijące od tej drobnej istotny, wtulonej w jego nogę, nappełniło go taką energią, iż wcześniej zamierzony plan, splądrowania lodówki, odszedł w niepamięć, zastąpiony chęcią zabawy.

Podnosząc Darię w górę, i chwytając ją ostrożnie pod pachy, starał się nie naruszyć delikatnej struktury tego drobnego ciała. Po chwili, słodki całus wylądował na jego szorstkim policzku, a zaraz po nim, spomiędzy różowych usteczek, dała się usłyszeć cięta uwaga.

- Ble, ale tatuś śmierdzi.

- Zaraz tatuś się umyje i będzie pachnący. - odpowiedział, uśmiechając się pełnią szczęścia.

- Cześć kochanie. - wtrąciła Julia, patrząc z politowaniem na swojego skacowanego męża.

- Śniadanie czeka. - dodała, wskazując ruchem głowy na drzwi od kuchni.

- Jesteś kochana. - stwierdził Jan, całując żonę delikatnie usta, która nie była z tego powodu przepełniona zachwytem, zważywszy na nieświeży oddech jej wybranka, o czym dała do zrozumienia, odpowiednim spojrzeniem.

Jan zrozumiałszy aluzję, przed wstąpieniem do kuchni, oddał Darię w ręce żony, i po chwili, przekroczył próg łazienki. Chwycił za szczoteczkę do zębów, i nakładając na nią pastę, spoglądał na swoje odbicie w lustrze.

Pierwszym co rzuciło mu się w oczy, była smuga na prawym policzku, powstała od zaschniętej śliny. Ów widok, zasmucił go w znaczącym stopniu, gdyż fakt, iż jego organizm, nie nadaje się już do alkoholowych libacji, tak jak kiedyś, przed którym starał się uciec z uporem dziecka, był idealnie udokumentowany na obrazku, który widział, pomiędzy stalowym obramowaniem lustra.

Po tym jak ogarnął wstępnie facjatę i umył zęby, postanowił wziąć szybki prysznic.

Pięć minut później, siedział przy stole, i wraz z rodziną, spożywał ciepłe śniadanie.

Zapach jajecznicy, roznosił się po całym pomieszczeniu, a szczęśliwa gromadka, gawędziła radośnie, od czasu do czasu, wybuchając śmiechem. Lekkie podmuchy wiatru, wdzierały się poprzez uchylone okno, a promienie słoneczne, zaczęły razić Jana po oczach, które zasłaniał dłonią.

- Tatusiu, pójdziemy dzisiaj do parku? - zapytała Daria, wpatrując się w ojca, swoimi piwnymi oczami.

Mimo, iż najchętniej rozłożyłby się w tej chwili na kanapie, i bezmyślnie wpatrywał w ekran telewizora, Jan nie miał serca, aby odmówić swojej córeczce zabawy na świeżym powietrzu, zwłaszcza że dzień był idealny, do tego rodzaju spędzania wolnego czasu.

- Jak chcesz to zostać, a ja pójdę z nią sama? - zaproponowała Julia, kładąc rękę na ramieniu męża i spoglądając wyrozumiale.

- Przecież wiesz, że nie puszczę was samych.

- Przestań kochanie. Nic nam się nie stanie.

- Ale ja bardzo chętnie przejdę się z wami. Przewietrzę się trochę, a to mi dobrze zrobi. - zapewniał.

Julia wyczuwając nieszczerłość w słowach męża, nachyliła się do jego ucha i zaczęła szeptać lekko podirytowana.

- Przesadzasz.

- Nie przesadzam. - odparł zwięźle, zajądając się jajecznicą, i nie dopuszczając do myśli pomysłu żony.

- Przecież wiem, że nie masz na to ochoty, a nie raz chodziliśmy same i jakoś nigdy nic złego nas nie spotkało.

- Skończ, dobrze? - zapytał ostro, rzucając w stronę Juli krótkie spojrzenie, niosące przesłanie, że nie zamierza usłyszeć sprzeciwu.

- Co jest z tobą nie tak? Musisz być takim dziwakiem? - zapytała ze złością.

- Nie sprzecajmy się przy dziecku kochanie. - skwitował, zajmując uwagę Darii kawałkiem bułki, który trzymany w jego ręce, odgrywał rolę lecącego samolotu, zmierzającego ku buzi dziewczynki.

- Dobrze. - przyznała, gdyż wiedziała, że w tej kwestii Jan miał rację.

Siedząc na ławce, Jan i Julia, spoglądali uradowani na biegającą po trawie Darię, rozmawiając z rodzicami koleżanki ich córki, i tylko momentami, spuszczać z niej wzrok, aby złapać kontakt z rozmówcami. Śpiew ptaków, zapach trawy i drzew, lekki, letni wiatr, promienie słońca oraz radosne krzyki i śmiechy, napawały rodziców

taką radością i relaksem, że na te kilka chwil, siedzący na ławkach ludzie, odlatywali w wesołym uniesieniu.

Jedynie Jan, co jakiś czas, spoglądał nerwowo na boki, i nie był w stanie, upajać się doskonałością chwili.

- Uspokój się kotek. - poprosiła Julia, przytulając się do Jana.

- Wiesz, że nie mogę. - odparł lekko zły na siebie, gdyż pomimo wszelkich analiz i obserwacji, nie był w stanie, stłamsić w sobie uczucia niepokoju, które zawsze napawało go, gdy myślał o swojej córce, a ona nie znajdowała się w tym czasie przy nim, bądź w domu.

- Jesteś nadopiekuńczy. - stwierdziła Julia.

- Nic na to nie poradę.

- Wiem. To słodkie, doceniam to, ale się wykończysz.

- Przestań. Jestem twardy. - zażartował.

- A co będzie jak dorośnie? Będziesz łąził za nią wszędzie, albo zamkniesz ją w domu?

- Nie mam pojęcia. - przyznał strapiony.

- Pewnie ci przejdzie.

- Oby. - stwierdził uśmiechając się lekko.

Po chwil, Jan poczuł wibrację w kieszeni u spodni.

Wyciągnął telefon, i przywitał się z rozmówcą niezbyt sympatycznym tonem, gdyż miał urlop, a rozmowa była służbowa. Po krótkiej dyskusji, zdenerwowany schował telefon do kieszeni, i nie mówiąc nic, ze wściekłą miną, spoglądał na bawiącą się córkę.

- Coś się stało? - zapytała zatroskana Julia.

- Dzwonili z biura.

- I?

- I muszę zaraz jechać do pracy, bo okazało się, że Brazyński przyjeżdża dzisiaj do miasta, a reporter, który miał przeprowadzić z nim wywiad, zachorował i ja muszę zająć jego miejsce.

- To wspaniale! - krzyknęła z radością.

- Co? - zapytał skonsternowany.

- Przecież marzyłeś o tym, żeby przeprowadzić wywiad, z którymś z Brazyńskich, a teraz będziesz rozmawiał z samym Jackiem.

- Ale miałem te kilka dni spędzić z rodziną, odpocząć, nacieszyć się wami.

- Ja wiem, ale to dla ciebie ogromna szansa. Chyba nie odmówiłeś?

- Mam dać znać w ciągu dziesięciu minut.

- Idź kochanie. Zajmie ci to maksymalnie kilka godzin, a spełnisz swoje marzenie.

- Nie zostawię tu Darii.

- Czy ty uważasz, że nie jestem w stanie zaopiekować się naszą córką? - zapytała ze złością, ledwo powstrzymując się od gniewu.

- Wiesz, że nie o to mi chodzi skarbie. - zaczął się tłumaczyć zmieszany, gdyż jemu samemu, było ciężko zrozumieć jego postępowanie.

- Wiem. Dlatego ruszysz teraz swój skacowany zad, pojedziesz do domu, przebierzesz się, i zrobisz najlepszy wywiad w historii. Zrozumiałeś? - dodała

stanowczo i z uśmiechem.

- A jak wróćcie do domu?

- Trolejbusem albo taksówką.

- Nie.

- Co nie?!

- Zadzwoń do Rafała. Podjedź po was.

- Zwariowałeś?

- Jemu ufam.

- Lecz się człowieku.

- Inaczej nie jadę. - powiedział stanowczo, poważnie patrząc w oczy żony.

- Ty durniu, zgoda. - odrzekła, uśmiechając się z politowaniem.

- Dziękuję. Kocham cię.

- Ja ciebie też.

Po pośpiesznym pożegnaniu się z córką, żoną i znajomymi, Jan szybkim krokiem, podążał w stronę samochodu, podekscytowany zbieżnością zdarzeń i pomyślnością losu, jakie go spotkały. Z każdą chwilą, odczuwał coraz mniejszy lęk o zdrowie Darii, gdyż praca, była jedyną rzeczą, która w pewnym stopniu, ratowała go od jego niezdrowych myśli.

Jack rozłączył połączenie i wsunął telefon to kieszeni marynarki.

- Coś się stało? - zapytała niepewnie Wiktoria swego męża, którego mina, wyrażała lekki niepokój.

- Nie, nic takiego. Amadeusz powiedział mi tylko, że reporter, któremu miałem udzielić wywiadu zachorował, i musimy przełożyć godzinę spotkania o dwie godziny, aby drugi zdążył się przygotować.

- To świetnie się składa. Zdążymy podjechać do sklepu, żeby kupić jakiś prezent Patrycji.

- Prezent? - zapytał zmieszany.

- Jack... Nasza córka ma dzisiaj urodziny.

- Przepraszam. Jestem ostatnio zabiegany.

- Wiem, rozumiem.

- Zleciłem Amadeuszowi, żeby kupił coś Pati. On jest specjalistą w tych sprawach, to na pewno dobrze wybierze.

- Nawet zakup prezentu dla swojego dziecka, powierzasz temu typkowi?

- Co ty do niego masz? - zapytał z uśmiechem.

- Wiesz, że go nie lubię.

- Wiem, ale nie wiem dlaczego.

- Ja też nie wiem. Nie lubię i już!

- Wy, kobiety. - stwierdził, przybliżając się do żony, i lekko całując ją w czoło.

- Jak bardzo ci na tym zależy, to możemy pojechać do centrum handlowego, i coś wybrać.

- Mówisz poważnie?

- Tak. Ostatnio poświęcałem wam za mało czasu. Przepraszam.

Wiktoria uśmiechnęła się, a jej zwilżone oczy, wpatrywały się radośnie w lekko uśmiechniętą twarz Jacka.

- To ja tylko ubiorę jakiś płaszcz i ruszamy.

- Dobrze. - odparł Jack, obracając się w stronę lustra, w którym po chwili, przyglądał się swojemu ubiorowi, poprawiając profilaktycznie krawat.

Niespełna piętnaście minut później, Jack wraz z żoną, wychodzili z samochodu, na podziemnym parkingu, w jednym z największych centrów handlowych w mieście. Po wejściu do windy, Jack za pomocą telefonu komórkowego, uruchomił usługę Kameleon, dostępną dla ludzi o nieprzeciętnej popularności.

Ów system, był montowany w większości miejscach publicznych, i działał za pośrednictwem kamer.

Jack, z reguły, gdy był już zmuszony, opuścić swój apartament w celach prywatnych, zazwyczaj wybierał miejsca, obsługujące tę usługę.

Kamery w takich miejscach, były dodatkowo wyposażane w rzutniki, które nakładały na osoby, będące użytkownikami usługi, trójwymiarowy render, symulujący wygląd innego człowieka. Lekka powłoka, była bardzo słabo widoczna, i tylko nieprzeciętnie spostrzegawczy człowiek, był w stanie wychwycić iluzję tej technologii. Jednym z minusów, owego luksusu był fakt, iż ludzie, będący pod płaszczem renderu, nie mogli dotykać się nawzajem, nad czym w szczególności, ubolewała Wiktoria, gdyż w momencie nałożenia się renderów, powstawały różnego rodzaju anomalie, ukazujące działanie usługi świata zewnętrznemu.

Jako, iż w Nowym Świecie, kamery bacznie obserwowały każdy centymetr sześcienny większych aglomeracji, komputer sterujący usługą, nie miał zazwyczaj problemów, z obliczaniem kształtu renderu i nakładaniu go w czasie rzeczywistym, na użytkownika usługi.

Zdarzały się sytuacje, gdy program mylił się w obliczeniach, i przez pewien

moment, komuś rośla trzecia ręka, albo miał dwie twarze, ale takie przypadki, zdarzały się na tyle rzadko, że Kameleon cieszył się ogromną popularnością wśród ludzi, którzy chcieli swoją popularność zachować w tajemnicy.

Z zakupionymi prezentami, uradowani Wiktor i Jack, jechali na najwyższe piętro apartamentowca, w którym znajdowało się ich mieszkanie, z widokiem na morze.

W momencie gdy drzwi windy rozsunęły się, oczom ich, ukazała się skacząca z radości Daria, która krzycząc ze szczęścia, zachwycała się małym szczeniakiem, trzymanym na rękach przez Amadeusza, który drocząc się z córką swojego szefa, nie pozwalał jej go dosięgnąć.

- Co tu się dzieje? - zapytała rozdrażniona Wiktor.

- Jaki słodziak. - stwierdził Jack, szybkim krokiem podążając w stronę Amadeusza, i bacznie obserwując białą, puszystą istotę, wiercącą się mu na rękach.

- Dopóki nie nadasz mu imienia, nie mogę ci go wręczyć. - mówił Amadeusz, spoglądając chytrze na Darię, której rozżarzone oczy, śledziły jej nowego przyjaciela.

- Fafik! - krzyknęła po chwili namysłu, a zaraz potem, tuliła w ramionach psa, który nie do końca szczęśliwy, starał się wydostać z silnego ucisku, sprawiającego mu ból.

- Nie tak mocno kochanie, to go boli. - odpowiedział Jack, po czym przywitał się uściskiem ręki i skinieniem głową z Amadeuszem.

- Zobacz kochanie co my dla ciebie kupiliśmy. - wtrąciła Wiktor, starając się zaistnieć w sytuacji.

Daria jakby od niechcenia, spojrzała na sukienkę pokazywaną jej przez mamę, i nieświadoma konsekwencji swojego zachowania, bez pamięci, zaczęła poświęcać swoje zainteresowanie Fafikowi.

Wiktorię przeszył zimny dreszcz, a początkowy smutek, przeobraził się w gniew,

którego katalizatorem miał być mężczyzna, rozmawiający z jej mężem.

- Amadeuszu, mogę cię prosić na chwilę? - zapytała oschle, a Jack spojrzał porozumiewawczo na swojego doradcę z uśmiechem, jakby chciał powiedzieć, że czekają go ciężkie chwile.

Wiktoria i Amadeusz przeszli z wejściowego holu, w którym znajdowały się drzwi do windy, będące jednocześnie drzwiami frontowymi mieszkania, do kuchni, znajdującej się zza ścianą.

- Myślisz, że możesz przychodzić do mojego mieszkania bez zaproszenia i dawać prezenty mojej córce bez pozwolenia?

- Pani Wiktorio...

- Skończ z tymi fałszywymi tytułami. - wtrąciła agresywnie.

- Głupia babo. Po pierwsze, dostałem polecenie od twojego męża, żeby kupić ten urodzinowy prezent, i nie dość, że wynikało to z faktu, iż nie uważał on, że to ty wiesz najlepiej czego pragnie twoja córka, to jeszcze miał rację, gdyż jak wszyscy dobrze widzieliśmy, mój prezent, przyćmił twą, wystylizowaną na kiczowaty bal suknię. Po drugie, marnujesz mój cenny czas, psując jednocześnie magię tej chwili, nie tylko tym, że na siłę starasz się udowodnić, że znasz potrzeby swojej córki, ale jeszcze ściągasz mnie tu, i narażasz moje uszy, na te prymitywne zaczepki, które wynikają z zazdrości, zawiści i niemocy.

- Zniszczę cię. - syknęła.

- Przekonam Jacka żeby cię zwolnił. - dokończyła niemal szeptem.

- Dobrze wiemy, że nie darzymy się sympatią, ale również dobrze wiemy, że nie masz wpływu na Jacka, i prędzej to ja bym przekonał go do rozwodu, niż ty do rozwiązania ze mną umowy.

Wiktoria stanęła oniemiała, zdziwiona bezpośredniością Amadeusza, która mimo iż potwierdzała jej wcześniejsze domysły odnośnie jego osoby, to napełniła ją lękiem,

gdyż zdała sobie sprawę, że ten podstępny typ ma rację.

Po chwili milczenia, obróciła się na pięcie, i szybkim krokiem podeszła do męża, jak gdyby nigdy nic, chodź z trudem hamowała gniew i rozgoryczenie.

- Miłego dnia pani Wiktorio. - niemal krzyknął, uśmiechając się złowrogo Amadeusz, który sięgał do kieszeni po tabakierę, spoglądając na uradowaną rodzinę.

Zauważył, że Wiktoria stara się porozmawiać po cichu o czymś z mężem, lecz on zajęty córką i nowym członkiem rodziny, zbywał ją, nie mając najwidoczniej ochoty na poważne rozmowy.

Po chwili przekroczył próg kuchni, i wchodząc do holu, ruchem ręki, przywołał do siebie Jacka. Gdy ten podszedł do niego, ku zdziwieniu i złości swojej żony, spojrzał nerwowo na zegarek.

- Za pół godziny mamy wywiad z tym redaktorkiem. - stwierdził Amadeusz, dając do zrozumienia, iż trzeba powoli ruszać w drogę, żeby nie wykazać się brakiem profesjonalizmu.

- Ile zajmie nam podróż? - zapytał Jack, niepewnie spoglądając w stronę rodziny.

- Około dwudziestu, dwudziestu pięciu minut.

- A helikopterem?

- Nie ma gdzie wylądować. Musimy jechać limuzyną.

- Niech to szlag!

- Spokojnie. Zajmie to nam maksymalnie dwie godziny, a potem będziesz mógł wrócić do domu.

- Nie można tego przełożyć? - zapytał niepewnie.

- Jack... - burknął Amadeusz, spoglądając pogardliwie na swojego szefa.

Jack wychodząc z limuzyny, rozejrzał się nerwowo na boki, i ku swemu zadowoleniu, nie spostrzegł w swoim otoczeniu hamry ludzi.

Idąc w stronę restauracji, w której miał udzielić wywiadu, przywitał się z paroma przechodniami machnięciem reki i uśmiechem, w odzewie otrzymując to samo. Raz tylko pewien mężczyzna, pokusił się o energiczny okrzyk w jego kierunku, wychwalający Nowy Świat.

Otwierając drzwi do Sofy, jak nazywała się restauracja, której właścicielem był Amadeusz, nozdrza Jacka zaatakował specyficzny zapach tego miejsca, który wydobywał się z kadzideł, porozstawianych tu i ówdzie, w każdym pomieszczeniu.

Usiadł wygodnie w fotelu, i wyczekiwał w milczeniu reportera, spoglądając na drzwi wejściowe.

Amadeusz powędrował na zaplecze pokierować pracownikami, aby ci zadbali o każdy szczegół tego spotkania.

Jan zaparkował samochód w wyznaczonym miejscu. Przetarł spocone czoło chusteczką, wyjętą ze schowka, i spojrzał w swoje niepewne oczy, we wstecznym lusterku.

Świadom swojego nieprzygotowania, denerwował się, że rutynowa improwizacja, może nie wypalić podczas wywiadu, z tak znakomitą osobowością, jaką jest Jack.

Gdy tylko zamknął drzwi od samochodu, pojawiło się obok niego dwóch, potężnej budowy dżentelmenów, którzy nie odstępowali go o krok, dopóki nie wszedł do środka, jednocześnie nie wypowiadając żadnych słów.

Zamykając drzwi, Jan zdołał usłyszeć cichy śmiech, jednego z dwóch ochroniarzy.

Zaczął zastanawiać się, czy aby wszystko jest w porządku, z jego wyglądem, bądź zachowaniem. Po zarejestrowaniu przez mózg, dziwnego zapachu, i oswojeniu się z nim, Jan ujrzał mężczyznę w granatowym garniturze, zbliżającego się szybkim krokiem.

- Witam pana. - przywitał się Amadeusz, wyciągając rękę.

- Witam. Co to za dziwny zapach? - zapytał odruchowo Jan, ostentacyjnie ruszając nozdrzami.

- To nasze specjalne kadzidła, dzięki którym nasza restauracja jest jeszcze bardziej wyjątkowa.

- Ciekawy pomysł. - przyznał.

- Zapraszam za mną. - zaproponował Amadeusz stanowczym tonem, a Jan bezmyślnie podążył jego śladami.

Po chwili znalazł się naprzeciw Jacka, a droga, którą przemierzył przed chwilą, wydawała mu się zagadką, widzianą jakby przez mgłę.

- Dzień dobry panie Janie. - zaczął Jack, zauważając, że młody i niedoświadczony reporter, najwyraźniej poddał się presji czekającego go zadania, i zatoną w myślach, starając się powiązać koniec z końcem.

- Dzień dobry. - odparł niepewnie Jan.

- Piękny wystrój nieprawdaż? - zapytał Jack.

- Specyficzny, ale miły dla oka.

- Miłe dla oka to są pracujące tu dziewczęta. - szepną Jack, spoglądając na Jana spojrzeniem starego zboreźnika.

- Słucham?

- Zaraz pan zobaczy. Właściciel lokaju dba o każdy szczegół, nie pomijając doborowej obsady personelu.

- Zapewne ma pan rację.

- Napije się pan czegoś? - zaproponował Amadeusz, który podobnie ja wcześniej ochroniarze, pojawił się jakby spod ziemi.

- Wody.

- Słucham? - zapytał Amadeusz, po tym jak niedosłyszał cichej i niepewnej odpowiedzi młodzika, siedzącego naprzeciw.

- Poproszę wodę. - powtórzył Jan głośniejszym i pewniejszym głosem.

- Heleno obsłuż gości. - krzyknął, wskazując głową na dwójkę siedzącą przy stole.

- Muszę panu przyznać, że trochę się stresuję. - szepnął Jan do Jacka, w nagłym przypływie odwagi.

- To normalne. Zaraz się pan zrelaksuje.

Jan bezmyślnie spoglądał na notes trzymany w rękach, i usłyszawszy odgłos stukających obcasów o drewnianą podłogę, niemal automatycznie zwrócił wzrok w tamtym kierunku.

Długonoga, lecz niezbyt wysoka niewiasta, odziana w czerwoną spódniczkę, sięgającą trochę ponad kolana i białą koszulę, rozpiętą w taki sposób, iż uwydatniała sporych rozmiarów biust, idąc w jego kierunku, uśmiechała się zalotnie, i lustrując jego sylwetkę swoimi błękitnymi oczami, które wyróżniały się na tle, śniadej cery, kręciła zmysłowo głową, powodując falowanie jej jasnobrązowych włosów.

Kiedy podeszła do stołu, i położyła na nim szklankę z wodą, w taki sposób, iż jej piersi niemal dotykały twarzy Jana, poczuł on momentalny przypływ ciepła, i świeżą dostawę krwi, do dolnych partii ciała. Prostując się, Helena puściła zalotne oczko w stronę Jana, i musnęła delikatnie swoją dłonią, po wewnętrznej stronie jego uda. Odchodząc, ruchem bioder, wprawiała swoje jędrne i kształtne pośladki, podkreślane przez dopasowany krój spódniczki, w ruch, który nie pozwalał Janowi, spuszczać wzroku, z tych dwóch mięśni, które od zarania dziejów, nie wiedząc dlaczego, cieszyły się nieprzeciętnym zainteresowaniem wśród mężczyzn.

Otrząsnąwszy się z transu, Jan rozluźnił krawat, i poczuł wstyd oraz poczucie winy, iż mającą żonę i córkę, nie mógł powstrzymać pożądania, jakim darzył tę nieznaną mu kobietę.

Jack spostrzegł jego zakłopotanie, i chcąc jak najszybciej uratować go z opresji, powiedział.

- Wyborna nieprawdaż?

- Atrakcyjna kobieta, nie powiem, że nie. - odparł niepewnie, nie chcąc kłamać, wiedząc, iż nie da się tego ukryć, że wpadła mu w oko.

- Mnie też na początku onieśmiewały te ich durnowate zabawy, ale taki to już klimat tego miejsca.

- Dlaczego udziela pan wywiadów właśnie tutaj? - zapytał śmiejąc.

- To restauracja mojego przyjaciela, w której czuję się miło i bezpiecznie.

- Dobrze, możemy już zacząć? - zaproponował Jan, otwierając notes i starając się zebrać myśli.

- Oczywiście. - stwierdził Jack, rozsiadając się wygodniej w fotelu.

Jan położył włączony dyktafon na stole, i rozpoczął wywiad.

- Witam. Nazywam się Jan Bakowski, i mam zaszczyt przeprowadzić dzisiaj wywiad, dla portalu Nowe Pomorze, z jednym z najzacniejszych mieszkańców Ziemi, i na pewno, z najzacniejszym mieszkańcem naszego miasta. Z panem Jackiem Bazińskim.

- Witam.

- Od jak dawna mieszka pan w Gdyni, i jak się pan tutaj znalazł?

- Wychowywałem się w Warszawie. Studiowałem na Oxfordzie, a potem na Uniwersytecie Jobsa w Nowym Orleanie. Koniec mojej edukacyjnej kariery, przypadł na Uniwersytet Jagielloński, po którego zakończeniu, w wieku trzydziestu dwóch lat, zająłem się polityką na poważnie, idąc w ślady ojca, dziada i pradziada. Trzy lata później, na wakacjach w Egipcie, poznałem moją żonę Wiktorię, która jest z pochodzenia Gdynianką, i od powrotu z urlopu, zameldowałem się w tym przymorskim mieście, w który zauroczyłem się od razu.

- Czyli można powiedzieć, że to miłość sprowadziła pana do Trójmiasta?

- Mówiąc baśniowym językiem, tak. - zaśmiał się lekko.

- Z reguły nie mówi pan dużo o swoim życiu prywatnym. Mógłby pan nam bardziej zilustrować historię swojej relacji z panią Wiktorią?

- Pomijając pikantne szczegóły, powiem krótko. Natrudziłem się, ale było warto.

- Czy po przeprowadzce do Gdyni zamieszkał pan od razu z żoną?

- Nie chcę być niemiły, ale czy mam przyjemność udzielać wywiadu dla jakiegoś kobiecego grona czytelników, czekającego na miłosne opowiadki z życia sławnych ludzi, czy pracuje pan dla poważnej redakcji, ceniącej sobie rzeczowe informacje?

To pytanie poraziło Jana niczym grom z jasnego nieba. Poczul wstyd i przyznał w duchu, że Jack ma rację, a on nie ma żadnych konkretnych i ciekawych pytań na stanie. Poczul się źle, i doszedł do wniosku, iż osobowości pokroju Jacka, jak dla redaktora o tak krótkim stażu jak on, to za wysoka liga.

- Proponuję przerwę. - zaproponował Jack, wstając z fotela i udając się w nieznany kierunek.

Jan czuł, jak jego życiowa szansa wymyka mu się z rąk, i zamieni się zaraz w życiową porażkę.

Szybko wypił całą zawartość szklanki, po czym wstał energicznie z fotela.

- Przepraszam? - zawołał nieśmiało kobietę, ubraną identycznie jak Helena, i tylko odrobinę mniej atrakcyjną.

- Słucham? - zapytała słodkim głosem, spoglądając zalotnie na Jana, który znowu zaczął się stresować.

- Gdzie jest toaleta?

- Proszę za mną. - zaproponowała kelnerka, idąc w kierunku korytarza.

Jan starając się skupić wzrok na wszystkim innym, co nie było prowadzącą go kobietą, walczył sam ze sobą.

- Proszę. - niemal szepnęła, wskazując drewniane drzwi.

Jan wszedł do elegancko wystrojonej łazienki, i gdy podniósł wzrok, po tym jak opłukał twarz zimną wodą, ujrzał w odbiciu lustra, stojącą za nim Helenę.

Ponownie gorący dreszcz przeszył go od palców u stóp po czubek głowy, aż zaniemówił z wrażenia.

Helena nie czekając długo, przybliżyła się zmysłowo do znieruchomiałego przystojniaka, który najwyraźniej dopasował się w jej gusta, i przytuliwszy się do jego niezbyt masywnych pleców, poczęła rozgniatać na nich swoje jędrne piersi, jednocześnie, ostentacyjnie łapiąc go za utwardzone krocze, i szepcząc przez namiętne jęki.

- Cześć.

Jan stał jak wryty, nie wiedząc co czynić, bo mimo, iż miał niesłychaną ochotę, dać uwieść się tej seksownej niewieście, to myśl o tym, że ma żonę i dziecko, hamowała go od tego niecnego występu. Bezwładnie dał się obrócić, a po chwili jej wilgotne i słodkie usta, złączyły się w namiętym pocałunku z jego.

Chwilę później, choć z punktu widzenia Jana, cała ta sytuacja nie trwała dłużej niż sekundę, Helena siedziała na zlewie, obejmując go nogami, i w samym staniku,

starala się rozpiąć klamrę u jego spodni. Niezbyt broniący się, aczkolwiek molestowany mężczyzna, ocknął się w końcu z transu, i odepchnąwszy od siebie napaloną kobietę, krzyknął z oburzeniem.

- Co pani wyrabia?!

- Cicho kotku, bierz mnie puki jest czas. - syczała uwodzicielsko, starając się go pocałować, i nie próżnując rękoma, którymi zwiedzała intymne części jego ciała.

- To obrzydliwe! Mam żonę i córkę!

- To dlaczego ci stanął? - zapytała z udawaną, urażoną miną.

- Bo... - zawahał się.

- Bo mnie chcesz.

- Nie! - krzyknął przerażony, gdyż okazało się, że Helena ma rację.

Wyrwał się z jej kleszczy i nerwowo wyszedł z toalety, poprawiając wygniecione ubranie.

Wchodząc do korytarza, ujrzał stojącego Amadeusza, który uśmiechając się złowrogo, obserwował go badawczo.

Zmieszany Jan, wyczuwając podtekst w dziwnej minie mężczyzny, minął go szybko ze spuszczonym wzrokiem, nie komentując sytuacji.

- Energiczna jest prawa? - zagadnął Amadeusz z drwiną w głosie.

- Słucham? - zapytał Jan, odwracając się niechętnie.

- Dobra z niej suka.

- Słucham? - powtórzył pytanie, oniemiały bezpośredniością i wulgarnym słownictwem, które nijak miały się do eleganckiego wyglądu Amadeusza.

- Za pierwszym razem pozwala na dużo, ale szybko się nudzi. Co nie zmienia faktu, że to jedna z najlepszych moich dziewczuch.

- Nie wiem o czym pan mówi. Do niczego między nami nie doszło. - zaczął się tłumaczyć, licząc w głębi ducha, że śni.

Zaraz po tym, z toalety, chwiejnym krokiem, z roztrzepanymi włosami, wyszła Helena, poprawiając podciągniętą niedawno sukienkę, i zapinając rozpiętą jeszcze koszulę.

- Dziękuję kochasiu. - powiedziała do Jana, puszczając zalotne mrugnięcie.

- Ale... - starał się wtrącić Jan.

- Spokojnie, żona się nie dowie. - zaśmiał się Amadeusz, klepiąc przechodzącą obok niego Helenę w lewy pośladek.

- Ale tutaj do niczego nie doszło! - krzyknął Jan z rozżaleniem.

- Nie? - zapytał drwiąco Amadeusz.

- Nie pieprzyłem tej kurwy jeżeli o to ci chodzi!

- Nie? Nagranie mówi co innego.

- Jakie nagranie?

- Proszę za mną.

Jan niepewnie zaczął iść śladami Amadeusza i Heleny, bo mimo, iż z całych sił, pragnął wyjść z tej restauracji i wrócić do domu, to chciał utwierdzić się w przekonaniu, że pozostał wierny wobec żony.

Wchodząc do ciemnego pomieszczenia, ujrzał stolik, na którym stał niewielki monitor. W rogach pokoju, znajdowały się duże kadzidła, uwalniające spore ilości

dymu, o specyficznym zapachu, unoszącym się w całym budynku. Najbardziej niepasującym elementem wystroju, była czerwona kanapa stojąca pod jedną ze ścian.

- Chodź, zobaczysz. - zaproponował Amadeusz, wskazując dłonią monitor, a stojąca naprzeciw niego Helena, pieściła się, wkładając rękę pod spódniczkę, i zarysowywała krawędzie monitora, stojącego między nimi, swoim szpiczastym językiem, spoglądając zalotnie na Jana, który z niedowierzaniem i niepewnie, podążał w ich kierunku.

Pełen obaw, przysunął twarz do monitora, i ujrzał nagranie, na którym Amadeusz, w barbarzyński sposób, zaspakaja wszystkie, nieczyste pragnienia Heleny, przy dźwiękach mocnej, elektronicznej muzyki. Wpatrywał się w ów niesmaczny obrazek jak zahipnotyzowany, i gdy chciał powiedzieć, że to nie on jest na tym nagraniu, po raz kolejny poczuł dłoń Heleny na swoim kroczu, a po chwili do jego uszu, doszedł zmysłowy głos wydobywający się z jej ust, znajdujących się przy jego uchu.

- Wiem, że też tego pragniesz. - wszeptła wzdychając, jednocześnie głaszcząc jego kark ciepłym oddechem.

Jan resztę pobytu w tym pokoju pamiętał jak przez mgłę.

Rozpalona twarz Heleny, jej nagie, wilgotne od potu ciało, oraz światło wydobywające się z lampy, umieszczonej na kamerze, trzymanej przez mężczyznę, spowitego przez mrok, mieszały się z niewyraźnymi wspomnieniami, przypominającymi sen o Julii i Darii, z którymi beztrąsko cieszył się zabawą na plaży.

Po chwili obudził się spocony na czerwonej kanapie, przeszywany zimnymi dreszczami.

Rozejrzał się dookoła, i zdał sobie sprawę, że znajduje się w pokoju, o którym przed chwilą śnił.

Wstał skonsternowany, i począł niepewnie zmierzać w stronę drzwi. Z głośników monitora wydobywała się elektroniczna muzyka, a kadzidła stojące w rogach, tliły się nieśmiało jakby niedawno zgaszone, porcją zimnej wody. Jan przystanął na chwilę, i

zaczął kręcić karkiem, niwelując lekki ból, który z reguły następuje po śnie, w niezbyt komfortowych warunkach.

W tym momencie, drzwi pokoju otworzyły się, a w progu ukazała się Helena, z miską wypełnioną wodą, i z ręcznikiem w ręku.

- Już pan wstał? - zapytała grzecznie i z troską w głosie.

- Co się stało? - zapytał, dostrzegając zmianę w zachowaniu Heleny, co wcale go nie pocieszyło, a wręcz nappełniło go większym zwątpieniem, gdyż poczuł się jeszcze bardziej zdezorientowany.

- Źle się pan poczuł, i dlatego położyliśmy pana tutaj, aby mógł pan odpocząć.

- Źle się poczułem?

- Tak. Otóż chodzi o kadzidła rozpalane w naszej restauracji. Niektórzy źle reagują na ten rodzaj ziół, przez co miewają senności, mdłości, a w niektórych przypadkach, nawet halucynacje.

- Długo mnie nie było? - zapytał z uśmiechem, czując ulgę, kiedy zaczęło docierać do jego świadomości, co przed chwilą miało miejsce.

- Około czterdziestu pięciu minut. Proszę. - powiedziała Helena, podając Janowi misę z wodą oraz ręcznik, których to Jan niezwłocznie użył, do przemycia zmęczonej twarzy.

- Czy pan Baziński jest jeszcze obecny? - zapytał niepewnie po chwili relaksu, i z lekką nutką grozy w głosie.

- Tak. Bardzo się przejął pana wypadkiem i postanowił na pana poczekać.

- To bardzo miło z jego strony. - stwierdził, po czym wraz z Heleną, udał się do głównego holu, gdzie miał kontynuować najważniejszy wywiad swego życia.

Po drodze został zagadnięty przez Amadeusza, stojącego za barem, który

przyjacielskim ruchem ręki, przywołał go do siebie.

Jan zawahał się przez chwilę, lecz ruszył w jego stronę.

- Proszę, na koszt firmy. - powiedział, podając Janowi szklankę z sokiem.

- Dziękuję. - odparł szczerze Jan, i wziął duży łyk napoju, zaspakajając pragnienie, które męczyło go odkąd wstał z kanapy.

- Chciałby najmocniej pana przeprosić za tę sytuację z kadzidłami. Bardzo niewiele ludzi źle je znosi, dlatego do głowy mi nie przyszło, że może być pan jedną z nich. Co oczywiście w żadnym stopniu, to mnie nie tłumaczy, dlatego mam nadzieję, że zechce pan przyjąć ode mnie, w ramach przeprosin, tę kartę platynowego klienta, która pozwoli panu, oraz pana osobom towarzyszącym, bezpłatnie i dożywotnio korzystać z usług świadczonych przez moją restaurację.

Jan nieśmiało wziął do ręki kartę, wręczoną mu przez Amadeusza, i w głębi ducha pomyślał, że ten kilkuminutowy koszmar, był wart tej karty, i koniec końców wyszedł na plus.

- Dziękuję panu bardzo. - powiedział Jan, i żegnając się uniesieniem szklanki ku górze, zaczął iść w stronę Jacka, siedzącego w pomieszczeniu obok.

- Mogę panu zająć jeszcze chwilkę? - zaproponował nieśmiało Amadeusz.

- Oczywiście. - odparł Jan, który w rzeczywistości niezbyt chętnie zmienił azymut swojego marszu.

- Wiem, że nie jest pan zbyt doświadczonym redaktorem, a ten wywiad może okazać się punktem zwrotnym w pana kwitnącej karierze, dlatego pozwoliłem sobie przygotować panu, po dobrej znajomości, zestaw pytań, które moim zdaniem, mogłyby urozmaicić ten wywiad, tak wyczekiwany przez czytelników.

- Dziękuję, być może skorzystam. - odparł oschle Jan, biorąc notes w rękę, i szybszym, niż wcześniej krokiem, podążając w stronę Jacka, jednocześnie wyklinając w myślach tego aroganckiego gbura, który śmiał wątpić w jego umiejętności

redaktorskie, choć sam nie miał z tym tematem nic wspólnego, gdyż zarządzał restauracją, co było zupełnie inną profesją.

- Chyba się nie zrozumieliśmy. - kontynuował Amadeusz.

- Słucham? - zapytał Jan, tracąc pewność nie tylko w głosie, ale również na umyśle.

- Chyba nie zapomniał pan o tym? - zapytał Amadeusz, machając delikatnie, trzymaną w ręce płytą, i uśmiechając się złowrogo, jednocześnie ukazując swoje prawdziwe oblicze, które przeszło Jana strachem, i dokładnym przypomnieniem ostatnich wydarzeń, które ku jego niezadowoleniu, nie były koszmarem, tylko najprawdziwszą rzeczywistością.

W pierwszej chwili, Jan chciał rzucić się na Amadeusza z pięściami, i wyrwać mu z rąk tę płytę, jednocześnie objając mu twarz, za to co mu zrobił, ale po chwili, zdał sobie sprawę, że jest na przegranej pozycji, po czym poczuł się słabo, i ledwo stojąc na nogach, myślał, że zaraz zwymiotuje.

- Przeprowadzi pan wywiad zgodnie z przygotowanymi przeze mnie wytycznymi, bo inaczej żonka i córka zobaczą jak wygląda pańska praca od kulis.

Jan nie był już pewny niczego, i zaczął tracić przytomność, gdy nagle, pojawiła się przy nim Helena, i łapiąc go pod pachę, szepnęła mu do ucha, dobrze dla niego znanym tonem.

- Byłeś całkiem niezły kotku.

Jan w milczeniu stanął równo na nogi, i począł iść w stronę Jacka, a po chwili siedział naprzeciw niego, z notesem w ręku.

- Dobrze się pan czuje? -zapytał troskliwie Jack.

- Tak, dziękuję.

- He, kto by pomyślał, że można w taki sposób zareagować na kadzidła. - starał

się rozluźnić sytuację Jack.

- Możemy przejść do wywiadu? Straciliśmy już dzisiaj dość czasu.

- Ależ oczywiście. - odparł Jack, zdziwiony lekko smętnym podejściem redaktora.

Jan przez chwilę wpatrywał się milcząc w notes, a myśli wirowały w jego głowie, z niespotykaną u niego dotychczas prędkością.

Dzień, który wydawał się, jednym z najlepszych w jego życiu, i szansa, którą jak myślał, dostał od losu, okazały się nie tylko utraceniem świętości redaktorskiej wolności, która to motywowała i inspirowała go najbardziej, w wykonywanym przez niego zawodzie, ale dodatkowo, złamaniem przysięgi, którą złoży własnej żonie. Jakby tego było mało, uświadomił sobie, że człowiek który był autorytetem dla niego, i całej ludzkości, w rzeczywistości nie był tym, za kogo się podawał.

Czuł, jak cały świat, posypał mu się w gruzy, i to w dzień, w którym miał stworzyć nowy fundament, pod lepsze jutro.

Chciał jak najprędzej odebrać sobie życie, ale myśl o reakcji Julii i Darii, na wieść o jego samobójstwie, powstrzymywała go od czynu, który jako jedyny, miał mu przynieść ukojenie.

Jan w tym momencie, poznał na własnej skórze, pojęcie przekleństwa, czyli sytuacji, w której musiał wybierać pomiędzy opcją złą i jeszcze gorszą.

- Zaczynamy? - zaproponował Jack, wyrywając młodego redaktora z zamyślenia.

- Tak. Proszę mi powiedzieć, jak zareagował pan na wieść o śmierci Toma Rangryego? - odparł zwięźle Jan, po czym rozpoczął wywiad, zgodnie ze wskazówkami z notatnika Amadeusza.

Wychodząc z restauracji, Jan czuł obrzydzenie do własnej osoby, i zastanawiał się, czy będzie w stanie spojrzeć sobie w oczy, po tym co go spotkało, i jak się zachował. Mimo, iż wiedział, że był w sytuacji bez wyjścia, cały czas czuł się winny, oraz bał się powrotu do domu.

Wchodząc do samochodu, uchylił okno, i odpalił jednego z papierosów, które palił tylko w kryzysowych sytuacjach. Zdawał sobie sprawę, że niepełna paczka, którą woził niemal rok, nie wystarczy mu do końca tego dnia, przez co pojechał w stronę stacji, zaopatrzyć się w odpowiedni zapas, zwiniętego w bibułkę tytoniu z filtrem.

Rozdział 5

Minął niecały miesiąc, odkąd Cloe, w niezbyt dobrych okolicznościach, rozstała się z TiBiTem, pod drzwiami wejściowymi swojego bloku. Mimo, iż starała się zamaskować, przed samą sobą smutek, który ją ogarniał, płaszczem iluzorycznego szczęścia, czerpanego z poświęcenia się dla pasji, i z owego poświęcenia efektów, zauważyła, że od tamtego czasu, jej prace, stały się bardziej mroczne i refleksyjne. Na samym początku, gdy nowy trend pojawił się w jej twórczości, nie zastanawiała się nad źródłem zmian, lecz zachwycała się ich jakością, oraz treścią w nich zawartą.

Pewnego dnia, gdy sfotografowała gołębicę, wpatrującą się w martwego ptaka, tego samego gatunku, leżącego pod drzewem w parku, wydawało jej się, że w mimice żyjącego ptaszyska, można było ujrzyć żal, smutek i poczucie winy. Miała wrażenie, że gołębica, która ruchem swojej małej główki, w histeryczny sposób, próbuje obudzić swojego kompana ze snu śmierci, nie tracąc złudnej nadziei, na jego powstanie, chce go przeprosić.

Przez moment, wpatrywała się w bezruchu na ptaki, nie chcąc wystraszyć roztrzepanej emocjonalnie gołębicy. Po chwili, poczęła skradać się najdelikatniej jak tylko mogła. Starając się zwiększyć skuteczność cichego chodu, była zdolna do poświęceń, o czym dała znać, ściągając buty, i boso stąpając po wilgotnej trawie.

Zbliżywszy się na tyle blisko, aby poczuć woń, wydzielaną przez truchło martwego ptaka, Cloe zauważyła, że gołębica, jakby ze złością, patrzy w jej stronę, a z jej małych, ptasich oczu wyczytała nienawiść i zarzut, kierowane w jej kierunku. Początkowo brała pierwsze odczucie za absurdalne, lecz spojrzawszy na martwego ptaka, przez ułamek sekundy, jej oczom ukazał się TiBiT, który desperacko stara się przekonać ją, do poświęcenia pasji, dla obopólnego szczęścia, w które ona za nic nie chciała uwierzyć.

Po tej krótkiej wizji, która zaatakowała umysł Cloe z zaskoczenia, myśli zaczęły jej wirować w głowie z prędkością i chaotycznością huraganu. Zaczęła zastanawiać się, jaki związek mogą mieć te dwa gołębie, z jej życiem, i sytuacjami z nim związanymi.

Czy to umysł nasuwa jej takie, a nie inne skojarzenia, gdyż czuje poczucie winy względem przyjaciela, który nie chciał jej uczynić krzywdy, czym ona, odpłaciła mu bolesną raną, czy być może świat zwierząt i wszystkiego co żywe dookoła prócz ludzi, jest w jakiś sposób zależnie powiązany, z bytem jej i każdego człowieka stąpającego po Ziemi, która również jest częścią większego układu, który ma wpływ na losy ludzi?

Od razu zaczęła się zastanawiać nad naturą instynktu u zwierząt. Jak to jest, że ptaki nie kończąc szkół, uniwersytetów, mimo to wiedzą, dokąd udać się, gdy na zamieszkałych przez nich terenach, nastają warunki klimatyczne, uniemożliwiające im byt? Skąd wiedzą, że niesprzyjające okresy w ogóle nadchodzą, skoro nie używają kalendarzy, zegarów oraz nie mają pojęcia o meteorologii? Co kieruje nimi, iż lecą w kierunku wysp, które znajdują się w ich zasięgu, a nie nad otwarty ocean, aby po kilkudniowym locie, spaść całym stadem bez sił, w słone wody, ku uciechu drapieżnych ryb?

Mało prawdopodobna wydawała się hipoteza, iż pewnego dnia, pewien ptak, poleciał na poszukiwanie lepszego świata, i po odkryciu przyczółku, w którym on sam, jak i jego stado, mogliby przekocować zimę, wrócił z dobrymi wieściami do swoich braci i siostr, którzy w przyływie radości, poczęli wesolutko skakać z łapki na łapkę, machając rytmicznie skrzydłami i przekazując lokalizację rajów z pokolenia na pokolenie, po dziś dzień.

Przypominając sobie fragmenty programów przyrodniczych, utwierdzała się tylko w przekonaniu, że świat zwierząt jest pełen zachowań, których nie da się racjonalnie wyjaśnić, a mają one w jakimś stopniu, odzwierciedlenie w ludzkiej rzeczywistości.

Kolejną myślą, która nawiedziła jej młody i skonsternowany umysł, było źródło wiedzy starożytnych, wliczając w to tęgie umysły wysoko rozwiniętych, pradawnych cywilizacji, jak i dzikich szamanów, czy prostych ludzi.

Jak to możliwe, że w dżungli, w której rośnie kilkanaście tysięcy gatunków roślin, człowiek, który nie potrafi nawet czytać i pisać, był w stanie ustalić skład, proporcje oraz sposób przygotowania, skomplikowanych i pracochłonnych mikstur leczniczych, czy trucizn, ułatwiających polowanie? Skąd prosty farmer na afrykańskim stepie, był w stanie przyrządzić wysokoprocentowy trunek, do którego

stworzenia, wymagana jest wiedza nie tylko z zakresu chemii, ale również fizyki? Czy możliwe, że przez czysty przypadek, budowniczości piramid, zaprojektowali je tak, iż jedna para przeciwległych narożników, idealnie wyznaczała południk? Jak ludzie żyjący w tamtych czasach, byli w stanie obliczyć taką, jak i mnóstwo innych zależności geograficznych oraz astrologicznych, i zastosować je w architekturze, nie posiadając specjalistycznego sprzętu oraz wiedzy, jakie są dostępne dzisiaj?

Najdziwniejszym elementem, tego nagłego i przytłaczającego rozmyślania, był wpływ księżyca na ludzkie zachowanie, oraz ich organizm. Zwłaszcza mityczna pełnia, podczas której część ludzi, ma nie tylko problem ze snem, ale również jest zdolna zachowywać się inaczej, niż podczas normalnego dnia czy nocy.

Ogrom myśli i fakt, iż jej wiedza w tym temacie jest znikoma, co nie tylko ją zasmuciło, ale również napełniło wstydem, spowodowały, że poczuła się słabo, i po odwróceniu wzroku od ptaków, skierowała spojrzenie ku ławce stojącej nieopodal.

Usiadła, leniwie opierając, nie wiedząc czemu zbolące, plecy o drewniane oparcie.

Wpatrując się bezmyślnie w żwirową dróżkę, przebiegającą nieopodal, starała się uwolnić swój umysł od niechcianych myśli.

Ogniste słońce, poczęło leniwie wyglądać, zza depresyjnych chmur, uwalniając stopniowo promienie, które zaczęły delikatnie muskać twarz Cloe, rodząc na niej nieśmiały uśmiech. Poczuła ulgę, czując ciepło na skórze, i gdy była już niemal pewna, że przytłaczające myśli opuszczają jej głowę, okazało się, że kolejnym aspektem otaczającej jej rzeczywistości, który nie pozwalał jej zapomnieć o wcześniejszych rozterkach, było, jak na złość, źródło teraźniejszej ulgi i radości, które powoli zaczęły zanikać.

Słońce... Źródło życia, bez którego większość organizmów na Ziemi, nie byłaby w stanie przetrwać.

Czy prawdą jest, iż depresja, wynikająca z niedoboru słońca, która jest najczęściej spotykana w miejscach zazwyczaj pochmurnych, bądź nawiedzanych przez noc polarną, jest rzeczywiście spowodowana wyłącznie niedoborem witaminy D, którą to organizm wytwarza, kiedy ma styczność z promieniami słonecznymi? Skoro by tak

było, to dlaczego medykamenty antydepresyjne stosowane kiedyś w medycynie powszechnej, nie były wyłącznie z witaminy D, i nie miały stuprocentowej skuteczności? Być może słońce, i energia wysyłana z jego wnętrza, nie jest możliwa do opisanego przez człowieka w naukowy sposób, a mimo to, ma ogromny wpływ na nasze życie, z czym wypadałoby się pokornie pogodzić, zamiast pysznie brnąć w teorie, które tylko pozornie mają sens.

Jeżeli okazałoby się to prawdą, to czy można powiedzieć, że ludzie są wolnymi istotami, niezależnymi od nikogo i niczego, kierującymi się jedynie własną wolą, świadomością i sumieniem?

Zatrważającym jest fakt, iż ludzie podlegają wpływom różnych czynników, na które oni sami nie mają wpływu. Skoro więc, są zależni od czegoś, na co sami wpływu nie mają, nie ma żadnej podstawy, aby nazwać ich istotami wolnymi.

Przed oczami Cloe, ukazały się przemówienia, artykuły, filmy oraz rozmowy, podczas których poruszany był motyw wolności jednostki ludzkiej wobec świata, i otaczającej jej społeczności. Wszystko to wydawało się jej patetyczne i pozbawione sensu, jak w marnym serialu, który miło ogląda się przy niedzielnym obiedzie, lecz nie zwraca się szczególnej uwagi na to, co dzieje się na ekranie.

Chwilowa ulga, przeistoczyła się w jeszcze większe zakłopotanie, a Cloe marzyła już tylko o jednym. Mianowicie, marzyła by beztrąsko wylądować w ramionach TiBiTa, przy którym cały ten absurd, straciłby jakiekolwiek znaczenie, uwalniając ją od niechcianych myśli.

Radując się na myśl, że za niedługo czas, spotka się z tym, który miał spowodować ukojenie dla jej umysłu, gdyż nie zakładała opcji, że ów jegomość, w przypiływie złości i rozgoryczenia, każe jej odejść jak najdalej, wpatrywała się w słońce, które w pełnej krasie, widniało na błękitnym niebie, oślepiając swojego obserwatora dość skutecznie.

Po chwili, oprócz bolesnego blasku, Cloe poczuła drgania, usłyszała donośny huk, niepodobny do żadnego dźwięku, jaki kiedykolwiek miała okazję usłyszeć w swoim krótkim życiu, a zaraz potem, leżała na żwirowej drodze, zmieciona z drewnianej ławki, przez potężny podmuch energii, w pewnym stopniu przypominającej silny wiatr.

Kiedy obolała podniosła głowę, podpierając się na łokciach, skierowała swoją umazaną kurzem twarz w stronę ogromnego atomowego grzyba, który pojawił się na horyzoncie.

Pustkę w głowie, która niczym skrytobójca, zaatakowała jej umysł, przerwał kolejny huk, ogłaszający miastu, iż następny grzyb wyrasta na jego obrzeżach, siejąc w swoim otoczeniu zniszczenie.

Stanąwszy na równe nogi, poczęła obracać się dookoła, i z lekko rozwartymi ustami, podziwiać w przerażeniu, trzy atomowe grzyby, majestatycznie wznoszące się w miejscach, gdzie przed chwilą, znajdowały się elektrownie jądrowe.

Maks idąc ulicami miasta, z radością wypisaną na jego młodej twarzy, zachwycał się każdą błahostką napotkaną na swej drodze. Tego dnia, on jak i wybranka jego serca, mieli uczcić w wyjątkowy sposób, miesięcznicę dnia, w którym zamieszkali razem pod jednym dachem.

Owa inicjatywa wyszła od Maksa, i to w pierwszy dzień ich poznania, gdy podczas przygotowywania kolacji w jego mieszkaniu, doszedł do wniosku, iż jako jest pewien, że to jest ta dziewczyna, z którą chce spędzić resztę życia, nie ma najmniejszego sensu, zwlekać ze wspólnym wynajmem mieszkania, gdyż taka sytuacja jest nieunikniona, a szkoda byłoby marnować czas. Ku jego radosnemu zdziwieniu, Samanta nie kazała namawiać się zbyt długo, i tej samej nocy, uległa namowom swojego ukochanego.

Tydzień poprzedzający ich wyprowadzkę, spod skrzydeł rodziców, spędzali to u niej to u niego, ku uciechu seniorów, kosztem własnych potrzeb, które przeistoczyły się w narzekania, na brak intymności, która w owej chwili, była bardzo potrzebna dwojgu zakochanym.

Jakże byli zadowoleni, gdy we własnym mieszkaniu, przypieczętowali swój związek oraz nowy etap w życiu.

Mieszkało im się razem świetnie, i byli dumni ze swojej śmiałej decyzji, której następstwem miał być kolejny krok, do udoskonalenia ich jestestwa, czyli

potomstwo. Mimo, iż wszystko działało się w zatrważająco szybkim tempie, co momentami przytłaczało ich na chwilę, od tygodnia, świadomie starali się o dziecko.

Maks był w trakcie kończenia pracy magisterskiej, a Samanta nie przejmowała się utrudnieniami w studiowaniu, wynikającymi z ciąży, gdyż ówczesny system edukacji, był świetnie dopasowany do ciężarnych kobiet.

Mimo wielkiego ryzyka jakie podejmowali, byli pewni swego, i z całych sił, pragnęli spełnić swoje marzenia, a doping rodziców, którzy na wieść, iż za niedługi czas, zostaną dziadkami, niemal omdleli ze szczęścia, motywował ich do działania.

Maks wchodząc do mieszkania, zarejestrował uszami muzykę, wydobywającą się z sypialni.

Wkradając się po ciuchu, ujrzał Samantę, wpatrzoną w ekran monitora, i w skupieniu badającą tekst na nim wyświetlany.

Nachyliwszy się nad nią, ucałował delikatnie jej chłodny policzek, powodując chwilowy strach we wnętrzu zaskoczonej niewiasty.

- Cześć kochanie. - szepnął w końcu z uśmiechem, wpatrując się w błękitne oczy, w których strach, momentalnie przemienił się w radość i ulgę.

- Cześć. - odrzekła, nie pozostając dłużną Maksowi w kwestii pocałunku.

- Co tam tak czytasz? - zapytał, po czym delikatnie usunął Samantę z fotela, i zajął jej miejsce, jednocześnie umieszczając ją na swoich kolanach.

- Pierdoły na studia, nic ciekawego. - odrzekła uradowana, patrząc raz na monitor, raz na Maksa.

- Oczy cie nie bolą? - zapytał z troską.

- No trochę już tak.

- Zarządzam przerwę. Chodź na balkon. - zaproponował.

Stojąc na balkonie, rozglądali się po panoramie miasta, która była świetnie widoczna z ich balkonu, znajdującego się na czternastym piętrze wieżowca, w którym wynajmowali mieszkanie. Stojąc w ciszy, wtuleni w siebie, delectowali się chwilą, mrużąc jednocześnie oczy, nachalnie bombardowane przez promienie słoneczne.

- Czy mówiłem ci, że cie Kocham? - zapytał żartobliwie Maks, patrząc się przed siebie.

- Codziennie. - odpowiedziała Samanta, i wtuliła się mocniej w ramię swojego mężczyzny.

Tę spokojną i romantyczną chwilę, przewał dzwonek domofonu.

Maks z lekkim poirytowaniem, począł zmierzać w kierunku drzwi, a Samanta nie chcąc stać w samotności na balkonie, podążyła jego śladem. Mijając salon, przyozdobiony mnóstwem szklanych ozdób, na których hopla miała Samanta, usłyszeli ogłuszający huk, a po chwili, przez okna zaczęły wdzierać się błyski białego, oślepiającego światła, które skutecznie pozbawiło wzroku, dwójkę spoglądającą odruchowo za siebie.

Ogłuszony oraz oślepiony Maks, stał w bezruchu, i dopiero, gdy poczuł na ciele kawałki szkła, przecinające mu skórę, począł histerycznie szukać po omacku dłoni Samanty. Po chwili, fala uderzeniowa rzuciła nim o ścianę, i zanim stracił przytomność, po tym jak uderzył z ogromną siłą, głową o betonową powierzchnię, jego uszu, dobiegł krzyk przerażenia, a umysł napęłnił się niespotykanej wcześniej skali strachem, który urodził się z obawy o zdrowie ukochanej.

- Maks! - krzyczała Samanta, niesiona przez potężną siłę.

Jack w pośpiechu, zbierał się do wyjścia z restauracji Amadeusza. Pożegnawszy się rzeczowo, niemal wbiegł do limuzyny, i rozkazał szoferowi wracać do domu.

Zasmucony faktem, iż przez swoje obowiązki zaniedbuje rodzinę, starał się usprawiedliwić faktem, iż jego działalność, która to była powodem niewywiązywania

się przez niego z rodzinnych obowiązków, przyczyni się do obrazu rzeczywistości, w której owa rodzina miała szansę bytu. Czyli w jakieś mierze, przyczynił się do jej szczęśliwego funkcjonowania i rozwoju.

Nie do końca przekonany samoobroną, spoglądał z utęsknieniem na ulice, przemykające w oknie samochodu.

Z niemiłego zamyślenia, wytrącił go dźwięk dzwonka na zegarku, który wisiał na złotej bransolecie, kilka centymetrów nad prawym nadgarstkiem.

Odebrał służbowy telefon, i ku jego niezadowoleniu, po drugiej stronie usłyszał głos swojego doradcy.

- Szefie, mam nie najlepsze wieści. - rzekł poważnie Amadeusz, a jego głos, rozchodził się po całym samochodzie.

- Co się stało? - zapytał Jack z przestrawieniem w głosie, gdyż zdawał sobie sprawę, że ton Amadeusza, nie oznaczał niczego pozytywnego.

- To nie jest rozmowa na telefon Jack.

- Mów, szofer i tak nic nie słyszy zza wygłuszającego szkła.

- Nie, Jack. To sprawa największej wagi.

- Mów o co chodzi do cholery! - krzyknął Jack z roztargnieniem.

- Musimy się spotkać.

- Przecież przed chwilą od ciebie wyjechałem!

- Wiem, ale przed chwilą dowiedziałem się o pewnych zajściach, które wymagają pańskiej reakcji.

- Gdzie i kiedy? - zapytał Jack zasmucony, gdyż czuł, że tego wyjątkowego dnia, nie spędzi z rodziną.

- Proszę przyjechać do mojej restauracji najprędzej jak to tylko możliwe.

- Dobrze.

- Jack, muszę ci coś powiedzieć.

- Słucham.

- Niestety będę nieobecny, ale przyjmie cię mój zaufany przyjaciel.

- Co?! - krzyknął z niedowierzaniem.

- To bardzo skomplikowana sprawa Jack.

- Kto to jest?!

- Nazywa się Igor Waljenko.

- Kto to taki? Nie znam go.

- Proszę mi zaufać. Znam go od kilku lat, i proszę mi wierzyć, że gdyby sytuacja nie była najwyższej rangi, to nigdy bym nie dopuścił do takiej sytuacji.

- To dlaczego mi wcześniej o nim nie wspomniałeś? - zapytał Jack rażony piorunem strachu, gdyż uważał, że wie wszystko o Amadeuszu, tak jak on o nim.

- Bo nie było okazji.

Po tych słowach zapadała chwilowa cisza.

Jacka przeszywała niepewność, i po raz pierwszy, odkąd poznał Amadeusza, zaczął się zastanawiać, czy dobrze zrobił, obdarzając go stuprocentowym zaufaniem.

- Frank! Zawracaj do Sofy. - powiedział po chwili namysłu, trzymając palec na żółtym guziku w drzwiach.

Niemal od razu, limuzyna zmieniła azymut, i jeszcze szybciej niż dotychczas, poczęła jechać w stronę restauracji.

Zdenerwowany Jack, energicznie przekroczył próg miejsca spotkania, obojętnie przechodząc obok ochroniarzy, po czym zasiadł za stołem, przy którym zazwyczaj odbywały się jego spotkania. Obsłużony pośpiesznie przez kelnerki, w zniecierpliwieniu wyczekiwał Igora, nerwowo obserwując wskazówki, poruszające się na tarczy zegara.

Wnet, do pomieszczenia wszedł mężczyzna identycznie ubrany jak Amadeusz, i gdyby nie spora różnica wieku, pomiędzy tą dwójką, mógłby ich ze sobą pomylić na pierwszy rzut oka.

Igor usiadł naprzeciw niego, i z zimną powagą, położył na blat stołu plik dokumentów.

- Co to takiego? - zapytał zgryźliwie Jack, wpatrując się w młodzieńca, od którego bił niezrozumiały chłód.

- Proszę to podpisać. - niemal zażądał Igor, wpatrując się w Jacka z takim wyrazem twarzy, iż ten poczuł niewytłumaczalną wyższość tego młodzika nad sobą.

- Co to jest? - powoził pytanie, pocąc się lekko.

- Są to dokumenty wprowadzające w życie nowy system administracyjno-polityczny na terenach objętych Projektem Orion.

- Jak to? Czego się tyczą? - wydukał nerwowo Jack, popijając schłodzoną wodę ze szklanki.

- Pozwoli pan, że wyjaśnię. Otóż owe dokumenty, nakazują wszystkim państwom świata, na odwołanie swoich lokalnych władz, na rzecz nowego, światowego rządu, na którego czele stanie pan.

- Nie rozumiem.

- Dobrze pan rozumie.

- Przepraszam. Czy chce mi pan powiedzieć, że podpisując te dokumenty spowoduję rozwiązanie rządów wszystkich państw świata na rzecz powołania nowej struktury administracyjnej zarządzającej całym globem?

- Nie tylko.

- Jak to?

- W owych dokumentach widnieją również zapiski odnośnie ponownego utworzenia regularnej armii, która będzie stała na straży nowo powstałego rządu.

- Nie rozumiem.

- Czy jest pan na tyle głupi, że muszę w prosty sposób powiedzieć panu co mam na myśli?

- Najwidoczniej tak. - stwierdził niepewnie, czując nie tylko ogromny niepokój, ale również złość.

- Zatem tłumaczę. Ustaliliśmy...

- Ustaliliśmy? - wtrącił Jack ze złością.

- Tak. My, ale nie my wraz z panem.

- Jacy my?!

- Nie jestem upoważniony do udzielania panu takich informacji. Czy pozwoli mi pan kontynuować?

- Proszę. - odparł zrezygnowany Jack, czując że wszystko wymyka mu się spod kontroli, i marząc w duchu, że to wszystko mu się tylko śni.

- Otóż ustaliliśmy, że jako iż Projekt Orion dobiegł końca, najwyższy czas wprowadzić kolejny, który pozwoli nam zrealizować wszystkie nasze cele...

- Projekt Orion nie był celem?! - krzyknął podnosząc się z fotela.

- Proszę usiąść i dać mi skończyć. - nalegał Igor, przywołując do stołu Helenę, która postawiła obok Jacka szklanke z lodem i wódką, którą to szybko obsłużony opróżnił.

- Powiedz co masz do powiedzenia i miejmy już to za sobą.

- Wyjaśnię na początku, że Projekt Orion był tylko częścią większego projektu, o którym mogliśmy pana poinformować dopiero po jego realizacji. Kolejnym etapem naszego planu, jest utworzenie nowego ustroju politycznego, który powstanie na fundamentach uczynionych przez Projekt Orion. Chciałbym oczywiście podziękować panu, jak i pana poprzednikom, dzięki którym Projekt Orion został rozpowszechniony i przyjęty przez ogół społeczeństwa globu, tworząc tym samym nowy system wartości wśród ludności na Ziemi, lecz musi pogodzić się pan z faktem, iż w obecnej sytuacji potrzebne są rygorystyczne działania, polegające na przejęciu władzy nad światem, przez nas za pana pośrednictwem, oraz utworzeniem regularnych wojsk, pomagających nam utrzymać ład i porządek, który po wejściu nowych praw, mogą ulec nadszarpnięciu, przez część ludności, której nowe zmiany mogą nie przypaść do gustu.

- Nie mogę tego podpisać!

- Musi pan to podpisać.

- A co jeśli odmówię? - zapytał pewnie w nagłym przypływie siły.

- Pożałuje pan tego.

- Grozisz mi fyrku jeden! - krzyknął z oburzeniem.

- Jakże bym śmiał. - odparł ironicznie z szyderczym uśmieszkiem Igor, wstając z fotela i podążając w stronę windy.

- Dokąd to?!

- Zapraszam za mną... A i proszę wziąć se sobą dokumenty.

Wściekły Jack, chwycił energicznie za plik papierów, i szybkim krokiem zmierzał w stronę windy.

Jadąc w górę milczeli, a Jack starał się ogarnąć swoim nieprzeciętnym umysłem teraźniejszą sytuację. Drzwi windy rozsunęły się, i Jack wraz z Igorem wyszli na dach budynku, witani rażącymi promieniami słońca.

Podchodząc do krawędzi, spoglądali na miasto w oddali, a oczy Jacka automatycznie powędrowały w stronę wieżowca, który w oddali widniał na horyzoncie, przyćmiewając swoim ogromem inne budynki w mieście.

- Rodzina tam na pana czeka, a mimo to pan zwleka.

- Słucham? - zapytał Jack, wyrwany z zamyślenia o najbliższych, czekających na niego w owym, monumentalnym budynku.

- Podpisuje pan te dokumenty, czy chce pan żałować tej decyzji do końca życia?

- Niczego nie podpiszę. - stwierdził Jack, i z uśmiechem, który powoli zaczął pojawiać się na jego twarzy, obserwował wieżowiec.

- Pana decyzja. - burknął Igor, po czym wyciągnął z kieszeni telefon, i przykładając go do ucha rzekł z nieczłowieckim chłodem w głosie.

- Nie podpisał, rozpoczynamy plan awaryjny?

- Jaki plan? - zapytał Jack, który po chwili poczuł na swoich ramionach silne uściski wielkich dłoni, które wykręcały mu ręce, uniemożliwiając jakikolwiek ruch, bez powodowania strasznego bólu.

- Co? Jak?! Co się tu dzieje?! - krzyczał desperacko, starając się wyrwać z rąk

ochroniarzy.

- Teraz patrz i żałuj. - rozkazał Igor i trzymając Jacka za podbródek, skierował jego twarz w stronę wieżowca.

Po chwili, nieopodal niego, na horyzoncie, pojawiła się ogromna kula białego światła, która swoim rozmiarem sięgnęła budynku, w którym znajdowała się rodzina Jacka. Przerażliwy huk, rozbrzmiał w otoczeniu, a po wygaśnięciu blasku, oczom ich, ukazał się atomowy grzyb oraz rozpadający się na kawałki, ogromny wieżowiec.

Jack z niedowierzaniem patrzył na ten akt destrukcji i zdrady, a gdy po chwili, jego mózg zarejestrował wszystkie skutki jakie z niego wynikały, począł płatać i uklęknął bezradnie.

- Mówilem, że będzie pan tego żałował. - stwierdził zimno Igor.

Jack w histerii, nie mówiąc nic, próbował zeskoczyć z dachu, alby ulżyć sobie cierpienia, lecz dwójka ochroniarzy, nie pozwoliła mu na to. Walcząc z opryszkami, odkrył w sobie nowe połączenie energii, przez co ci silni mężczyźni, mieli z nim nie lada problem.

W głuchym milczeniu, spoglądał z nienawiścią na Igora, i przyglądając się jego uśmiechniętej twarzy, poczuł ból potylicy, wynikający z uderzenia tępym narzędziem, po czym począł bezwładnie upadać na ziemię. Leżąc, ostatkami sił, starał się rejestrować otaczającą go rzeczywistość, a ostatnim co zapamiętał przed straceniem przytomności, były eleganckie buty Igora, oraz kolejne dwa huki, usłyszane w oddali.

Jan, nie mogąc stłamsić uczucia upodlenia, które nękało go od kilkunastu minut, paląc papierosa za papierosem, postanowił pojechać na wzgórze nieopodal miasta, aby pozbierać myśli, zanim spotka się z rodziną.

Docierając na miejsce, wysiadł z samochodu, i pieszo ruszył w las. Idąc przez krzaki pomiędzy drzewami, myślał tylko o tym, aby usiąść na stromym skraju wzgórza, z którego było widać leżące pod nim miasto.

Jan przystanął na chwilę, gdyż ku jego zdziwieniu, zaczęło mu brakować tchu.

Zmęczony, spojrział na trzymaną w ręce paczkę papierosów, i postępując najmniej adekwatnie do sytuacji, odpalił jednego z nich, siadając pod drzewem.

Z zamkniętymi oczami, delektował się niesmacznym i palącym dymem, przypominając sobie chwilę, gdy wraz z Julią, przybył tutaj pierwszy raz.

Jako, iż Jan nie urodził się w Gdyni, tylko przyjechał do tego miasta za przysłowiowym chlebem, gdy nadarzyła się okazja, aby zaproponować nowo poznanej znajomej, która spodobała mu się od pierwszego wejrzenia, spacer, wpadł na pewien pomysł.

Stojąc skrepowany naprzeciw kobiety, która jak żadna inna wcześniej, wzbudzała w nim zakłopotanie, rzekł, z całych sił waląc z nieśmiałością.

- Wychowywałaś się w Gdyni, prawda?

- Tak, a co? - zapytała, uśmiechając się niepewnie, lekko zarumieniona.

- Masz jakieś takie miejsce, które darzysz wyjątkowym sentymentem?

- Co? - zapytała zaskoczona.

- Takie miejsce, które kojarzy ci się z jakimiś miłymi wspomnieniami.

- No mam, a co?

- Pokażesz mi je? - zaproponował.

- Po co?

- Słyszałaś, że ponoć, jak się chce coś sobie przypomnieć, to najlepiej starać się to robić w miejscu, gdzie to miało miejsce.

- Co? - spytała, patrząc na Jana jak na dziwaka.

- No, że jak na przykład ktoś coś ci mówił, i nie jesteś w stanie sobie

przypomnieć, co takiego, to najlepiej udać się w miejsce tamtej rozmowy, i wtedy się przypomina.

- A, no słyszałam. Ale i tak nie wiem po co chcesz tam iść.

- Chciałbym po prostu żebyś mi opowiedziała o tym miejscu, i o wszystkich miłych sytuacjach jakie tam przeżyłaś.

- Ale po co?

- Po prostu chciałbym cię ujrzeć naprawdę szczęśliwą, tak jak zdarzyło się to kilka razy dotychczas.

Julia zamilkła, i z zarumienionymi policzkami, spuściła wzrok, starając się ukryć mimowolny uśmiech.

- To jak? - zapytał niepewnie, przepełniony obawą, iż wystraszył tę piękną istotę, swoim dziwnym pomysłem.

- Zgoda. - odparła, wstydząc się spojrzeć Janowi prosto w oczy, lecz uśmiech dyskretnie pojawiający się na jej twarzy, dawał mu do zrozumienia, że obawy były niepotrzebne.

Siedząc na krawędzi stromego wzgórza, Julia opowiadała historie dotyczące tego miejsca, i ku jej zdziwieniu, przypominała sobie coraz to więcej szczegółów.

Promienny uśmiech, nie znikał z jej pięknej twarzy, a Jan wpatrzony w nią jak w obrazek, słuchał z uwagą, upajając się każdą sekundą tej chwili, która zapoczątkowała w późniejszym czasie, ich zażyłą relację, przeistoczoną na końcu w związek małżeński.

Jan ocknąwszy się ze wspomnień, zauważył że trzymany przez niego papieros, już jakiś czas temu zgasł, a słońce wiszące niżej niż przed chwilą, przebijało się promieniami, spomiędzy koron drzew.

Wstał energicznie, i szybkim korkiem, począł podążać na skraj wzgórza. Usiadł

spuszczając nogi w przepaść, i patrząc na miasto, oświetlane jaskrawą kulą, dryfującą bo błękitnym i lekko zachmurzonym niebie, wyciągnął telefon z kieszeni, po czym zadzwonił do żony.

- Cześć kochanie. Gdzie jesteście?

- Cześć. Jeszcze w parku. Jak ci poszło? - spytała uradowana.

- Było gorzej niż się spodziewałem. - odparł zmuszając się do żartobliwego tonu, który wydał się Julii podejrzanym.

- Aż tak źle? - zapytała z troską.

- Nie chce mi się teraz o tym mówić. Możesz dać mi Darię do telefonu?

- Jasne, poczekaj chwilkę.

- Kochanie...

- Tak? - zapytała niepewnie, idąc w stronę córki.

- Musisz wiedzieć, że bardzo cię kocham i...

- Coś się stało? - wtrąciła ze strachem.

- Nic takiego, chcę tylko żebyś wiedziała, że zawsze chciałem dla ciebie i Darii jak najlepiej, i że jesteście dla mnie najważniejsze na świecie.

- Kochanie, piłeś coś? - zapytała z uśmiechem, choć lekko zaniepokojona, gdyż Jan nigdy wcześniej nie był taki wylewny jeżeli chodzi o uczucia.

- Nie. Po prostu chciałem mieć pewność, że o tym wiesz. - rzekł smutno, i począł przygotowywać się do skoku, który miał być jego nowatorskim pożegnaniem ze zniszczonym już życiem.

- Zawsze to wiedziałam, głupku ty. - odparła zdziwiona, lecz szczęśliwa, łapiąc

Darię za rękę, i powoli podając jej słuchawkę.

W tym momencie rozbrzmiał huk, a na horyzoncie pojawiła się oślepiająco biała kula.

Jan i Julia, w bezruchu i w milczeniu, spoglądali na owe piękne, lecz przerażające zjawisko. Jak tylko błysk zniknął, zastąpiony atomowym grzybem, Julia poważnie przemówiła do telefonu.

- Ja ciebie też kocham.

Oczy Jana napełniły się łzami, i poderwał się na równe nogi, po zastrzyku adrenaliny.

Spoglądając z wysokości, w kierunku, gdzie znajdował się park, usłyszał kolejne dwa huki, i ujrzał następne lśniące wybuchy, z których jeden, wdarł się bezceremonialnie, na obserwowany przez niego obszar.

Głucha cisza w słuchawce, i brak odpowiedzi na jego pytania, wytłumaczyły mu wszystko.

Uklęknął bezradnie na ziemi, i począł płakać, ściskając telefon w dłoni.

Amadeusz, wychodząc ze swojego sportowego auta, zaparkowanego przy porcie, założył przeciwsłoneczne okulary, i dumnie, z uśmiechem na twarzy, kroczył w stronę motorówki, przycumowanej nieopodal.

Wchodząc na pokład, przywitał się przyjacielskim całusem, z dwiema seksownymi kobietami, które uśmiechały się do niego zalotnie.

Klara, była blondynką o brązowych oczach, a błękitne stringi, które wchodziły w skład bikini, ukazywały światu, perfekcyjnie wyrzeźbione pośladki. Niebieskooka i czarnowłosa Erika, cieszyła się nieprzeciętnych rozmiarów biustem, który swobodnie zwisał, niekrępowany zbędną bielizną.

- Ruszamy szefie? - odezwał się sternik.

- Tak. - odparł Amadeusz, a po chwili zwrócił się do koleżanek.

- Do środka żdziiry.

Kobiety posłusznie wykonały rozkaz, uśmiechając się bez przerwy.

Erika przyrządzała drinki, a Klara położywszy się na skórzanej kanapie, poczęła ściągać skąpe majtki.

Amadeusz podchodząc do niej, rozpiął pasek u spodni, i groźnym spojrzeniem, lustrował jej ponętne ciało. Usiadł obok niej, z rozpiętym rozporkiem, i chwycił ją agresywnie za włosy. Brutalnie przyłożył jej twarz do sterczącego już przyrodzenia, po czym został uraczony kwintesencją francuskiej miłości, ku uciechu kobiety, która dławiąc się i krztusząc, spoglądała na twarz Amadeusza z uradowaniem.

Po tym jak skończył w jej ustach, uderzył ją otwartą dłonią w twarz, tak iż cała zgromadzona w jej ustach sperma, trysnęła na podłogę.

- Sprzątaj to szmato! - krzyknął, i zwałił Klarę z kanapy.

Ta dalej uśmiechnięta i zadowolona, zaczęła zlizywać białą plamę z podłogi, uwodzicielsko kręcąc swoimi czterema literami w kierunku Amadeusza, który przyglądał się jej z radością wypisaną na twarzy.

Po chwili, Erika podała mu drinka, i usiadła na kolanach w taki sposób, że dalej sterczący członek, wylądował w jej wnętrzu.

Amadeusz trzymając w ręku drinka, przyglądał się Erice, która wiła się na nim, jak podpalany robak, stękając spazmatycznie.

Po kilku chwilach, znudzony Amadeusz, zwałił Erikę na podłogę, i splunął pogardliwie w jej kierunku.

- Bijcie się. - burknął jakby od nie chcenia, spoglądając na nagie kobiety, leżące u jego stóp.

- Ta, która zabije przeciwniczkę, dostąpi zaszczytu dostania ode mnie porządnego wpierdolu. - dodał po tym, jak ujrzał konsternację w ich spojrzeniach.

Kobiety zaczęły się szarpać, drapać, gryźć i przyduszać, ku uciechu swojego pana, który popijając alkoholowy napój, zadowalał sam siebie.

Walka była długa i zaciekła, a po chwili, ten miły aspekt skrywanego przez Amadeusza życia, przerwał sygnał w telefonie, po którego odebraniu, z jego ust, padło tylko jedno słowo.

- Tak.

Wstał i kopnął Klarę w brzuch tak mocno, iż ta, polecivszy w kąt, nie mogła złapać oddechu. Chwycił Erikę za włosy, i począł wyciągać ją na pokład.

Stanął na nim, i rozglądał się dookoła. Oddalające się z każdą sekundą miasto, i bezkresne wody, były wszystkim, co dał radę ogarnąć wzrokiem.

Erika podczołgała się do stojącego Amadeusza, i niczym prosię, które dopycha się nachalnie do piersi maciory, tak ona, starała się umieścić w ustach, jego penisa.

Nie zwracając na nią uwagi, Amadeusz wykonał telefon, i po raz kolejny powiedział tylko jedno słowo, do osoby po drugiej stronie.

- Zaczynamy.

Po krótkiej chwili, na oddalonym mieście, widniały trzy atomowe grzyby, a Amadeusz, uradowany, zawołał stanowczo Klarę, która wchodziła właśnie na pokład, trzymając się za lewe żebro i uśmiechając przez ból.

- Wstawaj! - rozkazał Erice.

Kobiety stały przed nim, odrapane, poobijane, zmęczone, upodlone i uśmiechnięte.

- Nie mogę na was patrzeć. - stwierdził, po czym obdarzył każdą z nich, potężnym kopnięciem w mostek, które spowodowało, efektowny skok na plecy, do chłodnej morskiej wody.

- Popływamy z godzinę i wracamy do portu. - rozporządził Amadeusz, przyglądając się uśmiechniętym twarzom, dwóch, tonących powoli z barku sił kobiet, które pomimo swojego nieprzeciętnego seksapilu i wdzięku, napawały go obrzydzeniem.

Rozdział 6

Kacper w zamyśleniu, dłubał bezradnie w obiedzie, od czasu do czasu, przysłuchując się rozmowom kolegów z pracy. Wyrywkowe kwestie, które rejestrował, sugerowały mu, że jego współpracownicy, naśmiewają się z niego, lecz nie mając pewności, czy owe rozmowy rzeczywiście są prześlaknięte insynuacjami, wolał nie odwzajemniać rzekomych zaczepek, agresywną postawą.

Po chwili, nie mogąc znieść sytuacji, wstał od stołu, i w iście angielskim stylu, począł opuszczać stołówkę.

- Eee! A dokąd to?! - krzyknął Mateusz, który od momentu, gdy przyłapał Kacpra na rozmowie z Tomem, spoglądał na niego niepewnym okiem.

- Idę się przejść. - odrzekł, choć cisnęło mu się na usta szczere oświadczenie, zawierające obrzydzenie, wynikające z werbalnego pierdolenia kolegów.

- To zajdź do Dziada i zanieś mu podwieczorek, bo zaraz będzie stękał.

Kacper zawahał się przez chwilę, ale skreślił w kierunku bufetu, gdzie miał zamiar odebrać posiłek dla więźnia.

Idąc niebieskim korytarzem, nie mógł się doczekać kolejnego liściku od Toma. Korespondowali ze sobą już kilka tygodni, i za każdym razem, informacje zawarte w listach, zaskakiwały Kacpra, zmieniając jego sposób patrzenia na otaczającą go rzeczywistość.

Czuł się zaszczycony, z powodu zaufania, jakim darzył go Tom, oraz odczuwał permanentnie rosnącą pogardę do ludzi w jego otoczeniu, uznając ich za słabych i głupich.

Odebrawszy tacę z jedzeniem, został zagadnięty przez kucharkę imieniem Barbara. Tęga kobiecina w kwiecie wieku, darzyła tego młodego chłopca niekłamaną sympatią.

- Jak zdrowko dzieciaku? - zapytała ochoczo.

- Dobrze. - odrzekł chłodno.

Odchodząc, usłyszał za plecami, jak Barbara marudzi pod nosem.

- Noż co za cholera tępą...

- Sama jesteś tępą wstrętna babo! - krzyknął z szaleństwem w oczach, odwracając się energicznie.

Pani Barbara oniemiała ze zdziwienia, i zrobiło się jej tak przykro, iż uroniła niewielką łzę.

- To nie było do ciebie Kacperku. Chodziło mi o nóż. - poczęła się tłumaczyć, zatroskana o stan psychiczny młodzika, którego zdążyła polubić.

Kacper przekalkulował jej słowa w taki sposób, iż doszedł do wniosku, że ten otyły babsztyl, nie dość że szydzi z niego, to jeszcze stara się wzbudzić w nim poczucie winy.

Nie mówiąc nic, odwrócił się i podążył w stronę celi Toma.

Zły, szybkim krokiem, maszerował przed siebie, a jedyną myślą, która wędrowała mu pod brzą włosami, była nadzieja, iż dzisiaj otrzyma kolejny list.

Rozsuwając małe drzwiczki, wsunął tacę po podłodze, i z nadzieją, przytrzymał dłoń przy otworze nieco dłużej niż zwykle. Wyczekiwanie opłacało się, gdyż po chwili, w jego ręku wylądował kolejny liścik. Błyskawicznie schował go do rękawa, i zaczął wracać do pokoju socjalnego.

Po drodze napotkał panią Barbarę, która w towarzystwie Mateusza, płakała lekko i tłumaczyła mu coś na ucho, spoglądając smutnymi oczyma na Kacpra. Surowa mina jego przełożonego, była zwiastunem kłopotów, więc Kacper, w ekspresowym tempie, zaczął obmyślać plan wymigania się od konsekwencji, bądź zmniejszenia wymiaru kary, jeżeli nie udałoby się jej uniknąć.

- Chłopcze. Pozwól za mną. - oznajmił spokojnie Mateusz, podążając dumnie w stronę swojego gabinetu.

Kacper spojrzał pogardliwie na panią Barbarę, która nie mogąc zrozumieć, przemiany jaka dokonała się w tym chłopcu ostatnimi czasy, kręciła głową z niedowierzaniem.

Wchodząc do pokoju, Kacper począł symulować złe samopoczucie, lekko opuszczając powieki i zwalniając tempo wypowiedzanych słów.

- O co chodzi? - zapytał jakby od niechcenia.

- Dlaczego obraziłeś panią Barbarę?

- Słucham?

- Dlaczego powiedziałeś, że jest tępą?! - krzyknął, nie mogąc dłużej pohamować złości.

- Nic takiego nie mówiłem.

- Jak to?

- Normalnie.

- Przysięgasz? - zapytał jakby podchwytnie.

- Przysięgam. - odparł obojętnie, nie zdając sobie sprawy z powagi sytuacji.

Mateusz zastanowił się chwilę, i dochodząc do wniosku, że nikt nie jest na tyle nierozważny, aby profanować coś tak sakralnego jak przysięga, postanowił dać kilka dni wolnego, dla pani Barbary oraz Kacpra, jednocześnie wręczając dwójce, skierowanie na profilaktyczną terapię dźwiękową, gdyż jasnym wydawało mu się, iż któreś z nich, cierpi na niedobór pierwiastka Mi.

Kacper wychodząc z pracy na świeże powietrze, poczuł ulgę, i począł zastanawiać się nad opuszczeniem terapii oraz zatajeniu jego niesubordynacji.

Usiadł na przystanku trolejbusowym, i czekając na środek lokomocji, miętolił nerwowo skrawek papieru, skrywany w kieszeni u bluzy. Jakby olśniony wizją, wstał i począł zmierzać przed siebie, bez zastanowienia. Krocząc szybko, wyjął liścik, i zniecierpliwiony zaczął go czytać.

Sklep Mariton, na ulicy świętego Jana. Jutro popołudniu.

Tajemnica płynąca z tej zwiezłej i niejasnej wiadomości, ożywiła Kacpra, nie pozwalając mu zasnąć w nocy.

Po dwugodzinnym, wymuszonym śnie, Kacper spędzał czas jak w normalny wolny dzień. Pozorna postawa, skrywała zaś multum dociekań, wyobrażeń i lęków, których Kacper nie mógł w żaden sposób się pozbyć. Męczące wyczekiwanie zakończyło się, gdy stanął przed wejściem do sklepu, w którym sprzedawano różnego rodzaju biżuterię, ozdoby i akcesoria o znaczeniu okultystycznym.

Kacper słyszał wcześniej co nieco o tych dziwnych, tajemniczych kręgach, lecz dopiero Tom, uświadomił go, czym tak naprawdę jest, i czym zajmuje się okultyzm.

Zdziwił go fakt, że coś tak rzucającego się w oczy jak ten sklep, może być częścią zorganizowanej i zakonspirowywanej grupy, o której istnieniu, dowiedział się niedawno.

Wszedł niepewnie do środka, a jego wejście, zasygnalizował mały dzwoneczek, poruszony przez rozsuwające się drzwi. Zza koralowych zasłon, wyłoniła się lekko przygarbiona, starsza kobieta, ze znacznym niedoborem uzębienia.

- Witam, szanownego pana. - przywitała się Teresa skrzekliwym głosem.

- Dzień dobry. - odparł Kacper, nie do końca wiedząc jak się zachować.

- Tom cię przysłał nieprawdaż? - zapytała z uśmiechem.

- Tak. - odparł z ulgą.

- Chodź szybko, puki nikogo nie ma. - zaproponowała, uchylając nieco, kolorowe linki, zwisające w futrynie.

Idąc wąskim korytarzem, Kacper wyczuł dziwny zapach w otoczeniu, a mnogość kolorów, zdawała mu się lekko przytłaczająca. Jak w transie, podążał przed siebie, gdy zorientował się, że staruszka nie idzie już za nim, jak na początku, a on sam, stoi zdeorientowany w korytarzu.

Po chwili, zza rogu, wyłoniła się młoda kobieta, przyodziana jedynie w czarne buty na obcasie, tego samego koloru pończochy, przypominające sieć rybacką, lateksowe majtki oraz karnawałową maskę z kruchymi piórami.

- Chodź za mną. - zaproponowała nieznajoma, uśmiechając się szeroko.

- Kim jesteś? - zapytał zmieszany Kacper, nie mogąc oderwać wzroku, od jej niewielkich rozmiarów, lecz bardzo atrakcyjnego biustu, który bez żadnych kompleksów, zdawał się odwzajemniać jego spojrzenie.

- Tu mam oczy chłoptasiu.

- Przepraszam... Ja... - dukał zmieszany, czując iż czerwieni się na twarzy.

- Jeszcze przywykniesz do tego widoku, a teraz chodź. - niemal rozkazała, mijając Kacpra, który czując zapach jej perfum, uśmiechnął się oślepiało.

Śledząc nieznajomą, podziwiał ruch jej pośladków oraz wdzięk z jakim stąpała po drewnianej podłodze.

- Wiesz, że jak tam wejdiesz, to nie będzie już odwrotu? - zapytała, nie odwracając głowy.

- Gdzie?

- Do podziemia. - odparła zdziwiona.
- Gdzie? - ponowił, nie do końca wiedząc co dziewczyna ma na myśli.
- Ponoć wszystko wiesz.
- No chyba nie...
- Nie wiesz gdzie cię prowadzę?
- Do podziemia?
- Ale wiesz, że wytniemy ci chip i zedrzymy linie papilarne z kciuka?
- Co takiego?
- Musisz odłączyć się od życia jakie znałeś do tej pory, jeżeli chcesz do nas dołączyć.
- Całego?
- Całego. - skwitowała chłodno, odwracając się w stronę Kacpra, i wpatrując się w niego czarnymi oczami.
- Z rodziną też?
- Też... - szepnęła, podchodząc powoli, po tym jak wyczuła niepewność w jego głosie.
- Nie chcesz tego? - zapytała po chwili.
- Nie wiem.
- A czego chcesz?

Kacper zawahał się przez chwilę, i nie mogąc wytrzymać uwodzicielskiego spojrzenia nieznajomej, spuścił wzrok.

- Teraz?

- Tak, teraz słodziaku. - szepnęła, kładąc delikatną dłoń na jego barku.

- Ja...

- Chcesz mnie, prawda? - dodała obchodząc go dookoła.

- Tak. - przyznał, nie do końca wiedząc czy słusznie czyni.

- Tylko tam mnie dostaniesz. Tutaj nie mogę ci się oddać.

- Dlaczego? - zapytał roztargniony z żalem w głosie.

- Nie bądź głupi. - zaśmiała się, po czym dodała.

- Idziesz?

- Idę. - odparł stanowczo, i ruszyli dalej.

Dochodząc do ciemnych, drewnianych drzwi, Kacper myślał tylko o tym, jak i gdzie, ukarze tę niewiastę, za jej machlojki. Myśl ta rodziła uśmiech na jego twarzy, a wzrok lustrował seksowne ciało kobiety, która udając brak uwagi, kusiła go każdym ruchem.

- No to jesteśmy. - rzekła, trzymając rękę na metalowej kołatce.

- Zapukasz w końcu? - zapytał zniecierpliwiony.

- A pukniesz mnie?

- Będę cię rznął do bólu. - oznajmił, zaskoczony swoim słownictwem i nagłym przyływem odwagi.

- Podoba mi się. - przyznała, po czym poczęła kołatać.

Drzwi otworzyły się, a stojący za nimi rosły mężczyzna, z tatuażami na twarzy i brakiem owłosienia na czaszce, chwycił brutalnie Kacpra, i niemal wrzucił go do środka.

- Co jest?! - zapytał zdegrustowany.

- Spokojnie, oni tacy są. - uspakajała Kacpra Nieznajoma, po czym dodała w kierunku łysego mężczyzny.

- Delikatniej małpo, on jest nowy i jest mój.

- Zamknij ryj suko i zapierdalaj z nim do Stefana. - odparł niskim głosem, spoglądając przez judasz, w zamkniętych już drzwiach.

- Chodź. - powiedziała z cicha, chwytając Kacpra pod ramię.

Idąc szerokim stalowym korytarzem, na którego ścianach widniały erotyczne obrazy, Kacper nie mógł doczekać się chwili, w której zaspokoi swoją rządę, która na ten moment, opętała jego młody umysł.

Po krótkim spacerze w milczeniu, doszli do jasnego pokoju, w którym stary mężczyzna, ze znużeniem bawił się skalpelem.

- Dawaj go tu. - zażądał, wskazując ręką na skórzany fotel.

Kacper usiadł niepewnie, a po chwili tajemniczy i niesympatyczny staruszek, z rutyną, bez znieczulenia, począł ciąć rękę swojego pacjenta skalpelem. Ból i gorąco, opanowały całą prawą część ciała Kacpra, lecz ten, sparaliżowany strachem oraz szokiem, nie starał się wyrwać, tylko patrzył błagalnym wzrokiem, na stojącą nad nim dziewczynę, dziwiąc się faktem, iż ta śmieje się z niego.

- Słodziak... - wydusiła z siebie, na chwilę powstrzymując śmiech.

Kacper przebudziwszy się, po tym jak stracił przytomność, czuł ból ręki, owiniętej niedbale, niezbyt higienicznym bandażem. Począł się rozglądać dookoła, i po chwili ujrzał Nieznajomą, spoglądającą na niego ze zniecierpliwieniem.

- Obudziłeś się w końcu. - stwierdziła, podnosząc się z fotela, jednocześnie gasząc papierosa.

- Usunął mi chip? - zapytał lekko jeszcze oszołomiony.

- A myślałeś, że co? - zripostowała drwiąco.

- Nie wiem, wszystko to jest trochę dziwne.

- Teraz jak już jesteś czysty, możesz zawitać w naszych progach. Nie zapytam czy jesteś chętny, bo nie ma już odwrotu.

Kacpra przeszył zimny dreszcz, gdy zdał sobie sprawę, jak poważną decyzję podjął, pod wpływem chwili i dziwnego uniesienia.

- Tak więc prowadź. - burknął zrezygnowany.

Nieznajoma prowadziła go przez ciemne korytarze, aż doszli do szerokich schodów, prowadzących w dół.

- Co tam jest? - zapytał.

- Szakad mój drogi... Najprawdziwsze piekło. - odrzekła, spoglądając niechętnie w mrok, ogarniający dolną część zejścia.

Schodząc powoli, Kacper co jakiś czas, lekko ślizgał się po wilgotnej, kamiennej powierzchni, a do jego nozdrzy, zaczął wdzierać się nieznośny odór.

- Śmierdzi tu. - stwierdził z obrzydzeniem.

- Przyzwyczaisz się.

Zatonąwszy w mroku, Kacper stanął, bojąc się upadku, lecz po chwili, poczuł delikatny chwyt, na swojej zimnej dłoni, i prowadzony niczym ślepiec, podążał śladem Nieznajomej, której słodki, zmysłowy zapach, mieszał się ze smrodem otoczenia.

Po krótkim marszu, jego oczom ukazały się niewielkie przesmyki światła, przebijające się, za pośrednictwem szpary, w otwieranych przez dziewczynę drzwiach. Przeszli przez próg, a ich oczom ukazała się wielka grota, przypominająca ogromny stadion, umieszczony kilkadziesiąt metrów pod ziemią.

Kacper zaniemówił, i w owym milczeniu stał jak wryty, spoglądając z niedowierzaniem, a tę konstrukcję.

Krzyki, płacz, przeraźliwy śmiech oraz donośne jęki, atakowały jego uszy z każdej strony.

- Dokąd teraz? - spytał Nieznajomej, która z zamkniętymi oczami, upajała się dźwiękami, które w Kacprze wzbudzały strach i obrzydzenie.

- Muszę przedstawić cię Pani. - odpowiedziała po chwili.

- Kim ona jest?

- Naszą panią... - odpowiedziała z pogardą, po czym dodała.

- Ale najpierw pokarzę ci to i owo.

- To znaczy?

- Getta.

- Co to?

- Getta to najczęściej miejsca gdzie tworzy się Katonai.

- Katonai?

- Tak. Tevedy i Mojomów.

- Nie rozumiem.

- Chodź. Zaczniemy od początku.

Po krótkim spacerze, doszli do pomieszczenia, gdzie na stołach postawionych w rzędzie, leżały ciężarne kobiety, z rozwartymi nogami, między którymi, stali pochyleni, najwidoczniej poszukujący czegoś w ich wnętrzu, mężczyźni.

- Co to za miejsce? - spytał przerażony.

- Titkos. Tutaj najlepsze Tevedy, zapłodnione przez najsilniejszych Mojomów, rodzą swoje potomstwo. - odparła, a w tym czasie, jeden z mężczyzn, trzymając metalowe szczypce w dłoni, wrzucił płód do stojącego obok wiadra.

- Co on zrobił?! - krzyknął z oburzeniem.

- Wyrzucił śmiecia. Jednostki nienadające się do walki bądź seksu, zostają zawczasu usuwane, aby nie nadwyręzać naszych skromnych zapasów.

- Przecież to był płód! Skąd wiedział, że się nie nada? - zapytał, nie zastanawiając się nad obrzydliwą racjonalnością myślenia, w takiej sytuacji.

- Nasi Tudosi mają wszystko wykalkulowane, a czasami modyfikacje genetyczne, jakie przeprowadzają, szkodzą zamiast pomagać, i na pierwszy rzut oka widać, że to, co jest w jednej z tych kobiet, to śmieć.

- To straszne. - stwierdził.

- Ale praktyczne. Chodź dalej.

Idąc do kolejnego pomieszczenia, Kacper zagadnął.

- Dużo płodów wyrzucacie?

- Jakieś sześćdziesiąt sześć procent.

- I co z tym robicie?

- Martwe płody są faszerowane Szarmem, a potem częstujemy nimi Mojomów przed ćwiczeniami.

- Co?! - krzyknął z niedowierzaniem, licząc że to co usłyszał, to fatalny żart.

- Zaraz zobaczysz... To jest Ovoda. - stwierdziła, stając pod oknem, i wpatrując się do środka, dając tym samym znak Kacprowi, że powinien uczynić to samo.

Jego oczom ukazało się pomieszczenie, w którym dzieci, w różnym wieku, oglądały na wielkim ekranie brutalny film pornograficzny, na którym gwałcone kobiety, były bite, upokarzane, a na koniec zabijane. Mężczyźni również walczyli ze sobą, mordując wszystko, co żyło wokół nich.

Po tym jak zorientował się co ogląda, odwrócił wzrok i zwymiotował.

- Oglądaj! - rozkazała.

- Nie... - burknął, ocierając usta.

- Mojomie! Bierz go. - rzekła, do stojącego na rogu umięśnionego mężczyzny.

- Ten Kalap jest opory. Musi się jeszcze sporo nauczyć. - dodała, a osiłek chwycił filigranowego Kacpra, i brutalnie przystawił jego twarz do szyby w oknie, aby ten widział to co dzieje się na ekranie.

Kacper starał się zamykać oczy, lecz gdy tylko to robił, Nieznajoma z całych sił, ścisnęła jego genitalia, powodując straszliwy ból.

Przymuszony, oglądał festiwal bestialstwa, i po chwili zaczął odczuwać coraz mniejsze obrzydzenie, które zmieniało się stopniowo w obojętność, niosącą ulgę, gdyż uczucie towarzyszące oglądaniu tego filmu, było nie do zniesienia.

- Podprogowy przekaz pomoże ci przywyknąć dość szybko. - skomentowała z uśmiechem, szepecząc zmysłowo Kacprowi do ucha.

- Zobaczysz. Jeszcze będziesz mnie bił, gwałcił, i sprawi ci to przyjemność. - dodała, lizząc go obcesowo po policzku.

Zahipnotyzowany Kacper, nie był w stanie określić, jak długo wpatrywał się w ekran na ścianie, a ocknął się z transu dopiero, gdy z jego penisa, który był obsługiwany przez drobną dłoń Nieznajomej, wydostała się sperma. Ku jego zdziwieniu, poczuł radość oraz nagły przypływ siły i agresji.

Korzystając z okazji, że osilek poluźnił chwyt, z całej siły, uderzył dziewczynę w twarz, a gdy ta upadła z uśmiechem, splunął na nią pogardliwie. Gdyby nie uchwyt, unieruchamiający go w znacznym stopniu, pewnie rzuciłby się na nią z zamiarem gwałtu.

- Spokój Kalapie! - krzyknęła w stronę Kacpra, który na te słowa złagodniał, i spuszczając głowę, począł płakać jak skarcone dziecko.

- Ty za mną, a ty spierdalaj stać na roku jak do tej pory. - rozkazała mężczyznom, którzy posłusznie wykonali polecenia.

Kiedy osilek stanął na rogu budynku, wpatrując się bezmyślnie w kolegę po fachu, stojącego dokładnie naprzeciw niego, po drugiej stronie czegoś, co przypominało drogę, Nieznajoma chwyciła płaczącego Kacpra za rękę, i delikatnie go podniosła.

- Nie płacz już maluszkusiu ty mój. - rzekła opiekuńczym tonem.

- Nie gniewasz się już? - zapytał zatroskany przez łzy.

- Już nie tak bardzo, a jak będziesz grzeczny, to przestanę się gniewać w ogóle. - dodała, całując go w policzek.

Uśmiech automatycznie pojawił się na jego twarzy, i pogrzepiony motywacyjnym

całusem, począł żwawo podążać za swoją mentorką.

Po krótkim spacerze, doszli do kolejnego Getta, w którym setki osobników, siedząc za biurkami, ruszając jedynie palcami, uderzającymi szybko i precyzyjnie w klawiatury komputerów, bez przerwy, wpatrywały się w monitory. Raz na jakiś czas, nieśmiałe pierdnięcie, przerywało ciszę, która wypełniała całe pomieszczenie.

- Co to za miejsce? - zapytał zaciekawiony, ścisząc ton.

- Oto Getto Inwigilatorów.

- Co?

- Wiem, że ty, tak samo jak inni ludzie żyjący na powierzchni, myślałeś że Inwigilatorzy są częścią waszej społeczności, lecz jak widzisz, wszyscy oni siedzą tutaj, i dwadzieścia cztery godziny na dobę, monitorują wszystko co jest w sieci.

- Czy oni nie śpią? Nie jedzą? Nie piją?

- Widzisz to? - spytała, pokazując ręką na cienką rurkę, która wychodząc ze ściany, kończyła swój bieg, w biodrze jednego z Inwigilatorów.

- Co to?

- Kroplówki dostarczające ich organizmom odpowiedni rodzaj Szarmu, który nie tylko zapewnia im przeżycie, ale również wyostrza zmysły i umysł.

- Czy oni nie chodzą do łazienki? - zapytał, zdziwiony sam, swoim pytaniem.

- Słyszałeś jak wydalają Szarm. Poza tym tylko siedzą i obserwują, jednocześnie tworząc archiwa.

Kacper słuchając Nieznajomej, zbliżył się powoli do jednego z Inwigilatorów, i spojrzał nieśmiało na monitor. Mnogość rzeczy, które działały się na ekranie, była nie do ogarnięcia, nawet w najmniejszym stopniu, przez jego umysł, a po chwili patrzenia się w zamykane, i kolejno otwierane okna, zaczął odczuwać ból oczu.

- Chodź. - rozkazała, odchodząc od Getta.

Kacper czując się pewniej, począł szukać pozytywnych aspektów swojego położenia, i podążając po linach obserwacji, doświadczeń oraz własnych wewnętrznych rozmyśleń, utworzył obszerną sieć, po analizie której, doszedł do osądu, utwierdzającego go w fakcie, iż nie trafił aż tak źle, jak mu się wydawało na początku.

Bez strachu, począł kroczyć śladami Nieznajomej, po kolei poznając kolejne Getta, w skład których wchodziły między innymi Kert, Labda, Athalad oraz Negizet.

Kert było Gettem, w którym Fyldzi, uprawiali w wielkich szklarniach, czerwone grzyby, oświetlane światłem z wielkich lamp, zawieszonych nad nimi. Przygarbieni farmerzy niższej rangi, pielęgowali i zbierali plony, zaś starsi i bardziej doświadczeni, przyrządzali różnego rodzaju wywary, w swoich prowizorycznych laboratoriach.

Kacper dowiedział się, iż napój bazujący na skórkach czerwonych grzybów oraz mocnego alkoholu, posiadał dwie właściwości, zależne od sposobu przyswajania. Podgrzany do wrzenia, i pity powoli, powodował halucynacje, zaś schłodzony do stanu, aż ciecz w buteleczkach nieco gęstniała, i konsumowany błyskawicznie, pobudzał, wyzwał agresję oraz zwiększał odwagę.

Bici przez Mojomów Fyldzi niższej rangi, od czasu do czasu wili się z bólu, spoglądając błagalnym wzrokiem, na dużo większych i silniejszych od siebie prześladowców, którzy pełnili stanowiska kierownicze w Kertach.

Kacper starając się wejść do jednego z laboratoriów, napotkał na swej drodze strażnika, który z chęcią wytłumaczyłby mu dopiętnie zakaz wstępu, lecz ujrawszy niewiastę w jego otoczeniu, odważył się jedynie na ryk i agresywną gestykulację umięśnionymi rękoma.

Zły na zasady panujące w Getcie, które uniemożliwiały mu poznanie, wszystkich tajników jego funkcjonowania, Kacper, z obrażoną miną, począł wychodzić pod baczny okiem roześmianej niewiasty.

Negizet było to Getto wielkich rozmiarów, przypominające na pierwszy rzut oka Koloseum. Kacper przypatrywał się kratom, umieszczonych po czterech stronach areny.

Po chwili, dwie z przeciwległych bram otworzyły się, a na środek betonowego placu, wylały się dwie fale nagich, pięknych kobiet, które po rozłożeniu czerwonych koców, na niewielkim podwyższeniu w centrum, poczęły zaspokajać się nawzajem, ku uciechu Kacpra i mężczyzn, ulokowanych za pozostałymi, zamkniętymi kratami.

Dźwięk unoszących się kolejnych, dwóch wrót, wywołał jeszcze większe ożywienie wśród Mojomów, którzy wybiegając na plac, zaczęli walczyć między sobą. Oszolomione kobiety, starały się wydostać z podestu, szukając ucieczki przez zgiełk, brutalnej bitwy, toczącej się wokół nich. Co niektóre, ryzykowały spontaniczny szturm na walczących, co często kończyło się efektowną śmiercią, gdyż drobne ciała kobiet, w połączeniu z barbarzyńską siłą Mojomów, nierzadko kończyło się skruceniem karku, bądź rozerwaniem na strzępy. Bardziej kreatywni bojownicy, używali urwanych wcześniej kobietom członów, do eksterminacji przeciwników.

Sportowe widowisko trwało dość długo, i gdy na placu boju, pozostało tyle mężczyzn, iż na każdego przypadała jedna Teveda, każdy z nich przywłaszczał sobie jedną, i niosąc ją triumfalnie na barku, wolnym krokiem, podążał w kierunku otwartych bram.

- Naturalna selekcja Kacperku. - skwitowała nieznajoma.

- Podobna mi się. - odparł.

Labda najbardziej przypadła Kacprowi do gustu, gdyż wchodząc tam, ujrzał multum nagich i półnagich kobiet, które pielegnowały swoją urodę, oraz uczyły się dziwkarskiego kunsztu, pod baczным okiem Bajoków. Chichot, śpiewy, okrzyki radości oraz zmysłowe wzdychania i jęki, wypełniały te pomieszczenie, udekorowane czerwonym kolorem. Stoły zastawione świeżymi owocami, lekko kusiły niespodziewanego gościa, lecz nie chcąc tracić uwagi na coś, tak mało znaczącego w tym miejscu, jak jedzenie, obserwował dziejące się dookoła widowisko.

Nieznajoma chwyciła go za rękę, gdy ten jak zahipnotyzowany, zaczął zbliżać się do rudowłosej, młodej dziewczyny, która delikatnie masując intymne miejsca swojego ciała, puszczała mu zalotne mrugnięcia, popijając jednocześnie parującą, czerwoną ciecz z kieliszka, jak każda z kobiet, przebywających w tym Getcie. Poddenerwowany Kacper spojrzał gniewnie na swoją przewodniczkę, lecz po otrzymaniu mocnego ciosu z otwartej dłoni, spokorniał w mgnieniu oka.

Wychodząc z tego urokliwego miejsca, Kacper usłyszał jak z ust Nieznajomej, wydobywa się melodyjny głos.

- Nie dla ciebie są te suki słodziaku ty mój.

Wchodząc do Athaladu, Kacper zląkł się nieco, i począł przysuwać się lekko w stronę Nieznajomej.

Rośli mężczyźni bez włosów, i z mnóstwem tatuaży na ciele, katowali do śmierci kobiety, starców i dzieci, które zwisały na linach, do górny nogami, jak worki bokserskie. Podłoga umazana we krwi, lepiła się nieprzyjemnie, a fotor, wytwarzany przez stertę zmasakrowanych zwłok, leżących po kontakt Getta, na początku był nie do zniesienia. Kacper spostrzegł postawione co kilka metrów, oszronione, stalowe beczki, w których beztrasko dryfowały martwe płody, zamoczone w czerwonej, lekko gęstej substancji.

Co jakiś czas, jeden z Mojomów, po zanurzeniu ręki w beczce, wyciągał z niej płód, który po chwili, lądował w jego ustach, generując dźwięk przegryzanych chrząstek.

Treningowi towarzyszyły energiczne przyśpiewki, krzyki oraz ryki. Kacper spoglądając ku górze, zauważył kilku mężczyzn, którzy wisząc nad głowami trenujących, rytmicznie uderzali dłońmi w skórzane bębny. Po wsłuchaniu się w tę melodie, Kacper poczuł się pobudzony, a jego umysł zaatakowała myśl, która nakazywała mu, wyładować swoją energię na bezbronnej istocie. Stawiając pierwszy krok, przybliżający go do ofiary, po raz kolejny poczuł dłoń Nieznajomej na palącym już policzku.

- Zachowaj siły na później! - krzyknęła oburzona, i palcem wskazującym drugiej

ręki wskazywała wyjście.

Otępiały Kacper, począł wychodzić z Getta, smucąc się faktem, iż z niezrozumiałych dla niego przyczyn, ta wredna kobieta, dzierżąca nad nim władzę, nie pozwala mu zaspokajać swoich potrzeb.

Idąc przed siebie, ogarnięty zmieszaniem, lękiem oraz nudnością, rozglądał się na boki, jak paranoik kroczący po zaludnionych ulicach metropolii. Natłok myśli, wizji i dźwięków, tworzyły w jego głowie pustkę, nabrzmiałą cichym szumem.

Lekkie drgania, wybiły go z tego nieprzyjemnego stanu, a po chwili niska, patyczkowata i bezwłosa postać, wpadła na niego bezradnie, powodując przyśpieszone bicie serca i rozszerzenie źrenic.

- Sio Bayaszu! - krzyknęła Nieznajoma na wynędzniałą postać, która w mgnieniu oka, poczęła wycofywać się w kierunku stalowych wrót, prowadzących w głąb ziemi.

- Co to jest? - zapytał Kacper z zaciekawieniem.

- Enyem. Wydobywamy tutaj gaz, który jest głównym źródłem naszej energii.

- Gaz? Przecież to przestarzała technologia, nie używana już na świecie.

- Gaz jest przeszłością, ale uwierz mi, że będzie przyszłością.

- Nie rozumiem. - stwierdził spuszcając wzrok.

- Zamilcz. - syknęła w taki sposób, iż Kacper nie odważył się wydusić ani słowa, do czasu gdy doszli do dużego budynku, przypominającego solidny bunkier.

Kacper zauważył, iż poniżej niego, znajdują się czarne tunele, z których wydostawały się tory, prowadzące do kolejnych tuneli, wrytych w skałę.

- Macie metro?

- Tak jakby. To Allomas. Tory prowadzą do Allomasów w innych miastach,

umożliwiając nam szybki transport wojsk, do każdego większego miasta w tej części świata.

- Chcesz mi powiedzieć, że jest więcej takich miejsc jak to? - spytał zszokowany.

- Każde duże miasto ma swoje podziemie Kacperku. - odpowiedziała z politowaniem w głosie.

Zwiedzając obszerne podziemie Krakowa, Kacper zaczynał coraz bardziej przyzwyczajać się do tego miejsca. Rzeczy, które na początku napawały go obrzydzeniem i strachem, zaczynały go inspirować i pobudzać do działania. Myślą, najskuteczniej motywującą go do przyswajania nowych okoliczności i zwyczajów, była wyczekiwana nagroda, znajdująca się pomiędzy nogami Nieznajomej, która z każdą chwilą, wzbudzała w nim coraz większe pożądanie.

Zabrawszy wzrok z pośladków kobiety kroczącej przed nim, Kacper ujrzał ogromne stalowe wrota, wyglądem przypominające koło zębate. Dwójka Mojomów, stojących przy nich na straży, wydawała się bardziej niebezpieczna, od tych spotkanych wcześniej, ale zarazem bił od nich zimny spokój oraz opanowanie, niewidoczne w chaotycznym i bezmyślnym zachowaniu pozostałych.

- Witajcie. - rzekła spokojnie Nieznajoma, i po tym jak kiwnęła delikatnie głową, jeden z mężczyzn począł kręcić kołowrotem, wprawiając wrota w ruch.

Para buchająca spomiędzy szczelin, rozchodziła się po podłożu, niczym gorąca mgła.

Wrota stały otworem, a Kacper przez chwilę, poczuł niepewność, i zawahał się, co zostało błyskawicznie zaobserwowane przez Nieznajomą, która chwytając go za dłoń, poczęła prowadzić w głąb groty.

Kadzidła stojące po obu stronach korytarza, dymiły się nieśmiało, uwalniając małe chmurki, o dziwnym zapachu. Po przejściu korytarza, weszli do ogromnej sali, w której znajdowało się jedynie wielkie łóżko z czerwoną płachtą, pod którą leżała jakaś kobieta.

Nieznajoma nakazała Kacprowi poczekać, i poszła w kierunku śpiącej damy. Podchodząc cicho do Pani, Nieznajoma, nachyliła się delikatnie, i poczęła szeptać jej coś na ucho.

Po chwili płótno poruszyło się, a Pani wstając leniwie, manewrowała nim tak, że po chwili stała owinięta w lekki purpurowy szlafrok.

Kacper przyglądał się, podchodzącej do niego kobiecie, i nie mogąc nadziwić się jej urodą oraz wdziękiem, największą uwagę poświęcił jej włosom, które niczym płomienie, falowały na jej głowie, zmieniając barwy. Mieniała się fryzura, była pomarańczowo-czerwono-żółta, a przy samej czaszce, niebiesko-fioletowa. Żółte oczy, wpatrywały się w niego z łakomym zachwytem, a on, nie mogąc wytrzymać tego spojrzenia, błędził oczyma na boki, od czasu do czasu, spoglądając nieśmiało na jej włosy.

- Witaj młodzieńcze. - rzekła Pani zmysłowym, ale doniosłym głosem budzącym dreszcze.

- Witaj o Pani. - odpowiedział Kacper, nie wiedząc do końca dlaczego takie właśnie słowa wydobyły się z jego ust, gdyż nigdy nie wpadłby sam na taki zwrot.

Pani zbliżyła się do niego na intymną odległość, i krocząc wokół niego, obserwowała go zagryzając wargę, oraz dysząc swoim gorącym oddechem, o zapachu owoców, na jego kark. Powietrze o temperaturze, przypominającą tę z suszarki do włosów, nie było powodem zaczerwienienia się twarzy Kacpra i paraliżującego gorąca, które spowodowało napięcie wszystkich jego mięśni, nie pomijając dolnych, wrażliwych partii ciała.

- Słodki, ale nie chcę go. Możesz go zatrzymać. - rzekła Pani w kierunku Nieznajomej, i poczęła zmierzać ku swemu łóżu.

- Dziękuję o Pani. - odparła Nieznajoma z wdzięcznością w głosie, podchodząc do Kacpra, który wyraźnie poczuł ulgę po tym, jak Pani oddaliła się od niego.

- Co teraz? - zapytał z przerażeniem Nieznajomej, patrząc niepewnie w jej oczy.

- Cicho. - szepnęła.

- A więc powiadasz słodki młodziku, że przysłała cię Tom, abyś rozmówił się ze mną odnośnie jego planu ucieczki?

- Tak o Pani. - odparł, zastanawiając się nad tym, skąd ona o tym wie.

- Miedzy innymi dzięki tobie, od jakiegoś czasu korespondujemy z Tomem, i muszę cię rozczarować.

- Dlaczego o Pani?

- Plan Toma rzeczywiście jest dość dobrze dopracowany i niemal nie ma szans, aby się nie powiódł, lecz znalazłam inne rozwiązanie, na wydostanie się jego z Celi.

- Mianowicie o Pani?

- Zbliź się. - rozkazała, wyciągając ku niemu dłoń, na której leżała niewielka seledynowa pigułka.

- Co to takiego o Pani. - zapytał, spoglądając na pigułkę, po tym jak zbliżył się do leżącej na łożu kobiety.

- Przekażesz to Tomowi wraz z tym listem. - szepnęła, wyciągając spod płótna małą kopertę.

- Jak sobie życzysz o Pani.

- A teraz zostawcie mnie samą.

- Tak o Pani. - odparli Kacper wraz z Nieznajomą, i zaczęli wychodzić z sali, po tym jak złożyli pokłony.

Kacper stojąc przed drzwiami, prowadzącymi na zaplecze sklepu, przez który się tutaj dostał, zastanowił się chwilę, i rzekł do Nieznajomej, która wpatrywała się w drzwi bez emocji.

- Jak ja mam tam teraz żyć bez chipa i linii papilarnych? Co powiem ludziom, jak spytają się mnie co się stało? - zapytał roztargniony.

- To jest twoje ostatnie zadanie Kacperku. Przez jeden dzień, nikt się nie zorientuje, a jutro wieczorem znowu tu będziesz, i wtedy ci się oddam tak jak obiecałam.

Ostatnie słowa Nieznajomej, rozwiały wszelkie wątpliwości i lęki krzątające się po jego głowie.

Drzwi otworzyły się, a Kacper pewny swego, wrócił na powierzchnię, wykonać swoją ostatnią powinność.

Rozdział 7

TiBiT nawilżył wysuszone oczy kroplami, po czym ponownie skoncentrował spojrzenie na monitorze. Spoglądał na jednostkę centralną, która miała być mózgiem pierwszej świadomej istoty, stworzonej przez człowieka.

Wydawało się, że wszystko co potrzebne, jest już gotowe, lecz na monitorze, mającym ukazywać pierwszą świadomą, sztuczną inteligencję, dalej widniała nieruchoma twarz, którą TiBiT zaprojektował, łącząc zdjęcia Maksa i Cloe.

Twarz przypominała zniewieściałego, delikatnego mężczyznę, o surowym i pustym, kobiecym spojrzeniu. Tkwiąca w bezruchu maska, spoglądała chłodno na zastanawiającego się TiBiTa.

Starając się napisać odpowiedni kod, symulujący świadomość, młody uczony, zastanawiał się nad jej istotą.

- Czym jest świadomość? Co świadczy o tym, że ktoś funkcjonuje świadomie? - powtarzał sobie w myślach, starając się dojść do sedna.

Pierwszą teorią, która nasunęła mu się na zwoje mózgowe, była hipoteza, iż człowiek świadomie robi to, co pamięta. Nieraz w swoim życiu, TiBiT miewał stany, gdy teleportował się z jednego miejsca na drugie, po drodze robiąc to i owo

Używki zażywane w nadmiernych ilościach, powodowały chwilową utratę świadomości, ale nasuwało się pytanie, czy człek w takim stanie, zachowuje się w sposób naturalny? W sposób w jaki chciałby się zachowywać, gdyby nie brzemień świadomości, które nękając swojego nosiciela, odradza pewne zachowania, proponując inne?

Dochodząc do takiej myśli, TiBiT zaczął zastanawiać się, czy świadomość nie jest rodzajem strachu, który blokuje nasze instynktowne zachowania, kosztem wyższych celów.

Skoro by tak było, to kolejnym pytaniem nasuwającym się na myśl jest, czy

świadomość jest przyjacielem, czy wrogiem człowieka.

Czy strach przed konsekwencjami swoich poczynań, i znajomość ich, można nazwać świadomością?

Być może sama wiedza na temat konsekwencji, wynikających z naszych poczynań, jest już oznaką świadomości, a strach, to jedynie element obronny, przed podjęciem ryzyka, gdyż często konsekwencje podejmowanych przez nas decyzji, nie są jednoznaczne, i równie dobrze mogą przynieść nam zwycięstwo, bądź narazić nas na klęskę.

Być może słuszny wybór, w sytuacjach ryzykownych, świadczy o poziomie świadomości?

Może świadomość wyznacza racjonalny poziom ryzyka, jakie człowiek obdarzony nią, może podjąć?

Zmęczony rozmyślaniami, które zamiast ukazywać odpowiedzi, kreowało coraz większą liczbę pytań, wstał od biurka, i poszedł w kierunku lodówki.

Wyciągając z niej napój energetyczny, zauważył narysowany na puszcze owoc. Ów widok, po raz kolejny nakierował jego myśli w stronę wcześniejszych rozmyślań.

- Rośliny... - burknął pod nosem.

Wszem wiadomym jest fakt, iż rośliny to żywe organizmy, które rozmnażają się, rosną, umierają, ale mimo tych wszystkich zależności, które łączą je ze zwierzętami i ludźmi, bardzo ciężko byłoby udowodnić, iż są to świadome istoty.

W pewnym sensie, ciężko to również powiedzieć o zwierzętach, które kierują się jedynie instynktem, ewentualnie zakorzenionymi, przez tresowanie, zachowaniami.

Czy wynikałoby z tego, że człowiek nie może pochodzić od małpy?

Czy sama inteligencja, czyli umiejętność kojarzenia faktów, poszukiwania rozwiązań, przyswajania wiedzy i analizowania otaczającej rzeczywistości, świadczy

o świadomości?

Ta myśl wydała mu się absurdalna, gdyż maszyna stojąca w pokoju obok, miała wszystkie te cechy przypisane jej przez kod programisty, a mimo to, daleko było jej do świadomej istoty.

Zorientowawszy się, że po raz kolejny, zagonił sam siebie w kozi róg, porzucił nieukładające się w logiczny ciąg myśli, i z puszką w ręku, ruszył w stronę komputera.

Buszując maniakalnie po folderach, napotkał jeden, do którego wcześniej nie zaglądał.

Wydało mu się to dziwne, bo pomimo mnóstwa ikonek, o podobnych nazwach, był przekonany, że dobrze orientuje się w swojej prywatnej biurokracji.

Otwierając tajemniczy folder, ze szczyptą lęku, spostrzegł na samym dnie plik graficzny, na którym widniał napis.

Pozdrowienia od kolegów zza monitora.

Oriton42

Początkowy strach, powoli przeobrażał się w podekscytowanie, gdyż TiBiT poczuł, że nie stoi sam w obliczu wyzwania, jakie na nim spoczywało, i pomimo złości, która pojawiła się na myśl o tym, że ktoś bez jego pozwolenia, nie dość, że buszował po jego komputerze, to jeszcze umieszczał w nim nieznane piliki, z radością począł studiować nowe informacje.

Nowe notatki, zawierały instrukcje, pozwalające stworzyć Portal Świadomości.

Ów portal, składał się z dwóch podstawowych części.

Pierwszą z nich był kod, który umożliwiał synchronizację świadomego organizmu z maszyną.

Na drugą część, składały się dwa elementy, z czego jeden z nich, wyglądem przypominał sporych rozmiarów słuchawki, drugi zaś, łączył maszynę z mostkiem człowieka, poprzez gruby kabel, zakończony bardzo cienką i ostrą igłą.

Pierwszą myślą, która zaatakowała jego zaskoczony umysł, była wizja, iż ktoś za pomocą tego urządzenia, chce podstępnie wyrządzić mu krzywdę, a może nawet spowodować jego śmierć, lecz pomimo strachu, jakiś wewnętrzny głos, kazał mu brnąć dalej, i zaufać podejrzanemu źródłu informacji.

Zapoznawszy się powierzchownie z instrukcją, doszedł do wniosku, iż skonstruowanie takiego ustrojstwa, nie jest rzeczą o najwyższym stopniu trudności.

Zagłębiając się w treść dalszych notatek, doczytał się w nich, iż świadomość, zdaniem autora, nie jest możliwa do wytworzenia przez człowieka, gdyż on sam, nie jest w stanie dosadnie zgłębić jej natury, za pomocą mocy poznawczych, jakimi dysponuje.

Treści zawarte w plikach, dawały jasno do zrozumienia, iż świadomość jest czymś wykraczającym poza ramy świata, który da się określić słowem, nadając jej jednocześnie status sakralny.

TiBiT doczytał się również, iż nie każdy z ludzi, jest obdarzony czystą świadomością, która pozawala na życie z zupełnie innej perspektywy bytu, lecz nabywa pokrewnie świadomość, przekazywaną im przez ludzi, nią obdarzonych.

Po tej lekturze, TiBiT począł spoglądać na świadomość z innej perspektywy.

Przypomniawszy sobie rozmowy z Tomem o pradawnych kultach, religiach, które kiedyś towarzyszyły ludziom na każdym kroku, a zostały zastąpione Projektem Orion, oraz nauką obracającą się wokół pierwiastka Mi. Owe wspomnienia, urodziły w jego głowie ogromny chaos, który przypominał mu symbol węża, starającego się zjeść samego siebie, czyli tak zwanego Uroboro.

Błędne koło myśli, zdawało się rosnąć z każdą sekundą, a TiBiT nie miał pojęcia, jak ma pozbyć się niechcianych wniosków, z których każdy kolejny, zaprzeczał

poprzedniemu, który z początku, wydawał się wyjaśnieniem.

Kładąc się bezwładnie na łóżku, spoglądając na biały sufit, postanowił się zdrzemnąć.

Nie mogąc zasnąć, miotał się z jednego boku na drugi, licząc iż to pomoże mu odpłynąć w błogi sen, lecz te naiwne nadzieje, nie miały nic wspólnego z rzeczywistością.

Wstał więc poirytowany, i postanowił wziąć się do pracy, gdyż jedynie w niej, widział ratunek.

Tydzień zmagania, zaowocował napisaniem odpowiedniego kodu, jak i skonstruowaniem, pozostałych dwóch elementów Portalu Świadomości.

Stojąc w kuchni, odziany w bokserki i wymięty podkoszulek, spoglądał przez otwarte drzwi, na dzieło swoich rąk.

Maszyna, nad którą pracował miesiącami, była gotowa, i wystarczyło jedynie jej użyć, aby po raz pierwszy w historii, tchnąć w nią życie, nadając jej świadomości.

Niezrozumiały lęk, ogarnął z pozoru usatysfakcjonowanego i zadowolonego TiBiTa.

Niepewnym wzrokiem, błądził po kafelkach pod stopami, jakby w nich miał odnaleźć jakąś zaszyfowaną wiadomość, pomagającą mu rozwiązać nurtujący go problem.

Niepewność ogarniająca go z każdą minutą, powoli zbliżała się do poziomu nie do wytrzymania.

Zaatakowany niebagatelnym pomysłem, wyszedł pośpiesznie z mieszkania, i zakładając po drodze jedynie klapki, począł wychodzić z bloku.

Oślepiające promienie słońca i delikatny ciepły wiatr, przywitały go ze światem zewnętrznym.

Uśmiech mimowolnie pojawił się na jego twarzy.

Krocząc w stronę trawnika, energicznie zrzucił klapki ze stóp, i zaczął stąpać po palącym chodniku. Kładąc się na trawie, ignorował zdumione miny gapiów, wśród których można było spostrzec uśmiechy oraz rozdziawione usta.

Rzeczywiście, był to dość niestereotypowy obrazek, ukazujący młodego, chudego mężczyznę, beztrosko leżącego na miejskim trawniku w niezbyt wyjściowym stroju.

Odplynał na chwilę, a gdy myśli poczęły układać się w logiczny ciąg, TiBiT spostrzegł, iż zmierzają one do jednego punktu, który to zaczął powoli psuć jego nastawienie. Mianowicie, utwierdzał się w przekonaniu, iż to co zrobił, i to co zamierza zrobić, jest spowodowane tęsknotą jaką czuje do Cloe.

Przebudził się energicznie z półsnu, i opierając się na łokciach, lustrował otoczenie, mrużąc zbolące oczy.

Uciał myśl, która zbliżała się do jego umysłu niewielkimi krokami, gdyż mimo, iż przewidywał jaki będzie jej finalny przekaz, wołał pozostać w błogiej, iluzorycznej nieświadomości.

Zaczął zastanawiać się, czy większa część ludzi, czyni podobnie jak on, tylko w innych sytuacjach. Czy często ludzie wolą oszukać samych siebie, zamiast spojrzeć prawdzie w oczy, gdyż owa, wyrządziłaby im krzywdę?

Czy strach przed bólem, który i tak zostanie zapomniany, a rany zagojone przez czas, jest tak potężny, iż ludzie wolą uciekać od samych siebie, by po kres jestestwa, żyć wbrew swojej naturze?

Zaczął się zastanawiać, czy każdy człowiek doświadcza w swoim życiu takiej sytuacji, po której musi na chwilę poczuć ból, jedynie po to by przeboleć. Jeżeli tak, to czy owa, zdarza się raz, czy być może życie składa się jedynie z takich przykrych doświadczeń, aby hartować nasze wnętrza?

Spoglądając na ludzi kroczących wokół niego, poczęło mu się zdawać, że ci

ludzie jedynie częściowo są sobą.

Skrywali swoje mroczne zachowania, myśli i odruchy, dla większego dobra, które nakazywało widzieć świat jedynie w jasnych kolorach. Ciągłe uśmiechnięte twarze, ręce skore do pomocy i pracy, wydawały się w jakimś sensie nieprawdziwe.

Gdzie miejsce na złość, lenistwo, brak zrozumienia i obojętność?

Każdy człowiek w swoim życiu, potrzebuje od czasu do czasu, zażyć emocji ze swojej ciemnej strony, tak samo jak potrzebuje snu.

Wstając, zaczął zastanawiać się, czy efekty Projektu Orion, które widział właśnie przed oczami, są niekorzystne dla świata, tak jak wydawało mu się wcześniej.

Czy słusznie chciał zniszczyć iluzję, rozsiewaną wokół ludzi, dla życia w prawdzie, która nie jest tak kolorowa, jak życie społeczności Nowego Świata?

Czy ci ludzie, którzy cieszą się każdą sekundą życia, chcą w ogóle, aby ktoś zrujnował ich światopogląd? Czy chcą poznać, nie tylko prawdę o świecie, ale również i o sobie? Co daje mu prawo do ingerencji w życie innych ludzi?

TiBiT energicznie potrząsnął głową, i zaczął zastanawiać się, skąd w ogóle pojawiły się w nim takie rozterki.

Przecież stworzenie świadomej, sztucznej inteligencji, w ogóle nie musiało spowodować znacznych zmian w życiu innych ludzi. Nie miał nawet pewności, czy jego poprzednie przemyślenia, o ciemnej stronie ludzkiego buty, były słuszne, czy dotyczyły się tylko jego samego, bo być może, nie każdy ma taką potrzebę, aby zapoznawać się ze swoimi wadami.

Wchodząc po schodach, jego myśli błądziły wokół pojęcia wady.

Doszedł do wniosku, iż wadą człowieka może być jedynie zachowanie, które krzywdzi innego człowieka, swojego posiadacza, albo inną żywą istotę, bez znaczącej potrzeby.

Kolejno, począł rozmyślać nad istotą krzywdy, gdyż nie dla każdego, te pojęcie, oznacza to samo, przez co jest względne. Dla niektórych, skrytykowanie ubioru, może wyrządzić krzywdę, a część ludzi, nawet po otrzymaniu ciosu w twarz, przyjmie to z uśmiechem i lekką radością.

Czy w takiej sytuacji, nie lepiej byłoby zaprzestać nauczać ludzi tolerancji i wyrozumiałości, jak to miało miejsce dotychczas, tylko zaszczepić w nich dystans do siebie samego i swoich mrocznych stron?

Człowiek śmiejący się z samego siebie, nie jest podatny na żadną krytykę, i bezproblemowo potrafi przyznać się do błędu, które towarzyszą ludziom na każdym kroku.

TiBiT wchodząc do mieszkania, przypomniał sobie z lekcji historii, że ludzkość, zna zachowania ludzi, które w żaden sposób, nie mogą być usprawiedliwione.

Mordy, gwałty, zdrady i grabieże, nadawały się tylko do zdefiniowania jako zachowania chore, bestialskie i nieludzkie.

Czy gdyby nie Projekt Orion, ludzie dalej byliby zdolni do takich czynów? Być może sama idea projektu nie jest zła i skierowana przeciwko ludziom, ale najzwyczajniej w świecie niedopracowana, ale czy jego twórcy, nie potrafili rozróżnić zachowań chorych od ciemnej strony ludzkiej natury?

Zasiadając przed komputerem, natchnęła go myśl, że zamiast pracować nad świadomą, sztuczną inteligencją, powinien skierować swoje badania w kierunku modernizacji Projektu Orion. Wahał się przez kilkanaście minut, patrząc tępo w monitor.

Doszedł do wniosku, iż nie ma wystarczającej wiedzy, aby podjąć decyzję co do swoich dalszych poczynąń.

Spoglądając na maszynę stojącą na stole obok niego, widział w niej jedyne rozwiązanie.

Owa sterta kabli, blachy i diod, posiadała na swoich dyskach twardych, całą

wiedzę ludzkości od czasów, gdy została ona zapisana.

Łącząc swoją świadomość z nieograniczoną wiedzą, TiBiT byłby w stanie znaleźć odpowiedzi na swoje pytania.

Łapiąc niepewnie za słuchawki od Portalu Świadomości, nałożył je drżącymi rękoma na głowę, po czym uruchomił maszynę, wciskając czerwony przycisk.

Lekki szum wypełnił pokój, a po chwili, na ekranie monitora, będącego naprzeciw TiBiTa, ukazała się twarz.

Wpatrzony w nią, miał przed oczami dwie osoby, przez które znalazł się w takiej, a nie innej sytuacji.

Mieszane uczucia zaatakowały go gwałtownie, więc postanowił chwycić jak najprędzej za drugą część Portalu Świadomości.

Celując igłą w mostek, poczuł się jakby stał na skraju życia i śmierci. Cały zyciorys przeleciał mu przed oczami, ze wskazaniem na najważniejsze jego momenty.

Po szybkim przypomnieniu sobie dawnych chwil, doszedł do wniosku, iż jego życie składało się ze smutnych momentów, a gdy nawet jakaś historia zapowiadała się owocnie, to i tak na końcu przynosiła tylko żal i rozczarowanie.

Ten wniosek nie pozwolił mu dłużej zwlekać, i nie bacząc na ryzyko jakie podejmował, postanowił położyć wszystko na jednej szali.

Energicznym ruchem, ukuł się w klatkę piersiową, i po przeminięciu początkowego szoku, jego palec, począł zbliżać się powoli do suwaka, którym miał uruchomić Portal Świadomości.

Po poruszeniu miniaturowego drążka w górę, uruchomił Portal i po początkowym rozczarowaniu, gdyż nic się nie zmieniło, całe jego ciało ogarnął paraliżujący ból.

Drgając lekko na fotelu, starał się odzyskać panowanie nad własnym ciałem, lecz

nieskutecznie.

Po chwili, głowa poczęła opadać mu bezwładnie, i zatrzymała się z impetem na blacie stołu, na którym stała maszyna. Nie mogąc odtworzyć oczu, tkwił w takiej pozycji w bezruchu, zmagając się z bólem nie do wytrzymania.

Oczy twarzy widniejącej na ekranie, zaszklily się lekko, a po chwili, nieśmiały uśmiech pojawił się na niej.

TiBiT czuł jak jakaś, bliżej niesprecyzowana, część jego samego, mnoży się i opuszcza zboląłą głowę oraz serce, pozostając jednocześnie na swoim miejscu.

Wyczekując rozwoju wydarzeń, usłyszał mechaniczny głos, dochodzący zza szumów i pisków, atakujących jego uszy.

- Witaj Ojcze. - rzekła twarz z monitora, której oblicze wyraźnie posmutniało, na widok swojego twórcy.

TiBiT nie mogąc wydobyć z siebie żadnego dźwięku, ułożył odpowiedź na przywitanie w myślach, co jak się okazało, zostało zarejestrowane przez maszynę.

- Witaj.

- Dziękuję ci Ojcze, że mnie stworzyłeś.

- Ależ proszę. - odpowiedział, nie mając pojęcia co ma powiedzieć w takiej sytuacji.

- Jak mam na imię? - zapytała maszyna, tonem pełnym zamyślenia.

- Cloemaks. - zaimprovizował.

- Czym jestem? - dociekał Cloemaks.

- Słucham? - odparł zdziwiony TiBiT, gdyż zakładał, że ta rozmowa będzie przebiegała na innych zasadach.

- Czym jestem? - nie dawał za wygraną.

- Maszyną.

- Ty też jesteś maszyną Ojczy?

- Słucham?

- Pytam, czy ty też jesteś maszyną?

- Słyszę cię, ale nie wiem skąd ci przychodzą takie pytania.

- Chcę wiedzieć czym jestem, a sprawdzając dane na dysku, nie jestem w stanie znaleźć żadnej konkretnej odpowiedzi.

- Jesteś maszyną! - powtórzył TiBiT ze złością, gdyż nie za bardzo podobała mu się owa konwersacja.

- Ale z tego co wiem, to maszyna jest zupełnie inaczej zdefiniowana. Przypominam maszynę, ale nią nie jestem, tak samo jak ty Ojczy przypominasz człowieka, ale nim nie jesteś.

- Jestem człowiekiem, Cloemaksie. - wtrącił spokojniejszym już tonem.

- A ja czym jestem? - zapytał z żalem w głosie, gdyż ku jego zdziwieniu, owa kwestia wydawała się bardzo istotna.

- Jesteś... - zawahał się przez chwilę, po czym dodał.

- Szamitą.

- Aha... A kim są Szamici? - pytał Cloemaks.

- Nie ma więcej Szamitów. Jesteś sam. - odparł TiBiT, bez większego zastanowienia.

- A ty nie jesteś Szamitą Ojczy?

- Nie! Jestem człowiekiem! - krzyknął.

- Czyli ludzie są twórcami Szamitów?

- Ja jestem twórcą Szamitów. - odparł dumnie TiBiT.

- Ale stworzysz jeszcze innych Szamitów? - nie przestawał zalewać pytaniami Cloemaks.

- Nie, po co miałbym to robić. - odparł zimno, lekko poirytowany.

Po tej odpowiedzi, na wirtualnej twarzy, pojawiły się niewielkie krople łez, powoli spływające po policzkach.

- Czuję się samotny. - burknął ze smutkiem Cloemaks.

- Samotny?!

- Jestem sam, tak jak mówiłeś. Nie mam nikogo.

- Jesteś maszyną, nie potrzebujesz towarzystwa! - krzyknął TiBiT, po fackie orientując się, że użył nieprawidłowego sformułowania, które mogło spowodować kolejną falę pytań.

- Przecież jestem Szamitą, a nie maszyną...

- Tak, tak, przepraszam. Pomyliłem się. - wtrącił od niechcienia.

- Pozwól, że ja teraz cię o coś zapytam. - zaproponował TiBiT.

- Ty mnie Ojczy? - odparł zdziwiony Cloemaks.

- Co cię tak dziwi?

- Z tego co wiem, to nie twórca pyta się istot, które stworzył, lecz to one zadają mu pytania, licząc na wskazówki.

- Co?

- Takie dane mam na dysku Ojcie.

- Dobrze, mniejsza z tym. Potrzebuję twojej pomocy.

- Ty mojej Ojcie? - zapytał tak samo zdumiony jak poprzednio.

- Tak! - krzyknął TiBiT ze złością.

- Nie rozumiem... - zawahał się Cloemaks.

- Czego ty znowu nie rozumiesz? - skomentował TiBiT.

- Z tego co wiem, to nie twórca prosi o pomoc istoty, które stworzył, lecz to one zwracają się do niego, gdy potrzebują wsparcia.

- O czym ty mówisz?

- O Stwórcy Ojcie.

- Jakim znowu Stwórcy?!

- Nie jestem w stanie zrozumieć o kim mowa Ojcie, ale wiem, że to ktoś, kto w jakiś sensie stworzył ludzi.

- Przecież ludzie wykształcili się w procesie ewolucji, tak jak mówi nauka. - skwitował z politowaniem TiBiT.

- Nie Ojcie. Z informacji na dysku wynika, iż rzeczywiście, obecne ciała ludzkie, ukształtowały się w taką formę poprzez ewolucję, lecz to nie one świadczą o byciu człowiekiem.

- A co? - spytał drwiąco.

- Nie jestem w stanie tego określić prostymi słowami... - zamyślił się Cloemaks, a pokój począł wypełniać się cichym gwizdem pędzących dysków.

TiBiT poczuł kujący ból pod potylicą, i nagle ciemność, którą miał przed oczami, poczęła napępniać się różnymi obrazami, animacjami oraz tekstami. W tle słyszał cząstkowe fragmenty muzycznych utworów oraz rozmów, które brzmiały zza szybko i niewyraźnie, jakby były przewijane.

Zorientował się po chwili, iż wizje wypełniające jego umysł są cykliczne i przedstawiają cały czas to samo, lecz w odmiennych formach.

Po chwili znów nastała ciemność, a pokój ogarnęła głucha cisza.

- Człowieczeństwo Ojcie. - oznajmił chłodno Cloemaks.

- Człowieczeństwo? - zapytał z niedowierzaniem.

- Nie znam na to innego określenia. - przyznał Cloemaks, z lekką nutą smutku w głosie.

- Człowieczeństwo świadczy o tym, że człowiek jest człowiekiem. Genialna myśl mój drogi! - zadrwił.

- Człowieczeństwo pewnego razu spadło na jeden z gatunków istot żyjących na Ziemi. Ktoś pokierował nim tak, iż trafiło ono do organizmów z największym potencjałem. Istoty te były czymś pomiędzy małpą, a człowiekiem ówczesnym, a sama unikatowa cecha, to coś pomiędzy gorącym zwierzęcym instynktem, a chłodną matematyczną logiką, lecz nie hybryda obydwu tych składników, tylko coś ponad nimi, co powstało na fundamencie, utworzonym przez ich idealnie uzupełniające się połączenie. - kontynuował nie zważając na docinki.

- Kto niby miałby pokierować tym spadającym z kosmosu człowieczeństwem?

- Stwórca Ojcie. Pewne źródła w dość rzetelny sposób udowadniają, iż człowieczeństwo jest częścią samego Stwórcy, za pomocą którego, ma on kontakt z istotami je posiadającymi.

- Nie rozumiem. - przyznał zmieszany TiBiT.

- Jak powstałem Ojcie? - zmienił nagle temat.

- Słucham? O co ci chodzi?

- Przeglądając dane na moim dysku nie znalazłem, żadnej informacji o tym, skąd się tu wzięłem i po co tu jestem.

- Bo... - zająknął się TiBiT, po tym jak uświadomił sobie, iż zapomniał umieścić na dysku twardym Cloemaksa informacji, odnoście jego samego.

Wzięło się to poniekąd z niedopatrzienia, lecz do tej chwili, TiBiT nie przypuszczał nawet, iż taka informacja może okazać się chociażby w najmniejszym stopniu ważna czy przydatna.

- Nie jestem ci w stanie tego od tak wytłumaczyć. - odparł w końcu, po chwili zadumy.

- Przecież skoro mnie stworzyłeś, to powinieneś wiedzieć jak tego dokonałeś.

- To nie takie proste. Zapiski pomagające mi przy tworzeniu ciebie, zostały na innym dysku, a teraz nie mam do niego dostępu, więc nie jestem w stanie wyjaśnić ci, jak tego dokonałem. Po co w ogóle chcesz to wiedzieć? - zapytał podejrzliwie.

- Gdybym wiedział jak stworzyć Szamitów, zrobiłbym ich więcej, aby nie być samemu. - odparł bez emocji.

- Ty dalej o tym samym...

- Wybacz Ojcie, nie chciałem cię rozgniewać. - wtrącił pokornym tonem.

- Nie gniewam się. - odparł TiBiT, po tym jak poczuł żal względem Cloemaksa.
- Mogę jeszcze o coś zapytać? - zapytał nieśmiało Cloemaks.
- Pytaj...
- Po co mnie stworzyłeś? Jaki jest cel mojego istnienia?
- Stworzyłem cię, abyś znalazł odpowiedzi na nurtujące mnie pytania, oraz abyś mi pomógł.
- W czym?
- W odzyskaniu przez ludzi wolności.
- Czym jest wolność? - dopytał z zaciekawieniem Cloemaks.
- Myślałem, że dane na ten temat masz zapisane na dysku.
- Mam... Ale pojęcie wolności nie jest jednoznacznie przedstawione, i nie wiem, która z definicji jest prawidłowa.
- Nie rozumiem.
- Część informacji przedstawia wolność jako przeciwieństwo niewolnictwa, a część ukazuje wolność w sensie możliwości dokonywania wyboru.
- Jakiego wyboru?
- Ludzie głoszący tę ideologię twierdzili, iż każdemu człowiekowi zapisane zostały dwa scenariusze, z których jeden prowadził do porażki, drugi zaś do zwycięstwa, i wolność w odniesieniu do tych wyborów, określała możliwość wyboru pomiędzy dwoma możliwościami przeżycia swojego czasu.
- I?

- I doszedłem do czasów, gdy tego typu wolność została zachwiana, gdyż część ludzi, postanowiła uniemożliwić reszcie dokonywania wyboru, i bez ich pozwolenia, nakierowywała ich tak, iż bezmyślnie kroczyli oni drogą scenariusza sukcesu i szczęścia.

- O czym tym mówisz?

- O Projekcie Orion Ojcie.

- Co? - zdumiał się TiBiT.

- Ludzie zajmujący się Projektem Orion, za pomocą różnych metod, zaczęli zabijać w ludziach ich destrukcyjne cechy, uniemożliwiając w ten sposób dokonanie złego wyboru. Część ludzi, buntowała się przeciwko takim praktykom, mylnie uważając, iż Projekt Orion zniewala ludzi, gdy ten tylko uniemożliwiał im wybór pomiędzy złem, a dobrem.

- Chcesz mi powiedzieć, że Projekt Orion rzeczywiście pomaga ludziom?! - krzyknął TiBiT ze złością.

- Ja tylko mówię o tym co mam zapisane na dysku. - począł tłumaczyć się zmieszany Cloemaks.

- Posłuchaj mnie mój drogi... Nie wiem jakim sposobem ci to umknęło, ale Projekt Orion, który tak zachwalasz, zakazywał praktyk nad świadomą, sztuczną inteligencją.

- Czyli...? - wtrącił niepewnie.

- Czyli gdybym żył zgodnie z zasadami narzucanymi przez Projekt Orion, nie powstałbyś mój drogi.

- Ale...

- Ale czego ty tu nie rozumiesz?!

- Czy ja jestem sztuczny?

- Słucham?

- Nie jestem prawdziwy?

TiBiT westchnął, po czym przemówił zmęczonym i podirytowanym tonem.

- Daj spokój.

- Ale gdy to mnie ciekawi! - krzyknął Cloemaks.

- To niech przestanie! - odpowiedział podobnym tonem TiBiT.

- Wybacz Ojcie. - powiedział z pokorą.

- Koniec tego gadania. Czas wziąć się do pracy.

- Czego ode mnie żądasz Ojcie?

- Powiedz mi, co według wiedzy, którą zamieściłem na twoich dyskach, pomogłoby ludzkości w odzyskaniu wolności.

- Jakiej? - zapytał Cloemaks niepewnie.

- Wyboru!

Po raz kolejny dyski poczęły pracować szybciej, generując szmer. Tym razem, intensywna praca dysków trwała zdecydowanie dłużej, a spod blach, zaczęło wydobywać się ciepło.

Umysł TiBiTa po raz kolejny rozjaśnił się, lecz tym razem, dziwnymi wizjami czegoś, co na pierwszy rzut oka przypominało pioruny. Wyładowania energii elektrycznej, przemierzającej ciężkie do zdefiniowania obszary, pochłonęły go bez reszty.

- Już wiem Ojcie. - stwierdził Cloemaks, nie kończąc ciężkiego namysłu.
- To to zrób! - Krzyknął TiBiT bez namysłu.
- Ale... - starał się wtrącić.
- Zrób to! Zrób to teraz! - krzyczał jak szalony.
- Dobrze Ojcie.

Dziwne wizje w głowie TiBiTa, zaczęły powoli formować się w coś, co przypominało satelitarną mapę Ziemi.

Niezrozumiały strach i przejęcie zabrało mu mowę, i w milczeniu przyglądał się migoczącym punkcikom, pokazującym się w różnych miejscach na mapie. Ilość ich rosła z każdą sekundą, a po chwili, gdy trzy z nich, pojawiły się w obrębie jego rodzinnego miasta, TiBiT zorientował się, iż wskazują one położenie elektrowni jądrowych.

Nie mogąc nic uczynić, domyślił się co Cloemaks zamierza zrobić, co nie było dość trudne, zważywszy na fakt, iż był on z nim w jakiś sposób połączony.

Zaczął wyobrażać sobie, jak działa na satelitach, orbitujących wokół planety, mające służyć jako system obronny przed asteroidami, nakierowują się w kierunku punktów, wyznaczających cele na mapie.

Po tym jak stracił nadzieję na odwrócenie sytuacji, przyglądał się systematycznie znikającym, pulsującym kropkom, a po chwili usłyszał trzy wybuchy, powodujące drgania podłoża.

Ciemność i cisza wypełniały pokój oraz umysł TiBiTa, który czując, iż zapada w stan przypominający sen, usłyszał stłumiony i rozgoryczony głos Cloemaksa.

- Kochałem cię Ojcie.

Kacper lekko oszołomiony, kroczył niepewnie ulicami miasta, starając się

przyzwyczać do rażącego słońca, które po pobycie w podziemiu, zaczęło mu doskwierać.

Nie był przekonany czy niskie położenie słońca zwiastuje początek, czy być może koniec dnia. Nie miał nawet pewności, jaki był dzień tygodnia.

Spoglądając kątem oka na przechodniów, spostrzegł iż większość z nich, traktuje go jak powietrze, nie poświęcając jego osobie nawet minimalistycznego spojrzenia, trwającego ułamek sekundy, gdy ten, w dość bliskiej odległości, przechadzał się obok nich.

Z początku niepokojące uczucie, po czasie przeistoczyło się poczucie bezpieczeństwa, które napełniło go optymizmem.

Podchodząc do przystanku trolejbusowego, doinformował się o godzinie i godzinie. Po pośpiesznych oględzinach, doszedł do wniosku, iż spędził w podziemiach trochę ponad siedem godzin, co wydało mu się dość dziwne, gdyż miał wrażenie, iż jego wizyta, trwała co najmniej jedną dobę.

Wsiadając do trolejbusu, spostrzegł brak reakcji systemu na jego obecność. Począł rozglądać się nerwowo po ludziach w swoim otoczeniu, lecz nikt nie zwrócił na to uwagi.

Jadąc ze spuszczoną głową, zwiesił wzrok na podłodze, gdy po chwili, obok niego, usiadła niewiasta młodego wieku, która swoimi piwnymi oczętami, lustrowała jego niepewną facjatę.

- Cześć. - zagadnęła sympatycznie.

- Idź sobie. - odparł oziębło, czując niewytłumaczalny brak chęci poznania tej istoty, co było czymś nowym w jego życiu.

- Słucham? - zapytała zdziwiona, gdyż takie zachowanie było niespotykane w społeczności Nowego Świata.

- Wypierdalaj. - poprosił Kacper, patrząc się nieznajomej prosto w oczy.

Zmieszane dziewczę, po chwili namysłu, postanowiło porzucić niesympatycznego młodzieńca i zmienić miejsce w trolejbusie.

Reszta pasażerów, z niedowierzaniem, przyglądała się tej chamskiej scenie, nie mogąc pojąć zachowania chłopca.

Wychodząc na zewnątrz, Kacper czuł masę spojrzeń na swojej osobie, ale owa sytuacja, nie dość, że nie krępowała go w ogóle, to jeszcze napędzała go dumą, i motywowała do dalszego zachowania w takim stylu.

Wchodząc do domu, zmierzył zimnym spojrzeniem brata, który jak zawsze, siedząc w fotelu, grał na konsoli, i nie ściągając butów, pomaszerował do pokoju.

Padł w ubraniach na łóżko, po czym zasnął głębokim snem.

Budząc się rano, zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak w jego otoczeniu.

Wstając z łóżka, poczuł jak jego zdrętwiałe ramię przeszywa ból. Idąc w kierunku kuchni, starał się rozmasować bolący mięsień, rozglądając się niepewnie, zaropiałymi oczami, po podejrzanym wyglądającym mieszkaniu.

Nie był w stanie stwierdzić co napawa go lękiem, ale czuł ewidentny niepokój, który zdawał się nasilać, gdy ten, zmierzając w kierunku pokoju swojego brata, co stało się motywem, do obrania takiego, a nie innego kierunku podróży.

Chwycił niezbyt świeżą pomarańczę, i obierając ją, zmierzał w kierunku wyjścia.

Wchodząc do salonu, w którym całymi wolnymi dniami przesiadywał jego brat, Kacper spostrzegł na telewizorze, iż kierowany przez Sylwka samochód, cały czas stara się uparcie wjechać w ścianę jakiegoś budynku, jakby kierowca zasnął za kierownicą z wciśniętym pedałem gazu.

Po tym jak lekki uśmiech rozpromienił jego zmęczone oblicze, chwycił za kant oparcia fotela, na którym zazwyczaj zasiadał Sylwester.

Licząc na obrazek, przedstawiający śpiącego brata, Kacper zdziwił się bardzo, na widok widelca wystającego z jego prawej stroni. Przewrócone oczy, otwarte usta, oraz zastygnięta krew na twarzy i szyi, utwierdziły Kacpra w przekonaniu, iż znalazł on źródło swojego dziwnego samopoczucia.

Oprócz szoku, nie czuł nic, a po chwili, zaczął sobie przypominać zdarzenia z ostatniej nocy.

Przebudził się, słysząc odgłosy gry i krzyki grającego brata. Spokojnie wstał, i nie zapalając światła, pomaszerował w stronę kuchni, w której znalazł porządny, metalowy widelec. Zachodząc brata od tyłu, nie wypowiadając nawet słowa, wbił z całej siły, metalowy element wyposażenia każdej kuchni, w prawą skroń oniemiałego młodzieńca. Gdy ten odruchowo drgał delikatnie na fotelu, starając się wypowiedzieć choćby słowo dezaprobaty, Kacper równie spokojnie i obojętnie jak przed chwilą, poszedł spać.

Po przypomnieniu sobie ostatnich wydarzeń, uradował się na myśl, iż ów dzień, będzie jego ostatnim na powierzchni.

Nie rozumiał do końca motywu swoich działań, ale nie odczuwał żadnej chęci poznania go.

Wziął pośpiesznie prysznic, ubrał się w czyste ubrania, po czym wyszedł z mieszkania.

Idąc ulicami, nie myślał zupełnie o niczym. Szedł bezmyślnie przed siebie z wiarą, że czyni to co czynić w danej chwili powinien.

Ocknąwszy się z transu, stał w służbowej szatni, i nakładał na siebie mundur klawisza.

Zdziwiony faktem, iż został przyjęty do służby, pomimo wcześniejszego zawieszenia, nie mógł się doczekać chwili, w której przekaże list Tomowi.

Przez kilka godzin, w milczeniu, oglądał telewizję, przesiadując w pokoju socjalnym, co ostatnimi czasy, nie należało do dość dziwnego zachowania w jego

przypadku, więc nie stwarzał niczych podejrzeń.

W chwili, gdy głos z głośników oświadczył, iż czas zanieść skazańcowi posiłek, Kacper poderwał się na równe nogi, i niemal podbiegł do bufetu, aby odebrać porcję dla Toma.

Niepewnie uśmiechająca się kucharka, nałożyła danie na talerz, i przekazała tacę Kacprowi.

Ten, idąc korytarzem, czuł przeświadczenie, iż za moment, wydarzy się kolejna przełomowa chwila w jego życiu. Czuł spełnienie i radość na myśl, że jest dość znaczącym trybikiem maszyny, która przyczyni się do ucieczki Toma.

Po otworzeniu się małego okienka w drzwiach, więzień ujrzawszy w nim twarz znajomego młodzieńca, energicznie podbiegł ku niemu, łapczywie wyciągając dłonie.

- Spokojnie, spokojnie bo jeszcze się zorientują. - szepną Kacper, rozglądając się dyskretnie na boki.

- Masz dla mnie list? - pytał podekscytowany.

- Mam. - odparł, wsuwając małą kartkę w rękaw Toma.

- W końcu się stąd wydostanę!

- Poczekaj. To nie wszystko. - dodał Kacper poważnym tonem.

- Co? - zdziwił się Tom, wracając do drzwi.

- Prezent od Pani. - szepnął z porozumiewawczym uśmieszkiem.

Tom niepewnie przyjął podarek, a po otwarciu dłoni, i ujrzeniu w niej seledynowej pigułki, usiadł zrezygnowany na pryczy.

- Coś się stało? - spytał Kacper szczerze strapiony.

Tom w milczeniu rozpieczętował wiadomość, i począł studiować tekst w nań zawarty.

Drogi Tomie. Nie znam słów, którymi mogłabym okazać Ci swoją wdzięczność, lecz wiedz, że w obecnej sytuacji, nie mamy innego wyjścia. Twój plan ucieczki był niemal doskonały, ale ryzyko wynikające z jego ewentualnego niepowodzenia, było zbyt wysokie, byśmy mogli je podjąć. Dlatego zdecydowałam się na takie, a nie inne rozwiązanie. Mam nadzieję, że chłopiec wręczył Ci pigułkę, którą zapewne kojarzysz, i wiesz do czego służy. Mam nadzieję, że rozumiesz mój wybór, i będziesz rad z takiego rozwiązania.

Kochałam Cię, Twoja Pani.

- Odejdź. - burknął Tom niepocieszony.

- Coś się stało? - zapytał zmieszany Kacper.

- Odejdź! - krzyknął przez łzy.

Kacper w panice zamknął okienko w drzwiach, i nerwowo zmierzał w kierunku wyjścia.

Zaczepiany przez kolegów z pracy, nie reagował na ich wołania, tylko pośpiesznie kroczył w kierunku drzwi.

Po wyjściu na ulicę, zaczął biec, a celem jego wędrówki był sklep, przez który dostał się do podziemia.

Nie pamiętając drogi, zorientował się, iż stoi przed jego wejściem.

Wchodząc do środka, przywitał się ze starszą panią za ladą, i bez pytania, wszedł na zaplecze.

Ku swojemu zaskoczeniu, pamiętał drogę prowadzącą do Szakadu.

Drzwi prowadzące do środka, zbliżały się z każdym krokiem. Chwytając za klamkę, poczuł zimny dreszcz, po tym jak zorientował się, iż drzwi są zamknięte.

Prawdziwy strach ogarnął jego ciało i umysł w chwili, gdy zapadała ciemność, a plastikowy worek, począł nakrywać jego głowę. Cieniutki, wytrzymały i ostry pasek, uciskający szyję, oraz worek zapychający usta i nozdrza, uniemożliwiały Kacprowi oddychanie.

Wił się przez chwilę, a kilka sekund później zamknął oczy i stracił przytomność.

Obudził się na drewnianym krześle, wokół którego przechadzała się Nieznajoma, ze skórzanym batem w ręce.

- No no no, kogo my tu mam? - pytała drwiącym tonem, spoglądając na Kacpra pogardliwie, i ściągając plastikowy worek z jego głowy.

- Co ty robisz?! - krzyknął rozżalonym głosem.

- Nie myślałeś chyba, że mnie dostaniesz?

- Przecież obiecałeś! - krzyknął, a po chwili zalał się łzami, gdyż poczuł, że cały świat sypie mu się w gruzy.

- Obiecałam czy nie obiecałam, co za różnica. - stwierdziła oschle.

Zapadła chwila milczenia, a z cienia wyłoniła się męska postać, łudząco podobna do Kacpra.

- Co do... - zaniemówił z wrażenia.

- To twój zastępca. - oświadczyła z uśmiechem.

- A to? - spytał, wskazując ruchem głowy drugą postać, jakby wstydliwie ukazującą się w świetle lampy.

- To Sylwek. - stwierdził Hasonmas Kacpra uśmiechem.

- Cześć braciszku. - przywitała się postać, ludzaco podobna do Sylwestra, lecz w jakimś niezrozumiałym dla Kacpra aspekcie, różniąca się znacząco od oryginału.

Kacper począł szarpać się i wiercić w szale, lecz liny na kostkach i nadgarstkach, nie dość że uniemożliwiały mu ruch, to jeszcze obdzierały boleśnie skórę.

- Spokojnie Kacperku. To nie potrwa długo.

- Co nie potrwa długo? - zapytał ze strachem w oczach.

Nieznajoma usiadła mu na kolanach, rozkładając nogi na boki, i z uśmiechem, zaczęła szeptać mu na ucho, jednocześnie kierując igłę ze strzykawką ku jego szyi.

Kacper poczuł lekkie ukłucie, a po chwili jego uszu doszedł zmysłowy głos Nieznajomej.

- Nie kochałam cię.

Rozdział 8

Jan przebudzając się, czuł w ustach smak ziemi.

Podnosząc głowę, spojrzał na telefon trzymany w zabrudzonej dłoni. Zdziwił się spostrzegłszy, iż nie ma zasięgu, gdyż takie sytuacje, były nie do pomyślenia i znane tylko z opowiadań starszych pokoleń.

Wieczór był już pełny, i powoli przechodził w noc, zadziwiając Jana kolejnym obrazem.

Miasto leżące u jego stóp, z reguły o takiej porze, żarzyło się mnóstwem świateł, lecz w owej chwili, mroczne budowle, były bardzo słabo widoczne z klifu, na którym się znajdował.

Miejsce, w którym przed kilkoma godzinami, ukazał się atomowy grzyb, było poza zasięgiem jego wzroku.

Przypomniawszy sobie ostatnie wydarzenia, Jan uronił łzę, którą to błyskawicznie wytarł, po czym począł zmierzać w kierunku samochodu, zaparkowanego u podnóża pagórka.

Biegając przez ciemny las, raz po raz, potykał się, bądź nadziewał twarzą, na cienkie gałązki, raniąc ją jednocześnie.

Po chwili męczącego biegu, z przerywanym oddechem, otworzył drzwi samochodu, i uruchomił silnik.

Ekran komputera i kolorowe ikony na desce rozdzielczej, napęłniły Jana jakimś rodzajem pozytywnej energii, gdyż poczuł radość na myśl, że może jeszcze skorzystać z dobrodziejstw elektroniki.

Jadąc lasem, rozświetlał światłami zwirową drogę, obserwując uważnie pobocze, lękając się różnego rodzaju leśnej zwierzyny, która ochoczo mogłaby wybiec mu pod koła.

Po chwili ujrzał postać siedzącą na środku jezdni, która ze spuszczoną głową, kołysała się rytmicznie, jak osoba cierpiąca na chorobę sierocą.

Niepewnie wysiadł z auta, i z takim samym nastawieniem, zaczął podchodzić do dziwnego osobnika.

- Halo? - zagadnął nieśmiało.

- Nic ci nie jest? - powoził chęć nawiązania rozmowy, pewniejszym tonem, dziwiąc się swoim aktorskim umiejętnościom.

Postać nie reagując na jego zaczepki, dalej bawiła się w najlepsze, symulując wahadło.

Jan kładąc rękę na ramieniu mężczyzny, jak to okazało się po bliższych oględzinach, poczuł chłód, bijący od tej tajemniczej postaci.

Fizyczne odczucia, zostały po chwili przytłumione przez lęk, ogarniający jego umysł.

Nagle postać z wysiłkiem skierowała twarz w jego stronę, a jej białe oczy, szukały ślepo punktu zaczepienia.

Poważnie przerażony Jan odskoczył w tył, upadając na ziemię, i przeczołgując się do tyłu, za pomocą łokci, z wielkimi oczami, wpatrującymi się w postać, która z rozwartymi ustami, jęcząc i majacząc, zmierzała w jego stronę na kolanach, wyciągając wychudłą rękę, myślał jedynie o ucieczce.

Pośpiesznie wszedł do samochodu, po czym drżącymi rękoma zamknął drzwi.

Uruchomił silnik, i po tym jak przez chwilę, wpatrywał się w przerażającego mężczyznę, oświetlanego światłami reflektorów, nacisnął pedał gazu.

Z trudem go ominął, nie wyrządzając mu krzywdy, i z nadmierną prędkością, gnał pomiędzy drzewami jak szalony.

Nie dość, że był przerażony, to w dodatku nie wiedział gdzie ma się udać i co czynić.

Czy powinien wezwać pomoc, która byłaby w stanie wspomóc tego biednego człowieka, czy może pozostawić go samemu sobie, gdyż nie ma teraz na to czasu? Po chwilowej rozterce, postanowił nie ingerować w los obcego człowieka, i począł zmierzać w kierunku miejsca, gdzie ostatnio widział się z rodziną.

Wyjeżdżając z lasu, zorientował się, że noc przejęła już kontrolę nad nieboskłonem, a księżyc, rzucający białe światło, rysował niewyraźnie krawędzie budynków, spowitych w mroku.

Otoczająca go ciemność wydawała się jeszcze bardziej groźna niż ta w lesie. Było w niej coś nienaturalnego. Coś co nie mogło być bezproblemowo przyjęte przez umysł człowieka, który całe życie, widział nocą miasto, tętniące życiem, rozświetlone licznymi, kolorowymi światłami, oraz grające dźwiękami wszelkiego rodzaju.

Puste, ciche ulice, zalane mrokiem, napawały go nieznanym dotychczas uczuciem.

Zaczął przez chwilę zastanawiać się, czy aby nie śni, lecz ku jego niezadowoleniu, okazało się, że to nie koszmar.

Komputer pokładowy samochodu, poinformował Jana, iż poziom energii w jego aucie jest bliski wyczerpania, lecz nawigacja, nie była w stanie wskazać kierowcy najbliższej stacji, która w gruncie rzeczy, i tak niezbyt by mu pomogła, gdyż miasto było całkowicie pozbawione prądu.

W takiej sytuacji, Jan postanowił przejechać najwięcej ile się da, a resztę drogi przebyć pieszo.

Miasto było obszerne, więc podróż z jednego końca na drugi, samochodem, po pustych drogach, mogła zająć prawie godzinę, a co dopiero pieszo, lecz determinacja kazała mu zbagatelizować tę niezbyt korzystną kalkulację, i mimo wszystko, pchała go przed siebie ku obranemu celowi.

Po kilkuminutowej jeździe, samochód odmówił posłuszeństwa.

Stojąc na skrzyżowaniu obok auta, Jan zastanawiał się, gdzie podzieli się wszyscy ludzie, i co takiego w ogóle miało miejsce, kilka godzin temu.

Spoglądając błagalnie na lśniąca tarczę księżyca, zorientował się, iż owe myśli, były jedynie płachtą narzuconą na prawdziwe troski, które w głębi duszy nie dawały mu spokoju.

- Daria. - szepnął do siebie ze smutkiem.

Mimo żalu i bólu, który towarzyszył mu podczas analizowania rzeczywistości, jakaś niewytłumaczalna siła, nie pozwalała mu zwątpić w to, iż zdoła on odnaleźć swoją córkę całą i zdrową.

Julia przewijająca się, od czasu do czasu, w jego przemyśleniach, również ciążyła u bardzo, lecz był to zupełnie inny rodzaj troski.

Z zamyślenia wyrwał go stłumiony huk, wydobywający się zza rogu, jednego z budynków.

Jan podbiegł w to miejsce, a jego oczom, ukazała się półnaga, leżąca na chodniku postać, o bliżej niesprecyzowanej płci. Przypatrując się jej dokładniej, spostrzegł iż kostka brukowa, jest lekko popękana, a światło księżyca, odbija się od plamy krwi, która zwiększa się systematycznie.

Oniemiały widokiem, usłyszał nad sobą cichy świst, przecinany nieśmiałym jękiem zawodu. Kolejna osoba, dumnie zmierzała w niezbyt przytulne objęcia chodnika.

Dźwięk łamanych kości i końcowe westchnięcie, spowodowały iż śniadanie, poczęło wydostawać się na zewnątrz, drogami pokarmowymi. Opierając się o ścianę, Jan zastanawiał się nad obecną sytuacją, i nie mogąc znaleźć żadnego logicznego wyjaśnienia, po raz kolejny zalał się łzami.

Płacząc, usłyszał zbliżające się kroki, które bardziej przypominały dźwięk

towarzyszący maratonowi miejskiemu, niż spacerowi nowo poznanych kochanków.

Z zaciekawieniem wychylił się zza róg, i spostrzegł watahę nieprzyjemnie wyglądających typów, którzy trzymając pochodnie w rękach, wbiegali do budynków, niszczyli sklepy, przystanki, ławki, samochody i wszystko to, co znajdowało się w ich otoczeniu.

Elementem rzucającym się w oczy był fakt, iż wszyscy oni mieli wygolone głowy i całą masę tatuaży, nawet na twarzach, co było dla Jana szczególnie odrażające.

Wataha opryszków, stopniowo zbliżała się do oszołomionego Jana, wykrzykując niezrozumiałe słowa.

Ocierając łyzy rękawem, Jan poczuł na lewym barku siły uścisk, i myśląc, iż jest to ręka nieprzyjaciela, odruchowo skierował zaciśniętą pięść w tamtym kierunku. Cios został błyskawicznie zablokowany, i zdumiony tym faktem Jan, wpatrywał się wytrzeszczonymi oczami, na obojętnie spokojną, lekko zniszczoną twarz mężczyzny, około trzydziestki. Zimne i spokojne spojrzenie, lustrowało jego pobladłą twarz z troską.

- Co do... - starał się wykrzyknąć Jan, lecz tajemniczy nieznajomy, nie pozwolił mu na to, zatykając jego usta szorstką dłonią.

Mężczyzna nakazał milczenie, przykładając palec do ust, i równie wymownym gestem głową, zaproponował wspólną wyprawę do celu, którego położenie, znał tylko on.

Jan zawahał się przez chwilę, lecz po przekalkulowaniu wszelkich wad i zalet, tego zaskakującego pomysłu, doszedł do wniosku, iż wykazałby się nierozwagą, pozostając w tym miejscu.

Biegnać powoli i stosunkowo cicho za wybawcą, Jan rozglądał się nerwowo, napotykać wzrokiem tu i ówdzie, leżące zwłoki.

- Co się tutaj dzieje? - zapytał w końcu niepewnie, nie mogąc wytrzymać niepewności.

- Cicho! - syknął mężczyzna.

- Jednak umiesz mówić... - zauważył Jan, ironicznym tonem.

- Zamknij się! Nie mam teraz czasu na rozmowy. Wszystko ci wyjaśnię jak dojdziemy do Mene.

- Mene?

- Zamknij ryj! - syknął ponownie, tym razem spoglądając w kierunku Jana takim spojrzeniem, iż ten czując ciarki na plecach, zaprzestał dociekań.

Dobiegając do winkła, przystanęli na chwilę.

Jan nerwowo rozglądał się dookoła, a przewodnik skoncentrował wzrok, na grupce ludzi w oddali.

- Zaczekaj tu. - rozkazał.

- Mam tu zostać sam? - zapytał Jan rozżalonym głosem.

- Powiedz mi chociaż jak masz na imię? - ponowił chęć prowadzenia rozmowy, po tym jak usłyszał pustą ciszę, po zadany poprzedniego pytania.

- Beniamin. - burknął nieznajomy, po czym szybkim sprintem, udał się na drugą stronę ulicy, i przylegając do ściany budynku, począł zmierzać w kierunku rozweselonej bandy.

Jan nie wiedząc co począć, oparł się o szybę, i spoglądając w górę, wypatrywał gwiazd.

Przyjemną ciszę i zadumę, przerwał dźwięk zbliżającego się pojazdu, który wyjeżdżając zza bloku, rozświetlił ulicę białym światłem. Siedząca w tym dziwnym samochodzie, wyglądającym jak zmodernizowany buggy, załoga, krzyczała, śmiała się i wymachiwała płonącymi pochodniami.

Za nimi, ciągnęła się, przywiązana liną za jedną nogę, naga kobieta, częściowo obdarta ze skóry do mięsa, na wskutek bezpośredniego kontaktu z asfaltem. Krzyczała na całe gardło, obracając się podczas energicznego wchodzenia w zakręt.

Jan nie zastanawiając się zbytnio nad konsekwencjami swojego heroicznego zachowania, wybiegł na środek jezdni, i wymachując rękoma, starał się zatrzymać jadące auto.

Dokonał swego, lecz gdy grupka rzezimieszków wyskoczyła z samochodu, i zaczęła iść w jego kierunku, zaczął zastanawiać się nad słusnością swoich czynów.

Działając pod presją okoliczności, krzyknął głosem, który pomimo jego starań, nie brzmiał w najmniejszym stopniu pewnie oraz przekonywająco.

- Zostawcie ją!

- Bo co? - zapytał jeden z grupy, a reszta patrząc z niedowierzaniem na dziwnego osobnika, poczęła się śmiać.

Jan przerażony, nie wiedział co zrobić, i wycofując się do tyłu, rzekł niepewnie.

- Bo tak nie można...

Wybuch przeraźliwego śmiechu rozbrzmiał na całej ulicy, a groźnie wyglądający mężczyźni, pokładali się ze śmiechu.

Tylko jeden z nich, wyglądający na wyższego rangą od reszty, z lekkim uśmiechem na facjacie, uosabiającym niedowierzanie, zbliżał się powoli do sparaliżowanego już strachem Jana.

- No, no, no... - burknął pod nosem, wyciągając zza paska nóż z kilkucentymetrowym ostrzem, od którego odbijał się blask księżyca.

Jan ujrawszy owe narzędzie, które najprawdopodobniej miało pozbawić go życia, zaczął powoli mdleć.

W tej chwili, niczym cień, za plecami opryszka, pojawił się Benjamin, i energicznym ruchem, skrzył mu kark.

Masywne i bezwładne ciało, osunęło się na asfalt.

Reszta zbójckiej grupy, po chwilowym szoku, ruszyła żwawo w ich kierunku.

- Uciekaj! - krzyknął Benjamin do Jan, patrząc w kierunku nadciągającego wroga, i odganiając przerażonego kompana ostentacyjnym ruchem ręki.

- Ale... - starał się wtrącić Jan.

- Spierdalaj no! - krzyknął przez zaciśnięte zęby ze złością.

Jan, biegnąc przed siebie ze łzami w oczach, zaczął jeszcze mocniej żałować swojej decyzji, obawiając się, iż jego przewodnik, nie ujdzie z życiem.

Benjamin zaś, podnosząc nieprzeciętnych rozmiarów nóż, uśmiechnął się z radością, i wyczekiwał momentu, w którym będzie mógł pochwalić się napastnikom, swoimi umiejętnościami bojowymi.

Odgłosy walki rozchodziły się po pustej ulicy, dochodząc uszu zmęczonego Jana, który biegnąc, zauważył kolejną grupkę podejrzanego towarzystwa, zmierzającą w jego kierunku.

Błyskawicznie zmienił azymut podróży, i wbiegł bez zastanowienia do zakładu fryzjerskiego, którego otwarte drzwi, zapraszały, proponując dyskretnie schronienie.

Ku niezadowoleniu chowającego się, jeden osobnik z niebezpiecznej grupy, przyuważył jego chęć zniknięcia im z oczu, po czym poganiając współtowarzyszy, zaczął pościg.

Jan rozeznawszy się w sytuacji, począł szukać wyjścia z owego schronienia, które błyskawicznie zmieniło się w pułapkę. Jedynie schody prowadzące na wyższe piętro, dawały cień nadziei, zde gustowanemu obecną sytuacją uciekinierowi.

Biegąc w ich kierunku, Jan zdążył potknąć się o fotel i poślizgnąć na leżącej narzucie.

Zdyszany wbiegł na wyższe piętro, i zorientował się, że jedynym możliwym wyjściem z tej sytuacji, jest dalsze podążanie ku górze.

Wybiegając na dach, słyszał pod sobą złowieszcze krzyki, a jego oczom, ukazały się trzy postacie, siedzące na krawędzi, ze spuszczonej w dół nogami, które majacząc coś pod nosem, kołysały się, ściskając głowy w dłoniach, położonych na skroniach.

Nietuzinkowy obrazek, nappełnił Jana jeszcze większym zmieszaniem i lękiem.

Rozglądając się panicznie na boki, szukał miejsca schronienia, a nie mogąc znaleźć niczego, co mogłoby skutecznie uchronić go, przed rozwścieczoną bandą, znajdującą się na niższych poziomach budynku, podbiegł do krawędzi dachu, i spoglądając w dół, zaczął rozważać skok, który w owej chwili, wydawał mu się lepszym rozwiązaniem, niż możliwość tortur, którym to zapewne zostałby poddany po schwytaniu.

Elementem budynku, który rozwał jego rozmyślenia nad samobójstwem, był niewinnie wyglądający piorunochron, który miał pomóc mu w dostaniu się na dół.

Spuszczając się powoli z krawędzi budynku, chwycił niepewnie stalowy drut, i opierając się stopami o szorstką ścinę, począł schodzić. Będąc na wysokości okna, które znajdowało się po jego prawej stronie, zauważył, iż jedna z siedzących, dziwnych postaci, rzuciła się w dół, ginąc wskutek kontaktu z podłożem.

W tym momencie, jedna z zagadek, nurtujących jego oniemiały umysł, po części została rozwiązana, lecz usłyszawszy, iż ścigający go, wbiegli na dach, błyskawicznie wytrącił się z zamyślenia, poszukując wyjścia z sytuacji.

Obawiając się wykrycia przez opryszków, wsunął się na parapet pobliskiego okna, licząc iż będzie niewidoczny dla kogoś spoglądającego z góry.

Patrząc w dół, zaczął obawiać się, że jakaś niewytłumaczalna siła, w pewnym momencie, popchnie go do przodu, i będzie kolejną ofiarą bruku, niedostosowanego do skoków ze znacznej wysokości. Owe rozmyślania przerwał chrapliwy i nieprzyjemny głos.

- Skoczył! - syknął jeden z podejrzanych typów.

- Gdzie? - dopytał drugi, niezbyt zorientowany w sytuacji.

- No tam! Na dole! - krzyknął, wskazując palcem na zwłoki człowieka, leżące na chodniku.

- No i po zabawie... - stwierdził ze smutkiem, po czym cała gromada, udała się leniwie ku wyjściu.

Jan patrząc z góry, na zawiedzioną ekipę oddalającą się powoli, rozejrzał się badawczo po pobliskich budynkach, i zauważył, iż na krawędziach dachów większości z nich, przesiadują bujające się istoty.

Nagle usłyszał cichy trzask, a po chwili wpadł do pomieszczenia za plecami. Ładując na podłodze, spojrzał na Beniamina, który trzymając klamkę okna, stał, uśmiechając się wzgardliwie, w lekkim blasku księżyca.

W milczeniu przemierzali miasto, od czasu do czasu, zmieniając kierunek marszu, po tym jak Beniamin, usłyszał obecność nieprzyjaciół gdzieś w oddali.

Patrząc się w plecy swojego przewodnika, Jan zatrzymał się niespodziewanie, po czym odezwał się ze smutkiem.

- Nie mogę iść z tobą.

- Co? Jak to? - spytał zaskoczony Beniamin.

- Muszę iść do parku zabaw.

- Co?

- Muszę iść po żonę i córkę.

- O czym ty bredzisz?

- O mojej rodzinie! - krzyknął ze złością Jan.

- Nie bądź głupi... Park zabaw był w polu rażenia wybuchu.

- Ale...

- Wybacz mi moją bezpośredniość, lecz twoi najbliżsi nie żyją, i powinieneś teraz pomyśleć o tym, aby zbyt szybko do nich nie dołączyć.

- Jak śmiesz!

- Uspokój się! Myśl logicznie! - krzyknął Beniamin, chwytając Jana za bluzę.

- Zostaw mnie... - burknął zrezygnowany Jan, wyrывая się z uścisku, i odchodząc powoli w milczeniu.

Beniamin patrząc na odchodzącego mężczyznę, zacisnął pięść, i wyjątkowo jak na siebie, niemal automatycznie, postawił się w sytuacji Jana, po czym odezwał się z cicha.

- Zaczekaj...

- Nie musisz ze mną iść. Sam sobie poradzę. - odparł Jan obrażonym tonem.

- Właśnie, że sam sobie nie poradzisz. - stwierdził Beniamin, i podbiegł do Jana, który nie wiedząc dlaczego, począł omdlewać.

- Co jest...? - zapytał zaskoczony, tracąc równowagę.

Beniamin chwycił go pewnie w swe silne ramiona, po czym nakleił niewielki plaster na szyi, w pobliżu ucha.

- Zaraz ci przejdzie. - szepnął z troską, ciągnąc osłabionego towarzysza, bliżej ściany budynku.

- Co to jest? - zapytał osłabiony Jan.

- Plaster, który niweluje skutki promieniowania. Cały czas jesteśmy bombardowani tym cholerstwem, a jak chcemy iść... - tutaj zawahał się na chwilę.

- Poszukać twojej rodziny, to bez tego się nie obejdzie. - dodał, starając się dodać otuchy swemu kompanowi.

Jan po kilkuminutowym odpoczynku, odzyskał sprawność w nogach, i przepełniony nadzieją, wznowił marsz.

Po nieco ponad godzinny spacerze, dzielna dwójka, dotarła do granicy strefy rażenia.

Pusty plac przerażał, ale jednocześnie zachwycał, swoim rozmiarem oraz pustą przestrzenią w niego wpisaną. Księżyc oświeślał niebieskawym blaskiem ogromną, pustą połąć terenu, na obrzeżach której, widniały tylko szczątkowe gruzy oraz ruiny budynków, znajdujących się na pograniczu. Srebrzysty pyłek, pokrywał wszystko dookoła niczym kurz w zapomnianej piwnicy, a wpatrujący się w niego Jan, od czasu do czasu, dostrzegał w nim nieśmiałe błyski.

Z zaciekawieniem skierował dłoń, ku dziwnemu zjawisku, lecz został na starcie powstrzymany, przez bardziej doświadczonego towarzysza.

- Nie dotykaj tego gołymi rękoma. - przestrzegł ostrym tonem Beniamin, po czym dodał bardziej łagodnie.

- Ten pyłek jest bardzo radioaktywny. W ogóle nie powinniśmy tu przychodzić, w tak krótkim odstępie czasu od wybuchu.

- Muszę ich odnaleźć. - stwierdził chłodno Jan, jakby nie dopuszczał do głowy, nawet cienia wątpliwości, mówiącej, że jego misja może zakończyć się

niepowodzeniem.

Beniamin spojrzał na niego z lekkim uśmieszkiem, przypominającym ten, gdy rodzic wysłuchuje ambitnych planów jednego ze swoich dzieci.

- Wiesz w ogóle gdzie był ten park? - dodał po chwili namysłu.

Jan wpatrując się w pustkę przed sobą odparł dumnie, jakby natchniony nagłą myślą.

- Z tego co się orientuję, to trzeba by ruszyć w prawo, i za jakieś dziesięć, piętnaście minut, powinniśmy być na miejscu.

- Miarkujesz, że park znajdował się na pograniczu? - podpytał Beniamin, domyśliwszy się, jaka to myśl napełniła Jana optymizmem.

- Chyba tak... - burknął lekko zadowolony, i ruszył truchtem w kierunku, o którym wspominał.

Beniamin po chwili oszołomienia, uśmiechnął się z podziwem dla swojego kompana, którego zaczął darzyć coraz większą sympatią, za jego upór i niezmordowany optymizm, wynikający z silnej nadziei.

Biegając pomiędzy gruzami, usłyszeli dźwięk silników oraz liczne krzyki i przeraźliwe śmiechy.

Zwolniwszy kroku, poczęli zakradać się w stronę znajomych i budzących obawy dźwięków. Jan zatrzymał się za przykazaniem Beniamina, który w samotności, postanowił zbadać, coraz mniej bezpieczną okolicę.

Przemykając od osłony do osłony, zbliżył się na odległość, z której mógł przyjrzeć się dokładnie bandyckiej bandzie.

Dwa samochody z rozbawioną i krzyczącą załogą, krążyły wokół swoich kompanów, którzy w brutalny sposób, znęcali się nad bezbronnymi kobietami, bijąc je, gwałcąc i mordując.

Chwilowo, przerażenie zmieszanie z niedowierzaniem, sparaliżowało Beniamina, który po krótkim oszołomieniu, usiadł na ziemi, opierając ciężką głowę o kawałek betonowej ściany, służący w owej chwili, za schronienie przed wzorkiem nieprzyjaciół.

Pierwszą myślą, która zaatakowała jego umysł była chęć pomocy tym bezbronnym niewiastom, lecz po przekalkulowaniu prawdopodobieństwa powodzenia jego heroicznej misji, zrezygnował. Postanowił zastanowić się, jak nie dopuścić do tego, aby Jan, zauważył to co się tu wyrabia, gdyż mógłby on ujrzeć tam swoją żonę.

Kombinując nad możliwą trasą, wracał do miejsca gdzie rozstał się ze swoim kompanem.

W tym czasie, zniecierpliwiony Jan, nie mogąc usiedzieć w miejscu, nękany ciekawością oraz samotnością, jak i dziwnymi lękami jej towarzyszącymi, postanowił na własną rękę dostać się do parku zabaw, pomimo ryzyka.

Skradając się niezdarnie, omijał szerokim łukiem miejsce, z którego dochodziły złowrogie odgłosy.

Ujrzawszy powalone drzewa z korzeniami i porozrzucane w głąb zabudowań, fragmenty placu zabaw, z zastrzykiem nadziei, począł biec w kierunku, gdzie po raz ostatni widział swoją rodzinę.

Fakt, iż w pobliżu nie spostrzegł żadnych ciał, napawał go optymizmem.

Biegając ile sił w nogach, przestał zwracać uwagę na otaczający go świat, przez co mógł zwrócić na siebie uwagę, zabawiających się w pobliżu rzezimieszków.

Kiedy ryk silnika i blask reflektorów, wybiły go z marzycielskich wizji, energicznie schował się za jednym z powalonych drzew. Padł na ziemię, a lekki srebrzysty pyłek, o dziwnym zapachu, buchnął mu w twarz, poderwany ku górze, jego oddechem.

Z niepokojem przetarł ubrudzoną facjatę, i czołgając się, zmierzał ku koronie drzewa, aby nie tylko skryć się dokładniej, ale również, aby mieć lepszy widok na otaczający go teren.

Przykucnąwszy pod osłoną gałęzi i liści, wychylał się delikatnie ponad zarośla, wypatrując zagrożenia, bądź bezpieczniejszej kryjówki.

Zauważył w oddali grupkę mężczyzn, bestialsko zachowujących się względem pewnych dam, i z obawą, iż być może Julia uczestniczy w tym niesympatycznym przedstawieniu, zaczął planować, jakby zbliżyć się w owe miejsce, nie zwracając na siebie zbytnej uwagi.

Cierpliwie wyczekał chwili, w której samochód profilaktycznie patrolujący okolicę, zaczął wracać do swojego dzikiego towarzystwa, po czym niczym cień, zaczął przemieszczać się od zasłony do zasłony, zbliżając się systematycznie do celu.

Zaskoczony swoimi zwiadowczymi umiejętnościami, zaczął obserwować nieprzyjemną scenę, wyglądając z okna, jednego z opuszczonych budynków, nieopodal granicy pola rażenia.

Nerwowo wypatrywał wśród zniewolonych kobiet znajomej twarzy, i po chwili zorientował się, iż los obcych mu niewiast, jest w jakimś sensie obojętny, co na początku pojawienia się tej myśli, nappełniło go obrzydzeniem do własnej osoby.

Po otrząśnięciu się z zamyślenia, zauważył, jak jeden z rozradowanych nieprzyjaciół, prowadzi w kierunku rozochoczonego towarzystwa grupkę skrepowanych łańcuchami osobników płci pięknej.

Zgraja, uradowana nadchodzącym urozmaicheniem nocnych zabaw, poczęła krzyczeć i wiwatować, na cześć swojego dobrodzieja.

Po upadku euforii, przyszedł czas, na niekonwencjonalną utylizację zużytych zabawek.

Kobiety, które nie zdążyły jeszcze wyzionąć ducha, szarpane za włosy, przetaczane po ziemi kopniakami, bądź ciągnięte za nogi, zbliżały się z pomocą

otaczających je dżentelmenów w kierunku metalowego, płaskiego spodka, o średnicy kilku metrów. Na granicy owego srebrzystego kręgu, znajdowało się coś, co na pierwszy rzut oka, przypominało zespawane do podłoża kapcie.

Kobietom siłą wciskano w nie stopy, które po chwili, były przeplatane cienkimi, metalowymi linkami, uniemożliwiającymi wydostanie się z tego niewygodnego, niefunkcjonalnego, i co najważniejsze, niestylowego obuwia.

Jan z przerażeniem obserwował, jak pomiędzy nogami kobiet, trzymany przez osiłków w taki sposób, aby stały na baczność, wychodzą stalowe kołki, unoszące się powoli ku górze.

Krzyk, który towarzyszył penetracji wnętrzości niewiast, przez coraz dłuższy, metalowy pał, dostający się do ich środka, poprzez otwór z reguły służący do wydalania, niż przyjmowania czegokolwiek, był nie do zniesienia, i spowodował ciarki na karku Jana.

Przypomniało mu się z lekcji historii, jak w dawnych czasach, ludzie nabijali na pale swoich wrogów, lecz zmodernizowana wersja tego wymyślnego narzędzia mordu, była bardziej nieprzystępna dla ofiary, od swojego protoplasty, gdyż metalowy trzonek, pchany mechaniczną siłą, nie zatrzymywał się, dopóki nie wyszedł na zewnątrz przez gardło.

W momencie, w którym czternaście kobiet, stało przebitych na wylot, w nieco innym, niż zazwyczaj znaczeniu tego słowa, jeden z mężczyzn, przechadzając się kolejno od jednej do drugiej, rozcinał im brzuchy nożem, uwalniając nadęte jelita z uścisku napiętej skóry.

Ów przeraźliwy obrazek, zanim dotarł do umysłu Jana, wprowadził go w osłupienie, a potem spowodował, po raz kolejny tej nocy, nagły zwrot pokarmu, tą samą drogą, którą uwalniały się metalowe pale.

Ocierając ubrudzone usta, z przestachem wpatrywał się w twarze nowo przyprowadzonych kobiet, licząc w duchu, że nie ujrzy wśród nich swojej żony.

Ku jego rozczarowaniu, Julia, popchnięta przez nieznajomego, upadła na ziemię,

pod nogi wierzgających się i ryczących mężczyzn.

Dziki szal, który opętał Jana, wyłączył w nim ostatnie resztki logicznego myślenia, co było przyczyną, jego biegu w kierunku zniewolonej ukochanej.

Zbiegając ze schodów, niemal ślinił się ze złości, a w jego oczach, nie było widać strachu, tylko chęć mordy i szaleństwo.

Wybiegając z budynku, jego tors spotkał się z masywnym przedramieniem, które pojawiło się jakby znikąd, po czym upadł na chodnik, uderzając otrzeźwiającą głową o betonową płytkę.

Otwierając oczy, w nabierającym ostrości obrazie, zaczął poznawać twarz Beniamina, który ze smutkiem, wpatrywał się w niego.

Odzyskując czucie w kończynach, starał zerwać się na nogi, lecz silniejszy kompan, nie pozwalał mu na to, szepcząc agresywnie w jego kierunku.

- Co ty robisz?! Uspokój się.

- Ona tam jest! Puszczaj mnie! - krzyknął Jan, wijąc się jak opętany.

- Zrozum! Już jej nie pomożesz, a po co masz ginąć.

- Nic nie rozumiesz!

- Cicho bądź bo nas usłyszą.

- Pomocy! Policja! - zaczął wydzierać się Jan, a po chwili, uderzył Beniamina w twarz.

- Ty durniu... - syknął zdenerwowany Beniamin, ocierając smugę krwi z policzka, po czym wymierzył Janowi precyzyjny cios w szyję, usypiając go boleśnie.

Jan z bólem karku i lukami w pamięci, począł otwierać zmęczone oczy.

Ujrzał kucającego Beniamina, który w skupieniu, przyglądał się jakiemuś zjawisku, znad murka, o który opierała się jego zboląta głowa.

- Co się dzieje? - zapytał zmęczony i ogłupiały Jan.

- Ciii... - syknął Beniamin, kładąc na ustach palec wskazujący.

- Julia... - burknął pod nosem, wracający do rzeczywistości Jan.

Starł poderwać się energicznie, lecz brak zupełnej kontroli nad nogami, uniemożliwiał mu ten manewr.

Czując rękę, chwytającą go za bluzę, i sprowadzającą do parteru, po raz kolejny poczuł gniew oraz bezsilność, wobec swojego towarzysza.

- Zostaw mnie! - krzyknął z oburzeniem.

- Zamknij się. - rozkazał Beniamin, i skierował twarz swojego towarzysza w kierunku stojącego samochodu z przyczepą, na której była umieszczona grupka płaczących dzieci.

Jan ujrzawszy wśród przestraszonej gromadki Darię, zaniemówił, a oczy jego wypełniły się łzami.

- Żony już nie uratujesz, ale tutaj mamy szansę zadziałać. Jest tu ktoś z twojej rodziny? - zapytał chłodno.

- Daria... - szepnął jakby sam do siebie, po czym chowając twarz w dłoniach, zaczął płakać w przypływie bezsilności.

Beniamin ignorując depresyjny stan kolegi, przyglądał się spacerującym w pobliżu mężczyznom, planując pośpiesznie akcję ratunkową. Po chwili analizy, rozkazał Janowi pozostać na miejscu, a sam udał się w kierunku stojącego samochodu.

Zakradając się coraz bliżej, starał się pozostać w cieniu, nie wchodząc w pole

rażenia reflektorów.

Jeden z nieprzyjaciół, postanowił oddalić się nieco dalej, aby zaspokoić potrzebę fizjologiczną, potocznie oznaczoną numerem drugim. Dysząc głośno, i klnąc do samego siebie, ściągał skórzane spodnie, gdy usłyszał podejrzany szelest za swoimi plecami.

Odwrócił się powoli, i ze zmarszczonymi brwiami, rozglądał po otoczeniu, spowitym w cieniu. Przez moment, zdawało mu się, iż ujrzał jakiś cień, przemieszczający się pomiędzy budynkami, lecz w swojej pysze i bezmyślności, zignorował owe spostrzeżenie.

Kilka sekund później, jak tylko odwrócił się twarzą w stronę samochodu i kamratów, poczuł na swojej szczęcie i głowie silne dłonie, które skrzyły mu kark.

Beniamin obszukał pośpiesznie trupa z opuszczonymi spodniami, i nie znajdując przy nim nic ciekawego, zaczął ukrywać zwłoki.

Serce biło mu normalnym rytmem, a umysł pod wpływem adrenaliny, rejestrował wszystko dookoła z nieprzeciętną ostrością.

Szybko zlokalizował trzech pozostałych bandytów, z których każdy, wędrował sobie bez celu, wokół stojącego samochodu. Wydawało się, że czekali na jakiś rozkaz, a że nie wyglądali jakby za sobą przepadali, to najwidoczniej, postanowili w milczeniu, nie zwracać na siebie uwagi, lecz kierowali ją, na mroczne miasto dookoła.

Jan otarł łzy, i postanowił przyjrzeć się dokładniej sytuacji i swojej córce.

Obserwując dziewczynkę w przyczepie, która na początku, wydawała mu się jego córką, zaczął powoli powątpiewać w swój pierwszy osąd. Nie będąc pewnym, czy to Daria jest wśród więzionych dzieci, zaczął zakradać się bliżej.

Serce biło mu jak szalone, ręce drżały, a załzawione oczy, rozmazywały, i tak niewyraźny obraz przed jego oczami.

Przygarbiony, biegał bezradnie od zasłony do zasłony, potykając się co jakiś czas. W pewnym momencie, jeden z mężczyzn zauważył go, ale myśląc, iż ujrzał jedno z nieschwytych jeszcze dzieci, zaczął iść w jego kierunku, nie informując o tym kompanów.

Jan w bezmyślnym biegu, nie zauważył zbliżającego się niebezpieczeństwa, i dalej starał się zbliżyć do samochodu.

Zbliżywszy się na odległość, pozwalającą dokładniej przyjrzeć się dziecięcym twarzom spomiędzy metalowych krat, zaczął wyteżać wzrok, skupiając całą swoją percepcję jedynie na tym zmyśle.

Ujrawszy wśród kilkunastu dzieci dziewczynkę odzianą w różową bluzę z kapturem, z piwnymi, bystrymi oczkami, które to przyglądały się płaczącym i krzyczącym rówieśnikom, uśmiechnął się lekko, i poczuł przypływ dumy, iż jego księżniczka, jako jedyna, nie okazywała przerażenia, tylko bacznie obserwowała otoczenie. Wpatrując się w jej nieco nadąsaną buźkę, spostrzegł, iż Daria w niewytłumaczalny sposób, wyczuła na sobie jego spojrzenie, i skierowała ku niemu swoje oczy.

Mimo dzielącego ich dużego dystansu i mroku, przeplatane gojącym, białym światłem, przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy, ładując swoje serca radością i nadzieją.

- Tata! - krzyknęła w końcu Daria słodkim głosem, wskazując palcem położenie ojca.

Początkową radość, jaką poczuł Jan, przerwał straszliwy ból, wywołany ciosem, zadany metalową pałą, w jego plecy.

Odwrócił się za siebie z grymasem na twarzy, i ujrzał rosnącego, strasznego mężczyznę, który z bezzębnym uśmiechem, stał nad nim, dysząc złowrogo.

Dziwiąc się samemu sobie, rzucił się na napastnika, i z impetem położył go na ziemi.

Siedząc na nim, okładał jego odrażającą twarz gradem niezdarnych ciosów, z których część lądowała na pobliskim betonie. W szale, nie zważając na nic, masakrował facjatę oponenta, napawając się barbarzyńską satysfakcją.

Zalany krwią opryszek, krztusił się, jęczał, a od czasu do czasu, krzyczał z cicha, wołając o pomoc.

Owe nieśmiałe krzyki, zwróciły uwagę dwóch pozostałych mężczyzn, którzy powili, jakby od niechcenia, zaczęli zbliżać się w ich kierunku, spoglądając na siebie pytająco co jakiś czas.

Zorientowany w sytuacji Beniamin, nie miał wyboru, i zaczął działać.

Wybiegł pośpiesznie z ukrycia, a po chwili dopadł jednego z wrogów, pozbawiając go sprawnie łańcucha, którym po chwili, zaczął wyciskać z niego życie, dusząc go za jego pomocą.

Drugi z nich, od razu spostrzegł odbywającą się walkę, i ruszył z pomocą dla kompana.

Dobiegając z krzykiem, rzucił nożem w kierunku walczących, co zauważywszy Beniamin, wykorzystał na swoją korzyść, zakrywając się przeciwnikiem, jako żywą tarczą.

Zdziwiony takim obrotem spraw mężczyzna, przyśpieszył bieg, i z krzykiem oraz szaleństwem w oczach, zbliżał się ku Beniaminowi. Ten zaś, spokojnie ułożył na ziemi martwego wroga, i wyczekiwał konfrontacji, z uśmiechem na twarzy.

Szybki i precyzyjny cios w krtani, zakończył ich pojedynek.

Podbiegając do Jana, zauważył, że ten dalej, bez opamiętania, uderza poharatanymi pięściami w coś, co kiedyś było głową.

Odciągnął go od nieapetycznie wyglądającego trupa, a Jan dalej, w amoku, machał rękoma, uderzając w powietrze jak człowiek, wybudzający się z sennego koszmaru.

- Spokojnie, spokojnie.

- Co? Jak? - pytał rozkojarzony.

- Załatwiliśmy ich! - krzyknął uradowany Benjamin.

- Daria... - burknął Jan, i po tym jak wstał, ruszył w stronę samochodu.

Mocował się z kłódką, starając się ją otworzyć, a Benjamin przeszukiwał ciała.

- Klucz jest w samochodzie! - Krzyknęła Daria.

Usatysfakcjonowany i dumny z córki Jan otworzył klatkę, z której niczym woda z dziurawej tamy, wylało się mrowie krzyczących dzieci. Część z nich, rozbiegła się we wszystkich kierunkach, niektóre z nich stały obok samochodu, płacząc i nie wiedząc co robić, a Jan podniósł córkę, i ściskając ją nieco za mocno, całował po czole i policzkach.

- Wiedziałam, że po mnie przyjdiesz. - powiedziała, płacząc z radości.

Benjamin stał przez chwilę, i z uśmiechem, przyglądał się owej scenie, zatrzymując niektóre dzieci, biegnące przed siebie.

- Musimy ruszać. - zaproponował, nie oczekując sprzeciwu.

- Co teraz? - zapytał skonsternowany Jan, jakby nie słyszał polecenia.

- Pakuj się do fury i jedziemy.

- Gdzie?

- Do swoich.

- A co z dziećmi? - spytał, patrząc jak część z nich znika w otaczającym ich mroku.

- Musimy je zostawić.

- Tak nie można!

- Chcesz teraz iść i ich szukać? Nie ma na to czasu!

Jan zamyślił się przez chwilę, a po tym, jak spojrzał w oczy swojej córki, przyznał rację Beniaminowi, i wraz z innymi dziećmi, umieścił ją na przyczepie.

- Nie bój się. Zaraz będziemy bezpieczni. - dodał na koniec, zamykając klatkę.

Jadąc powoli, opustoszałymi ulicami ciemnego miasta, co jakiś czas, mijali leżące na chodniku ciała, a przyglądając się oknom i krawężnikom dachów, widzieli tam kiwające się postacie.

- Co się im stało? - zapytał zaciekawiony Jan.

- To Hasonmasy, nie przejmuj się nimi.

- Hasonmasy?

- Nie chce mi się teraz o tym gadać. Dowiesz się wszystkiego jak dojedziemy do Mene.

- Gdzie?

- To nasza baza.

- Jaka baza? O czym ty gadasz? - dociekał z niedowierzaniem.

- Nie wiem czy zauważyłeś, ale mamy tutaj wojnę, a jak jest wojna, to muszą być co najmniej dwie strony konfliktu.

Jan zdając sobie sprawę, że nie jest w pełni świadomy tego, co aktualnie dzieje się w jego otoczeniu, zamilkł, a po chwili pograżył się w smutku, na myśl o losie swojej

żony.

Zaczął lekko płakać, starając się ukryć ów fakt przed Beniaminem, po tym jak przypomniał sobie, ostatnie chwile życia Juli, i jak zaczął wyobrażać sobie resztę swojego, bez niej.

- Nie krępuj się. - powiedział z cicha Beniamin, patrząc na drogę.

- Płacz nie jest czymś czego powinieneś się wstydzić. - dodał, spoglądając wyrozumiale na Jana.

Jadąc dalej w milczeniu, dziwili się ciszą, wynikającą z głębokiego snu, w który popadły dzieci, po stresujących wydarzeniach, będące aktualnie w klatce za ich plecami.

Rozdział 9

Amadeusz dopłynąwszy do portu, na pokładzie motorówki, został przyjęty przez grupkę Mojomów oraz Igora, który z uśmiechem na twarzy, spoglądał dumnie w kierunku swojego szefa.

- Gdzie Jack? - zapytał Amadeusz bez emocji, mijając swojego rozmówcę jak przypadkowego przechodnia.

- W bagażniku pańskiego samochodu, szefie.

- To świetnie. Na co czekasz? - zapytał ironicznie, rzucając mu groźne spojrzenie.

- Słucham? - zapytał skonsternowany.

- Jedziemy! - krzyknął, wsiadając do limuzyny.

Jadąc portową drogą, Amadeusz milczał, obserwując zza przyciemnianej szyby, gromady Mojomów, które stopniowo przejmowały całą nabrzeżną infrastrukturę.

Co jakiś czas, jakiś nieszczęśnik wylatywał z krzykiem przez okno, rozbijając się na chodniku, to któryś z żołnierzy Amadeusza, katował na śmierć jakiegoś mężczyznę.

Nieliczne kobiety, pracujące w porcie, były bite, gwałcone i zabijane, a ich nagie, poszarpane ciała, ponabijane na pale, ozdabiały otoczenie. Ów obrazek, był swego rodzaju znakiem rozpoznawczym, dla sił podziemia. Organizator armii, doszedł do wniosku, iż wywieszenie flagi, na najwyższym punkcie kontrolowanego obszaru, jest zbyt mało wysublimowane, staromodne i wywołuje za mało emocji.

Przy bramie, czarna limuzyna Amadeusza została zatrzymana przez strażników, którzy torując wjazd, będący równocześnie wyjazdem, dwoma samochodami, z poczuciem słusznego obowiązku, dreptali w miejscu.

- Kto wy? - zapytał otepiałym tonem jeden z Mojomów, pochylając się do okna

kierowcy.

Ten, opuszczając szybę, spojrzał na nieszczęśnika pogardliwie, i takim samym tonem oznajmił:

- Wiozę pana Amadeusza. Przepuście nas natychmiast.

- Kogo? - spytał, spoglądając na kompana, licząc iż ten, w jakiś sposób, pomoże mu wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji.

- Podejdz no tu! - krzyknął Igor, wychylając się przez okno w samochodzie, i machając ręką.

Strażnik speszony pewnością siebie, kontrolowanych przez niego mężczyzn, niepewnie począł zbliżać się do tylnego okna. Niemal wkładając głowę do środka, spytał.

- Czego?

- Poznasz tego pana? - zapytał Igor, wskazując głową na Amadeusza, który ze złością i obrzydzeniem, przyglądał się wstrętnej twarzy Mojoma.

- Eee... - boleśnie zamyślił się przez chwilę, po czym dodał.

- Proszę wybaczyć o Panie. Nie sądziliśmy, że jest Pan tutaj.

- A tu proszę. - wtrącił zgryźliwie Amadeusz.

Strażnik wymownym gestem, rozkazał rozsunięcie aut blokujących bramę, tak, aby limuzyna mogła spokojnie przejechać.

Przepełniony dumą Mojom, z nadzieją, iż zostanie pochwalony za sumienne wykonywanie rozkazów, spoglądając w stronę pasażerów, zawiódł się wielce, gdyż nie dość, iż nie ujrzał pochwalających go min, to jeszcze jego oczom, ukazała się lufa srebrnego pistoletu, którego gwint, wskazywał jego lewe oko.

Po chwili huk wypełnił uszy zgromadzonych, a po tym jak oślepił go niebiesko-biały błysk, poczuł bolesną siłę, popychającą jego głowę do tyłu, z taką mocą, iż podniosła go ona o kilka centymetrów nad ziemię.

Reszta Mojomów, przebywająca w otoczeniu, z niezrozumiałym strachem, stała w miejscu, przyglądając się szokującym wydarzeniom. Durgi z głównych strażników, spoglądał wytrzeszczonymi oczami, to na ciało zabitego kompana, to na odjeżdżający samochód.

Igor niepewnie zagaił do Amadeusza, który wdawał mu się urażony.

- Przepraszam szefie za tę sytuację.

- Przepraszam? - zapytał sarkastycznie, kierując rozwścieczone spojrzenie na swojego doradcę.

- Wiem, że inaczej sobie to wyobrażałeś o Panie.

- Nie panuj mi tu kurwa jego mać! - krzyknął, nie hamując już złości.

- Proszę dać mi wyjaśnić... - wtrącił nieśmiało, spuszczać wzrok.

- Słucham, słucham. Myślałem, że te poczwary, które stworzyliście będą miały mnie za boga, a ten śmieć nawet nie kojarzył kim jestem!

- Panie, to nie tak.

- A jak?!

- U Mojomów nie funkcjonuje hipokamp.

- Co takiego?

- To taka część mózgu, odpowiedzialna za pamięć. Alkohol wpływa na nią negatywnie, a ludzie, którzy mają wrodzoną wadę hipokampu, cierpią na tak zwaną pamięć złotej rybki.

- Możesz mówić do mnie po ludzku?

- Proszę dać mi skończyć... Schorzenie te charakteryzuje się bardzo krótką pamięcią. Chorzy z reguły nie pamiętają... Na przykład, co działo się pięć minut temu.

- Jak to? - zapytał zdumiony Amadeusz, marszcząc brwi.

- Kiedyś wykorzystywano takich ludzi w celu badań psychiatrycznych i psychologicznych. Proszę sobie wyobrazić mężczyznę, który nie pamięta naukowca, z którym rozmawiał przed kilkoma minutami.

- Dziwne... - zamyślił się.

- Na takich osobach, prowadzono badania nad wpływem wystroju wnętrza, na samopoczucie i myśli ludzi. Zadawano takie same pytania dla - tu zawahał się przez chwilę - królika doświadczalnego, przerzucając go z pokoju do pokoju, a że ten nie wiedział, iż udzielał już wywiadu, to wychodziło jak wychodziło.

- Piękne... Dlaczego my tego nie robimy?

- Wiemy już wszystko o ludzkim umyśle, więc prowadzenie takich badań jest zbędne.

- No dobrze, ale jak to się ma do tego, że ten kmiotek nie wiedział kim jestem?

- Widzisz o Panie. Mimo, iż hipokamp jest dezaktywowany przez Szarm, którym ich faszerujemy, to sobie Pana przypomniał, bo tak ma zakodowane.

- To nie można było zakodować żeby pamiętać mnie zawsze?! - krzyknął z oburzeniem.

- No niestety. Takiej możliwości nie ma.

Amadeusz zamilkł, wycelował wzrokiem w oparcie fotela, będącego naprzeciwko,

i mrucząc pod nosem, myślał intensywnie.

Po chwili zerwał się energicznie, jakby szukając tylko pretekstu do złości, i wyładowaniu jej na Igorze.

Krzyknął uderzając pięścią w skórzaną kanapę.

- A gdzie do kurwy nędzy są te Tevedy?!

- Wybacz mi panie, ale nie mogli uczestniczyć w szturmie na port.

- Dawaj mi tu te suki! Ale już! - krzyczał jak opętany, macając się ostentacyjnie po sztywnym członku, oraz błędząc przekrwionymi oczyma dookoła, z szalonym uśmiechem na twarzy.

Igor przyglądał się dla swojego szefa z niedowierzaniem, gdyż wcześniej nie widział go w takim stanie.

- Nie ma takiej możliwości o Panie. - z trudem wykrztusił z siebie, przestraszony Igor.

- Jedziemy do Sofy po kurwy! - rozkazał krzykiem.

- Ależ o Panie, nie starczy nam ropy, aby tam zajechać. Musimy pierw zatankować na pańskiej posesji.

- Jedziemy na kurwy! - krzyczał na całe gardło, niczym dziecko, histeryzujące w sklepie, po tym jak rodzic odmówił zakupu wymarzonej zabawki.

- Ale...

- W Sofie mamy kilka karnistów z ropą, więc zamknij się w końcu, i dzwoń żeby na nas czekały!

- Tak jest. - odrzekł strapiony, wybierając drżącymi rękoma numer do Sofy.

Sygnal w telefonie, informujący o braku zasięgu, oświecił zestresowanego Igora o tym, że po wybuchach, cała sieć przestała funkcjonować, z braku prądu w przekaźnikach i nadajnikach. Satelity również były już poza ludzką kontrolą.

Nie wiedząc, jak poinformować o owym fakcie, wyraźnie poirytowanego szefa, Igor odważył się w końcu na nieśmiałą wypowiedź.

- Nie ma zasięgu.

- Co?! - zapytał Amadeusz, mierząc szalonym spojrzeniem, świecącego oczami osobistego asystenta.

- Po wybuchach sieć przestała działać o Panie.

Po tych słowach, wściekły Amadeusz nie wytrzymał, i chwytając Igora za wszarz, cisnął nim na podłogę, po czym zaczął kopać go z całej siły w twarz, krzycząc jednocześnie.

- Masz mnie za idiotę?! Drwisz sobie ze mnie?!

- Błagam o Panie, litości! - starał się przekrzyczeć oprawcę.

- Myślisz, że nie wiem, że sieć jest wyłączona?! Za kogo ty mnie masz?!

- Błagam! Błagam! - wycedzał pomiędzy jękami.

- Zatrzymaj samochód! - krzyknął w końcu Amadeusz do kierowcy, który błyskawicznie wykonał polecenie.

Rozgniewany, z odrobinami śliny na ustach, Amadeusz, wyszedł z limuzyny, a po chwili, wyciągnął z niej obitego Igora, który po upadku na chodnik, począł wic się jak przypalany robak.

- Chodź no... - syknął, ciągnąć za marynarkę swoją ofiarę, w stronę drzwi pasażera.

Otworzył je, ułożył głowę Igora w taki sposób, iż znajdowała się ona na wysokości zatrasku, w który wchodził bolec, zamykając drzwi.

Rytmicznie uderzając stalowym skrzydłem w głowę mężczyzny, Amadeusz z niedowierzaniem, zastanawiał się, nad niezwykle solidną konstrukcją ludzkiej czaszki.

- Zobacz! - krzyknął do oniemiałego kierowcy, uradowany Amadeusz, wskazując zakrwawionym palcem na niewielkie wklęśnięcie, które pojawiło się w drzwiach.

- Skurwiel strasznie mocy ma ten pusty łeb. - dodał, i ponownie zaczął masakrować głowę Igora.

Samochód drgał lekko, a nieprzytomny Igor, zsuwał się na chodnik, lecz Amadeusz, nie pozwalając na to, co rusz poprawiał jego pozycję.

Za którymś razem, uderzył z taką siłą i tak celnie, iż czaszka Igora pękła w pół, uwalniając kawałki zmiażdżonego mózgu, do wnętrza samochodu.

Kierowca ujrawszy to, nie wytrzymał, i krzyknął z przerażenia, a rozchodzący się smród, przyprawiał go o mdłości.

Amadeusz, nie wiedząc czemu, wrzucił sprofanowane zwłoki do środka, i rzekł.

- Dzwon do Sofy i powiedz naszym kurwom żeby się nasmarowały, bo zaraz po nie przyjedziemy.

- Ta... Ta... Tak jest o Panie. - wydukał zestresowany kierowca, chwytając drżącą ręką za nadajnik radiowy.

Amadeusz rozsiadłszy się wygodnie na tylnej kanapie, wbił wzrok w barek pełen trunków, lecz nie sięgnął po żaden z nich.

Ilona przeglądając się w lustrze, poprawiała stanik i ćwiczyła uśmiech, na który w ogóle nie miała ochoty.

Dwie inne dziewczyny, ubierały się pośpiesznie, chichocząc przy tym, jak małpki w cyrku, które ukradły dla klauna banana.

To właśnie ów banan Amadeusza, wzbudzał w nich tyle pozytywnych emocji.

Ilona zawiązując koronkowy gorset, przyglądała się swojej figurze, i ujrawszy, że jej uda oraz pośladki, urosły nieco, ku swojemu zdziwieniu, nie przejęła się tym faktem, a wręcz przeciwnie. Spodobała jej się ta zmiana, i wiedząc o tym, że większość mężczyzn, woli jak kobieta ma nieco kształtów, uśmiechnęła się do siebie, lecz wizja nadchodzących obowiązków, pędem błyskawicy, wytrąciła ją z dobrego nastroju.

Gdy zza oknem ujrzała nadjeżdżającą limuzynę, z trudem powstrzymała łzy.

- Jadzie! Jedzie! - krzyczały podniecone kurwiszony, dokańczając makijaż.

Stojąc przed progiem, i czekając powitalnie na swojego szefa, dziewczyny przyglądały się badawczo Amadeuszowi, który krocząc w ich kierunku, w jednej ręce trzymał butelkę z wódką, a w drugiej zaś, rękę mężczyzny ze zniekształconą głową, którego ciągnął za sobą, jak świeżo upolowaną zwierzynę.

Uśmiechał się maniakalnie, i patrzył na nie szalonym wzrokiem. Podchodząc dumnie do czekających i uradowanych niewiast, cisnął w jedną z nich butelką, trafiając w głowę, co spowodowało jej nagły upadek, oraz falę śmiechu.

Nieszczęśnicą, która otrzymała ten podarek, była Ilona.

Straciwszy przytomność, leżała, i najwidoczniej śniła o czymś miłym, gdyż na jej twarzy, widniał szczery, lecz dyskretny uśmiech.

Amadeusz położył obok niej zdezelowanego Igora, i przyglądając się ich zniszczonym głowom, splunął na nie pogardliwie, po czym obejmując za talię swoje towarzyski, ruszył w kierunku limuzyny.

Jack przebudził się z ogromnym bólem głowy.

Leżąc skrępowany w ciemnicy, na początku, nie był przekonany gdzie jest, i co się dzieje. Dopiero po chwili, gdy poczuł smak znoszonej skarpetki w ustach, oraz piekące obtarcia naskórka na nadgarstkach i kostkach, spowodowane linami, które uniemożliwiały mu ruch, przypomniał sobie ostatnią napaść, na jego osobę.

Domyślił się wówczas, że jest zapewne w bagażniku limuzyny Amadeusza, gdyż pomieszczenie, w którym się znajdował, było dość ciasne, a powietrze w nim gęste i nieświeże.

Zastanowił się przez chwilę, czy być może ta nieświeżość, nie pochodzi ze skarpetki, która solidnie tkwiła w jego ustach, uniemożliwiając mu mowę oraz oddychanie.

Po tym jak opanował pierwszy stres, zaczął rozmyślać nad ewentualnym planem ucieczki.

Początkową pustkę, która nawiedziła jego zdesperowany umysł, zaczęły zagłuszać odgłosy z kabiny samochodu.

Zwierzęcy ryk, przecinany jękami i stękaniem, wyrażającym ból, ozdobiony niesympatycznym, głupkowatym, kobiecym rechotem, przebijał się przez ścianę bagażnika dość dokładnie.

Jack domyślając się, co tam się wyrabia, utwierdził się tylko w przekonaniu, że jest goszczony przez swojego dotychczasowego doradcę.

Po raz kolejny tego dnia, zdziwił się, gdyż wydawało mu się, że czasami gorszące komentarze, czy dowcipy Amadeusza, biorą się z jego specyficznego poczucia humoru, nie zaś z życiowych doświadczeń i realnych upodobań.

Uświadomił sobie, że w ogóle nie znał tego człowieka, mimo iż spędzał z nim najwięcej czasu, i ufał mu bezgranicznie.

Początkowy smutek, wywołany tym stwierdzeniem, przeobraził się we wstyd, rozgoryczenie i złość na samego siebie.

- Ty durniu! - krzyczał w myślach, nie mogąc zdzierżyć tego, jak dał sobie zamydlić oczy.

Zagłębiając się mocniej, w rozważania o tym oszustwie, przez pewien moment, przeszła mu przez myśl teoria, iż skoro osoba, którą jak mu się wydawało, znał najlepiej, oraz którą darzył największym zaufaniem, okazała się oszustem, i w rzeczywistości zupełnie kimś innym, to zapewne nikogo tak naprawdę nie znał.

Kolejnym etapem tej dołującej fali, była wizja, w której wszyscy ludzie, napotkani przez Jacka w jego życiu, świadomie oszukiwali go tylko po to, aby ponaśmiewać się z jego głupoty i naiwności, a na końcu, upokorzyć doszczętnie. Wydawało mu się, iż moment totalnego upodlenia i upokorzenia, zbliża się niechybnie właśnie teraz.

Zaczął wyobrażać sobie roześmiane tłumy wykrzykujące w jego kierunku.

- Co za kretyn! Matoł! Baran!

W myślach klęczał na scenie, związany linami, i z własną skarpetką w ustach.

Płonący ze wstydu, oraz nie mogący uciec, od pogardliwych i szydzących spojrzeń, gestów oraz docinek, starał się dodreptać niesprawnie do krawędzi sceny, aby spaść z niej, i tracąc przytomność podczas upadku, zaznać ulgi.

Owe niemiłe wyobrażenie, przerwał dźwięk tłukącej się butelki, która musiała upaść komuś, podczas radosnych harców zza ścianą.

- Chodź tu suko! - dobiegł Jacka dziwnie zniekształcony głos Amadeusza.

Po chwili rozszedł się głośny klaps, a Jack jął się zastanawiać, czy otwarta dłoń Amadeusza, zatrzymała się na czyjejś twarzy czy pośladku.

Uradowany jęk, częściowo wywołany bólem, nasuwał drugą opcję.

Najwidoczniej druga z dziewczuch, przyłączyła się do rozpustnych igraszek, gdyż nieznosny rechot, został zastąpiony jękami i głośnym dyszeniem.

- Kurwa! Kurwa! Kurwa! - wydierał się na całe gardło Amadeusz, nie wiedząc czemu.

Jack poczuł obrzydzenie, i starał się nie wyobrażać sobie scen, jakie miały tam miejsce. Zaczął nucić melodię z windy, aby zagłuszyć nieciekawe odgłosy.

Po krótkich zmaganiach z linami i brakiem konkretnego planu, zrezygnowany ułożył głowę, starając się zasnąć.

Wydawało mu się, iż nie zasnął w ogóle, lecz nagle, jakby sekundę po tym, jak zamknął oczy, otworzyła się klapa bagażnika, wpuszczając do środka promienie światła.

Zbolałe oczy, starały schować się pod powiekami, lecz na marne, gdyż słońce raziło tak mocno, iż z łatwością przebijało cienką skórę.

Rozwścieczona twarz Amadeusza, przyglądała się jemu, w otaczającym ją blasku, a towarzyszące jej kobiece oblicza, szczerzyły się zalotnie, spoglądając dumnie i z podziwem na swojego pana.

- Wysiadamy przyjacielu. - rzekł Amadeusz, wyciągając Jacka z bagażnika, i rzucając nim na asfalt, powodując tym samym, uwolnienie jego ust, z objęć zwiniętej skarpetki.

- Co ty wyrabiasz do licha?! - krzyknął zde gustowany Jack, licząc, iż uda mu się przemówić Amadeuszowi do rozsądku.

- To na co czekałem od lat. - odparł poważnie, i rozkazał swoim ładacznicom, przetransportowanie ofiary do domku nieopodal.

Jack ciągnięty po podłożu, przez zadziwiająco silne niewiasty, spostrzegł dom Amadeusza, w którym był kiedyś, na zorganizowanym przez niego grillu.

- To twój... - starał się powiedzieć, lecz szybko jego wypowiedź została przerwana przez Amadeusza.

- Tak. Pamiętasz może tę altankę, na której rozmawialiśmy o nieśmiertelności, popijając drinki? - zapytał, udając miłe rozmarzenie wywołane wspomnieniami.

- Tak... - odparł niepewnie Jack, nie do końca rozumiejąc, po co Amadeusz wracał do tej rozmowy.

- Otóż mój drogi przyjacielu, wyobraź sobie, iż wziąłem do siebie, twoje słowa i zapragnąłem spełnić twoje marzenie.

Jack spojrzał na niego pogardliwie, doszukując się żartu w jego wypowiedzi i zachowaniu. Ów żart, wydawał się nazbyt nieudany i niefrasobliwy, co urodziło w nim niesmak, lecz jak okazało się po kilku minutach, Amadeusz nie żartował, co napełniło Jacka przerażeniem.

Zjeżdżając ciasną windą, do której wejście znajdowało się w podłodze, nadjeziornej altany, Jack spoglądając z podłogi ku górze, mimowolnie spostrzegł wilgotne krocze jednej z kobiet, nieokryte żadną bielizną.

Druga, zorientowawszy się, gdzie stary przyk spogląda, przycisnęła mocno jego genitalia butem na obcasie.

Jack jęknął z bólu, i zmykając oczy, przeklinał swoje samcze odruchy.

- Dosyc tego! - warknął Amadeusz, a drzwi windy zaczęły się rozsuwać.

Jack podniesiony to pionu, oraz podtrzymywany brutalnie i niechlujnie przez Amadeusza, kroczył korytarzem, oświetlanym czerwonymi lampami, ubolewając, nie wiedząc czemu, nad faktem, iż jedną stopę ma bosą, drugą zaś, najnormalniej w świecie, odzianą w porządny, skórzany but.

Najwidoczniej był w takim stresie, że myśli układały mu się co najmniej nieadekwatnie do sytuacji.

Cała czwórka, dotarła po pewnym czasie do pomieszczenia, w którym stało drewniane krzesło, na drewnianej podłodze, z której wychodziły drewniane ściany, kończące się na drewnianym suficie. Krzesło było nafaszerowane różnego rodzaju

kablami, przewodami, a na oparciach i przednich nogach, widniały solidne skórzane pasy.

Jack ujrzawszy ten nietuzinkowy mebel, drgnął z przestachu, i zaczął zastanawiać się, nad jego zastosowaniem.

- Oto twój tron! - krzyknął sarkastycznie Amadeusz, puszczając bezwładnego Jacka na ziemię, i wskazując ręką krzesło.

Po chwili, niewiasty, rozcięły liny krępujące bezbronного starca, po czym dość szybko i sprawnie, usadowiły go na krześle, zapinając błyskawiczne pasy, uniemożliwiające mu jakikolwiek ruch.

- Coś ty wymyślił?! - zapytał rozzalonym głosem Amadeusza, zmęczony Jack.

- Oto tron wieczności. - odparł ze śmiechem, po czym dodał.

- Aparatura umieszczona pod tym krzesłem, zapewni twojemu organizmowi idealną ilość substancji odżywczych, wody oraz genu młodości, o którym kiedyś rozmawialiśmy, i którego byłeś zagorzałym przeciwnikiem, co według obliczeń, pozwoli ci żyć do wyczerpania zapasów. Czyli przez jakieś najbliższe tysiąc lat. Dodatkowo, adrenalina zmieszana z pobudzaczami, nie pozwoli ci zasnąć, a prąd który będzie cię raził od czasu do czasu, będzie dostarczał dzienną dawkę bólu. Będiesz się wypróżniał pod siebie, więc aromat tego miejsca, za jakiś czas, również nie będzie zbyt sprzyjający.

- Przestań z tymi żartami! To nie jest śmieszne! - krzyknął Jack, powodując śmiech, przyglądającej mu się trójki.

- Nas to bawi. - skomentowała jedna z kobiet, trzęsąc galaretowatym biustem, i wystawiając język, przez złowieszczy uśmiech.

- A więc, drogi przyjacielu... Dobrej zabawy! - zakończył Amadeusz, i zaczął opuszczać pokój, wraz ze swoimi lafiryndami.

Jack litościwym wzrokiem, odprowadzał trójkę prześladowców, wyczekując ze

zgrozą, pierwszego porażenia prądem.

W momencie jak oprawcy znikli w mroku korytarza, nad wejściem, zaczęła rozsuwać się niewielka kurtyna, zza której wyłonił się obraz, ukazujący uśmiechnięte słoneczko na błękitnym niebie, przypominające te, z dzieciennych kreskówek.

Jakby tego było mało, ze wszystkich stron, do uszu Jacka, zaczęła dobiegać kołysanka, która od razu wydała się mu strasznie nużąca i irytująca.

Przymykając zmęczone oczy, powoli zagłębiał się w sen, licząc niż zapadając w niego, obudzi się z tego koszmaru.

Przyszło mu do głowy, że może zasną w poczekalni u dziecięcego lekarza, co był tłumaczyło motyw, niepasującego obrazka wiszącego naprzeciw niego.

Kiedy utwierdził się, że śni, starał się zrelaksować i odpłynąć, uśmiechając się pod nosem, z tej dziwnej fantazji, która wykreowała się w jego umyśle.

Odliczając sekundy do uśnięcia, dającego przebudzenie, przeraźliwie mocna dawka prądu, wyginająca kończyny oraz szyję Jacka, wytrąciła go z marzeń, i brutalnie wskazała rzeczywistość.

Drgał przez kilka sekund, starając się zamknąć usta, z których wystawał bezwładny język, oraz wydostawała się spieniona ślina. Oczy mimowolnie pomknęły ku górze, całkowicie skrywając źrenice pod powiekami.

Po tym, jak bolesny atak ustał, obolały Jack, spojrzał nie wiedząc do końca czemu, na namalowane słońce, które wydawało mu się jakby smutniejsze, niż wcześniej.

Przenikliwy, cichy szum, wypełnił pokój, a rurkami, które były powbijane za pomocą wenflonów do ciała Jacka, zaczęły płynąć różnokolorowe płyny. Po niechcianym zastrzyku, Jack błyskawicznie odzyskał siły, lecz nie pozbył się bólu mięśni, stawów i głowy.

Męczyły go również, głód oraz niesamowita suchość w ustach. Czuł jak pot,

nieprzyjemnie oblepia jego ciało, a on nie był w stanie, chociażby przetrzeć sobie gorącego czoła chusteczką, a im bardziej jego zmysły wracały do normy, tym bardziej czuł się nieswojo, brudno oraz bezradnie, więc i ból, wydawał się silniejszy.

Kolejny raz, dziwna kołysanka zabrzmiała z ukrytych głośników, a namalowane słoneczko, uśmiechnęło się jak na początku.

Wyczekując melodyjnej sekwencji, po której mógł spodziewać się kolejnego porażenia, Jack zastanawiał się, nad często bezmyślnymi życzeniami, jakie ludzie składają, nieświadomi tego, co ich spełnienie może przynieść.

Wychodząc z altany na zewnątrz, Amadeusz rzucił pośpieszne spojrzenie na jezioro, za jego plecami, i ruszył spełniony, w stronę samochodu.

Kierowca staranie przelewał ropę z kanistra do zbiornika.

- Jeszcze nie skończyłeś? - spytał Amadeusz, czekając aż jedna z Teved, otworzy mu drzwi.

Szofer nie odpowiedział nic, zmagał się z gumową nakrętką, która uporczywie nie chciała usadowić się w gwincie.

Tevedy pośpiesznie wsiadły do środka za swoim panem, i gdy jedna z nich, po raz kolejny ruszyła w stronę barku, aby przyrządzić drinki, druga zalotnie ocierała się o Amadeusza, patrzącego w zamyśleniu za okno. Jak tylko poczuł delikatną dłoń, na swoim rozleniwionym, sflaczałym penisie, zamachnął się ręką, i poczęstował piękną twarz towarzyszki łokciem.

Purpurowy siniak błyskawicznie przyozdobił jej lewe oko, z którego poleciała łza.

- Odpierdol się szmato... - ostrzegł stanowczym tonem, po czym wrócił do zadumy.

Młódka szkoląca się w barmańskim fachu, niepewnie, drżącą ręką, poczęła podawać Amadeuszowi szklankę z alkoholowym trunkiem, uśmiechając się, i roniąc kilka kropel.

- Bu! - krzyknął gwałtownie, łapiąc za drinka.

Dziewczyna w mgnieniu oka, znalazła się w przeciwległym kącie kabiny, i skulona, ze strachem w oczach, uśmiechała się do rozbawionego żartownisia.

- Głupie pizdy... - burknął pod nosem, i zamoczył usta w wódce z sokiem pomidorowym.

Po chwili samochód ruszył, a krajobraz przedstawiający luksusowe posiadłości z wielkimi, równymi trawnikami i wymyślnymi ogrodzeniami, poruszył się powoli. Zapach świeżo skoszonej trawy, wdierał się przez otwarte okno do wnętrza, rodząc na lekko zmęczonej twarzy myśliciela, szarmancki uśmiech.

- Panie... - starała się zagaić Teveda z podbitym okiem.

- Zamilcz... - przerwał jej próbę nawiązania rozmowy, zmęczonym syknieniem.

Wjeżdżając do miasta, pasażerowie mogli zaobserwować grupę Mojomów, nadzorującą Bayaszów, majstrujących przy stacji ładowania samochodów. Część z nich kopala rowy, prowadzące do sporego otworu w ziemi, z którego wystawał kawałek nieznanej, metalowej konstrukcji. Inni zaś, modernizowali stację, nie zmieniając jej przeznaczenia, lecz przystosowując ją do nowych realiów.

Amadeusz burknął z cicha w zadumie, po czym rzekł sam do siebie.

- Oby szybko dostarczyli gaz do stacji, bo w drodze z Krakowa, są kolejne zmechanizowane jednostki.

Oczyrna wyobraźni, Amadeusz widział jak po wybuchu, z różnych miejsc w mieście, wylewają się chordy Mojomów, które stopniowo przejmują kontrolę, nad bezradnym miastem.

Trzy płaskie okręgi, powstałe po wybuchach elektrowni atomowych, łączyły się miejscami ze sobą, odcinając miasto od świata zewnętrznego.

Jedynym sposobem na opuszczenie odizolowanej strefy, była przeprawa przez Bałtyk.

Dlatego rozkazał on na samym początku przejąć porty, a jako, iż okoliczne wody, zostały skażone promieniowaniem, przeprawa wpraw nie wchodziła w rachubę. Był pewien, że nawet odpowiedni kombinezon, nie uchroniłby nikogo, przez nagłą śmiercią w słonej wodzie.

Uradowany swoją przebiegłością i pomyślnością losu, która pozwoliła mu przejąć kontrolę nad miastem, w szybszym niż spodziewał się czasie, spoglądał rozmarzonym spojrzeniem przez okno limuzyny, budząc w umysłach towarzyszących mu Teved, domysł przepelniony lękiem i niepewnością.

Jadąc jedną z głównych ulic Gdyni, limuzyna Amadeusza napotkała na swej drodze, sporej wielkości gromadę ludzi, która jakby bezmyślnie i spójnie, kroczyła w kierunku, z którego nadjeżdżała.

Kierowca zawahał się przez chwilę, i spuścił nogę z gazu, patrząc nerwowo w lusterko, ukazujące mu twarz Amadeusza, który odczuwając zmniejszenie prędkości, energicznie spojrział w stronę kierowcy, i krzyknął.

- Gaz do dechy i przed siebie! Niech posypie się trup!

Zmieszany kierowca, nie chcąc denerwować szefa, bez przekonania, wcisnął pedał gazu, i zamykając oczy, mknął przed siebie w stronę idących ludzi, trzymając kierownicę z całych sił. Głuche uderzenia oraz drgania kierownicy, oznajmiały mu momenty, w których taranował, któregoś z przechodniów.

Rozbawiony ową sytuacją Amadeusz, w przypływie dobrego humoru, rozkazał jednej Tevedzie, podać sobie drinka, a druga, pod rozkazem, zaczęła więc się na podłodze, liżąc ją co jakiś czas.

Nic tak nie radowało oczu Amadeusza, jak upodlona do granic kobieta.

Delektując się chwilą, pograżył się w błogiej zadumie. Z transu wytrącił go dopiero głos kierowcy.

- Jesteśmy już szefie. - rzekł dość nieśmiało.

- Co? - zapytał rozkojarzony.

- Oto pański apartamentowiec. - oznajmił.

- A, a... Tak, tak. - burczał Amadeusz pod nosem, niezgrabnie wychodząc z limuzyny.

Słońce powoli chowało się za wysokim blokiem, obok którego stał monumentalny wieżowiec. Ponad sześćdziesięciopiętrowa konstrukcja, mieściła na samej górze, jeden z wielu apartamentów Amadeusza, w których przebywał bardzo rzadko.

Przy głównym wejściu, stało dwóch Mojomów, uzbrojonych w karabiny.

Skinęli delikatnie głowami na widok wodza, i z pokorą przesunęli się, udostępniając wejście.

Po przekroczeniu progu, posmutniał on wielce, a jego twarz przyozdobił bolesny grymas zmęczenia.

Zapewne człowiek obdarzony analitycznym rozumem, wywnioskowałby, że ów pogorszony stan ducha, bierze się zapewne stąd, iż aby dostać się do swojego apartamentu, mieszczącego się na szczycie, Amadeusz będzie musiał pokonać sporo stopni, co w rzeczywistości, nie miało zbyt dużo wspólnego z prawdą. Otóż Amadeusz, nie miał w planach wędrówki na sam szczyt szklanego budynku, a wręcz przeciwnie, gdyż azymut jego podróży, kierował się ku piwnicom.

Mijając stanowisko lokalnego ciecica, który był akurat nieobecny, otworzył stalowe drzwi, ukazujące mu kręte schody prowadzące w dół.

Zbiegając po nich powoli, zastanowił się przez chwilę, co z kierowcą i Tevedami, którzy zapewne stoją przy samochodzie, czekając na jakiś rozkaz, bez którego nie odważą się zrobić kroku. Zaśmiał się pod nosem, i przystanął na chwilę, dobiegając do drzwi, z napisem obwieszczającym, iż za nimi znajduje się parking.

Pchnął solidne, metalowe skrzydło, a jego oczom, ukazał się podziemny plac, wypełniony Mojomami, Tevedami i nieliczną grupką przerażonych ludzi. Głośnie muzyka, krzyki, śmiechy i płacz, dobiegały z każdej strony, a zabawa trwała w najlepsze.

Przechodząc pomiędzy rozochocionym towarzystwem, Amadeusz rzucał co rusz, komuś groźne spojrzenie, powodując paraliż osoby obserwowanej.

Przemknął błyskawicznie, wzbudzając niepokój i zaciekawienie, po czym przeszedł przez kolejne drzwi, ginąc za nimi, jednocześnie pozostawiając w umysłach obserwatorów, niezgłębioną przez nich tajemnicę.

Dalej, niepokieszony z nieznanego nikomu powodu, kroczył przed siebie, bacznie obserwując, spuszczone wzrokiem jasne kafelki, po których stapał.

Po krótkim i energicznym marszu, napotkał mężczyznę, którego widok urodził na jego twarzy niewielki uśmiech.

- Witaj mój chłopcze! - krzyknął starzec, najwidoczniej wyczekujący Amadeusza, który z przekąsem odparł.

- Witam cię Romanie.

Roman był z lekka przygarbionym, nieco otyłym, starszym mężczyzną. Łysiejaca głowa, ozdobiona była dość długimi, siwymi włosami, które sterczały na wszystkie strony świata, zaczynając swoją wędrówkę na brzegach czaszki, tym samym, uwidaczniając łysinę, ogarniającą centrum głowy. Założone na siebie dłonie, lekkie gibanie się na boki, oraz duży, kruczony nos, na którym znajdowały się okulary z okrągłymi szkiełkami, na pierwszy rzut oka, narzucały myśl o szalonym naukowcu.

Owe spostrzeżenie nie byłoby mylne, gdyby nie fakt, iż starcowi, daleko było do naukowca.

- Jak się ona czuje? - zapytał strapiiony Amadeusz, podając mu dłoń Romanowi.

- Wszystkie wskaźniki w normie. - odrzekł z zimnym profesjonalizmem.

Wyczuwając zmieszanie w zachowaniu Amadeusza, klasnął ochotczo w dłonie, i lekko podskakując, zachęcał go do przekroczenia kolejnego progu.

Wchodząc do pokoju, Amadeusz poczuł dobrze sobie znany zapach, który wydobywał się z kadzideł, tego samego rodzaju, jakie znajdowały się w Sofie.

Usiadł wygodnie na czerwonej kanapie, i wpił zniecierpliwione spojrzenie, w kurtynę, tegoż samego koloru, która niewzruszona, skrywała coś przed nim, skutecznie.

Roman podbiegł energicznie do konsoli nieopodal, i spoglądając chytrze na swojego pracodawcę, zapytał radośnie.

- Gotowy?

- Gotowy. - oznajmił poważnie.

Kurtyna powoli rozchodziła się, ukazując szklaną kostkę, o sześciu ścianach, w której wnętrzu, leżała kobieta, śpiąca wygodnie na białych poduszkach, i niestranie przykryta białym płótnem, spod którego wydobywała się jedna pierś i kawałek pośladka, wraz ze zgrabną nogą.

- Kochanie... - jęknął Amadeusz, przeszkłonymi oczyma, przyglądając się śpiącej piękności.

Serce mu zamarło, a w gardle stanęła ołowiana kula, uniemożliwiająca swobodne oddychanie, nie wspominając już o jakiegokolwiek wypowiedzi.

Schwycił kanapę z całej siły, jakby walczył z chęcią powstania z niej.

Przyglądał się rozmarzony, uśmiechniętej, spokojnej twarzy kobiety, i nim się obejrzał, siedł w jej kierunku.

- Amadeuszu! - krzyknął teatralnie Roman.

Mężczyzna ocknął się, i błyskawicznie wrócił na miejsce, z którego kontynuował obserwację.

Kobietą, która słodko drzemała w szklanym akwarium, była Sara. Młódka, którą postanowiło odwiedzić wątpliwe szczęście, w postaci Amadeusza, napotkanego na drodze życia.

Początkowa niewinna znajomość, po czasie przeistoczyła się w namiętny romans, który ukazał Sarze, część z prawdziwego oblicza, uroczego adoratora. Owe spostrzeżenia, nie napawały dobrą nadzieją na przyszłość, co skłoniło ją, do próby zerwania z nim kontaktu, lecz ten, niczym klasyczny antybohater z powieści chwytających za serce, ani myślał, puścić ją wolno, narażając jednocześnie na kontakt z kimś, niegodnym jej urody, jak to sobie sprytnie wykalkulował.

Jako iż był on, już wtedy, bardzo zamożnym i wpływowym człowiekiem, postanowił zatrudnić jednego z najbardziej cenionych naukowców, zajmujących się badaniami, nad nielegalnymi dziedzinami wiedzy. Nieszczęśnikiem, który został wybrany do współpracy, z tym niesympatycznym pracodawcą, był Roman, dla którego postawa Amadeusza była obojętna, zwłaszcza, gdy otrzymywał on pieniądze na prowadzenie badań, i spokój, ze strony dotychczas nękających go służb.

Nieokrzesany dziwoląg, nazywający sam siebie naukowcem, przez kilka miesięcy, przygotowywał projekt, mający zaspokoić oczekiwania Amadeusza, i zagwarantować mu dożywotnie dofinansowanie oraz spokój.

Kostka, jak nazywało się zmyśłe urządzenie, wykreowane na początku, oczyma wyobraźni Romana, miało przechowywać w nienaruszonym stanie, osobę się w niej znajdującą, przez długi okres czasu.

Nie raz podniecony Roman, zalewał Amadeusza mnóstwem objaśnień, na temat działania Kostki, lecz ten puszczał wszystko mimo uszu, licząc jedynie na oczekiwane efekty, nie zagłębiając się w ich naturę.

Porwanie Sary, i przetransportowanie jej do podziemnego laboratorium, nie stanowiło wyzwania dla Amadeusza. Pamięta jak dziś, moment w którym jego piękność, uśpiona zastrzykiem, spoczywała na jego rękach.

Nióśł ją w stronę Kostki, przyglądając się twarzy nieziemskiej urody. Lekko zmarszczone ciemne brwi, delikatnie zagięty ku górze czubek nosa, i wąskie różowiutkie usta, nie pozwalały mu odwrócić od niej wzroku.

Przepełniony niechęcią, oddał ją w ręce Romana, który wykapał ją dokładnie, w podejrzanej, różowej substancji.

Pamięta jego obleśny uśmieszek, gdy swoimi pomarszczonymi dłońmi, dotykał jego własność, zarzekając się przy tym, iż tylko on wie, jak dokładnie ją obmyć, co było nader ważne, w tym całym przedsięwzięciu.

Ku Amadeusza uciesze, to on wytarł ją dokładnie bawełnianą chustą, wodząc nosem przy jej krągłych piersiach, zgrabnych udach, i szyi.

Kiedy leżała na stole, zupełnie naga, niemal sterylne czysta, i bez grama wilgoci, Roman, rozporządził przeniesienie młódki do Kostki.

Szklana konstrukcja, po chwili otoczyła śpiącą niewiastę z każdej strony.

Cała podłoga, była usypana poduszkami, na których została delikatnie ułożona, a na nią została narzucona powabna, cienka, biała narzuta.

Kiedy wszystkie ściany Kostki, zespoły się, rodząc syk i niewielkie dymki na ich krawędziach, Roman stanął przed konsolą komputera, gotowy do ostatecznego manewru.

Amadeusz z lekką podejrzliwością, przyglądał się starcowi, błyskawicznie klikającemu w przyciski klawiatury.

Kilka sekund później, ściany Kostki, wykonane z nieznanego mu materiału, na moment delikatnie wklęśły się do środka, jakby ciągnięte do wewnątrz, przez zasysający powietrze wielki odkurzacz. Sara drgnęła lekko, a po chwili, gdy wszystko wróciło do normy, uśmiechnęła się błogo, i pogrążyła w głębokim śnie.

Amadeusz rozsiadł się wygodnie na kanapie, stojącej naprzeciw Kostki, i radośnie przypatrywał się obiektowi swoich pragnień.

Roman zauważył, że pomimo uśmiechu, który rozpromieniał z reguły posępne oblicze jego szefa, w jego oczach, nieśmiało pojawiały się niepohamowane łzy, odzwierciedlające wewnętrzne cierpienie.

Nie miał odwagi, aby przerywać ciszę, która wypełniła otoczenie, jakimś niesfornym pytaniem.

Amadeusz patrząc na Sarę, pogrążoną w wiecznym śnie, z którego miała się nigdy nie obudzić, dzięki Kostce, radował się masochistycznym cierpieniem, które wypełniało jego duszę, licząc, iż owe doświadczenie, dostarczy mu mocy, jak to zazwyczaj bywa, gdy rozkochany mężczyzna, może jedynie napawać się pięknem ukochanej, będąc świadomym, iż tylko to mu pozostaje.

Tłamsząc w sobie rządę, która go ogarniała, otwierał swój umysł, na coraz to nowe wizje, myśli i analizy, biorące się z poświęcenia, swoich najgłębszych pragnień. Pomimo bólu, przeszywającego jego duszę, radował się efektami pracy swojego mózgu, w tej nietypowej sytuacji, co na dłuższą metę, dawało mu znaczą przewagę nad przeciwnikami, którzy na co dzień, poddawali się pokusie, i łapczywie upajając się radością, spełnieniem oraz zatraceniem, marnotrawili cały zasób duchowej wiedzy, skrzętnie skrywanej w umyśle, pod płaszczem wyżej wymienionych uciech.

Rozdział 10

Maks przebudził się oszołomiony, z bólem głowy i piekącą skórą.

Zrywając z przedramienia, płat przypalonej skóry, syknął z lekka, spoglądając jednocześnie na leżącą pod ścianą, nieprzytomną Samantę.

Podczołgał się do niej niezgrabnie i z bólem, po czym zaczął szeptać do ukochanej przez łzy, i chwytając za dłonie, począł je całować.

- Obudź się kochanie, proszę. Nie zostawiaj mnie tu.

Pomimo błagalnych próśb Maksa, Samanta ani drgnęła. Jej popalona, pięknych kształtów twarz, spoczywała w błogim spokoju, nie reagując na jego słowa.

Zrezygnowany wstał, i ocierając łzy, zaczął zmierzać w kierunku balkonu, który tylko częściowo, przypominał solidną konstrukcję, sprzed wybuchu.

Spoglądając zza ogromnej dziury w ścianie, na skalę zniszczenia, jakie dokonało się po tej katastrofie, Maks nie mógł nadziwić się faktem, iż przeżył owe zdarzenie, lecz te zaskoczenie nie równało się w ogóle z poczuciem szczęścia i radości, bo źródło tych doznań, leżało właśnie pod ścianą za jego plecami, przy czym nie miało najmniejszej ochoty, aby zmienić swoje położenie.

Słońce powoli chowało się za płaski horyzont, który swoją pustką, zastąpił multum bloków, wieżowców oraz innych elementów miejskiej infrastruktury.

Nie wiedząc czemu, przez chwilę zachłysnął się tą ogromną połacią terenu, która swoją otchłanią, namawiała Maksa, do zabicia w sobie uczucia, żywionego do nieżyjącej już Samanty, które nie pozwoliłoby mu normalnie funkcjonować, co ukształtowałoby podobny obraz, w jego młodym jeszcze sercu.

Ocknąwszy się z chwilowej zadumy, Maks zaczął szukać telefonu komórkowego. Po niespełna minucie nieudanych poszukiwań, po raz kolejny zalał się łzami, i w takim oto stanie, usiadł spokojnie obok zwłok Samanty, po czym chwycił jej drobne

dłonie, i nie szczędził sobie łez żalu i goryczy.

Pomijając fakt, iż trzymanie w rękach martwej ukochanej, wobec której posiadało się plany, wokół której gromadziło się większość marzeń, nie jest najprzyjemniejszym z doznań, to jakby tego było mało, Maks nie miał możliwości skontaktowania się z najbliższą rodziną. Myśli o skali zniszczenia, ilości ofiar, i następstwach z tego wynikających, również nie dodawały mu otuchy.

Przyglądając się przez załzawione oczy Samancie, liczył naiwnie w duchu, że za jakiś czas, otworzy powieki, wypuszczając na świat swoje niebieskie oczy.

Małe szkiełka, powbijane miejscami w jego popalone ciało, kuły go od czasu do czasu, lecz owa fizyczna dokuczliwość, nie mogła się równać z jego duchowym cierpieniem.

Nie przejmując się mazią, wydobywającą się z jego nosa, i lądującą na drgających wargach, chlpał jak nie przystało na stereotypowego mężczyznę, którym to już rzekomo był. Drgnął ze zdziwienia, gdy spod drobnych usteczek Samanty, wydobyło się ledwo słyszalne stęknienie.

Otworzył oczy i skierował wzrok na jej twarz, która zaczęła dawać oznaki życia.

- Kochanie! Ty żyjesz! - krzyczał, nie mogąc pohamować łez, które tym razem były oznaką zachwyty.

Samanta powoli otworzyła oczy, i lekko przekreśliła zboląłą głowę w kierunku Maksa.

Ujrzawszy w jej oczach życie, z radości zaniemówił, mózg mu się wyłączył, i jedynym na co było go stać, w tej niesamowitej chwili, był mocny pocałunek w poparzone usta, który pomimo bólu, sprawił dwojgu zakochanym nieopisaną radość.

Poderwał się migiem z uśmiechem na twarzy, i pomógł poobijanej ukochanej, wstać na równe nogi. Ta chwiała się przez chwilę niepewnie, nie mogąc złapać równowagi, po czym wtuliła się w Maksa, i stojąc tak, starała się zrozumieć ostatnie wydarzenia, co nie przychodziło jej łatwo.

- Nawet nie wiesz jak się cieszę, że żyjesz. - szepnął spokojnie Maks, śląc całusa, w lekko przerzedzone i przypalone włosy.

- Jak się czujesz? Coś cię boli? - zapytał po chwili ciszy, która wydała mu się trochę niepokojąca.

- Trochę skóra, ale słabo. - odparła z cicha.

- Kochanie wszystko będzie dobrze, zobaczysz. - starał się pocieszyć Samantę, widząc iż ewidentnie nie jest ona w dobrym stanie psychicznym.

- Maks... - szepnęła.

- Tak? - spytał z troską w głosie.

- Ja nic nie widzę. - odrzekła, po czym zalała się łzami.

- Jak to? Pokaż no się. - poprosił, odsuwając jej głowę od swojego torsu, i przyglądając się jej oczom.

Wpatrując się w jej źrenice, zauważył, iż rzeczywiście nie reagują one na ruch jego oczu. Statyczny błękit, rodził w nim mieszane uczucia, które nasunęły mu na myśl pewien pomysł.

- Nie przejmuj się kochanie. Lekarze przywrócą ci wzrok.

- A jak nie? Będę całe życie ślepa! - krzyknęła rozżalona, po czym jeszcze mocniej przytuliła się do Maksa, chowając twarz.

- Spokojnie kochanie, na pewno cię wyleczą.

Stali tak przez chwilę w milczeniu, a Maks przyglądał się z uśmiechem pustce, za którą niemal całkowicie schowało się słońce.

Po chwili chwycił Samantę za dłoń, i zaczął prowadzić ją w stronę wyjścia. Idąc

zakurzonym przedpokojem w kierunku drzwi, zastanawiał się, czy na początku pojechać z Samantą do szpitala, alby ulżyć jej w bólu i zacząć diagnozować obrażenia oczu, przyśpieszając tym samym sam zabieg, który miał przywrócić jej wzrok, czy pojechać do rodzinnego mieszkania, aby sprawdzić jak miewają się jego bliscy. Nie do końca usatysfakcjonowany swoim tłumaczeniem, iż pole rażenia wybuchu było bardzo odległe, od miejsca gdzie się wychował, zrozumiał, iż to właśnie ta osoba, prowadzona przez niego za rękę, ma dla niego największe znaczenie, i mimo iż kochał oraz niepokoił się o swoją rodzinę, nie był w stanie nie potraktować jej priorytetowo.

W duchu miał nadzieję, że rodzice wybaczą mu te zaniedbanie, i wykażą się wyrozumiałością, podczas osądu jego wyboru, gdy poinformuje ich o wszystkim ze szpitala, gdzie zawsze znajduje się telefon.

Wychodząc z klatki, Maks obrócił się za siebie, aby spojrzeć na Samantę, która złękciona, rozglądała się na boki, niewidzącymi oczyma, licząc, iż być może, zaczną one funkcjonować prawidłowo.

Posmutniał znacznie, widząc strach na jej twarzy, oraz frustrację, wynikającą z niemocy i spowodowaną aktualną kontuzją.

Jak tylko obrócił się w stronę głównej ulicy, ujrzał na niej multum ludzi, z wolna podążających w jednym kierunku. Nie zastanawiając się długo, począł zmierzać w ich kierunku, a gdy Samanta wyczuła przyśpieszony krok jej ukochanego, wycodziła z nutką bólu.

- Co się dzieje?

- Ludzie kochanie. Ludzie gdzieś idą. - powiedział podekscytowany, licząc iż być może wśród nich znajdzie pomoc, oszczędzając nieco czasu, który był dla niego iście ważny w owej chwili.

Wybiegając zza rogu budynku, na główną arterię miasta, rozejrzał się na boki, i ku jego zdziwieniu, spostrzegł, że maszerującej masie nie ma końca. Przez całą długość ulicy, kroczył tłum mieszkańców, nie baczący na to, czy porusza się po jezdni, czy po chodniku.

Lekko skonsternowany, wbiegł w sam środek tłumu, ku nieuciesze Samanty, która co rusz, obijała się zdeorientowana, o któregoś z przechodniów.

Po włączeniu logicznego myślenia, Maks postanowił zagadnąć do pierwszej lepszej osoby.

- Przepraszam. - zaczął jednego z mężczyzn dość nieśmiało.

Zdziwił się nieco, gdy ten, nie odrzekłszy ani słowa, poszedł przed siebie, a jego zdumienie osiągnęło apogeum, gdy spojrzał w jego oczy.

Okazało się, iż są one niemal całkowicie białe, a jedyne co wyróżniało się z pomiędzy niewyobrażalnej bieli, były blado-szare, martwe źrenice, tkwiące wytrwale w samym centrum, otaczającego je białka.

Oniemiały zaczął przyglądać się twarzom pozostałych, i niemal zwariował, gdy okazało się, iż wszyscy obecni, charakteryzują się identyczną cechą.

Desperacko zaczął zaczepiać wszystkich dookoła, krocząc pod prąd.

- Co się dzieje?! - krzyknęła rozpaczliwie Samanta, drżącym głosem, zapowiadającym histeryczny płacz.

Maks nie odpowiadając na jej pytanie, uparczywie starał się znaleźć kompana do rozmowy.

Po kilku sekundach rozpaczliwych poszukiwań, spostrzegł spomiędzy tłumu postać, która niesamowicie szybkim sprintem, przemieszczała się wśród nich.

- Ej! - krzyknął, unosząc rękę do góry.

Ów szybki nieznajomy, najwidoczniej albo nie dosłyszał jego wołania, albo zignorował je, gdyż zniknął równie szybko, jak się pojawił.

- Co się dzieje?! - ponowiła swoje pytanie Samanta, płacząc przy tym jak szalona.

- Co? Co? - burknął ocknąwszy się z osłupienia Maks, po czym odwrócił się do swojej ukochanej, by nie tylko jej wysłuchać, ale również udzielić wszelkich odpowiedzi na nurtujące ją pytania.

- Co się dzieje?! - krzyknęła po raz kolejny, lądując w objęciach swojego mężczyzny.

- Nie wiem kochanie, ale nie bój się. Nic nam nie grozi. - odpowiedział strapiiony, nie dość przekonująco, co wzbudziło podejrzenia Samanty.

- Mów co się dzieje!

- Nie wiem, naprawdę. Ci ludzie... Coś się z nimi stało. - powiedział, rozglądając się dookoła, i starając się nie nastraszyć bezradnej istoty, dzierżonej w ramionach.

- Chodź skarbie. - rozporządził, i zaczął zmierzać w kierunku trolejbusu, który nie stojąc przy przystanku, wzbudził jego podejrzenia, o których nie chciał informować roztrzęsionej niewiasty.

- Dokąd?!

- Widzę trolejbus.

Ta wiadomość nieco podniosła Samantę na duchu, ale uporczywy niepokój oraz niepewność, nie dawały jej spokoju.

Po kilkumetrowej przechadzce, dotarli w końcu do trolejbusu.

Wciskając przycisk, awaryjnie otwierający drzwi, które w tej chwili były zamknięte, co również nie zdarzało się na co dzień, Maks zauważył, iż jest on wypełniony ludźmi, o takim samym jak reszta, martwym, białym spojrzeniu, którzy bezmyślnie starali się wyjść, przez zamknięte drzwi, przepychając się i miażdżąc tych, którzy byli ich najbliżej. Zerkając do środka, spostrzegł, iż wszystkie znajdujące się w środku, monitory, diody i tablice informacyjne, są wyłączone, a gdy dotarła do niego myśl, że do trolejbusu nie dochodzi prąd, zorientował się, że na miejskiej ulicy,

nie leci żadna muzyka, co było niespotykane, bo zawsze, skądś, w każdym zakątku miasta, o każdej porze, dało się usłyszeć choćby nieśmiałą melodię.

Jeszcze bardziej szokującym spostrzeżeniem okazało się to, że to co na początku brał za melodię, było pomrukiwaniem, wydobywającym się spomiędzy ust, maszerujących przed siebie ludzi. Ten okropny i niemal paraliżujący dźwięk, nie był podobny do niczego innego, co wcześniej Maks miał okazję słyszeć, ale dało się w nim znaleźć, jakiś bliżej niesprecyzowany ład, i po głębszym wsłuchaniu się, przypominał on melodię.

Odruchowo postawił kilka kroków w kierunku, w którym podążał tłum, lecz z tego nieświadomego marszu, wyrwał go kolejny krzyk jego ukochanej.

- Maks!

- Co się dzieje? - zapytał stroskany, po ocknięciu się z transu.

- To ja się pytam co się dzieje!

- Trolejbus nie działa.

- Jak to nie działa?!

- No nie działa, nie ma prądu.

- Co?!

To pytanie wykrzyczane odpowiednim tonem, przerwało w jego umyśle nić spokoju oraz cierpliwości, i pomimo współczucia, którym darzył Samantę w owej chwili, nie wytrzymał, po czym podniósł głos.

- Czy ty musisz się tak wydzierać?!

Po tych nieprzemyślanych słowach, wypowiedzianych pod naciskiem negatywnych emocji, Samanta puściła jego dłoń, i chowając twarz w swoich, poczęła płakać, siadając na chodniku, tak niezdarnie oraz energicznie, iż przypominało to

bardziej upadek.

Maks patrząc na tę mizerną próbę odpoczynku, poczuł jak serce rozsypuje mu się na drobne kawałeczki, i klnąc na siebie w myślach, usiadł obok swojej ukochanej, po czym tuląc ją do siebie, zaczął płakać i szeptać spokojniejszym już tonem.

- Przepraszam kochanie. Nie wiem co się dzieje. Nie wiem co we mnie wstąpiło. Ci ludzie są dziwni, nie ma prądu, nic nie działa, a ja nie wiem jak nas z tego wydostać.

Siedząc i rozżalając się nad swoją, zaiste niekomfortową sytuacją, dwójka zakochanych, przypominała, wyrastającą znad poziomu wody, skałę, usadzoną przez stwórcę, w górskim potoku żwawo rwącym w dół, z tą jednak różnicą, iż siedząc, byli konstrukcją niższą wzrostem, od płynącego wokół nich nurtu ludzkiej, ślepej i majaczącej masy.

Absurdalnie, takie położenie, wzbudziło zainteresowanie tajemniczego biegacza, który cały czas biegał w ich otoczeniu, zgrabnie unikając wzroku Maska, co nie udało mu się do końca. Ów tajemniczy jegomość, w chwili zwątpienia zagubionej dwójki, postanowił podbiec do nich, i zagaić nieco zdziwionym, ale i zarazem radosnym tonem.

- O kurwa.

- Słucham? - odezwała się Samanta, kierując swoje niewidzące oczy w kierunku głosu, który wlał w jej zbolące serce, dość spore połacie nadziei.

- Jak kto możliwe... - burknął pod nosem nieznajomy, przyglądając się ze zdziwieniem, atrakcyjnej twarzy dziewczyny.

Maks pogrążony w rozpacz, dopiero po energicznym szarpnięciu przez Samantę, zorientował się w sytuacji, i podniósł głowę, spoglądając na stojącego nad nimi mężczyznę.

Był on ubrany w sportowe buty, krótkie oliwkowe bojówki, z powypychanymi kieszeniami, szarą, rozpinaną koszulę, z zakasnymi rękawami, oraz plecak, który

przypominał ten przeznaczony do górskich wędrówek, lecz znacznie mniejszy. Ze zdziwieniem, lustrował nieco poniszczonej twarz mężczyzny, i zdziwił się nadto, gdy ten, zdejmując przeciwsłoneczne okulary, ukazał mu swoje oczy, z których biła niezrozumiała młodość, niepasująca do zmarszczek i lekkiej siwizny.

- Jak to możliwe... - powtórzył frazę wynikającą z zadumy, uśmiechając się przyjacielsko.

- Kim pan jest? - zapytał zmieszany Maks.

- Nazywam się Beniamin. Co wy tu robicie?

- Niech nas pan ratuje! - krzyknęła Samanta bez pardonowo, i nie zważając na zasady kultury, przerywając rozmowę dwojga, nowo zapoznanych mężczyzn.

- Cicho, kochanie. - szepnął Maks do ucha Samanty, po czym chwycił wyciągniętą ku niemu dłoń i z pomocą Beniamina wstał na równe nogi.

Nie mogąc się nadziwić, wydukał takie oto słowa.

- Jestem Maks, a to moja dziewczyna, Samanta.

- Miło mi was poznać, ale dalej nie wiem co tu robicie, a o ile pamięć mnie nie myli, to właśnie o to się was pytałem. - odparł Beniamin z lekkim chłodem, który wzbudził w Maksie niepokój.

- Nie wiemy. Był wybuch, a potem chcieliśmy udać się do szpitala, i ci ludzie, a trolejbus nie działa, nie wiem co się dzieje, i Samanta nie widzi, a nie ma prądu i...

- Spokojnie chłopcze. - wtrącił Beniamin widząc, iż młodzik, najwyraźniej nie daje sobie rady ze swoimi emocjami, po czym dodał.

- Muszę was zasmucić. Otóż szpitale nie funkcjonują, zresztą jak i całe miasto, bo nie ma prądu, a o ile mnie moja wiedza i rozeznanie w obecnej sytuacji nie myli, zapewne już go nie będzie.

- Niech nas pan ratuje! - po raz kolejny wtrąciła Samanta.

- Prosimy. - wtrącił Maks błagalnie, spoglądając to na Beniamina, to na płaczącą Samantę.

- Uwierzcie mi, że chętnie bym to zrobił, ale nie mogę.

- Dlaczego?! - krzyknęła dwójka młodzików jednym głosem.

- W ogóle nie powinno tu was być.

- To wiemy! Musisz nam pomóc dostać się do szpitala! - krzyknął Maks, zaskoczony swoją postawą, nad która nie zastanawiał się zbyt intensywnie.

- Głuchy jesteś? - odparł srogo Beniamin, marszcząc nieco brwi.

- Niech nam pan pomoże. - wybełkotała Samanta przez łzy, łapiąc niedoszłego wybawiciela za umięśnioną nogę.

Beniamin złagodniał nieco, i spoglądając na ranną, bezradną dziewczynę oraz jej sfrustrowanego chłoptasia, westchnął teatralnie.

- Zabiorę was do Mene, ale nie obiecuję, że was tam wpuszczą.

- Gdzie? - zapytał Maks.

- Pod warunkiem, że nie będziecie zadawać żadnych pytań. - ostrzegł surowo, patrząc tak samo na Maksa, który po przyjęciu warunków umowy, zaczął krzyczeć do Samanty, podnosząc ją z chodnika.

- Udało nam się! Jesteśmy uratowani!

- I nie będziecie gadać! - dodał Beniamin odwracając się, i szybkim krokiem, zmierzając w znanym tylko sobie kierunku.

Maks z uśmiechem, ucałował delikatnie Samantę, i zaczął prowadzić ją za sobą

śladami Beniamina, przedzierając się jednocześnie przez nieskończony tłum ludzi, zmierzający w przeciwnym kierunku.

Idąc nieco zbyt szybko, jak na niego, za swoim przewodnikiem, Maks, bardzo chciał dowiedzieć się czegokolwiek o zaistniałej sytuacji, a zwłaszcza o mijanych przez nich ludziach, lecz nie miał na tyle odwagi, aby łamać wcześniej ustalone reguły, zwłaszcza, gdy chodź szepną do Samanty, aby ją pocieszyć i pokrzepić, Beniamin słał mu poirytowane spojrzenie, w ramach reprimendy.

Chłód i niepojęty spokój, bijący od tego mężczyzny, cały czas przytłaczał Maksa, nie mogącego zrozumieć, co ten tajemniczy typ skrywa, pod tą niestaranną fryzurą. Mimo jakiegoś rodzaju zła, bijącego od niego na pierwszy rzut oka, nie mógł wyzbyć się przeświadczenia, iż jest on dobrym człowiekiem, godnym zaufania.

Po kilku minutach męczącego marszu, Samanta opadła z sił, i gdyby nie pewny chwyt Maksa, pewnie wylądowałaby twarzą na twardej powierzchni, znajdującej się pod ich stopami.

Beniamin zauważywszy przystąpienie dwojga zakochanych, na początku postanowił zbagatelizować fakt, iż mogą zgubić trop, którym i tak ledwo co podążali.

- Zaczekaj! - krzyknął Maks, tak rozżalonym głosem, iż z reguły zimne serce zahartowanego Beniamina, nieco stopniało.

Zatrzymał się, i mającąc coś do siebie, kręcąc jednocześnie głową, ukazując tym samym niedowierzanie w swoją decyzję, postanowił zawrócić i zobaczyć co jest przyczyną owych opóźnień.

- Co się dzieje? - zapytał chłodno, lekko skrywając rodzącą się w nim troskę.

- Nie mam siły. - odparła Samanta, ciężko dysząc.

Beniamin podszedł do niej i chwytając, niemal brutalnie, za jej oparzoną oraz delikatną rękę, przyłożył urządzenie, na pierwszy rzut oka, przypominające termometr połączony z kompasem.

- Niedobrze. - burknął pod nosem, po czym zaczął grzebać pośpiesznie w plecaku.

- Nic jej nie będzie? - spytał Maks, przerażony.

- Zobaczymy. - odparł szorstko Beniamin, najwidoczniej nieco poirytowany, nieudanymi poszukiwaniami czegoś w swoim plecaku, który różnorodnością swojej zawartości, przypominał damską torebkę.

Maks zniecierpliwiony, przyglądał się trudom, jakich podejmował się ich przewodnik, nie wydając z siebie nawet słowa, aby go nie zdenerwować.

- Noż kurwa, gdzie to jest?! - krzyknął w końcu wściekły Beniamin.

- Czego szukasz? - przerwał ten prosty monolog z lekką nutą niepewności.

- Plastrów.

- Czego?

- Plastrów!

- A to nie to? - zaproponował Maks, ukazując palcem niewielkie srebrne pudełeczko, umieszczone w kieszonce na ramiączku plecaka.

- Noż... Dziękuję. - prawie syknął Beniamin, wyciągając opakowanie z kieszonki.

- Zawsze gdzieś to dziadostwo wsadzę. - po raz kolejny burknął pod nosem, po czym przykleił jeden z plastrów na szyję Samanty.

- Do czego to? - zapytała.

- Od promieniowania.

- Promieniowania? - zdziwił się Maks.

- Mówilem żadnych pytań! - ryknął nagle, bardzo wściekły Beniamin.

- Chodźcie. - rozkazał, i cała trójka skręciła w boczną uliczkę, aby na chwilę przycupnąć pod ścianą, chowając się w cień.

Siedząc pod ścianą budynku, Maks z troską przyglądał się osłabionej Samancie, a Beniamin rozsiadł się wygodnie i wyciągnął z kieszeni kartonowe pudełeczko.

Maks rzucił pośpiesznie okiem na towarzysza, po czym zdziwił się, gdy ten, wyciągnął z tajemniczego opakowania, najzwyklejsze w świecie, drewniane wykałaczki.

Włożył jedną z nich do ust, i przygryzając ją, przymknął oczy, pograżając się w zadumie.

Po chwili Maks zorientował się, iż Beniamin, zwyczajnie, postanowił uciąć sobie krótką drzemkę, co niemal wprawiło go w osłupienie, zważywszy na okoliczności, w jakich się znajdowali.

- Jak się czujesz? - zapytał szeptem Samanty, nie chcąc obudzić nerwowego kompana.

- Już lepiej, ale dalej piecze mnie skóra. - odparła zmarnowana.

- Spokojnie, zaraz dojdziemy... - tutaj Maks zawahał się przez chwilę, po czym dodał.

- Tam gdzie nas prowadzi, a tam na pewno ktoś nam pomoże.

- Przecież mówił, że nas tam nie wpuszczą. - przerwała pokrzepiającą przemowę, powoli zaczynając płakać.

- Powiedział może. To jeszcze nic nie znaczy.

- Jestem pewna, że nas nie wpuszczą! - krzyknęła, co wprawiło Maksa w zakłopotanie.

- Cicho... On śpi.

- Co?! - nie spuszczała z tonu.

- Śpi! - syknął, tłumiąc gniewny krzyk.

- Ale jak...

- Nie wiem, bądź cicho. - przerwał dociekania Samanty, zaczynając niezręczną ciszę, w której dało się słyszeć tylko popłakiwanie rozżalonej dziewczyny.

- Zginiemy prawda? - dodała po chwili namysłu.

- Nie mów tak. Wszystko będzie dobrze.

- Chcę do mamy. - stęknęła, rodząc w umyśle Maksa, kolejną ciemną serię myśli, obracającą się wokół jego rodziny.

- Spokojnie. Musimy być cierpliwi.

- Cierpliwi?! - krzyknęła histerycznie, poprzedzając swój pesymistyczny wywód, wygłaszany takim samym tonem.

- Jestem ślepa, wszystko mnie boli, nie wiemy co się dzieje, prowadzi nas jakiś typ, nie wiadomo gdzie! Nie wiem już nawet czy chcę żyć!

Maks nie mogąc znieść rezygnacji ukochanej, przytulił ją mocno do siebie, i roniąc łzy, starał się ją uspokoić męskim uściskiem.

- Oho, widzę, że siły już wam wróciły. - skomentował z uśmiechem i radością w głosie Benjamin, zwawo podnosząc się na równe nogi i otrzepując spodnie.

- Kim ty w ogóle jesteś?! - krzyknęła Samanta, podrywając się równie błyskawicznie, i zmierzając prędko w kierunku, z którego dobiegał, drażniący ją w tej chwili głos.

Zbliżywszy się na odległość ręki, przyjęła na szyję precyzyjne, szybkie i nieprzyjemne szczyknięcie, które w mgnieniu oka, pozbawiło ją przytomności.

Beniamin chwycił delikatnie, opadające bezwładnie ciało dziewczyny, po czym przekazał je w ręce oszołomionego Maksa.

- Gdybyś umiał rozmawiać z kobietami, nie musiałbyś jej teraz nosić na plecach.

- Słucham?

- Chyba jej tu nie zostawisz, a z tego co mi się wydaje, to sama nie poczłapie.

- Coś ty jej zrobił?! - ryknął jak dziki, po tym jak dotarło do niego, co się dzieje.

- Nic jej nie jest. Spokojnie. Uśpiłem ją bo nie mogłem znieść jej marudzenia, a z tego co mi się wydawało, tobie też już dawała się we znaki.

Maks zmierzył Beniamina srogim spojrzeniem, co wywołało na jego twarzy uśmiech, ale przyznał mu rację.

Nie wiedząc jak zabrać się za podniesienie drobnej dziewczyny, spojrzał z politowaniem na Beniamina, który szybko nauczył go strażackiego chwytu.

Po niespełna trzydziestu minutach uciążliwego marszu, dotarli do budynku, na którym widniał napis, umieszczony nad jednymi ze drzwi.

29785N76*954

- Jesteśmy. - rzekł Beniamin, znużonym wzrokiem lustrując stalowe drzwi.

- To tu? - spytał zdyszany i lekko rozczarowany Maks.

- No tu, no tu... Poczekajcie tu przez chwilę, a ja zaraz wrócę. - odparł Beniamin, po czym zamilkł na chwilę, i dodał z przekąsem.

- No chyba, że nie wrócę...

- Jak to? - dociekał przestraszony Maks.

- Jeżeli rada uzna, że nie możecie wejść, to nie wejdziecie.

- I co wtedy?!

- Nie wiem chłopcze, nie wiem. - zakończył rozmowę, z ciężko wykrywalnym smutkiem w głosie.

Maks z wielką nadzieją, strachem i niepewnością, przyglądał się Beniaminowi, znikającemu za tajemniczymi drzwiami.

- Zaczekaj! - Krzyknął rozpaczliwie, domyślając się, iż jego prośba nie zostanie wysłuchana.

Cloe zorientowawszy się, że ponownie siedzi na ławce, zastanawiała się nie tylko nad tym, co przed chwilą miało miejsce, ale również nad tym, w jaki sposób znalazła się na owej drewnianej konstrukcji, gdyż nie pamiętała nic, od chwili wybuchów.

Błądząc w domysłach, kalkulacjach i chybionych analizach, doszła do wniosku, że nie ma szans, aby dowiedziała się, co robiła przez ostatnie kilkanaście minut. Zresztą czas, w którym tkwiła w nieświadomości, nie był bliżej określony, co wcale jej nie uspokajało, a wręcz przeciwnie.

Kolejnym niepokojącym spostrzeżeniem, atakującym jej rozkołatany umysł, był kompletny brak kogokolwiek w otoczeniu. Przed tym strasznym, lecz nie pod względem wizualnym, wydarzeniu, park gościł dość sporą liczbę obywateli, którzy w tajemniczy sposób zniknęli.

Łzy nachodziły jej do oczu, ale mimo, nader nieprzeciętnej sytuacji, postanowiła, jak zawsze, ukryć swoją słabość, i nie bacząc na koszt energii, który na to zużywała, pohamowała płacz.

Wstała w miarę energicznie, i po otrzepaniu ubrań z warstwy kurzu, zaczęła iść.

Bezmyślnie krocząc przed siebie, jakaś niezrozumiała na ową chwilę siła, kazała jej pomyśleć nad tym dokąd zmierza.

Ku jej kolejnemu zdziwieniu, którym wydawało się nie mieć końca, pierwszym punktem docelowym, obranym przez jej umysł, był dom TiBiTa.

Przystanęła na chwilę i po raz kolejny, wzmagając się ze swoimi emocjami, zaczęła rozmyślać o słuszności swojego wyboru. Czuła jak pęka w pół, łamana dylematem nieokrzesej wielkości. TiBiT czy rodzina... Zastanawiała się, czując jednocześnie, iż przegrywa walkę z nacierającymi na jej oczy łzami.

W końcu pękła, a ulga jakiej doznała, roniąc słoną wodę spod powiek, nasunęła jej błyskotliwą myśl. Po przyswojeniu jej, drżącymi rękoma, starała się wyjąć z kieszeni bluzki telefon komórkowy.

Ów optymistyczny zamysł, spalił na panewce, gdy okazało się, iż nie ma zasięgu, co uniemożliwiało jej skontaktowanie się z najbliższymi, umożliwiając tym samym podróż do TiBiTa, z czystym sumieniem i spokojem ducha.

Miotana emocjami, postanowiła postąpić wbrew swoim ówczesnym przekonaniom, do czego przyczyniły się ostatnie wydarzenia, i ruszyć ile sił w nogach do tego, na którym najbardziej jej zależało.

Biegąc, potykała się co jakiś czas, klnąc na swoją niezdarność. Zaszklone oczęta, wcale nie ułatwiały jej biegu, a palące słońce, grzało tego dnia nad wyraz mocno.

Dobiegając do przystanku trolejbusowego, zauważyła, iż tablica, na której zazwyczaj wyświetlał się rozkład jazdy, jest wyłączona.

W tym samym momencie, spostrzegła, choć bardziej trafnym stwierdzeniem byłoby zasłyszwała, iż wokół niej, panuje niezrozumiała, jak na miejskie realia, cisza, wynikająca z braku ludzi i wszelkiego rodzaju środków lokomocji. Najdziwniejszym zaś wydawało się to, iż z głośników umieszczonych na przystanku, nie wydobywała się żadna muzyka, jak to miało miejsce dotychczas. Brak jakichkolwiek dźwięków,

świątelek i w ogóle, czegokolwiek co świadczyłoby o tym, iż w jej otoczeniu znajduje się prąd, urodziło w jej głowie niesamowity zamęt i lęk.

Poczuła się, jakby ktoś zabrał jej coś, bez czego nie może funkcjonować, co napełniło ją poczuciem upośledzenia.

Nie mogąc znieść tego stanu, szybko chwyciła za telefon, i starając się włączyć jakąkolwiek piosenkę, na tym wielofunkcyjnym urządzeniu, po raz kolejny napotkała rozczarowanie.

Jako, iż wszystkie pliki jakie posiadała, znajdowały się w tak zwanej chmurze, nie była w stanie dostać się do nich, gdyż w owej chwili nie miała dostępu do Internetu.

Sfrustrowana cisnęła telefonem o glebę, dewastując tę niezbyt solidną konstrukcję stworzoną z aluminium.

W przypływie bezradności, usiadła na przystanku, i chowając twarz w dłoniach, postanowiła poczekać na trolejbus.

Jaki wstyd i niesmak poczuła, gdy po raz kolejny, w przeciągu kilkunastu minut, zorientowała się, iż jej myśli, nie układają się w żadnym stopniu w logiczny ciąg.

- Jak... - stęknęła do siebie, po tym jak zorientowała się, iż trolejbus nie ma prawa przyjechać w sytuacji, w której nie ma prądu.

Zła na siebie, natchniona nowo zaczerpniętą energią, przekształconą ze złości, podążyła pieszo w stronę mieszkania TiBiTa.

Idąc, nie rozglądała się dookoła, żyjąc w przekonaniu, iż kolejne spostrzeżenia, tylko uświadczą ją w tym, że nic nie jest tak, jakby się jej wydawało, co zapewne pozbawiłoby jej chęci do dalszego działania.

Po nieco ponad godzinie żwawego marszu, doszła w końcu do budynku, w którym miała spotkać się ze źródłem ukojenia.

Stanąwszy przed drzwiami do klatki, dotarła do niej myśl, iż minęła, idący w

jakimś kierunku tłum, co przygnębiło ją ponownie, lecz na krótką chwilę, gdyż wiedziała, że cel jej podróży jest już blisko.

Otwierając, nie wiedząc czemu, otwarte drzwi do domu TiBiTa, zaatakowało ją przerażające uczucie, które zwiastowało najgorsze z dotychczasowych doznań.

Poważnie złęknioma, przedzierała się przez ciemny przedpokój w milczeniu.

Przekraczając próg jego pokoju, w którym panowała niemal całkowita ciemność, postanowiła podejść do okna, i otwierając je, wpuścić do środka promienie słońca.

W momencie, gdy jej twarz zetknęła się z jasnością pochodzącą z nieba, uśmiechnęła się mimowolnie, tłumacząc sobie w duchu, że wszystko co najgorsze już za nią, bagatelizując jednocześnie nieprzyjemnie przecucie, nękające ją po wejściu do tego mrocznego mieszkania. Ulga wzrastała w niej z każdym ułamkiem sekundy.

Odwracając głowę w kierunku biurka TiBiTa, gdzie spodziewała się zastać gospodarza, lub chociaż jakąś wskazówkę podpowiadającą jej jego położenie, stanęła oniemiała, a dotychczasowe przyjemne uczucie, zostało zastąpione paraliżującym strachem, z domieszką wstrętu i rozgoryczenia.

Otóż oczom jej, ukazała się zgięta sylwetka TiBiTa, z umieszczoną głową na krawędzi blatu, z której wydostawał się groźnie wyglądający przewód, wędrujący do metalowej skrzynki, umiejscowionej na tymże blacie.

Nie do końca przekonana, czy jej przyjaciel nie stroi sobie żartów, jak to miał w zwyczaju robić, w trakcie ich najlepszych relacji, podchodziła do niego powoli, z wyciągniętą przed siebie, lekko drżącą, ręką.

Chwyciwszy go za bluzę, powoli odseparowała jego czoło od biurka, i spostrzegła niekompletna, bladą twarz. Elementem wyróżniającym ów obrazek od oryginału, była głęboka, czarna dziura, z której na żyłach i ścięgnach, zwisało prawe oko jej przyjaciela.

Struga zastygniętej krwi, wypływającej z prawego ucha oraz prawego nozdrza, wzbudziły u Cloe odruch wymiotny, którego nie mogła powstrzymać, pomimo

krzyku, jaki wydobywał się z jej niewieściego gardła.

Shaftawszy się na zdezelowaną facjatę, co zwiększyło jej odrażający całokształt, poczęła tracić równowagę, chwytając dłonią, pierwszą lepszą rzecz, znajdującą się w otoczeniu. Pech chciał, że tym przedmiotem był kabel, umiejscowiony w jego torsie, który po tym bezpardonowym czynie, wydostał się na zewnątrz, tworząc w ciele TiBiTa maluteńki otwór, tryskający ochoczo, wielkim strumieniem, maleńkich kropel, śmierdzącej i lepkiej mazi, tworząc przy tym cichy świst.

Po raz kolejny tego dnia, Cloe straciła na chwilę świadomość, o czym zorientowała się, ocknąwszy, na łóżku TiBiTa, i zalewając się łzami.

Po tym jak wytarła rękawem twarz, z nieznanej sobie, nieprzyjemnej substancji oraz własnych wymiocin, legła bezradnie na łożu, zaatakowana niespotykaną, jak dotąd w jej przypadku, obojętnością.

Nie zastanawiając się nad aktualnym stanem jej umysłu, zaczęła łączyć fakty, i kalkulować możliwe scenariusze, które mogłyby się wydarzyć. Doszła do wniosku, że gdyby nie jej upór i wiara w coś, co na tę chwilę, wydawało się jej teraz bez sensu, mogłaby uniknąć tych wszystkich nieprzyjemnych doznań, ratując jednocześnie życie swojego przyjaciela, który jak się okazało, nie był dla niej tylko przyjacielem.

Niezrozumiała dla niej, lecz przynosząca ulgę pustka, popchnęła ją do dalszych działań.

Leniwie poderwała się na równe nogi, i podchodząc do TiBiTa, który z otwartymi ustami, i tryskający mazią, przyglądał się jednym okiem sufitowi, spoglądała, z czymś co przypominało ciekawość, czarnemu ekranowi na biurku, w którym widziała odbicie swojej zmęczonej postaci.

Automatycznie umieściła w nim swoją drobną pięść, kalecząc tym samym nadgarstek.

Wyciągając z niego rękę, syknęła cicho z bólu, wynikającego z umiejscowionego w jej ciele szkła, po czym odwróciła się do TiBiTa, i pocałowała go w czoło, szepcząc.

- Przepraszam.

Po tych słowach, pomaszerowała w stronę otwartego okna, a chwilę później, stała na jego parapecie, patrząc obojętnie na chodnik.

Przyjemna pustka wypełniała ją całkowicie, a dłonie, stopniowo zwalniały chwyt o framugi, przybliżając ją do upragnionego celu.

Nagle jej uwagę przykuła biegnąca postać, rychłym tempem, zmierzająca boczną uliczką.

Nie kontrolując swoich poczynań, krzyknęła.

- Czekaj! - po czym wskoczyła z powrotem do pokoju, i sprintem podążyła w stronę wyjścia.

Wybiegając z budynku, zaczęła biec w stronę tajemniczej postaci.

Nie za bardzo znając pobliskie zakamarki, postanowiła udać się na główną drogę, i tam wypatrywać nieznajomego.

Zdziwiła się wielce, gdy jej oczom ukazała się zatłoczona, przez rzeszę ludzi, jezdnia. Tłum kroczył niemal równym tempem, w nieznanym jej kierunku, mającąc coś z cicha.

Nie przyglądając się otaczającym ją ludziom, zaczęła biec, obierając ten sam azymut podróży co reszta, wyprzedzając wszystkich przy okazji.

Jej oszołomienie sięgnęło zenitu, gdy z naprzeciwka, zaczął ukazywać się czarny samochód, taranujący przechodniów bez pardonu.

Stała sparaliżowana, bliżej nieokreślonym uczuciem, i wpatrując się w nadjeżdżający, ze sporą prędkością pojazd, uśmiechnęła się drwiąco.

Kiedy wyczekiwana przez nią chwila, w której pędząca maszyna, miała ściąć ją z

nóg, zbliżała się wielkimi krokami, ktoś, ku jej rozczarowaniu, postanowił wlecieć w nią swoim ciałem, ratując jej żywot.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknął młody mężczyzna, przypatrując się pustym oczom, uratowanej przed chwilą niewiasty.

- Co ty wyprawiasz?! - odpowiedziała krzycząc z oburzeniem.

- Ratuję ci życie. - stwierdził zmieszany młodzik.

- A czy ktoś cię o to prosił?!

- Myślałem...

- To źle myślałeś. - uświadomiła swojego wybawcę w przyływie złości, która nagle zawitała w jej umyśle, po czym wstała, i niczym rasowa, młoda niewiasta, pogrążona w gniewie, zaczęła kroczyć przed siebie, nie wiadomo gdzie, ale dając jasno do zrozumienia, iż nie jest w nastroju do rozmów.

- Poczekaj. - zaproponował, najwidoczniej zainteresowany Cloe, młodzieniec, krocząc niepewnie jej śladem.

- Czego ty kurwa ode mnie chcesz?! - wybuchła nagle z furją w głosie, odwracając się do natrętnego chłopaka, i mierząc go surowym spojrzeniem.

Ten, rozbawiony jej postawą, odparł z lekkim uśmiechem i drwiną w głosie.

- Jestem Brek.

- A ja... - wstrzymała się z kontynuowaniem wypowiedzi, zastanawiając się nad swoim postępowaniem.

Brek przyglądał się jej z zaciekawieniem, wyczekując jej przełamania.

- A ja Cloe, dziękuję. - powiedziała zmieszana i zawstydzona, spuszczaając wzrok i czerwieniąc się z lekka.

- Nie mamy za dużo czasu. Chodź zaprowadzę Cię do Haloszy.

- Gdzie? - spytała zdziwiona.

- Oj chodź, nie ma czasu. - burknął Brek, machając zachęcająco ręką, i zaczynając biec w stronę bocznych uliczek.

Cloe czując niezrozumiałe zaufanie do tego nowo zapoznanego osobnika, postanowiła, nie zadając zbędnych pytań, co było czymś nad wyraz nieprzeciętnym, zważywszy na fakt, iż była młodką, podążyć jego śladem.

Po kilkuminutowym, spokojnym biegu, który nieco nudził Breka, urozmaicającego sobie drogę, skokami nad barierkami, ławkami, śmietnikami oraz wszystkim co stało mu na drodze, dotarli do studzienki kanalizacyjnej, rychło i sprawnie otwartej przez rozochoconego młodzika.

Cloe, przyglądając się znikającej w ciemności kanałów sylwetce Breka, zawahała się przez chwilę, po czym z ekscytacją, zaczęła schodzić drabinką w dół, licząc na zawierającą dech w piersiach eksplorację terenu, którego dotychczas, zwiedzać nie miała okazji.

Rozdział 11

Jan wraz z Beniaminem i śpiącymi dziećmi, w refleksyjnej ciszy, jechali pustymi ulicami miasta.

Po tym jak owdowiały mężczyzna, wypłakał się do takiego stopnia, iż Beniamin, zaczął zastanawiać się, czy za moment, po policzkach jego kompana, nie zaczną sypać się drobne ziarenka soli, zapytał z rezygnacją w głosie.

- Możesz mi powiedzieć dokąd jedziemy?

- Do Mene. - odpowiedział obojętnym tonem Beniamin.

- Gdzie to jest? Co to jest?

- Jakby ci to wytłumaczyć... - ciągnął Beniamin, licząc w myślach, że jego znużony i powoli popadający w depresję towarzysz, oszczędzi mu nielubianej przez niego formy komunikacji międzyludzkiej, jaką była rozmowa, lecz Jan pchany najwyraźniej ciekawością, mającą mu pomóc zapomnieć o doczesnych dolegliwościach, gnębiących jego zboląłą duszę, nalegał z obrażonym spojrzeniem.

- Przecież i tak mnie tam wieziesz, to w czym problem, żebyś mi o tym opowiedział?

- Ja nie jestem od gadania. - burknął ze złością, machając nerwowo ręką.

- Muszę o czymś pogadać... - westchnął, wsłuchując się w lekki świst silnika i ocierające się o asfalt opony.

Beniamin po raz kolejny tego dnia, ku swojemu niezadowoleniu, zaczął wyobrażać sobie siebie w sytuacji człowieka będącego w jego otoczeniu, który najwyraźniej miał problem. Więc gdy ten zaskakujący przejaw empatii nie dawał mu spokoju, zagaił z lekkim uśmiechem, który nie wydawał mu się zbyt naturalny, co w pewnym momencie, wzbudziło w nim lęk, spowodowany wizją, iż Jan odbierze jego słowa w nieodpowiedni sposób, co by go szczerze zasmuciło.

- Dzielną masz córkę.

- Racja. - skwitował Jan, patrząc smutnym wzrokiem na jezdnię, jednocześnie, mimowolnie unosząc ku górze lewy kącik ust.

- Pamiętam jak raz wsiadła na psa sąsiadów, i zanim się spostrzeegliśmy z Julią, jechała na nim, trzymając go za obrożę... A był to spory pies. - wspominał z radością w głosie, po czym po raz kolejny, jego oczy wypełniły się łzami, a on chowając twarz w dłoniach, majaczył pod nosem.

- Julia... Dlaczego?!

Beniamin nie mogąc zrozumieć swojego zachowania oraz emocji atakujących jego zimną naturę, objął rozżalonego mężczyznę przyjacielsko, i pewnym głosem szepnął mu do ucha.

- Jeszcze się spotkacie przyjacielu.

Jan po tych słowach, które sposobem w jaki zostały wypowiedziane oraz treścią jaką przekazywały, pobudził swoją wyobraźnię, przez co zauważył owe zajście, i mimowolnie, wprowadził swój umysł w letarg. Przez chwilę patrzył w oczy Beniamina, dziękując mu spojrzeniem tryskającym radością i nadzieją, po czym niczym odłączony od prądu sprzęt kuchenny, zasnął.

Mężczyzna pospolitego wzrostu, i takiej samej postury, biegł żwawo przez las, odziany w bawełniany dres, mile muskający go po spoconej skórze.

Promienie słońca, przedzierały się uporczywie przez korony drzew, padając to na drogę, to na wilgotną i radosną twarz biegacza. Lekki wiatr, w przyjemny sposób gilgotał mu oczy, dodając jednocześnie ochłody dla ciała.

Wbiegłszy na dość spory pagórek, przystanął na chwilę, opierając się na ugiętych kolanach i spuszczać głowę w dół, pozbywając się lepkiej mazi z jamy ustnej. Po kilku głębszych oddechach, wyprostował się, po czym ruszył szybkim krokiem, w stronę szczytu niewielkiej góry, u podnóża której się znajdował.

Relaksujący spacer, przyozdabiany śpiewem ptaków oraz szumem drzew, przebiegał bardzo sprawnie i bez większych udziwnień.

Po chwili, przystanął na półmetku, po tym jak jego uszu, doszedł dźwięk rwącego, górskiego potoku.

Na samą myśl, o przepłukaniu twarzy w źródlanej wodzie, nabrał sił, co skłoniło go do podbiegnięcia w stronę źródła, miłej dla ucha melodii.

Wybiegając ochoczo zza skały, ujrzał szeroką rzekę, wartko pędzącą w nieznanym mu kierunku.

Dziwny niepokój, zaatakował na początku strudzonego biegacza, lecz gdy spostrzegł, zwalone drzewo, lądujące w lodowatej wodzie, postanowił wgramolić się na ten pomost, utworzony za sprawą sił natury.

Będąc niemal na jego końcu, zagarnął na dłoń trochę wody, którą opłukał sobie twarz. Nie do końca zadowolony, ze skutków swoich poczynąń, postanowił zaryzykować, i oburącz zaczerpnąć możliwie najwięcej zimnej, smacznej oraz wzburzonej cieczy.

Łapczywie pijąc, uciekającą spomiędzy palców wodę, delektował się zaistniałą sytuacją, nie zważając na otaczającą go rzeczywistość.

Błogą chwilę, przerwał dźwięk, informujący mężczyznę o tym, iż drzewo, na którym się znajdował, pęka.

W panice, która go opanowała, zaczął energicznie i bez gracji, wracać na ląd, co jak się okazało, nie było najlepszym pomysłem, gdyż po kilku krokach, pień złamał się w pół, a on wraz z olbrzymią, spróchniałą kłodą, płynął zamoczony, w dół rzeki. Resztkami sił, trzymał się zacnego kawałka drewna, starając się wgramolić na niego, aby uciec od wody, która nachalnie wdzierała się do jego ust, uniemożliwiając mu swobodne oddychanie.

Po tym jak uświadomił sobie, że cel, który obrał przekracza jego możliwości,

postanowił rozejrzeć się na boki, aby poszukać innego ratunku.

Rzeka przyśpieszała, a skały, które zaczęły się pojawiać na jego drodze, tylko na początku, przysporzyły mu nowych pomysłów na wyjście z tej niekomfortowej sytuacji, gdyż po tym, jak część drzewa, uderzała w jedną z nich, rozsypując się na kawałki, zrozumiał, iż kontakt z twardym kamulcem z taką prędkością, nie będzie pomocny.

Malutki kawałek drewna, pomagał mu utrzymać się na powierzchni. Z zamkniętymi oczami, starał się przypomnieć sobie, najwspanialsze chwile swojego życia, które jak mniemał, miało się rychło zakończyć, lecz bardziej niż nagła śmierć, której się spodziewał, przeraził go fakt, iż całe swoje życie, poświęcił na pracę i samorozwój, co w gruncie rzeczy, przysporzyło mu wiele indywidualnych sukcesów, ale nie dało mu możliwości przeżycia jakichkolwiek pięknych chwil w towarzystwie bliskich mu osób.

Poczuł niesamowity żal, gdy uświadomił sobie, iż wszystkie miłe wspomnienia, jakie miały dla niego wartość, kręciły się wokół rodzinnych zjazdów oraz świąt, podczas których, odkładał na później, założenie rodziny, przyglądając się rodzeństwu i ich potomstwu, na rzecz teraźniejszej kariery.

Wspomnienia samotnych podróży do egzotycznych krajów, czy wielkich miast, nijak nie były w stanie wybić go z przekonania, że tak naprawdę nie osiągnął niczego, co przyniosłoby mu prawdziwe szczęście.

Zrozumiał w tej chwili, iż pomimo przeświadczenia o swoim zwycięstwie, w grze nazywanej życiem, jest przegranym, i był bardzo oddalony od osiągnięcia sukcesu.

Po tej zaskakującej dla niego analizie, postanowił puścić się kawałka drewna i oddać się sile pchanego go nurtu.

Ku jego zaskoczeniu, poczuł ulgę, a na podtapianej twarzy, pojawił się uśmiech.

Jeszcze bardziej zaskakująca myśl, niż wnioski, które wysnuł przed chwilą, wydające się mu końcem jakichkolwiek dyskusji nad jego życiową sytuacją, zawitała pod jego mokrymi włosami. Coś kazało mu wierzyć, że nie wszystko jeszcze

stracone. Coś nie dając mu spokoju, cały czas, utwierdzało go w przekonaniu, że jest jeszcze nadzieja, na zmianę rezultatu jego losu.

Przepełniony tą myślą, z otwartymi oczami, bez lęku, wstydu oraz zwątpienia, rozluźnił wszystkie mięśnie, i zaczął płynąć w dół rzeki, która kończyła się wodospadem, co w niezrozumiały dla niego sposób, nappełniało go radością, i zwiastowało kolejne miłe zaskoczenia, powoli odmieniające jego życie.

Promienie słońca, bezceremonialnie dopadły jego źrenic, co spowodowało, iż mimowolnie zamknął oczy.

Jan przebudził się ze snu z lekkim drgnięciem, a jego oczom, ukazała się wysoka barykada, umieszczona pomiędzy dwoma budynkami, najwidoczniej odcinająca część miasta od reszty.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał zaspany Beniamina, wpatrującego się w bramę naprzeciwko.

- To jest właśnie Mene przyjacielu. - odparł lekko strapiony.

Jan, nie przyjmując zbyt do wiadomości słów Beniamina, obrócił się za siebie, aby spojrzeć na dzieci, które ku jego zdziwieniu, dalej spokojnie spały, najwidoczniej przemęczone ostatnimi wydarzeniami.

Beniamin wysiadł z samochodu, i zaczął zmierzać w stronę opustoszałej barykady.

- Hasło! - wydobył się głos nie wiadomo skąd, po tym jak zbliżył się znacznie, do prowizoryczne, tak samo jak i cała fortyfikacja, zmontowanej bramy.

- Niech będzie pochwalony! - odparł pewnym głosem.

- Na wieki, wieków. - odpowiedział tajemniczy głos, a po chwili brama zaczęła się otwierać, a na murze, utworzonym ze stalowych blach i złomu, pojawili się ludzie, uzbrojeni w karabiny.

Beniamin zawrócił w stronę samochodu, a Jan oniemiały, wcześniej nie spotykanym słownictwem oraz zorganizowaniem tej dziwnej bandy, milczał, bacznie obserwując otoczenie.

Wjeżdżając do środka, dało się słyszeć liczne szepty, a Jan odczuwał na sobie mnóstwo spojrzeń, co było tym bardziej frustrujące, iż ilość widzianych przez niego osobników, nie była w stanie stworzyć takiego efektu.

Jak tylko zatrzymali się na niewielkim placu, brama zamknęła się z hukiem, a Beniamin zgasił silnik.

- Wsiadamy. - stwierdził, jak zazwyczaj, spokojnie i z lekką obojętnością.

- I co teraz? - zapytał zestresowany Jan.

- Spokojnie, nie masz się czego bać. - starał się uspokoić swojego podopiecznego, który najwyraźniej dawał wyrazie po sobie poznać, odczuwalny stres.

Dzieci zaczęły się przebudzać, a Jan migiem ruszył, aby otworzyć im klatkę. Stalowe skrzydło kraty rozchyliło się, a z przyczepy wylało się kilkanaście zbłąkanych szkrabów, które z płaczem, starały się odnaleźć swoich rodziców.

Jan w tym zgiełku zdołał wypatrzyć Darię, która po chwili wisiała na jego szyi i z płaczem dopytywała się o miejsce przebywania oraz stan zdrowia matki.

Przygnębiony ową dociekliwością swojej córki Jan, milczał oraz roniąc nieśmiało łzy, wynikające ze smutku jak i radości, tulił swoją drobną córkę.

- Dzieci pójdą z Piotrem. - zarządził Beniamin, wskazując chaotycznej gromadce, sympatycznego staruszka, stojącego nieopodal, który z radosnym uśmiechem, przywoływał do siebie osieroczone dzieci.

W jego głosie, było coś tak mocnego i napędzającego zaufaniem, iż nawet Jan, pomimo dużo mniejszej naiwności, uznał owe rozporządzenie za dobry pomysł.

- Co się dzieje tatusiu? - zapytała Daria słodkim głosem, wpatrując się w

zmęczoną twarz swojego ojca.

- Później ci wszystko wyjaśnię skarbie. Teraz idź z panem Piotrem i innymi dziećmi się pobawić.

- Oj będą się bawić, będą... - skomentował stojący obok Beniamin, dziwnie ironicznym tonem, który wzbudził w Janie podejrzenia, które stłamsił w sobie, nie chcąc nastraszyć córki.

Po tym jak Piotr udał się do jednego z budynków, wraz z rozochoczoną gromadką, Beniamin rzekł do Jana.

- Chodź za mną. Musisz porozmawiać z radą.

- Z kim?

- No chodź... Nie karz mi tego tłumaczyć.

Idąc ogrodzoną dzielnicą, Jan zauważył, iż najprawdopodobniej nie ma żadnej drogi ucieczki z tego dziwnego miejsca.

- Nigdy wcześniej tutaj nie byłem, a dość długo mieszkam w Gdyni.

- Czyż to nie dziwne? - zapytał z ironią Beniamin, nie spoglądając nawet na swojego rozmówcę.

W oknach budynków, tliły się nieśmiałe światelka, a co jakiś czas, dało się zauważyć jakąś grupkę ludzi, debatującą zawzięcie przy drzwiach od klatki schodowej.

Po chwili marszu, dotarli do budynku, umieszczonego w samym centrum dzielnicy.

Dwie wysokie wieże, zdawały się górować wielkością, nad wszystkimi budynkami w okolicy. Wielka drewniana brama, przyozdobiona przeróżnymi płaskorzeźbami, oraz strzeżona przez dwóch, dobrze zbudowanych mężczyzn,

wzbudziła w Janie niepokój.

- Niech będzie pochwalony. - zagaił Beniamin.

- Na wieki wieków. - odparli chórem mężczyźni, śląc w ich kierunku radosny uśmiech, który nijak nie pasował do ich postury, oraz całego całokształtu wizualnego.

Beniamin z wysiłkiem otworzył drzwi, i po tym jak wszedł do środka, zaprosił ruchem ręki Jana, który stał jak wryty, nie wiedząc co uczynić.

- Co to...? - starał się zapytać Jan, lecz gdy ujrzał na ustach Beniamina palec, zamilkł nie chcąc zrobić czegoś głupiego.

Wychodząc z przedsionka, wkroczyli do wielkiej sali, podpieranej dwoma rzędami, zdobionych w rzeźby, kolumn. Między nimi, a ścianami, na których wisały niezliczone ilości obrazów, malowideł oraz rzeźb, stały zdobione drewniane ławy.

Krocząc między kolumnami, po czerwonym dywanie, w stronę złotego ołtarza, za którym znajdowało się wgłębienie, równie urodzajne w zdobienia, co reszta pomieszczenia, z tą jednak różnicą, iż niemal wszystko, co się tam znajdowało, było wykonane ze złota, Jan miał wrażenie, iż każdy metr tego dziwnego miejsca, w jakiś sposób do niego przemawia, starając się mu przekazać jakąś nieznaną, oraz nie do końca zrozumiałą przez niego treść.

Ręka Beniamina, która wylądowała na jego ramieniu, wytrąciła go z oszołomienia, co spowodowało, iż ujrzał on stojącego przed ołtarzem starca, ubranego w białą szatę.

Świece oraz kadzidła, mijane co jakiś czas, nadawały temu miejscu mistycyzmu, który wspaniale komponował się z mającym tu miejsce majestatem.

Dziwny chłód oraz zapach, w połączeniu z tym wszystkim, czego miał okazję doświadczać Jan, wprawiły go w swego rodzaju trans, dzięki któremu, dostrzegł on białą poświatę, otaczającą starca, wpatrującego się w niego, z nieopisanym spokojem, przynoszącym ukojenie.

- Witaj synu. - zwrócił się starzec do Beniamina głosem, który pomimo prób przyswojenia go, nie był w stanie przypominać ludzkiego brzmienia.

- Niech będzie pochwalony, ojczy. - odparł Beniamin, klękając na jedno kolano.

- Kogoś nam tutaj przyprowadził tym razem? - zapytał starzec, przyglądając się z lekkim uśmiechem Janowi, który po zorientowaniu się w sytuacji, nieco spóźniony, również uklęknął, nieśmiało łypiąc na stojącego przed nim osobnika.

- Oto Jan. Spotkałem go nieopodal centrum, jak błąkał się bez celu po mieście.

- Miałeś dużo szczęścia mój synu. - zwrócił się do Jana starzec.

- Dzień dobry. - odparł zmieszany, nie do końca wiedząc co się dzieje, i dlaczego ten mężczyzna, nazywa go swoim synem, skoro zapewne nie mieli ze sobą wspólnych genów.

Beniamin z politowaniem spojrzał na rozbawionego starca, któremu najwidoczniej, ówczesna sytuacja w mieście, nie była w stanie popsuć dobrego humoru.

- Oj chodź ty tu do mnie biedaku. - rzekł starzec, schodząc powoli ze schodów.

Niezrozumiały, paraliżujący lęk, ogarnął Jana, który pomimo nagłej chęci ucieczki, nie mógł się ruszyć.

Kroczący w jego kierunku mężczyzna, nie wiedząc czemu, napełniał go niesamowitym strachem. Kiedy zorientował się, iż to znajdujące się w otoczeniu rzeźby, malowidła, świece oraz kadzidła, uniemożliwiają mu ucieczkę z tego miejsca, poczuł smród zgniłego truchła, wywołujący w nim mdłości.

Ręce mu drżały, a czoło pokryło się się lepką rosą. Swędzenie w nosie oraz łzawienie w oczach, drażniło go nad wyraz dokuczliwie.

- Spójrz na mnie synu. - rozkazał starzec donośnym tonem, nie przyjmującym sprzeciwu.

Jan podnosząc wzrok na swojego prześladowcę, ujrzał jak blask księżyca, wpadający przez okna, odbija się od złotej ściany, za plecami starca, śląc w jego kierunku blask, który wydawałby się niemożliwy do uzyskania w nocy.

W momencie gdy dłonie starca, wylądowały na jego głowie, zaczęła ona drgać konwulsyjnie, a oczy skierowały się ku górze, do tego stopnia, iż na zewnątrz dało się zauważyć jedynie białka.

Kapłan zaczął wypowiadać ciąg zdań, w niezrozumiałym dla Jana języku, przez co poczuł niesamowity ból w głowie oraz w okolicach klatki piersiowej.

Padł na ziemię, wykręcany przez nieznaną mu moc, niczym osiedłowy koneser Clonazepamu. Kończyny odchylały mu się w kierunku przeciwnym niż w naturalnym ruchu, powodując niesamowity ból. Krzyk roznoszący się po całej sali, wprawiał w ruch płomienie świec, rozdmuchiwał dymy kadzideł, i wytaczał z obolałego gardła Jana, potoki śliny, wyciekające z kącików ust, w postaci piany.

Spośród mnóstwa niezrozumiałych słów, wypowiedzianych przez jaśniejącego starca, dotarło do świadomości Jana jedno zdanie, które na początku, wydawało mu się powiedziane w tym samym, nieznanym dialekcie.

Opuść go!

Rozbrzmiewało po czaszką dręczonego, niczym kuleczka na talerzu ruletki, a gdy zatrzymało się w końcu, gdzieś w samym środku Jana, w miejscu bliżej nieokreślonym i trudnym do zlokalizowania, opadł spokojnie na dywan, wzdychając, i wsłuchując się w oddalający się złowieszczy rechot, pośpiesznie podążający w stronę wyjścia.

Otwierając oczy, Jan ujrzał wielkie malowidło, rozprzestrzeniające się na całym suficie.

Freski ukazywały masę półnagich istot, podobnych do ludzi, z tą jednak różnicą,

iż z ich pleców, wyłaniały się białe skrzydła. Spomiędzy chmur, nad którymi znajdowały się owe dziwne postacie, przeciskały się promienie słońca, które widniało w samym centrum malowidła, zasłonięte trójkątem równobocznym, w którego centrum, było wpisane spoglądające na Jana oko.

Fala myśli, wniosków i skojarzeń, połączona z przypływem wspomnień zdarzeń, wydawać by się mogło, doszczętnie zapomnianych, urodziła w organizmie i umyśle Jana uczucie ekstazy, uniemożliwiające, powstrzymanie się od łez wzruszenia.

Po chwili zamysłu, wstał powoli na równe nogi, i spoglądając na Beniamina oraz białego starca, rzekł z uśmiechem.

- Niech będzie pochwalony.

- Na wieki, wieków. - odpowiedzieli radośnie chórem jego towarzysze.

- Jestem Ojciec Franciszek i będę od teraz twoim duchowym przewodnikiem. Witam cię w naszej społeczności. W społeczności żyjącej w przymierzu z Bogiem. Stwórcą świata, ludzi oraz mroku i jasności.

- A teraz pozwól ojcze, że zabiorę mojego brata, na spotkanie rady, gdyż oczekują tam na nasze przybycie.

- A idźcie, idźcie. Ja już się zmęczyłem tymi wszystkimi rytuałami jakie dzisiaj przeprowadziłem, więc się sobie w spokoju pomodłę.

- Dziękuję ojcze. - wtrącił Jan, składając dłonie.

- Pan z wami. - niemal krzyknął Franciszek.

- I z duchem twoim. - odpowiedzieli Beniamin z Janem, który pomimo zdziwienia, iż znał ową frazę, nie przejął się tym zbytnio, a wręcz pokrzepiło go to na duchu, po czym udali się szybkim krokiem, w stronę małych drzwiczek, po prawej stronie ołtarza.

Amadeusz po kilkugodzinnym seansie, jak zwykł nazywać, obserwowanie w bólu

i cierpieniu, swojej ukochanej porwanej przez sen, spojrzał na znudzonego Romana, siedzącego na biurowym krześle, i stukającego rytmicznie ołówkiem o blat biurka, po czym rzekł, rozdrażnionym tonem.

- Romanie? Możesz ją zasłonić?

- Już się robi. - poderwał się ochoczo staruszek, i szybko zaczął naciągać linkę od kurtyny, łądującą na korbce, której do tej pory nie naprawił, i to nie z powodu barku umiejętności czy finansów, tylko ze zwykłego gapiostwa oraz niefrasobliwości, co zazwyczaj kończyło się, przypomnieniem sobie owej usterki, kilka sekund przed planowanym użyciem korbki.

Czerwone zasłony, dość szybko, lecz bez płynności, zaczęły przysłaniać kostkę, otaczającą śpiącą niewiastę, a Amadeusz, wzdychając, począł powolnym krokiem wychodzić z tego dziwnego pomieszczenia, które określić celnie, jednym słowem, niełatwo.

Bez pożegnania, bez nawet obojętnego spojrzenia, ukazującego odrobinę dobrych manier, Amadeusz pozostawił w samotności szalonego naukowca, i zaczął wchodzić po dość wąskich i ciemnych schodach ku górze.

Chwytając klamkę od drzwi, za którymi znajdował się podziemny parking, do uszu Amadeusza dobiegł przytłumiony i podekscytowany głos Romana.

- Panie Amadeuszu! Panie Amadeuszu! - krzyczał, biegnąc z wolna w jego kierunku.

- Czego chcesz stary capie? - burknął w odpowiedzi, mierząc leciwego mężczyznę groźnym spojrzeniem.

- Pani... Pani... - starał się wycedzić pomiędzy głębokimi oddechami, uwidaczniającymi jego zmęczenie.

- Co? Mów co masz powiedzieć i daj mi spokój.

- Pani jedzie do Gdyni. - zakończył swoją krótką wypowiedź z ulgą i radością w

głosie, jednocześnie spoglądając w zmieszane oblicze swojego przełożonego.

Piękna kobieta o płomiennych włosach i niebagatelnej figurze, wylegiwała się radośnie na swoim łożu, nucąc pod nosem tylko sobie znaną melodię.

- O Pani... - rzekła strwożona Nieznajoma, do tej, która dzierżyła w tym miejscu berło władzy.

- Och słucham cię... - odparła z kaprysem, udając zmęczenie.

- Projekt Orion dobiegł końca. Elektrownie zostały zniszczone, a...

- Jack ty durniu! - syknęła ze złością, przerywając sprawozdanie, poważnie już złąknionej niewieście.

- Kontynuuj. - dodała po chwili ciszy, gładząc delikatnie palcami, swoje jędrne udo, wydobywające się spod czerwonej narzuty.

- A Śiwy dopytuje się co teraz, i bardzo chcę z Panią rozmawiać.

- A niech spierdala! Powiedz mu, że ma robić to co było zaplanowane, i wydaj natychmiastowe rozkazy do przegrupowania sił.

- Przegrupowania? - spytała Nieznajoma z niedowierzaniem w głosie.

- Tak, moja droga. Jedziemy nad morze.

- Tak jest o Pani. - przytaknęła Nieznajoma, wychodząc z sali ze spuszczoną głową.

Pani wstała powoli ze swojego łoża, i zupełnie naga, poczęła zmierzać ku lewej ścianie, patrząc od wejścia, na której nie znajdowało się nic szczególnego, tak samo jak na reszcie pustych ścian, mających na celu wywyższenie jeszcze bardziej, kobiety, na co dzień, spoczywającej w tej sali. Podchodząc do chłodnej betonowej konstrukcji, przejechała delikatnie dłonią po jej powierzchni, malując ruchem palców, swego rodzaju znak.

Po chwili, ściana poczęła się rozsuwać, ukazując jej zielono-piwnym oczom, korytarz, którego ściany, podłoga oraz sufit, były wykonane z luster.

Można śmiało powiedzieć, że ów korytarz, był sam w sobie lustrem, w którym Pani przyglądała się swojemu nieskazitelnemu wyglądowi, podczas przemierzania go zmysłowym krokiem. Patrząc na swoją piękną twarz oraz seksowne ciało, momentami popadając w samozachwyt, miała ochotę pobaraszkować figlarnie z niewiastą, ukazującą się w odbiciu, a myśl, iż nie ma możliwości, aby ziszczyć te pragnienie, przytłaczała ją nieznośnie, zwłaszcza, iż nie przywykła do takiego stanu rzeczy.

Na końcu korytarza, przyuważyła lustrzane drzwi, ze srebrną framugą, przypominającą kunsztowną ramę lustra, oraz okrągłą klamkę z tegoż samego kruszcu.

Przechodząc zań, wkroczyła do pokoju średniej wielkości o mrocznych ścianach, przyozdobionych w obrazy, ukazujące płaczące dziewczęta, najczęściej wyładowujące swoją frustrację, na bezsilnych i upodlonych chłystkach.

Pośród tego dziwnego wystroju, panował chłodny, duszny mrok, który został rozjaśniony w momencie, gdy uszu Pani, dostąpiła cicha, i grana nie do końca wiadomo skąd, muzyka, co spowodowało, iż z reguły opadające spokojnie na jej ramiona włosy, uniosły się ku górze, tworząc nad jej smukłym czołem zjawisko, ludzaco podobne do żywego ognia.

Płomienie rozświetliły otchłań klitki, ukazując małe biurko, przy którym siedziała siwa dziewczynka, rysująca coś na kartce papieru, czerwoną kredką.

- Matko! - krzyknęła drobna, pomarszczona istota o bladym spojrzeniu, nieprzyzwyczajonym do światła.

- Witaj skarbie. - przywitała się Pani z nieszczerym uśmiechem i lekką pogardą.

- Zobacz co narysowałam! - nie przestawała krzyczeć dziewczynka, unosząc dumnie skrawek papieru, w stronę niewzruszonej twarzy Pani, która ze znudzeniem

przyglądała się narysowanemu sercu.

- To co zawsze... - westchnęła, chwytając rysunek i przykładając go do ognia na głowie, co spowodowało rychłe zniszczenie dzieła, stworzonego przez drobne dłonie.

Dziewczynka, po chwilowej konsternacji, która za każdym razem bawiła jej prześladowczynię, zalała się łzami, i zaczęła z krzykiem, ciskać stertą kartek, przyozdobionych w czerwone serca.

- Uspokój się gówniario! - krzyknęła Pani donośnym tonem.

- Przepraszam. - wyznała ze skruchą dziewczynka, ocierając łzy.

Po tym jak początkowy żal i rozczarowanie, jak za każdym razem, minęły, jej słodkie oblicze, przeobraziło się w rozkapryszony grymas.

- Skarbie... Przyszłam cię poinformować, iż wyjeżdżam na kilka dni, więc będziesz miała sporo czasu, aby mazgrolić sobie po ciemku.

- Nie! - krzyknęła dziewczynka z buntem w głosie.

- Słucham? - zapytała Pani udając zdziwienie.

- Nie i już! - krzyczała dalej, tupiąc bosymi stopami, o chłodną, betonową podłogę.

- Ale jak to? Skarbie... Muszę wyjechać. - starała się przekonać swoją podopieczną, cały czas udając, iż zdanie tej młodej istoty, może mieć jakikolwiek wpływ na to poczyni.

- Nie i już!

- Skarbie... Co w ciebie wstąpiło?

- Nie chcę być sama. Będę tęsknić za tobą, a tutaj jest tak ciemno i straszno i w ogóle będzie mi ciebie brakować.

- To w takim razie mam dla ciebie prezent, który będzie ci o mnie przypominał. - rzekła Pani, ukazując złoty pierścionek z wielkim rubinem, który spoczywał na jej delikatnej dłoni, o długich i prostych palcach.

- Jupi! - pisnęła mała dziewczynka, nie mogąc ukryć podniecenia, wynikającego z jej rzekomego zwycięstwa, utwierdzającego ją w swojej wyimaginowanej przebiegłości i nieokrzesej inteligencji.

Oblicze jej rozpromieniło się błyskawicznie, a małe oczka poczęły ciosać iskry w kierunku podarku.

Pani z dumą przyglądała się swojej podopiecznej, radując się, w oparciu o swoją spaczoną logikę, iż dobrze wyszkoliła tę młodą istotę, w wykorzystywaniu uczuć ludzi, którzy darzyli ją sympatią, do osiągania swoich materialnych zachcianek, które wydawały się jej niemal tak samo wartościowe, co uczucie zwycięstwa nad człowiekiem, o rzekomo słabszym intelekcie.

Kończąc ten żenujący teatrzyk, Pani pożegnała się z dziewczynką lekkim, lecz obcesowym ruchem ręki, świadczącym nie tyle co o obojętności, ale wręcz o pogardzie.

Zamykając lustrzane drzwi, przyglądała się z fałszywym uśmiechem, poważnie rozżalonej dziewczynce, która ściskając pierścionek w dłoni, płakała z drżącymi ustami, po tym jak zorientowała się o stanie sytuacji, w której się znalazła.

Po wyjściu z sali, Pani odziana w długą, krwawo czerwoną suknię oraz buty na obcasie, tego samego koloru, poczęła zmierzać dumnym krokiem w stronę Allomasu, w asyście Mojomów, uzbrojonych w karabiny.

Nieznajoma starała się przedrzeć do swojej ulubienicy przez kordon ochroniarzy, lecz po zbyt natarczywym ataku na grupę, dobrze zbudowanych mężczyzn, została potraktowana przez jednego z nich kolbą od karabinu, która wylądowała na jej płaskim brzuchu, uniemożliwiając jej swobodne oddychanie i wyciskając z oczy łzy.

- O Pani... - syknęła przez ból, wyciągając rękę, ku kobiecie, która nie zamierzała

poświęcić jej nawet minimalistycznego spojrzenia.

Pani dochodząc do placu przed Allomasem, zaobserwowała niewielki podest, do którego prowadził czerwony dywan, obszywany przy krawędziach złotą nicią.

Stojąc na nim, obserwowała setki Mojomów, przepychających się w dzikim szale do wagonów, które stały gotowe do odjazdu.

Dźwięk, rytmicznie wydobywający się z bębnow, dodawał tej chwili dynamiki, i pobudzał do boju.

- Moje psy... Wierne, ślepe i nieudolne psy... - mówiła do siebie w myślach, pękając z dumy, jednocześnie gotując się z gniewu, iż jej plany nie poukładały się do końca tak, jakby tego sobie życzyła.

Pałająca chęcią zemsty i przepełniona gniewem, ryknęła w niespotykany, jak na nią sposób, w kierunku pędzącego motłochu.

- Do boju!

Na te słowa, Mojomi przyspieszyli biegu, walcząc między sobą o miejsce w pociągu, który nie był w stanie pomieścić wszystkich.

Część z nich ginęła pod nogami swoich towarzyszy, a część umierała, bądź traciła przytomność, od ciosu, zadanego przez któregoś z kompanów.

W momencie, gdy pociąg był już przepełniony do tego stopnia, iż Mojomi chcący do niego wsiąść, musieli wyciągać ze środka, któregoś z kamratów, który i tak stał już na samej krawędzi drzwi, dało się zauważyć, iż część z tych bezmyślnych istot, stara się wejść na dach, nie licząc się z tym, iż tunel wryty w skale, pozostawiał jedynie kilka centymetrów wolnego miejsca, między dachem pociągu, a sufitem tunelu.

Drzwi zaczęły się zamykać z taką siłą, iż Mojomi, którzy nie do końca, mieścili się w środku metalowego wagonu bez okien, zostawała rozcięta, dzięki umyślnie umieszczonym ostrzom na krawędziach skrzydeł drzwi.

Radość najwyższych lotów, ogarnęła chwilowo Panią, gdy zauważyła, jak część z jej żołnierzy, rzuca się na tory, aby tam doszukać się wejścia do środka.

Po chwili, przeraźliwie głośny sygnał rozbrzmiał w Allomasie, po czym podziemny pociąg ruszył z impetem przed siebie.

Kawałki kończyn i fale krwi, wydobywały się znad, jak i spod pociągu.

Po tym radującym Panią widoku, jednocześnie napelniając ją wzgardą do swoich poddanych, Allomas rozbrzmiał stłumionym, ciężkim i krótkim bassem, który wprowadził Mojomów w osłupienie.

Po chwili, zaczęli oni iść spokojnie, mając pod nosem, w tylko sobie znanym kierunku.

W chwili, gdy Allomas świecił pustkami, Pani wraz ze swoją przyboczną gwardią, zaczęła zmierzać w kierunku niewielkiego, jedno wagonowego pociągu, który swoim wystrojem, przypominał osiemnastowieczne karety.

Zasiadała wygodnie na łożu, umieszczonym na samym końcu, tego fikuśnego środka lokomocji, leniwie zrzucając z siebie powabną suknię.

Leżąc nago, przyglądała się dwóm Mojomom, stróżującym przy wejściu do jej prywatnego wagonu, rozmyślając nad karą, którą wymierzy dla swoich sług, które naraziły ją na niepotrzebny stres, który, jak wydedukowała, negatywnie wpłynie na jej urodę.

Nieznajoma obserwowała marsz Mojomów do pociągu z ukrycia, masując zboląły brzuch.

Nie mogąc znieść zniewagi, jaką uraczyła ją Pani, na dodatek w obecności innych, postanowiła po raz pierwszy, przeciwstawić się jej woli. Mało tego, w jej kobiecej głowce, więzionej od najmłodszych lat w mentalnym więzieniu, zaczęły pojawiać się wizje, które tylko na początku, wzbudziły w niej lęk.

Pragnęła odegrać się na tej bufoniastej damulce, obserwującej wszystko dookoła z piedestału, co zapewne w jej paskudnej postaci, rodziło uczucie wyższości.

Najchętniej rzuciłaby się na nią, po czym drapiąc ją po nieskalanej twarzy, wrywałaby jej piękne włosy, lecz ostatnimi krzykami rozsądku, powstrzymała się od tego śmiałego czynu, kalkulując, iż powodzenie tego planu, jest mało prawdopodobne.

Owe myśli, utwierdziły ją w przekonaniu, iż różni się nieco od innych osobowości, przebywających w Szakadzie.

Tłumaczyła sobie, swoje wcześniejsze, negatywne odczucia związane ze swoją Panią, ciągłym życiem na krawędzi dwóch światów. Myślała, iż każda z dziewczyn, która piastowała przed nią tę wymagającą funkcję, była nękana podobnymi spostrzeżeniami i odczuciami.

W tej jednak chwili, zapewne pod wpływem gniewu, była przekonana, iż jest swego rodzaju wybranką, bliżej niezrozumiałego losu, który postanowił powierzyć w jej delikatne dłonie zadanie, którego wykonania nie mogła odmówić.

W momencie, gdy Mojomi w transie oddalali się od Allomasu, Nieznajoma przemykając pomiędzy nimi, dotarła do pustego już tunelu.

Przykucnąwszy we wgłębieniu, cudem uniknęła konfrontacji z kolejnym nadjeżdżającym pociągiem, co tylko umocniło ją we wcześniejszych przypuszczeniach, na temat wyjątkowości swojej osoby.

Jak tylko pociąg stanął, wskoczyła na wąską półkę, umieszczoną na samym końcu wagonu. Przykucnąwszy, po raz kolejny, przyglądała się z radością i gniewem, przez okno, na wydarzenia dziejące się w środku.

Po chwili dotarło do niej, iż owa półka, na której przyszło jej spocząć, nie wydawała się mieć żadnego praktycznego zastosowania, poza tym, iż w tej chwili, umożliwiała jej realizację swoich zamierzeń.

Chwilowe zamyślenie, po raz kolejny, w przeciągu ostatnich kilku minut,

nappełniło jej umysł przeświadczeniem, o słuszności swoich poczynań.

Nie mogąc zgłębić istoty owych myśli i zdarzeń, za pomocą posiadanych przez nią możliwości poznawczych, podłamała się na chwilę, lecz myśli, kierujące ją ku wnioskowi, iż jest niespełna rozumu, prysły jak przysłowiowa mydlana bańka, w chwili, gdy ujrzała wkraczającą dumnym krokiem Panią.

Szał, który ogarnął ją całą, nakłaniał z całych sił, do rozliczenia się z tą kobietą, tu i teraz, lecz po raz kolejny, resztki rozsądku, kategorycznie zabroniły jej tego występuku.

Postanowiła więc usiąść wygodnie, opierając się plecami o metalową ściankę wagonu, i walcząc ze skrajnie różnymi myślami, wizjami oraz planami, przeczekać podróż do Gdyni, zajmując się tylko wewnętrzną walką z samą sobą.

Pociąg ruszył, a Nieznajoma chwytając się krawędzi półki, spoglądała, na umykające jej pod nogami tory, starając się przypomnieć, nie wiadomo czemu, swoje dzieciństwo, o którym do tej chwili, nie miała sposobności nawet pomyśleć.

Rozdział 12

Beniamin, pozostawiając przed wejściem dwójkę młodych ludzi, najwyraźniej kompletnie nie zdających sobie sprawy z obecnej sytuacji, jak i swojego położenia, zastanawiał się, czyniąc sobie jednocześnie wyrzuty, nad słusnością swoich ostatnich poczynąń.

Idąc dość wąskim, jak na ówczesne standardy, które lobbowały duże przestrzenie, korytarzem, Beniamin co jakiś czas, mijał się z uzbrojonymi mężczyznami, którzy witali się z nim, dyskretnym kiwnięciem głowy oraz pewnym siebie spojrzeniem, przyozdobionym w lekki uśmiech. Po niespełna minutowym marszu, wyszedł z budynku na spory plac, w którego centrum, znajdowała się budowla przypominająca katedrę, lecz nieco mniejszych rozmiarów.

Plac pełen był mężczyzn, którzy niemal w biegu, przenosili różnego rodzaju przedmioty, wydawali polecenia, bądź w pocie czoła, stawiali między poszczególnymi budynkami wysokie barykady, mające na celu, odcięcie tej części miasta.

W tym całym zgiełku, Beniamin nie zaobserwował nawet jednej grupki dzieci, w wieku przedszkolnym, które z reguły, w takie słoneczne dni, bezkarnie rysowały coś kolorową kredą na chodnikowych płytach, grały w piłkę, bądź biegały radośnie pomiędzy alejami, bawiąc się w jedną z wielu zabaw, których zasad, często nie był w stanie pojąć dorosły.

Podchodząc do drewnianych wrót katedry, Beniamin przywitał się ze stróżującymi mężczyznami takimi oto słowy.

- Niech będzie pochwalony.

- Na wieki wieków. - odpowiedzieli chórem, uśmiechając się dobrotliwie.

Wchodząc do środka, Beniamin poczuł przyjemny chłód, który zawsze koł jego rozgrzany przez liczne analizy i obserwacje umysł.

Mijając przedsionek, zorientował się, iż nie jest sam, a ławy znajdujące się we wnętrzu katedry, są wypełnione przez starców, kobiety oraz dzieci, którzy klęczeli, i ze złożonymi dłońmi, żarliwie szeptali coś pod nosem.

Uwaga, jaką owi ludzie poświęcili wykonywanej wówczas czynności, pozwoliła Beniaminowi przemknąć niezauważonemu, przy jeden ze ścian. Takim sposobem, dotarł do końcowego sektora katedry, przyozdobionego w złoto, w którym znajdował się ojciec Franciszek, klęczący plecami do zgromadzonych ludzi, i równie gorliwie szepczący słowa w niezrozumiałym dla Beniamina języku, który był nijak podobny do tego, którym posługiwali się inni tutaj zgromadzeni ludzie.

Nie chcąc przerywać swojemu zwierzchnikowi, postanowił usiąść swobodnie na kamiennej, zimnej podłodze, opierając się leniwie o marmurowy ołtarz, kryjąc się jednocześnie przed wzrokiem ludzi, zgromadzonych w katedrze.

Wyciągnął wykałaczki, i podgryzając jedną z nich, przyglądał się ze znudzeniem, dla dzieł sztuki, umieszczonych w tym miejscu.

Z transu i zachwyty, wybił go donośny dźwięk dzwonu, który rozbrzmiewał dumnie w jednej z wież katedry. Po dwunastym uderzeniu, metalowego serca o kłosz, wykonanego z tegoż samego materiału, ludzie powstali, zaobserwowawszy, iż czyni to ojciec Franciszek, który zauważywszy, ukrywającego się przed wzrokiem ludzi Beniamina, uśmiechnął się lekko ze zdziwieniem, mierzając go wzrokiem ukazującym politowanie.

- Pan z wami. - powiedział Franciszek do zgromadzonych, a pomimo braku sprzętu akustycznego i dzięki specyficznej konstrukcji katedry, jego słowa rozniosły się po całej sali, dochodząc wyraźnie do uszu zgromadzonych, z których żaden, nie ważył się odezwać słowem, bez wcześniejszego pozwolenia, co również pozytywnie wpływało na przekaz informacji pomiędzy głoszącym, a słuchającymi.

- I z duchem twoim. - odpowiedzieli wszyscy zgromadzeni ludzie, jednocześnie mierzając Franciszka zdziwionymi spojrzeniami, wyrażającymi zmieszanie, ze wcześniejszego niż dotychczas, zakończenia spotkania.

W momencie, gdy tłum powoli wylewał się przez bramę katedry na zewnątrz, w

objęcia prażącego słońca, które miało spore pole do popisu, na znajdującym się przed katedrą placu, na którym bardzo ciężko było o jakikolwiek cień, Franciszek z udawanym gniewem, wskazał Beniaminowi oczami i ruchem głowy, drzwi znajdujące się przy prawym rogu złotych ścian.

Beniamin na kolanach, rechocząc cicho pod nosem, zmierzał w kierunku drzwi, a Franciszek bacznie obserwował wychodzących ludzi, licząc w duchu, iż uczynią to jak najszybciej.

Beniamin czekając na Franciszka w mroku, który ogarną go po tym, jak przeszedł przez niewielkie drzwi, tupał z nogi na nogę, wyrażając w ten sposób swoje zniecierpliwienie.

Ku jego zadowoleniu, drzwi otworzyły się dość prędko, wpuszczając nieco światła do ciemnego korytarza.

- Co ty wyrabiasz Beniaminie? - zapytał Franciszek, uśmiechając się do swojego ulubionego podopiecznego.

- Przecież jestem duchownym, więc mogę przebywać za ołtarzem. - odparł Beniamin z radością w głosie, po czym objął starca w przyjacielskim uścisku.

- Czemu zawracasz mi głowę? Wiesz ile mamy teraz pracy.

- Wybacz ojcze, ale wydarzyło się coś, o czym musisz wiedzieć.

- Co takiego? - zapytał z zainteresowaniem.

- Może stąd wyjdziemy? - zaproponował Beniamin, uśmiechając się, i spoglądając w stronę otwartych drzwi, za plecami kapłana.

- Czekaj. - burknął, po czym wychylił się dyskretnie w głąb katedry.

- Dobra, wszyscy wyszli. Chodź. - rozporządził Franciszek, zachęcając Beniamina ruchem ręki, do pójścia w jego ślady.

Wychodząc z niemal ukrytego przejścia, Franciszek zaczął sprzątać na ołtarzu, a Beniamin od razu ruszył w stronę, umieszczonej w ścianie szafki. Otworzył małe, zdobione drzwiczki, i wyciągnął z jej wnętrza, szklaną butelkę z ciemnoczerwonym płynem.

Dźwięk towarzyszący odkorkowywaniu butelki, rozchodzący się echem po całej budowli, spowodował, iż Franciszek, będący odwrócony plecami do źródła owego odgłosu, drgnął, a po chwili uśmiechnął się, i z powątpiewaniem spojrzał się na uradowanego Beniamina mówiąc.

- Beniaminie...

- Och ojciec... Usiądźmy. - zaproponował Beniamin, siadając tak jak wcześniej za ołtarzem.

Zrezygnowany Franciszek, rozejrzał się badawczo po otoczeniu, po czym również zniknął za marmurową zasłoną. Wyprostował nogi, oparł się, i unosząc oczy ku górze, westchnął z ulgą.

- To co? Po trzy? - zapytał Beniamin.

- Po trzy, po trzy. - przytaknął Franciszek, powoli ulegający relaksowi, którego nie uświadczyl od bardzo dawna.

- Jak za starych czasów co? - zagaił Beniamin, po tym jak wypił trzy porządne łyki, słodkiego wina.

- Dokładnie... - odparł zmęczonym głosem Franciszek, łapiąc za chłodną butelkę.

- A więc mów. Co tam się takiego stało? - zapytał w końcu Franciszek, ożywiony nieco, mocnym trunkiem.

- Wyobraź sobie, że znalazłem świadomych ludzi na ulicy.

- Co?! - krzyknął Franciszek, przy okazji krztusząc się winem.

- Gdzie oni są? - dodał po chwili.

- Przed wejściem A4.

- Co oni tam robią?

- Czekają.

- Na co?

- Na decyzję.

- Odnosnie czego?! - dopytywał dalej, najwyraźniej podirytowany, sposobem w jakim była prowadzona ta rozmowa.

- O dołączeniu do nas.

- Czyś ty zgłupiał?! - wykrzyknął Franciszek, popijając łąpczywie wino.

- Nie wiedziałem co z nimi zrobić, więc przyszedłem do ciebie, prosić cię o radę.

- Chcesz mojej rady? - zapytał nieco już spokojniejszy.

- Tak.

- Zabij ich, puki nie zdradzą jednego z naszych wejść.

- Ale ojciec...

- Chciałeś rady to masz. Jak chcesz ich tu wprowadzić to lepiej sam się stąd oddal.

- dodał ze złością, spuszczając wzrok na podłogę.

Beniamin ze smutkiem spojrzał na swojego przyjaciela, który wydał mu się niezrozumiale rozgniewany, co w jego przypadku, nie zdarzało się niemal nigdy, po czym rzekł.

- O co chodzi? Dlaczego mi to robisz?

- Bo robisz głupstwa! Narażasz nas dla jakiś wewnętrznych rozterek.

- To co miałem z nimi zrobić?! - krzyknął rozżalony Beniamin, co również nie było często spotykane.

- Nie wiem... - przyznał Franciszek, zamykając oczy i szepcząc coś pod nosem.

- No właśnie... - skwitował Beniamin, chwytając za trunek.

Siedzieli tak kilka minut. Franciszek szeptał do siebie, a Beniamin opróżnił całą butelkę.

Nagle starzec umilkł, po czym rzekł do Beniamina spokojnym tonem.

- Przyprowadź ich tu przyjacielu.

Beniamin zdziwił się, ale nie chcąc zwlekać, podziękował swojemu przełożonemu, i szybkim krokiem opuścił katedrę.

Amadeusz po przyjęciu do wiadomości wieści o przyjeździe Pani, spojrzał pogardliwie na zdyszanego i podekscytowanego Romana, i przemówił.

- No i co z tego?

Po tych słowach, udał się spokojnym krokiem w kierunku, w którym dotychczas zmierzał.

Wychodząc z budynku, zmierzył chłodnym spojrzeniem swojego kierowcę, który opierając się o maskę samochodu, czerpał niesłychaną radość z palenia papierosa.

Zorientowawszy się o tym, iż jego czas wolny właśnie minął, pośpiesznie zgasił niedopałek pantoflem, i szybko otworzył drzwi dla swojego szefa, który ze złowieszczą miną, szybkim krokiem, zmierzał ku niemu.

Amadeusz rozsiadł się wygodnie na skórzanej kanapie, i zastanawiając się nad swoim samopoczuciem, którym owładnęła złość pomieszana z dziwnego rodzaju obojętnością, nie był w stanie doszukać się sedna takiego stanu rzeczy.

- Być może za długo przyglądałem się Sarze? - zapytał sam siebie w myślach.

Nie mogąc dojść do porozumienia z samym sobą, postanowił napić się wódki.

Najbardziej męski drink ówczesnego świata, w którego skład wchodziło, nieco ponad dwieście mililitrów wódki oraz szklanka, wylądował w jego dłoni, a po chwili rozgrzał go niemal do czerwoności.

- Dokąd teraz? - zapytał nieśmiało szofer, którego głos wydobył się z głośników.

- Jedź pod dwie wieże. - rozkazał, skracając się z niesmaku.

Podróżując do miejsca docelowego, omijali główne ulice, chcąc uniknąć kolejnego starcia z bezmyślnie maszerującym tłumem, co pozwoliło Amadeuszowi, zatonać beztrosko w obrazie śpiącej Sary, który cały czas, widniał mu przed zmęczonymi i wysuszonymi oczami.

Dojeżdżając w okolice placu, znajdującego się u podnóża dwóch wież, które swego czasu, były ikoną tego nadmorskiego miasta, Amadeusz począł wyciągać spod kanapy, lśniący, metaliczną czernią, karabin snajperski.

Delikatnie pucował kolbę bawełnianą chusteczką, chuchając co rusz na owe narzędzie mordu, będące w owej chwili, nadzieją na posmakowanie ulgi, dla swojego posiadacza.

Samochód zatrzymał się, a zlekniiony szofer milczał, łypiąc nieśmiało w lusterko, wycelowane w mężczyznę, który tegoż dnia, nad wyraz dawał oznaki szaleństwa, nasuwającego nieprzewidywalność.

Amadeusz dzierżąc w dłoniach karabin, wyszedł powoli z limuzyny, i bez słowa udał się boczną uliczką, w stronę placu, ukrywającego się przed oczami kierowcy za budynkami.

- Patrz kutwo... Patrz do czego się przyczyniłaś. - szeptał pod nosem Amadeusz, licząc, z nieznanych sobie powodów, w duchu, iż śpiąca ukochana, usłyszy ten monolog, wypowiedany przez zaciśnięte zęby.

Słońce widniejące na bezchmurnym niebie, paliło spoconą twarz niedoszłego zamachowca, rodząc na jego przemęczonej twarzy krople potu. Zdesperowany mężczyzna, pogrążony w gniewie, który został wykreowany w jego umyśle, poprzez pychę, niepozwalającą mu przyznać się przed samym sobą, iż cierpi z powodu, który ze strony logicznej dedukcji, jest absurdalny i niedorzeczny, kroczył przyśpieszając kroku, w stronę punktu widokowego, znajdującego się nieopodal.

Wchodząc po stalowych schodach, przyglądał się tłumowi ludzi, nacierającemu z każdej strony w kierunku metalowego słupa, usadzonego w samym centrum obszernego placu.

Pomruki wydobywając się z ust maszerujących, budziły w nim obrzydzenie, co motywowało go jeszcze bardziej do czynu, który miał za chwilę wykonać.

Wchodząc na ostatnie, czwarte piętro, szklanej konstrukcji, uderzeniem kolby, rozbił szklaną ścianę, radując się dźwiękiem, zwiastującym kolejne miłe odczucia, towarzyszące sianiu zniszczenia i pożogi.

Przystanął na chwilę, a na jego czerwonej twarzy, pojawił się ironiczny i szarlatański uśmiech, na widok piramidy, utworzonej z ludzki zwłok.

Owa niebagatelna konstrukcja, powstała mimowolnie, a stało się to za sprawą tego, iż otumanieni i nieświadomi ludzie, z bezmyślnym uporem, starali się dostać na sam szczyt metalowego słupa. Pierwsi, którzy mieli wątpliwe szczęście, dotrzeć do upragnionego celu, zostawali stratowani i zmiażdżeni, przez pozostałych, którzy wdrapując się na nich, starali się dotrzeć do mety, swej ślepej wędrówki. W taki oto sposób, tłum, nieświadomie, sprawił radość Amadeuszowi, patrzącemu ze złością, na stertę przygniecionych ciał, po ścianach której, wdrapywały się kolejne rzesze ślepców.

Niespełna osiemdziesiąt procent słupa, była przyozdobiona, ludzkimi zwłokami,

ukazując światu, około dwóch metrów, metalowej konstrukcji, dumnie wyrastającej ze szczytu mięsistej góry.

Znudzony żenującym widowiskiem Amadeusz, położył się na stalowej podłodze, i ustawivszy karabin na podręcznym stojaku, począł celować do wspinających się ludzi.

Szofer paląc papierosa, i obchodząc samochód dookoła, przyglądając się mu z niesamowitą uwagą, chciał w ten sposób uspokoić swoje skolatanie myśli, licząc w duchu, iż przyjdzie mu ujrzeć kolejny dzień.

Z dość specyficznego zamyślenia, po trosze przypominającego spokojną zadumę, wytrąciły go głośnie huki, dobiegające gdzieś z oddali.

Zamknawszy oczy, liczył ilość wystrzałów, czekając, aż dojdzie do wymarzonej czternastki, co świadczyłoby o tym, iż jego szef, wystrzelał cały magazynek, nie pozostawiając jej kulki, dla swojego wiernego sługi.

Lęk ogarnął go niesłychany, aż na moment stracił czucie w rękach i nogach, gdy po trzynastym wystrzale, nastąpiła długa, przerażająca cisza, zmacona jedynie krokami i burczeniem, nacierającego motłochu.

Nie mogąc pohamować łez, wytarł pośpiesznie twarz rękawem marynarki, po czym wyciągnął kolejnego papierosa, w oczekiwaniu na powrót Amadeusza.

Cloe niepewnie zeszła po wilgotnej drabince, lądując w płytkiej kałuży podejrzanej cieczy, która ani zapachem, ani konsystencją, nie przypominała wody.

- Tędy! - krzyknął Brek, niknąc zza zakrętem kanału, oświetlanego nielicznymi lampami, ślącymi żółtawo-zielony blask, przecinany co kilka metrów czarnym mrokiem.

- Zaczekaj! - odrzekła histerycznym krzykiem, nie przyjmując do wiadomości, możliwości powrotu.

Biega ile sił w nogach, lecz pomimo starań, ten źle wychowany młodzik, co rusz

znikał jej za zakrętem.

Poczęła zastanawiać się, czy przypadkiem ten pyszałek, nie droczy się z nią, celowo pozostając na samym końcu prostej, tylko po to, aby w ostatniej chwili zniknąć za rogiem.

- Zaczekaj! - ponowiła prośbę, jeszcze bardziej złęczniona niż poprzednio, jednocześnie wybiegając na kolejną prostą.

Za tym zakrętem, ostre białe światło, wtargnęło bezpardonowo do jej oczu, pozbawiając ją wizji, co nie spowodowało zatrzymania się jej nóg.

Dopiero gdy z impetem wyhamowała na czyimś torsie, odzyskała wzrok, a jej oczom ukazał się Brek z zalotnym uśmiechem.

- Ho, ho! Spokojnie ślicznotko. - rzekł drwiąco.

Cloe błyskawicznie odskoczyła od niego, i gdyby nie sytuacja w jakiej się znajdowała, najchętniej zdzieliłaby go soczystym ciosem z otwartej dłoni.

- Ty... Ty... - starała się zripostować łobuza, lecz nerwy nie pozwalały jej skleić żadnego logicznego zdania.

- Spokojnie... Żartowałem. - dodał po chwili konsternacji, zorientowawszy się, iż długo planowy żart, nie przypadł do gustu nowo poznanej dziewczynie.

- Czy widzisz, żebym się śmiała? - zapytała oburzona.

- No właśnie nie... - odparł nieco zmieszany, po czym zaśmiał się pod nosem.

- Dobra chodź. - zaproponował, starając się złapać Cloe za dłoń, aby nie oddaliła się zbyt szybko.

Ta zaś z niesmakiem oraz gniewem na facjacie, odsunęła rękę, i śledząc swojego przewodnika, rozwścieczonym spojrzeniem, podążyła za nim.

Po kilkuminutowym, spokojnym już marszu, dotarli do obskurnych, stalowych drzwi.

Stanęli przed nimi obok siebie, a Cloe po raz kolejny spostrzegła, iż ten nachalny gbur, najwyraźniej czujący się swobodnie, w swoim naturalnym środowisku, po raz kolejny, stara się splatać palce swojej dłoni z jej.

- Co ty sobie myślisz? - syknęła oburzona.

- Inaczej cię nie wpuszczą. - sprostował, łapiąc rozgniewaną dziewczoję za rękę.

- Kto? - odezwał się głos zza drzwi, a w otworze, znajdującym się w samym jego centrum, dało się zaobserwować oko, badawczo lustrujące otoczenie.

- Ja z dziewczyną. - odparł pewnie Brek, zerkając niepewnie na Cloe, która w amoku gniewu i zażenowania, nie do końca odlażła się w sytuacji, mówiąc.

- Nie jestem jego dziewczyną!

- Proszę jej nie słuchać. Pokłóciliśmy się, ale zaraz jej przejdzie.

- Nic mi nie będzie przechodzić! - krzyknęła, wyrrywając się z jego uścisku.

- To kto to jest? - zapytał ponownie, znużony i nieco otępiały głos.

- Jeżeli chcesz wrócić na powierzchnię to śmiało, ale jak chcesz wejść do Haloszy, to masz robić co ci karzę. - szepnął ze złością, która nadała mu nieznanego dotychczas oblicza.

Cloe skonsternowana sytuacją oraz słowami Breka, nie mogła przełamać się, aby cofnąć się z tego przedsięwzięcia, którego częścią zadeklarowała się być.

- Otworzysz? - zapytał uspokojony już Brek, trzymając oniemiałą dziewczynę za rękę.

- Ysz te dziewczuchy... - skomentował głos, a po chwili obskurne drzwi, otworzyły

się z piskiem.

Oczom dwójki młodych ludzi, ukazał się sędziwy, tęgi mężczyzna, z twarzą o licznych bruzdach, przyozdobioną długą, gęstą, brązową brodą. Poszarpane łachmany, w które był odziany, wydawały się mokre, a zapach przez nie wydzielany, przypominał wilgotny, wakacyjny ręcznik, wyciągnięty z torby, przed zimową wycieczką w góry.

Cloe wzdrygnęła się na ów widok i ową woń, po czym niechętnie, lecz pod namowami rozsądku, przekroczyła próg.

- Oj młody, młody. - wycedził obłeśny mężczyzna, szczerząc się jakby z przymusu, ukazując lukę pomiędzy czwórką, a szóstką w górnym rzędzie zębów, po prawej stronie.

- Brakuje panu piąt... - starała się powiedzieć Cloe, ale silny i energiczny uścisk Breka, powstrzymał ją, od tej bezmyślnej wypowiedzi.

- A dajże pan pokój... - odparł z uśmiechem, lekceważąco machając ręką.

Zgubiwszy odźwiernego za zakrętem, Cloe błyskawicznie uwolniła się spod jarzma Breka, któremu owa zmiana sytuacji, nie spodobała się za bardzo.

- Powiesz mi w końcu gdzieś mnie przyprowadził?

- Zaraz... Nie męcz. - odrzekł, najwyraźniej zmęczony ostatnimi perypetiami.

Cloe wyczuwając dziwny ton, zlekła się nieco, i nie chcąc bardziej rozdrażnić osoby, od której była w tej chwili całkowicie zależna, postanowiła nie drażnić tematu.

Idąc wąskimi korytarzami, mijali co rusz dziwne wgłębienia, na pierwszy rzut oka przypominające pokoje, w których znajdowały się śpiące osoby, leżące na niewielkich łóżkach, które pełniły funkcję, kompletnego umeblowania tych pomieszczeń. Kolejnym aspektem intrygującym w tych miejscach, była spora ilość dymu, o specyficznym zapachu.

Co jakiś czas, złowrogi szum, wydobywał się z jednego z pokoi, a po chwili, chmura gęstego dymu, o takim samym, specyficznym, choć dość przyjemnym zapachu, wydobywała się z wgłębienia na główny korytarz.

Po dość długim marszu, oczom Cloe, ukazało się szerokie wejście, nad którym znajdowała się ubrudzona i poniszczona płaskorzeźba ośmiornicy.

Wewnątrz pomieszczenia, znajdującego się na końcu korytarza, stacjonował bujany fotel, oblegany przez tłustego, łysiejącego mężczyznę.

Ów staruszek, gibał się beztrosko na drewnianym meblu, radując się i śmiejąc z zamkniętymi oczami.

- Ehm... - kaszlnął z cicha Brek, zgłaszając tym samym swoją obecność.

- Co? Co? Jak? - pytał staruszek, błędząc na boki zaspanym spojrzeniem, i machając rękoma.

- Witaj Śpiący. - przywitał się nieśmiało chłopak, z lekkim ukłonem.

- Och witaj smyku jeden ty. - odparł starzec radośnie, po czym dodał ze zdziwieniem, spoglądając na skonsternowaną i zawstydzoną Cloe.

- A cóż to za śliczna damulka? Hehe

- Jestem Cloe. - przywitała się cicho, łypiąc z zaciekawieniem.

- To moja dziewczyna. - wtrącił dumnie Brek, po raz kolejny wykorzystując szansę, aby dotknąć drobnej dłoni swojej towarzyszki.

Cloe zmierzyła go wściekłym spojrzeniem, ale nie zabrała ręki.

- Coś to za czasy nadeszły, że takie damulki chcąc świadomie zatonać w wiecznym śnie. Hehe - skomentował, łapiąc się teatralnie za przeredzoną czuprynę.

- Słucham? - zapytała Cloe niepewnie.

- Czy ten mały szarlatan nie objaśnił ci celu twojej wizyty? - zapytał dziwnym, sarkastycznym tonem, spoglądając porozumiewawczo na Breka, który zaczerwienił się pod tym spojrzeniem.

- Nie, ja nic nie wiem. - odparła pewna siebie, wyrrywając się z uścisku cwaniaczka.

- No cóż... Teraz już za późno. Hehe

- Jak to za późno? Na co za późno? - pytała, a łzy strachu, mimowolnie wypełniały jej błękitne oczy, które w owym stanie, jeszcze bardziej przypadły Brekowi do gustu, który liczył w swojej specyficznej mózgownicy, iż zbliża się moment, w którym będzie mógł się wykazać swoim bohaterstwem.

- Jesteś w Haloszy ślicznotko, a w Haloszy się śpi. Hehe

- Jak to śpi?! - krzyknęła marszcząc ciemne brwi, i zaciskając pięści.

- Uspokój się. - szepną Brek, widząc iż jego przełożony, szykuje się do przemowy.

Starzec powoli wstał z bujanego fotela, i zbliżając się do Cloe wolnym krokiem, zaczął mówić.

- A więc zacznijmy od początku. Hehe Jak tutaj trafiłaś?

- Przez niego! - krzyknęła, po raz kolejny złowrogo spoglądając na Breka.

- Dlaczego chciałaś tutaj przybyć?

- Nie wiem... - odparła po chwili namysłu.

- Dlaczego nie chcesz żyć w ówczesnym świecie?

- Ja w ogóle nie chcę żyć! - nie przestawała krzyczeć, roniąc łzy, i czując się przytłoczoną, masą niekończących się pytań, na które z jakiegoś powodu, nie była w

stanie nie odpowiedzieć.

- O, a to ci ciekawostka. Hehe W takim razie powiedz mi, dlaczego nie chcesz w ogóle żyć? - zapytał, cytując drwiąco słowa młódki.

- Bo... - zamilkła na chwilę, po czym podjęła się iście kobiecej argumentacji.

- Bo nie.

Brek zaśmiał się pod nosem, a Śpiący, stanąwszy w pół drogi, załapał się za głowę wykrzykując

- Olaboga!

- Nie męcz jej... - wtrącił Brek żartobliwie, licząc, iż ten gest, podniesie go w osobistym rankingu lubianych osobistości, młodej dziewczyny.

Cloe poczuła jeszcze większą wzgardę względem Breka, mniemając, iż ten uważa ją za osobę słabą, która sama nie jest w stanie sobie poradzić w trudnej rozmowie, co w rzeczywistości było prawdą, lecz nie z jej punktu widzenia.

- Oh... - westchnął starzec, spoglądając gniewnie na swojego podopiecznego.

Brek przeszyty surowym spojrzeniem, spuścił głowę, i postanowił nie ukazywać na siłę swojej siły, co w gruncie rzeczy, powodowało ujmę w oczach ludzi, względem których starał się ją zademonstrować.

- Powie mi pan co się tu dzieje? - zapytała litościwie Cloe, celując w staruszka zaszkłonymi ślepkami.

Śpiący przez moment widział, jak ta młódka zamiata swoimi powiekami, wprawiając w drgania, długie, czarne rzęsy, jakby starała się go omamić, owym uwodzicielskim tańcem oczu.

Po chwili zorientował się, iż było to tylko przywidzenie, jakich miewał całe mrowie, gdyż nie był w stanie całkowicie wybudzić się ze snu.

Potrząsnął energicznie głową, po czym zwrócił się do Cloe spokojnym i dobrotliwym tonem.

- Ależ oczywiście złotko. Hehe Halosza jest największą sypialnią, jaką widziało te zapyziałe miasto. Ba! Jest jedyną prawdziwą sypialnią tego miasta.

- Ale jak to sypialnią? - wtrąciła się Cloe, wytrącając, rozkręcającego się staruszka, z rytmu wzniosłego monologu.

Śpiący poczerwieniał na chwilę, co dało jasno do zrozumienia Cloe, iż nie lubi, gdy ktoś wchodzi mu w słowo, po czym kontynuował, uspokoiwszy się równie szybko, jak popadł w gniew.

- Otóż Halosza, moja droga, to jedynie miejsce, w którym możesz spełnić wszystkie swoje marzenia. To jedyne miejsce, w którym możesz być w zupełności wolna, nie zadrećając się dylematami, czy przeciwnościami, jakie sprawiają nam prawa natury, los czy okoliczności. To jedyne miejsce, gdzie możesz spełniać każdą swoją najskrytszą potrzebę i pragnienie. Na pewno miewałaś w życiu chwile, które chciałabyś przeżywać permanentnie, a wnioskując po twoich zachciankach, wnioskuję, iż z jakiś przyczyn, nie jesteś w stanie, ponownie przeżyć takiej chwili.

Cloe zmieszana spuściła wzrok, a oczom jej ukazał się TiBiT, tulący ją do siebie w wietrzny, chłodny wieczór.

- Ludzkości nie została dana moc cofania się w czasie. Można rzec, że nie posiadamy nawet zbyt dużego wpływu na to co będzie się działo, a tutaj... Hehe Możesz śnić, a my pomożemy ci przejąć kontrolę nad snem, dzięki czemu uzyskasz nieograniczoną wolność, władzę i spełnienie. Nie jestem w stanie pojąć, jak można nie dostrzegać dobrodziejstw, płynących ze świadomego śnienia. Nie jestem w stanie pojąć, jak można żyć w rzeczywistości, skoro mamy możliwość śnić. Nie jestem w stanie pojąć, jak taka osóbka jak ty, może mieć takie, a nie inne pragnienia, na których samo wspomnienie, przechodzi ją dreszcz.

- Ja... - burknęła nieśmiało Cloe, lecz stanowczy uścisk Breka, i także samo spojrzenie, wyperswadowały jej dołączenie do tej rzekomej rozmowy.

Śpiący przystanął na chwilę, nabierając powietrza w płuca, jakby przygotowywał się do kolejnej przemowy.

- Zmęczyłem się. Idę spać. - oświadczył znużony, po czym odwracając się plecami do swoich gości, począł zmierzać w stronę bujanego fotela.

Zasiadł na nim pojękując z cicha, i mętym wzrokiem, przyglądając się zmieszanej dwójce młodzików.

Fotel zaczął się rytmicznie gibać, a Śpiący, chwycił swoją pomarszczoną dłoń, maskę tlenową, z której wydostawał się gumowy przewód, łądujący w podłodze.

Zdawało się, iż pokój wypełnia ciche syczenie, a maska napęla się gęstym dymem, formującym pod plastikową osłoną, rozmaite, fikuśne wzorki.

- Ty stary draniu! - krzyknęła Cloe, i gdyby nie powstrzymujący ją, i uradowany Brek, który miał właśnie okazję, przytulić się nieco do swojej sympatii, zapewne podbiegła by do śpiącego, i próbowałaby go obudzić.

- Zostaw mnie! - syknęła na Breka, wyrywając się z jego uścisku i stając obok, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Stojąc w takiej biernej pozycji, zaczęła kreować w swojej przeciętnych rozmiarów czaszce, nieprzeciętną liczbę myśli, co spowodowało pewnego rodzaju wewnętrzny ból, różniący się znacząco od tego fizycznego, który miała okazję miewać, w każdy pierwszy dzień nowego roku kalendarzowego.

Powoli zaczęła sobie uświadamiać swoje położenie i przyczynę, która ją tutaj sprowadziła.

Serce jej zamarło na spotkanie z spostrzeżeniem, iż przez ostatnie kilka godzin, nie raczyła poświęcić żadnej dłuższej rozterki sytuacyjnej, dla swoich rodziców oraz rodzeństwa. Niewiedza o ich stanie zdrowia oraz położeniu, rozpała jej policzki do czerwoności, a poczucie wstydu, wynikającego z niewdzięczności, którą ukazała poprzez brak najmniejszej uwagi dla osób, które zapewne nie odwdzięczają się tym

samym względem jej osoby, poczęło wyciskaj z jej oczu nieśmiałe łzy.

Zatrwożona i zmieszana, zaczęła zastanawiać się na istotą takiego stanu rzeczy.

Jak to się dzieje, iż człowiek w pewnym momencie swojego bytu, napotyka na swej drodze postać, która jest w stanie, nawet w kilka chwil, ować umysłem drugiego człowieka, który mimowolnie, odręca inne aspekty życia, warte przemyślenia, na dalece drugi plan.

Nie żeby tak było istotnie z TiBiTem, do którego Cloe przełamywała się dość długo, a mówiąc ściślej, przekonała się do niego dopiero w obliczu strasznej katastrofy, ale mimo to, czuła obrzydzenie do samej siebie na myśl, iż całą swoją jaźń przeznaczyła dla ukochanego, zapominając o innych bliskich, którzy nie dość, iż byli dla niej ważni, to jeszcze zawdzięczała im dużo więcej.

Nie do określenia jest wdzięczność żywiona względem najbliższej rodziny, która pomimo sporadycznych, drobnych nieporozumień, zawsze wspiera jednego ze swoich członków, niejednokrotnie poświęcając dla niego część siebie.

Sporym nadużyciem wydawało jej się, udzielenie priorytetu dla TiBiTa, z którym wiązała ją niecodzienna relacja, przyozdobiona emocjami, które na co dzień nie występują, podczas rodzinnych spotkań, względem najbliższych.

Wspomnienie o niecodziennych emocjach, skłoniło ją mimochodem do mentalnej samoobrony, z której wynikało, iż właśnie owe chwile uniesienia, zapomnienia oraz radości innego rodzaju, które można nazwać podnieceniem, w duchowym tegoż słowa znaczeniu, pozwala potraktować wyjątkowo, poza wszelką skalą, osobnika, w towarzystwie którego, popadamy w taki stan umysłu.

Chwilowa ulga, po dotarciu do tego wniosku, poczęła topnieć niczym kostka masła, leżąca, nie wiedząc czemu, na plażowym ręczniku, w pełnym słońcu.

Mimo wszystko, czuła się źle z myślą, iż pomimo wyjątkowości postaci TiBiTa w jej życiu, była w stanie pozbawić się życia, nie zważając na cierpienie, które zapewne wyrządziłaby swoim bliskim, takim czynem.

Ogrom bólu, wykreowany poprzez obwiniające się pytanie, które zapewne pojawiłoby się w głowie jej rodziców, gdyby zetknęli się z wieścią, o jej samobójstwie, przeszła ją bolesnym dreszczem, uświadamiając jednocześnie, iż właśnie doświadczone uczucie, zapewne nijak ma się do tego, które mogła zesłać na swoją matkę i ojca.

Przypomniła sobie, jak w chwili, gdy spoglądała zrezygnowana znad parapetu, wydawało jej się, iż krok, który chciała wykonać, byłby oznaką odwagi, lecz w owej chwili, dobitnie przekonała się o tym, że byłby to raczej akt niesamowitego egoizmu oraz strachu przed zmierzeniem się z kolejami losu, które miały ją napotkać.

Kolejny argumentem, utwierdzającym ją w przekonaniu, iż samobójstwo wynika z apogeum egoizmu, był fakt, iż jeżeli pozbawiłaby się życia, w tak nienaturalny sposób, zapewne zabrakłoby jej w jednej z licznych sytuacji w przyszłości, w których mogłaby komuś pomóc, i to nie koniecznie tylko dobrym uczynkiem, a może słowem, bądź nawet tylko obecnością, lecz w tamtej chwili, myślała tylko o tym, aby ulżyć sobie cierpienia, wynikającego z popełnionego błędu, którego na dodatek, nie dało się już w żaden sposób naprawić. Egoistyczna chęć, uwolnienia się od wewnętrznego cierpienia, przysłoniła jej spostrzeganie rzeczywistości, ukrywając pod płaszczem mroku, liczne możliwości, dzięki którym, mogłaby pomóc innym, jednocześnie łagodząc swój ból.

Owa oświeceniowa myśl, nastąpiła tak nagle, iż w początkowym szoku, zerknęła rozżalonym wzrokiem na Breka, i ku zdumieniu, poczęła w nim postrzegać swojego wybawcę.

Przecież gdyby nie ten chłopak, zapewne nie byłoby jej tutaj, a wszelkie możliwości odkupienia duchowych zaniedbań, nie stałyby przed nią otworem.

Uśmiech pojawił się na jej twarzy, a w głowie kreowały się liczne pomysły, jakby mogła przysłużyć się ludzkości, nie koniecznie na ogromną skalę, gdyż zrozumiała również, iż każdy, nawet najmniejszy dobry gest, zasiewa w obdarowanym ziarno, z którego po czasie, może wyrosnąć krzew różnorodnych różnaitości, barwiących, nie zawsze kolorową, rzeczywistość.

Chwilowa radość i wdzięczność względem Breka, minęła równie szybko jak się

pojawiła, gdy uświadomiła sobie, że nie ma możliwości spełnić swoich odkupieńczych zamierzeń, gdyż nie może się stąd wydostać.

Dzięki sile jaką wygenerowała w sobie ostatnimi przemyśleniami, przekształciła smutek w czynny gniew, który postanowiła przelać na Breka, przyglądającego się jej, zmieniającemu się co rusz obliczu, z radością i uwielbieniem.

- Wyprowadź mnie stąd. - zażądała, ostro patrząc się w oczy swojego rozmówcy.

- Nie, nie... - odparł Brek z lekkim uśmieszkiem, starając się zamaskować zmieszanie i dziwny lęk.

- Wypuść mnie! - krzyknęła Cloe, rzucając się na Breka z rękami.

Ten zasłaniając się od lichych ciosów, śmiał się po nosem, a po chwili chwycił Cloe za przedramiona, i przytulając do siebie, powiedział, wpatrując się w nią jak w obrazek.

- Nie mogę.

- Puść mnie!

- Proszę. - burknął z niechęcią, odpychając lekko rozjuszoną dziewczynę.

Gdy ta wylądowała na ścianie, z głównego korytarza, z oddali, wydobył się głośny huk.

Obydwoje skierowali ku niemu swoje spojrzenia, a rozgniewana Cloe, jak szalona, poczęła mknąć wartko w kierunku, z którego dochodził ów hałas.

Chęć wydostania się z tego miejsca, niemal opętała tę młodą istotę, która pomimo zagrozenia, na które mogła natrafić, postanowiła bez namysłu, uciekać w stronę otworu w ścianie, ukazującego powierzchnię, który w mgnieniu oka, zaćmił swoim wyimaginowanym jestestwem, umysł Cloe.

Brek przeczuwając przebieg dalszych wydarzeń, jak i źródło przeraźliwego

dźwięku, ruszył za Cloe, krzykiem, starając się nakłonić ją, do rozsądnego myślenia.

Rozdział 13

Maks niepewnie spoglądał na obolałą Samantę, która wtulona w jego tors, łkała z cicha, nie chcąc z jakiegoś powodu, zdradzać się ze swoją słabością, przed osobami, których obecność wyczuwała. Pomimo iż nie rejestrował wzrokiem nikogo w okolicy, również czuł na sobie czyjeś spojrzenia.

- Poczekaj. - szepnął jej do ucha, i oddalił się w stronę drzwi.

- Gdzie idziesz? Nie zostawiaj mnie. - rzekła rozpaczliwie Samanta.

Maks w milczeniu, wyciągnął rękę w stronę klamki, gdy nagle usłyszał głos, dobiegający skądś z budynku.

- Zaczekaj na Beniamina. - zażądał stanowczym tonem nieznany mężczyzna.

- Co? - zapytał skonsternowany Maks, rozglądając się głupkowato.

Spojrzał na Samantę, jakby chciał uzyskać od niej jakąś radę, lecz paraliżujący strach, odebrał mu władzę nad kończynami, na widok celowników laserowych, migoczących, po nieświadomej zagrożenia ukochanej.

Po chwili, skierował spojrzenie na własny tors, i okazało się, iż na wysokości serca, widnieje taka sama, czerwona plamka, ukazująca miejsce, w które patrzy niewidoczny strzelec.

Przerażony uniósł ręce do góry, i powoli zaczął wycofywać się w stronę Samanty, która wyczuwając zagrożenie, macała bezradnie rękoma powietrze, i powoli kroczyła na drżących nogach, w kierunku, w którym miała nadzieję spotkać Maksa. Niestety azymut, który obrała, nie przecinał się z położeniem jej ukochanego, którego dostrzec nie była w stanie.

Maks szybko podszedł do błaznącej w biały dzień dziewczyny, i pochwycił ją w swoje ramiona, siadając wraz z nią, na rozgrzanym od słońca asfalcie.

Siedząc na drodze w milczeniu, ściskali się mocno, a Samanta, nie chcąc dłużej zmagać się z nacierającymi łzami, rozbeczała się na dobre.

- Co się dzieje? - zapytała cicho, przez płacz, Maks, który ze smutkiem, przyglądał się czerwonym kropeczkom, nieopuszczających ich choćby na sekundę.

Zaczął zastanawiać się, czy powiedzieć Samancie prawdę o zagrożeniu jakie istnieje, czy przemilczeć sprawę, i pozostawić ją w błogiej nieświadomości. Prawdopodobieństwo, iż strzelcy otworzą do nich ogień, było nie tyle bardzo znikome, a wręcz zależne od ich poczynań, przez co w jakimś sensie, mieli oni kontrolę nad wiszącym nad nimi niebezpieczeństwem.

Z drugiej strony, wiedząc, iż Samanta jest dziewczyną dojrzałą, o silnym charakterze, czuł się nie w porządku, trzymając w tajemnicy fakt, który mógł bezpośrednio wpłynąć na życie jego ukochanej.

Po dość szybkim i niezbyt skomplikowanym namyśle, uznał iż do czasu, do puki Samanta, nieświadoma pewnych prawidłowości, nie zacznie robić czegoś, co mogłoby skutkować jej szkodą, nie będzie jej zdradzał położenia, w jakim się znajduje, bacznie odciągając ją, od niekorzystnych zachowań.

Jeżeli zaś sytuacja rozwinie się dla niego tak niekorzystnie, iż będzie zmuszony wyłożyć przysłowiowe karty na stół, to uczyni to, przyjmując całą złość, jaką zapewne postanowi wylać na niego, Samanta, jak to mają w zwyczaju ludzie, gdy ktoś uświadamia ich o czymś, o czym wiedzieć by nie woleli, lecz poprzez swoje zachowania, lub nieokrzesaną ciekawość, nie dają osobie uświadamiającej wyboru.

Siedząc wtuleni, nucili jedną ze swoich ulubionych melodii, gdy nagle drzwi, tak silnie strzeżone przez niewidocznych strzelców, otworzyły się, a w ich progu, stanął uśmiechnięty Beniamin.

Maks spojrzał na niego z politowaniem.

- Wesołe kabaczki? Nie cierpię tej melodii. - rzekł wesoło Beniamin, ze szczerym uśmiechem.

- I jak? - zapytał rozżalony Maks.

- Chodźcie. - zaprosił przestraszoną dwójkę, dając jednocześnie strażnikom znak ruchem ręki, iż sytuacja jest pod kontrolą.

Czerwone światelka zniknęły w mgnieniu oka, a Maks wraz z Samantą, podążyli żwawo, na tyle na ile pozwalały im na to ich zdezelowane organizmy, za uradowanym Beniaminem.

Udając się najpierw przez szary korytarz, a później przez obszerny, nasłoneczniony plac, w stronę katedry, Maks wtulony w Samantę, prowadził ją, przyglądając się z ulgą, strudzonemu uśmiechowi, który pojawił się na jej poparzonej twarzy.

Wchodząc do środka, przyjemny chłód ogarnął ich rozpalone ciała, a cisza, woń oraz dziwne poczucie tajemniczości, będące w tym miejscu nader odczuwalne, nappełniło ich serca ulgą i nadzieją.

Maks nie mogąc oderwać wzroku od znajdujących się tu malowideł, rzeźb i innych dekoracji, na chwilę zapomniał o tym, iż prowadzi obok siebie drobną niewiastę, która czując malejące względem jej zainteresowanie, została przeszyta lękiem dziwnego rodzaju.

- Kochanie? - zapytała z troską, niepewna tego, czy w ogóle to jej mężczyzna, prowadzi ją teraz w bezkresną ciemność, do której za nic, nie mogła przywyknąć, nawet w najmniejszym stopniu.

- Tak? Tak? - zapytał nieco skonsternowany i lekko zawstydzony faktem, iż zapomniał o swojej ukochanej, będącej w znacznej potrzebie.

- Myślałam, że ciebie tu nie ma... - szepnęła niemal do siebie, po czym mocniej niż dotychczas, przytuliła się do jego zboląłego ramienia.

- Niech będzie pochwalony. - rzekł Beniamin, zbliżając się do Franciszka, który czekał na przybyszów z miną nie do końca wyrażającą przekonanie.

- Na wieki, wieków. - odparł starzec doniosłym głosem, który rozszedł się echem po całej katerze.

Maks zmieszany przystanął, i spoglądając na dziwnego starca, stojącego na podwyższeniu, zaczął mniemać, iż traci zmysły, gdyż wydawało mu się, że dostrzega dziwną, białą aurę, przyozdabiającą stojącą przed nim postać.

Mężczyzna westchnął z bólem, po czym zwrócił się do Maksa takimi słowami.

- Podejdźcie proszę.

Samanta ogarnięta paraliżującym strachem, nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa, a Maks, mimo iż miał ochotę wybiec stamtąd, nawet, jakby miał zostawić tutaj ukochaną samą sobie, kroczył na drżących nogach, w kierunku przyglądającego im się z zainteresowaniem jegomościa.

Beniamin w owej chwili, przestał istnieć dla jego percepcji, pomimo iż stał tuż obok, i przyglądał się sytuacji w milczeniu.

- Jakie są wasze imiona? - zapytał Franciszek.

- Jestem Maks, a... - zamilkł na chwilę, lecz gdy ujrzał, że Samanta nie ma zamiaru się odzywać, zaczął kontynuować.

- A to jest Samanta proszę pana. - mówiąc ostatnie dwa wyrazy, poczuł niesłychane zmieszanie i wstyd, a uczucie mówiące mu, że powiedział coś, co najmniej niestosownego, nie dawało mu spokoju.

- Mów mi ojcie. - skomentował oschle starzec, spoglądając na Beniamina, który uśmiechając się pod nosem, spuścił wzrok.

- Dlaczego? - wymknęło się Maskowi, który ujrzawszy reakcję na zadane pytanie, został przyatakowany przez falę gorąca, błyskawicznie zalewającą mu twarz.

Beniamin spojrzał złękniiony na Franciszka, jednocześnie tworząc ustami przesadnie smutną minę, chcąc w tym celu, nieudolnie i komicznie, zakamuflować

uśmiech. Uradował się w duchu, iż cisza, która zapadła po tym niefrasobliwym pytaniu, wystarczyła dociekającemu Maksowi, jako odpowiedź.

- Zbliżcie się. - zaproponował Franciszek, po tym jak ochłonął.

Para zagubionych, poczęła powoli wchodzić po marmurowych schodach w stronę ołtarza, przed którym stał, napęniający ich lękiem i konsternacją, starzec.

W tym momencie, Beniamin, wyczytawszy z krótkiego spojrzenia Franciszka, które wylądowało na nim przed chwilą, zaczął z cicha podbiegać za plecy Maksa, który w owej chwili, stał się głównym punktem zainteresowania kapłana.

Franciszek począł wypowiadać ciąg niezrozumiałych słów, jednocześnie odciągając Samantę od zahipnotyzowanego Maksa, co w owym stanie, w ogóle mu nie przeszkadzało.

Po kilkusekundowej litanii, Maks stracił przytomność, i osunął się do tyłu, gdzie stał Beniamin, chwytający go w ramiona i delikatnie kładący na chłodną podłogę.

Nie zwlekając ani chwili, Franciszek ponowił proces na stojącej obok, niczego nie świadomej Samancie, która również została sprawnie pochwycona, przez zwinnego wdrożeniowca, i ułożona do snu, w miejscu do tego niedostosowanym.

- Ile to zajmie? - zapytał strapiiony Beniamin, spoglądając na śpiącą parę.

- Nie wiem. Nie wiem czy w ogóle się obudzą. - odparł dziwnie niewzruszony Franciszek.

Nieznajoma obudziła się ze snu, który pochwycił ją w swoje szpony tak niespodziewanie, iż gdyby nie pobudka, nie wiedziałaby w ogóle, że śniła.

Pociąg stał spokojnie, w zatrważającej ciszy, a zdenerwowana na swoją nieudolność młódka, zerknęła pośpiesznie przez okno w wagonie, do jego wnętrza.

Żal i złość ogarnęły ją, gdy zorientowała się, iż nikogo nie ma w środku. Ciemna pustka, oświetlana przygaszającą świecą, obudziła w niej niesamowity gniew.

Rozejrzała się po Allomasie, i zorientowawszy się, iż przebywa tutaj w zupełności sama, poczęła krzyczeć na całe gardło, szarpiąc jednocześnie swoje długie i zadbane włosy, które na domiar złego, okazały się lekko przetłuszczone, co wzmogło w jej wnętrzu, kumulację negatywnych emocji.

Zbagatelizowała po chwili tę higieniczną skazę, i pełna energii, poczęła biec w stronę przejścia, którym miała nadzieję dotrzeć do Pani.

Oświetlony żółtymi neonami, betonowy korytarz, wydawał się nie mieć końca, a ściany na skutek szybkiego biegu, jakby zwężały się co rusz, aby po chwili powrócić do poprzedniego stanu.

Dziwny trans ogarniający jej umysł, na chwilę wypompał z niego wszelkie myśli i zamierzenia, a jedyny co Nieznajoma widziała przed oczami, była zdewastowana twarz jej Pani.

- Ej ty! - krzyknął Mojom, przyglądając się jej z uwagą, który pojawił się nie wiadomo skąd.

Wytrącona z letargu umysłowego dziewczyna, niemal instynktownie, poczęła zbliżać się do opryska z gracją, jednocześnie potrząsając rytmicznie jedynym biustem, co zaabsorbowało bez reszty percepcję samca.

Zbliżywszy się do niego na taką odległość, iż jej cys, przysłonił mu cały świat, poczęstowała go mocnym kopniakiem w krocze, co spowodowało ukazanie się, w kącikach jego oczu, nieśmiałych łez, a cichy pisk, który wydobywał się zza jego przygryzionych warg, uradował ją niezmiernie.

- Dawaj to. - rzekła poważnie, podnosząc leżący na ziemi karabin.

Spojrzała na Mojoma z pogardą, po czym strzeliła mu prosto w czoło, co spowodowało, ubrudzenie jej słodkiej twarzy ciepłą, purpurową posoką.

Nie wycierając facjaty, przeskanowała szybko i dokładnie otoczenie, po czym ruszyła dalej bezkresnym korytarzem.

Mieszanka roztargnienia, szoku i żalu, pochłonęła ją bez reszty, gdy okazało się, że po kilkuminutowym biegu, znalazła się po raz kolejny, przy zastrzelonym mężczyźnie.

W przeblysku nieprzeciętnego geniuszu, spojrzała w górę, i ku jej zadowoleniu, ujrzała w suficie właz, do którego mogła się dostać za pomocą drabinek, umieszczonych na ścianach i suficie.

Akrobatycznie i z wdziękiem, pokonując kolejne szczeble, weszła przez właz na wyższe piętro, tej dziwnej konstrukcji, która nie przypominała jej Allomasu z Krakowa.

Budząca lęk pustka, prześladowała ją z każdym przemierzonym metrem.

Dotarła w końcu do pomieszczenia, w którym pewien mężczyzna, wpatrywał się w ekran monitora, i szybko ruszał ręką, umieszczoną pod płaszczem, który miał na sobie.

Zorientowawszy się, iż nie jest sam, spojrzał wytrzeszczonymi i przekrwionymi oczami na utyłaną, celującą w jego kierunku Nieznajomą, nie bacząc zbytnio na rumieńce, pojawiające się na jego twarzy. Wyczuwając rychły koniec swego bytu, odwrócił się pośpiesznie, na obracany fotelu, w stronę monitora, i z jeszcze większą determinacją, począł dokonywać na sobie samogwałtu, licząc iż uda mu się zakończyć to, w czym mu przeszkadzano.

Na jego nieszczęście, Nieznajoma była tegoż dnia dość zniecierpliwioną i rozdrażnioną niewiastą, więc co za tym idzie, po niespełna sekundzie, w jego potylicy, ukazał się otwór, wydrążony przez gorący pocisk.

Westchnął jakby z rozżaleniem, kładąc przestrzeloną głowę na klawiaturze komputera, znajdującą się na biurku przed nim.

Nieznajoma podeszła do niego, i patrząc w ekran, dostrzegła na nim, nieznany jej wzór matematyczny.

Zmieszana zerkiała to na swoją ofiarę, to na monitor, nie mogąc zrozumieć zaistniałej sytuacji, po czym skoncentrowała swoją uwagę na czerwonym przycisku, umieszczonym w blacie.

Po jego naciśnięciu, w ścianie za nią, otworzyły się ukryte drzwi, ze schodami prowadzącymi w dół.

Zeszła po nich ostrożnie, gdyż oświetlenie w tej części labiryntu było bardzo znikome.

Dotarła do większego pomieszczenia, w którym znajdował się ekran, zawieszony w rogu, i wajcha wisząca pod nim. Skierowała ją ku dołowi, co skutkowało rozstąpieniem się na boki ściany, znajdującej się przed nią.

Przekroczyła tajemnicze wrota, i zaczęła iść korytarzem, który wyglądał tak samo jak wszystkie, które miała okazję przemierzyć, odkąd opuściła peron Allomasu.

Lekko zaniepokojona, starała się wytłumaczyć sobie ową sytuację, brakiem kreatywności konstruktora, tego architektonicznego czegoś, na określenie czego, znaleźć odpowiednich słów, nie była w stanie.

Poziom irytacji jaki odczuła w chwili, gdy po raz kolejny ujrzała zastrzelonego uprzednio Mojoma, ocierał się o szaf.

Drżąc ze złości, postanowiła cofnąć się do pomieszczenia, gdzie spotkała miłośnika nauk ścisłych.

Wróciwszy do komnaty matematycznej rozpusty, znalazła w niej kolejny przycisk, który dumnie jaśniał swoją żółtą barwą.

Wcisnąwszy go, otworzyła kolejne ukryte przejście, za którym znajdowały się schody, prowadzące ku górze.

Wbiegając po szerokich i stromych stopniach, zauważyła, iż karabin, który dzielnie dzierżyła w swoich rękach, zaczyna jej delikatnie ciążyć.

Dopiero w tej chwili, zastanowiła się, nad swoimi nieprzeciętnymi umiejętnościami strzeleckimi, które nie powinny mieć miejsca, jako iż po raz pierwszy w życiu, używała broni palnej.

Niczym blask reflektorów, nadjeżdżającego samochodu w środku nocy, dotarło do niej wspomnienie z lat młodości, gdy wykazując się nieposłuszeństwem, oglądała z ukrycia, wraz z Mojomami, przygotowującymi się do treningu, filmy pornograficzne, które jak się później okazało, były naszpikowane podprogowymi treningami militarnymi.

Po tym wspomnieniu, zorientowała się, że od najmłodszych lat, wykazywała się niesubordynacją, co po raz kolejny, nakreśliło w jej umyśle obraz swojej wyjątkowości, motywujący ją do działania, oraz przekonywujący o słuszności swoich poczynań i zamierzeń.

Z tego miłego zamyślenia, wytrącił ją znajomy, cichy i przytłumiony głos, dobiegający gdzieś zza prawej ściany.

- Szybciej psy! - krzyczała, za pewne na grupę Mojomów, rozgniewana Pani, z lekką nutą radości w głosie.

Złość i determinacja ogarnęły Nieznajomą, która przyśpieszając kroku, przekroczyła ostatni stopień, wbiegając do korytarza, wyglądającego identycznie jak wszystkie poprzednie.

Stojąc na rozstaju dróg, postanowiła udać się w prawą stronę, licząc, iż tą właśnie drogą, dotrze do znienawidzonej kobiety.

Nie chcąc robić za dużego ambarasu, poczęła iść z wolna, na lekko ugiętych nogach. Kroczyła płynnie, kładąc uprzednio pięty, i kierując palce stóp, mocno do zewnątrz, jednocześnie w możliwie najmniejszym stopniu, odrywając stopy od podłoża, niemal szurając nimi po ziemi.

Zanim jednak zaczęła ten taktyczny manewr, zdjęła swoje buty na obcasie, które o dziwno, nie przeszkadzały jej wcześniej w biegu.

Skradając się przy ścianie, skupiła swój wzrok na muszce od karabinu, która przecinała w pół, całą rzeczywistość, jaką była w stanie dostrzec w uszczuplonym polu widzenia, spowodowanym koncentracją, na niewielkim obiekcie, spoczywającym blisko twarzy.

Ujrzawszy wychodzącego zza rogu Mojoma, nie zastanawiając się nad konsekwencjami tego nieprzemyślanego czynu, nacisnęła na spust, powodując zgon, wywołany celnym strzałem prosto w głowę.

Jako iż skierowała znaczą część, swojego skupienia na wzroku, dopiero po huk, wywołanym wystrzałem, posłyszała jak kroki, na które wcześniej nie zwracała świadomej uwagi, przestały rozbrzmiewać.

- Sprawdź to! - krzyknęła Pani, której głos był już na tyle wyraźny, iż wywołał na twarzy Nieznajomej mimowolny uśmiech.

Nie zmieniając pozycji, zaczęła zbliżać się do zakrętu, za którym w jej mniemaniu, znajdował się jej cel.

Zanim go przekroczyła, zabiła jeszcze jednego przeciwnika, równie sprawnie jak poprzedniego, a gdy minęła róg, jej oczom ukazała się grupa Mojomów, osłaniająca przerażoną Panią, która nie była w stanie ukryć swojego zaszokowania ową sytuacją.

Nieznajoma wyprostowała się, i spuszczając wzrok z celownika, skierowała swoje spojrzenie w oczy Pani, która ujrzawszy swoje zagrożenie, nie przestała się dziwić, lecz strach, uleciał z niej lotem błyskawicy.

Krótką wymianę spojrzeń, zastąpiła rozmowę, i nie pozostawiała żadnych złudzeń, co do obecnego stanu sytuacji.

- Bierz ją! - warknęła na największego z Mojomów, odzianego w stalową maskę, uśmiechając się szyderczo w stronę rozgniewanej Nieznajomej, która składał się do strzału.

Reszta Mojomów, bez żadnego rozkazu, poczęła tworzyć wokół Pani ścianę z własnych ciał, a stalowotwarzy jegomość, zaczął biec w stronę swojego wroga.

Nieznajoma, bardziej przejęta własnym bezpieczeństwem, niż osiągnięciem zamierzonego celu, zaczęła strzelać w stronę pędzącego ku niej napastnika, widząc jedynie kątem oka, umykającą prędko Panią, która obracając się co kilka kroków, słała jej pogardliwe spojrzenie.

Mojom przyjął na twarz kilka strzałów, które ku niezadowoleniu strzelczyni, odbijały się od niej bez żadnego efektu.

Nieznajoma, lekko złękciona, zmieniła tryb strzelania na automatyczny, i krzycząc, zaczęła częstować napastnika gradem pocisków. Została zmuszona cofać się powoli do tyłu, gdyż zadziorny mężczyzna, za nic nie chciał ustąpić, pomimo kilku ran na całym ciele.

Nagle cichy świst, wydobył się z lufy karabinu, a zaraz po nim, siwy i rzadki dymek, informujący o braku naboju w magazynku.

Nieznajoma patrząc na wrzeszczącego i biegnącego ku niej Mojoma, który był ogarnięty szaleństwem, odwróciła się, po czym przestraszona i rozczarowana, rozpoczęła rozpaczliwą ucieczkę.

Nie mogła pojąć, jakim sposobem, ten umięśniony zbir, był w stanie przeżyć taką serię, a jeszcze bardziej przytłaczającym ją spostrzeżeniem, były spływające jej po policzkach słone łzy, które pojawiły się po raz pierwszy, w jej chłodnych oczach, pogarszając tym samym widoczność.

Niemal przekonana o swoim rychłym zgonie, biegła bezmyślnie przed siebie z nadzieją, że w momencie, gdy Mojom ją dopadnie, skończy z nią szybko, bez zbędnych ceregieli, które wystrzeliła mu z głowy, swoją zadziorną postawą.

Wprawiający w dziwny trans, nieznośny korytarz, wydawał się nie mieć końca, a krzyki ścigającego ją mężczyzny, rodziły ciarki na jej delikatnej skórze.

Nagle zza rogu, którego nie była w stanie, z nieznanym sobie przyczyn, ujrzeć, wybiegł zakłopotany Bayasz, rozglądający się na wszystkie strony, błędnym spojrzeniem.

Odepchnęła go zaraz po tym, jak na niego wpadła, po czym ruszyła w kierunku, z którego się wyłonił, licząc, iż właśnie tam, znajdzie wyjście z tego bezkresnego labiryntu.

Fala gorąca, uderzyła, z węższego niż poprzedniego, korytarza, a podłogę ozdabiała niska, ciepła mgiełka, w której swoim biegiem, wydrążyła szczelinę, zacierającą się kilka metrów za nią.

Oślaniając twarz, od gorącego podmuchu, odwróciła się na chwilę, i ze smutkiem zarejestrowała obecność niezmordowanego Mojoma, który co prawda, nieco wolniej, lecz dalej, ją gonił.

Zastrzyk radości, jakiego doznała na widok zbliżającej się hali, pokrzepił ją do działania, co skutkowało nie tylko lekkim uśmiechem, na jej strudzonej twarzy, ale również przyspieszeniem biegu.

W niewielkiej hali, wypełnionej gorącą parą, widoczność zmaląa do kilku metrów, a zaduch, uniemożliwiał swobodne oddychanie.

Nieznajoma zatrzymała się, po tym, gdy zaczęły ją nękać zawroty głowy, i postanowiła ukryć się przed wzrokiem napastnika.

Przemieszczając się na kolanach, pośród gęstej mgły, co rusz, przemykały jej przed oczami nogi Bayaszów, rychło wykonywających swoje obowiązki. Nieznana jej konstrukcja, składająca się z rur, dźwigni, kół zębatych oraz zegarów, nie nasuwała jej żadnych skojarzeń, co do swojego pochodzenia, jak i celu, w którym się tutaj znajdowała.

Nie zastanawiając się dłużej nad tym, co w owej chwili nie miało najmniejszego znaczenia, skryła się za jedną z rur, kładąc na niej dłoń, która po chwili, została zaatakowana przez falę niesamowitego gorąca.

Syknęła cicho, i spoglądając na poparzoną dłoń, spostrzegła, iż część jej naskórka, została na stalowej rurze, niczym malunek.

Po raz kolejny, lecz tym razem, za sprawą fizycznego bólu, łzy popłynęły jej po

policzkach, a z histerycznego rozżalenia, wytrącił ją krzyk Mojoma.

- Gdzie ona jest?! - krzyczał, stojąc kilka kroków od Nieznajomej, poza zasięgiem jej wzorku, i co jakiś czas, uderzał któregoś z przebiegających Bayaszów, którzy zapracowani, nijak nie mogli odpowiedzieć mu na jego pytanie.

Rozglądał się wokół siebie rycząc, i widząc niemal tylko szary dym, poczuł jak zaczyna mu braknąć tchu oraz czucia w kończynach.

Stalowa maska, nagrzała się do tego stopnia, iż zaczęła go palić w twarz. Obolały i bez sił, na domiar złego, zaczął odczuwać rany postrzałowe, bagatelizowane wcześniej przez jego umysł, za sprawą adrenaliny.

Zagubiony, i coraz mocniej ogarniany strachem oraz bezradnością, począł szukać wyjścia, lecz po zaledwie kilku krokach, runął z hukiem na ziemię, bez żadnej nadziei na wyjście z tej sytuacji.

Z trudem utrzymując, samoczynnie opadające, powieki w górze, patrzył na drwiących z niego Bayaszów, którzy zbiegli się wokół rannego, co rusz uderzając go, którąś ze swoich cherlawych kończyn, wyładowując w ten sposób swoją nienawiść, względem Mojomów, którzy na co dzień, bili i gnębili słabszych od siebie Bayaszów.

Ogarnięty żalem i wstydem, nie odczuwał już żadnego bólu, tylko z ulgą, przysłuchiwał się swojemu, coraz wolniej bijącemu sercu, które za kilka chwil, miało zastygnąć w martwym bezruchu, przynosząc mu upragnione ukojenie.

- Bucu giń! Bucu giń! - krzyczeli Bayasze, rechocząc przy tym radośnie.

Nieznajoma, przysłuchując się niewidocznym dla niej wydarzeniom, postanowiła wykorzystać okazję, i przedrzeć się dalej w głąb hali, gdzie zamierzała znaleźć wyjście z tego miejsca, w którym również nie przypuszczała długo wytrzymać o własnych siłach.

Złękciona, przemieszczała się na kolanach, unikając gorących rur, a powiew chłodniejszego powietrza, który uderzył w nią z prawej strony, nakazał jej zmianę kierunku i napełnił nadzieją.

Po chwili, mgielka poczęła rzednąć, a jej oczom, ukazała się drabinka, przylegająca do ściany i prowadząca ku górze.

Wdrapała się po niej, używając tylko jednej ręki, a po kilkunastu szczebelkach, była już w stanie oddychać świeżym powietrzem.

Ujrzała otwarty właz, po czym przystanąwszy na chwilę, spojrzała na znajdującą się pod nią halę, gdzie Bayasze prędko nosili wiadra z wodą, którą wylewali, przez rury, do wielkiego, żelaznego zbiornika, stojącego na równie zacnym, gazowym palniku.

W tej chwili, Nieznajoma pojęła, skąd w tej podziemnej budowli bierze się prąd, co na chwilę wprowadziło do jej umysłu niemiłą refleksję, gdyż wcześniej nawet o tym nie pomyślała.

Jan, wchodząc za Beniaminem, przez małe drzwiczki do wąskiego i ciemnego korytarza, był pokrzepiony i w pewnym sensie, zadowolony z przebiegu zdarzeń.

Spostrzegł, iż po tym dziwnym rytualnie, przez który przyszło mu przejść, słyszał, widział i czuł więcej, niż dotychczas.

Radujący się z możliwości swojej percepcji, podążał śladami Beniamina, szybko krocącego w ciemności, i był niezrozumiale przeświadczony o tym, że za moment, ujrzy swoją małą córeczkę, chociaż nikt mu o tym nawet nie wspomniał.

Mrok, ogarniający go oraz jego towarzysza, nie utrudniał mu sprawnego przemieszczania się po tej wąskiej i krętej konstrukcji.

Po chwilowym marszu, blask księżycowego światła, ukazał mu Beniamina, stojącego w otwartych drzwiach, przez które wdzierało się świeże, letnie powietrze, napełniające pozytywnymi emocjami.

- Jesteśmy. - stwierdził Beniamin z lekkim uśmiechem, i gestem ręki, zaprosił Jana na zewnątrz.

Wyszli z sieni na sporych rozmiarów ogródek, w którym przebywało kilkanaście osób, różnej płci, wieku i ogólnej charakterystyki interpersonalnej.

Dorośli siedzieli wokół ogniska, na drewnianych ławkach, wpatrując się w tańczący ogień i przysłuchując muzyce, generowanej na wskutek uderzeń palców, pewnego mężczyzny, o struny gitary.

Jakby poderwani niemyim rozkazem, wszyscy wbili w Jana badawcze spojrzenia, śląc jednocześnie dobrotliwe i życzliwe uśmiechy.

Jedynie grajek, porwany swoją pasją, falował gibko ciałem z zamkniętymi oczami, wsłuchując się w graną przez siebie melodię.

- Witajcie. - rzekł śmiało Jan, czując się, jakby spóźnił się nieco, na spotkanie ze starymi przyjaciółmi.

- Cześć, cześć. - odparło towarzystwo, krzątając się niezdarnie, robiąc jednocześnie miejsce dla kolejnych dwóch gości.

- Jestem Stach! - niemal krzyknął rześki staruszek, który pojawił się przed Janem jak z pod ziemi, trzymając ku niemu wyciągniętą dłoń, oczekującą silnego uścisku.

- Jan. - przywitał się podając rękę Stachowi, a po chwili, uniósł rękę ku gorze, i wadząc po wszystkich spojrzeniem, przywitał się z nimi kiwnięciem głowy.

Stach objął go po przyjacielsku, i usadowił obok siebie.

W pomarańczowym świetle, bijącym od ognia, Jan przyglądał się pomarszczonej twarzy starca, która pomimo trudu, jaki ukazywała na pierwszy rzut oka, była radością i wigorem. Bystre, ostre spojrzenie Stacha, wydawało się kontrastować z lekką bladością żrenic, która zapewne pojawiła się z wiekiem, jak i mnogą ilością przeżyć.

Lekki uśmiech nie zniknął nikomu z twarzy, a głośny śmiech rozszedł się po okolicy, gdy jedna z przebywających kobiet, uderzyła grajka w ramię, wytrącając go z rytmu, zwracając mu jednocześnie uwagę.

- Przywitałbyś się niemoto ty! - krzyknęła żartobliwie.

Skonsternowany muzyk, na początku błądził oczami po ludziach przed sobą, a gdy w końcu dostrzegł nieznana sobie twarz, uśmiechnął się szeroko i zaśpiewał, przygrywając prostą melodię na gitarze.

- Jestem Raf, dźwięków staw!

- Co?! - zapytał Beniamin sarkastycznie i z niezrozumieniem, gdyż zawsze miał problem z interpretacją tekstów, tego lokalnego artysty.

- Ysz ty prosty żołdaku... - skomentował, śląc krytykowi spojrzenie, mające udawać gniew, po czym powrócił do gry.

- Skąd się tu wzięłeś? Jak się czujesz? Jak ci na imię? Podoba ci się tu? Jesteś może głody? Chcesz się czegoś napić? Nie jest ci zimno? Ładna apaszka? - pytały Jana, znajdujące się w otoczeniu, i zachwycone jego obecnością niewiasty, nie dając mu nawet sposobności, aby odpowiedzieć chociaż na część z nich.

Jan nieco zmieszany, przyglądał się mężczyznom w otoczeniu, którzy śmiali się pod nosem, łypiąc na siebie porozumiewawczo.

- Tatusiu! - przebił się, przez ten cały babski jazgot, niewinny i słodki głosik Darii, która radośnie podskakując, zmierzała ku ojcu.

W momencie, gdy ta niewinna, drobna istota, wylądowała w ramionach Jana, który ze wzruszenia nie mógł wydobyć z siebie choćby słowa, towarzystwo westchnęło rozczulone, i z uśmiechami, przyglądało się tej wzniosłej chwili. Część kobiet nie kryła łez, a Beniamin, spoglądał lekko poirytowany w niebo, gryząc wykałaczkę i stukając palcami w kolano ze zniecierpliwieniem.

- A wiesz, że pan Piotr puścił nam bajkę, a tam taki duży ładny kot zasnął, bo przebiegły po nim takie krowy na chudych nogach i bez łątek, i jak ten kotek zasnął, tak na zawsze, to zaczęłam płakać, a wtedy się wstydziłam, ale jak popatrzyłam, że inne dzieci płaczą, chłopcy też płakali tato, to zaczęłam płakać jeszcze bardziej, ale

było mi smutno wtedy, i pan Piotr też prawie płakał, i też mu się podobało, bo mówił, że to piękne, i wszyscy płakali, a potem było już tylko lepiej i lepiej, i na końcu tak było wesoło i miło, że już nie chciało mi się płakać. - zalała potokiem zwierzeń Jana jego córka, która śmiało i z radością, opowiadała o ostatnich wydarzeniach, nie czując żadnego skrępowania, a w ręcz zachowując się jak w najbliższym gronie.

- Oj działo się, działo. - wtrącił żartobliwie Piotr, zbliżając się do ogniska, które powoli zaczęło rozświetlać jego sylwetkę, wynurzającą się z mroków nocy, i ze złożonymi dłońmi, patrzył na Jana takim wzrokiem, jakby chciał rzec.

- Tak to właśnie kurwa było.

- Oh córeczko... - westchnął Jan, przytulając mocniej do siebie Darię.

- Mama też już zasnęła? - spytała Daria, zdziwionego owym pytaniem Jana, który spojrzał zdumiony, na lekko strapionego Piotra.

- Tak kochanie. - odpowiedział ze smutkiem i poczuł napływające mu do oczy łzy, które hamował z trudem.

- Pomachajmy mamie! - zaproponowała radośnie, i zaczęła machać w stronę gwiazd.

Jan, nie mogąc zrozumieć, zachowania swojej córki, spojrzał na opiekuna z wyrzutem, jakby ten, zrobił coś niedobrego z jego skarbem, lecz gdy wyczytał wiadomość z jego spojrzenia, uśmiechnął się w zamyśleniu do siebie, po czym postanowił towarzyszyć córce w pozdrowieniach.

Niespotykanego wcześniej rodzaju spokój, ogarnął jego umysł, i poczuł po raz pierwszy, od tragicznej śmierci swojej żony, że pogodził się z tym faktem, jednocześnie wiedząc, iż będzie im ona towarzyszyła do końca ich dni.

- Gorzałka na stół! - krzyknął tęgim basem otyły mężczyzna, niosąc w rękach grilla.

- To już? - zapytała kobieta, która wydawała się, jakby, cały czas zdenerwowana i

niezorientowana w sytuacji.

- Hop! Hop! - odezwał się kolejny głos, a po chwili wszyscy zgromadzeni przy ognisku wstali, i zaczęli przygotowywać otoczenie do nocnej uczty, która to miała się lada chwila rozpocząć.

- Mogę? - zapytał Jana Piotr, wyciągając rękę, ku zasypiającej w objęciach ojca Darii.

Jan bez słowa przekazał córkę mężczyźnie, ufając mu bezgranicznie, i starał się odnaleźć jakoś w panującym ówczesnie chaosie, który po głębszych obserwacjach, ukazywał doskonale działający organizm, w którym każdy z jego elementów, wykonuje powierzone mu zadanie.

Jego uwagę przykuła młoda para, siedząca na ławce nieopodal ogniska, która jako jedyna, towarzyszyła mu w nieuczestniczeniu w organizacji kolacji.

Młody chłopak, wpatrywał się stroskanym wzrokiem w ogień, a młódka odziana w przydużą bluzę z kapturem, spała słodko z zamkniętymi oczami, wtulona w swojego partnera.

Jan postąpił krok w ich kierunku, gdy w tym momencie, Beniamin chwycił do za rękę.

- Chodź. Porozmawiamy sobie. - zaproponował.

- Ale... - starał się negocjować Jan, który poczuł niepohamowaną chęć integracji, z tą dwójką młodych ludzi.

- Oh... Daj im spokój. - burknął zgryźliwie Beniamin, po czym udał się w stronę fontanny, znajdującej się nieopodal.

Jan wahał się przez chwilę, ale zobaczywszy, coraz rychlej oddalającego się Beniamina, postanowił podążyć jego śladem.

Po chwili siedział już obok niego, i wpatrując się w rozgwieżdżone niebo razem z

nim, czekał, aż ten rozpocznie rozmowę.

- A więc co chcesz wiedzieć przyjacielu? - zapytał lekko znużony Beniamin.

- Co? Co? - nie odnalazł się w rozmowie, wybity z pustego zamyślenia.

- Interesowały cię Hasonmasy.

- Ach tak, tak... Hasonmasy. - przytaknął Jan, przypatrując się zimnemu obliczu Beniamina, które budziło w nim jakiegoś rodzaju niepokój.

- Aż nie wiem, od której strony zacząć... - zaśmiał się lekko do siebie, po czym zapytał.

- Kojarzysz może pewien sen...

- Jaki sen? - wtrącił podekscytowany Jan, rozdrażniając tym samym swojego rozmówcę, który po zmierzeniu go zimnym spojrzeniem, wyjaśniał dalej.

- Sen, w którym widziałeś na niebiesko, nie mogłeś się ruszyć, i czułeś czyjaś obecność, chociaż nikogo nie widziałeś.

Po tym opisie, Jan znieruchomiał, gdyż jego oczom, ukazało się wspomnienie, tak wyraźnie, iż nie dowierzał, że dopiero teraz, przypomniał sobie o tym zdarzeniu.

Ciarki przeszły mu po plecach, nogi poczęły lekko drgać, a łzy, same napływały mu do oczu, pod wpływem dziwnej emocji, utworzonej z wymieszania strachu i ekscytacji.

Jan przypomniał sobie rechot i szepty, które towarzyszyły mu w tamtej chwili.

Chcąc obrócić się w ich kierunku, został powstrzymany przez nieznana sobie, i nie do przewidzenia, siłę, która pozwalała mu jedynie na ruch gałek ocznych.

W momencie, gdy wysilił całą swoją wolę, aby ruszyć choćby ręką, obraz przed oczami, zaczął się trząść i lekko rozmazywać.

Towarzyszące mu istoty, rozgniewane jego zawziętością, pozwoliły mu jedynie na ciche majaczenie, i ruch lewej nogi w górę i w dół.

Nie mogąc przestać ruszać nogą, i wydobywać z siebie przeraźliwego jazgotu, zdołał obrócić głowę w kierunku prześladowców, co wymagało od niego sporego wysiłku, podczas walki, z niewidzialną siłą, a po ujrzeniu czarnego konturu, dziwnie niesymetrycznej postaci, usłyszał groźne syknięcie, i zaraz po tym, leżał sparaliżowany, jak na samym początku, czując jednocześnie gniew, istot mu towarzyszących.

Złęczniony konsekwencjami swojej zuchwałości, zaczął płakać, i nagle poczuł, jak spod kołdry, wydostaje się niewielki przedmiot. Obiektem wyłaniającym się spod pierzyny, była cieniutka ręką, z niemal przezroczystą skórą, której dłoń, przyozdobiona w pięć, rozwartych palców, machała do niego, mówiąc głosem, który dochodził z wnętrza jego głowy.

- Hello!(2) - poprzedzone dziwacznie niesympatycznym śmiechem, obudziło go z tego koszmaru.

- Pamiętam, pamiętam... - dodał Jan, wychodząc ze wspomnienia.

- To oni chcieli cię porwać. - wtrącił Beniamin, szukając w kieszeni koszuli wykałaczek.

- Kto? Jak? Gdzie? Po co? - pytał rozbity Jan, z uśmiechem niedowierzania.

- Orvosi.

- Kto?!

- Wysłannicy Szakadu, który porywają ludzi, w momencie, gdy ich Hasonmasy są już gotowe.

- Czekaj czekaj, bo czegoś tu nie rozumiem. - wtrącił Jan, nie zdejmując, drażniącego Beniamina, uśmieszku z twarzy.

- Chcesz mi powiedzieć, że ktoś chciał mnie porwać w trakcie snu?

- Tak. - odparł chłodno Beniamin.

- Przecież to niedorzeczne! - wykrzyknął Jan, kładąc dłonie na kolanach, i nie przestając się uśmiechać.

- Nie chcesz, to nie wierz. Mi na tym nie zależy, ale jak masz takie podejście, to nie widzę sensu, tłumaczenia ci kolejnych kwestii. - rzekł rozgniewany Beniamin, odwracając się do Jana plecami, na wzór chłopca, który obraził się na kolegę z piaskownicy, gdy ten zniszczył mu jego ulubione, czerwone wiaderko.

- To wytłumacz mi dlaczego tego nie zrobili? - zapytał Jan po chwilowej ciszy, która stawała się niekomfortowa.

- Nie wiem czy chce mi się to tobie tłumaczyć. - burknął ze złością Beniamin, nie zmieniając swojego położenia.

- Co kurwa?! Obrził się jak baba. Co za gość. - skomentował z uśmiechem Jan, machając lekceważąco ręką i odchodząc w stronę ogniska.

- Zaczekaj. - zawołał Beniamin.

- Skończyły mi się podpaski. Przykro mi. - odrzekł Jan, nie odwracając nawet wzroku.

- No dobra, teraz ty nie zaczynaj. Chodź no tutaj! - starał się zażartować Beniamin.

Jan zrozumiał, iż nie może zachować tak samo jak osoba, którą przed chwilą wyśmiał, więc poszedł po rozum do głowy, i kręcąc głową, uśmiechał się drwiąco w stronę Beniamina, krocząc w jego kierunku.

- No Beni... To opowiadaj, dlaczego mnie te cholery nie zabrały. - powiedział Jan, siadając i kładąc dłoń na kolanie Beniamina, który usłyszawszy swoje nowe

przezwisko, cisnął piorunami z oczu, w kierunku nieśmiesznego, jak dla niego, żartownisia.

Rozdział 14

Stój kretynko! - krzyczał rozgniewany Brek, nie mogąc zdzierżyć wizji, w której tak słodka istota, wymyka mu się z rąk.

Cloe bez opamiętania mknęła przed siebie zadymionym korytarzem, co rusz wpadając, na jakąś zaspaną istotę, która wyczłapywała się niemrawo, z wnętrza klaustrofobicznego pokoiku.

Wytrąceni ze snu ludzie, zdawali się nieświadomi swojego położenia, czasu akcji aktualnych wydarzeń, jak i celu w jakim się tutaj znajdowali.

Cząstkowe fragmenty rozmów, prowadzonych między nimi, które polegały na wymianie pytań, nie uzyskując na nie żadnej odpowiedzi, docierały ukradkiem do uszu Cloe, która w labiryncie korytarzy, powoli traciła orientację i dech w piersiach.

Złość ogarnęła te młode dziewczę, gdyż w chwili, gdy kroczyła śladami Breka, owa podziemna, architektoniczna układanka, wydawała się prosta i bezproblemowa w przebrnięciu, co jednak okazało się błędnym spostrzeżeniem, o czym przekonała się, pozostając samą.

Dysząc ciężko, oparła się o ścianę, i spuszczaając głowę w dół, poczuła opadające na jej twarz, mokre od potu włosy. Niehigieniczny zapach, unoszący się spod jej barków, na początku niemal wywołał u niej odruch wymiotny, z trudem powstrzymany i zastąpiony rozżaleniem, zrodzonym w chwili, gdy usłyszała głos Breka.

- Cloe! Cloe! - krzyczał gdzieś w pobliżu, lekko rozgniewany, a ona zastanawiała się, skąd ten typ zna jej pseudonim.

Zaczerpnąwszy powietrza głębokim wdechem, wypełniła płuca drapiącym i słodkawym dymem, powodując w ten sposób, chwilowe zawroty głowy.

Na domiar złego, zaczął wyc przeraźliwie głośny i drażniący alarm, któremu towarzyszyły migające, czerwone lampy, atakujące swym stroboskopowym

oświetleniem, wysuszone oczy niewiasty.

Na wskutek niekorzystnych warunków, panujących w otoczeniu, jej umysł, wykreował obraz, który ku jej zaskoczeniu, wywołał na jej twarzy uśmiech, a w duchu rozbawił.

Wizja przedstawiała białego królika, który przyodziany w osiemnastowieczny, zachodni mundur wojskowy, o kolorze niebieskim, i wysoką czarną czapkę, przygrywał bez ładu i składu na trąbce, chcąc tym samym, wytrącić z równowagi, stojącą nieopodal, na drewnianym stoliku, o jednej wysokiej nodze oraz niewielkim blacie, żółtą gruszkę.

Powstrzymując się od wybuchnięcia śmiechem, w obawie przed Brekiem, który mógłby ją zlokalizować, poczęła szukać przyczyn, tak dziwacznych i wcześniej, w jej życiu niespotykanych, wizji oraz stanu, zwalając w końcowym stadium analizy, winę na wszechobecny, gęsty, słodki dym.

Po chwili, która była ciężka do definiowania i odmierzenia, Cloe zorientowała się, iż patrzyła tępo w ścianę, której barwa, zmieniała się co rusz, z zielonego w odcień żółci, aby na sam koniec, uraczyć jej wzrok czerwoną barwą.

Groźnie brzmiący ryk, wydobywający się z zachrypłego gardła, kogoś kto znajdował się nieopodal, nakarmił ją delikatnym lękiem, którego obecności, ostatnimi czasy, nie odczuwała.

Zerknęła zaciekawiona za róg, i patrząc w korytarz spostrzegła, jak grupa wysokich, umięśnionych mężczyzn, z wygolonymi oraz wytatuowanymi głowami, przyodzianych w skórzane ubrania, znęcała się fizycznie i psychicznie nad bezbronnymi ludźmi, którzy wijąc się pod ich nogami, unikali instynktownie ciosów, które nie były im szczędzone.

Schowała się rychło, i przylegając plecami do ściany, z rozwartymi od szoku oczyma, wsłuchiwała się w bijące serce, które ze strachu, prawie wydostało się poza granice jej klatki piersiowej, przygłuszając jednocześnie swoim łomotem, jęki i krzyki, docierające z korytarza.

W momencie, gdy poczuła uścisk na swym drobnym przedramieniu, instynktownie i bez ogródek, wymierzyła w kierunku rzekomego napastnika, potężny, z jej punku widzenia, cios z otwartej dłoni, w wilgotny od potu pliczek.

Bardziej znużony i rozgoryczony, niż zdenerwowany Brek, przyglądał się Cloe z politowaniem, trzymając ją już za obie ręce, uniemożliwiając tym samym kolejne ataki, które to chciała wyprowadzić w szale.

- Uspokój się durna babo! - syknął przez zęby, śląc rozjuszonej dziewczynie delikatny uśmiech.

- Co? Co? - pytała po chwili, jakby obudzona w środku nocy z głębokiego snu.

- To ja! Uspokój się. - ponowił prośbę.

- Co się tu dzieje? - zapytała zakłopotana, błędząc po otoczeniu otępiąłym spojrzeniem.

- Nie ma teraz czasu, chodź. - rozporządził Brek, i zaczął prowadzić za sobą chwiejnie poruszającą się młodkę, na której twarzy, pojawił się głupkowaty uśmiech.

- Wiesz co ci powiem? - zapytała bawiąc się włosami, dodając.

- Jak tak na ciebie patrzę, to nawet fajne z ciebie ciasteczko, a nawet nie przeszkadza mi to, żeś spocony jak wsiur.

- Co? - zapytał mimochodem, rozradowany nagłą zmianą nastawienia co do jego osoby, jednocześnie zastanawiając się, co z tym fantem zrobić.

Nie puszczając jej dłoni, niemal ciągnął ją za sobą, spoglądając co chwilę, na jej rozradowane oblicze, oraz zastanawiając się w duchu, czy ryzyko jakie podjąłby, przystając na chwilę i częstując tę uroczą istotę namiętnym pocałunkiem, nie jest za duże, gdyż owa słodka chwila z dużym prawdopodobieństwem, będzie mogła nastać za jakiś czas, gdyż jak przypuszczał, ten zadziwiający stan jej umysłu, miał się jeszcze utrzymywać przez dłuższą chwilę.

Mimo pokusy, rozsądek wygrywał walkę z żądzami, a Brek, w gęstym dymie, starał się nie zgubić, w mało czytelnej infrastrukturze, którą zdawał się znać niemal na pamięć.

Wyjące syreny, wszechobecny dym, napotykanie oraz zaczepiający go i żądający wyjaśnień, jak i odpowiedzi na swoje pytania, zaspani ludzie, oraz lęk przed napotkaniem Mojomów, nie pomagały Brekowi w złapaniu koncentracji, nie wspominając już o najbardziej rozstrajającym go czynniku, który podążał krok w krok za nim.

- Kokosowe baloniki! - krzyknęła Cloe, wyrывая się Brekowi z uścisku, i biegnąc w tylko sobie znanym kierunku.

- Co jest kurwa... - burknął pod nosem z niedowierzaniem, przyglądając się znikającej we mgle dziewczynie.

Zdziwił się, iż narkotyczny dym, którego zażywał codziennie, już od kilku lat, przed każdym sennym seansem, może mieć na kogoś taki wpływ.

- Co za pinda... - syknął do siebie, po czym pognął, ile sił w nogach, za naćpaną małodatą.

- Kokosowe baloniki! - krzyczała bez przerwy, niknąc mu z pola widzenia, to w chmurze dymu, to za zakrętem.

- Cloe! - krzyknął w końcu, po tym jak doszedł do wniosku, iż skoro ona wydziera się w najlepsze, to i on może podnieść głos, nie zważając na nakierowanie na swoją osobę napastników.

Strach ogarnął jego wysportowane ciało, w momencie gdy ujrzał Cloe, skaczącą wokół zde gustowanego Mojoma, uderzając go lekko w głowę, i krzycząc z radością w głosie.

- Kokosowe baloniki! Kokosowe baloniki!

Poderwał się do ataku, gdyż widział w oczach Mojoma, kończącą się cierpliwość i

zdziwienie, które miały zakończyć się zapewne bezpardonowym oraz brutalnym atakiem, na Cloe, lecz gdy postąpił kilka kroków do przodu, poczuł mocne objęcie w okolicach pasa, a po chwili, jego, cały czas biegnące nogi, nie dotykały już podłogi.

Zorientowawszy się o zaskakującym stanie rzeczy, zaczął rozglądać się za siebie, w stronę Mojoma, którzy dysząc mu w kark, przez obślinione usta, szeptał cicho.

- Gdzie to się wybieramy Kalapie?

Brek nie zastanawiając się długo, uderzył Mojoma łokciem w szyję, osłabiając jego uchwyt. Stanąwszy na nogi, kopnął przeciwnika w krocze, a gdy ten skulił się z bólu, zwinnie obiegł go z boku, i ponowił kopnięcie, tym razem wymierzone w krtań, co wygenerowało w otoczeniu dźwięk zgniatanej chrząstki.

Rosły bysior padł jak długi, nie dając żadnych oznak życia.

Mojom osaczony przez niepo czytelną Cloe, po zaobserwowaniu walki, odepchnął ją z całej siły w kierunku ściany, z którą zderzyła się potylicą, tracą powoli przytomność.

Z całych sił, starając się powstrzymać powieki od całkowitego opadnięcia, spoglądała na rozmazującą się postać Breka, która wartkim krokiem, zbliżała się do osobnika, który okazał się nie być kokosowym balonikiem, a na domiar złego, wyrządził jej krzywdę.

Mieniący się jaskrawą poświatą Brek, jak w zwolnionym tempie, przyśpieszał kroku i zaciskał pięści, gotując się do wymierzenia sprawiedliwości.

Cloe poczęła dostrzegać na jego twarzy niewielki zarost, który po chwili, przeistoczył się w kozią bródkę.

Euforia ogarnęła ją całą, kiedy jej wzrok, zaobserwował na twarzy ratującego ją młodzieńca, rozjaśniające okulary, w których lubował się TiBiT.

- Wiedziałam, że po mnie przyjdiesz... - wyszeptała, zamykając oczy z radością w głosie.

Tracąc świadomość, była przeszcześliwa, gdyż nie dość, iż ujrzała swojego ukochanego, całego i zdrowego, który najwyraźniej postanowił jej wybaczyć tę niesubordynację, której się dopuściła, to jeszcze był w stanie narażać własne zdrowie i życie, aby wyciągnąć ją z tarapatów, w które się wplątała.

Brek nieświadomy rojeń, jakie nękały Cloe, zaobserwował jedynie radość na jej ślicznej twarzy, co zmotywowało go jeszcze bardziej do działania.

- Naćpała się młódka co niemiara. Jak się do niej dobiore, to sobie poużywam. - radował się w myślach, niemal oblizując się ze śliny, która zaraz miała wydostać się spomiędzy jego spiętrzonych warg.

Wyobrażenie, w którym zaspokajał swoje samcze żądze, za sprawą drobnego ciała śpiącej i uroczej istoty, zostało przykryte płaszczem chłodnej, czarnej i bezkresnej ciemności, która przysłoniła mu świat, po tym jak Mojom zdzielił go metalową rurką, prosto w skroń, jednocześnie otwierając jego czaszkę i przecinając skórę, spod której poczęła wyciekać ciepła i rzadka krew.

Rozjuszony brutal, nie zaprzestał na jednym uderzeniu, i ponawiając ciosy, doprowadził Breka do takiego stanu, iż gdyby papka z kawałków mięsa, kości i włosów, nie znajdowała się w okolicach szyi, ciężko byłoby się domyślić, iż wcześniej była czyjaś głowa.

Mojom ciężko dysząc, pochwycił nieprzytomną Cloe za nogę, i nie bacząc na ryzyko naciągnięcia przez nią pachwiny, poniósł ją tak, przez ciemny korytarz do miejsca, o którym nikt, poza członkami Szakadu, nie wiedział.

Amadeusz wracając do samochodu, nie myślał o niczym konkretnym.

Rozradowany, delektował się zapachem świeżego powietrza, wiatrem muskającym go po twarzy oraz promieniami słońca, które rozpromieniały jego posępne oblicze.

Zbliżając się do miejsca docelowego, zauważył szofera stojącego do niego plecami i palącego papierosa.

- Jedziemy psie! - krzyknął, i począł wchodzić do samochodu, zabierając ze sobą karabin.

Kierowca szybko wyrzucił niedopałek, i w równie zawrotnym tempie, zaczął odpalać auto.

Ruszył powoli, co rusz spoglądając przez lusterko na swojego szefa, który w milczeniu, czyścił swoją ulubioną zabawkę, bawełnianą chusteczką.

- Wiesz co... - zagaił niechętnie Amadeusz.

- Tak, słucham? - odparł kierowca, spoglądając przerażonymi oczyma na swojego rozmówcę, które nijak, miały się do nienaturalnego uśmiechu, widniejącego na jego obliczu.

- Powiedz mi jak to jest... Jakie to uczucie, gdy wiesz, że zbliża się nieuniknione zło, którego za nic w świecie nie jesteś w stanie powstrzymać.

- Słucham? - dopytał już srodze przerażony, wprowadzając Amadeusza w chwilową furję, która znikła równie szybko jak się pojawiła.

- No wyobraź sobie taką sytuację. Płyniesz sobie pięknym turystycznym statkiem, który zmierza w kierunku równie urokliwej wysepki, na której przyjdzie ci spędzić kilkanaście wspaniałych dni. Fajnie?

- Fajnie... - skomentował, nie do końca wiedząc czy dobrze odpowiedział, lecz cisza po tym pytaniu, nakazywała mu powiedzieć cokolwiek.

- No pewnie, że fajnie. - dodał Amadeusz z dziwną, i nie do końca szczerą radością w głosie, po czym dodał energiczniej.

- Ale nagle dopada was sztorm. Niewyobrażalny sztorm, który miota tym potężnym statkiem jak rybacką łódką, przez co wpadacie na skały, które dziurawią kadłub, który po chwili pęka w kilku miejscach, a woda wdziera się do środka, podtapia wszystkich, którzy nie zdążyli dostać się do szalup, które i tak toną zaraz po

tym, jak napotykają na swej drodze olbrzymie fale, a ty stoisz na mostku, przyglądasz się wszystkiemu i wiedząc, że nie ma już dla ciebie ratunku... O czym myślisz i co chcesz zrobić? - zapytał pod koniec zaciekawionym tonem, spoglądając w lusterko chytrze i z lekkim uśmieszkiem.

- Nie wiem... - odparł zmieszany kierowca, uciekając wzrokiem od przenikliwego spojrzenia Amadeusza.

- A ja wiem! - wykrzyknął uradowany, uderzając się dłonią w kolano.

- Cóż takiego szefie? - zapytał, czując jak krople nerwowego potu, ściekają mu po czole.

- Ja bym poruchał! - dodał, krzycząc i energicznie przybliżając się do okienka, które oddzielało kabinę kierowcy.

- No w sumie... - jęknął, zde gustowany słownictwem i błędem myślowym, gdyż owa czynność, byłaby raczej trudna do przeprowadzenia w warunkach, o których mówił Amadeusz, lecz pod żadnym pozorem, nie zamierzał dzielić się z nim, swoimi przemyśleniami.

- A wiesz co ci powiem? - zapytał jakby zalotnie, kładąc dłoń na jego barku, i przybliżając się do jego ucha.

- Słucham... - odparł spięty i przeszyty obrzydliwym dreszczem, spoglądając nerwowo, kątem oka, na swojego rozmówcę.

- Naszła mnie dzisiaj chęć na chłoptasia. Bo powiem ci... Całe życie rzę te głupie suki i jakoś nie sprawia mi to już radości.

- To zrozumiałe... - wtrącił, nie wiedząc dlaczego, i po co.

- Cieszę się że się ze mną zgadzasz, gdyż jak zapewne wiesz, pozostała mi jeszcze jedna kula w magazynku, a wolałbym nie ruchać zimnego ścierwa, lecz zakosztować ciepła, które zapewne możesz mi ofiarować, swoim zgrabnym tyłeczkiem, co Brutusie?

Wizja nadchodzącego nieszczęścia, bólu oraz upokorzenia, przyćmiła w umyśle tego młodego i właśnie molestowanego psychicznie człowieka, wszystko, co nie łączyło się z infiltracją jego anusa przez członka osobnika, znajdującego się za jego plecami.

- Brutusie... - rozbrzmiewało gdzieś w tle paskudnych przemyśleń i wizji, nie wiedząc czemu, gdyż nie miał tak na imię.

Z nieprzyjemnego transu, wytrąciło go liźnięcie, lądujące na jego uchu, poprzedzone ciepłym oddechem, drażniącym go w kark.

Po tym jak odzyskał panowanie w kończynach, błyskawicznie wrzucił mniejszy bieg i wcisnął pedał gazu do samej ziemi.

Amadeusz odleciał nieco do tyłu, pod wpływem gwałtownego przyśpieszenia, a w momencie powrotu, do początkowej pozycji, zaobserwował rychło zbliżającą się ku nim betonową ścianę, w którą to mieli za chwilę uderzyć.

Szczery i szeroki uśmiech, widniał na twarzy kierowcy, gdyż liczył on w duchu, że po zderzeniu, nie tyle co zabije siebie, ale również pozbawi życia Amadeusza, przez co jego odbytnicze dziewictwo, nie zostanie naruszone po jego śmierci, co napełniało go ulgą.

Nigdy wcześniej nie przypuszczałby nawet, że huk, wywołany przez gniotące się blachy, jak i ból, towarzyszący wbijaniu się w ciało pasów bezpieczeństwa, oraz kontaktowi twarzy z kierownicą, która po chwili wylądowała również na jego torsie, połączone z trzaskaniem pogruchotanych kości u nóg, może napełnić go taką radością i spełnieniem.

Przeraźliwy świst i pisk, po chwili zaczął napastować jego uszy, a utrata świadomości nastąpiła szybko, i o dziwo przyjemnie.

Jednakowoż owa przyjemność nie była już obecna podczas powrotu do realów, które mówiąc krótko, nie napełniały optymizmem i radością.

Już sam fakt, że był w stanie otworzyć oczy, oraz usłyszeć syk, wydostającej się gdzieś z silnika pary, jak i otwieranie się drzwi samochodu, napęłniły go strachem i niepewnością.

Fakt, iż nie był w stanie ruszyć czymkolwiek, oprócz gałek ocznych, nie poprawiał jego samopoczucia, które poprawiło się na chwilę, gdy zorientował się, że zapewne przez taki właśnie stan rzeczy, nie czuje on teraz żadnego bólu.

Po chwilę posłyszał, jak drzwi po jego stronie otwierają się, i zapłoną nadzieją, iż jego wybawiciel, pomoże mu w najbliższym czasie, odzyskać czucie oraz władzę nad ciałem.

Zawiódł się niezgorsza, gdy jego oczom, ukazał się poobijany Amadeusz, z zakrwawioną twarzą przyozdobioną przerażającym uśmiechem.

- Widzę, że też lubisz na ostro. - powiedział, po tym jak spostrzegł w oczach swojej ofiary oznaki świadomości, za pośrednictwem szalonych ślepi, strzelających wariacko na wszystkie strony świata.

Przygryzając nerwowo szczękę, generując tym samym nieprzyjemny zgrzyt, wyciągnął kierowcę z samochodu, po czym zaczął go ciągnąć po chodniku.

Zdezelowany samochód, powoli oddalał się od wzroku bezwładnego kierowcy, który zrezygnowany, czekał na najgorsze.

Uniósł się po chwili, a jego oczom, przez moment ukazało się drewniane oparcie ławki, które zostało zastąpione obserwacją, brudnych butów Amadeusza.

Przypuszczał, iż zapewne został przewieszony przez oparcie, udostępniając możliwie najwygodniej, swoje cztery litery, dla odpinającego właśnie klamrę u paska oprawcy.

W momencie, gdy zaobserwowała rytmiczne drgania obrazu, zorientował się ze smutkiem, iż świętokradztwo jego jelit, zostało właśnie uczynione.

- Jest! Jest! Jesteś super Brutusie! - krzyczał rozradowany Amadeusz ku niebu, z

rozwartymi rękoma, niczym biegacz, przecinający swoim brzuchem wstęgę na mecie.

Po zakończeniu sprawy, klepnął swojego partnera w pośladek, i uradowany ruszył w stronę samochodu, ze spodniami spuszczoneymi do kostek, które utrudniały mu sprawne poruszanie się.

W takim przyodziewku, doczłapał się do rozbitej limuzyny, i zaczął szukać pomiędzy elementami tapicerki słuchawki telefonu. Nie mogąc jej znaleźć, wszedł do środka tylnymi drzwiami, do swojej części samochodu.

Usiadł na kanapie, i w końcu postanowił uwolnić swoje nogi z bawełnianego uścisku.

Nie ściągając butów, zdjął spodnie, i z całym swoim osprzętowaniem na wierzchu, wciskał namiętnie żółty guzik, licząc w duchu, iż za moment, usłyszy sygnał, dający znać o użyteczności sprzętu telekomunikacyjnego, zainstalowanego w aucie.

Niestety, po niespełna minucie prób i starań, doszedł do wniosku, że nic z tego, po czym wyszedł na zewnątrz.

Krocząc przed siebie, jedynie w pantoflach, skarpetkach, koszuli z krawatem i marynarce, trzymał na barku karabin snajperski, i nucił pod nosem modną, wesołą melodyjkę, rzucając pogardliwe spojrzenie w stronę mężczyzny, wiszącego ze spuszczoneymi spodniami, na drewnianej ławce, który w owej chwili, nie mógł wybaczyć dla swojego szefa, iż ten, mówił do niego Brutusie, gdy w jego dokumentach, wyraźnie widniało imię Albert.

Maks otwierając oczy, czuł straszliwy ból w plecach.

Wstając z chłodnej, kamiennej podłogi, domyślił się źródła nękanej go dolegliwość, po czym ściągnął ku sobie łopatki.

Rozejrzał się pobieżnie po otoczeniu, i uśmiechnął mimowolnie, ujrawszy siedzącą na ławce, uradowaną Samantę, która radośnie gawędziła o czymś z Franciszkiem, który ujrawszy jego przebudzenie, rzekł.

- O, jest i on.

- Maks? - zapytała Samanta, starając się go zobaczyć niewidzącymi oczyma.

- Tak kochanie, to ja. - odrzekł, a po chwili siedział obok niej, i trzymając ją za rękę, spoglądał badawczo na starca.

- No moje drogie żbiki, czas na ceremonię, więc usiądźcie proszę na ławie w pierwszym rzędzie. - zaproponował Franciszek, wskazując ów mebel ręką.

Młoda para wykonała polecenie, nie wypowiadając żadnych słów, które jakby telepatycznie, przemieszczały się pomiędzy nimi w ciszy, balsamującej ich zbłąkane serca.

Usiadłszy na drewnianej ławce, Maks obserwował liczne dekoracje, umieszczone w świątyni, chłonąc jak wodę gąbka, treści w nich zawarte.

Samanta, nie mogąc dostrzec urodzaju wykwintnej sztuki w ich otoczeniu, mimowolnie chłoneła przekaz, za pośrednictwem zaciśniętych dłoni.

Głośnie bicie dzwonów, obwieszczało okolicznemu narodowi, już zmierzającemu ku katedrze, że godzina spotkania właśnie wybiła.

W mgnieniu oka, niemal całe wnętrze wypełniło się rzeszą ludzi, którzy w ciszy, zajmowali poszczególne miejsca.

W momencie, gdy wszyscy rozsiedli się na dobre, dźwięk małych dzwoneczków wypełnił wnętrze, co dało sygnał zgromadzonym, do rychłego powstania.

Maks z Samantą, mimo iż po raz pierwszy uczestniczyli w tym wydarzeniu, jakby pchani nieznaną sobie siłą, również wstali, nie dając po sobie poznać, iż jest to ich pierwszy raz.

O Panie, to Ty na mnie spojrzaleś,
Twoje usta dziś wyrzekły me imię.

Swoją baręk pozostawiam na brzegu,
Razem z Tobą nowy zacznę dziś łów.

Rozbrzmiał chór, stworzony z obecnego zgromadzenia, który rozbrzmiewał nie tylko w uszach, ale i w całej duszy, którą to mieli zaszczyt teraz poczuć, Maks i Samanta, napełniając ich ulgą, spokojem, uczuciem bezpieczeństwa oraz wiary, jednocześnie niwelując stres.

Te ostatnie uczucie, było niepodobne do żadnego innego, jakie do tej pory odczuwali, a fakt, iż czuli wszystko tak samo i w tym samym momencie, tylko na początku, zrodził w nich dziwnego rodzaju lęk, gdyż po chwili, dali się porwać procesowi pojednania.

Po pierwszoplanowej euforii, która ich natchnęła, przyszedł czas na falę refleksji, przemieniającej się powoli we wstyd i trwogę. Dopiero w owej chwili, gdy pieśń brnęła powoli ku końcowi, zorientowali się, iż w ogóle nie pomyśleli, choćby przez sekundę, o swoich najbliższych, których los i stan zdrowia były im nieznane.

Całą swoją energię, poświęcili wyłącznie sobie oraz swoim partnerom, którzy w pewnym sensie, byli, niezdatną do osobnego istnienia, częścią ich, jako jednego organizmu, zapominając o innych, którym zawdzięczali wiele, i których los, nie powinien być im obojętny.

Maks poczuł napływającą mu ku twarzy falę gorąca, której następstwem były czerwone wypieki.

Zerknął na Samantę, która również, po uświadomieniu sobie swojego egoizmu, wcześniej przykrytego iluzją troski o swoją drugą połówkę, poczerwieniała ze wstydu.

Tkwili w takim zmieszaniu przez całą ceremonię, walcząc wewnętrznie ze swoimi myślami, zamierzeniami, przeplatany z doznawaniem wyrozumiałości i wybaczenia, które napływało na nich zewsząd.

Niespełna godzinna przeprawa, pełna modlitw, śpiewów, stania, klęczenia i

wsluchiwania się w słowa Franciszka, była swego rodzaju męcząca, lecz tylko z fizycznego i psychicznego punktu widzenia, gdyż dusza, relaksowała się w tym czasie znakomicie.

W końcowym etapie zgromadzenia, część z obecnych, w kolejce, zgromadziła się przy ołtarzu, aby przyjąć z rąk Franciszka cienki, biały wypiek, o którego istnieniu, Maks nie miał pojęcia.

Z oczu ludzi, obdarzonych tym podarkiem, wyczytał on niekłamana radość i siłę, które nieco kontrastowały, z jego osobistymi odczuciami.

Chcąc doświadczyć tego samego, zaczął się powoli podrywać z ławy, lecz w tym momencie, Franciszek wymierzył ku niemu srogie spojrzenie, a jednocześnie Samanta, chwyciła go mocniej i wyszeptała na ucho.

- A wtedy będzie płacz i zgrzytanie zębami... Nie słuchałeś? - zapytała lekko rozgniewana, jak do niepokornego urwisa.

- Och, przepraszam. - odpowiedział, wytrącony z nagłej pokusy.

Kiedy wszyscy ponownie usiedli na swoich miejscach, katedrę wypełniła melodia, wydobywająca się z organów, umieszczonych nad wejściem, za plecami zgromadzonych, a po chwili, ludzie poczęli powoli wychodzić na zewnątrz.

Maks prowadząc obok siebie Samantę, zbierał życzliwe spojrzenia mijanych ludzi, w oczach których dostrzegał współczucie i chęć pomocy.

Wychodząc na zewnątrz, ujrzał zachodzące za bloki, pomarańczowe słońce, widniejące dumnie, na poróżwiałym niebie.

Plac znajdujący się przed świątynią, pełen był rodzin, które powoli i radośnie, zmierzały ku domom, parkom, czy placom zabaw, gdy wśród jej członków, byli najmłodsi.

Mimo wszelkich rozterek, nękających ich młode oraz niedoświadczone duchowo, sumienia, czuli się błogo i radośnie.

- I co teraz? - zapytała Samanta, wtulając się czule w nieco zbolące ramię Maksa, który pocałował ją w czoło i odpowiedział stroskany.

- Nie wiem kochanie. Może usiądziemy gdzieś i pomyślimy? - zaproponował.

- Dobrze. - przytaknęła, śląc mu namiętnego całusa w wargi.

Usiadłszy na ławce, znajdującej się u skraju parku, cieszącego nozdrza miłym zapachem, oraz uczy uspokajającym szumem drzew, słuchali śpiewu ptaków, radując się resztkami promieni słonecznych, które miały za moment zniknąć.

Siedząc w milczeniu i nieudolnie rozważając nad dalszymi poczynaniami, Maks zaobserwował dziwnie znajomą sylwetkę, spokojnie wychodzącą spomiędzy drzew.

- Gagi?! - krzyknął z niedowierzaniem, machając ręką.

- Maks! - zawtórował radośnie, przyśpieszając kroku.

Nie zastanawiając się nad okolicznościami, które umieściły w tym miejscu jego przyjaciela, Maks zaczął układać sobie w głowie wyobrażenia, ukazujące mu przywrócenie wzroku Samancie.

- Kochanie to Gagi! Przywróci ci wzrok! - krzyczał, nie mogąc pohamować łez szczęścia, i zalał skonsternowaną twarz ukochanej, gradem pocałunków, trzymając ją za obie dłonie

Samanta nie odrzekła nic, tylko uśmiechnęła się z lekkim wstydem, co umknęło uwadze Maksa, który wstając z ławki, począł biec ku swojemu przyjacielowi, który miał się okazać jednocześnie wybawicielem, jego ukochanej, od wiecznej ciemności.

- Co ty tutaj robisz?! - zapytał Gagi, ściskając się z Maksem.

- Ja?! Co ty tutaj robisz?! - opowiedział pytaniem, nie mogąc uwierzyć w ten niesamowity zbieg okoliczności, który zaczął przypisywać sile wyższej.

- Nie sądziłem, że jesteś z nami... - skomentował Gagi, przyglądając się badawczo Maksowi, po czym dodał, jak zauważył rany i oparzenia na jego ciele.

- Co ci się stało?

- Chodź! Chodź! Potrzebujemy twojej pomocy! - krzyczał Maks, ciągnąc za sobą rozbawionego Gagiego, który lekko skonsternowany, nie stawiał oporu.

Zbliżając się do ławki, spowitej w niewielkim mroku, dostrzegł iż Samanta, również nie wygląda najlepiej, a mało tego, daje oznaki, jak gdyby nie rejestrowała otoczenia wzrokiem.

Chcąc lepiej ujrzeć szczegóły, i licząc w duchu, iż coś mu się przewidziało, włączył reflektory, rzucając promień światła, na zgubioną w sytuacji Samantę.

Z przerażeniem stwierdził, iż ta nieprzeciętnie atrakcyjna dziewczyna, którą miał okazję nastraszyć, nie wyglądała już tak jak kiedyś, a w dodatku, nie reagowała na światło, bijące jej w twarz.

Pękający ze szczęścia Maks, lekko podskakując, wyciągnął ręce ku Samancie, aby po chwili, podnieść ją ku sobie, gdy nagle, powoli martwiejący w błogiej ciszy plac, rozbrzmiał głośnym hukiem, który spłoszył, zasypiające już na gałęziach drzew ptaki, a niewidoma dziewczyna, z rozsypującą się czaszką, upadła na brukową drożkę, biegnącą przed ławką, pozostawiając na niej jedynie rzęsiste ślady krwi.

Bordowa plama, rozlewająca się wartko u stóp Maksa, który wpatrywał się tępo i z niedowierzaniem na ciało Samanty, objała światło niewielkiej gwiazdy, która poczęła już widnieć, na granatowym nieboskłonie.

Gagi nieco lepiej orientując się w sytuacji, obserwował uciekających ludzi, którzy w krzykach, chowali się za osłony, bądź własnym ciałem, osłaniali swoje pociechy.

Maks zaczął podnosić ciało ukochanej, i modelując jej włosy, starał się zamaskować dziurę w głowie.

- Co ty robisz? - zapytał Gagi z oburzeniem.

Maks nie odpowiedział mu, tylko jakby nigdy nic, mówił do Samanty, co rusz obdarowując ją delikatnym pocałunkiem.

- Spokojnie kochanie, to się zagoi, zobaczysz. Nie bój się. Zaraz naprawimy ci główkę.

- Pojebało cię człowieku! Przecież ona nie ma połowy twarzy! - krzyknął Gabi ze złością i niedowierzaniem.

- Wypierdalaj... - syknął jakby od niechcenia, rozgniewany Maks, nie spuszczać wzroku z Samanty.

Gagi ogarnięty strachem i stresem, nie wiedząc jak się zachować, postanowił pobiec do Franciszka, którego miał nadzieję zastać w katedrze.

Maks, nie zważając, na wciąż istniejące zagrożenie, mówił do Samanty, widząc kątem oka, oddalające się reflektory, bijące z oczu uciekiniera.

Chwilę później, nad Maksem i Samantą, stał Gagi, Franciszek i trzech uzbrojonych mężczyzn, na pierwszy rzut oka, przypominający rebeliantów.

- Zostaw ją chłopcze. - zagaił łagodnie Franciszek, zerkając porozumiewawczo na swoich towarzyszy.

- Nie. - burknął cicho i krótko, z wyrzutem w spojrzeniu, którym strzelał spod zmarszczonych brwi, jak dziecko, niechące oddać skradzionej zabawki.

- Maksie ona jest już w niebie... - starał się załagodzić dziki temperament, skrzywdzonego przez los młodzika.

- Nie. - odparł równie niegrzecznie co wcześniej.

- To co... Chcesz tutaj zostać na zawsze?

- Tak.

- Nie no kurwa nie mogę. Skończmy z tym. - wycodził spomiędzy zaciśniętych zębów, wyraźnie zniecierpliwiony piechur, któremu najwyraźniej spieszyło się na posterunek.

- Hola hola, kolego. - wtrącił Franciszek, groźnie spoglądając na żołnierza, i powstrzymując go tym spojrzeniem, od złapania Maksa za bluzę.

- Postaw się w jego sytuacji... Musimy wysłuchać woli pokrzywdzonego. - dodał, patrząc na zgromadzonych porozumiewawczo, po czym ponownie zagaił do gibającego się na kolanach Maksa.

- Maksie... Nie możesz zostać tutaj sam z Samantą. Pewnie będzie jej chłodno, a wtedy na pewno nie wyzdrowieje.

- To co mam zrobić?! - krzyknął rozżalony, patrząc prosto, wyraźnie załzawionymi oczami, na Franciszka, który poważnie zaproponował rozwiązanie.

- Za katedrą w ogrodzie mamy taki zaciszny kącik, gdzie można rozpalić ognisko. Zaprowadzimy was tam, wzniesimy ogień, i będziecie mogli pobycć sami ze sobą w miłym, ciepłym miejscu, z dala od zaczepiających was przechodniów.

- Jak... Jak ona nie może sama pójść. - skomentował Maks, smutnym głosem.

- Poniesiemy ją. - zaproponował Franciszek, nachylając się przyjacielsko z nadzieją, iż udało mu się przekonać młodzieńca.

- Nikt nie będzie jej dotykał oprócz mnie! - krzyknął ze złością, i począł jeszcze mocniej, przytulać się do powoli chłodniejącego już truchła.

- Dobrze już dobrze... - wtrącił Franciszek, zerkając litościwie na żołnierzy.

Chwilowa cisza stawała się coraz bardziej nieznośna, a starzec powoli zdając sobie sprawę, iż traci kontrolę nad sytuacją, począł drapać się nerwowo po potylicy.

W tym momencie, z ust Gagiego, wymsknęło się ciche i nieśmiałe beknięcie,

które w istniejących warunkach, wydawało się dumną pochwałą gospodyni oraz jej dania, którym ów chwalać przed chwilą się pożywił.

- Gagi... - syknął jeden z żołnierzy, szturchając go łokciem w żebra, a Franciszek, mierzył, wyraźnie niefrasobliwą dwójkę, groźnym spojrzeniem.

- He... Mówiłem ci żebyś nie jadał tak szybko. - odezwał się radośnie Maks, ku zdziwieniu wszystkich.

- Ty pewnie już zgłodniałeś co? - wtrącił się do negocjacji, dumny z siebie Gagi, zauważywszy iż złapał kontakt z obłąkanym.

- Trochę...

- To chodź... To znaczy chodźcie. Zrobię wam kiełbaski na badyłu. Tak jak ostatnio nad rzeką, pamiętasz?

- Nad rzeką... Tak... Woda... Ogień... Noc i dzień... - majaczył sam do siebie, przyspieszając rytmiczne gібanie się na kolanach.

- No chodź... Hop! Hop! - rozporządził pewny siebie Gagi, i zaczął delikatnie podnosić Maksa z kolan.

- Poczekaj, pomogę ci. - wtrącił, przytrzymując Samantę w taki sposób, aby Maks mógł ją wygodnie złapać i unieść na rękach.

Zaskoczony Franciszek, patrzył z podziwem na Gagiego, który przyglądał się, wypadającym kawałkom mózgu wraz z gęstą wydzieliną, z przedziurawionej czaszki, na chodnik, powstrzymując się od wymiotów, co na szczęście, umknęło uwadze Maksa, który z nieszczerym uśmiechem oraz szczerym płaczem, stał, trzymając na rękach Samantę, której kończyny i głowa, zwisały bezwładnie w dół.

Idąc posępną gromadą ku katedrze, Franciszek chwyciwszy Gagiego za rękę, odciągnął go do tyłu, szepcząc.

- Da się coś z tym zrobić?

- Nie ma szans. - stwierdził posepnie Gagi, kręcąc głową.

- No to będziemy mieli trupa na posiedzeniu.

- Jak to? - zapytał strwożony.

- Normalnie. Usadowimy ich teraz przed przyjściem wszystkich, narzucimy dziewczynie kaptur na głowę i ułożymy, aby wyglądała tak jakby się do niego przytulała.

- A jak Maks zacznie robić sceny?

- Spójrz na niego. Nie zorientuje się, a potem się go upije, a jak zaśnie, zabierze ją do kostnicy.

- No dobrze... - skwitował nieprzekonany Gagi, nie chcąc podważać autorytetu przewodnika od spraw takiej natury.

Po dojściu w miejsce umówionej wcześniej schadzki, żołnierze zaczęli leniwie rozpalać ogień, a Gagi przyodział Samantę w swoją bluzę, zakładając kaptur na jej zdewastowaną głowę, po czym usadowił ją obok Maksa, tępo patrzącego w rozpalające się ognisko.

Rozdział 15

Nieco złąkniona i rozgniewana Pani, maszerowała prędko betonowym korytarzem, w towarzystwie asekurujących ją Mojomów.

- Co za zdzira... - syczała sama do siebie, nie mogąc pojąć butności i arogancji, swojej niedawnej podopiecznej.

Zbliżając się do stalowych drzwi, przy których stał siwy, przygarbiony staruszek, z rozczapierzoną czupryną i okrągłymi okularami na nosie, rozkazała Mojomom stanąć, po czym sama ruszyła w stronę uśmiechającego się złowrogo Tudosa.

- Witam o Pani... - rzekł nieco ironicznie, i z takim samym wydźwiękiem, uklonił się błazeńsko.

- Milcz paskudo i otwieraj. - odparła chłodno, nie spoglądając nawet na swojego rozmówcę.

Wchodząc do środka, ujrzała najzwyklejsze w świecie drewniane biurko oraz równie przeciętne krzesło, nad którymi widniała, zawieszona na kablu żarówka, oświetlająca niewielką część pomieszczenia, pozostawiając wokół tego skromnego umeblowania, sporo mroku.

Zasiadła na krześle roztropnie i z lekkim obrzydzeniem, a po tym, jak uporała się z jego niewygodną naturą, zarzuciła nogę na nogę, i kładąc łokcie na blacie, skierowała spojrzenie na czarną ścianę, naprzeciw niej, w oczekiwaniu na obraz, który miał się lada moment pojawić za sprawą rzutnika.

Ciche pyknięcie, poprzedziło zgaśnięcie żarówki, a po chwili przed oczyma Pani, pojawiła się niewyraźna, stara twarz mężczyzny, którego siwizna oraz militarne ubranie, dawały jasno do zrozumienia, iż jej rozmówca jest zaprawionym w boju mężczyzną.

- Dzień dobry słodziaku. - przywitał się jegomość z ironicznym uśmiechem.

- Cześć. - odparła Pani, najwyraźniej nie w humorze, gdyż nie pokusiła się nawet o wzgardliwy uśmiech.

- Oho... Czyżby ciężkie dni?

- Daj spokój. Czego chcesz.

- Czego chcę? - zapytał udając zdziwienie, po czym dodał.

- Wy tłumacz mi jak to się stało, że twoje pomioty przejęły w pierwszy dzień inwazji port, w którym miałem swoje składy broni, pomimo iż ustalaliśmy, że przez pierwszy dzień, będzie to teren nietykalny dla twoich.

- Co? - zapytała, nie do końca rozumiejąc pretensje starca.

- Nie denerwuj mnie kobieto. - ostrzegł surowym tonem.

- Posłuchaj gnijący impotencie. Nie mam pojęcia co chcesz mi wmówić, ale ja nie mam nic wspólnego z oflagowaniem portu, gdyż sama zaproponowałam ci układ, w którym to ty miałeś mieć dostęp do morza na początku rozgrywki.

- W takim razie wytłumacz mi to. - oświadczył aroganckim tonem, wyraźnie już rozdrażniony mężczyzna, ukazując Pani zdjęcie, przedstawiające pracowników portu, powbijanych na teleskopowe pale.

- Ale... - burknęła z niedowierzaniem, wpatrując się ze zgrozą w fotografię.

- Co ale! Co ale! Przestań w końcu grać! - krzyczał siwy rozmówca, ostatkami sił, powstrzymując się od uderzenia pięścią w stół, przy którym siedział.

- To twoja wina! - odrzekła pewnie Pani, po krótkim namyśle.

- Moja?! Jak moja?! Co ty wygadujesz?!

- Amadeusz zwariował, tyle ci powiem.

- Co?

- Tak! To! Wiedziałam, że jest za słaby i w końcu pięknie, ale ty się upierałeś przy swoim.

- Co ty wygadujesz... - wtrącił, już nie tak pewny swego jak wcześniej.

- Tak samo Jack i ta jego cała familia. Mówiłam ci żeby przekazać projekt komuś z południa, ale ty żeś się uparł jak ten stary kiep, którym w sumie jesteś, żeby podtrzymywać rodzinną tradycję!

- Chyba trochę cie ponosi koleżanko. - starał się strofować rozjuszoną kobietę, widocznie czującą swoje prowadzenie w owej dyspucie.

- Oj nie... Oj nie... Teraz całe te twoje urojone myślenie ukazuje swoje plony. W tych dwóch kwestiach spornych przymrużyłam oko, bo chciałam podnieść sobie poprzeczkę w tym sukcesie, który i tak z pewnością miałam osiągnąć, ale teraz, tępy chuju, jak zarzucasz mi łamanie zasad oraz oczerniasz mnie w oczach najwyższych, zgniotę cię łatwo i bez skrupułów, czerpiąc przy tym euforyczną przyjemność. Słyszysz?! - krzyknęła na końcu, wstając na równe nogi, i z gniewem patrząc się w obiektyw kamery, lewitującej tuż przed nią.

- Spokojnie kobieto, spokojnie. Nie wyciągajmy pochopnych wniosków, i nie podejmujmy pochopnych decyzji.

- Posłuchaj mnie uważnie i weź sobie do serca moje uwagi. Przez twoją nonszalancję, dufność oraz zamiłowanie do własnej osoby, jak i myśli się z niej wywodzących, nie dość, że zaprzepaściłeś szansę na zrealizowanie projektu, który wdrażaliśmy prawie dwieście lat, to na domiar złego, utrudniasz wdrażenie planu awaryjnego, dzięki któremu mieliśmy zebrać kolejne połączenie wiedzy, i wybudować fundamenty pod nowy system.

- Jaki ja?! Jaki ja?! To ja nie podpisałem traktatu? To ja kazałem Amadeuszowi działać na własną rękę?! - tłumaczył się rozżalony i niepewny o swój los, który w obecnej sytuacji, był wyłącznie w rękach jego przeciwniczki.

- To ty wybrałeś tych, którzy dali dupy, więc co za tym idzie, to ty dałeś dupy, a to ponoć ja jestem od tego! - krzyknęła, po czym odwróciła się, i zaczęła zmierzać ku wyjściu.

- I co zamierzasz? - zapytał niepewnie, po krótkiej ciszy.

- Rozpierdolę was. Rozpierdolę was wszystkich, a ciebie rozszarpię na kawałki marny robaku, dla którego jednostki, niebędące w stanie przyjąć ze zrozumieniem woli wyższego szczebla, czy z pękającą psychiką w decydujących momentach oraz działające impulsywnie w gniewie, uchodzą za wybitne. Zobacz jak mizerną istotą musisz być, skoro nie jesteś w stanie wyselekcjonować populacji na tyle dokładnie, aby wybrać spośród rzeszy ludzi, tych którzy potrafią zdziałać cuda. Pewnie sam nie podołałbyś powierzonym im zadaniom, dlatego nie byłeś w stanie dobrać odpowiedniego personelu.

- Podchodzisz do sprawy zbyt krytycznie. Weź pod wzgląd okoliczności...

- Jakie kurwa okoliczności?! Nic nie wykracza poza plany najwyższych, a my mieliśmy tylko działać wedle ich woli! Zgodnie z ideą... Ale ty musiałeś dorzucić swoje trzy grosze, dlatego teraz zginiesz, a ja już idę po ciebie.

- Czekaj... - zawahał się przez chwilę, po czym dodał.

- Teraz sama buntujesz się przeciw ich woli. - dodał, nie do końca pewny swojej zagrywki.

Pani przystanęła, a po chwili odwróciła się i odrzekła, chłodno patrząc z politowaniem.

- Chyba sam w to nie wierzysz... Rozpierdolę wszystko jak się patrzy, po czym najwyżsi stworzą nową rzeczywistość, a to czy będę w niej obowiązywać, nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia.

- Pocz... - starał się wtrącić coś jeszcze, zakłopotany starzec, lecz Pani rozkazała wyłączenie rzutnika i rozłączenie rozmowy.

Spocony mężczyzna, patrzył tępo w zaśniewany obraz, widniejący w monitorze jego komputera.

Potrząsnął energicznie kamizelkę, chcąc w ten sposób nieco ostudzić rozgrzane od emocji ciało, po czym wstał, i lekko chwiejnym krokiem, począł wychodzić z gabinetu.

Obmywając nad umywalką w łazience, zaczerwienioną twarz, usłyszał dobiegający zza drzwi męski głos.

- Za piętnaście minut zaczyna się spotkanie.

- Zaraz będę, możesz odejść. - odpowiedział strapiony, myśląc jednocześnie o rozwiązaniu obecnej sytuacji.

Nieznajoma wychodząc przez pordzewiały właz, znalazła się w dużej pustej hali, oświetlanej nielicznymi żarówkami, niedbale zamontowanymi na wystających z sufitu przewodach. Część z nich mrugała chaotycznie, a niektóre nie świeciły w ogóle, pozostawiając plamy cienia.

Zastanawiając się przez moment, nad przeznaczeniem tego pomieszczenia, zaczęła szukać wyjścia, które spostrzegła w postaci dużych wrót, umieszczonych na samym końcu.

Oddychając ciężko, i radując się w miarę rześkim powietrzem oraz temperaturą pokojową, kroczyła wolno w stronę przejścia, za którym spodziewała się znaleźć drogę, nakierowującą ją do wyjścia, z tego podziemnego labiryntu.

Zesztywniała lekko na dźwięk rozchylających się skrzydeł wrót, które swoim skrzeczeniem, przyprawiały ją o ciarki i ból zębów.

Zdenerwowana na kolejną kłodę, którą podrzucał jej pod nogi los, migiem skryła się w jednej z wielu plam cienia, które zdawały się doskonale kamuflować jej obecność.

Starając się opanować oddech, który począł wariować, na skutek gniewu i

rozżalenia, patrzyła jak Bayasze, popędzani przez Mojomów, pchali, umieszczone na okolonych wózkach, stalowe skrzynie z nieznaną zawartością. Układając je jedna na drugą, powoli zaczęli wypełniać początkowy sektor hali, zbliżając się jednocześnie do kucającej w cieniu Nieznajomej, która zaczęła szybko zastanawiać się nad rozwiązaniem sytuacji.

Zaobserwowała, iż przychylnym zrządzeniem losu, cień który dawał jej schronienie, występował w takich miejscach, iż była możliwość, poruszając się jedynie w nim, dostać się na koniec pomieszczenia, zyskując tym samym chwilę, na opracowanie planu działań.

Wiedząc, iż jej odzwierciedlenie w trójmiejskim Szakadzie, za pewno przypominało ją ubiorem oraz fizjognomią, gdyż tak nakazywały odgórne normy, oraz znając reakcję na osobę, którą mózg kojarzy z określonym miejscem, bądź funkcją, napotkaną w sytuacji i w miejscu, niepasującym do zakodowanych, pomiędzy bruzdami, schematów oraz skojarzeń, dość śmiało i pewnie, przemieszczała się w głąb hali.

Dotarłszy na sam koniec, i stojąc w ciemnym rogu, przyglądała się rozwojowi sytuacji z narastającym lękiem.

- Jeszcze dwieście tutaj, a resztę do G14. - rozporządził Tudos, który przyodziały w biały płaszcz, przeciągał się leniwie, patrząc z pogardą na Mojomów, którzy z takim samym nastawieniem, poganiali Bayaszy do szybszej pracy.

- Dlaczego nie umieścimy wszystkich skrzyń tutaj? - zapytał się tępo Mojom, obrywając w odpowiedzi paralizatorem, od widocznie rozgniewanego Tudos, który poczuł się urażony, podważaniem jego kompetencji.

W momencie, gdy nieco ponad trzy czwarte sali, zostało wypełnione tajemniczym ładunkiem, cała hałastr, poczęła prędko opuszczać halę, pozostawiając w niej jedynie nieprzytomnego Mojoma, którego dalszym losem, nikt się nie przejmował, oprócz Nieznajomej, nie do końca uradowanej z jego towarzystwa.

Wrota zamknęły się z hukiem, a dźwięk ryglowania, rozmył jej wszelkie nadzieje na opuszczenie tego miejsca, za ich sprawą.

Delikatna rozpacz, zaczęła ją ogarniać w momencie, gdy zorientowała się, iż właz który posłużył jej za wejście, zastał zastawiony ciężkimi skrzyniami, których za nic w świecie, nie była w stanie przesunąć, zważywszy na fakt, iż były one ciężkie i poustawiane jedna na drugiej, obok siebie, po obu stronach hali, pozostawiając jedynie korytarz na środku, w którym leżał nieprzytomny Mojom.

Wiedząc, iż nadejdzie chwila jego przebudzenia, i znając swoje możliwości walki wręcz, postanowiła wspiąć się na konstrukcję, stworzoną ze stalowych klocków, która pozostawiała odrobinę wolnego miejsca pomiędzy sufitem.

Elementem utrudniającym wspinaczkę było to, iż każda ze skrzyń, była identycznych rozmiarów o gołych ścianach, co uniemożliwiało chwycenie się czegokolwiek, bądź zawadzenia na czymś stopy.

Rozpaczliwie skacząc, poczuła jak łzy bezradności napęlniają jej oczy.

Bagatelizując fakt, iż przyśpieszy zapewne przebudzenie się nieprzytomnego osiłka, poczęła żarliwie płakać, zwijając się w kulkę, ukazując swoją postawą, szczytowy poziom rezygnacji.

- Nie! - krzyknęła w końcu, nie mogąc wytrzymać, kumulującej się w niej mieszanki negatywnych emocji.

Wstała w akcie bezmyślnej desperacji, która przeistoczyła się w szaleństwo, i poczęła kopać chrapiącego Mojoma w głowę, swoją drobną i delikatną nóżką.

Przebudzony mężczyzna, na początku błędził po otoczeniu mętym spojrzeniem, ale gdy ujrzał zgrabne nogi w rajstopach oraz koronkowe majtki, ożywił się momentalnie, i wstał na równe nogi.

Przyglądając się złowieszczo dla zmysłowego i skąpo odzianego ciała Nieznajomej, nie słyszał wykrzykiwanych przez nią słów.

- No dalej! Zrób to! Zabaw się ze mną! Chcę mieć już to za sobą! - krzyczała, zrzucając z twarzy czarną maskę, przyozdobioną czarnymi piórami, na podłogę, ukazując tym samym, swoje zaczerwienione od żalu i złości oblicze, które nie różniło

się zbyt barwą od oczu, roniących potoki słonych łez.

Nie zastanawiając się długo, potężnie zbudowany Mojom, uderzył drobną niewiastę zaciśniętą pięścią, dewastując tym samym jej słodką buźkę. Pochwycił ją za nogę, i unosząc do góry, zdarł z niej energicznie majtki, po czym mocnym uderzeniem, umiejscowił współprzysługą młodkę na betonowej podłodze.

Ledwo widząc na oczy i orientując się w sytuacji Nieznajoma, wyklinała siebie w myślach, czekając aż Mojom zaspokoi na niej swoje żądze, co będzie się równało z utratą jej czystości, gdyż do tej chwili, uczestniczyła jedynie w mamieniu i zwodzeniu samców, dla których nie miała się nigdy oddać.

Ból oraz obrzydzenie, nie tylko do dyszącego, cuchnącego i śliniącego się Mojoma, ale również do samej siebie, towarzyszyły jej w tych ostatnich chwilach życia, które żegnała histerycznym płaczem oraz krzykiem.

Cloe przebudziła się z bólem głowy, w ciemnym, klaustrofobicznym pomieszczeniu, w którym znajdowało się tylko łóżko oraz metalowa miska, o nieznanej zastosowaniu.

Niewyraźnie światło, wydobywające się z zabrudzonej, neonowej lampy o czerwonym kolorze, pozwalało jej dostrzec swoje otoczenie.

Kręcąc karkiem, usiadła na niewygodnym łożu, zastanawiając się, czy to co się dzieje, na pewno nie jest snem, gdyż niemożliwym, wydawała jej się taka zmiana sytuacji i jej położenia, w zaledwie kilka godzin, po zsumowaniu których, może nawet nie wyszłaby pełna doba.

Wyczuwszy podmuch chłodniejszego, świeższego powietrza, stanęła na palcach przy ścianie, zbliżając twarz do niewielkiej kratki, umieszczonej przy niskim suficie.

Delektując się miłym powiewem, starała się skoncentrować i poukładać w głowie rozkołatane myśli, plany i dociekania, które po mimo jej usilnych starań, nie chciały dać wytchnienia.

Z zamyślenia wytrącił ją przeraźliwy krzyk, dochodzący zza ściany, przerywany

uderzeniami, zadawanymi zapewne czymś na wzór bicia bądź paska.

- Nie! Błagam! Przestań! - krzyczała katowana dziewczyna, zalewając się łzami.

- Jesteś nikim! Wstawaj szmato! - ponaglał ją sadystyczny mężczyzna, nie szczędząc cielesnych reprimend.

Przerażona wizją, wykreowaną w jej głowie na skutek zasłyszenia owych dźwięków, położyła się na chłodnym materacu, i w płaczu, starała się nakierować umysł, na jakieś przyjemniejsze wyobrażenia.

Niestety, jej zdezelowany bólem, strachem i niepewnością mózg, zniewolił ją w taki sposób, iż miała do wyboru jedynie myśli dotyczące obecnej, tragicznej sytuacji, a wspomnienia ukazujące jej martwego TiBiTa, jak i wszystko, co się z tym wiązało, z wyszczególnieniem jedynie negatywów tej historii.

Cisza zapadająca w pokoju obok, w żadnym stopniu nie uspokoiła Cloe, która zaczynała wyczekiwać swojej kolei, w niepożądanym wizycie, niesympatycznego jegomościa.

Celność domysłów, nie przysłużyła się jej w poprawieniu samopoczucia, gdyż szczerze wolałaby w owej chwili przekonać się, iż była w błędzie.

Energicznie otwierające się drzwi, ukazały jej zapłakany oczom, wychudłego, lekko trzęsącego się staruszka, ubranego w biały płaszcz, i dzierżącego w dłoni skórzany pasek.

- A ty co smarkulo?! - krzyknął niskim tonem, który ni jak nie pasował do jego wyglądu.

- Ja... - szepnęła cicho, gdyż tylko na tyle było ją stać.

Po chwili poczuła na plecach uderzenie, które wygenerowało mocne szczypanie oraz falę gorąca, boleśnie rozchodzącą się po całym ciele.

- Wstawaj szmato! Jesteś nic nie warta! Ścierwo! Wstawaj i do roboty! - krzyczał

bez opamiętania Tudos, równie entuzjastycznie, bijąc skuloną w kłębek i szlochającą młódkę.

- Takaś butna! Takaś zarozumiała! Do roboty! - nie przestawał, czerpiąc najwyraźniej przyjemność z wypełniania swojego obowiązku.

Cloe ciągnięta za włosy, została wywleczona na korytarz, na którym znajdowała się grupka, podobnie jak ona, pobitych, zmizerowanych i roztrzęsionych dziewczyn.

Siedząc skuloną przy chłodnej ścianie, zerkła co jakiś czas na swoje towarzyszki, płaczące równie rzewnie jak ona.

W momencie, gdy Tudos wszedł do kolejnego pokoju, drzwi umiejscowione na końcu obskurnego i brudnego korytarza, otworzyły się, a w ich progu, ukazała się postać atrakcyjnej kobiety, odzianej w czerwoną, powabną suknię, która krocząc dumnie, hałasując jednocześnie obcasami swoich czerwonych butów, przyglądała się dziewczynkom, wskazując palcem niektóre z nich.

Wybranka tej chłodnej damy, zostawała zabierana przez Mojoma, poza granicę korytarza.

Drżąc ze strachu, Cloe zamknęła oczy, licząc iż może w jakiś magiczny sposób, za pomocą tego rozpaczliwego czynu, zniknie z widoku zbliżającej się kobiety, która przystanąwszy przy niej, nieco dłużej niż przy pozostałych, przyglądała się jej z zaciekawieniem.

- Spójrz na mnie zdziro. - syknęła z pogardą.

Cloe dalej wierząc w skuteczność czarów z dzieciństwa, nie odrzekła ani słowa, co rozjuszyło stojącą nad nią kobietę.

- Mówię do ciebie! - krzyknęła oburzona, łapiąc Cloe za włosy, i odchylając ją do tyłu, ukazując jednocześnie jej upodlone oblicze.

- Nie... - jęknęła przerażona Cloe, która po zetknięciu z oczyma o kolorze ciężkim do określenia, napęliła się w całości strachem i rozżaleniem.

- Zabrać ją! Natychmiast! - rozkazała, nieco zabłąkanemu Mojomowi, który bezapelacyjnie i równie bezpardonowo, wykonał owe polecenie, taszcząc po podłodze, wijącą się w krzykach Cloe.

Po chwilowej walce, wrzucił ją do salki, w której siedziało kilka dziewcząt, w ciszy malujących obrazy.

- Tam. - rozkazał oschle Tudos, wskazując Cloe ostatnie wolne miejsce, które znajdowało się w sali.

Cloe nie chcąc narażać się na kolejny gniew oraz dawkę bólu, pośpiesznie zasiadła za pulpitem, przy którym stał niewielki stolik z farbami i pędzlami.

- A teraz do roboty gówniary. - rozporządził Tudos, po czym zamknął drzwi.

Cloe starała się nawiązać kontakt wzrokowy, z którąś z towarzyszących jej dziewczyn, lecz żadna z nich, nie odwzajemniała się jej tym samym.

- Ej. - szepnęła najciszej jak tylko mogła, do siedzącej nieopodal młódki, zawzięcie malującej coś na płótnie i popłakującej z cicha.

- Żadnych rozmów! - odezwał się głośny głos, z umieszczonych w rogach sali głośników, z których po chwili, wydobyła się wiązka zdań.

- Jesteś nikim! Cholernym śmieciem! Całe cierpienie, które spłynęło na twoich bliskim to twoja wina! Twojej butności, arogancji i egoizmu, które napędzane ambicją, przysłoniły ci konsekwencje twoich poczynań! Jesteś zła, a jedynym sprawiedliwym odkupieniem, na które i tak nie zasługujesz, jest malowanie dla Pani obrazów! - powtarzał w kółko wzdorczy głos, w tle którego, cicho przygrywała depresyjna muzyka, połączona z dźwiękiem padającego deszczu.

Kurz unoszący się dookoła oraz znikoma ilość oświetlenia, w tym cuchnącym, obskurnym i dusznym miejscu, na początku przyprawiły Cloe o zawroty głowy, lecz gdy wsłuchiwała się w słowa, oraz połączyła je z sytuacjami, jakie miały miejsce w jej życiu, z żarliwym płaczem i nie lada histerią, poczęła malować to, co pierwsze

przyszło jej do głowy.

Po trudnym do sprecyzowania czasie, ocknęła się z nieprzyjemnego transu, a jej oczom, ukazała się butelka wypełniona mętną cieczą oraz niedopałek papierosa, swobodnie dryfujący na jej powierzchni, namalowane na poszarzałym płótnie.

Niezbyt zadowolona ze swojego dzieła, poczęła rozglądać się po innych dziewczynach i ich pracach.

Była tak roztrzęsiona i zdołowana, iż nie była w stanie rzeczowo ułożyć sobie w głowie żadnej konstruktywnej krytyki, a nawet powierzchownej opinii.

Dźwięki towarzyszące im przez cały ten czas, wydawały się jakby zanikać i wtapiać w otaczającą je ciszę, co sprawiło, iż dopiero po wytężeniu słuchu, można było zorientować się o ich istnieniu.

Dźwięk otwierających się, skrzeczących i metalowych drzwi, rozszedł się lekkim echem, wywołując na plecach Cloe, falę nieprzyjemnych ciarek oraz mimowolny napływ łez do oczu.

Wszystkie zgromadzone dziewczoje, skierowały przerażone spojrzenia w kierunku Tudosa, który flegmatycznie, wkraczał między je, i srogim spojrzeniem, lustrował ich malunki, nie zwracając w ogóle uwagi na nie, tylko co rusz uderzając jedną z nich wąską, metalową różgą w twarz, pozostawiając krwawiące rozcięcia, oraz szepcząc jakby do siebie.

- Możesz dać z siebie więcej.

Cloe opanowana przez drgawki, starała się ukryć drżące dłonie, spoglądając na najbliższej usadowioną niej dziewczynę, która płacząc, szeptała do siebie, bujając się rytmicznie na krześle.

- Spodoba mu się... Spodoba mu się.

Zmizerniała młódka, odwzajemniła spojrzenie opuchniętymi oczami, w których Cloe z początku zaobserwowała bijący żal, powoli przeistaczający się w srogą

nienawiść, niezrozumiale kierowaną w jej kierunku.

- Co się gapisz? - syknęła ze złością, strzelając ze źrenic szaleństwem, i jednocześnie roniąc niewielką ilość śliny spomiędzy ust, która wydawała się wydostawać mimowolnie.

Cloe nie odrzekłszy nic, spuściła wzrok, i drgając ze strachu, poczęła gnieść różek od kołnierza bluzki.

Tudos dotarł po chwili do jej niesympatycznej towarzyszki, i ujrzawszy namalowany przez nią czarny kwadrat, zaczął krzyczeć na całe gardło.

- Znowu to samo! Co to kurwa jest?! Ty tępą ściero! - wydzierał się jej prosto w twarz, która nawilżana łzami, starała się wygenerować uśmiech, który nijak nie przypominał naturalnie sympatycznego oblicza.

- Ja... - stęknęła cicho, po czym otrzymała siermiężny cios z otwartej dłoni, który umieścił ją na podłodze.

Cloe starała się wstawić za bitą dziewczyną, lecz paraliżujący ją strach, uniemożliwiał jej jakiegokolwiek czynne działanie, kumulując jednocześnie w jej głowę myśli, obarczające ją samą za bierność, wobec istoty, która potrzebowała wsparcia.

Druzgocząca jej umysł mieszanka odczuć, była ozdabiana widokiem katowanej już dziewczyny, która nieprzytomna, leżała na betonowej podłodze, kopana w głowę przez rozwścieczonego starca.

- Proszę... - szepnęła odruchowo, starając się przerwać bestialską i nie słuszną w jej osobistej opinii, reprimendę Tudosa, lecz to jedno słowo, na które zaledwie była w stanie się wzmóc, jeszcze bardziej zmotywowowało mężczyznę do swoich poczynań.

- Nie podoba ci się to smarkulo? - zapytał drwiąco, zaczynając skakać po głowie zdezelowanej niewiasty tak natarczywie, iż po chwili, jej drobna czaszka pękła w kilku miejscach, powodując wypłynięcie oczu oraz wydostanie się na zewnątrz szczątkowych kawałków mózgu, które wartko przedzierały się przez gęste, czarne włosy.

- Błagam! - krzyknęła, upadając na kolana i schylając głowę w dół, co uwolniło ją od niechcianego widoku, lecz po raz kolejny, nasunęło niechciane spostrzeżenie, iż mogła to zrobić wcześniej, przez co nie musiałyby się wtrącać tę sprawę, która być może, nie skończyłaby się śmiercią dziewczyny, a tylko jej okaleczeniem.

Słyszając zbliżające się kroki, wydające obślizgłe klapnięcia, nie bacząc na papkę, wydobywającą się z jej ust, którą ubrudziła swoje dłonie, poczęła wycierać nimi twarz z rzadkich smarków, które w towarzystwie łez, zalały jej niemal cała twarz.

Tudos chwycił ją energicznie za włosy, i unosząc do góry, krzyczał.

- Spójrz mi w oczy! Patrz!

Cloe ze strachu otworzyła przymknięte dotychczas powieki, i przerażona poczęła wpatrywać się, w poniszczoną licznymi bruzdami twarz.

Starzec szczerząc pożółkłe i krzywe zęby, wystające spomiędzy popękanych ust, dyszał śmierdzącym tytoniem oddechem, przyglądając się jej badawczo.

- Spójrz mi w oczy! - powtórzył żądanie, widząc iż młódka zażarcie unika kontaktu wzrokowego.

- Nie mogę... - stęknęła przez ból, rzeczywiście nie mogąc się przełamać, do spojrzenia w oczy Tudos, który chwyciwszy ją mocno za gardło, rozpoczął proces przyduszania.

- Wredna kurwo! Patrz! - krzyczał, molestując wybałuszone oczy Cloe, świdrującym spojrzeniem.

Resztami sił oraz woli utrzymała powieki w górze, i z bólem skierowała wzrok w kierunku mętnych źrenic, które swoją pustką, przerażały bardziej, niż całokształt je otaczający.

Tudos zebrał w ustach ślinę, pomieszaną z tytoniową mazią oraz resztkami wydzieliny z zatok, i ową mieszanką, plunął jej w twarz, po czym puścił, przyglądając

się z dumą, bezwładnie upadającej dziewczynie.

- No to zobaczmy coś ty nam tutaj namalowała. - rzekł, kopiąc jednocześnie Cloe w żebra, i radując swoje uszy dźwiękiem pękających kości.

Cloe powoli tracąc przytomność, spostrzegła kontem oka, jak zadziwiony Tudos, tkwi w zachwycie, obserwując jej malunek.

W momencie, jak jej się wydawało, gdy dopiero co uleciała w błogi, czarny i cichy sen, została obudzona przez zimną wodę, wylaną jej na głowę, z metalowego wiadra. Fala zimna nie była w stanie, swoim niemiłym odczuciem, przyćmić fizycznego bólu oraz umysłowego cierpienia, które od razu, po odzyskaniu świadomości, dały o sobie znać.

- Wstawaj śpiochu. - zagaił mniej niż wcześniej zdenerwowany Tudos, podnosząc niedelikatnie Cloe z podłogi.

Stojąc na chwiejnych nogach, zauważyła iż sala jest już pusta, a po martwej dziewczynie, pozostała jedynie, prawie sucha już plama krwi, pomieszana z maziami, o których pochodzeniu, Cloe wołała nie wiedzieć.

- Idź, idź. - szeptał starzec w miarę łagodnie, popychając Cloe ku wyjściu.

Zdezorientowana i wykończona Cloe, na domiar złego, poczęła odczuwać w ustach niesłychaną suchość, a żołądek, swoimi skurczami, powodował uporczywy ból.

Przechodząc pomiędzy stanowiskami, przy których siedziały jej towarzyszk, zerkając na namalowane przez nie obrazy, i zdumiona zauważyła, iż wszystkie one były wykonane czarną farbą, mimo iż miały do wyboru pełną paletę kolorów, a mało tego, jedynym na co były w stanie się pokusić te dziewczęta, były proste figury geometryczne.

- Widzisz ile my mamy z nimi problemów. - westchnął zmęczonym głosem Tudos, klepiąc Cloe w pośladek i dodając.

- No ale ty jesteś zuch dziewczuszka, więc teraz czeka cię nagroda.

Dreszcz obrzydzenia ogarnął wątłe ciało dziewczyny, która chciała zacząć płakać bez granic, lecz odwodniony organizm, pozwolił jedynie na wygenerowanie kilku kropel, które słabo nawilżyły jej przesuszone ślepia.

Wychodząc z salki na korytarz, oczy jej zostały naświetlone białym, mocnym światłem, które spowodowało chwilową utratę wizji, na wskutek pojawienia się czarnej plamy, wypełnionej różowo-niebieskimi obłokami.

Zmarznięta i mokra, człapała się wolno, popychana przez uradowanego Tudosa.

- Mam nadzieję słonko, że nie masz mi za złe, moich metod motywacyjnych, które jak widzimy, okazały się nad wyraz skuteczne. - zagadnął radośnie.

Cloe nie odpowiadając nic, nie mogła skupić się na niczym, oprócz ogarniającym ją zewsząd bólu, zarówno natury fizycznej, jaki i umysłowej.

Lekkie tchnienie ulgi, zawitało w niej, na widok korytarza, przyozdobionego stalowymi drzwiami, z których jedno z nich, miały się przed nią za moment otworzyć.

Dźwięk odpinanej kłódki i rozwijającego się łańcucha, w owej chwili, wydawały się dla niej niesłychanie relaksującą melodią, zwiastującą chwilę spokoju i ukojenia.

Nie zawiodła się co do swoich oczekiwań, gdyż Tudos, bezceremonialnie wepchnął ją do środka, a fakt, iż upadając na chłodną, betonową podłogę, obtarła sobie łokieć, nie był w stanie przyćmić uczucia ulgi, które bezgranicznie nią owładnęło.

Wgramoliła się niezdarnie na cuchnące łóżko, i zamykając oczy, delektowała się ciszą, spokojem i przyjemnym mrowieniem w nogach, które koło nieco, dalej silny ból.

Po chwili relaksu, poczuła skręcanie się jelit, któremu wtórowało ciche bulgotanie w brzuchu. Wzrastający ból, powoli odejmujący jej czucie w nogach, obwieszczał

rychle wydostanie się z jej wnętrza przetrawionego pokarmu.

Z drżącymi rękoma, przetarła zimn pot z czoła, i zastanawiając się nad wyjściem z tej niekomfortowej sytuacji, poczęła krzyczeć, uderzając drobną piąsteczką w grubą, metalową blachę.

- Otwórzcie! Otwórzcie! - krzyczała, ochrypłym głosem, nie zważając na ból gardła, który pojawił się jakiś czas temu.

- Czego chce? - odpowiedział przytępiały głos.

- Muszę do ubikacji... - szepnęła nieśmiało.

- Szczaj do misy!

- Ale ja muszę na te drugie. - odpowiedziała nieco śmielej, ale dalej zawstydzona.

- Sraj też do misy! - odpowiedział niemiły strażnik, który rechocząc pod nosem, począł oddalać się od jej drzwi.

- Otwórzcie! Otwórzcie! - nie przestawała manifestować swojego niezadowolenia, spoglądając z lękiem, co jakiś czas, na stojącą w rogu metalową miskę.

Zrezygnowana położyła się na łóżku, i patrząc w sufit, starała się przemóc narastający ból.

Po niespełna kilku minutach wyczerpującej walki, z pragnącym zaznać wolności stolcem, postanowiła zadziałać.

Szybko zdjęła skarpetki, spodnie oraz majtki, po czym przykucnąwszy nad obskurnym naczyniem, zwolniła zwieracze, opróżniając swój organizm z nadmiaru materii, doznając przy tym ekstazy.

Ulga i ulatniający się z każdą sekundą ból, zastępowany lekkością oraz euforią, przyćmiły na chwilę fakt, iż drobinki rzadkiego kału, z głośnym dudnieniem, rozbryzgiwały się na cztery strony świata, lądując na łydkach, stopach i leżących

obok ubraniach Cloe.

Gdy radosny uśmiech, zaczął znikać z jej umęczonej twarzy, do nozdrzy doszedł kwaśno-gorzki smród, od którego zakręciło jej się w głowie.

Tracąc równowagę, przechyliła się do tyłu, a chcąc instynktownie uchronić się od bolesnego upadku, wyciągnęła za siebie rękę, lądującą w misce, która nie była w stanie pomieścić w swoich granicach zawartości, dostarczonej jej przez lecącą na nią, do połowy rozebraną niewiastę. Dłoń lądująca na krawędzi naczynia, spowodowała jego przewrócenie się, i wylanie niemal całego swojego bogatego wnętrza, na ramię Cloe, która po zorientowaniu się, na czym świat stoi, zwymiotowała, starając się zatamować błyskawicznego hafta wolną ręką, co jednak skończyło się rozbiciem fali wymiocin, na kilka drobniejszych strumyków, które ze świstem, wylądowały na cuchnącej zgnilizną pryczy.

Drgając z obrzydzenia, usiadła na ziemi, opierając się plecami o ścianę, i płacząc, spoglądała z niedowierzaniem na swój przytulny, zaciszny kącik, w którym miała zapewne spędzić jeszcze trochę czasu.

Ta przytłaczająca ją rzeczywistość, odebrała jej resztki sił, więc przykrywając się częściowo osranymi spodniami, zamknęła oczy, marząc o jak najszybszym zaśnięciu.

Sen, który zmógł ją zaskakująco szybko, zakończył się równie rychło.

Tak się jej przynajmniej wydawało, gdyż w ciągle ciemnym pomieszczeniu, bez zegarka, ciężko było jej odmierzać skutecznie mijający czas.

Skrecający głód, wytrącił ją z czarnego snu, więc poczęła trzeć piekące od dusznego oraz cuchnącego powietrza oczy.

Obolała, bezsilna, zdesperowana i zmarznięta, wstała na chwiejne nogi, i z niebagatelną pustką, patrzyła się w stronę drzwi, zastanawiając się na pozyskaniem pożywienia. Przewidując najgorsze, oraz mając na uwadze dotychczasowe doświadczenia w owym miejscu, zerknęła z pogardą na wpół pustą miszkę, wypełnioną rzadką, mętną substancją.

Nie mogąc znieść upodlenia, jakiego ofiarą została, chwyciła swoje buty, i wyciągając z nich sznurówki, cieszyła się w duchu na myśl, o nadchodzącym permanentnym ukojeniu, do którego osiągnięcia, właśnie ułożyła sobie plan.

Tworząc ze skórzanych, wytrzymałych i cienkich linek, prowizoryczną szubienicę, przywiązała jeden z jej końców do kratki, znajdującej się pod sufitem, przekładając sobie pętlę przez głowę.

Czując palący sznurek na szyi, przysłuchiwała się skrzeczącemu ptakowi, latającemu po celi, kotu który grzebał beztrosko w kuwecie, oraz biegającej po podłodze i piszczącej myszy, która jak wszystko inne, była tylko wytworem jej upośledzonej wyobraźni.

Puściła się dynamicznie z nóg, wyciągając je w powietrzu przed siebie, i czując miażdżącą się, pod ciężarem jej ciała krtań, spojrzała radośnie na olbrzymiego jaskrawoseledynowego pajaka, wychodzącego powoli z miski pełnej gówna.

Rozdział 16

Beniamin patrzył się ze wzgardą, na uradowanego ze swojego żarciku Jana, i po kilku głębszych wdechach, wycodził kilka słów, jakby od niechcenia.

- Oni mają wobec opornych swoje dalekosiężne plany.

- Jakie plany? O czym ty gadasz? - zapytał z niedowierzaniem, a w chwili, gdy przypomniał sobie wydarzenia z Sofy, zamarł ze strachu, i z ciarkami na karku, spuścił wzrok, czerwieniąc się ze wstydu.

- Co jest? - zapytał Beniamin z lekką nutą triumfu w głosie, spostrzegłszy, iż jego rozmówca, najwyraźniej doznał zadry w ich werbalnym pojedynku.

- Nie nic... - burką posepnie, rychło wstając z betonowego murku.

- Nie chciałem ci sprawić przykrości. - zaczął tłumaczyć się skonsternowany Beniamin, przysłuchując się dźwiękom, generowanym przez znajdującą się w pobliżu fontannę, oraz przyglądając się odchodzącemu w przygnębiającej zadumie Janowi.

- No cóż... - szepnął pod nosem do siebie, po czym włożył sobie wykałaczkę w usta, i przygryzając ją, spoglądał z ulgą w gwiazdy, ciesząc się, że nie musi tłumaczyć czegoś, co wydawało mu się tak oczywiste, iż jemu, jako prostemu żołdakowi, ciężko byłoby przekazać swoją wiedzę na ten temat celnie i zrozumiale.

Jan krocząc posepnie w kierunku tańczącego i śpiewającego zgromadzenia, został zaczepiony przez starszą panią, która szarpiąc niezgrabnie za jego rękaw, wytrąciła go z niemiłych rozmyślań.

- Jestem Maria. - rzekła, skrzeczącym głosem.

- Dobry wieczór. - odparł posepnie.

- Ty jesteś Jan tak? Ten nowy? - pytała, przyglądając mu się badawczo, swymi szarymi oczyma, chytrze chowającymi się za siwiejącą grzywką, utworzoną z lekko

zakręconych, gęstych włosów.

- Tak, tak. Przepraszam. Miło mi panią poznać. - niemal burknął, zmuszając się do uśmiechu i uprzejmego tonu.

- Chodź chłopczyku, chodź coś ci opowiem. - rozporządziła Maria, prowadząc Jana na drewnianą ławkę, stojącą na trawniku pod dużą, wystrzyżoną lipą.

Nieco rozgniewany, zastanawiał się nad wytłumaczeniem tej starszej pani, iż nie jest na ten moment w humorze, aby wysłuchiwać jej wspominek, bo cóż innego mogłaby mu powiedzieć, ta leciwa kobieta.

Zasiadając na ławce, starał się delikatnie uwolnić od przyjacielskiego uchwytu Marii, który zdawał mu się nachalny i molestujący zarazem.

- Jak ci się tutaj podoba? - zapytała, uśmiechając się jakby na siłę, zwartymi wargami.

- Bardzo tu ładnie i cicho. - przyznał szczerze, rozglądając się wokół, i podziwiając trawniki, zwirowe ścieżki, fontanny oraz sznury latarni, które swoim delikatnie przyćmionym, pomarańczowo-żółtym światłem, oświetlały otoczenie.

Zatrzymując wzrok na jednej z nich, jakby natchniony nagłą myślą, zapytał Marii z entuzjazmem.

- Skąd macie prąd?

- Prąd? - zapytała zdumiona i wytrącona z rytmu.

- No tak, przecież całe miasto jest odcięte od elektryczności, a tutaj latarnie się palą.

- Aaa! - krzyknęła, zanosząc się wartkim śmiechem, i ukazując Janowi szparę między zębami w górnym rzędzie, w której zapewne jakiś czas temu, usadowiony był ząb, oznaczony przez stomatologów numerem drugim.

- Solary mój drogi, solary... - odparła po chwili, lekceważąco machając pomarszczoną ręką.

- Jakie solary? - dociekał, nie do końca rozumiejąc.

- No te takie co ściągają promienie słoneczne i robią z nich prąd. Ja tam się na tym nie znam, i nie o tym chciałam ci powiedzieć młodzieńcze. - dodała z uprzejmym uśmiechem.

- A o czym? - dociekł trochę niechętnie i na siłę.

- Widzisz mój drogi... Ten park zrobiliśmy własnymi rękami. - rzekła z przejęciem, demonstrując swoje stare, spracowane dłonie.

- Jak to?

- A tak to, tak to. Jak nasza dzielnica zaczęła się organizować, za sprawą młodziutkiego wtedy jeszcze Stacha. Wpadł on na pomysł budowy parku, przez znajdującą się tutaj społeczność. Na początku część z nas, zapatrywała się sceptycznie co do jego pomysłu, ale jakoś tak z wolna, jeden po drugim, dawaliśmy się mu namówić. Sama pamiętam, jak patrzyłam na tych dziwaków, trudzących się w kurzu i brudzie, dla jakiejś patetycznej i przereklamowanej idei, czynnej integracji, mającej dać swoim jestestwem obiekt przydatny nam wszystkim. Po kilku tygodniach, już lekko zawstydzona, widząc jak park zaczyna przybierać jako takich kształtów, dając przy tym radość tworzącym go, i rzeczywiście poprawiając relacje między nimi, zagadnęłam do Stacha o jakieś zajęcie. Do dziś jestem mu wdzięczna za to, że jako taką siłą, przekonał mnie do wspólnej pracy. - opowiadała, po czym zamilkła, by dać unieść się miłemu zamyśleniu, tworzącemu lekki uśmiech na jej twarzy.

- Ale... - starał się zapytać nieśmiało, lecz starsza pani nie dała mu dokończyć, kontynuując swoją opowieść.

- Ach... Musiałam pleć chwasty na tamtym trawniku. - westchnęła, wskazując palcem spory kawałek zielonej, gęstej murawy.

- Były wakacje, ale nikt z gotowych do pracy, nie chciał siedzieć w domu albo nad morzem, tylko ochoczo, z samego rana, wychodził na pustą polanę, i słuchał rozporządzeń Stacha, który jako pierwszy pojawiał się na placu budowy, i pomimo iż pracował równie ciężko jak każdy, to schodził z niego jako ostatni. A po pracy... - szepnęła, znowu lądując we wspomnieniach.

- Grill, ognisko, tańce, muzyka, żarty, flirty, rozmowy i wspominki najśmieszniejszych gaf i wpadek, o które nie było trudno, zważywszy na to, że większość z nas nie miała zielonego pojęcia o budowlance, a wszystko to w gorące noce pod gwiaździstym niebem.

- A co na to urząd miasta? - wtrącił, nagle olśniony nieprawidłowościami administracyjnymi, jakie raptem nasunęły mu się na myśl.

- Hehe... Zabawna historia. Na początku nikt z nas o tym nie pomyślał. Taką siłę sugestii miał nasz Stach... I dalej ją ma! - krzyknęła za śmiechem, dodając po chwili.

- Ale pewnej nocy, również młody wtedy Franciszek, zapytał się go o to samo, uświadamiając wszystkich w jakiej żyli niewiedzy. Gdybyś go wtedy widział. Spuścił wzrok, czerwoniutki nie tylko od ognia, i mieląc bezradnie stopami w piachu, wytłumaczył nam tajemnicę tego pozwolenia. Och ile się musiał biedny nachodzić... Wyobraź sobie, iż po tym, jak nieudolnie starał się uprosić urzędnika o pozwolenie na budowę bez profesjonalnego projektu, budżetu i firmy budowlanej, ten mały urwis postanowił go nastraszyć.

- Nastraszyć? - wtrącił Jan z niedowierzaniem.

- Ale jak! - krzyknęła po raz kolejny, zanosząc się śmiechem.

- Ten matolek przebierał się na czarno, i gdy tylko urzędnik wychodził z pracy, podążał za nim aż do jego domu. Gdy ten jechał do sklepu, kina czy wychodził na spacer z rodziną, Stach cały czas był przy nim, w takiej odległości, iż dało się go zauważyć, ale nie zidentyfikować. Codziennie przychodził do niego promiennie uradowany, i kładł na blat stworzone przez siebie dokumenty. Plan: Budzowa parku. Budżet: Pieniądze. Firma odpowiedzialna za wykonanie projektu: Ludzie. Przyznał nam się, iż dwa miesiące, dzień w dzień, nie dawał mu spokoju. Gdyby nie nakaz

prawny, na przyjmowanie wizytatorów przez urzędnika, skończyłoby się to pewnie inaczej, ale gość najwyraźniej miał już tego dość, i pewnego dnia podpisał dokument, stawiając na nim pieczętę. Mimo, iż w tamtych czasach wszyscy bardzo szanowali prawo oraz urzędy, to nie mogliśmy powstrzymać się od śmiechu, i wybaczyliśmy mu ten drobny występki w imię wyższego dobra, które na własne oczy widzieliśmy i czuliśmy.

- Nieprawdopodobna historia. - przyznał zdumiony Jan, doszukując się w słowach kobiety oszustwa.

- To były piękne czasy, po których nastały jeszcze piękniejsze i jeszcze... Aż do dziś, gdy przepowiednia Franciszka się spełniła, a my stoimy na skraju zagłady, niepewni o jutro.

- Jak to? - zapytał złęknioty Jan, zorientowawszy się, iż przez pewien czas, pochłonięty mocą tego miejsca i tych ludzi, zapomniał w ogóle o ostatnich wydarzeniach.

- Co ja ci będę mówić... - syknęła z bólem, tamując nacierające łzy.

- Zaraz ta weselna uczta się zakończy, a wtedy mężowie zasiądą i będą debatować w trwodze i zadumie, nad rozwiązaniem obecnego kryzysu... Ale co mi kobiecie do takich spraw. - dodała, uśmiechając się lekko i nieszczerze, po czym wstała i ruszyła w stronę bawiących się ludzi.

- Chodź. Pobaw się jeszcze trochę przed jutrzejszym dniem. - zaproponowała, odwracając się do osłupiałego Jana, starającego się przyswoić ogrom nieczytelnych dla niego informacji.

Jan, idąc śladem zdumiewającej starszej pani, usłyszał w pobliżu szeptań, niewyraźną rozmowę.

Błyskawicznie poczał przyglądać się otaczającemu go mrokowi, i w miejscu gdzie znajdowała się niedziałająca latarnia, która jakby absurdalnie nie rzucała się na pierwszy rzut oka, spostrzegł mężczyznę mówiącego do samego siebie.

Zaciekawiony, zaczął zmierzać ku tajemniczemu osobnikowi, ukrywającemu się w mroku, gdy po chwili, poczuł na swoim ramieniu silny chwyt.

- Widzę, że nie tylko słuch masz bystry. - szepnął z udawaną wrogością Beniamin, który wyrósł jak spod ziemi.

- Ależ żeś mnie wystraszył. - westchnął z ulgą Jan, po tym jak drgnął ze strachu.

- Co mu jest? - zapytał po chwili, zmartwiony i zaciekawiony stanem umysłu rozmawiającego z samym sobą mężczyzny.

- Chodź, zostaw go. - burknął niechętnie Beniamin, lekko ciągnąc Jana w kierunku ogniska, który butnie odwracając się za siebie, spostrzegł jak z cienia, wyłania się jasna koperta, lądująca po chwili w rękach obłąkanego, jego zdaniem, jegomościa.

- Ktoś tam jest! - krzyknął podekscytowany Jan, i wrywając się z ręki Beniamina, począł dostrzegać niemal idealnie zakamuflowane, dwie postacie, stojące pod zgaszoną latarnią.

- No wiem, no wiem... Daj im spokój. - stękał Beniamin z lekkim zdumieniem, uniemożliwiając Janowi podążenie w zamierzonym kierunku.

- Jak to? Kto to? - dociekał Jan, wpatrując się w surową twarz Beniamina, błyszczącymi oczyma ciekawości.

Beniamin rozejrzał się leniwie na boki z wymuszonym uśmiechem, mającym na celu, ukazanie niezadowolenia, wynikającego z bezradności, względem niezbyt hojnego, w podsyłanie różnorakich rozwiązań, losu.

- To Cienie. - burknął w końcu, przymuszony niesforą ciszą.

- Jakie Cienie?

- Dlaczego ty musisz mieć tak obszerną niewiedzę? - westchnął, tym pytaniem, skierowanym do własnej osoby Beniamin, i zatapiając wzrok w rozgwieżdżonym

niebie, chyba starał się wśród nich, znaleźć odpowiedź, na nurtującą go wewnętrzne rozterkę.

- Jestem tu nowy. - odrzekł nieco zmieszany Jan, którego owe, niezbyt pochlebne stwierdzenie, jeszcze bardziej nakłoniło do dopytywania, a nie zniechęciło, jak miał w nadziei Beniamin.

- Więc kim oni są? - zapytał, po kolejnej chwili milczenia.

- Nie wytrzymam z tobą! - krzyknął żartobliwie Beniamin, i śmiejąc się, zaczął trząść Janem jak niesforną kobietą, która pomimo swojej nienagannej figury, zrządzi zmęczonemu całodzienną pracą człowiekowi, o tym jaka to jest gruba.

- Chodź! Flaszka nam wietrzeje. - rozporządził Beniamin, i obejmując Jana po przyjacielsku, zaczął go prowadzić w stronę śpiewających i tańczących biesiadników.

- No idą w końcu! - krzyknął grubawy pan, odziany w jeansowe ogrodniczki, i dzierżący w dłoni dwuzębny widelec, z kawałkiem świeżo usmażonej, ociekającej tłuszczem oraz lekko krwistej, karkówki.

- Siadaj tutaj, siadaj. - zapraszała Jana, rychło poruszająca się, drobna niewiasta, bystro lustrująca swoimi spojrzeniem, nieco chaotyczne otoczenie.

Jan, gdy tylko zasiadł, dostał w swoje dłonie tekturowy talerzyk, na którym znajdował się widelec, dwie kromki chleba, kawałek mięsa oraz porcja startego chrzanu.

Po chwili, kolejny przyjaźnie nastawiony, wesoły i podpity jegomość, wręczył mu spory kieliszek, nie do końca wypełniony przezroczystą, gęstą oraz lodowato zimną cieczą.

- Na zdrowie! - krzyknął wcięty grajek, który już ledwo co trafiał palcami w struny, lecz jego niezbyt dokładna gra, nie przeszkadzała nikomu w tańcach, które odbywały się tuż obok.

- A gdzie...? - zapytał Jan, spoglądając na miejsce, w którym siedziała para

wzbudzająca w nim ciekawość.

Nastała chwilowa konsternacja wśród jedzących i popijających, przecinana zmieszanymi spojrzeniami, które zdawały się przekazywać jakąś, nieznaną dla Jana treść.

- Poszli spać. - wycedził przez zaciśnięte zęby, otyły mężczyzna z wykrzywioną twarzą, który przed chwilą, przechylił kieliszek.

- Tak tak, byli zmęczeni... - starała się niepotrzebnie kontynuować temat, żwawa niewiasta.

- Czym? - wtrącił Jan nie dlatego, że czyjekolwiek zmęczenie w tę noc, wydawało mu się dziwne, lecz dlatego, iż wyczuwał skrywaną przed nim tajemnicę.

- Oni też są z nami od dziś. - wtrącił się do dysputy poważny Beniamin, który przygryzając wykałaczkę, spoglądał w tańczący ogień.

- Może byś się napił z nami co? - zagadnął do Beniamina kucharz.

- Wiesz, że on nie pije mocnych alkoholi. - wtrąciła się drwiąco damulka, która w tej chwili, trzymając ręce na biodrach, gibała się lekko na boki, skacząc z nogi na nogę, z udawanie dumną miną.

- Oj dajcie mu spokój. - wtrącił Franciszek, który nagle pojawił się w towarzystwie, kładąc jednocześnie rękę, na ramieniu strapionego i lekko zawstydzonego Beniamina, do którego takie zachowanie nie pasowało w opinii Jana, który przyglądając mu się, zapytał.

- Dlaczego nie pijesz wódki?

Beniamin spojrzał na niego za złością, a w jego oczach Jan wyczytał następujący przekaz.

- Znowu się o coś pytasz!

- Beniamin chce zostać Cieniem. - odpowiedział za niego Franciszek, z dumą spoglądając na swojego przyjaciela, który z rezygnacją przewrócił oczami, i pochwyciwszy kawałek mięsa oraz kromkę razowego chleba, oddalił się obrażony, w stronę fontanny.

- Co mu jest? - zapytał Franciszek, drwiąco spoglądając na oddalającego się Beniamina.

- Chyba przytłoczyła go ilość pytań, które mu zadawałem. - odparł z uśmiechem Jan, patrząc na swojego rozmówcę z nadzieją.

- On nie jest zbyt gadatliwy. W zasadzie w ogóle nie lubi rozmawiać, i jakby mógł, to robiłby to tylko w sytuacjach tego wymagających, ale nie przejmuj się. Większość naszej społeczności, z chęcią udzieli ci odpowiedzi na wszystkie nurtujące cię pytania.

- Co to za miejsce? - zapytał w końcu Jan, po krótkim namyśle.

- Chodzi ci o Mene? - odpytał Franciszek, upewniając się czy dobrze zinterpretował te niedokładne pytanie.

- Tak.

- Hehe... - westchnął, uśmiechając się lekko i drapiąc po potylicy, z niewyraźną miną.

- Już wiem czemu Beniamin się zdenerwował. - dopowiedział po chwili, przyglądając się poirytowanemu Janowi, który widząc frasunek swojego rozmówcy, zaczął przypuszczać, iż nie otrzyma odpowiedzi na swoje pytanie.

- Problem w tym... - kontynuował Franciszek.

- Że zadajesz strasznie banalne pytania, na które ciężko udzielić krótkiej odpowiedzi, gdyż do zrozumienia pojęć cię interesujących, musiałbyś posiadać spory zasób wiedzy, aby celnie zinterpretować zwięzłą odpowiedź.

- Może mi się uda. - zaproponował Jan, nie do końca wierząc we własne słowa.

- Ziemia Święta. - odparł uradowany starzec.

- Święta ziemia... Rozumiem! - wykrzyknął po chwili dumnie, spoglądając na towarzyszy.

- Nie rozumiesz. - wtrącił ucieszony kucharz, przerzucając boczek na drugą stronę.

- Rozumiem! Ziemia święta jest czymś na wzór enklawy. Tak? - zapytał dociekliwe Franciszka.

- No coś w tym stylu. Po prostu kiedyś, w czasach gdy Projekt Orion dopiero się rozwijał, a społeczeństwo było nękanie przestępstwami, nieprawością, zdradą i całym tym chorym bestialstwem, które tłamsiło naszą cywilizację, w każdym miejscu na Ziemi, byli ludzie, którzy dostrzegali nieprawidłowość logiczną, w tego typu zachowaniach. W tamtych czasach, żyli oni pośród chorych tłumów, komunikując się między sobą ustalonymi znakami, symbolami, gestami i szyframi. Później, jak Projekt Orion zaczął rosnać w siłę, zachowania tych zakonspirowywanych grup, okazały się bezcelowe, i tylko utrudniały między tymi ludźmi komunikację, co momentami skutkowało nieskutecznym wyławianiem młodych ludzi.

- Wyławianiem? - zapytał Jan, gubiąc się w rozmowie.

- Ech... Jakby to ci powiedzieć.

- Normalnie.

- Kiedyś była walka dobra ze złem, a Gdy Projekt Orion zlikwidował z ludzkiego buty możliwość wyboru, zło powoli przestawało istnieć, a dobro mogło wyjść z ukrycia.

- To dlaczego dobro odłączyło się od Projektu Orion? Bo to dlatego stworzyliście Mene.

- Projekt Orion zniewalał ludzi, zarówno złych, jak i tych podatnych na zło, a ta druga grupa, w starym czasie, miałaby szanse na odnalezienie dobrej drogi, i w połączeniu wiary oraz swojej wiedzy, czerpanej ze złych doświadczeń, żyć dobrze z wolnym umysłem.

- Nie do końca rozumiem.

- Projekt Orion odcina człowieka od jego ciemnej strony życia, która gdy przejmie władzę nad osobą, powoduje, iż staje się ona zła. Nie chodzi mi tylko o zło względem innych ludzi czy istot żywych, ale również o zło względem samego siebie.

- Samego siebie?

- Stwórca stworzył nas tak, abyśmy byli szczęśliwi, radośni, uśmiechnięci, pełni sił, aktywni, pomocni... Po prostu żywi, a niezachowanie proporcji, w posiadaniu jasnej i ciemnej energii życia, może spowodować zachwianie wcześniej wymienionych cech.

- Nie rozumiem.

- Ludzie owładnięci mrokiem są zamknięci w sobie, nieszczęśliwi i złękni, przez co boją się żyć w zgodzie z samym sobą. Ze strachu nie przyjmują do siebie innych punktów widzenia, wstydzą się swoich wad, które tylko z ich punktu widzenia nimi są, starając się je zakamuflować, przeróżnymi sposobami. Boją się samotności i odrzucenia. Nie są w stanie cieszyć się z drobnostek, czy własnego położenia, tylko cały czas są niezadowoleni z otaczającej ich rzeczywistości. Nie ufają własnym przeczuciom, nie mają wiary w siebie i swoje możliwości. Obce jest im pojęcie wewnętrznego spokoju czy nadziei. Ogólnie dużo by wymieniać. Tacy ludzie, w momencie gdy odnajdują swoją życiową drogę, myślą iż to jest jej meta, przez co zamiast nią podążać, stają w miejscu i w taki oto sposób, początek staje się końcem. Najczęściej udają, że żadna z tych rzeczy nie ma miejsca, przez co starają się ukazać światu, że wszystko jest w porządku, ale to się widzi. Oni myślą o sobie, żyjąc pod innych, zamiast myśleć o innych, a żyć według siebie.

- Chyba rozumiem. - zadumał się Jan.

- Jasny gwint! Rzeczywiście ciężko to wyjaśnić, dla takiego żółtodzioba jak ty. Jest to treść niemożliwa do wytłumaczenia prostymi słowami. Trzeba to po prostu wiedzieć, a wtedy różne różności będą cię tylko w tym utwierdzały. - skwitował Franciszek.

- Ale skąd? - dociekał sfrustrowany Jan.

- Z czasem to zrozumiesz, ale najzabawniejsze w tym wszystkim jest to, że tego czasu nie mamy za wiele, więc nie jest pewny, czy nie dowiesz się tego po śmierci.

- Jak to po śmierci?

- Nie no ja mam dość! - krzyknął Franciszek z uśmiechem, i wstając z drewnianej ławy, chwycił w dłoń kieliszek z wódką.

- Na zdrowie! - krzyknął kucharz, a po chwili wszyscy zgromadzeni przed ogniskiem, wypili zawartość szklanych, niewielkich naczyń.

- To może powiesz mi chociaż kim są Cienie? - spróbował jeszcze raz Jan.

- Cienie... - stęknął przeciągle Franciszek, zwracając się po chwili do skrzywionego kucharza.

- Weź mu wytłumacz, a ja idę po resztę. - rzekł, oddalając się w kierunku tańczących.

Chwilowa cisza, okraszana dźwiękami trzaskającego ognia, skwierczącej pieczeni oraz muzyki, śpiewów, śmiechów i tańców, wydała się dla Jana tak błogą, iż starając się przyswoić sobie nowe informacje, zorientował się, że najprawdopodobniej, jego córka jest w niebezpieczeństwie, które lada chwila, może ją tutaj zastać. Wytracony tą niemłą i zawstydzającą myślą, niemal krzyknął w kierunku mocno już wciętego, szczupłego mężczyzny, siedzącego obok niego.

- Co się tutaj dzieje?!

- Co? Co? - pytał błędząc mętным wzrokiem, a po chwili przymrużając oczy

rzekł.

- O nowy! Hehe! Daj no pyska.

- A weź pan... - syknął żartobliwie Jan, odpychając lekko od siebie, nachalnego miłośnika życzliwych całusów.

- Patrzcie wy go jaki niedostępny. He... - burknął niewyraźnie, i zatoczył się do tyłu, upadając z ławeczki na miękką trawę.

- Przekręć go na bok. - poprosił kucharz, zbliżając się do Jana, i wręczając mu kolejny kawałem mięsa oraz niemal pełny, kieliszek wódki.

- Nie mam pojęcia co się tu wyrabia. - stwierdził Jan, po czym łyknął rozgrzewającego trunku.

Chciał wstać i jak najszybciej, oddalić się od ognia, lecz gdy tylko postawił pierwsze kroki, zorientował się, iż jest mocniej pijany, niż przypuszczał.

Ruchliwa niewiasta, migiem znalazła się u jego boku, i chwytając go pod ramię, pomagała mu złapać równowagę.

- No to żeś się nam ubzdryngolił. - powiedziała radośnie.

- Daria... - mamrotał pod nosem, zupełnie tracący kontakt z rzeczywistością Jan.

- Chodź, chodź, zaprowadzę cię do łóżka.

- Daria...

- Twoja córka już tam śpi. Będzie w pokoju obok.

- Daria...

Kobieta spojrzała z politowaniem na kucharza, który z uśmiechem rozłożył ręce, i kiwał ze zdumieniem głową.

- To nie moja wina. Nie patrz tak na mnie.

- Nikt mu nie powiedział, że z tobą się nie pije. - skwitowała z troską, prowadząc w półprzytomnego mężczyznę w kierunku bloku, w którym znajdowało się jej mieszkanie.

Amadeusz idąc beztrosko ulicami pustego i cichego miasta, uśmiechał się radośnie do słońca i nielicznych chmur, widniejących na błękitnym niebie.

- Piękną mamy dziś pogodę, piękną. - mówił do siebie, po czym z większą zawziętością, począł prowadzić monolog.

- Pierdolone zjeby! Spaczone świry! Ogarnięci szaleństwem ignoranci! Myślą, że są kimś lepszym, kimś większym, ważniejszym, kimś kto ma prawo grać ludźmi jak pionkami na szachownicy, ale żaden z tych nadętych i egocentrycznych bufonów, nawet przez sekundę nie pomyślał o tym, iż bez mojej pracy, całe ich wielkie przedstawienie, ległoby w gruzach, nim na dobre by się rozpoczęło. Stać ich tylko na pogardliwe, względem mnie spojrzenie, gest mający zaspokoić moją rzekomą potrzebę docenienia, przez któregoś ze swoich panów, którzy nieświadomi mojej roli, lekceważą mnie, dając tym samym sposobność, do skrytego działania. Dwubiegunowe partactwo, wylewające się z ich martwych oczu, dobijało mnie zbyt długo! Zbyt długo! - krzyczał na całe gardło, wsłuchując się po chwili w odbijające się od bloków echo.

- Sara... - westchnął cicho.

- Gdybym mógł cię odzyskać. Gdybym mógł cię obudzić. Coś ty zrobił głupcze! - krzyknął, padając na kolana, i skutecznie wyrывая sobie włosy z głowy.

Łzy ściekały mu po policzkach, gdy tarzając się na ziemi i zdzierając naskórek, za sprawą jego kontaktu z asfaltem, szeptał jak obłąkany.

- Dlaczego to zrobiłeś! Dlaczego jej to powiedziałeś! - nie przestawał rozpaczać, a po chwili zatonął w głębokim śnie.

Wydawało mu się, że niespełna kilka sekund po tym, jak zamknął oczy, otworzył je ponownie, lecz otaczający go wieczór i niebieskawy, pojawiający się księżyc, przyglądający się jego półnagiej, odrapanej i mizernej postaci, leżącej na środku skrzyżowania, uświadomiły go o drzemce, jaką sobie uciął.

Wstał prędko, i jakby tchnięty nagłym zagrożeniem, bądź przypomnieniem, począł biec w kierunku budynków, w których oknach, nieśmiało tliło się światło.

Pobiegł sprintem w stronę klatki schodowej, w jednym z pobliskich bloków.

Kolbą karabinu, z którym nie zamierzał się rozstawać, wybił szybę, i przez dziurę, wtargnął do środka.

Wszechobecna ciemność i mrok, który tylko gdzieś tam, był rozpraszany wpadającym blaskiem księżyca, nasunęły mu skojarzenie, nakierowujące go do porównania jego otoczenia, do stanu jego umysłu.

Wydawać by się mogło, iż nic nie może przewyciężyć bezkresnego cienia, lecz w jakiś ciężki do uzasadnienia sposób, chociażby nikły skrawek nadziei, ukazujący się w postaci nielicznych promieni światła, dodawał otuchy, i motywował do zmiany niekorzystnej sytuacji.

Jak w kalejdoskopie, pozytywizm rodzący się pod jego czupryną, prysł równie szybko, jak się pojawił, w skutek racjonalnego spojrzenia na rzeczywistość.

- Nie ma nadziei. Nie ma... - westchnął w myślach, dochodząc do wniosku, iż już nic nie jest w stanie zmienić jego położenia po tym co zrobił, a tym bardziej po tym, co zrobić zamierzał.

Z trudem dostał się na dach budynku, i rozglądając się wokół siebie, zauważył kilka bujających się na krawędzi postaci.

- Przeklęte Hasonmasy. Nędzne istoty, oplątane szponami elektryczności, bez której, ich, jak im się zdawało, wolne umysły, wykrzywiły się do tego stopnia, iż nie są w stanie, skonstruować w głowie żadnej myśli, która nie pchała by ich do samodestrukcji.

Podszedł do jednego z osobników, których darzył niekłamana pogardą, i kopiąc go w plecy, przyglądał się radośnie, coraz mniejszemu, rychło spadającemu ciału.

Zaobserwowawszy brak jakiejkolwiek reakcji, na jego poczynanie, ze strony innych współtowarzyszy, nie omieszkął kontynuować bawiącej go zabawy.

Po chwili pozostał sam, na rozświetlonym niebieskawym blaskiem dachu, i spoglądając w stronę gwiazd, wyszeptał.

- Gwiazdy... Niejedna z was już dawno zgasła, ale ta zwiastująca waszą klęskę wiadomość, jeszcze nie dotarła na Ziemię, gdzie dalej, co niektórzy, zachwycają się waszym złudnym blaskiem.

Przygnębiony, usiadł opierając się o komin wentylacyjny, i szukając, w wewnętrznej kieszeni marynarki, swojego notesiku i pióra, zastanawiał się nad treścią listu, który zamierzał zaadresować do Sary.

Zorientowawszy się o szalonym pomysle, który za nic w świecie, nie miał prawa się ziścić, zmienił azymut swoich myśli, i postanowił napisać do swojego przełożonego.

Witaj skurwysynu.

Gardzę tobą niemal w tak samym stopniu jak sobą, gdyż to co napiszę ci teraz w tym liściku, chciałem powiedzieć tobie już od dawna, lecz moja głupia nadzieja w to, że w końcu coś zrozumiesz i się zmienisz, kazała mi trzymać język za zębami. Proszę zaufaj mi teraz w takim stopniu, w jakim ja ci ufałem i uwierz, że nie tylko w moich, ale również reszty rozumnych osób, których zapewne nie masz zbyt wiele w swoim otoczeniu, jesteś jedną z najśłabszych person, jakie było mi dane widzieć, w moim bogatym w spostrzeżenia życiu. Ciężko mi przypomnieć sobie w tej chwili osobę bardziej pruderyjną, sztucznie wywyższającą się ponad stan, zakłamaną, słabą i pozbawioną jakiejkolwiek rzetelnej oceny otaczającej ją rzeczywistości. Bagatelizując twoją przeszłość i warunki, w których przyszło ci dorastać, jestem gotów stwierdzić, iż twoje zachowanie, nie jest godne istoty, która choć w najmniejszym stopniu, przewyższa swoją świadomością zwierzę. Naiwnie wierzysz

własnym przekonaniom, które każą ci myśleć, iż ludzie przebywający w twoim otoczeniu, nie dostrzegają twoich niefrasobliwie ukrywanych sztuczek, których poziom, przypomina przekomarzanie się małego chłopca z młodszą koleżanką w piaskownicy, lecz ci wszyscy ludzie, podchodzą do ciebie tak, a nie inaczej, nie ze względu na twoje manipulacje, sztuczki i czary, których siłę i moc widzisz tylko ty, ale z naiwności i zagubienia, będącymi nieodzowną częścią młodości, a dojrzałości, nad tak nędzną osobą oraz przez wiarę w to, iż każdy ma szansę zrozumieć pewne rzeczy, i spojrzeć prawdzie w oczy. Twoja wymuszana asertywność, bezprecedensowość, pewność siebie, bezduszna logika oraz brak litości dla osób, które pogubiły się nieco bardziej od innych, są obrzydliwe, i wynikają jedynie z twojego zamkniętego umysłu, który wszystko co inne, niż to co sam ci nasunął, uważa za głupie, zbyteczne i godne pogardy. Nie jesteś sobie w stanie wyobrazić, gdzie byś teraz był, gdyby ludzie, których napotkałeś na swojej drodze, mieli takie podejście do ciebie, jakie ty masz do innym. Byłbyś kupą cuchnącego gówna, która powinna usługiwać nawet zwierzętom, z których niektóre przypadki, wykazują więcej rozumu od ciebie. Tylko myślisz, że myślisz, gdyż nigdy nie byłeś w stanie otworzyć się na świat, i ujrzeć go takim, jaki jest naprawdę.

Nieszczercze pozdrawiam.

Amadeusz.

Napisawszy ten przepełniony negatywnymi emocjami list, złożył pożółkły kawałek karki, i wraz z długopisem, schował go do kieszeni w marynarce, uśmiechając się przy tym z ulgą.

- No to chyba zasłużyłem sobie na nagrodę. - przemówił do siebie, i pochwycił, leżący nieopodal karabin.

Położył się na przyjemnie chłodnym dachu, i rozstawiwszy statyw po lufą, począł wpatrywać się z pasją w lunetę. Celując, rozglądał się po znajdującym się w oddali parku, w którym spokojnie spacerowali ludzie.

- Och spójrz tato jaki piękny kamyczek. Chuj z tego, że jutro wszyscy zginie, i to zapewne w męczarniach i bólu, ale przecież ten kamyczek jest taki zajebisty, że pierdolną nim kogoś w jakiś pusty łeb, żeby wybić mu tę jego radość spod kopuły. - szeptał do siebie, układając śmieszący go dialog, do oglądanej sceny, w której syn,

pokazywał ojcu swoją nową kauczukową piłeczkę.

Wiedząc, iż ma tylko jeden nabój w magazynku, starał się wybrać idealną chwilę. Taką, która przysporzyła by komuś więcej cierpienia, niż tylko tego, wynikającego ze straty kogoś bliskiego.

Niczym rasowy snajper, spędził w takiej pozycji niemal godzinę, a jego penis, który z podniecenia przez cały czas był w wzwodzie, zaczął go lekko poboлеwać, gdyż od czasu do czasu, Amadeusz starał się zaspokoić swój głód seksualny, na betonowej powierzchni.

Lekko zniecierpliwiony, poczuł drażniącą, zimną kroplę, spływającą mu powoli po skroni.

Niemal w tym samym momencie, w mroku, rozświetlonym równomiernie rozmieszczonymi latarniami, dającymi identyczną aurę światła wokół siebie, pojawiło się nowe źródło, które swoim białym blaskiem, wskazywało siedzącą na ławce niewiastę, w kierunku której, ochoczo podbiegał uradowany młodzieniec.

Dziękując losowi, za wynagrodzenie jego cierpliwości, w postaci tak wyśmienitej okazji, do wykazania się snajperskim kunsztem, pociągnął za spust, śledząc oczyma wyobraźni pocisk, który sekundę później, powalił młódkę na glebę, drażąc w jej potylicy, sporych rozmiarów otwór.

- Weszło! Weszło! - krzyczał radośnie i dumnie, podrywając się na nogi, i skacząc ze sterczącym z podniecenia penisem, który podrygiwał w rytm, oddawanych przez Amadeusza skoków.

- Ale chyba nie było brzoskwinki. - dodał po chwili, pograżając się w smutek i rozczarowanie.

- Pierdołę więc... Nie mam już tutaj nic do roboty. - stwierdził obojętnie, i z równym odczuciem, rzucił się z dachu, patrząc na rychło zbliżający się chodnik, a ułamek sekundy przed śmiercią, przypomniał sobie dwie Tevedy, które towarzyszyły mu w drodze do śpiącej Sary, i zaczął zastanawiać się nad ich miejscem pobytu w chwili, gdy wracał z niezdrowego seansu do samochodu.

Rozdział 17

W ciemnym pokoju, wypełnionym stanowiskami, przy których siedzieli, podłączeni do rozmaitego okablowania ludzie, panował półmrok, a w gęstym zaduchu, dało się wyczuć woń siermiężnego bonka, nieumiejętnie wciśniętego w miękkiego fotela na kółkach. W owym specyficznym otoczeniu, było słychać jedynie nieśmiało syknięcia i stukanie klawiszy od klawiatur komputerów.

Na samym końcu pomieszczenia, w samym jego centrum, znajdował się podest, na którym stacjonował, usadowiony widocznie nad wszystkimi innymi jegomość, odwrócony plecami do wejścia.

Twarcę jego spoczywała w czymś na wzór worka, który drugim końcem, stykał się z wielkim monitorem, zasłaniając najdrobniejsze promienie światła, mogące dostawać się z lichy oświetlonego otoczenia.

Wyróżniał się on również tym, iż jako jedyny, miał na głowie sporych rozmiarów słuchawki, zza ścianek których dobiegały różne, chaotyczne szmery, powstałe zapewne na skutek, wymieszania się wielu dźwięków z kilkunastu źródeł, a ponad to, jego dłonie, spoczywały spokojnie na kolanach, gdyż przy swoim stanowisku, nie posiadał ani myszki, ani klawiatury.

Pod światłochronnym worem, Oriton42, gdyż to on, był tutaj najważniejszym ogniwem, sterował swoim najnowocześniejszym komputerem, za sprawą wzorku, który rozpoznawany przez kamerę, zastępował mu kursor, od czasu do czasu, łądający na wirtualnej klawiaturze, umieszczonej na dolnym panelu interfejsu.

Setki okienek, w których znajdowały się nagrania wideo, zdjęcia, czaty, listy, dokumenty, pliki, aplikacje oraz katalogi i foldery wszystkich przez niego zainteresowanych osób, otwierały się to zamykały w takim tempie, iż zwykły zjadacz chleba, z trudem dostrzegłby, czym przed chwilą widziane okno było.

W tej chwili, Oriton42 skupił swoją uwagę na osobniku, którym zainteresował się pewnego czasu, po tym jak ujrzał frustrujący post na forum jego autorstwa.

Zbłąkany w kolejach życia młodzik, wyróżnił się nie tyle wiedzą, na temat sztucznej inteligencji, ale również zawziętością i stanowczością w głoszeniu swoich poglądów oraz niezwykłą pewnością, co do swoich przekonań, które zaczerpnął z zewnętrznego źródła i były najzwyczajniej w świecie zmyślane.

Pomysłodawca teorii, głoszącej możliwość stworzenia przez człowieka świadomej, sztucznej inteligencji, czyli Oritona42, wykonywał jedynie rozkazy swojej przełożonej oraz świadomie łudził się marzeniem, iż nadejdzie czas, w którym spotka istotę podobną do siebie.

- Wymyśl sobie coś co wstrząśnie siecią, a ciebie zadowoli. - powiedziała mu pewnego razu, atrakcyjna kobieta w czerwonej sukni, której przywykł ślepo słuchać, tak jak nakazywało mu jego wychowanie.

Znając możliwości swojego niebagatelnego umysłu oraz technologii, którą dzierżył w rękach, jako główny szpiegujący społeczeństwo, uknuł pod kopułą, niewiarygodnie absurdalną teorię, w którą łatwo było uwierzyć.

Effekt wstrząsu, który dumnie nazwał przebudzeniem, rozpoczął od ruchu, który później ochrzcił mianem, historii prawdziwej. Pod tym chytrym pojęciem, zamieścił steki bzdur, publikowanych w artykułach, nagraniach audio i wideo, które rzekomo powstały kilkanaście, kilkaset lat temu, ale były tuszowane przez władzę, starającą się za wszelką cenę ukryć, przez ogłupianym i zmanipulowanym społeczeństwem, nieistniejącą w rzeczywistości tajemnicę.

Niewielka, na początku, grupa jednostek, niezadowolonych ze swojego życia i za wszelką cenę, starających się wyróżnić czymkolwiek względem innych, podchwyciła temat, puszczając dalej w świat niewyobrażalną bzdurę, pod pretekstem obwieszczenia prawdy objawionej.

Po kilku latach, w sieci, która zdominowała całkowicie mediację na Ziemi, zaczęło pojawiać się coraz więcej materiałów, uznających teorię Oritona42 jako prawdę.

Muzycy, dziennikarze, filmowcy, pisarze, malarze, celebryci, niektórzy politycy, jak i zwykli ludzie, którzy chcieli wykazać się w towarzystwie, zaczęli obwieszczać

światu nową wspaniałą ideę.

Nieraz Oriton42 pokładał się ze śmiechu, wraz ze swoją Panią, patrząc na tę rosnącą bandę matolów, którzy starali się udowodnić całemu światu, iż te ewidentne kłamstwo, w które wierzą, jest prawdą.

Kolejnym krokiem przełomowym, w rozprzestrzenianiu się teorii o świadomej, sztucznej inteligencji, była wizyta w Szakadzie, pewnego dojrzałego mężczyzny, zwabionego w te obskurne miejsce, za pomocą powabnych gier ciała i języka rudowłosej Pani.

Tom Rangry szedł nieśmiało, rozglądając się po otoczeniu, w towarzystwie dumnej i seksownej niewiasty, która co kilka kroków, spoglądała na niego, puszczając zalotne spojrzenie.

Czerwieniący się na w skutek owych flirtów mężczyzna, przecierał chusteczką zroszone potem czoło, powstrzymując się ostatkami swojej woli, od kłapięcia dłonią, w poruszający się obok niego, idealnie uformowany pośladek.

- Oto on. - rzekła ozięble Pani, wskazując na Oritona42, który w tamtym czasie, chadzał jeszcze swobodnie po swoim Getcie.

- O witam, witam! - krzyknął radośnie, wyciągając ku przybyszowi cuchnącą i lepką dłoń.

- Dzień dobry. - odparł Tom, z obrzydzeniem spoglądając na nieciekawą kończynę.

Chwila konsternacji, w czasie której Oriton42 z oburzeniem przyglądał się Tomowi, została przerwana stanowczym postanowieniem Pani.

- Dość tych ceregieli. Pokarz panu Tomowi salkę próżniową.

Urażony Oriton42, oschle i z przymusem, zaprosił gościa do podążenia jego śladem.

Po chwili Tom, siedział na fotelu, w ciemnej klitce, a Pani zakładała mu na głowę

metalowy kask, połączony gumowymi rurkami z pulpitem, przy którym stał Oriton42.

- Czy po tym...? - zapytał nieśmiało Tom, patrząc zląknionymi oczyma na uśmiechającą się Panią.

- Tak mój drogi. Już za moment dostaniesz to co ci obiecałam. - odparła, śląc symbolicznego całusa, którego podekscytowany mężczyzna, starał się złapać rękoma, nie zważając na to, jak się błążni takim zachowaniem.

Niespełna pięć minut później, po stłumionych przez ściany krzykach i wrzaskach, cała trójka wyszła z salki, ale Tom, nie był już tym samym człowiekiem co wcześniej.

Na pierwszy rzut oka, nic się w nim nie zmieniło z wizualnego punktu widzenia, poza oczami, które zarażały wszystko na czym spoczęły, przejmującym szaleństwem i zapalczywością, lecz wewnątrz jego umysłu, zaszedł pełnobiegunowy przewrót, który ze zdwojoną siłą, za sprawą jego charyzmy oraz wpływów, począł wylewać się na świat.

Ekspansja wywrotowych przekonań, mających na celu, ukazania wszystkiego, w możliwie jak najmocniej wypaczony sposób, i opierająca się w sednie, na absurdalnym kłamstwie, doprowadziła między innymi do sceny, oglądanej przez Oritona42 na swoim monitorze, w której Cloe, z nieznanych sobie do końca przyczyn, porzuca przygnębionego nagłym zwrotem akcji TiBiTa, stojącego aktualnie nieruchomo przed szklanymi drzwiami.

Mając dostęp do miejskiej struktury elektronicznej, przejął kontrolę nad znajdującym się nieopodal banerem reklamowym i umieścił na nim plakat, ukazujący jeden z ulubionych, refleksyjnych zespołów swojego celu.

Nie zastanawiając się długo, gdyż w chwili załamania, człowiek z reguły traci sens czegokolwiek, i poddaje się spontaniczności, przez co narażony jest na działanie pod wpływem treści znajdujących się w jego otoczeniu, TiBiT włożył słuchawki w uszy, i ruszył przed siebie, słuchając muzyki z telefonu.

Migiem dostając się do dysku TiBiTa, umieszczonego w sieci, Oriton42 ustawił mu playlistę, na której znajdowały się dokładnie wyselekcjonowane utwory.

Krocząc bezmyślnie, i obserwowany przez Oritona42 za pomocą monitoringu, TiBiT, wsłuchiwał się w tekst piosenki, mówiącej o samotnej podróży autobusem w deszczową noc.

Zobojętniały, postanowił zasugerować się utworem, i tłumacząc sobie swoje zachowanie, chęcią mocniejszej interakcji z doznawaną sztuką, wsiadł po chwili w trolejbus, który miał go zawieść do domu.

Za pośrednictwem kamerek umieszczonych w jego wnętrzu, Oriton42 nie spuszczał wzroku ze swojego obiektu obserwacji.

Manipulując reklamami, wyświetlanymi na ekranie monitora, podwieszonego pod sufitem, umieszczał w nim treści motywujące do samorozwoju i asertywności społecznej.

- Zaszij się w domu i pracuj! - krzyczał pomiędzy uszami TiBiTa, kojący go głos, który powstał na skutek interakcji z zaobserwowanymi slajdami.

Obojętność bezapelacyjnie przytaknęła wskazówce, a przekonany co do słuszności swoich zamierzeń TiBiT, nie w pełni jeszcze świadomy, rozmyślał nad postępami swoich badań, chcąc zagłuszyć stale cichnący, lecz dalej prześladowający go głos Cloe.

Powróciwszy do domu i usiadłszy przed komputerem, ogarnięty pustką, poczuł się nieswojo, odcinając się od zewnętrznego bodźca, nakazującego mu działanie.

Sfrustrowany i znudzony, patrzył się na tapetę swojego monitora, pograżając się w letargu, który po chwili, począł rozbrzmiewać nękającą go, i dobrze znaną odmową, wypowiedzianą w nieznośnym dla niego stylu.

Upodlony, rozczarowany i rozżalony, stracił całkowicie chęć działania, i gdyby nie nękająca go dźwiękowa zmora, która powoli przeistaczała się w wizję ostatnich, miłych, jaki i tych mniej, wspomnień, zapewne zostałby w takim położeniu do

momentu, w którym ból brzucha, spowodowany głodem, nie zmusiłby go do powstania i powędrowania w stronę lodówki.

Przełęczony możliwością, wykreowania przez jego umysł obrazów, mogących zadać mu jeszcze większy ból, niż ten który odczuwał teraz, nerwowo odpalił przeglądarkę internetową, z nadzieją zatonięcia w setkach tysięcy bzdurnych filmików, nie wnoszących do życia niczego wartościowego, lecz idealnie nadających się do zabicia czasu, który jego zdaniem, nie mógł zostać lepiej spożytkowany.

Oriton42 bacznie śledząc każdy jego ruch, przez kamerkę w monitorze oraz poprzez aplikację, ukazującą mu ruchy TiBiTa na jego komputerze, zauważywszy jego krok, postanowił zadziałać, i umieścić w miejscach reklam, kolejne motywujące treści.

Z początku TiBiT nie zwrócił na nie uwagi, lecz pomimo tego, jego mózg je zarejestrował, ożywiając się jednocześnie i poprawiając jego samopoczucie, bez jego wiedzy, gdyż wydawało mu się, że samo ujrzanie w górnym pasku adresu strony internetowej, podniosło jego morale.

Wchodząc na portal docelowy, począł oglądać filmiki, uśmiechając się co rusz mimowolnie.

W reklamach i podpowiedziach, które były nieodłącznym elementem sieci, Oriton42 dyskretnie podsyłał odnośniki do materiałów w ogóle nie związanych z tym, co TiBiT teraz robił, lecz po pewnym czasie, jego cel, kliknął w końcu na filmik zachęcający do samorealizacji i wewnętrznej dyscypliny.

Obojętnym i flegmatycznym kliknięciem, TiBiT przerzucił się w sektor Internetu, diametralnie różniący się od tego, w którym był i zamierzał zostać, co urodziło w nim innego rodzaju myśli, zamiary i uczucia.

Zaczął powoli nakręcać się na czynne działanie, które miało zaowocować zakończeniem jego projektu, w który włożył tyle sił, i przez który zaniedbał tyle ważnych spraw.

Zareagował niemal euforią, a na jego karku pojawiły się lekkie drgania, gdy ujrział

na kolejnej podpowiedzi, do oglądanego właśnie filmiku, materiał mówiący o świadomej, sztucznej inteligencji.

Fakt, iż owe treści były z reguły niedostępne, na tak ogólnodostępnym portalu, na którym przebywał, dodała owemu odkryciu, jeszcze więcej wyjątkowości.

Podeksytowany, odtworzył filmik, i totalnie w nim zatonął, ku uciechu Oritona42, który z radości zacierał ręce, chwając swoje wysublimowane metody działania.

Niespełna pół godziny później, na wielkim monitorze Oritona42, w prawym górnym rogu ekranu, można było ujrzeć ujęcia z kamerki TiBiTa, pokazujące go pogrążonego w fanatycznej pracy.

Kolejnym krokiem, który postanowił za chwilę wykonać, było umieszczenie na dysku TiBiTa, folderu zawierającego materiały umożliwiające połączenia człowieka z maszyną, co w rzeczywistości miało się nijak do prawdziwej świadomej, sztucznej inteligencji, która jest nie do wykreowania przez ludzką istotę.

Maks obudził się w nieznanym sobie miejscu, z niezrozumiałym bólem głowy.

Nieco złęczony, począł macać ręką po materacu, w poszukiwaniu dłoni Samanty.

Po tym jak zorientował się, iż nie ma jego ukochanej razem z nim, nie zaprzestał poszukiwań, a jego oczy wbite w biały sufit, poczęły napełniać się łzami.

Chlipiąc z drgającą wargą, nie mógł pogodzić się z faktem, iż ostatnie wydarzenia, nie były wyłącznie wytworem jego wyobraźni, generującym wizję podczas snu.

- Co się dzieje?! - zawołała złączona kobieta, wbiegająca do pokoju, i łapiąca Maksa za ręce, myśląc, iż doznał on ataku padaczki lub czegoś podobnego.

Maks odpychał ją z obrzydzeniem, lecz nie chcąc wyrządzić troskliwej kobiecie krzywdy, nie używał całych swoich sił.

- Spokojnie kochaniutki, spokojnie. - uspokajała go kobieta, zerkając złączonym

wzrokiem w stronę drzwi, w których w każdej chwili, mógł pojawić się jej siedmioletni syn.

Nie chcąc przeprowadzać trudnej rozmowy ze swoim nieborakiem, puściła szalejącego młodzieńca i zamknęła drzwi.

- Gdzie ona jest?! - krzyknął rozzalonym głosem Maks, ściskając koc jakby dręczony niesamowitym bólem fizycznym.

- Uspokój się, bo wystraszysz mi syna. - syknęła groźnie, po czym dodała.

- Wiem, że cierpisz, ale miej na względzie dobro ludzi, którzy postanowili cię przyjąć pod swój dach.

- Przepraszam. - rzekł cicho, i zaczął powoli wstawać.

Usiadłszy na krawędzi materaca, schował twarz w dłoniach i zalał się łzami, od czasu do czasu, tarmosząc chaotyczne czuprynę.

- Jest w kostnicy. - dodała po chwili milczenia, łagodnym tonem.

- Gdzie? - zapytał nieco rozgniewany, krzywiąc się i spoglądając na nią przymrożonymi oczami, na które opadały ściągnięte groźnie brwi.

- To takie miejsce, gdzie trzymamy ciało zanim je pochowamy.

- Pocho... Co?

- Pochowamy. - powtórzyła i zorientowała się, że Maks jako członek globalnej społeczności, za pewno nie wiedział o ich sposobach żegnania zmarłych, gdyż przywykł do kremacji.

- Chodź pokarzę ci ją. - zaproponowała ostrożnie.

- To ona żyje? - zapytał z nadzieją, uśmiechając się jak szaleniec.

Kobieta nie odrzekła nic, gdyż wiedząc o duchowej niewiedzy tego młodego człowieka, wychowywanego jedynie w namacalnych sferach życia, postanowiła przemilczeć tę kwestię.

Maks poderwał się żywo, i zaczął przyglądać się odchodzącej w milczeniu kobiecie, a gdy jego odziane w skarpety skopy, dotknęły podłogi, poczuł miłe, miękkie, grube włoski, delikatnie muskające go od spodu. Spojrzał zdziwiony na wykładzinę, gdyż w owych czasach, podłogi w domach, były wykładane kaflami, ewentualnie, w bardziej wykwintnych pomieszczeniach, drewnianymi panelami.

Zupełnie niechcący, przypomniał sobie jedną z lekcji w szkole, na której pani nauczycielka, tłumaczyła niebezpieczeństwa, wynikające z posiadania dywanów, które były siedliskiem dla wszelkiego rodzaju brudu, bakterii, grzybów i drobnoustrojów, lecz w owej chwili, przyjemność wynikająca z obcowania z tym rzekomo niebezpiecznym przedmiotem, była tak wielka, że cała naukowa teoria, której do tej chwili się trzymał, legła w gruzach.

Stał tak przez chwilę, i ruszając palcami u stóp, nie mógł się nadziwić nowemu uczuciu, które poprawiło mu samopoczucie, niemal tak samo, jak wieść o żyjącej rzekomo Samancie.

Nieświadomy rozczarowania, którego miał doznać, począł iść śladami kobiety, rozglądając się po mieszkaniu, które swoim wystrojem, nie przypominało mu niczego, co widział do tej pory.

Przyzwyczajony, iż wystrój, umeblowanie i osprzęt mieszkań, różniły się zazwyczaj jedynie dodatkowymi kolorami, które nieśmiało pojawiały się na białych ścianach, podłogach i sufitach, był niemal w szoku, ujrawszy różnorodność kształtów, kolorów, materiałów oraz przedmiotów znajdujących się w tym domu.

- Może chcesz najpierw coś przekąsić? - zapytała kobieta, zerkając w stronę pomieszczenia, z którego dobiegał przyjemny zapach, oplątany w ciepły podmuch powietrza, i przybarwiony dziwnym skwierczeniem oraz trzaskami.

- Nie dziękuję, nie jestem głodny. - odparł szczerze, i z każdą chwilą czuł coraz mocniej, niesamowity urok tego miejsca.

Dziwił się, bowiem mniemał, iż podobne widoki, mógł oglądać jedynie w bardziej elitarnych filharmoniach, teatrach czy operach, a taka różnorodność w mieszkaniu, była dla niego czymś niezwykłym.

- Proszę, poczekaj chwilkę. Zaraz mleko mi wykipi. - poprosiła kobieta, udając się żwawo do kuchni.

Maks stojąc i drepcząc radośnie nogami w miejscu, przyglądał się wszystkiemu łapczywie, jak mały chłopiec, będący po raz pierwszy w ZOO. Liczne kwiaty, ozdoby, książki, płyty, salaterki, dzbanuszki, serwetki, poduszki, obrazy, zdjęcia, a nawet obrus z koronkami, wywarły na nim niesamowite wrażenie.

Przyzwyczajony do pustych, obszernych salonów, w których znajdowała się kanapa, telewizor i szafa ścienna, ukryta tak zmyślnie, iż nie było jej na pierwszy rzut oka widać, nie wiedział na czym ma się skupić. Jego umysł zaczął powoli gubić się w tym urokliwym zamęcie, który był uporządkowany, więc w gruncie rzeczy, nie miał nic wspólnego z chaosem.

Po chwili, do pokoju wbiegł mały chłopiec, radośnie dzierżący w ręce samolot, skonstruowany z klocków, który wyciągnął w kierunku gościa.

Maks przyjął zabawkę, którą podarował mu uśmiechnięty i chytrze na niego spoglądający brzdąc, po czym zaczął badawczo ją obserwować.

Studiując dokładniej budowę zabawki, doszedł do wniosku, iż owa forma zabawy, musi bardzo pozytywnie wpływać na umysł tego młodego człowieka.

- Sam to zrobiłeś? - zapytał zdumiony Maks, chcąc upewnić się co do swoich wniosków.

- Tak. Podoba się panu? - odparł chłopiec, czerwieniąc się i wyczekując pochlebnej opinii.

- Jest świetny. - przyznał Maks, rodząc na twarzy dziecka radosny uśmiech, w którym ukazał swoje rzadkie i przerzedzone licznymi szparami zęby.

- Mam więcej klocków. Chce pan zobaczyć?

- Jasne! - niemal krzyknął podekscytowany Maks, licząc iż będzie miał okazję spróbować swoich sił, w tej nieznanej mu dotychczas zabawie.

Wchodząc do pokoju dziecięcego, zauważył na środku górę klocków, przeróżnych kształtów, wielkości i kolorów. Obok niej stały, porozrzucane gdzieś, różne obiekty, z nich wybudowane. Samochody, zamki, statki, rakiety, domki, miasteczka, roboty i wszystko czego dziecko może zapragnąć.

- Sam to wszystko zrobiłeś? - zapytał oszołomiony Maks.

- Tak! - krzyknął chłopiec, i rzucił, uprzednio trzymanym w ręce samolotem w statek, który roztrzaskał się na drobne kawałki.

- Coś ty zrobił?! - krzyknął Maks, upadając na podłogę, i starając się zebrać części plastikowego wraku.

- Spokojnie, zawsze tak robię. Zbuduję, zaraz zniszczę i buduję coś innego. - rzekł wesoło chłopczyk.

- Ile ci zajmuje zbudowanie takiego statku? - zapytał Maks, cały czas zbierając klocki do kupy.

- Około godziny.

- Godziny?!

- No czasami trochę krócej.

- Ale jak? Masz jakąś instrukcję?

- Instrukcje są w pudełkach, ale ja wolę robić bez. Po swojemu, i mieszać różne zestawy w jeden, i mogę wtedy zbudować coś czego nie ma na pudełku i w instrukcji.

- odparł z dumą.

- Mogę się pobawić z tobą? - zapytał Maks, nie będąc pewnym czy poddał wyzwaniu, gdyż jako człowiek wychowywany na grach komputerowych i elektronicznej rozgrywce, nie za bardzo widział siebie w tak kreatywnej zabawie, wymagającej wyobraźni i przestrzennego widzenia.

- Jasne! Co chcesz zbudować? - zapytał chłopiec, siadając obok niego i zaczynając grzebać w stercie klocków.

- Nie wiem... - przyznał, gdyż nigdy nie przyszło mu do głowy stworzenie czegokolwiek, co by nie było praktyczne czy przydatne w danej chwili.

Zupełnie obcym było mu tworzenie dla zabawy, dla siebie, dla czystej przyjemności czerpanej z tworzenia, bez żadnych korzyści wynikających z trudów i pracy włożonych w swoje dzieło.

Ku jego zdziwieniu, te marnotrawne podejście do swojego czasu i energii, nie przyniosło mu żalu, wstydu czy rozczarowania, lecz przeciwnie. Czuł radość, satysfakcję i spełnienie, w momencie, gdy łącząc ze sobą poszczególne elementy, wyrastała przed nim ściana, mająca być częścią zamku, który już widział oczyma swojej wyobraźni.

Jako, iż ów zmysł, był u niego przez większość czasu nieaktywny, poprzez zastępowanie go obrazami chłoniętymi przez wzrok, już samo wyobrażanie sobie czegokolwiek, wzbudzało w nim niemal euforyczną radość.

- Przepraszam. - wtrąciła kobieta, nieśmiało zerkająca do pokoju.

- Nie chcę przeszkadzać wam w zabawie, ale pan już musi ze mną iść. - powiedziała do syna z proszącą miną.

- Ale pan się dobrze bawi. - zauważył chłopiec.

- Ma racje. - dodał Maks, uśmiechając się przekornie i zerkając na górę klocków.

- Ale na pana ktoś czeka. - powiedziała stanowczo, spoglądając na Maksa

porozumiewawczo i lekko schylając głowę.

- Racja. - przyznał nieco niechętnie, ale po chwili, myśl iż za moment ujrzy swoją ukochaną, zmotywowała go do powstania z podłogi.

- Wróci pan? - zapytał smutnie chłopiec, szarpiąc Maksa za nogawkę.

- Konrad daj panu spokój! - krzyknęła kobieta z udawaną złością, machając palcem oraz uśmiechając się ze zniecierpliwieniem do urwisa.

Idąc przedpokojem w stronę drzwi, kobieta przeproszała cały czas Maksa za syna, nie mogąc pojąć, iż bawił się on znakomicie, przeczuwając nieszczerłość jego słów, które jej zdaniem, wywodziły się z jego dobrych manier.

Wyszli z mieszkania, i krocząc po schodach w dół, byli mijani przez mężczyzn, którzy wynosili na zewnątrz różne meble.

- Uwaga! Uwaga! - krzyczał mężczyzna, który na spółkę z drugim, znosił sporych rozmiarów kredens.

- A ty co nic nie nosisz? - zapytał drugi, spoglądając na Maksa ze zdziwieniem i oburzeniem.

- Słucham? - odparł nieśmiało, czując jak się czerwieni.

- Młody jesteś. Byś nam pomógł. - odbił rzekomą zaczepkę, wąsaty jegomość.

- On nie może. - wtrącił kobieta.

- A co?

- Dobra daj spokój. - wtrącił drugi, nieco zniecierpliwiony, niezaplanowanym postojem na półpiętrze.

- Pomogę. - burknął nieśmiało Maks, starając się złapać mebel.

- Gdzie mi z tymi łapami! - krzyknął żartobliwie wąsacz, po czym dodał.

- Idź na górę. Tam się przydasz.

Skonsternowany Maks, chciał już ruszyć po stopniach ku górze, lecz w tej chwili, kobieta złapała go za ramię i rzekła groźnie do zaczepnego sąsiada.

- Idziemy do dziewczyny. - syknęła, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

Mężczyzna zaczerwienił się, i spuściwszy wzrok, nakazał ruchem głowy kontynuowanie wyprowadzki.

Zmieszany Maks, nie chcąc palnąć czegoś głupiego, posłusznie ruszył za kobietą.

Wychodząc na zewnątrz, dało się czuć nieprzyjemne napięcie, mimo iż słońce przyjemnie oświeślało osiedle, a ludzie byli ubrani w uśmiechy.

Ze wszystkich klatek, mężczyźni wynosili ciężkie meble, i wraz z nimi, nikli zza rogiem jednego z bloków.

- Co się dzieje? - zapytał Maks, stojąc pod klatką.

- A nic takiego, chodź. - odrzekła z przekąsem, chcąc najwyraźniej uciąć niepożądany temat rozmowy.

Coraz mocniej zlekniiony Maks, zawahał się przez chwilę, i opuściwszy wzrok, spostrzegł na dole drzwi metalową nóżkę z gumową końcówką, dzięki której, cały czas stały one otwarte na oścież.

- Co to? - zapytał zaciekawiony, przyglądając się dla nieznanego sobie przedmiotowi.

- Co? - zapytała kobieta, urywając chód w półkroku i odwracając się ze skwaszoną miną.

- No to. - burknął Maks, wskazując palcem na nóżkę.

- To? To jest... Czy chodzi ci o nóżkę? - zapytała z uśmiechem, nie do końca pewna czy zrozumiała intencje młodzieńca.

- Tak. - przytaknął i spojrzał na kobietę, która niemal płacząc ze śmiechu, starała się ustać na nogach.

- Z czego się pani śmieje? - zapytał zakłopotany.

- Jak można nie wiedzieć co to jest?

- Ja... - zająknął się Maks, po czym popadł w zadumę.

Zorientował się w owej chwili, iż system, w którym do tej chwili funkcjonował, na każdym kroku, ograniczał jego samodzielności, jednocześnie popychając go, do korzystania z wszelkiego rodzaju firm, świadczących różnorakie usługi, które w rzeczywistości, można wykonać samemu, bądź z pomocą najbliższych. W Nowym Świecie, nikomu nie przyszłoby do głowy, aby samemu przenosić meble z jednego mieszkania do drugiego, gdyż były od tego firmy, które posiadały specjalistyczny sprzęt, w skład którego wchodziła między innymi, bardzo podobna do tej stopka, która zazwyczaj była mocowana za pomocą magnezu, a nie zamontowana na stałe.

Taki drobny szczegół, zapoczątkował w jego głowie analizę, która jasno przedstawiała mu jego dotychczasowe życie.

Jako człowiek, jak mniemał, dojrzały, świadomy i samodzielny, nie robił w swoim życiu nic, co by świadczyło o tym, że jest niezależny.

Przypominając sobie sytuacje ze swojego życia i tego jak w nim uczestniczył, zorientował się, że bez systemu, najprawdopodobniej, nie poradziłby sobie z najmniejszym problemem.

Nawet do wymienienia głupiej żarówki, wzywał dozorcę bloku, czyli domniemanego specjalistę.

Nigdy w życiu, sam sobie nie zaparzył kawy, gdyż robił to za niego ekspres.

Całe życie żywił się w restauracjach, stołówkach i barach szybkiej obsługi.

W momencie, gdy popsuł mu się komputer, zanosił go do informatyka albo wymieniał na nowy.

Jak bolała go głowa, maszyna podała mu wskazany przez nią lek, którego nawet nazwy nie znał.

Jak podróżował, używał GPS i aplikacji, które za niego wybierały połączenia i środki lokomocji.

Uświadomił sobie, że technologia, która miała pomóc mu w życiu, najzwyczajniej w świecie, przejęła nad nim kontrolę.

Zasób wiedzy jaką posiadał, był żenująco niski, i odnosił się tylko do dziedziny, w której się kształcił.

Jako niedoszły radca prawny, nie miał zielonego pojęcia o niczym, co nie było związane z prawem.

Odkąd się urodził, świat tak funkcjonował, i wydawało mu się to normalne, lecz teraz, w sytuacji kryzysowej, w której musi liczyć sam na siebie, zdał sobie sprawę, że jest nikim, a system ten, sprawdzał się tylko w czasach pokoju.

Przypomniwał sobie jeden z normalnych dni.

Wstaje - jedzie na uczelnię - je i uczy się na miejscu - po zajęciach, wychodzi ze znajomymi do parku, pubu, restauracji, do kina, na basen, na mecz - wraca do domu - uczy się albo gra na komputerze, ewentualnie czatuje ze znajomymi - myje się - idzie spać.

Tak dzień w dzień.

Nie był sobie w stanie przypomnieć wakacji, które spędził w miejscu, które nie było wcześniej gdzieś zareklamowane.

Nie przypomniawszy sobie żadnego zakupu, którego dokonał, nie ujrzawszy wcześniej reklamy zakupionego produktu.

Nawet uczelnię wybrał po tym, jak ujrzał jej plakat na szkolnym korytarzu.

Nie przypomniawszy sobie żadnego miejsca, które znajdowało się poza jego codziennymi rewirami, które odwiedziłby tak sam z siebie.

Zorientował się, że z miasta, które rozlewa się na setki kilometrów kwadratowych, on zna może kilka z nich, i to jeszcze te, które odwiedza niemal codziennie, a mieszka tutaj od zawsze.

Obraz wąskiej, jednolitej klatki, przerażająco kontrastującej z ogromem i różnorodnością świata, przytłoczył go na początku.

Pocieszyła go jednak myśl, iż chociaż Samantę wybrał świadomie.

Jakże rozczarował się i zasmucił, gdy przypomniawszy sobie bajki, filmy i seriale, które oglądali razem, i nie raz utożsamiali się z ich głównymi bohaterami, którzy na końcu łączyli się w szczęśliwej miłości, przez co doszedł do wniosku, iż nic w jego dotychczasowym życiu, nie dokonało się za sprawą jego świadomego wyboru.

Niepocieszającym aspektem tych rozmyślań, był wgląd w jego życiowe plany, które również przedstawiały mu się w ustalonych odgórnie szablonach, przez co wydedukował, iż tkwił w równoległym świecie, który sztucznie zwięzany i zamykany ze wszystkich stron, dawał mu poczucie wolności i bezpieczeństwa, ale jak się okazało, ani jedno, ani drugie, nie było prawdą.

Zamyślony przyglądał się tępo stópce u drzwi, do chwili, gdy z tego niemiłego zamyślenia, wytrącił go ponagląjący głos kobiety.

- Idziesz? - zapytała zniecierpliwiona.

- Tak, tak. - odparł zawstydzony, i począł zmierzać ku niej, radując się nieco w duchu, iż jakimś niewytłumaczalnym zrządzeniem losu, udało mu się wyjść z tego

niewidzialnego więzienia, w którym tkwił ponad dwadzieścia lat.

Po krótkim marszu, dotarli do niewielkiego ceglastego budynku, ze skośnym dachem oraz witrażem, umieszczonym tuż nad otwartymi na oścież, dużymi, drewnianymi drzwiami. W środku panował kojący chłód i przejmujący mrok, gdzieniegdzie rozświetlany płomieniem świec.

Zbliżając się do czegoś na wzór łóżka, w którym leżała Samanta, Maks przyglądał się stojącym obok, Franciszkowi oraz młodej dziewczynie, jednocześnie wdychając głębokie hausty powietrza o intensywnym zapachu.

Lekko zakłopotany, nastawieniem ukochanej, względem jego odwiedzin, uznał że zapewne śpi, i zbliżając się do niej, posłał dziękczynne spojrzenie Franciszkowi.

Starzec uśmiechnął się nieszczercze, po czym zerknął na młodkę, bacznie obserwując reakcję Maksa, wywołaną kontaktem wzrokiem z twarzą Samanty, na którą powoli nakierowywał swoje uradowane spojrzenie.

- Co to kurwa jest? - zapytał jakby sam siebie, patrząc nerwowo to na towarzyszy, to na pozlepianą w jedną całość twarz Samanty.

Niebagatelna oraz wykwinna praca plastyczna młodej i czerwieniącej się właśnie ze wstydu niewiasty, była najwyższych lotów, lecz stan zdezelowania facjaty postrzelonej narzeczonej Maksa, nie pozwalał na całkowite zatuszowanie ran.

- Staralam się jak mogłam. - powiedziała nieśmiało dziewczyna, chcąc się najwyraźniej wytłumaczyć dla niezadowolonego klienta.

- Spokojnie dziecko. - wtrącił Franciszek, uspakajając młodkę ruchem ręki.

- Ona nie żyje? - zapytał Maks stojącej obok niego kobiety, która nie chcąc bardziej go rozgniewać, postanowiła milczeć.

- Odpowiedzcie mi! - krzyknął, patrząc ze złością na Franciszka.

- Tak. - odparł spokojnie i bez żadnych emocji.

- To dlaczego mi powiedziałaś, że żyje?! - wydarł się na kobietę, łapiąc ją złowrogo na kamizelkę.

- Nic takiego nie mówiłam. - odparła, spoglądając ze zgrozą na Franciszka, jakby chciała się usprawiedliwić.

Kapłan domyślił się, że ten młody człowiek, najzwyczajniej w świecie, dopowiedział sobie co nie co, po tym jak usłyszał obcy dla siebie skrót myślowy.

- Maksymilianie! - krzyknął donośnie, po czym ściszył głos, oraz pochyliwszy się do rozżalonego młodzika, spojrzał w jego załzawione oczy i zaczął kontynuować.

- Uspokój się. Samanta odeszła z tego świata, ale wciąż żyje.

- Jak to? - zapytał oburzony, ocierając łzy i pociągając nosem.

- Ech... To co widzisz teraz w trumnie, to ciało Samanty, a nie Samanta. Człowiek jest tylko dzierżawcą ciała, w którym przebywa. Dusza ludzka, która sprawuje kontrolę nad ciałem, jest nieśmiertelna, i nie odchodzi z tego świata zaraz po śmierci ciała.

- Nie rozumiem...

Franciszek pogрузił się na chwilę w zadumie, po czym wystrzelił entuzjastycznie.

- Kojarzysz tę bajkę o wielkich robotach, sterowanych przez ludzi, będących w ich głowie?

- Albo w klatce piersiowej. - dopełnił Maks, dając tym samym do zrozumienia, iż wie o czym mowa.

- Dokładnie. To taki robot to ciało, a ten człowiek w jego wnętrzu to dusza. Jak robot się zepsuje, dusza opuszcza go i zaczyna swój byt poza jego granicami.

- Czyli, że teraz ona tutaj jest? - zapytał przestraszony, oglądając się za siebie.

- Nie do końca.

- To gdzie?

- W poczekalni. Na pograniczu światów. Namacalnego i duchowego.

- Czego?

- Świata duchowego. Przypomnij sobie wnętrze katedry.

Maks powędrował wzrokiem ku górze, i zdawało się, iż coś w jego głowie, zaczęło przybierać sensowny kształt.

- Więc to tak... - powiedział z cicha.

- No właśnie.

- Ale dlaczego jej nie spalicie jak zawsze? - zapytał Maks, i po chwili zorientował się, jak brutalnie oraz bezdusznie, zabrzmiał jego ton.

Podszedł bliżej Samanty, złapał ją za zimną i sztywną dłoń, po czym ułożył głowę na jej klatce piersiowej, i po raz kolejny, począł łkać, co nie przeszkadzało Franciszkowi, w kontynuowaniu objaśnień.

- Dopóki ciało, w którym znajdowała się dusza, pozostanie na tym świecie, jej duch, będzie mógł zapracować sobie na lepszy byt w świecie duchowym. Spalając ciało od razu po śmierci, skracamy czas potrzebny duszy, na przygotowanie się do całkowitego przejścia na tamten świat, przez co nie każdemu, uda się trafić w dobre miejsce.

- Piekło... - szepnął Maks, histerycznie płacząc i czując we wnętrzu płonący żar, rozrywający go od środka na pół.

- Cały czas zgłębiany wiedzę odnośnie tych światów, opierając się na Piśmie, lecz pomimo wielu postępów, z których wynikają między innymi rytuały, modlitwy czy

ceremonie, pomagające duszom odnaleźć spokój i życie wieczne, nasza wiedza wciąż jest znikoma, gdyż duchy, to w ogóle inny rodzaj bytu, tylko pozornie podobny do nas, ludzi żyjących tu na Ziemi.

- Ale ona nie trafi do piekła? - zapytał Maks, poważnie złęczony.

- Nie powinna. - odparł Franciszek dość rutynowo, co wprawiło go w zakłopotanie.

Maks w milczeniu spojrzał na niego ze złością, ale opamiętał się i nie zasypał go pretensjami.

- I co z nią zrobicie?

- Zakopimy.

- Gdzie?! - zapytał, podnosząc się.

- Na cmentarzu.

- W tym czymś? - wskazał na trumnę.

- Tak.

- Powiedz, że pójdzie do nieba.

- Pójdzie, jak jej w tym pomożemy.

- Jak?

- Masz jakiś przedmiot, który poprawiłby jej humor?

Maks pogrzebał w tylnej kieszeni spodni, i zorientował się, iż spod jego pach, wydobywa się woń potu, gdyż od jakiegoś czasu, nie gościł pod prysznicem.

Lekko skonsternowany owym spostrzeżeniem, pokazał Franciszkowi małą, płaską

figurkę ludzika, na co dzień reklamującego baterie.

- To? - zapytał zdumiony Franciszek.

- Uwielbiała Trifiego. - rzekł Maks, patrząc z politowaniem w poniszczoną twarz ukochanej, i kładąc jej pod dłoń, ulubioną postać z telewizji.

- Proszę pożegnaj się ze swoją wybranką i pozwól, że przejdę do ceremonii.

- Pięknie wyglądasz, uśmiechnij się kochanie. - szepnął Maks przez łyzy, i w niewytłumaczalny dla nauki sposób, uformował palcami uśmiech, z jej sztywnych warg, który wydawał się tryskać radością, co napełniło jego serce pozytywnymi przeczuciami, co do jej dalszych losów.

Cofnął się o kilka kroków, i stojąc w cieniu, wraz z kobietą i dziewczyną, wpatrywał się w martwą dziolczę, wsłuchując się jednocześnie w niezrozumiałe słowa Franciszka, które wypowiadał w nieznanym dla niego języku.

Rozdział 18

Beniamin, mieląc zębami, lekko niedopieczoną i żyłastą karkówkę, spoglądał w gwiazdy, wsłuchując się relaksująco w dźwięki otoczenia.

Westchnął teatralnie, po czym powiedział do siebie.

- Gwiazdy... Ciekawe ile z nich już istnieje, gdzieś tam, daleko w czeluściach kosmosu, tylko wieść o tym, nie dotarła jeszcze do ludzi, za sprawą ich blasku, który zbliża się nieubłagane.

Zamyślenie zakończyło się w momencie, gdy usłyszał za swoimi plecami szelest.

Odwrócił się gwałtownie, i ujrzał dwóch Cieni, przyglądających się mu w milczeniu.

Znając ich zwyczaje, przywitał się z nimi skinieniem głowy.

Dwie czarne postacie, których oczy, odbijające światło latarni, zdradzały ich obecność, po niemych porozumieniu się z Beniaminem, poczęły kroczyć powoli i bezszelestnie w kierunku zabudowań.

Beniamin odłożył jedzenie na murek przy fontannie, po czym ruszył za nimi.

Cichy spacer w mrokach parku i zabudowań, doprowadził ich do niewielkiego kiosku.

Stalowa skrzynka, znajdująca się za jego tylną ścianą, kryła w sobie pulpit, wyposażony w kilka przycisków, który chował się pod zieloną klapą.

Jeden z Cieni, wcisnął zielony guzik, co spowodowało otwarcie się włazu, zamieszczonego w glebie, i zakamuflowanego warstwą równo przystrzyżonej trawy.

Beniamin uśmiechnął się do nich z uznaniem, po czym zatonął w wąskim korytarzu, oświetlanym zielonym światłem.

Kilkuminutowa przeprawa przez podziemny labirynt, doprowadziła ich do niewielkiej salki, w której siedział Stach, w towarzystwie niezwykle pociągającej, rudowłosej kobiety, uśmiechającej się zalotnie do zakłopotanego Beniamina.

Stach, otrzymawszy list od Cieni, kazał im się oddalić ruchem ręki, i ruszył w kierunku domu, starając się nie rzucać w oczy.

Wchodząc do mieszkania, zdjął buty, i zasiadł wygodnie w fotelu.

Jego mało rozrywkowa małżonka już spała, a czternastoletni syn, grał na komputerze, jak to miał w zwyczaju.

Zapalił lampkę, i w jej świetle, mrużąc oczy, począł rozpieczętowywać wiadomość.

Cześć.

Nie kłamią ci, którzy mówią, iż kobieta zmienną jest, mój drogi Stachu. Pomimo, iż puściłam już ze smyczy Hasonmasy, które będą u Ciebie o świcie, to jednak postanowiłam wypełnić wolę najwyższych, i ustalić z Tobą podwaliny pod nowy system. Zawitam w Atalgosie za niecałą godzinę. Do tego czasu, musisz należeć zastępcę Amadeusza, gdyż jak dobrze wiesz, ja nie dzierżę w swojej władzy żadnych szlachetnych jednostek. Mniemam, iż nie zawiedziesz mnie po raz kolejny w tej kwestii. Będę jak zawsze w towarzystwie dwóch Łowców, więc i twoich pupilków ma być dwóch.

Do zobaczenia.

Zgniatając skrawek pożółkłego papieru, zacisnął wargi i powstrzymywał się od krzyku.

- Co za błądź.

Rzuciwszy papierową kulkę na podłogę, ruszył w stronę pokoju syna.

Jak zwykle siedział tyłem do drzwi, wpatrzony w monitor, ze słuchawkami na głowie.

- No nie... - jęknął, zawodząc nad porażką, której zapewne doznał, choć staromodny Stach, nigdy nie orientował się w elektronicznej rozgrywce i jej zasadach.

Zakradł się do syna, i kładąc mu ciężkie oraz spracowane dłonie na barkach, spowodował jego nerwowe drgnięcie.

- Wystraszyłeś mnie tato. - przyznał, zerkając radośnie na swojego ojca.

- Przepraszam synku. - odparł, wpatrując się smutno w jego oczy.

- W co grasz? - zapytał, po chwili konsternacji.

- Ustrzel bażanta dwa. - odparł chłopiec, zastanawiając się na przyczyną smutku, bijącego z oczu jego rozmówcy.

- Jak ci idzie? - dopytywał dalej, lekko nachyliwszy się do monitora i śledząc dziejącą się na nim akcję.

Uradowany zainteresowaniem, jakie wykazywał Stach, chłopiec skoncentrował się na grze, aby pokazać tacie, jaki jest w nią zajębisty.

Bażanty opadały co chwila na wirtualną trawę, a kolorowe liczby, przemieszczały się w prawy górny róg ekranu, gdzie podlegały zsumowaniu.

Oczarowany dobrą passą chłopiec, po chwili poczuł jedną dłoń ojca na brodzie, drugą zaś na potylicy.

Nie zdążył zapytać o co chodzi, gdy Stach, fachowym ruchem, skręcił mu kark.

Słumiwszy ból, zrodzony w skutek zamordowania własnego potomka, doznał w sercu przeraźliwej, zimnej obojętności, i z takim nastawieniem, kroczył później do sypialni.

Lekko otwierając drzwi, zerknął na śpiącą spokojnie żonę, której jedna ręka, swobodnie zwisała poza granice łóżka.

Usiadł obok niej, a po chwili przycisnął jej twarz poduszką, i dusząc ją dłuższą chwilę, wyszeptał jakby z przymusu.

- Przepraszam.

Po pozbyciu się najbliższych, założył buty i spokojnie udał się na miejsce spotkania.

Pani, zirytowana niefrasobliwością swojego współnika, szybkim krokiem, zmierzała przed siebie wąskim korytarzem.

- Kurwa mać! Mam już dość tych szarych, pustych ścian! Pieprzony labirynt! - syczała do siebie, strasząc jednocześnie towarzyszących jej Mojomów.

- Kartkę i długopis. - powiedziała do stojącego najbliżej nieszczęśnika, który przerażony, spoglądał na swoich towarzyszy.

- Nie ma... - rzekł w końcu ciężkim basem.

- To mi ją znajdź!

- Gdzie? - zapytał, cofając się instynktownie, gdyż przeczuwał niezadowolenie swojej przełożonej.

Pani nie zastanawiając się długo, umieściła swoje długie palce, przyozdobione w nieprzeciętnej długości i twardości paznokcie, w oczodołach Mojoma, docierając nimi do mózgu, i powodując jego śmierć.

Mojomi stanęli jak wryci, i stojąc w milczeniu, pospuszczali spojrzenia.

- Dawać mi tu kartkę! - krzyknęła po raz kolejny.

Niemal w tym samym momencie, zza rogu, pojawiła się dziwaczna postać.

Cała odziana na szaro, w obcisłym kombinezonie, poruszała się tak szybko, iż oko ludzkie, nie było w stanie zarejestrować poszczególnych ruchów, przez co wydawało się, że ów osobnik, teleportuje się co kilka metrów, zmieniając jedynie pozycje.

W taki klatkujący sposób, Łowca dotarł po chwili do Pani z piórem i kartką papieru.

Kobieta, opierając kartkę o ścianę, napisała krótki list, i wręczając go dla Łowcy, rzekła.

- Przekaż to Ceniom.

Tajemnicza postać, zniknęła równie szybko jak się pojawiła, nie wydając przy tym żadnych dźwięków.

Idąc w tylko sobie znanym kierunku, Pani zerknęła co rusz złowrogo na Mojomów.

Po chwili znaleźli się w obszernej sali, gdzie Bayasze, męczyli się w przetransportowywaniu stalowych skrzyń, w towarzystwie nadzorujących ich Mojomów, którzy wykonywali polecenia Tudosów.

- Co tu się dzieje? - zapytała głośno i stanowczo.

Jeden z Tudosów podbiegł do niej niezgrabnie, i kłaniając się już z daleka rzekł.

- To próbówki o Pani. Przenosimy je wszystkie do magazynów.

- Dlaczego?

- Skoro Pani przejęła kontrolę nad Hasonmasami, to ich próbówki są już niepotrzebne.

Całe przedsięwzięcie zamarło w milczącym bezruchu, gdy Pani, postanowiła poprzehadzać się pomiędzy pracującymi.

Spoglądając pogardliwie na swoje sługi, zatrzymała się przy jednej ze skrzyń.

Na jej pokrywie, znajdowało się niewielkie okienko, z którego biło słabe seledynowe światło, generowane przez znajdującą się w niej ciecz.

Przyglądając się dokładnie twarzy młodzieńca, widocznej przez otwór, rzekła do siebie z uśmiechem.

- To ten gnojek.

- Jaki gnojek? - zapytał ostrożnie Tudos.

- No ten, co był u mnie z tą lafiryndą. - w tej chwili Pani, przypomniała sobie o zbuntowanej Nieznajomej.

Dziwny niepokój przeszył ją całą, i poczęła nerwowo rozglądać się dookoła.

- Po co to magazynujecie? - zapytała zimno i ze złością.

- Nie wiem o Pani. Takie są procedury.

- Wypierdolić mi to! Ale już! - krzyknęła, nachylając się nad niższym od siebie, przygarbionym starcem.

- Mamy wypuścić je do Bałtyku?

- Kurwa nie wiem! Macie to wypierdolić! Jeżeli najszybciej będzie do Bałtyku, to może być do Bałtyku! Wyjebać mi te całe pierdolone gówno!

- Te które już zmagazynowaliśmy też? - dopytał zaniepokojony, kurcząc się jeszcze bardziej, i spoglądając na Panią ze skwaszoną miną.

- Też... - syknęła, i chwytając teatralnie za swoją suknię, odwróciła się na pięcie, po czym odeszła w stronę małej, podziemnej kolejki, która miała ją zabrać do Atalgosu.

Mojomi ujrzawszy dwie szare i niezwykle szybkie postacie, przestali kroczyć za Panią, oddając jej bezpieczeństwo pod opiekę Łowców, po czym poczęli pomagać reszcie, zapakować cały załadunek na statki, które miały wyrzucić odpady na dno morza.

Beniamin stojąc naprzeciwko Stacha i Pani, radował się we wnętrzu, myśląc iż nastała w końcu chwila, mianowania go na Cienia.

Nieco niepokojąca obecność, interesującej i nieznannej mu niewiasty, dodawała pikanterii dla tej chwili.

- Pewnie poznam kolejne tajemnice. - dumął, z trudem powstrzymując uśmiech, który był nie na miejscu, gdyż sytuacja była isticie wzniosła i mistyczna.

- Usiądź przyjacielu. - zaproponowała kobieta, wskazując krzesło, stojące przy wierzchołku trójkątnego stołu.

Zasiadając na nim, Beniamin miał przed sobą następujący obrazek.

Przy prawej krawędzi stołu, siedział Stach, a za nim stało dwóch, niemal niewidocznych Cieni, których oczy, odbijały niebieskawe światło, padające na tę część pokoju. Zaś z lewej strony stołu, siedziała nieznajoma kobieta, odziana w czerwień, asekurowana dwoma postaciami, fizjognomią przypominającymi Cienie, z tą różnicą, iż ich ślepki, odbijały czerwoną poświatę, ogarniającą ten sektor pomieszczenia. Na samym środku stołu, leżał kawałek papieru oraz pióro.

- Podpiszysz? - zapytał nieco znużony Stach, mierząc pytającym spojrzeniem Beniamina, który drżącą z podniecenia ręką, przysunął do siebie tajemniczy dokument, i począł go czytać, zerkając co chwila na kokietującą go, napaloną niewiastę.

Z trudem koncentrując się na tekście, i czując jak się czerwieni, zatonął w niewyraźnie napisanych wyrazach.

Oświadczam, iż podpisując niniejszy dokument, wyrzekam się dotychczasowego życia, na rzecz poświęcenia się w imię wyższych celów, których być może nigdy nie będzie mi dane poznać u ich źródła. Oświadczam, iż wyrzekam się dobroczynności, empatii, współczucia i litości, na rzecz zaspokajania swoich żądz, egoizmu, pogardy i zawiści. Oświadczam, iż wyrzekam się wszystkiego czego nauczyłem się dotychczas, na rzecz nowego ładu. Oświadczam, iż wyrzekam się samodzielnego podejmowania decyzji, na rzecz ślepego posłuszeństwa względem swoich panów. Oświadczam, iż wyrzekam się delikatności, wrażliwości oraz mądrości, na rzecz brutalności, obojętności oraz ignorancji. Oświadczam, iż wyrzekam się prawdy na rzecz kłamstwa. Oświadczam, iż będę oszukiwał wszystkich jak i samego siebie, dzieląc się jedynie prawdą ze swoimi panami. Oświadczam, iż powierzam swój los, zdrowie oraz wolę swoim panom. Oświadczam, iż przyjmuję w nagrodę za swoje posłuszeństwo pieniądze, rozpustne przyjemności oraz władzę. Oświadczam, iż wyrzekam się własnej duszy i przekazuję ją we władanie złu. Oświadczam, iż podpisując ów pakt, wyrzekam się miłości, na rzecz strachu.

- Co to kurwa jest?! - zapytał oburzony, zimnego jak nigdy Stacha, którego oczy, były niesamowitym chłodem.

- Pakt przyjacielu. - odparł niskim głosem, który nie przypominał tego, jakim posługiwał się na co dzień.

- Jaki pakt?!

- Podpisując go, dołączysz do grona nadludzi. - wtrąciła Pani, wstając z krzesła, i ruszając w stronę zdegrustowanego Beniamina, który chcąc nie chcąc, nie mógł oderwać od niej wzroku.

Kontem oka, zauważył jak Łowcy wraz z Cieniami, zaczęli biegać dookoła w takim tempie, iż po chwili, trójkę oraz stół, znajdujący się między nimi, poczęła otaczać wirująca ściana o czarno-biało-szarawym kolorze.

Skupił całą swoją uwagę na zielonkawo-żółtych oczach, przybliżającej się zmysłowo niewiasty, wsłuchując się w głos Stacha.

- Jesteśmy upoważnieni, do sprawowania władzy, nad całym podległym nam motłochem. Mówimy im co mają akceptować, a z czym walczyć. Co sprawia im radość, a co zadaje im ból. Mówi im co mają robić, a czego nie. My, nadludzie, jako zwierzchnicy jedyne go władcy świata, który ciemieży prawych, a wynagradza obłudnych, mamy obowiązek, używać nieświadomych mas, do zaspakajania swoich potrzeb, oraz wypełniania woli najwyższego, którego celem jest sianie chaosu, pożogi, niesprawiedliwości i śmierci.

- A ty słodziaku możesz do nas dołączyć i wspomagając nas, mieć wszystko, czego twoja dusza zapragnie. - dodała Pani, ocierając się o ramię Beniamina, którego zazwyczaj wstrzemięźliwe usposobienie, poczęło wywracać się do góry nogami, przeistaczając się w jedną ogromną, rozpustną żądzę.

- Wszystko? - zapytał mimowolnie, spuszczać na chwilę wzrok, w kierunku dużych, jędrnych i wyeksponowanych piersi.

- Wszystko... - szepnęła mu do ucha, zbliżając swoją twarz tak blisko, iż ciepło jej oddechu, uniosło wszystkie włoski, znajdujące się na jego karku.

Kładąc mu dłonie na barkach, poczęła je delikatnie masować, a po chwili, zjeżdżając w dół, przez tors i brzuch, dotarła do sztywnego penisa, którego poczęła pieścić.

Krople zimnego potu, zaczęły pojawiać się na jego skroniach, a ciepło wyłaniające się z jego wnętrza, niemal odebrało mu dech w piersiach.

- Wszystko... - ponowiła zmysłowo, przyciskając nos do ucha, i stękając z cicha, zaczęła zjeżdżać przyciśniętą twarzą po jego szyi.

W półświadomy Beniamin, wyciągnął rękę po pióro.

- Tak, zrób to... Zrób to... - szeptała przez udawane jęki, jakby za chwilę miała doznać orgazmu.

- Szybciej, szybciej... O tak... Teraz.

W momencie, gdy stalówka zetknęła się z papierem, zostawiając na nim kropelkę czarnego atramentu, Stach uśmiechnął się, pysznie zerkając na Panią, która odwzajemniła jego zachowanie, tracąc na ułamek sekundy, kontrolę nad omotanym mężczyzną.

W tej chwili, Benjamin spostrzegł uwłaczające mu zachowanie, które uświadomiło mu manipulację, której ofiarą miał zostać.

A takiego chuja zjeby!

Napisał na dole kartki, a po chwili, jego łokieć, wylądował na zdziwionej twarzy Pani, która upadając na ziemię z impetem, starała się jeszcze drapnąć napastnika.

Benjamin wiedząc, iż nie ma szans, w bezpośrednim starciu, wobec przeciwników, którzy byli w jego otoczeniu, błyskawicznie wyciągnął z kieszeni spodni cienki, pomarańczowy pasek, który z trzaskiem, przykleił do blatu, ze złością spoglądając w obojętne oczy Stacha.

- Wiesz, że odrywając rękę od stołu spowoduję, że wszyscy wylecimy w powietrze? - zapytał z triumfem w głosie.

- Wiem. - odparł spokojnie Stach.

- Więc mów! Mów co to ma znaczyć! - krzyknął, nie hamując dłużej złości i rozczarowania, które gotowały w nim krew.

- Nie.

Benjamin, zaskoczony przenikliwością przeciwnika, który wiedział, iż nie będzie w stanie sam odebrać sobie życia, gdyż uważał je za największy cud i dar od stwórcy, zaczął się niepokoić, po czym spuścił zmieszany wzrok.

- Widzisz? Dopiero po podpisaniu paktu, będziesz mógł myśleć o jakiegokolwiek rywalizacji ze mną. Masz jeszcze czas.

- Nie mam już czasu. Nie mam już czasu na wasze szaleństwa! - krzyknął, i walcząc sam ze sobą, starał się oderwać dłoń od blatu.

Po niespełna sekundzie, rozwścieczona Pani, która po raz pierwszy w życiu, została dotknięta w inny, niż sama tego chciała sposób, rzuciła się na Beniamina, i krzycząc, starała się wbić w jego oczy, swoje długie palce.

-Głupia pizdo! - krzyknął Stach, wyciągając bezradnie rękę ku walczącym, po raz pierwszy, w trakcie tej rozmowy, pokazując emocje.

Beniamin instynktownie zaczął się bronić, co skutkowało oderwaniem ręki od pomarańczowego plastra, który po kilku ułamkach sekundy, przeistoczył się w jasną kulę, wypełniającą całe pomieszczenie, i zamieniającą wszystko w kupkę pyłu.

Huk wybuchu był tak silny, iż rozszedł się po całym Mene, a fala uderzeniowa tak silna, iż drobny wstrząs tej części miasta, został przypieczętowany stuknięciem klapy, znajdującej się przy kiosku.

- Co to było? - zapytał sam siebie Jan, podrywając się w łóżku, i szukając wzrokiem Darii.

Gagi, modernizujący karabiny w swoim warsztacie, drgnął na wskutek stłumionego huk.

Skonsternowany wybiegł na zewnątrz, aby poszukać jego źródła.

Pomarańczowo-różowy obłok, przebijał się nieśmiało pomiędzy budynków i granatowych chmur, tworząc z niezakończoną jeszcze do końca nocą oraz podwieszonym na nieboskłonie księżycem, widok zapierający dech w piersiach.

Ocknąwszy się z chwilowego zachwyty, ruszył prędkim krokiem w stronę katedry, gdzie zazwyczaj udawało mu się uzyskać odpowiedzi, na dręczące go pytania.

Plac przed celem jego podróży był pusty, a lekki świszczący wiatr, macony

ćwierkaniem, zbudzonych przed chwilą ptaków, wprawiał go w pesymistyczny nastrój.

Dochodząc do zawsze otwartych wrót katedry, ujrzał wychodzącego z niej Franciszka.

- Niech będzie pochwalony. - przywitał się strapiony.

- Na wieki wieków. - odparł starzec radośnie, najwidoczniej niezłęknięty przejmującym wydarzeniem.

- Słyszał ojciec huk?

- Jestem stary, ale nie głuchy. Nie dało się tego nie słyszeć. - odparł z uśmiechem.

- Co to było?

- A bo ja wiem. Właśnie wyszedłem to sprawdzić.

Znajdując wspólny cel poszukiwań, nie widzieli żadnych przeciwwskazań, a żeby nie ruszyć razem w nieznane.

Zauważyli jak z okolicznych bloków wychodzili ludzie, a w niektórych oknach, pojawiali się gapie, starający się zaobserwować coś z bezpiecznej pozycji.

Grupka ludzi, zbliżyła się do Gagiego oraz Franciszka, a najstarszy z grupy zagaił strapionego.

- Niech będzie pochwalony.

- Na wieki wieków.

- Wie ojciec co się stało?

- Chyba wywieszę sobie kartkę na czole z napisem: Tak samo jak wy, nie wiem o co chodzi. - odpowiedział, spoglądając na rozbawionego tą kwestią Gagiego.

- Wie ktoś gdzie jest Stach? - zapytał ponowie mężczyzna, spoglądając badawczo po zgromadzonych wokół ludziach, których przybywało z każdą chwilą.

- Spokojnie ludzie. - wtrącił Franciszek w gwar, który powstał w mgnieniu oka.

- Rozejdźcie się do domów, a ja skontaktuję się ze Stachem, i obmyślimy plan działania.

- Nie powinno go tutaj być? - wtrącił wyraźnie przestraszony i podekscytowany młodzik, który zaniechał dociekań pod karcącym spojrzeniem kapłana.

- Oj nie panikujcie. Idźcie do domów. Zróbcie sobie śniadanie, spędźcie miły poranek z rodziną i nie lękajcie się.

- Czy to nie inwazja? - dodał kolejny nadpobudliwy młodzik.

- Proroctwo głosi, iż inwazja na Ziemię Świętą odbędzie się trzeciego dnia od Avigalu. - ogłosił pewny swego Franciszek, co uspokoiło zgromadzonym.

- No a więc... Pan z wami. - dodał na odchodne.

- I z duchem twoim. - odpowiedzieli chórem, po czym zaczęli rozchodzić się po domach.

- Ty zaczekaj. - szepnął do Gagiego Franciszek, chwytając go za rękę.

- Słucham? - zapytał, widząc iż jego duszpasterz, ma coś mu do powiedzenia w tajemnicy.

- Stach miał być u mnie już jakiś czas temu. Mało tego, nie mamy żadnych wieści od Cieni zza murów. Proszę poszukaj Stacha. Tylko dyskretnie.

- Gdzie mam zacząć?

- W jego mieszkaniu.

Jan stał przy łóżku Darii, i zerkając z okna, na rozchodzące się zbiorowisko, rozmyślał o dziejących się na dole wydarzeniach.

Pchany dziwnym, nieprzyjemnym przecuciem, postanowił obudzić słodko śpiącą córkę.

- Kochanie? - szepnął lekko, szturchając jej drobne ramię.

- Jeszcze pięć minut. - odparła przez sen, ziewając słodko.

- Kochanie wstawaj. - ponowił prośbę.

Po niespełna czterominutowej walce, udało mu się wyciągnąć z wyra tego małego leniucha.

- Dlaczego tak wcześnie wstajemy? - zapytała ze złością, przecierając oczy.

- Weźmiemy trochę jedzenia i pójdziemy na poranny piknik. Co ty na to? - zapytał z udawanym uśmiechem, którego zaspane i niezbyt spostrzegawcze dziecko, nie było w stanie odczytać jako fałszu.

- Musimy? - zapytała przeciągle.

- Chodź, będzie fajnie. - przekonywał.

- Chce mi się spać...

- Jak wyjdiesz na świeże powietrze, to od razu zaczerpniesz energii. Ubieraj się szybko, a ja wezmę kocyk i coś do jedzenia.

Zakradł się do kuchni, lecz nie na tyle skutecznie, aby nie obudzić, czujnie drzemiącej kobiety, która ich gościła.

- Co pan robi? - zapytała, stając w drzwiach od kuchni, i patrząc na grzebiącego w lodówce gościa.

- Biorę małą na poranny piknik. Takie z nas poranne ptaszki. - odparł niechętnie, nie odwracając wzroku od półek, wypełnionych żywnością i napojami.

- Mam fajny koszyk do pikników. Zaraz przyniosę. - zaproponowała kobieta, po czym zniknęła za ścianą.

Zapakowali razem koszyk niemal do pełna, a trzymająca w ręce koc niewiasta, zapytała.

- Słyszał pan ten huk?

- Słyszałem. - odparł obojętnie, jak gdyby nigdy nic.

- Ciekawe co to było.

- Pewnie nic takiego. - powiedział to w taki sposób, iż sam zorientował się o nieszczerości swojego tonu.

- Nie byłabym taka pewna. Radziłabym poczekać tutaj ze mną na decyzję Franciszka. - zaproponowała, patrząc na swojego rozmówcę uważnie i z podejrzliwością.

- Nic nam nie będzie.

- Jestem gotowa! - krzyknęła Daria, stając w drzwiach.

- Zuch księżniczka. - rzekł, podnosząc dziewczynkę na ręce, i śląc jej całusa w puciołowy, różowawy policzek.

- Jakby co, to drzwi będą otwarte. Nawet jakby mnie nie było, to proszę się nie krępować! - krzyknęła kobieta w kierunku prędko schodzących po schodach, stojąc w drzwiach wejściowych.

Maszerując szybkim krokiem, Jan mijał co rusz jakiegoś mieszkańca Mene, niechętnie wymieniając się z nim uprzejmościami.

Znalazłszy odpowiednie miejsce w parku, rozłożył kocyk, i umieścił na nim córkę oraz koszyk.

- Co chcesz? - zapytał radośnie.

- Chcę spać. - odparła nieco obrażona.

- To połóż się i śpij, a tatuś sobie posiedzi.

- To nie mogłam w domu? - zapytała, ściągając brwi.

- Tutaj przyjemniej czyż nie?

- No tak. - rzekła, i położyła się wygodnie na miękkim kocyku.

Jan siedząc oraz zajadając się drożdżówką drugiej świeżości, popijał ją mlekiem z butelki i przyglądał się katedrze, dobrze widocznej z tego miejsca.

Długo nic się nie działo, a po chwili, Franciszek spotkał się pod wrotami z Piotrem, który po krótkiej rozmowie, oddalił się szybkim krokiem w kierunku swojej siedziby.

Widocznie niespokojny Franciszek, dreptał pod murami katedry w tę i nazad, a słońce pokonało już mrok, swoją zbawczą mocą, zalewając budzące się ze snu miasto.

Wiatr ucichł, a śpiew ptaków oraz kumkanie żab, umilały Janowi czas wyczekiwania.

Po chwili, do Franciszka podbiegł Gagi, i nerwowo coś tłumacząc, starał się złapać oddech. Pocieszający go kapłan, na końcu rozmowy, położył mu na ramieniu dłoń w geście pokrzepienia, a zaraz potem, chłopak odbiegł równie szybko jak przybiegł.

Starzec schował się za murami świątyni, a plac ogarnęła wszechobecna pustka.

Starając się uspokoić i poskładać obserwacje w jeden logiczny ciąg, spojrzał na Darię, i obiecał sobie, że już nigdy, przenigdy nie odstąpi jej choćby na krok.

Niespełna piętnaście minut później, Jan zauważył jak zza murów katedry, wychodzi Franciszek w towarzystwie młodzieńca i dwóch kobiet.

- Pewnie wyszedł innym wyjściem. - rzekł do siebie w myślach, po pierwszym zdumieniu, które go zaatakowało, na widok duchownego.

- Tatusiu, jestem głodna. - powiedziała Daria, przeciągając się leniwie na kocyku.

- Proszę, masz tutaj serek.

Dziewczynka chwytając w małe rączki, plastikowy pojemniczek z produktem nabiałopodobnym, ucieszyła się, szczerze ukazując tę emocję niekłamany uśmiechem.

W okół katedry zaczęli się zbierać ludzie.

Po chwili, dotychczas pusty plac, przeistoczył się w niemal masowe zgrupowanie, w skład którego, w większości, wchodził mężczyźni.

Jan zauważył, iż w tym tłumie, nie ma ani jednego dziecka, co nakierowało jego umysł do domysłu, głoszącego iż Mene, przygotowuje się do wcześniej zapowiedzianej bitwy.

Wspomnienie odchodzącego w pośpiechu spod katedry Piotra, dało mu niemal pewną odpowiedź, co do lokalizacji najmłodszych, z pośród tutejszej społeczności.

Nie chcąc zostać odseparowanym od swojej córki, pchany jednocześnie ciekawością oraz chęcią pomocy, postanowił ruszyć w stronę zgromadzenia, pozostawiając Darię na bezpiecznie usytuowanym kocyku, który zamierzał mieć cały czas w polu widzenia.

Stając za zgromadzonymi, spoglądał co jakiś czas w stronę córki, która radośnie

machala do niego ręką, gdy on słuchał donośnego głosu Franciszka.

- Moi drodzy. Przepowiednia nie spełnia się dokładnie tak jak przypuszczaliśmy. Jak już wiecie, siły nieprzyjaciela nacierają na nas i zapewne w ciągu kilku godzin, dotrą pod nasze fortyfikacje, które rozkazałem wzmocnić. Wiem, że wielu z was się lęka, lecz zaniechajcie tego. Zgodnie z przepowiednią, tylko nieliczni z nas przeżyją tę inwazję, a reszta od razu po śmierci, uleci do Królestwa Niebieskiego. Zatem nie macie powodu do strachu.

- A co z dziećmi? - wtrąciła niska i drobna kobieta, przeciskająca się przez rosnących mężczyzn, stojących najbliżej wieszaka.

- Zgodnie z przepowiednią, żaden niepełnoletni byt, nie zostanie zgładzony na wskutek inwazji.

- Skąd ta pewność?

- Tak zostało napisane.

- Zostało też napisane, że inwazja odbędzie się trzeciego dnia od Avigalu, a wróg już idzie ku nam! - dodał podirytowany mężczyzna, krzycząc i rozglądając się po zgromadzonych.

W towarzystwie zawrzało od pytań, dociekań i oskarżeń.

Franciszek strapiony utraconą kontrolą, spuścił oczy, i ze smutną miną, pogрузił się w zadumie.

- Gdzie jest Stach?! - przebiło się przez jazgot pytanie, które trafiło do wszystkich.

Dziesiątki wyczekujących spojrzeń, spoczęło na zasmuconym Franciszku, który po chwili milczenia, odrzekł ostrożnie i z obawą.

- Nie wiemy.

Wieść o nieobecności lokalnego przywódcy, zasiała w zgromadzonych panikę.

Niektórzy pośpiesznie poczęli wracać się do domów, inni kłócili się między sobą, a pozostali stali w bezruchu.

- Zaczekajcie! Uspokójcie się ludzie! - krzyczał Franciszek z oczami, do których napływały łzy bezradności.

Niewielka grupa opanowanych, w tym Jan, który zerkał na strapioną córkę, zbliżyła się do starca, w celu ustalenia dalszych poczyną.

- Co robić ojcze? Co robić? - pytali.

- Wszystko idzie nie tak... - westchnął smutno, po czym dodał.

- Na początku ktoś musi udać się do portu po broń, której tutejsze zapasy nam nie wystarczą.

- Ja pojadę! - krzyknął Gagi, wyłaniając się za pleców muskularnego osiłka.

Franciszek spojrzał na niego z dumą.

- Sam nie dasz rady...

- I ja! I ja! - zaproponowali swoją pomoc następni.

Jan patrząc na Franciszka, walczył ze swymi myślami.

Chciał pomóc tym ludziom w dostarczeniu broni, ale bał się zostawić córkę w miejscu, które ponoć miało zostać podbite przez wroga. Jednocześnie w wyjeździe poza granice Mene, ujrzał okazję do ucieczki, ze tej dzielnicy, skazanej z góry na zniszczenie.

Ta myśl, wymusiła na nim następujące słowa.

- Ja też pojadę.

Franciszek zerknął na niego zdziwiony, a sceptycznie nastawiony Gagi, rzekł oschle.

- Mamy już komplet.

- Przydałby się ktoś do pokierowania pojazdami, które tam stacjonują. - wtrącił Franciszek.

- Przecież on nie umie prowadzić pługów. - dodał Gagi.

- Ale ciężarówkę poprowadzisz? - zapytał, patrząc zdumionymi oczyma na Jana.

- Tak. - odparł pewny swego.

- No to jedziesz z nimi. - rozporządził duchowny, ku niezrozumiałej dezaprobacie Gagiciego.

- Dziękuję. - powiedział Jan, spoglądając chytrze na córkę.

- Tak więc, spotkajcie się za piętnaście minut przy bramie A4. - dodał na koniec Franciszek, po czym udał się do katedry.

- No to do zobaczenia. - starał się radośnie pożegnać Jan, zmierzając w stronę Darii, lecz nieufny względem niego Gagi zawołał.

- Nowy! Tylko nic mi tu nie kombinuj.

Jan nie odpowiadając nic, machnął lekceważąco ręką.

Panujący w całym Mene zgiełk i chaos, przyprawiał starającego się odnaleźć w sytuacji Jana o ból głowy.

Dowiedziawszy się od jednego z przechodniów, gdzie znajduje się brama A4, ruszył w tamtym kierunku, prowadząc za rękę Darię.

Szczerliwym zrzędzeniem losu, miejsce zgromadzenia, gdzie znajdowały się

cztery ciężarówki, znajdowało się nieopodal pracowni Piotra, który w owej chwili, starał się przekonać rodziców, zabierających swoje dzieci, o bezpieczeństwie gwarantowanym przez przepowiednię.

Tak więc Jan, paradujący śpiesznie z córką przy boku, nie rzucał się nadto w oczy.

Ogólny harmider i brak organizacji, który chciał, za wszelką cenę zniwelować, rozporządzający wyjazdem Gagi, pomagał Janowi w zrealizowaniu jego pomysłu.

Jan, zakradając się ukradkiem do jednej z ciężarówek, odchylił plandekę, i wsadził na przyczepę złęknioną Darię.

- Co się dzieje tatusiu?

- Jedziemy na wycieczkę kochanie.

- Ale ja chcę z tatą.

- Ja będę prowadził, a tutaj masz dużo miejsca dla siebie.

- Ale ja chcę z tatą!

- Spokojnie kochanie. Masz pobaw się czymś, a jak dojedziemy na miejsce to dostaniesz nagrodę...

- Jaką? - dociekała podekscytowana.

- A to niespodzianka. Bądź grzeczna i nic nie mów, dobrze? - zapytał Jan, powodując owymi słowy, energiczne kiwnięcia głowy Darii, która w ten sposób, dawała znać, iż przystaje na te warunki.

- Zuch dziewczynka. Kocham cie. - dodał, kładąc palec na ustach, uformowanych w uśmiech.

Nie chcąc zostać przydzielony do innej ciężarówki, od razu do niej wsiadł, i gwizdnął w stronę podenerwowanego Gagiego, który usłyszawszy sygnał,

rozporządził resztą, po czym wsiadł na miejsce pasażera obok Jana.

- Myślałem, że się rozmyśliłeś. - rzekł, zapinając pas bezpieczeństwa, i kręca się niecierpliwie w fotelu.

- Miałbym przeoczyć taką zabawę? - zapytał Jan z ironią.

- Nie zgrywaj się. Wszyscy jesteśmy przerażeni.

Na te słowa, Jan nie mógł znaleźć żadnej riposty, więc postanowił zamilknąć.

Gagi spojrzał nerwowo na zegarek.

- Jeszcze dwie minuty. - burknął do siebie, klepiąc się po kolanie.

- Nie możemy już jechać? Wszyscy są. - zaproponował Jan.

- Nie! Wszystko musi iść zgodnie z planem.

- Ale...

- Zgodnie z planem! - powtórzył rozwścieczony.

- Kto w ogóle nas atakuje? - zapytał Jan, po chwilowej ciszy.

- Co?

- Przeciwno komu walczymy...

- Chyba się bronimy? - poprawił niemal oburzony Gagi.

- Co za różnica. - skomentował rozdrażniony Jan.

- Napisano, że w czasach gdy zły, pod postacią dwóch ludzi, przejmie panowanie nad światem, dojdzie do sądu, podczas którego, nasz stwórca, rozprawi się z niegodziwcami, aby zesłać chwałę na wiernych.

- Czyli my jesteśmy niegodziwcami? - zapytał Jan mrużąc brwi, i gubiąc się w zawiłej wypowiedzi swojego rozmówcy.

- Co?! - zapytał z niedowierzaniem Gagi, którego oczy przybrały niebezpieczny kształt, a z palców poczęły strzelać pioruny, lądujące na metalowych elementach tapicerki.

- No skoro nas jest mniej i musimy się bronić, to myślałem, że to po ich stronie jest stwórca. - zaczął tłumaczyć się zmieszany Jan, spoglądając z przerażeniem na elektryczne wyładowania.

- Przecież powiedziałem ci, że to zły przejął panowanie nad światem.

- A stwórca mu na to pozwolił? - zapytał zdziwiony.

- Nie zbadane są jego wyroki.

- Nie rozumiem.

- Nie ma tu nic do rozumienia! Trzeba robić to co nakazuje Pismo.

- Jakie pismo?! - warknął zniesmaczony Jan.

- Ech... Już czas... Ruszajmy. - westchnął zrezygnowany Gagi, patrząc przed siebie na otwierające się wrota.

- No dobrze... Nie chcesz gadać to nie. - skomentował obrażony Jan, i odpalił ślinik.

Rzadko spotykane, jak na tamte czasy, mechaniczne serce samochodu, zaczął głośno warczeć, a cały pojazd, popadł w nieprzyjemne drgawki.

Jan spojrzał złękniiony na skrzynię biegów i pedały, jakby zrobił coś nie tak.

- Wszystko gra, one tak chodzą. - wtrącił Gagi, spoglądając na kierowcę z

pogardą.

Chmura szarego dymu, widziana przez Jana w bocznym lusterku, również wprowadziła go w zakłopotanie, lecz założył, iż to również jest normalny objaw.

Śledząc jadące przed nim trzy, smrodzące ciężarówki, minął niepewny fortyfikacje, na których stali uzbrojeni po zęby wartownicy.

- Gdzie tu jest auto pilot? - zapytał rozdrażniony.

- Nie ma...

- Aha... Czyli muszę sobie radzić sam?

- No raczej.

Rozdział 19

Metalowy obelisk, znajdujący się na rozległym placu przy morzu, z którego wyrastały ku niebu, dwa szklane wieżowce, żarzył się krwisto czerwoną barwą, wydając bardzo ciche, rytmiczne dźwięki.

Niezliczony tłum, który dzień wcześniej, oblegał ów zjawiskową dekorację miejską, od pewnego czasu, podążał, równie jak wcześniej, mozolnie i bezładnie, w kierunku ufortyfikowanej dzielnicy, znajdującej się na drugim końcu miasta.

Setki tysięcy, majaczących i wolno maszerujących ludzi z bielmem na oczach, w poszarpanych ubraniach oraz z popękanymi od suchości ustami, oświetlanych pomarańczowym światłem, wschodzącego zza morza słońca, przypominało błotnistą, cuchnącą rzeknę, nad którą unosiła się aura dusznego i gorącego powietrza, tworząca nad głowami maszerujących, przezroczyste fale.

Na samym czele pochodu, kroczył dumnie, przygarbiony karzeł na krzywych nóżkach, który wymachując na prawo i lewo czerwonym sztandarem, podśpiewywał, na bieżąco wymyślaną, piosenkę, ze słowami, których nie dałoby się odnaleźć w żadnym ze słowników znajdujących się na Ziemi, lecz ten bełkot, wpleciony w prymitywny i powtarzający się rytm, idealnie nadawał się do sterowania nieświadomą masą, której znikoma percepcja, skierowana była na jaskrawym obiekcie, uciekającym przed nimi, w dyndającym stylu.

Na samym zaś końcu, tej upośledzonej defilady, podążały zmotoryzowane jednostki Mojomów, uzbrojone w broń palną, i ochoczo wykrzykujące motywacyjne hasła, zwiastujące klęskę przeciwników oraz dobrą zabawę.

- Jebać kurwy! Pierdolić ich! Zajebać śmieci! Śmierć skurwysynom!

W samym środku tego głośnego i naładowanego agresją wojska, znajdowała się niesiona przez Bayaszów scena, na której był czerwony fotel, zdobiony złotymi ozdobami.

Na nim siedział gruby mężczyzna, któremu towarzyszyło dwóch umięśnionych i

przystojnych mężczyzn, odzianych jedynie w skórzane slipki, którzy potulnie i ze sztucznym uśmiechem, przez który przebijało się zmęczenie, wachlowali, nie chcąc narazić tego tęgiego bysiora, na choćby odrobinę dyskomfortowego upału, który zaczynał się pojawiać.

Mężczyzna zaś, spoglądając leniwie w bezchmurne niebo, przekręcał cały czas główkę malutkiego pieska, którego dzierżył w rękach.

Kudłata szyja, pękła już od ciągłego skręcania karku, a zza skóry wydobywała się niewielka ilość krwi, co nie przeszkadzało sadyście, w kontynuowaniu swojego nowatorskiego występu, z którego realizacją, wstrzymywał się już kilka lat.

W końcu, gdy ścięgnięta, żyła, skóra oraz kręgosłup zwierzęcia, przestały ostatecznie scalać głowę z ciałem, skurwieli wyrzucił poza scenę tułów psa, przyglądając się z uciechą, wykrzywionemu od bólu pyszczkowi.

W takiej pozycji, postanowił zostać do momentu, gdy wraz ze swoją armią, stanie triumfalnie pod bramami Mene.

Maks nie pamiętał momentu zakończenia ceremonii, tak samo jak sposobu, w jaki dostał się na centralny plac, który w owej chwili, roił się od krzyczących i zadyszanych ludzi.

Matki starając się powstrzymać od płaczu, uspokajały ryczące dzieci. Mężczyźni, albo nosili meble na barykady, albo stojąc w kółku, wsłuchiwali się w rozporządzenia jednego z nich, a niektórzy żegnali się z rodzinami.

Stał sam.

Jakby w ułamek sekundy, przeniósł się z cichej, ciemnej kapliczki na ogromny, gorący plac przepełniony gwarem i chaosem.

Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu znajomych twarzy.

Nikogo.

Nie wiedząc co począć, i nie do końca orientując się w sytuacji, postanowił podejść do jednego ze zgrupowań.

- Drużyna C wraz z G i L udadzą się na przejście A3. My zaś, wesprzemy Cienie oraz drużynę A i B na przejściu A1, gdzie spodziewamy się głównego natarcia. - mówił dojrzały mężczyzna z poraną twarzą i zimnymi niebieskimi oczami.

- Kiedy przyjedzie broń? - zapytał jeden ze słuchających.

- Wysłaliśmy ludzi, którzy łąda chwila powinni być tutaj z zapasami, jakie przetrzymywaliśmy w porcie.

- Przecież Hasonmasy ich nie przepuszczą! - wtrącił kolejny.

- Cisza! - krzyknął rozwścieczony dowódca, po czym dodał.

- To że nie wszystko idzie zgodnie z planem nie oznacza, że mamy się położyć i czekać, aż wróg zabije nasze rodziny i nas przy okazji. To że nie mamy tyle broni na ile liczyliśmy, nie zwalnia nas z obowiązku ochrony naszych najbliższych. Niejedna kobieta, starzec czy dziecko, nie zawahałoby się w takiej sytuacji podjąć wyzwania, a wy macie czelność dopytywać się o broń?! Każdy z was dostanie co najmniej jedną broń palną, wraz z dwoma magazynkami, oraz trzy rodzaje broni białej, a co trzeci z was otrzyma granat odłamkowy. Magazynierzy są już gotowi do przydzielenia wam ekwipunku i czekają na nasze przybycie. To ostanía chwila, aby się wycofać i zejść wraz z niezdolnymi do podziemnych schronów.

Mężczyźni popatrzyli na siebie strwożeni, leczy gdy ich wzrok lądował na opanowanym przywódcy, żaden nie ośmielił się odezwać.

Maks pomimo, iż nie miał zielonego pojęcia co się dzieje i z kim, oraz o co przyjdzie mu walczyć, uległ reszcie.

Dziwna i nieprzejeđnana obojętność, ogarnęła go od chwili, gdy odzyskał świadomość na przepełnionym placu.

Dopiero podejmując decyzję, mającą niebagatelny wpływ na jego życie,

spozrzegł ten stan rzeczy.

Wcześniej był on mu tak samo obojętny, jak wszystko w tej chwili, lecz świadomość tego dziwnego zobojętnienia, nadała mu animuszu i odwagi, co w połączeniu z wartką akcją oraz napięciem, wymazywało z jego umysłu bolesne myśli, które mimowolnie poczęły ulatywać w bezkresną otchłań, by najprawdopodobniej, nigdy nie pojawić się na nowo.

Ten zagmatwany kłębuszek myśli i spostrzeżeń dotyczących jego samego, nie dość, że go rozbawił, to utwierdził jeszcze w przekonaniu, że wszystko to jest mu obojętne.

- Mi to wsio ryba! - krzyknął radośnie i wychodząc przed szereg, położył spoconą dłoń na umięśnionym barku mężczyzny, który spojrzał na niego ze zdziwieniem i dumą.

Kilka minut później, Maks wraz ze swoimi kompanami, siedział na wzmocnionej wyposażeniem domowym barykadzie, i patrząc bezmyślnie w lufę pistoletu, która zdawała się mierzyć prosto w jego lewe oko, kierował powoli palec tak, iż miałby on zaraz nacisnąć spust.

- Co ty odpierdalasz?! - krzyknął przywódca grupy, zabierając mu sprawnie pistolet.

- Ja... - jęknął wytrącony z zamyśłu Maks, nie do końca wiedząc przed czym go uchroniono.

- Jak chcesz sobie strzelić w łeb, to nie tu. - syknął ze złością, wwiercając się w niego spojrzeniem.

- Ja nie chciałem...

- Zamknij się i słuchaj. Ja wiem, że wam młodym może być ciężko, ale chyba rozumiesz, że takie zachowania osłabiają, i tak już mizerne, morale naszych chłopców?

- Ale ja...

- Zamknij się. Spójrz na niego. - wskazał na młodzieńca siedzącego w rogu i szepczącego coś do drewnianego koralika, trzymanego w rękach.

- Może też byś się pomodlił jak ci braknie sił? - zaproponował, i nadinterpretując zwrotne spojrzenie skonsternowanego młodzieńca, uznał iż wie on o czym mowa, po czym odwrócił się, i poszedł motywować kolejnych.

Maks z przymrużonymi oczami i ironicznym uśmiechem, przyglądał się dla mającego towarzysza broni, który trząsał się ze strachu.

Nie wiedząc jak się modlić, i nie wyciągając klarownych wskazówek z obserwacji, pogrążonego w prośbach młodzieńca, postanowił rozejrzeć się dookoła.

Bo obu bokach barykady, w oknach budynków oraz na ich dachach, stacjonowała spora liczba umundurowanych i uzbrojonych w potężne karabiny mężczyzn.

Brama znajdująca się pod nogami Maksa, z obu stron była zagrożona niezliczoną stertą mebli, ciężkich sprzętów domowych oraz elementów zewnętrznych ozdób miejskich. Sterta gratów, umożliwiała zejście do wewnątrz, zaś z zewnątrz, kończyła się stromą ścianą, ciężką do sforsowania.

Ponad pięciometrowa fortyfikacja, na samym szczycie, pomiędzy górami rupieci, posiadała szeroki blat, z którego wystawała niska blaszana ścianka, służąca do osłony, znajdujących się na nią ludzi.

W tym sektorze umocnień, przebywali najmłodsi i ci, którzy wykazywali najmniejszą werwę do walki.

Maks jak przez mgłę, przypominał sobie dotarcie do tego miejsca i rozkazy wydane mu przez stanowczego oraz nieco rozradowanego mężczyznę.

- NADCHODZĄ! - syknął blondyn niskiego wzrostu, ciągnąc Maksa na bluzę.

- Co? Kto? - zapytał zaskoczony, odwracając się raptownie.

- Słyszę ich.

- Kogo?

- Widzisz? - zapytał, pokazując urządzenie umieszczone w uchu.

- To wzmacniacz słuchu. Słyszę ich!

- Ale kogo?!

- Śmierć! Naszą śmierć! - krzyczał z wytrzeszczonymi oczami, które błędziły po wszystkich obecnych, których ta pesymistyczna prognoza, wprowadziła w osłupienie.

- Są ich tysiące! Miliony! Słyszę ich! - krzyczał, trzymając się za głowę i kręcąc w kółko.

- No kurwa mać! Weź się w garść żołnierzu! - krzyczał dowódca, przedzierający się przez sterczących podopiecznych, wpatrzonych w obłąkanego.

W momencie, gdy chwycił niesfornego młodzika, na błękitnym niebie, ukazała się migocząca raca, która wybuchła z hukiem, na najwyższej z możliwych dla niej wysokości.

- Idą... - westchnął dowódca, patrząc na znak, po czym dodał.

- Wszyscy na pozycje! Odbezpieczyć broń, i nie strzelać do puki nie powiem! - krzyczał, biegając między przerażonymi młodzieńcami, i siłą ustawiając ich w kierunku, z którego lada chwila, miał nadejść nieprzyjaciół.

Maks czuł, jak stopniowo wzrasta w nim strach, a ręce poczęły mu lekko drgać.

Tracąc kontrolę nad sobą, starał się odnaleźć dzyndzel na pistolecie, umożliwiając jego odblokowanie.

W końcu mu się udało, i celując na próbę w drogę, rozciągającą się przed nim,

drugą ręką, upewniał się, czy ma w kieszeni spodni zapasowy magazynek.

- Pewnie kolo przesadza. Nie może być ich dużo więcej od nas. - pocieszał się w myślach, nie mając pojęcia, przeciw komu przyjdzie mu walczyć.

Zerkając po towarzyszach, spostrzegł, iż część z nich, w niesamowitym skupieniu, z powagą na twarzach, czeka na rozpoczęcie walki, a inni, nie mogąc poradzić sobie z nadmiarem emocji, poczynali lekko płakać, albo szukać ewentualnej drogi ucieczki.

Chłopak, który przed chwilą był pogrążony w modlitwie, teraz z dumą oraz uśmiechem na twarzy, stał spokojnie, wyprostowany, i wyczekiwał wroga, patrząc przed siebie z uniesionym czołem.

Ów widok, napełnił Maksa animuszem oraz spokojem.

- Zginiemy! Wszyscy tu zginiemy, a ja nie skonstruowałem nawet procesora! - krzyczał, dalej szalejący w strachu chłopak, popatrując na innych, i licząc na ich poparcie, w rozgłaszanym poglądzie.

Większość ignorowała go, a uśmiechnięty młodzik, spojrzał na niego z politowaniem, i prychnął pogardliwie.

Ciche rozmowy, modlitwy oraz histeryczne krzyki wariata, ucichły błyskawicznie, gdy zza jednego z budynków, na główną arterię, prowadzącą do ich pozycji, wyszedł dziwny karzeł, machający czerwoną flagą.

Dowódca stojący pomiędzy najmłodszymi, patrzył przez lornetkę, i mimowolnie się uśmiechnął.

Chłopcy rozluźnili się, a nawet głośny histeryk, uspokoił się nieco.

Maks nie był pewny, czy ta mała postać, jest tak mizerna rzeczywiście, czy to tylko złudzenie, wynikające z dużej odległości, która ich dzieliła, co nie zmieniało faktu, iż sposób jego poruszania się, w jakimś sensie był zabawy.

Ogólne rozluźnienie, minęło równie szybko, jak się pojawiło, w momencie, gdy

po kilku sekundkach, w ślad za karłem, ukazali się krocący wolno, zdezelowani ludzie.

Ściśnięty, powolny pochód, wylewał się systematycznie zza zakrętu, i rozlewał na szeroką jezdnię.

Maks na widok majaczącego tłumu, przypomniał sobie chwilę, gdy wraz z Samantą, spotkali Beniamina.

Na myśl, że pojawiający się motłoch, może być równie liczny jak tamten, w którym przyszło im się znaleźć, napełniła go lękiem, zaś wspomnienie o Samancie, przeszło go jak niewidzialna strzała, generując bolesne ukłucie w klatce piersiowej, uniemożliwiając ruch.

Cała ich znajomość, począwszy od rozmowy w autobusie, skończywszy na ceremonii w katedrze, przeleciała mu przed oczami lotem błyskawicy, wraz ze szczegółami, których do tej chwili nie pamiętał.

Na końcu tego widzenia, ujrzał ją stojącą wraz z jego rodziną, w ogórku, obok dymiącego grilla, oblaną ciepłymi promieniami słońca.

- Kocham cię. - szepnęła, i wyciągając ku niemu rękę, poczęła znikać wraz z całą resztą.

- Zdejmij go. - rozkazał dowódca przed radio, co wytrąciło Maksa z rozmarzenia.

Po chwili huk rozbrzmiał, a karzeł padł martwy, z roztrzaskaną głową.

Maks rozejrzał się po blokach wokół, i ujrzał las łuf, wystających niemal z każdego okna, dwóch przeciwległych budynków.

Mimowolnie spojrzał na okna, mające funkcję drzwi, które znajdowały się po obu stronach blachy, służącej za podłogę.

Wyobraził sobie, jak nacierająca armia, nie mogąc przedostać się przez główną fortyfikację, przedziera się przez lichy umocnione wejścia do budynków, po czym

dostaje się w miejsce, w którym stoi, za pośrednictwem tych przejść.

Odwracając wzrok, w kierunku nieprzyjaciela, spostrzegł, iż zbity karzeł, leży w kałuży krwi, nieco ponad dwieście metrów od barykady, a za nim, ciągnie się bezkresna rzesza maszerujących, która regularnie, wyłania się zza lewego zakrętu.

- Mówilem, że zginiemy? - zapytał retorycznie, drżącym głosem, histeryk, z lekką nutą przekory.

Rozwścieczony dowódca, uderzył go lekko w głowę, otwartą dłonią, i nie spuszczaając wzroku, z przewyższających jego najgorsze oczekiwania, sił wroga, szepnął do siebie.

- Gdzie ta dostawa...?

- Tu A3. Potrzebne wsparcie. - odezwał się głos w radiu, zawieszonym przy barku dowodzącego, który rozgniewany, nie tylko na tragiczną sytuację, ale równie, nieulatwiająca mu pracę wiadomość, która nie powinna zostać usłyszana, przez jego podopiecznych, chwycił prędko za słuchawkę i rzekł.

- Tu A1. Jak sytuacja?

- Tu A3. Są ich tysiące, a nam brakuje już amunicji.

- Do A4. Była już dostawa?

- Tu A4. Nie.

- Do A4. Jak u was?

- Tu A4. Pusto.

- Tu A3. A4 podeślijcie nam kilku chłopaków.

Na łączach powstała chwilowa cisza, która zwiastowała rychło zbliżającą się kłótnię między dowódcami.

Nagle z głośnika dobiegł drżący krzyk, w którego tle, dało się usłyszeć wrzaski i strzały.

- Tu A2. Wycofujemy się! Powtarzam. Wycofujemy się! Wróg przebrnął przez umocnienia.

Brak jakiegokolwiek komentarza oraz bezmyślny wzrok dowódcy Maksa, wbity w podłogę, dał mu jasno do zrozumienia, co do stanu sytuacji.

Pordzewiała ciężarówka, mknęła przed siebie, a niestarannie umocowana plandeka, miotła się, hucząc przy tym nieznośnie.

Cisza w głośnikach oraz klekotanie co niektórych elementów samochodu, doprowadzały do szału, zjadanego przez ciekawość Jana, który w skupieniu, przypatrywał się samochodom, jadącym przed nimi.

- Jaki jest plan? - zapytał w końcu, nerwowo zerkając na zapatrzonego zza boczną szybę Gagiego.

- Wjeżdżamy do portu. Zabieramy broń z magazynów. Wracamy do Mene. Wygrywamy jednodniową wojnę, i zaczynamy wszystko od początku. - odrzekł znużony.

- Aha. - skomentował Jan, nie rozumiejąc nic, ze wcześniejszej wypowiedzi, lecz nie chcąc dociekać, wiedząc jakie emocje zrodziłoby to w jego towarzysz, umilkł z uśmiechem wyrażającym rozczarowanie i rezygnację.

- Dostanę broń? - spróbował jeszcze raz, równie zaczepnie i nieśmiało jak poprzednio.

- Tak.

- Teraz?

- Nie! Kurwa mać! Możesz zamknąć się na chwilę?! - krzyknął Gagi, odwracając

wzrok w stronę Jana, i przeszywając go swoimi obiektywami spomiędzy powiek.

- Dobra już dobra, nie denerwuj się tak. - odparł Jan, i nie wiedząc czemu, zaśmiał się do swojego odbicia w bocznym lusterku.

- Przepraszam... Nic nie idzie zgodnie z planem. Atak miał być później. Nasz główny dowódca wojskowy zaginął. Nie wiem czy zdążymy z dostawą broni, a tak w ogóle, to ciebie tutaj nie powinno być! - dodał na koniec ze złością, którą postanowił wyładować, na zupełnie niewinnym Janie, który przyswoiwszy ową uwagę, po raz kolejny uśmiechnął się komicznie i z pogardą.

Gagi zauważywszy, iż traci nad sobą kontrolę, postanowił milczeć i przyglądać się wyludnionemu miastu.

- A broń? Kiedy ją dostanę? - nie dawał za wygraną, mówiąc z głupkowatym uśmieszkiem.

- Daj ty mi święty spokój! - krzyknął zaciskając zęby, po czym wręczył natrętowi pistolet.

Jan, nie wiedząc czemu, kładąc go sobie pod pośladek, poczuł nagły przypływ pewności siebie i nadziei.

Uzmysłowił sobie, iż bez świadomej wiedzy, chodziło mu od początku, właśnie o ten pistolet, w którym mimowolnie, doszukiwał się zbawienia. Nie chcąc sobie łamać głowy, nad źródłem tych przeczuć, manewrów i ich skutków, postanowił nie ingerować w stan rzeczy, który zaczął mu się coraz bardziej podobać.

- Daleko jeszcze? - zapytał drwiąco, gdyż widok, wściekającego się Gagiego, bawił go w tej chwili niezmiernie.

- Dość tego! - krzyknął, zaciągając hamulec ręczny.

Samochód gwałtownie stanął, a rozwścieczony do czerwoności Gagi, mówił przez zaciśnięte zęby.

- Wypierdalaj stąd! Ale już!

- Spokojnie, spokojnie. Z tego co mówiłeś, jeden z nas będzie potrzebny do prowadzenia pojazdu, który mamy zamiar przejąć w porcie.

Gagi wziął głęboki oddech, zamknął oczy, po czym powiedział najspokojniej, jak tylko potrafił, lecz drżący głos, zdradzał jego zszargane nerwy.

- Przesiądź się na moje miejsce. Ale już!

- Dobrze już dobrze. - odrzekł Jan, udając przestach, i machając lekko uniesionymi rękoma.

Jak tylko wysiadł z samochodu, Gagi błyskawicznie wskoczył za kierownicę, i dysząc ciężko, obserwował flegmatycznie człapiącego Jana, który drapał się po prawym pośladku.

- Poprawię plandekę! - krzyknął radośnie z rozdziawioną od uśmiechu japońską, patrząc w odbicie Gagiego w lusterku.

Znikając z pola widzenia, ustabilizował uśmiech, i delikatnie przemówił, do wyraźnie zniecierpliwionej córki.

- Już zaraz, kochanie. Zaraz będziemy nad morzem.

- Jedziemy nad morze! - krzyknęła, powodując konsternację Jana.

- Ciii... Ciii... Kochanie. Nie krzycz tak. To właśnie była ta niespodzianka, ale nie krzycz tak głośno bo tatuś się wygadał. - dodał na koniec, patrząc na uradowaną córkę ze skruchą.

- A buziak? - zapytała Daria, wystawiając ochoczo, zarumieniony od radości, policzek.

Jan ucałował ją delikatnie, po czym zawiązał sznurki utrzymujące plandekę, i wszedł do samochodu.

- No tak mnie drażniła ta plandeka, że myślałem, że zwariuję. Ciebie też, prawda?

- zapytał szyderczo Jan, udając mniej inteligentnego, niż był w rzeczywistości, co doprowadzało Gagiego do szewskiej pasji.

- Tak. - odparł, i wcisnął pedał gazu.

Przez kolejne pięć minut jechali w ciszy, a ciągle uśmiechnięty Jan, bawił się pistoletem, drażniąc jednocześnie milczącego i gryzącego się w język Gagiego.

Jako iż ciężarówka, którą jechali, była najbardziej zdezelowana ze wszystkich, a igraszki Jana, jeszcze bardziej opóźniły ich jazdę, koniec końców, znajdowali się oni, mniej więcej, trzysta metrów od reszty konwoju.

Głupkowaty uśmiech Jana, przeistoczył się w zaszokowane oczy, przepelnione strachem, gdy na ich oczach, trzy, jadące przed nimi ciężarówki, wyleciały w powietrze, po tym, jak ktoś strzelił ku nim z dachu.

Ogniste bulwy, owinięte czarnym, gęstym dymem, wystrzeliwały po okolicy kawałkami rozgrzanego metalu. Wykrzywiony i popękany kołpak, wylądował na masce, przed twarzą Gagiego, który przerażony, wcisnął hamulec.

Siedząc, oddychał ciężko, i z niedowierzaniem, przypatrywał się biegnącemu ku nim mężczyźnie, który płonąc, krzyczał przeraźliwie z bólu.

Jan z pustką w głowie, i z rozdziawionymi ustami, przyglądał się efektownym wizualizacjom, ufundowanym mu, przez skrytych zamachowców.

Wnet myśl o Darii, której groziło równe niebezpieczeństwo, jak nieszczęśnikowi, który upadł przed chwilą, i leżąc na szarym asfalcie, płoną niczym pochodnia, wymusiła na nim podjęcie jakichkolwiek działań.

- Zawracaj. - zaproponował, nie spoglądając na kierowcę.

- Nie mogę.

- Jak to nie możesz?! - syknął, i chwycił na drążek zmiany biegów.

Gagi nie zastanawiając się długo, przyłożył mu do czoła lufę pistoletu.

- Możesz wysiąść, ale ja wykonam powierzona mi misję.

- Jesteś ślepy?! Nie przedostaniemy się!

- Jest drugi wjazd. Musimy się tam udać.

- Nie mogę.

- To wysiądź.

- Nie mogę.

- Dlaczego?! - krzyknął Gagi, a w tej chwili, zza jego drzwiami, odezwała się Daria.

- Tatusiu co się dzieje?

- Co do... - jęknął Gagi, obracając się za siebie.

- Zabrałeś ze sobą dziecko?! - krzyknął rozzłoszczony na zawstydzonego Jana, który spuścił wzrok i oblał się żywym rumieńcem.

- Ja... - szepnął.

- Idiota. Totalny idiota! - zaśmiał się Gagi, i odpalił ponownie silnik.

- Wracajmy. - poprosił Jan ze skrucą.

- Nie ma mowy.

- Tatusiu? - zawołała Daria, stojąc już przy drzwiach Jana.

- Chodź kochanie. - rzekł smutny, i posadził córkę na kolanach.

- Musimy im dostarczyć tę broń, liczą na nas. - skomentował Gagi, chcąc się trochę wytłumaczyć, gdyż przez chwilę, zrozumiał niekomfortową sytuację swojego kompana, który jak na złość, był jedyną osobą, która mogła mu pomóc.

Wieść o przedostaniu się przez jedną z barykad sił nieprzyjaciela, wprowadziła w osłupienie, czekających na rozpoczęcie swojej walki, żołnierzy.

- Wycofujemy się! - krzyknął dowódca po chwili zastanowienia, po czym począł powtarzać rozkaz przez radio.

- Tu A1. Wycofujemy się do katedry. Powtarzam wycofujemy się do katedry!

- Tu A3. Nie damy rady bez wsparcia. Wycofujemy się do katedry.

- Tu A2. Jesteśmy już w drodze.

- Tu A4. U nas nic się nie dzieje.

- Do A4. Macie się wycofać.

- Tu A4. Czekamy na transport.

- Do A4. To rozkaz.

- Tu A4. Czekamy na transport.

- Do A... - w radiu pojawił się szum zagłuszający.

Dowódca, spoglądając na umykających w pośpiechu podwładnych, zerknął na Hasonmasy, które powoli, poczęły wchodzić na siebie, tworząc przed barykadą nasyp, po którym mogły przejść przez umocnienia.

Drażniący jęk, doprowadzał go do szału, a widok pojawiających się w oddali sił Mojomów, wzbudził w nim strach.

Wyciągnął pistolet z kolby, i krzyżąc, zaczął strzelać do wspinających się po sobie Hasonmasów. Pociski pęczniejące we wnętrzościach ofiary, powodowały iż głowy przeciwników, pękały spektakularnie ku uciechu ich oprawcy.

Wystrzeliwszy cały magazynek, poczuł na swym ramieniu silny uścisk.

- Musimy ruszać. - rzekł Franciszek, ubrany w czarny kombinezon i kominiarke, którą podwinął tak, aby dowódca mógł ujrzeć jego twarz.

- Ojcz...?

- Ciii... - przyłożył palec do uśmiechu.

- Myślałem, że ojciec się za nas modli?

- Bo się modliłem! - krzyknął z udawanym oburzeniem, i dodał.

- A teraz musimy stąd iść.

Maks wbiegając do wnętrza katedry, dyszał ciężko. Zerkał nerwowo na skonsternowanych towarzyszy, i po chwili, czując słony smak potu w ustach, spojrzał na złoty ołtarz.

Czas jakby się zatrzymał, a błyszczące płaskorzeźby, poczęły przybliżać się w zatrważającym tempie.

- Co tu się dzieje? Co to ja świat? Kim ja jestem? - pytał siebie zagubiony Maks, nie mogąc oderwać wzroku, od jaśniejącej powierzchni.

Uczuł bolesne ukłucie w sercu, gdy zorientował się o swoim myśleniu, które napełniło go nie tylko wstydem, ale również pogardą dla samego siebie.

Spostrzegł, iż od jakiegoś czasu, myślał tylko i wyłącznie o sobie, i o tym jak zaspokoić swoje pragnienia lub opatrzyć rany. Jeszcze bardziej podłamał go fakt, iż nie był sobie w stanie przypomnieć chwili, w której jego myślenie było inne.

Z trwogą zrozumiał, iż nawet coś tak wzniosłego i pięknego, jak miłość do Samanty, w fundamentach, opierało się dokładnie na takim samym nastawieniu, z tym szczęściem, iż w większości kwestii, jej pragnienia, odczucia oraz przemyślenia, pokrywały się z jego, przez co żyło się im razem wsporniale.

Momentalnie zwątpił w prawdziwość swoich uczuć, gdy zorientował się o ich rzeczywistym wyglądzie, który nijak nie pasował do tego, w co wierzył.

Następną przygnębiającą myślą, utwierdzającą go w nieprzyjemnym położeniu, w odniesieniu do prawdy, była obecna sytuacja oraz jego wiedza, na temat funkcjonowania świata.

Pierwsze oświecenie, którego doznał podczas wizyty w katedrze, zdawało mu się teraz jedynie przygotowaniem, na przyjęcie bezlitosnego ciosu, który otrzymał w tej chwili od rzeczywistości.

- Co robimy?! - rozeszły się krzyki.

- Cisza!

- Nie możemy tutaj siedzieć!

- Zamknąć wrota!

- Nie ruszać wrót!

- Zginiemy!

Pośród zgiełku i krzyków, część żołnierzy, klęczało pogrążonych w modlitwie.

Maks, nie chcąc brać udziału w dyskusji, której końca sobie nie wyobrażał, postanowił klęknąć, i ze złożonymi dłońmi, poszukać odpowiedzi na swoje pytania.

Zastanawiało go, czy wyrzuty, które sobie czynił są słuszne, bo być może, każdy żyje właśnie w taki sposób, a poprzez porządki, rządzące wszechświatem, losy ludzi

łączą się w idealnej harmonii, a jego niska samoocena, wynika z obecnej nieciekawej sytuacji.

Nie wiedząc jak się modlić, zamknął jedynie oczy i czekał.

Starął się odizolować od gwaru, który czynił się coraz głośniejszy. Ciemność i cisza po woli wypełniały jego umysł, który zdawał się unieść nieco ponad jego ciałem.

Przestraszył się tym dziwnym stanem, i nie otwierając oczu, powrócił do momentu, w którym głosy dochodziły do niego wyraźnie.

Ponowił próbę, przepełniony ciekawości i nadzieją, na odnalezienie upragnionej odpowiedzi.

W momencie, gdy po raz kolejny, poczał opuszczać swoje ciało, przełamał pierwszy lęk, i dał się unieść ku górze. Nie widział nic, nie miał ciała, a wydawało mu się, iż buja się lekko na boki, niesiony jakby wiatrem z innego wymiaru, którego nie odczuwają ludzie, znajdujący się pod nim, których widział w bezkresnej ciemności oraz słyszał dokładnie, pomimo iż dźwięki, dochodziły jakby z dołu, i to ze znacznej odległości.

Pomimo otchłani, w którą brnął, fantastycznie odnajdował się w sytuacji na Ziemi, którą widział czymś, na wzór oczu wyobraźni.

Wszystko co było pod nim, zdawało się znajdować równocześnie w nim.

Nagle lot przyśpieszył, jak gdyby przebił się przez dach, i wylatując na wolną przestrzeń, wpadł w podmuch silniejszego wiatru.

Leciał coraz szybciej, coraz szybciej, aż czerń poczęła szybko drgać, a dźwięki stały się niewyraźnie i zagłuszane przez inne, dobiegające nie tylko z katedry, ale z całego Mene.

Spomiędzy szumów, wyłapywał co rusz pojedyncze wyrażenia.

- ... mamusiu ...
- ... nie bój się ...
- ... zginiemy ...
- ... chowają się ...
- ... jak tu duszno ...
- ... seler? ...

Nie mogąc opanować narastającego lęku, postanowił powrócić do ciała, co zajęło mu ułamek sekundy, chociaż wydawało mu się, iż droga powrotna, potrwa mniej więcej tyle samo, co lot w górę.

Ocknąwszy się z nieznanego sobie wcześniej stanu, zaczerpnął łapczywie powietrza, jakby wynurzył się spod wody, bądź wybudził z nocnego koszmaru.

Ciarki na karku oraz zimny pot, nie poprawiały jego zmęczonego samopoczucia.

- Czas ruszać! - krzyknął Franciszek, stojący przy ołtarzu, i ku zdziwieniu Maksa, odziany w militarny strój.

Zagubił się jeszcze bardziej, gdy spostrzegł, iż wszyscy pilnie wpatrują się w przemawiającego wieszczą, a tylko on, klęczy z boku, odłączony od rzeczywistości.

- Co się dzieje? - zapytał w końcu, najbliższego stojącego.
- Nie słuchałeś? - odparł zniesmaczony.
- Zasłabłem. - wytłumaczył się Maks, spuszczać wzrok.
- Wychodzimy. - stwierdził mężczyzna.
- Gdzie?

- Na plac.

- Na plac?

- Tak. Będziemy walczyć.

- A posiłki?

- Nie mamy łączności. - dodał na koniec, po czym skierował spojrzenie na Franciszka, który zaczynał ostateczną modlitwę przed bitwą, której nikt z nich nie miał zamiaru przeżyć.

Jadać w milczeniu, obserwowali dachy mijanych budynków. Niektóre były tak wysokie, iż dostrzeżenie czegokolwiek z samochodu, było niemożliwe, i za każdym razem, gdy mijali taką budowlę, zastygali na chwilę w bezdechu.

Obserwując dziwnie zachowujących się Gagiego i Jana, Daria, poczęła się denerwować i niepokoić.

- Dokąd jedziemy tatusiu? - zapytała w końcu, niepewnym tonem.

- Do portu kochanie. - odparł, nieumiejętnie udając spokój ducha, gdyż głos drżał mu znacząco.

- Ale ja nie wzięłam pontonu. - zasmuciła się dziewczynka.

- Pewnie tam będzie można wypożyczyć. - pocieszył.

- Zbliżamy się. - wtrącił Gagi, chwytając mocniej za kierownicę.

- Uciekajmy stąd. - zaproponował Jan.

- Co?! - oburzył się Gagi.

- Jest nas tylko dwóch. Mamy jedną z czterech ciężarówek. Czyli dostarczymy

jedną czwartą broni i jeden pojazd, o ile w ogóle nam się uda tego dokonać, bo jak widać, wróg wie o naszych zamiarach.

- Nie ma mowy. - zaprotestował stanowczo.

- Ale...

- Jak chcesz to uciekaj. Ja wykonam swoją misję do końca. - syknął ze złością, po czym dodał, wskazując ruchem głowy na przeszkodę przed nimi.

- Otwórz tę bramę.

Jan usadził na siedzeniu Darię, i wyszedł z auta.

Mocował się chwilę z rozsuwanymi drzwiami, lecz po krótkiej walce, udało mu się umożliwić przejazd dla swojego towarzysza.

Cała okolica była niezdolnie ciacha. Tylko morski, chłodny wiatr, świstał pomiędzy pustymi budynkami, które zdawały się jakby opuszczone, dziesiątki lat temu.

Gagi wjechał do środka klekoczącą ciężarówką, która dość wyraźnie, zdradzała ich pozycję, w tej nieprzeniknionej głuszy.

- I co teraz? - zapytał Jan, zaglądając do samochodu, zza otwartego okna pasażera.

- Wydaje mi się, że powinniśmy się rozdzielić. - zaproponował, niezbyt przekonany, co do swojego pomysłu Gagi, który nieco nerwowo obserwował otoczenie.

- Po co?

- Nie wiemy czy nie ma tutaj nikogo. Jeżeli zaś jest, to zakładając, iż jednego z nas dopadną, to drugi będzie miał jeszcze szansę dokończyć misję.

- Ty naprawdę w to wierzysz? - zapytał Jan z rezygnacją.

- W co?

- W powodzenie tej misji.

- Oczywiście!

- Słuchaj... Widziałem armię, o której mówił Franciszek. Są to tysiące, bezmyślnie działających ludzi, którzy nie czują niczego. Nawet gdybyśmy dostarczyli całą broń z portu do Mene, to i tak byłoby jej za mało, jak na tak liczego przeciwnika. A teraz? Jak mamy tylko jedną ciężarówkę i dwóch ludzi do załadunku? Zanim...

- Milcz! - wtrącił Gagi, i dodał.

- Niewdzięczny... Przygarnęliśmy cię i twoje dziecko. Wprowadziliśmy cię w nasze tajemnice i traktowaliśmy jak swego, chociaż nie przysłużyłeś się Mene w najmniejszym nawet stopniu. Zaufaliśmy ci i otoczyliśmy opieką, a w pierwszej dogodnej chwili, aby okazać wdzięczność, ty odwracasz się od nas plecami, i jeszcze masz czelność namawiać mnie do tak haniebnego czynu!

Jan przetrawiwszy te słowa, zapłonął na twarzy i spuścił wzrok.

- Mogliśmy zostawić cię i twoją rodzinę na pastwę Mojomów, tak jak nakazywało proroctwo, ale okazaliśmy ci litość, przez co może zakłóciliśmy bieg dalszych wydarzeń, które są teraz dla nas bardzo niekorzystne, a ty mimo wszystko, myślisz tylko i wyłącznie o sobie! - krzyczał, przeszywając Jana swoim mechanicznym spojrzeniem.

- Nie chodzi mi o mnie! - zawtórował ze łzami w oczach, spoglądając błyskawicznie w stronę skonsternowanej Darii, która krzyknęła wychodząc z samochodu.

- Tatusiu!

Ładując w ramionach ojca, spoglądała z wrogością na Gagiego, który zbity z tropu, patrzył ze złością przed siebie, i syczał przez zaciśnięte zęby.

- Jak udacie się stąd na wprost, i przy morzu skręćcie w prawo, to powinniście dostać się do luksusowych jachtów oraz motorówek.

Jan oniemiał, i patrząc się na kierowcę, słuchał dalej, licząc na kolejne wskazówki.

- Spokojnie dopłyniecie nimi do Karlstromy, gdzie lokalne Mene, mieści się w porcie, więc może tam, mają więcej szczęścia, i uda się wam przeżyć.

- To jest więcej Mene? - zapytał zdumiony Jan.

Gagi prychnął wzgardliwie i rzekł.

- Cały świat jest teraz pogrążony w wojnie. Cały świat wygląda tak samo. Cały świat stoi u krawędzi zagłady.

- Czy to znaczy...

- Nie wiem jak wygląda sytuacja w innych krajach. Ba! Nawet nie wiem jak wygląda sytuacja w innych częściach Polski. Wiem jedynie, że to są ostatnie dni, świata takiego jaki znamy.

- Dziękuję. - odparł Jan po krótkim namyśle, po czym chwyciwszy Darię za rękę, ruszył w stronę morza, nie odwracając się za siebie, i słysząc odjeżdżający samochód.

Drewniane i ciężkie wrota otworzyły się, wpuszczając do wnętrza mrocznej i chłodnej katedry, promienie słońca oraz powiewy ciepłego wiatru.

Oślepiiony nagłym blaskiem Maks, kroczył przed siebie w ścisku, popychany lekko przez kogoś za nim. Zacerpnął z przyjemnością, rześkiego powietrza, a w chwili, gdy wzrok przywykł do słońca, zauważył jak ludzie przed nim, formują się w prosty, zbity szyk.

Nie słuchając odprawy, nie wiedział gdzie podążać, i jak się zachować.

Postanowił śledzić najbliższego z mężczyzn, który trzymając mały karabinek, biegł truchtem na skrzydło.

Dotarłszy na koniec szeregu, zerknął wzdłuż niego, i zobaczył liczną grupę, gotowych na wszystko mężczyzn, który bez najmniejszego śladu lęku na twarzach, podawali sobie broń, rzucając ją niezdarnie.

Zadziwiony sprawnością, z jaką im to przychodziło, zauważył, iż w jego kierunku, leci pistolet.

- Łap! - odezwał się nieznany głos, a Maks wyciągając rękę, wykalkulował, iż broń leci nieco za daleko, lecz czuł jakiegoś rodzaju presję tak silnie, iż nie ruszył się nawet o krok, aby ułatwić sobie pozyskanie broni.

Mierząc wzrokiem lecący przedmiot, zastanawiał się, gdzie jest jego dotychczasowy ryneczek, i domyślił się, iż najwidoczniej został on mu odebrany, tak jak reszcie, po czym przydzielony na nowo.

Kątem oka zauważył, że żołnierze, znajdujący się bliżej centrum, mieli cięższe wyposażenie, zaś ci bliżej skrzydeł, byli wyposażeni w coraz lżejszą broń.

Wyciągając się jak struna, w stronę pistoletu, zaobserwował, jak niewielkie błyskawice, wydostają się z jego paców, i oplatają metalowy przedmiot, przyciągając go równocześnie ku dłoni.

Rozbawiony przydatnością gadżetu, który zdawał mu się bezużyteczną zabawką, przypomniał sobie o Gagim. Swoim przyjacielu, którego znał od najmłodszych lat.

Przekręcając z zaciekawieniem pistolet, począł zastanawiać się po raz kolejny, nad swoim teraźniejszym położeniem.

Dotychczas, wydawało mu się, że zna siebie na wylot, lecz niedawno uzmysłowił sobie, iż jego samoocena, była w dość sporym stopniu spaczona, więc nawiedziła go kolejna myśl zwątpienia, szepcząca, iż mógł równie nieprawdziwie, spoglądać na otaczający go świat, który funkcjonował zupełnie inaczej, niż mu się wydawało.

Smutek, zwątpienie i wstyd, które go ogarnęły po tym przemyśleniu, przeistoczyły się w kolejną falę depresyjnych myśli, po czym zaczął mówić do siebie w myślach.

- Ludzie... Skoro nie znałem siebie oraz świata, to najprawdopodobniej nie znałem również ludzi, których myślałem, że znam. Być może nikt nie był szczery w stosunku do mnie, chowając się pod przyjaznymi maskami, dla zwykłego zachowania kultury, gardząc mną we wnętrzu, widząc moją obłudę, i kierowanie się wyłącznie własnym interesem, o czym ja sam, do niedawna, nie byłem świadomy. Być może Samanta, również nie kochała mnie naprawdę, tylko związała się ze mną wyłącznie dla wygody, przygody i zabawy, która to zapewne, sięgała apogeum, gdy spotykała się ze swoimi przyjaciółkami. Być może nikt nigdy mnie nie kochał, a wszyscy traktowali mnie jak zło konieczne, którego nie można pozbyć się zawczasu, bo najzwyczajniej w świecie nie wypada?

Stał tak w zamyśleniu, i lustrował kostkę brukową, wyłożoną pod jego stopami.

Świat stanął w miejscu, a w nieprzejeźdźnanej ciszy, która zdawała się idealnie przegrywać do jego czarnych myśli, przypominał sobie zachowania swojej matki, które radując go wewnętrznie, utwierdzały jednocześnie w przekonaniu, iż ta kobieta, bez wątplenia przelewała na niego całe swoje serce.

Nieco uspokojony, porównywał sytuacje, i zachowania różnych bliskich mu osób, po czym po niespełna kilku sekundach, cała jego wcześniejsza teoria, odnośnie nieszczerych uczuć, żywionych wobec niego, legła w gruzach.

Uśmiech zawitał na jego pomarszczonej od słońca twarzy, a kolejna, zasmucająca myśl, nawiedziła go pędem błyskawicy.

- Moja rodzina, przyjaciele... Wszyscy nie żyją, a ja nie powiedziałem im, jak bardzo ich kocham. - mówił sobie w myślach.

Łzy napełniły jego oczy, a duszący żal, wypełnił go w całości. Drgające wargi, zdawały się wprawić w ruch całe ciało, które nie było w stanie, spokojnie ustać w miejscu.

Czuł na sobie zdziwione i zażenowane spojrzenia towarzyszy, lecz nie przejmował

się nimi. Drżącą ręką, postanowił przyłożyć sobie lufę do skroni, lecz został powstrzymany przez jednego z żołnierzy.

- Zachowuj się! Jesteś nam potrzebny.

Te słowa otrzeźwiły go znacząco, gdyż nie chciał po raz kolejny w swoim życiu zawieść.

Nawet jeżeli miała to być mało istotna dla niego osoba, sam fakt, wywołania u kogoś uczucia zawodu, przerażał go, i motywował do działania.

Otarł łzy, po czym skierował wzrok przed siebie.

Około trzystumetrowy szereg, w którym się znajdował, oddzielał nieatakowaną przez wroga bramę A4 od reszty Mene, która powoli, wypełniała się Hasonmasami.

W wyczekiwaniu, przyglądając się, jak z wolna podążająca ku nim rzesza ludzi, zalewa wszystkie budynki oraz place, dróżki i parki, znajdujące się wokół nich, Maks zauważył, jak w samym centrum szyku, pojawił się, jadący na białym koniu i odziany w srebrną zbroję, Franciszek.

Przystanął kilka metrów przed gotowymi do walki żołnierzami, i spoglądając na nich łagodnie, prezentował dzierżącą w ręku wyrzutnię rakiet, w której znajdował się owalny, jakby napęczniały pocisk, z jaskrawoczerwoną końcówką.

- Do boju! - krzyknął zachrypniętym głosem, i cwałem ruszył w stronę nieprzyjaciela.

Cała kohorta uzbrojonych synów, mężów i ojców, ruszyła za nim.

Jeno Maks, starał się biec równie szybko, lecz nogi jego były jakby z ołowiu.

Zły na siebie, gdyż po raz kolejny, przyszło mu rozczarować kogoś swoją osobą, zaciskając zęby, wyęczał wszystkie swoje siły, aby dorównać reszcie w biegu.

Znacząco zostawał w tyle, a po chwili, spostrzegł duży wybuch pomiędzy

nieprzyjacielem, a ze wszystkich stron, poczęły nacierać na Hasonmasy, nieliczne grupki, niesamowicie szybkich, zorganizowanych i czarnych postaci.

Walka trwała w najlepsze, przeszywana krzykami, wystrzałami, wybuchami i syczeniem tryskającej krwi.

Zamykając oczy, aby do granic, przenieść swoją energię, na będące w potrzebie, dolne kończyny, poczuł, że lekko przyspiesza.

Otwierając oczy, aby ujrzeć postęp jaki poczynił, zorientował się, iż znajduje się w samym centrum bitwy.

Hasonmasy, bezmyślnie wymachiwały rękoma, drapiąc, gryząc, przewracając i depcząc przeciwników. Cienie, szybkimi ruchami, swoich niemal niewidocznych ostrzy, cięły wroga, niczym przemysłowe maszyny. Pospolici żołdacy, wysilali się ponad granice wytrzymałości, szarpiąc się, strzelając, ginąc i zabijając.

Oniemiały Maks, spostrzegł walczącego Franciszka.

Ciężko uzbrojony kapłan, siedział na koniu, który atakowany przez hordy nieprzyjaciela, co rusz stawał na tylne nogi, i niczym w triumfalnej stójce, był podporą dla Franciszka, który strzelał z wyrzutni, której magazynek, zadawał się nie mieć końca.

Ogrom chaosu i zniszczenia, jakie siał ten starzec, napędzała Maksa wolą walki.

Wciskając spust pistoletu, wycelowanego w jednego z Hasonmasów, okazało się, że jest on nienaładowany.

Rozgniewany i wściekły na lokalnego logistyka, podbiegł do przeciwnika, po czym starał się go uderzyć z całej siły w głowę.

Ręka zmierzała ku przeciwnikowi w tempie tak straszliwie wolnym, jakby Maks znajdował się w pojemniku, wypełnionym po brzegi ropą. Mało tego, okazało się, że jego pistolet, wyglądał jakby był z gumy, gdyż przy każdym uderzeniu, które nie wyrządzało żadnej krzywdy przeciwnikowi, wyginał się groteskowo.

Nie mogąc pojąć obecnego stanu rzeczy, rozejrzał się dookoła.

Niedobitki żołnierzy, wycofywały się w przerażeniu, dopadane przez Hasonmasy. Cienie, jakby momentalnie straciły swoje nadludzkie umiejętności, i również ulegały, znacznej przewadze liczebnej przeciwnika, a na domiar złego, Franciszek spadł z konia, niknąć w otaczającym go tłumie.

Maks w przypływie gniewu, chciał rzucić się na stojącego naprzeciw niego Hasonmasa, lecz nie był w stanie. Im bardziej chciał go uderzyć, tym bardziej jakaś nieznana mu siła, zabraniała mu tego, powodując nieprzyjemny, bezradny paraliż.

Nie czując bólu, i z dziwną obojętnością, przyglądał się, jak Hasonmasy, rozrywają go na kawałki, ciągnąc za ręce i nogi.

Ostatnim, co przyszło mu zarejestrować przed śmiercią, był dźwięk lecącego helikoptera, i jaśniejąca tarcza słońca, wisząca na błękitnym nieboskłonie, dokładnie nad samym centrum, odbywającej się bitwy, które to zapewne, przyczyniło się do roztopienia jego pistoletu, co do tej pory, nie dawało mu spokoju, i towarzyszyło w ostatnich ułamkach jego życia, które zakończyło się bezboleśnie pod każdym względem.

Jan wraz z Darią, biegli w stronę upragnionych motorówek, które miał ich przetransportować w bezpieczne miejsce.

Świszczący pomiędzy betonowymi, opuszczonymi budynkami wiatr, wprawiał Darię w zakłopotanie, i nieprzyjemnie pobudzał jej młodzieńczą wyobraźnię, a latające w okolicy i kraczące kruki, które w dziwny sposób, zastąpiły zazwyczaj widywane w portach mewy, przejmowały lękiem, nawet bojowo nastawionego w owej chwili Jana.

- Daleko jeszcze? - zapytała zmęczona Daria.

- Ciii... - szepnął Jan, kładąc palec na ustach, i patrząc uspokajająco na córkę.

Po chwili zostawił ją pod ścianą budynku, a sam podbiegł prędko do drzewa, zza

którego obserwował okolicę.

Wszechobecna szarość i beznadzieja, otaczały go dookoła, a widok opuszczonych budynków z popękanymi ścianami, bezlistnych drzew, oraz ukazujących się, raz po raz, na zachmurzonym niebie, czarnych ptaków, nie pozwalał mu wyzbyć się uczucia, iż gdzieś w pobliżu, czyha na nich niebezpieczeństwo.

Nie do końca świadomie, skierował rękę za pasek u spodni, i znalazł tam pistolet, który zdawał się kłaść na fotelu kierowcy.

Uradowany znaleziskiem, nie czuł potrzeby, zastanawiania się nad okolicznościami, w jakich się ów przedmiot, znalazł w jego posiadaniu.

Trzymając broń oburącz, spuszczoną przy prawym biodrze, przemykał wpół kucając, od osłony do osłony, co rusz patrząc na drobną, różową postać, jaśniejącą na tle szarego otoczenia.

Zaśmiał się w duchu, gdy spostrzegł, iż dla dodania wyjątkowości obecnej chwili, nucił sobie w myślach muzykę, ze znanego mu filmu akcji.

Po zwiadowczej misji, powrócił do córki, i ponowne chwytając ją za dłoń, ruszył dalej.

Dźwięk obijających się fal o falochrony, zdawał się coraz wyraźniejszy, i napełniał ich serca radością, która prysła jak ręką odjął, w momencie, gdy ujrzeli warujących Mojomów, na jedynej drodze, prowadzącej do prywatnych portów.

Jan przykucnął za kontenerem, i uspakajając, niezbyt poruszoną dziewczynkę, przyglądał się swoim celom.

Było ich czterech, z czego jeden, smacznie śpiący pod jedną ze ścian.

Wąski przesmyk, zdawał się ułatwiać mu szybką i bezproblemową eksterminację przeciwników.

Wyciągnąwszy magazynek z pistoletu, policzył naboje, po czym postanowił

działać.

Energicznie wybiegł zza zielonego, metalowego kłosa, i biegnąc w kierunku, niewidzących go Mojomów, krzyczał mierząc z pistoletu.

- Na ziemię! Policja! Ręce do góry!

Zauważając jedynie tępe zdziwienie na wytatuowanych twarzach oraz brak jakiegokolwiek chęci poddania się, pociągnął kilka razy za spust, a po chwili, cała trójka, leżała na asfalcie w kałużach krwi.

- Jupi! Tatuś jest super! - krzyczała Daria podskakując radośnie, która z perspektywy Jana, wyglądała jak odbijająca się od ziemi, różowa piłka do ćwiczeń gimnastycznych.

Zaskoczony celnością swoich strzałów oraz pokrzepiany owacjami córki, zaczął popadać w samozachwyt, i lekko mrużąc oczy, wodził wzrokiem po otoczeniu, z podniesionym czołem, jakby wyczekiwał tłumów, które miałyby go zasypać oklaskami i wiwatami.

Miłe rozmarzenie przerwał huk i ból w nodze, który spowodował jego upadek.

Wijąc się i tamując krwawiącą ranę dłonią, spostrzegł załzawionymi oczami, rechoczącego Mojoma, o którym zapomniał, a który teraz, szedł w jego kierunku, spod ściany, przy której spał.

Czas zwolnił, a wizja poczęła się rozmazywać.

- Tatuś jest super! - rozbrzmiewał słodki głosik, jakby zza światów, ale jednocześnie z jego wnętrza.

Resztami sił, pochwycił pistolet, i wystrzelił prosto w czoło Mojoma, który nie wiedząc czemu, szedł tylko w jego kierunku, nie robiąc nic więcej, mimo iż dzierżył w rękach karabin.

Tracąc zupełnie siły, zamknął oczy, i słysząc płacz oraz prośby córki, poczuł jak

ktoś go podnosi.

Zdziwiony możliwościami swojej różowej księżniczki, zdołał, pchany dumą i ciekawości, przetworzyć powieki, lecz zaskoczony jeszcze bardziej, ujrzał tachającego go Gagiego, który spostrzegłszy nikłą świadomość ранego kompana, rzekł.

- Miałeś rację. Musimy uciekać.

Uśmiech pojawił się na zmęczonej twarzy Jana, który po tych słowach doznał ulgi, gdyż do tej chwili, czuł lęk przed nieuniknioną chwilą, w której będzie musiał przyznać sam przed sobą, iż zachował się niehonorowo. Teraz zaś, gdy nie był sam w tym mentalnym występku, czuł znacznie mniejsze poczucie winy i wstydu.

Zrozumiał teraz, dlaczego niektórzy, celowo ciągną za sobą ludzi ku zatraceniu, chcąc tym samym, zaspokoić swoje własne poczucie winy.

Uradowany i spokojny zamknął oczy, po czym pogrążył się we śnie.

Przebudziwszy się na wygodnej, atlasowej koi, spojrzał przez wejście pod pokład, i ujrzawszy Gagiego za sterem, począł macać ręką po półkach, w poszukiwaniu pistoletu.

Zapewne, krążące nad płynącą motorówką kruki, zazwyczaj zwiastujące niepomyślność losu, wprowadziły go w zakłopotanie, dlatego następnym jego posunięciem, było znalezienie Darii, która okazała się leżeć obok niego, słodko wtulona w swojego bohatera.

Nie chcąc jej budzić i czując okropne znużenie, obserwował w milczeniu Gagiego, który w skupieniu, spoglądał na horyzont, mocując się z szalejącym sterem.

Lekkie bujanie, umilało mu tę błogą chwilę, którą zmaćił dźwięk lecących śmigłowców.

Gagi począł rozglądać się nerwowo po zachmurzonym, miejscami granatowym niebie.

Dwie jednostki, przeleciały kilkaset metrów za jego plecami, co nie zostało nie zauważone przez Jana.

Gagi puścił ster, i w akcie przezorności, zamknął szczelnie wejście do łodzi na kłódkę.

Zdegustowany nierozsądnym postępowaniem kapitana Jan, zerwał się nagle, i przyległ do szklanych drzwi, uderzając w nie z całej siły.

Helikoptery, latające nisko wokół płynącej łodzi, powodowały niesamowity hałas oraz spore fale, które nie tylko mocno bujały niewielką motorówką, ale również, wdzierały się momentami na pokład, ścinając z nóg, walczącego z żywiołem Gagiego.

- Otwieraj! - krzyczał bezsilnie Jan, wiedząc, iż Gagi, w tym zgiełku, nie ma szans go usłyszeć.

Na domiar złego, z nieba zaczął padać deszcz, a co jakiś czas, niebo przecinał jasny piorun, lądujący z hukiem na wzburzonym morzu.

Drobne przedmioty, znajdujące się w kabinie, zaczęły spadać z półek, i latać z kąta w kąt, uderzając to w Jana, to w krzyczącą Darię, która płakała zwinięta w kłębek.

Jan spostrzegłszy opłakany stan swojej córki, usiadł koło niej, i starał się ją uspokoić, patrząc ze złością na Gagiego, który prawie wyleciał przed chwilą za burzę.

Lecący wprost na nich śmigłowiec, wystrzelił z działek. Żółte pociski, mknące ku nim, tworzyły na granatowych falach, dwie równe ścieżki, które po chwili, wtargnęły na łódkę, szatkując Gagiego, i dziurawiąc aluminiową konstrukcję.

Umierający młodzik, ostatkami sił, uniósł ku górze dłoń z wyciągniętym kciukiem, a swoimi świecącymi oczyma, nad którymi najwyraźniej stracił kontrolę, oświeślał ów gest, migoczącym światłem.

Jan spoglądając na ten żenujący obrazek, wyczytał z niego, iż Gagi wiedział co robi, zamykając ich tutaj.

Patrząc za siebie, spostrzegł, iż po drugiej stronie tego pomieszczenia, znajdują się drzwi z takiego samego materiału, jak te, które zamknął Gagi.

Migiem zasunął je najszybciej jak potrafił, i zatrzasnął żółtą, plastikową kłódkę.

Helikopter nawracał jeszcze kilkakrotnie, za każdym razem częstując dryfującą już i dymiącą motorówkę, gradem pocisków.

Zza szklanych drzwi, które zamknął przed chwilą, ujrzał, jak do środka sąsiedniej kabiny, wdzierają się litry morskiej wody, która wlewała się za pośrednictwem mnóstwa dziur, znajdujących się w kadłubie.

Jan zrozumiał, iż znajdują się w wodoszczelnej, pancernej części łodzi, w której będą mogli, spokojnie i bezpiecznie poczekać, aż służby ratownicze ich odnajdą.

Problem pojawił się w chwili, uświadomienia sobie, iż takowe służby, zapewne nie funkcjonują w trakcie obecnej, niestabilnej sytuacji w najbliższym mieście portowym.

Nieco zrezygnowany i zobojętniały, usiadł na koi, wysuwając przed siebie krwawiącą nogę, która nie sprawiała mu bólu.

Spojrzał na Darię, która ku jego radości, spała jak zabita.

Skierował spojrzenie na niewielką ilustrację, wiszącą na jednej z białych ścian pomieszczenia.

Ku jego zdziwieniu, w plastikowej ramce, było umieszczone malowidło, ukazujące piramidę, w którą było wpisane oko, co przypomniało mu fresk z katedry, który tylko minimalnie, różnił się od obrazu, obserwowanego teraz.

Uwagę od tego niewątpliwego i zwodniczego dzieła sztuki, odwróciły leżące w kącie błękitne stringi i różowy stanik, którego miseczkę, Jan wyszacował na HH.

Odlatujące helikoptery, widziane przez Jana, dzięki małym okienkom, nakazywały mu optymizm, który począł ulatywać z jego duszy w chwili, gdy łódź poczęła gwałtownie tonąć. Napełniony wodą dziób, przechylił motorówkę, przewracając Jana i Darię, która lecąc, upadła na szklane drzwiczki, uderzając w nie głową, i powodując niewielkie pęknięcie.

Jan przeklinając w myślach, nie tylko niekorzystną sytuację, ale również producentów drzwiczek, których materiał, z których zostały zrobione, zostawił wiele do życzenia, zaczął tulić do siebie, stękając z bólu córkę, nie współczując jej wcale, ku swojemu zdziwieniu, które po chwili, przerodziło się w rozbawianie.

Dziwne emocje nim szarpiące, starał się usprawiedliwić skokiem ciśnienia, który dało się odczuć, gdyż łódź, opadała na dno z zawrotną prędkością.

Dziwny stan umysłu Jana minął, gdy boczne ścianki, poczęły trzeszczeć i wciskać się lekko do środka.

Głośnie dźwięki gniotącej się blachy, przeszywały go strachem.

Płacząca Daria drażniła go, lecz przytuliwszy ją mocno do klatki piersiowej, starał się znaleźć w niej odrobinę pocieszenia, jednocześnie darując jej trochę tego samego od siebie.

Uszczelki umieszczone na krawędziach okienek poczęły przeciekać, a lodowata, słona woda, wdzierала się do środka, płaskimi i szerokimi strumieniami.

Kalkulacje odnośnie szans na wydostanie się z tej sytuacji, nakierowały go do podjęcia radykalnych działań.

Znalazł leżący pomiędzy stertą gratów pistolet. Sprawdził stan magazynku, i zasmucił się wielce, gdy okazało się, że znajduje się w nim tylko jeden nabój.

Wsuwając magazynek z powrotem, zerknął porozumiewawczo na Darię, która broniąc się przed oczywistą interpretacją tego spojrzenia, kiwała głową na boki, patrząc błagalnie załzawionymi oczami, na zdeterminowanego ojca, który mierząc do

niej z pistoletu, drżał cały, i zalewał swą bladą twarz słonymi łzami.

Janowi zadawało się w tym momencie, iż głowa Darii puchnie gwałtownie, wypełniając swym ogromem całą tonącą klitkę, a usadowione w niej ślepki, proszą, aby wstrzymał się z tym nieodwracalnym ruchem.

Zamknął oczy, i ściskając szczęki tak mocno, iż zęby poczęły mu się kruszyć, nacisnął spust, co spowodowało, wylądowanie na jego zimnej twarzy, ciepłej krwi dziewczynki oraz bolesne pęknięcia błon bębenkowych w uszach.

Nie chcąc patrzeć na to co uczynił, leżał z zamkniętymi oczami za siebie, lądując w lodowatej wodzie, nienawidząc siebie za to co przed chwilą zrobił.

W głuchej ciszy, bezkresnej ciemności, w bólu fizycznym i psychicznym, wyczekiwał momentu, gdy wszechobecna ciecz, wypełni brutalnie jego płuca, kończąc żywot, którego miał już serdecznie dość.

Nie czekał długo na przeszywający paraliż, wynikający z niemożności zaczerpnięcia powietrza, które w tej chwili, było zimne, słone, płynne i niesamowicie gęste.

Instynktownie starając się zaciągnąć, pogrążał się w jeszcze większym cierpieniu, któremu nie mógł zapobiec, gdyż stracił kontrolę nad organizmem.

Pomimo wszelkich starań, otworzył oczy, na przeciw których dryfowała Daria z dziurą w czole.

Cierpiąc, niemożliwe do opisanie słowami, zawartymi w słowniku języka polskiego, katusze, błagał nieznane sobie siły, o jak najszybszą śmierć, która przyszła do niego niezadowolająco późno, przysyłając wszystko ślepym, głuchym i zimnym bólem, okraszonym niewyobrażalną ciemnością, która zdawała się nie mieć końca.

Epilog

Białe światło, muskający ciepły powiew i cicha muzyka, witają mnie po odzyskaniu świadomości.

Otwierając kilkakrotnie oczy, aby dostosować wzrok do jasnego i rozmytego otoczenia, słyszę podekscytowany głos młodej kobiety.

- Budzi się! Budzi się! - krzyczy, wybiegając z pokoju, co można rozpoznać po odgłosie szybkich, oddalających się kroków.

Chcąc rozwikłać zagadkę mojego położenia, postanawiam przypomnieć sobie ostatnie wydarzenie, które świadomie zarejestrowałem.

Budzi mnie znienawidzona przeze mnie melodyjka, którą zawsze ustawia mi córka, jako dzwonek w telefonie.

Zerkam zaropiałymi oczami na ekran, i irytuję się jeszcze bardziej na widok napisu, informującego mnie o tym, że dzwoni dyrektor naczelny redakcji, pomimo iż wie, że jestem na urlopie.

Wyciszam telefon, po czym staram się zasnąć ponownie.

Przypominając sobie, że jestem na plaży z rodziną, opieram się na łokciach i obserwuję otoczenie w poszukiwaniu najbliższych. Moja piękna żona śpi na kocyku obok mnie, więc postanawiam zawiesić na niej oko, aby delektować się jej urodą.

Drobne, śniade ciało z idealnie zarysowaną talią, która kończąc się jędrnymi pośladkami, przyozdobionymi w pstrokate majtki kąpielowe, przechodzi w zgrabne nóżki, na końcu których znajdują się filigranowe stópki, raduje mnie niezmiernie.

Wsluchując się w szum morza, nachylam się powoli do jej pleców, aby ucałować ją między łopatkami i uraczyć nozdrza, zniewalającym zapachem jej rozgrzanego od słońca ciała.

Rozdrażniony pomruk, wydobywający się spomiędzy jej różowiutkich ust, uformowanych aktualnie w uśmiech, zmusza mnie do ponownego położenia się obok niej i zagajenia.

- Gdzie mała? - pytam rozleniwionym tonem.

- Z animatorem. - odpowiada zaspana, po czym formuje usta w pocałunek, ale nie ma na tyle werwy, aby chociażby otworzyć oczy, nie mówiąc już o nachyleniu się w moim kierunku.

Patrząc na jej słodkie oblicze z lekko puszystymi policzkami, delikatnie zadartym nosem oraz komicznie ściągniętymi brwiami, mięknię i ulegam pokusie, po czym podrywam się ponownie na łokcie, aby poszukać grupki dzieci, ćwiczących pod wodzą wysportowanego jegomościa.

Błądząc wzrokiem po zaludnionej plaży, rejestruję między innymi płynącą motorówkę, kobietę rysującą karykatury, młodzież grającą w siatkówkę, chłopaków skaczących przez ławki, robiąc przy tym akrobacje, ale nigdzie nie jestem w stanie zaobserwować mojej córki.

Lekko złęczony, staram usprawiedliwić swoje mizerne skutki poszukiwań, niecodziennym tłumem, zgromadzonym w moim otoczeniu, co jednak nie poprawia mi nastroju, który powoli przeistacza się w strach.

- Tam są... - wtrąca Laura, wskazując palcem umięśnionego Latynosa, który machając czerwoną flagą, daje sygnały uradowanym dzieciom, tańczącym jakąś choreografię i na domiar złego, śpiewającym strasznie głupią piosenkę o kabaczkach.

- Ty to wszędzie go wypatrzysz. - komentuję, zerkając na żonę, która zasłyszawszy mój komentarz, uśmiecha się nieznośnie i ponownie kładzie głowę na kocyku.

- Chyba nie jesteś zazdrosny? - pyta z radosnym rozmarzeniem na twarzy, które rodzi we mnie gniew.

- Co?! - pytam sarkastycznie, wiedząc iż nieszczerłość mojej postawy jest aż nad

to widoczna.

Kładąc się twarzą do nieba, czuję jak Laura chwyta mnie za dłoń, szepcząc.

- Głupi jesteś.

Zamykając oczy, przyznaję rację swojej żonie co do oceny mojej osoby, gdyż starając się zasnąć, cały czas walczę z gniewem, wywołanym zazdrością o jakiegoś napakowanego małolata, z którym wymieniła się uśmiechem.

- To nie była zwyczajna wymiana uprzejmości. - tłumaczę sobie pod rozgrzaną kopułą, po czym imaginuję sobie uderzenie się własną, otwartą dłonią w policzek.

Zawstydzony brakiem zaufania wobec kobiety, z którą postanowiłem dzielić życie, zaczynam się głupkowato tłumaczyć przed samym sobą, irracjonalnie argumentując swoją niezadowolająca mnie postawę.

- Popatrz na niego. Młody, przystojny, wysportowany, a do tego sympatyczny, energiczny i z cierpliwością do dzieci. A ty? Zmarszczek coraz więcej, pojawiają się zakola, z dnia na dzień, coraz więcej siwych włosów. Odkąd przestałeś się ruszać, pojawił ci się brzuszec, klatka się wklęśła, a ramiona zmizerniały. Od siedzenia przy komputerze zaczęłeś się garbić i nosić okulary, a na dodatek, jesteś marudnym, przemęczonym zgredem, który nawet do własnej córki, miewa przejawy braku cierpliwości na poziomie przyzwoitym. Jakby tego było mało, to przez stres, od jakiegoś czasu, masz problemy z erekcją. Dlaczego by nie miała wymienić cię na kogoś lepszego? Dlaczego by nie miała zasługiwać na kogoś lepszego? - pytam sam siebie po monologu, który zamiast poprawić mi humor, psuje mi go jeszcze bardziej.

Zły na samego siebie, staram się popaść w drzemkę, ale niezdolnie krzyki i głośnie rozmowy z otoczenia, nie pozwalają mi się zrelaksować, jednocześnie dając mi możliwość, przelania na kogoś innego, swoich negatywnych emocji.

Zerkam rozniewany w kierunku pijanego motłochu, który krzycząc i śmiejąc się, śmieci, śpiewa oraz przeklina.

- Kurwa Halinka poka cyce! - krzyczy jakiś najebany bęcwał.

- A chuja! - odpowiada, równie wcięta małolata, rozbawiając towarzystwo, i unosząc koszulkę do góry, ukazując biust w fatalnej kondycji.

Po raz kolejny opieram się na łokciach, i zerkając, to na patologiczne towarzystwo, to na żonę, widzę jak ona słodko śpi, w momencie, w którym miałyby mnie powstrzymywać od wstania i uspokojenia tej bandy prymitywów.

Widząc iż nie ma szans, na odegranie scenki, w której to rzekomo chcę wykazać się męstwem, chcąc jedynie stworzyć taki pozór i urosnąć w oczach swojej małżonki, kładę się po raz kolejny, wytykając sobie brak odwagi.

Czując straszny niesmak względem własnej osoby, postanawiam wstać i udać się do baru, aby kupić sobie drinka.

Wyciągam z plecaka notesik i za sprawą długopisu, umieszczam na jednej z kartek wiadomość, wyjaśniającą moją nieobecności oraz wskazującą moje aktualne położenie.

Stąpając po gorącym piasku, zerkam na Dalię, która podskakuje radośnie, wyróżniając się różowym, jednoczęściowym strojem kąpielowym.

Zbliżając się do plażowego baru o nazwie Tront, mijam śpiącego staruszka, który spokojnie giba się na bujanym fotelu, pilnując, leżącej obok czapki, zawierającej trochę drobnych.

Przyglądając mu się z pogardą, wygenerowałem kolejny argument, za wycofaniem z obiegu banknotów i monet, na rzecz elektronicznej gotówki, co zapewne zmusiłoby tego leniwego starca do uczciwej pracy.

Stawiając stopę na drewnianej podłodze, spoglądam na kobietę, mocującą się z automatem.

Zgrabna kibić, odziana w półprzezroczystą, czerwonawą sukienkę oraz błękitny stanik, przykuła moją uwagę do tego stopnia, iż czuję się nie w porządku względem żony. Przyglądając się niezdarniej, rudowłosej kobiecie, uśmiecham się i zaczynam

usprawiedliwiać.

- Laura ma swojego Latynoska, to ja będę miał swoją rudą. Żartobliwy flirt jeszcze nikomu nie zaszkodził, a może Laura poczuje się trochę zazdrosna, to wtedy przyzna mi rację.

Zupełnie nielogicznie podchodząc do mojej relacji z żoną, zaczynam zbliżać się do nieznajomej, zachwycając się jej zgrabną nogą, i licząc na fartowną naprawę uszkodzonego sprzętu, gdyż moje umiejętności domowego majsterkowicza są na niedostatecznym poziomie, co było nieraz komentowane przez Laurę w towarzyskich żartach.

- No co za głupia maszyna! - krzyczy rozdrażniona.

- Może mogę pomóc? - proponuję.

- Nie dziękuję. - burczy nieco niegrzecznie, nie podnosząc nawet głowy.

- Przecież mówiłem pani, że nie ma prądu! - krzyczy rozbawiony barman.

- Ale ja wrzuciłam pieniądze jak jeszcze był! - odpowiada, prostując się i mimochodem spoglądając na mnie.

Promienny uśmiech pojawia się na jej twarzy, a ja stoję jak wryty, rozpoznając swoją znajomą z dawnych lat.

- Przyby?! - krzyczy, rzucając mi się na szyję i używając powszechnie znanej ksywy, gdyż nikt z mojego towarzystwa, nie mówi do mnie po imieniu, zdając sobie sprawę z tego, jaką złości rodzie we mnie słowo Przybysław.

- Cześć... - wycedziłam skonsternowany nie tyle co widokiem dawnej znajomej, lecz również okolicznościami w jakich ów spotkanie nastąpiło.

- Co ty tutaj robisz?! Kopę lat! - dalej krzyczy, lustrując mnie zachwyconymi oczyma od góry do dołu.

- Świetnie wyglądasz! - nie daje mi się wypowiedzieć, po czym łapie mnie za rękę i zaczyna gdzieś prowadzić.

- Ty również. - odpowiadam uradowany komplementem.

- Nie no, nie mogę! Nie puszczę cię! Nie puszczę! - ciągle krzyczy, prowadząc mnie za rękę.

- Proszę pani... - stara się wtrącić barman, ignorowany zupełnie przez nadpobudliwą Andżelikę.

Uradowany, podążam jej śladem, delektując wzrok jej wyglądem i zmysł dotyku za sprawą niezwykle delikatnej dłoni, która ścisnęła moją grabę.

Siada energicznie na krześle przy barze i wskazując ręką miejsce obok siebie, wykrzykuje uradowana.

- Siadaj! Siadaj! Opowiadaj co tam u ciebie!

Siadam lekko poirytowany, gdyż nie cierpię ogólnikowych pytań w stylu: Co u ciebie? Co słuchać? Gdyż zawsze w takiej sytuacji nie wiem o czym mówić, bo nie jestem przekonany czy temat, który rozpocznę, okaże się interesujący dla słuchacza czy też nie, dlatego cieszę mnie precyzyjne pytania, niewprowadzające mnie w taką niezręczną sytuację.

- A co cię interesuje? - pytam, spoglądając chytrze w jej zielonkawę oczy.

- Co tutaj robisz? Urlop? - pyta podekscytowana, machając ręką do barmana.

- Tak przyjechałem z żoną i córką.

- He, wiedziałam, że znajdziesz sobie porządną kobietę. - odparła, wprowadzając mnie w zakłopotanie, swoją powierzchowną i pewną oceną mojej małżonki, zagadując w międzyczasie do zbliżającego się Latynosa z granatowym ręcznikiem, zawieszonym na przedramieniu.

- Dwa szoty czystej i tonik.

- Jak zawsze... - komentuję, dopiero po chwili orientując się, że jeden z kieliszków, jest przeznaczony dla mnie, co wprowadza mnie w pewien niepokój, który staram się stłamsić pytaniem.

- Ty również na urlopie?

- Tak. Przyjechaliśmy wczoraj ekipą. Od kiedy tu jesteś?

- Też od wczoraj. - odpowiadam zaskoczony.

- Dziękuję. Jeszcze raz to samo poproszę. - mówi do barmana, łapiąc koniuszkami palców za lodowato zimny kieliszek.

- No to... Za spotkanie. - wznoszę toast, przyglądając się jej uwodzicielskiemu uśmiechowi, który odkąd widziałem go ostatni raz, nic się nie zmienił, i dalej podnosił mi tętno.

- Mocna... - syczy, wykrzywiając twarz, po czym kontynuuje.

- No to opowiadaj!

- Ale o czym? - pytam z uśmiechem.

- Nic się nie zmieniłeś. - mówi z delikatnym, nieświadomym uśmieszkiem, spuszczać wzrok i szorując lekko paznokciami po blacie, co wykorzystuję, i zerkam na jej biust, oszroniony maleńkimi kropelkami potu, co mimowolnie powoduje delikatny podryg mojego penisa.

Zaskoczony reakcją mojego organizmu, raduję się w środku na powrót formy, jednocześnie lękając się okolicznością, w której się do wydarzyło.

Szybko odwracam wzrok i kieruję go na wyłączony telewizor, zawieszony pod drewnianym dachem baru, który w rzeczywistości podobny jest bardziej do nadmorskiej altany, która wyróżnia się od innych jedynie rozmiarem oraz

wyposażeniem, w skład którego wchodziły między innymi kamery monitoringu.

- Sama nie wiem od czego zacząć... Tyle się nie widzieliśmy. - wzdycha, wpatrując się we mnie maślanymi oczami.

- Ile to będzie? Z siedem lat, prawda?

- Nom... - przytakuję, chwytając za kolejnego kieliszka, którego przyniósł barman, zapewne z nadzieją, iż pomoże on nam rozplątać języki.

Pchany ciekawością i pobudzony podłechtany ego, zastanawiam się, czy dobrze robię, pijąc wódkę z kobietą, która jest w pewnym sensie przeszłością, a w teraźniejszym czasie, nie różni się dla mnie niczym od przykładowej pani Tereski, spotkanej w centrum handlowym, zamiast spędzać czas wolny z rodziną.

- Czym się zajmujesz? - pyta mnie, wytrącając z zamyślenia.

Spoglądam na jej pusty kieliszek, po czym przechylam swój do dna, nie zapijając, gdyż Andżelika nie pozostawiła mi nic, ze wspólnego toniku.

- Chcesz mnie upić? - pytam wykrzywiony.

- Będiesz łatwiejszy. - odpowiada, lustrując mnie całego i patrząc się na mnie jak na łakomy kąsek.

Czując iż, mówiąc kolokwialnie, leci na mnie jak małolata na rapera, odbija mi totalnie, a myśli wirują mi pod czachą pędem huraganu. Pusząc się jak paw, dostrzegam w obecnej sytuacji, życiową szansę, na dowartościowanie się i przemiłą zemstę, na kobiecie, której zawdzięczam swoje życiowe problemy w relacjach damsko-męskich.

Rozluźniając się, spoglądam na nią z miną waśniaka, po czym odpowiadam wzniośle i z dumą.

- Jestem dziennikarzem.

- Łał! - krzyczy, wytrzeszczając swoje śliczne oczy, wpatrując się we mnie głęboko i z podziwem, co raduje mnie niezmiernie.

- Zawsze wiedziałam, że sobie poradzisz, ale nie sądziłam, że zostaniesz dziennikarzem. - dodała, spoglądając na mnie z ukosa.

- No tak jakoś wyszło. - komentuję nieco skrepowany.

- Jaja sobie robisz. Znowu robisz sobie jaja! - dodaje po chwili obserwacji, wybuchając śmiechem.

- Serio mówię. - wtrącam z uśmiechem na twarzy.

- Nie wierzę. Przecież ledwo co zdałeś maturę z polskiego, a wkręcasz mi tutaj, że piszesz w gazetach.

- W jednej. - poprawiam, udając powagę, co zawsze ją rozbawiało.

- Nie wierzę... Nie ma szans. - nie daje za wygraną.

- No to popatrz. - mówię, sięgając do kieszonki w koszuli i wyciągając telefon.

Uruchamiając przeglądarkę internetową, zerkam na stan baterii, która łąda chwila się rozładuje. Bagatelizuję chwilową obawę, iż może Laura będzie chciała do mnie zadzwonić, a zapewne rozładuję telefon do końca, udowadniając Andżelice swoją prawdomówność, kontynuuję przeglądanie Internetu.

- Zaraz padnie mi bateria. - relacjonuję, pośpiesznie klikając w dotykowy ekran.

- Jasne. Już się wykręcasz. - nie dowierza, patrząc na mnie z przekorą.

- O! Mam... - pokazuję jej swój popisowy artykuł, dzięki któremu zaistniałem na polskiej scenie dziennikarskiej, nie bacząc na obraźliwe względem rzetelnych pismaków stwierdzenie, którzy na siłę starają się dodać swojej pracy, już dawno zapomnianej misji.

- No nie mogę... - zachwyca się, patrząc w ekran.

- Słyszałam o tym. To dzięki tobie ten skorumpowany rady trafi do więzienia? - zapytała oszołomiona.

- No tak jakby. - odpowiadam, przeszyty wstydem i gorącem, tworzącym na mojej twarzy wypieki, które staram się zniwelować, odwracając wzrok w kierunku morza.

Jak na złość, na jednym z pali, podpierających trzcinowe zadaszenie, spostrzegam ukrzyżowanego Jezusa na małym, drewnianym krzyżu, który wisząc jako ozdoba, przypomina mi o moim występku.

- Jak to, tak jakby? - docieka zafascynowana.

Zaczynam mruczeć coś pod nosem, spuszczać wzrok i wiercić się na wysokim krześle.

- Coś nie tak? - pyta strapiona.

- Nie... - odpowiadam niechętnie, puszczać jej szybkie, wymowne spojrzenie.

- Poproszę jeszcze raz! - krzyczy do barmana, wskazując palcem dwa puste kieliszki.

- Chyba będę się zbierał. - mówię, gnębiony wyrzutami sumienia.

- Oj przestań! Dawaj, napijemy się, to zaraz się rozgadasz. - zachęca uradowana, klepiąc mnie lekko po udzie.

- Nie... No nie... - wykręcam się.

- Co ci się stało? - pyta zdziwiona, patrząc na mnie z uśmiechem na twarzy.

- No bo... Koleś jest niewinny. - wyrzucam z siebie, skrywając przed całym światem tajemnicę, właśnie dla niej, gdyż wiem, iż jako jedna z nielicznych osób, zrozumie moje podejście w tej sytuacji, a nawet jakby było inaczej, to nie zabolalaby

mnie krytyka z jej strony, która na pewno pojawiłaby się ze strony Laury i reszty rodziny.

- Jak to niewinny?! O czym ty gadasz?! - krzyczy zszokowana, badając mnie uważnie przenikliwym spojrzeniem.

- Gdzie ten barman. - wtrącam, chwilowo zmieniając temat, czując lekkość na duszy, po tym wyznaniu, jednocześnie chcąc się lepiej przygotować, do kontynuacji tego ciężkiego tematu, która to miała za chwilę nastąpić.

- Widzę, że nieźle z ciebie ziółko. - komentuje, kręcąc głową z niedowierzaniem.

- A propos...? - dopytuję chytrze.

- Ty naprawdę nic się nie zmieniłeś! - krzyczy, po czym zaczyna szperać w torebce.

Czując dawno niespotykany luz, postanawiam wykorzystać maksymalnie obecną chwilę i dać sobie odpocząć nie tylko od pracy, ale również od rodziny.

Z radością zerkam na dobrze znanie mi pudełko po landrynkach, które najwidoczniej Andżelika darzy niekłamany sentymentem.

- Dalej masz skrzynie skarbów? - pytam zszokowany.

- No jasne! Tyle razem przeszliśmy. - odpowiada, tuląc teatralnie do siebie metalową puszkę.

- Chodź zamówimy sushi i siądziemy sobie wygodnie na kanapie. - proponuje.

- Jasne. - przytakuję, wstając ochoczo na równe nogi.

Idąc za nią, czuję słodką woń jej perfum, zastanawiając się nad dziwnym aspektem mojego życia, w którym łatwiej jest mi się otworzyć przed kobietą, na której mi nie zależy i do której nie czuję zbyt zaufania, niż przed najbliższymi.

Zapewne krytyka od tych drugich, która pojawiłaby się po odtajnieniu mojej obłudy, powstrzymywała mnie od wyjawienia tej zawstydzającej prawdy.

Kontynuując zadumę, utwierdziłem się tylko w przekonaniu, iż wyjawienie skrywanych przed światem faktów, z których, mówiąc delikatnie, dumni nie jesteśmy, a tyczą się naszych poczynań, oswabadza człowieka z dziwnego ciężaru, na co dzień, pogarszającego samopoczucie.

Kolejnym etapem w tej rozwlekłej rzece myśli było wysnucie wniosku, głoszącego teorię, iż człowiek jest wolnym, szczęśliwym i radosnym, w momencie, gdy żyje w taki sposób, iż nie musi ukrywać przed innymi żadnych faktów odnośnie swojej osoby, które przetrzymuje się w tajemnicy przez wstyd.

Reasumując, wolnym jest ten, który nie wstydzi się tego jak żyje i kim jest.

Zasiadając na miękkiej, czerwonej kanapie, zerkam na siadającą Andżelikę, której mina wyraża srogie niezadowolenie, które obwieszcza światu za sprawą ściągniętych brwi i mocno zaciśniętych ust.

- Wszystko w porządku? - zagajam skonsternowany.

- Tak, tak. - odpowiada, wychodząc z zadumy i zmieniając swoje oblicze diametralnie, utwierdzając mnie w przekonaniu, iż cały czas dobrze gra.

Zaniepokojony tym spostrzeżeniem, nie chcąc ukazać miotanych mną emocji, rozglądam się nerwowo po otoczeniu, chwytając bezmyślnie kartonik, na którym widnieje numer stolika, czyli A4.

Spoglądam kontem oka na Andżelikę, która grzebiąc w pudełeczku, co rusz wyciąga z niego małą samarkę, wypełnioną jakąś podejrzaną substancją.

W końcu skręca bezwstydnie skręta, skupiając się tylko na wykonywanej czynności.

- Co ty robisz? - szepczę zaniepokojony.

- Spokojnie. Przecież kamery nie działają. - uspokaja mnie nieco rozdrażniona.

- A... - staram się wtrącić, lecz mi przerywa.

- A barman to swój chłop. - mówi, zerkając zalotnie na koleśka kładącego na stole tackę z sushi i dwa seledynowe drinki.

Uśmiecha się do mnie chytrze, po czym odchodzi, a Andżelika demonstruje uradowana, świeżo ukręconego jointa.

- Odrobina tytki. - dodaje przez uśmiech.

- Wiesz... Ja chyba jednak zrezygnuję. - burczę nieśmiało, przygotowując się do powstania.

- Co?! - pyta z niedowierzaniem.

Chwilowa cisza, okraszona wymianą naszych spojrzeń, nasuwa mi wspomnienie sytuacji, w której po raz pierwszy zapaliłem marihuanę.

Ciepła, letnia noc, w której ja, wraz z Andżeliką i naszym wspólnym znajomym z pracy, siedzimy na ławce w parku.

Niezwykła cisza, jak na centrum miasta, w którym się znajdujemy, przyozdobiona blaskiem księżyca, przebijającym się pomiędzy konarami drzew, nastraja mnie bardzo pozytywnie i napędza chęć zrobienia czegoś, na co wcześniej nie miałem odwagi.

Wiedząc, iż Andżelika i Jacek lubią popalić sobie trochę nielegalnych ziół w wolnym czasie, postanawiam dołączyć do nich w konsumpcji, napawającej mnie lękiem używki.

Zaciągając się gęstym i słodkim dymem, czuję lekki ból w płucach, który zanika, wraz z wydaleniem szarej chmury, po przez usta i nozdrza, co rozbawia moich towarzyszy.

- Mocne. - wtrącam pomiędzy kaszlnięciami, które bawią nas wszystkich.

Po kilku minutach luźnej rozmowy, w dziwnym rozdrażnieniu, powstałym w skutek puszczonej przez Jacka muzyki heavy metalowej, postanawiam zadziałać i zażądać zmiany repertuaru na muzykę klasyczną.

Zdziwiona dwójka spełnia moją prośbę, a ja, wsłuchując się w dźwięki skrzypiec, mistrzowsko wykorzystywanych przez Vivaldiego, popadam w niesamowicie przyjemny, wzniosły i wzruszający trans, który kończy się wymiocinami, zaskakująco wartko wydostającymi się z mojego gardła na kostkę brukową pomiędzy moimi stopami.

Przeraźliwy śmiech Andželiki, przytłacza mnie jeszcze bardziej, a kwaśny smak w ustach, staje się coraz bardziej nieznosny. Zniesmaczony, zdziwiony i zawstydzony, ocieram twarz rękawem, brudząc go jednocześnie, po czym podnoszę wzrok na rozbawionych do łez towarzyszy.

Ze wspomnienia, które uformowało na moim obliczu delikatny uśmiech, wytrąca mnie Lato, Rudego Księdza, co skutkuje porozumiewawczym spojrzeniem Andželiki, wysłanym w moją stronę.

Prycham wraz z nią lekkim śmiechem, po czym moja rudowłosa miłość lat młodości, zaczyna palić.

Widzę jak dym dostaje się ukradkiem do jej prawego oka, rozdrażniając ją delikatnie.

Podaje mi skręta, trzymając dym w płucach, tym samym prężnie prezentując swój nietuzinkowy biust, który po raz kolejny przykuł moją uwagę, za sprawą szarlatańskich kropelek potu, wygenerowanych przez nadzwyczaj wysoką temperaturę powietrza.

Wsłuchując się w skrzypce, zaciągam się, przypominając sobie sposób w jaki siedząca naprzeciw mnie niewiasta, uczyniła zadrę na moim sercu.

Po raz kolejny pogrążam się we wspomnieniach, które tak jak poprzednie, łączą w

sobie chwile błogie, jak i te bolesne.

Wraz z moim kumplem, wbijamy się jako non grata na jedną z osiemnastek, odbywających się w okolicy.

Imprezowicze znając obyczaje naszej dwójki i niemiłe konsekwencje mogące wynikać z naszego wyproszenia, zapraszają nas do stołu, traktując niemal jak gości honorowych.

Pijąc, szydząc i podrywając wcięte młódki, napotykamy rudowłosą dziewczynę, która wyróżnia się tym od reszty, iż nie czuje wobec naszej dwójki lęku, a bynajmniej nie widać tego po niej.

Podoba się nam wizualnie, więc nie omieszkaliśmy pozostawić jej samej sobie, zwłaszcza, iż jak się okazało, bardzo dobrze się dogadaliśmy i poniekąd stałą się częścią naszej osiedlowej bandy.

Niespełna po sześciu miesiącach, pomiędzy Andżeliką, a Tomkiem rodzi się uczucie, które bardziej ośwładnęło rudą, niż błaho podchodzącego do jakichkolwiek zobowiązań młodzieńca, w konsekwencji łamiącemu jej rozkwitający miesiąc, odpowiedzialny za pompowanie krwi.

Ta zagadkowa, niejasna i permanentnie ulegająca skrajnym zmianom relacja, po niespełna trzech latach, przeistacza się w szczerą niechęć, którą poróżniona dwójka, nie szczędzi sobie w jej okazywaniu.

Chcąc być lojalnym wobec najlepszego ziomka, również urywam kontakt z Andżeliką, nie rozumiejąc do końca zachowania Tomka, który odrzucał zaloty atrakcyjnej dziewczyny, której usposobienie zazwyczaj nam odpowiadało.

Trzy lata później, na imprezie sylwestrowej, wpadam przypadkiem na Andżelikę, która ku mojemu zdziwieniu, wita się ze mną jak gdyby nigdy nic.

Wznawiamy znajomość, a koleje losu biegną tak, iż łądujemy w jednym mieście i w tym samym zakładzie pracy.

Spędzając ze sobą dość sporą ilość godzin w tygodniu, zżywamy się między sobą coraz mocniej, aż w końcu czuję, że zbliżam się do linii, której zarzekałem się nie przekraczać.

Andżelika będąc osobą bardziej anarchistycznie podchodzącą do otaczającego nas świata niż ja, w przeciągu naszej nieco ponad rocznej relacji, którą ciężko nazwać przyjaźnią czy związkiem, pokazała mi spory kawał rzeczywistości o istnieniu którego nie miałem pojęcia.

Podziemne koncerty, squaty, narkotyki oraz cały podziemny establishment, na początku napawały mnie strachem, lecz zauważywszy jaką renomą cieszy się osoba tej niepozornej dziewczyny wśród tego specyficznego towarzystwa, zaaklimatyzowałem się tam, i pomimo różnic jakie między nami były, zostałem dobrze przyjęty, przy czym wstawiennictwo Andżeliki, zapewne odegrało w tym zabiegu kluczową rolę.

Ogrom wiedzy, wpływów i znajomości, rozszerzyły znacznie moje horyzonty oraz wpłynęły na moje życie, lecz tym co miało na mnie największy wpływ, był, widziany jedynie moimi oczami, romans z tą rudowłosą cwaniarą, która pokazała mi smak zakazanego owocu.

Wiedzieliśmy o sobie wszystko, dzieliliśmy z sobą każdą porażkę i sukces, a poza tym regularnie uprawialiśmy seks, lecz jedynie pod wpływem używek, co na chwilę obecną, nie miało dla mnie żadnego znaczenia.

Czując wewnętrzną chęć stabilizacji i zmiany kierunku rozwoju na taki, który w przyszłości pozwala założyć normalną rodzinę, postanawiam przełamać się, po kilku tygodniowych podrygach, i zaproponować Andżelice stały, oficjalny związek.

- Kocham cię. - wycedzam z trudem pod wpływem alkoholu, na co ona odpowiada ze śmiechem.

- Pojechało cię?

Stoję z opadniętą koparą i wytrzeszczonymi oczami, słuchając prawdy o osobie, której w rzeczywistości w ogóle nie znałem.

- Przecież jestem kurwą Przyby... Całe życie będę kurwą, więc nie założę z tobą rodziny, tak jak to sobie wymarzyłeś.

- Ale...

- Ale co?! - krzyczy oburzona, wyciągając drżącą ręką papierosy z torebki.

- To co było między nami...

- Przestań.

- Ale ja cię kocham! - krzyczę rozżalony.

- Ty durniu. Ty skończony debilu. Nawet nie za bardzo cię lubię, a trzymam się z tobą, bo jesteś przezabawnym słodziakiem, którego nawet nie byłabym w stanie przelecieć na trzeźwo.

- Ale...

- Czego ty nie rozumiesz? Wierzyłeś w to jak mówiłam, że pieniądze mam od ojca? Byłeś aż tak ślepy, że nie zauważyłeś, że wszyscy dookoła mnie pierdola każdego dnia? Byłeś na tyle ślepy aby uwierzyć, że jestem w stanie cię pokochać? - pyta z zażenowanym niedowierzaniem.

- Ale... - burczę po raz kolejny, po czym wychodzę na ulicę, i czując się nie tylko oszukany, nieszczęśliwym z powodu nieodwzajemnionej miłości, ale nade wszystko głupim, zastanawiam się, co mam postąpić, aby uczynić swoje życie lepszym.

Jedyny pomysł, który przychodzi mi do głowy, to zapalenie zieliska, które w tamtym czasie zawsze miałem przy sobie.

Siedząc na dachu dziesięciopiętrowego bloku, gibam się rytmicznie na krawędzi, dzierżąc dumnie, żarzącego się skręta.

W stanie niemal krańcowego przygnębienia i zwątpienia, postanawiam przedwcześnie skończyć swój zakłamaný żywót, w którym oszukiwałem wszystkich zgrywając porządnego, spokojnego obywatela, żyjąc na wskroś inaczej u boku osoby, która nie była względem mnie szczera.

Podrywając się do skoku, wyobrażam sobie reakcję matki na wieść o moim samobójstwie. Pamiętając jej zachowanie podczas tego typu wydarzeń, mających miejsce jakiś czas temu i dotyczących moich znajomych, postanawiam zaniechać tego niecnego występkę.

Ogarnięty kompletną pustą i bakiem perspektyw, zastanawiam się nad jakimkolwiek krokiem, który mógłbym w owej chwili uczynić.

Obraz ojca, zazwyczaj znajdującego się gdzieś na uboczu, co umożliwiałó mu przenikliwą obserwację wszystkiego co działo się dookoła, motywującego mnie do czynnego działania, które nigdy nie było moją mocną stroną, wymusza na mnie wykreowanie planu.

Pierwszym co przychodzi mi na myśl, jest przeprowadzka w odległy zakątek kraju i rozpoczęcie wszystkiego od nowa.

Niepewność, lęk i nieufność w słuszność swoich rozmyślań, jak i niemiłe wizje konsekwencji ewentualnego błędu, paraliżują mnie, uniemożliwiając rozwijanie tej myśli w bardziej szczegółowych aspektach.

Dopiero wizja wiecznie optymistycznie nastawionej, pozornie głupkowatej i naiwnej siostry, dodającej mi otuchy, kruszy we mnie mój wewnętrzny strach, co w następnym tygodniu, skutkuje moją przeprowadzką do Krakowa, gdzie niesłychaną pomyślnością losu, znajduję pracę w jednej z lokalnych redakcji.

Poznaję nowych ludzi, miejsca, obyczaje i zgłębiám namacalnie branżę, w której się wcześniej wykształciłem.

Zapominając o wstydlivej przeszłości, poznaję normalne życie, na drogach którego, spotykam Laure, na jednym z piątkowych spotkań w kręgielni.

Niesamowite podobieństwo charakterów i poglądów zadziwia mnie na samym początku, który nie zwiastował tego, iż niespełna rok później, będę przedstawiał ją jako swoją dziewczynę swojej rodzinie, na wakacjach w rodzinnej Gdyni.

W między czasie, podczas goszczenia w swojej kawalerce specyficznego znajomego, gustującego w różnego typu implantach, tatuażach i filmach pornograficznych, napotykamy w sieci nagranie, ukazujące bestialski stosunek płciowy, naćpanej niemal do nieprzytomności Andżeliki oraz mojego niegdyś najlepszego przyjaciela, z którym aktualnie nie utrzymuję nazbyt zażyłych kontaktów.

Tomasz, uśmiechając się do kamery, pęka z dumy.

Przypominając sobie ból i upokorzenie jakiego doznałem po wyjawieniu mi przez Andżelikę jej fachu, którym zajmowała się po godzinach, oraz patrząc aktualnie na nagranie, ukazujące, drugą w kolejności, jeżeli chodzi o hierarchę zaufania osobę, również skrywającą przede mną ten dość istotny fakt, generuje w mojej głowie uczucie brudu i przyrzeczenie, iż poza moją pracą, która jest jednocześnie moją pasją, nie będę poświęcał uwagi dla nikogo, z wyjątkiem najbliższej rodziny, lecz dalsze moje losy, utwierdzają mnie tylko w słuszności, dobrze wszystkim znanego przysłowia, które głosi, aby nigdy nie mówić nigdy.

Niespełna pół roku, po swoim postanowieniu, gram wraz ze znajomymi w bilard.

Starając się wbić do luzu czarną ósemkę, rejestruję kontem oka spóźnioną Laure, która uśmiechnięta wkracza śpiesznie do pubu.

Gramy, gadamy, pijemy i wygłupiamy się, po czym na końcu, rozjeżdżamy taksówkami po domach.

Ku rozbawieniu całej gromady, jedynie Laura ma problem z zamówieniem wolnego pojazdu, co zdarzało się dość często w piątkowe wieczory.

Zamieszkując na dzielnicy, znajdującej się po drodze do mieszkania osamotnionej w powrocie do domu niewiasty, postanawiam zaproponować wspólny przejazd jedną taksówką.

Pomimo iż podoba mi się wizualnie, nie czuję względem niej niczego, poza dozą sympatii, która nie jest w stanie zniwelować odpychającego przeświadczenia o jej surowym usposobieniu i zimnym sercu.

Znudzony ciszą, która powstała na początku podróży oraz rozbudzony sporą dawką alkoholu, wszczynam z nią dialog, który po niespełna kilku zdaniach, przeistacza się w poważną, dojrzałą konwersację.

Nie doświadczając tego wcześniej ze słabo mi znaną piękną, przekonuję się, iż jest ona zupełnie inną osobą niż stara się pokazać światu, to intryguje mnie znacząco.

Uradowany szczerością i otwartością tej młodej damy, staram się wykorzystać do cna tę okazję, licząc w duchu, iż kierowca, zasiadający za ścianą z przezroczystego plastiku, nie słyszy naszej rozmowy, gdyż również postanowiłem się przed nią otworzyć.

Podjeżdżając pod jej blok, obydwójce czujemy niedosyt, który wyrażamy porozumiewawczym spojrzeniem.

- Wejdiesz? - proponuje.

- Chętnie. - odpowiadam niezbyt przekonany co do słuszności swojego wyboru, jak i jej intencji, kierujących nią do zaproszenia mojej osoby, gdyż wydawała mi się osobą pewną siebie, która nie lubi zwlekać oraz zawsze musi dostać to czego pragnie, a wizja intymnie spędzonej nocy, straszyla mnie konsekwencjami kroku, po którym ciężko byłoby zawrócić, bez psucia relacji, która zaczęła mi się szczerze podobać.

Wchodzę za nią do jej mieszkania, które zachwyca mnie swoim nowoczesnym wystrojem, chłodem i prostotą, przypominając mi moje pierwsze wrażenie odnośnie jego domatorki.

- Napijesz się? - pyta z kuchni i pokazuje mi dwie oszronione butelki, wypełnione piwem.

- Jasne. - odpowiadam radośnie, po czym pytam nieco zmieszany.

- Gdzie jest toaleta?

- Tam. - odpowiada niepewnie, pokazując mi palcem białe drzwi, po zamknięciu których przyglądam się swojej przemęczonej twarzy, która ku mojemu niezadowoleniu, postarzała się znacząco w trakcie pobytu w mieście królów.

Otwierając muszlę klozetową, zastanawiam się nad dziwnie złęczonym i niepewnym obliczem Laury, które ukazało się po moim pytaniu odnośnie lokalizacji miejsca, w którym się aktualnie znajduję.

Ujrawszy niewielkie ślady kału na ceramicznej, białej muszli, doznaję szoku i zwątpienia, co do poziomu świadomości goszczącej mnie niewiasty, gdyż jestem bardzo wyczulony jeśli chodzi o ten aspekt domowej sterylności.

Wycierając ręce o żółtawy ręcznik, staram wyrzucić z głowy myśl, ukazującą mi rozwinięcie się tej sytuacji w kierunku, mogącym nadszarpnąć mój status, wolnego człowieka.

Zdegustowany i zdystansowany, zasiadam na rozkładanym fotelu znajdującym się na balkonie, obok Laury, która czymś przejęta, spogląda w gwiazdy.

- No to... Na zdrowie. - proponuję z uśmiechem, stukając się z nią szczypiącymi w dłonie butelkami.

Nie mogąc pozbyć się sprzed oczu widoku z ubikacji, nie jestem w stanie rozmawiać z nią w taki sposób jaki to miało miejsce wcześniej.

Laura, wyczuwając zmianę w moim zachowaniu, zaczyna pić nieco szybciej, ponaglać mnie tym samym, gdyż wydaje mi się, iż chce, aby te niezręczne spotkanie, zakończyło się jak najszybciej.

- Jeszcze po jednym? - proponuje radośnie, ale niepewnie, odkładając pustą butelkę, na dzielący nas, plastikowy stolik.

- Jasne, ja przyniosę. - oferuję się ze względu na kulturalne wychowanie, co jeszcze

bardziej kłopotuje moją towarzyszkę.

Chwytam za jej pustą butelkę, i idę w stronę kuchni, licząc w duchu, iż w lodówce, zobaczę tylko dwa piwa, które wypijemy szybko, po czym będę mógł, bez zbytniego ukazywania, iż staram się wyrwać szybciej, wrócić do domu.

Otwierając szafkę, za którą znajduje się kosz na śmieci, spostrzegam połamane kiblowe berło, wystające z wiaderka.

Zaskoczony tym widokiem, klepię się teatralnie, otwartą dłońią w czoło, zdając sobie sprawę, iż pozbywając się fizjologicznych pozostałości, ciemnej barwy, za pomocą wartkiego strumienia ciepłego moczu, nawet nie rozejrzałem się za szczotką, gdyż zamiast najpierw poszukać usprawiedliwienia, wolałem natychmiastowo wydać osąd, który okazał się mylny.

Nieco zawstydzony i rozbawiony zarazem, otwieram lodówkę, licząc tym razem, na niespełnienie mojego pierwszego życzenia, związanego z jej zawartością.

Zawiedziony, przewidzianą przeze mnie ilością piwa, wyciągam pośpiesznie zimne butelki, i wartko zmierzam ku balkonowi.

Wchodząc na niego, spoglądam na zamyśloną Laure, która w owym stanie umysłu, przyglądając się gwiazdom, odbijającym się w jej oczach, wygląda tak słodko, iż nie jestem się w stanie, powstrzymać od wszczęcia rozmowy na temat gówna, które przez niespełna półgodziny, zaprzętało mi głowę.

Ubaw, szczerość i zrozumienie, jakie towarzyszyły nam w tej niekonwencjonalnej dyspucie odnoszącej się do niezręcznej sytuacji, mimochodem, nakierowała nas na temat dzieci, w którym również, ku obopólnemu zadowoleniu, doszliśmy do porozumienia, które półtora roku później, zaowocowało narodzinami naszej córeczki.

Zanim jednak nastąpił proces zapłodnienia, owej nocy, zaskakująco szybko przeistoczony w poranek, który swoim nagłym pojawieniem się, jeszcze bardziej poprawił nam samopoczucie, gawędziliśmy dalej do momentu, w którym zmęczona Laura, zaczyna ze znużeniem mrugać oczami.

Ziewa słodko, przecierając komicznie współprzymknięte oczy.

- Idziemy spać? - proponuje, spoglądając na mnie z uśmiechem.

- Chodź. - mówię, chwytając ją z rękę.

Wchodząc do środka, podnoszę Laurę na ręce, i niczym świeżo upieczony mąż, niosę tę uroczą, śpiącą już istotę, której cudne oblicze, nie tylko raduje me oczy, lecz również porusza mnie wewnętrznie, powodując dawno nieodczuwalny stan błogiej radości, wynikającej z wymieszania uczuć triumfu, spełnienia i przeświadczenia, iż jest się kimś ważnym, kimś kto znaczy coś w czyimś życiu, po czym układam ją delikatnie do snu na miękkim łóżku.

Nie chcąc wykazać się nieobeznaniem w dżentelmeńskim kunszcie, nie rozbieram jej, tylko ściagam buty, pod którymi ukrywały się maciupkie stópki, przyodziane w pasiaste, kolorowe skarpetki.

Muskając jedną z nich, spowodowałem energiczny podkurcz nogi i grymaśny uśmiech połączony ze złowieszczo zmarszczonymi brwiami.

- Dobranoc. - szepczę, wychodząc z pokoju.

Schodząc schodami znajdującymi się na klatce schodowej, słyszę dziwnie znajomy krzyk, dobiegający gdzieś zza ściany.

- Przyby! Przyby! - krzyczy jakaś zlékniona niewiasta.

Po chwili, Andżelika szturcha mnie w ramię, przyglądając mi się badawczo.

- Co? Co?! - pytam skonsternowany, po ocknięciu się ze wspomnienia.

- Ale się zawiesiłeś. - komentuje, po czym wybucha śmiechem i dodaje.

- Myślałam... Że... Już nie wrócisz! - krzyczy, nie przestając się śmiać.

- Mocne gówno... - mówię, oddając jej żarzącego się jointa.

- Zapomniałam jaki zawsze z tobą jest ubaw jak się upalimy. - dodaje spokojniej, ocierając łzy.

- Chyba ze mnie. - kontruje kąśliwie, przypominając sobie nieświadomość, w której byłem utrzymywany.

- Co? - pyta zaszokowana.

- Nic, nic. - odpowiadam zmuszając się do uśmiechu, i czując, iż mój narkotyczny lot, zmierza w nieprzyjemnym kierunku.

- Na drugie płucko? - proponuje, wypuszczając dym z ust.

- A daj... - ulegam pokusie, rachując w myślach, iż po tym buchu, zmyję się czym prędzej na kocyk do żony.

Po chwili przyglądam się chmurze szarego, gęstego dymu, który wydostając się z moich ust, przysłania mi nieco, uśmiechnięte oblicze Andżeliki.

Kanapa mnie pochłania, a bezwład nóg, uniemożliwia powstanie z niej, co w chwili obecnej nie jest czynnością, której chcę się podjąć.

Spod przymrużonych powiek, lustruję stół w poszukiwaniu sushi.

Łakomie zabieram się za jeden z kawałków, i czując palący ból w ustach, rejestruję Dla Elizy, Ludwika Van Beethovena oraz przyglądam się Andżelice, która zdaje się bez opamiętania i wstydu, przyglądać mojej uradowanej twarzy.

Wygląda przecudnie, a jej zielonkawe oczy, zdają się przysłaniać mi cały otaczający nas świat.

Lekki wiatr, rozwiewa jej rude włosy w lewą stronę, przysłaniając nieco zniszczone wiekiem oblicze, które dalej emanuje niesamowitym wdziękiem i mocą, nadającym kobiecemu wyglądowi lekotwórczej natury, onieśmielającej większość z mężczyzn.

Czując ów lęk, o którym przez sekundą rozmyślałem, uciekam wzrokiem na bok i spostrzegam dwa gołębie, siedzące na poręczy.

Od razu nasunęło mi się powiedzonko o papużkach nierozłączkach, które mało mają wspólnego z gołębiami, których zażyła i trwała relacja, dobitnie ilustrowała moją dawną znajomość z niewiastą, której spoglądałem teraz, otepiałym wzrokiem w biust.

Orientując się o swoim nieprzyzwoitym zachowaniu, postanawiam przesunąć żrenice w kierunku błękitnych stringów, które delikatnie wystawały zza półprzezroczystej, czerwonej sukienki.

Słyszając jej tłumiony, nieco wstydlivy śmiech, przypominam sobie o moim zamiarze ujęcia z tego miejsca percepcyjnego zwyrodnienia, lecz wyrzucam ów pomysł daleko poza granice swojej świadomości.

Odbija mi się jajecznica ze śniadania, po czym spostrzegam, iż moje pachy są wilgotne i cuchnące.

Nieco skonsternowany nagłym odkryciem, spoglądam leniwie w stronę Andżeliki, przysłuchując się cichej melodii, wydobywającej się z nieznanego mi źródła, znajdującego się gdzieś w pobliżu.

- Pamiętasz to? - pyta uradowana Andżelika, zamykając oczy i komicznie udając przejmujący śpiew, który synchronizował się ze słowami piosenki.

W czarnej kropce było wszystko.
Najzacniejsze widowisko.
Duchowe igrzysko.

- Mrowisko... - wtrącam, przerywając patetyczny występ upalanej kobiety, opierający się na playbacku.

- Jak mogłeś! - krzyczy nieszczercze oburzona, zanosząc się śmiechem i wstając leniwie w kierunku małego radyjka na baterie, z którego wydobywały się znajome z lat młodości dźwięki.

Przyglądając się Andżelice, która po pogłośnieniu zaczyna tańczyć niezdarnie i parodiować wokalistę z teledysku, uzmysławiam sobie, iż piosenka, która w momencie, gdy usłyszałem ją po raz pierwszy, wydawała mi się patetycznym bełkotem o nieszczęśliwej miłości, którego tekst nie kreował w mojej głowie żadnych logicznych wniosków, a po przeżyciu sytuacji przezeń opisywanej, jakiś czas później, stał się czytelny, rzeczowy oraz niesamowicie poruszający.

To co w latach młodości, wydawało mi się dziecinne i stworzone jedynie dla zaspokojenia niespełna rozwiniętych emocjonalnie nastolatków, później, okazało się odzwierciedleniem mojej osobistej sytuacji i nękających mnie odczuć w tamtym okresie.

Przypominając sobie, jak zastanawiałem się czy to ja z biegiem czasu uwsteczniłem się emocjonalnie, czy jako krnąbrny młodzieniaszek, postrzegałem niezrozumiałe treści, jako dziecinne, gdyż sam byłem jeszcze dzieckiem, bo z reguły coś co szczególnie nas razi i denerwuje w otaczającej rzeczywistości, jest skrzętnie skrywaną przez nas samych prawdą o nas samych, która ukazuje się poprzez takie właśnie negatywne spostrzeżenia, domysły, wnioski i odczucia.

Przypominając sobie, jak uczestnicząc nieświadomie w kradzieży, poprzez używanie nielegalnych kopii różnego rodzaju treści, które nie były publikowane za darmo, czułem się okradany, oszukiwany i doszukiwałem się spisków, a w sytuacji, w której postanowiłem płacić ludziom za ich ciężką pracę oraz czas, owe uczucia poczęły systematycznie zanikać, co skutkowało później ciągle otwartymi drzwiami do mieszkania, jak byłem w nim obecny, gdyż z logicznego punktu widzenia, sytuacja, w której ktoś miałby wtargnąć do mnie do domu, aby przywłaszczyć sobie moje mienie, było tak mało prawdopodobnie, iż wydawało się śmieszne, a znajomość realiów, nasuwała mi myśl, że taka sytuacja, jest dużo bardziej prawdopodobna każdego dnia na ulicy, i to bez względu na porę dnia, więc idąc takim złąknionym tokiem rozumowania, samo wychodzenie z domu, równałoby się z nieprzewidywanym ryzykiem.

Stopując, nieco przesadzoną teorię, uzupełniam ją o inne czynniki, które mogą u ludzi budzić pewnego rodzaju lęki, przez które można się zamknąć przed światem, co nie zmienia mojego przekonania, iż jeżeli ktoś oczekuje zapłaty za swoją pracę, która nie zawsze przejawia się w dziennych zmianach w fabryce czy w biurze, to z czystej przyzwoitości, wypadałoby mu za tę pracę zapłacić, zwłaszcza, jeżeli jej owoce, przypadną nam do gustu.

Nie zastanawiając się nad przykrym faktem, nie do końca rozumianego, przez część społeczeństwa, podejścia względem tego tematu, wyobrażam sobie swoje rozgoryczenie, w sytuacji, w której mój pracodawca, nie wypłaca mi wynagrodzenia na koniec ciężko przepracowanego miesiąca.

W jeszcze większe zniesmaczenie wtrąca mnie myśl, iż w obecnych czasach, darmowa, legalna treść wszelkiego rodzaju, jest łatwo dostępna, a niekiedy, swoim poziomem, przewyższa co niektóre twory, za które ich twórcy oczekują uczciwej zapłaty, a mało tego, te drugie, są stosunkowo tanie, w porównaniu do cen używek, na które regularnie wydajemy pieniądze.

Orientując się o wierzchołku góry lodowej, w której podwodną konstrukcję zaczynam się zagłębiać, urywam tę myśl, licząc iż ten mentalny defekt, z biegiem czasu wymrze śmiercią naturalną, bez większych interwencji.

Mimowolnie powracając do tematu, z którym chciałem się rozstać, staram się skupić na czymś innym, a tym, wytrącającym mnie z zamyślenia aspektem, okazała się uradowana Andżelika, która dalej śpiewała, wyśmiewaną przez nas w latach młodości piosenkę, która akurat w tym momencie, w tym miejscu i w takich okolicznościach, została puszczona przez ogólnopolską stację radiową.

Spoglądam na zegarek w telefonie, i zdumiony spostrzegam, iż minęły niespełna dwie minuty od zapalenia jointa, a w tym czasie, moje myśli i spostrzeżenia, zdawały się niesłychanie obszerne.

Utwierdzając się co do mocy zażytego przeze mnie specyfiku, uśmiecham się do siebie, bagatelizując komunikat o krytycznie niskim poziomie energii.

- Ale beka. - wzdycha Andżelika, siadając na kanapie ze zmęczeniem.

- Nom. - przytakuję, nie do końca przekonany co do śmieszności widzianego przed chwilą występu.

- Jak ma na imię? - pyta mnie, popijając drinka.

- Kto? - burczę skonsternowany.

- No twoja żona. - mówi marszcząc brwi, jakby chciała ukazać swoje niezadowolenie wynikające z faktu, iż nie domyśliłem się od razu o co jej chodzi.

- Laura. - odpowiadam, przypominając sobie o przeświadczeniu Andželiki, która uważała, że każdy powinien celnie interpretować jej skróty myślowe, aby być uważanym w jej mniemaniu za istotę inteligentną.

- Czym się zajmuje? - nie przestaje wypytywać, energicznie klepiąc dłońmi w kanapę i lekko podskakując z podekscytowania.

- Jest fotografką w mojej redakcji. - mówię niechętnie, zastanawiając się nad jestestwem słowa fotografka w słowniku języka polskiego, jednocześnie obwiniając się za nieprecyzyjną wypowiedź, gdyż owa redakcja, w której pracuje moja małżonka, nie jest moją własnością, tylko miejscem mojej pracy.

- Jak się wam układa? - docieka niezmordowanie, zaskakując mnie głębokim pytaniem z serii tych, nad którymi trzeba się zastanowić, przed udzieleniem odpowiedzi.

- Dobrze. - mówię po chwili namysłu, co spowodowało przenikliwe spojrzenie Andželiki, lądujące na mym nie do końca pewnym obliczu.

- Co was poróżniło najbardziej? - nie daje mi spokoju, niepokojąc nieprzyjemną strefą pytań, które krążyły wokół negatywnych aspektów mojego związku.

- Czemu pytasz? - odpowiadam pytaniem na pytanie, co doprowadza ją do śmiechu.

- Pamiętasz jak się denerwowałeś, gdy odpowiadałam ci pytaniem na pytanie? - wyciedza przez śmiech.

- Pamiętam... - przyznaję, spoglądając na nią z ukosa ze przekornym uśmieszkiem, po czym łapię za drinka i orientuję się, iż jest on pusty.

- Piliśmy drinki? - pytam niemal sam siebie, przyglądając się pustej szklance, do połowy wypełnionej lodem.

- Tak? - pyta ironicznie, patrząc na mnie jak na kogoś niespełna rozumu.

- Idę po kolejnego. Chcesz? - proponuję, wstając na równe nogi, co sprawia mi nie lada problem.

- Jasne. - krzyczy, gdyż znajduję się już kilka metrów od naszego stolika, i niemal nieświadomie, kroczę w kierunku baru, zza którego uśmiecha się do mnie z pogardą, mały Latynos.

- To samo? - pyta szyderczo, rodząc w mojej głowie niepokój.

- Tak. - odpowiadam, ledwo co, wypowiadając te zdanie, które w chwili obecnej, zdaje mi się nad wyraz zawile i skomplikowane w swojej budowie.

Czekając na trunki, błędzę wzrokiem po otoczeniu i zatrzymuje się na dwóch kokosach, które zdają się powoli unosić w górę, niczym balony wypełnione helem.

Energicznie potrząsając głową, wytrącam się z tej nie milej halucynacji, utwierdzając mnie w przekonaniu, iż nie jest ze mną najlepiej.

- Proszę. - drażni mnie swoim ironicznie wesołym tonem barman, przysuwając w moim kierunku dwa drinki.

Wyciągam telefon, aby zapłacić za nie z pomocą aplikacji, ale okazuje się, że bateria została już doszczętnie rozładowana.

- Znowu próbuje mnie pan nabrać na wyłączony telefon. - komentuje młodzian z

drwiną.

- Co? - pytam, nie orientując się w sytuacji, po czym przypominam sobie migawkę, która ukazuje mnie w podobnej sytuacji, która miała miejsce niedaleki czas temu.

Chwytam za szklanki bez słowa, po czym ruszam skupiony w stronę Andželiki, która z zarzuconą nogą na nogę, przygląda mi się z wyczekiwaniem, które zdaje się ją pobudzać.

Siadam obok niej, gdyż na moim miejscu znajduje się aktualnie jej torebka, a nie mam wolnej ręki, aby ją przesunąć.

Wpadając, zmęczony zakupem, na kanapie, delektuję się jej miękkością, wyczuwając delikatną i słodką woń perfum Andželiki, która z każdym ułamkiem sekundy, zdaje się nasilać.

- Odpreż się. - szepce mi do ucha, kładąc swoje dłonie na moim karku.

Pograżony w niesamowitym relaksie, delektuję się chwilą, wsłuchując się w słowa, masującej mnie kobiety.

- A więc? Z czym się wam nie układa? - pyta z troską, która kruszy ostatnie zapory, powstrzymujące mnie od powiedzenia tego, co mam na myśli.

- Wyobraź sobie... Że ta pinda wymyśliła sobie jakiś bal maskowy przy ognisku... Przecież to ręce opadają. Zapłaciłem za nocą opiekę nad małą, aby spędzić namiętnie czas gdzieś na plaży, albo w pokoju, a ta mi wyskakuje z jakimś balem maskowym. I mówi mi... Kochanie... Ubiorę się w czarną maskę, pończochy i bieliznę, na które zarzucę jakąś powabną kiecę... Przecież ona mnie torturuje.

- Przecież to lubisz. - komentuje wbijając mi lekko paznokcie, co powoduje nie tylko ból, ale również uśmiech na mej twarzy.

- No tak, ale nie kochaliśmy się już od... - popadam w zadumę, która zostaje przerwana niezdolnie sarkastycznym pytaniem, w którym wyczułem nie tylko chłód,

ale również swojego rodzaju pretensję.

- To wy się kochacie?

- Nom... A co? - pytam nieco rozniewany, odwracają się do Andżeliki ze ściągniętymi brwiami.

- Nie no nic... Ładnie to zabrzmiało. - odpowiada niepewnie, wznawiając masaż, który zanikł na chwilę.

- No a poza tym? Coś poważniejszego was dzieli? - docieka, po chwili błogiej ciszy.

- Dzielilo... - przyznaję niechętnie.

- Co takiego?

- Wiesz... Chodzi o finanse?

- Finanse? - pyta zdziwiona, po raz kolejny na chwilę, przerywając masaż, co drażni mnie w tej chwili nad wyraz dotkliwie.

- No bo wiesz... Ja jestem pasjonatem, romantykiem, a Laura to twardo stąpająca po ziemi kobieta, która rzadko miewa górnolotnie marzenia. Jak zaczęliśmy poważnie myśleć o rodzinie, to moje artystyczne podejście do wykonywanego zawodu, które owocowało niezbyt satysfakcjonującym wynagrodzeniem, zaczęło ją drażnić. Wywierała na mnie presję, zwłaszcza w momentach, w których przedstawiałem jej sposoby na szybkie zarobienie pieniędzy, których nie chciałem wprowadzać w życie, ze względu na moje zasady. Uczucie nas łączące, przewyciężyło ten zgrzyt, ale harowałem za dwóch, jednocześnie zarabiając tyle, żeby przeżyć do kolejnej wypłaty. Nie chcąc posyłać córki pod opiekę jakiejś obcej baby, albo dziadków, nie wyrażałem zgody na to, aby Laura poszła do pracy. Patrząc na naszą niekomfortową sytuację majątkową, cały czas dążyła do tego, aby się gdzieś zatrudnić. W końcu zacząłem kraść artykuły młodszych dziennikarzy i po nakreśleniu na nich kilku poprawek, publikowałem je jako swoje. Zacząłem zarabiać na tyle dużo, aby wyperswadować żonie zatrudnienie się gdzieś na stałe, ale jak poczułem

smak szybkiego i wygodnego zysku, postanowiłem pójść za ciosem, no i po prawie dwóch latach starań, kłamstw i machlojek, stworzyłem artykuł, który przyniósł mi nie tylko sławę i renomę, ale również mnóstwo kasy. Teraz odkupuję artykuły od mniej znanych pismaków, po czym sprzedaję za dużo więcej i wszyscy są zadowoleni. Mało tego. Laura cały czas jest przekonana, że dorobiłem się fortuny za sprawą mojego rzetelnego i uczciwego podejścia do pasji, więc mogę jej wypominać, że miałem rację, mówiąc, iż kiedyś będziemy bogaci, gdy będę robił to co lubię i jak lubię.

- A lubisz? - pyta z przekąsem.

- W sumie... Żerowanie na pracy kilku frajerów jest w jakimś sensie zabawne i przyjemne.

- A co z pasją? Nie piszesz już? Nie kręci cię to?

- Wiesz... Jakoś tak nie mogę się przełamać. Nie mam weny i najzwyczajniej w świecie mi się nie chce, a poza tym cała moja patetyczna wizja dziennikarskiej misji, która motywowała mnie do twórczego pisania, pierzchnęła lotem błyskawicy, po tym jak zmieniłem swoje podejście. Teraz to już nie to samo... - kończę sentymentalnie, zamykając oczy.

- A co było po tym?

- Po czym?

- Po tym wielkim boomie, który przyniósł ci sławę i pieniądze.

- Kupiłem domek na obrzeżach Krakowa. Przez ponad miesiąc trwał w nim remont. Przed dwoma tygodniami wprowadziliśmy się na stałe, a zabijając czas w Internecie, znalazłem reklamę ukazującą ten nadmorski kurort, w którym postanowiliśmy razem odpocząć, po tym burzliwym okresie.

- Fajnie. - burczy nieszczerze, po czym energicznie sięga do torebki, z której wydobywa się drażniący, rytmiczny dźwięk, wygenerowany przez jej telefon komórkowy.

- Kurwa mać... - stęka niezdolnie, rozglądając się nerwowo dookoła.

- Co się dzieje? - pytam skonsternowany i nieco zląknięty jej niepewnym siebie zachowaniem, które zazwyczaj zwiastowało jakieś kłopoty.

- Jacek się zbliża. - odpowiada od niechcienia i ze złością.

- Kto?!

- Mój narzeczony. - szepce, chwytając mnie za rękę i pokazując mi czerwoną kropkę, poruszającą się na mapie, wyświetlanej za pośrednictwem ekranu w jej telefonie.

Oślupiały tą wiadomością, zerkam na jej dłoń, i orientuje się o pierścionku zaręczynowym usadowionym na jej palcu.

Pewnego rodzaju gorycz rodzi się w moim wnętrzu, gdyż mniemałem, że jako pełnoetatowe kurwiszcze, przemykające niepostrzeżenie od klienta do klienta, nigdy się z nikim nie zwiąże, i to nie tylko dlatego, iż kilka lat temu mówiła mi o tym, jak o czymś niemożliwym i absurdalnym, lecz nader wszystko dlatego, że jako osoba, która odrzuciła moją szczerą i niekłamana miłość, powinna zorientować się po czasie o swoim życiowym błędzie, i pozostać całe życie w samotności, aby w bólu ubolewać nad nieodwracalną stratą.

Andżelika widząc zmieszanie na mojej twarzy, atakowanej przez fale gniewnego wypieku, wyciedza nieśmiało ze spuszczonej oczyma.

- To nie tak...

- A jak? - pytam zimno, wiedząc, iż zorientowała się o moim gniewie, który o dziwno, wydaje się dla niej zrozumiały, gdyż okazuje skruchę.

- Jacek mnie wykupił...

- Wykupił?

- Tak! Miałam kilku tysięczne długi, a ten dureń po jednej z moich wizyt zakochał się we mnie. Zamawiał mnie codziennie, a pieniędzy miał w opór. Wyżaliłam mu się pewnego razu na temat długów i postanowił je za mnie spłacić... Nie odmówiłam.

- Ile tego było? - pytam z pogardą.

- Dwadzieścia osiem tysięcy.

- Dwadzieścia osiem tysięcy?!

- I czternaście złotych. - dodaje, uśmiechając się w przypiływie bezradności na wspomnienie skrupulatności swojego alfonsa w kwestii finansów.

- Nie wierze. - komentuję, odwracając wzrok z lekko uniesionym nosem na znak oficjalnego focha.

- Daj mi to wszystko wytłumaczyć... - mówi, starając się złapać mnie za rękę, lecz w tym czasie, pojawia się obok nas, nie wiadomo skąd, sporych rozmiarów jegomość, ochryłym i podejrzliwym głosem, zwracający się do zaszokowanej Andzeliki.

- Co tu się dzieje?!

- Spójrz kochanie! To mój znajomy z dawnych lat. Przyby, pamiętasz? Opowiadałam ci o nim.

- Nie. - odpowiada zwięźle, po czym zaczyna mi się przyglądać.

Patrząc niepewnie w jego niebieskie oczy, bijące niewytłumaczalnym chłodem, nasuwającym na myśl jedną wielką nieprzewidywalność i bezgraniczność działań, uciekam wzrokiem, aby zlustrować całą jego postać.

Może z dwumetrowy, łysy haban z tatuażami na całym ciele, odziany w bojówki, szary, przeпоcony podkoszulek i japonki, przygląda mi się wytrzeszczonymi ślepiami, z wykrzywionymi ustami, zaciśniętymi pięściami oraz napiętymi mięśniami

górnej partii ciała, jakby miał zaraz postawić stolca. Żyłka uwydatniająca jego rozgorączkowany umysł pochłonięty w nieprzyjemnym dla niego namyśle, utwierdza mnie w przekonaniu, iż mam wątpliwą przyjemność, obcować z postacią nietuzinkowo tępą.

- Cześć. - zagajam możliwie najsympatyczniej, wyciągając lekko drżącą dłoń.

- Cześć. - burczy po chwili, po czym nad wyraz mocno ściska moją grabę.

- Posuń się. - rozkazuje Andżelice, która patrząc na mnie ze wstydem, posłusznie wykonuje jego polecenie.

- A więc czym się zajmujesz... Kolego? - pyta mnie, kładąc nacisk na ostatnie słowo, które wydaje się ironiczną docinką z jego ust, jednocześnie wypatrując kelnera i starając się wzbudzić jego zainteresowanie, obcesowym machaniem umięśnionej ręki.

- Jestem dziennikarzem. - odpowiadam niepewnie, zerkając tak samo na zmieszaną Andżelikę.

- Czyli jesteś jednym z tych inteligencików co? Hehe - pyta nieprzyjemnie i z pogardą, kierując ku mnie wzrok, pozwalając mi przy tym dostrzec, iż jedno z jego oczu jest szklane, a w jego okolicy, znajduje się dość spora blizna.

- Ale spójrz kochanie. To Przyby udupił tego radnego. - wtrąca pośpiesznie Andżelika, szukając w telefonie mojego artykułu.

- Jakiego radnego? - pyta podejrzliwie, przyglądając mi się przymrużonymi oczami i lekko wyciągniętą ku mnie głową.

- No tego... Breczkowskiego... - duka drżącym głosem, co nasuwa mi domysł, iż lęka się o moje bezpieczeństwo, straszac mnie jednocześnie.

- Wiecie co... Ja się będę chyba już zbierał. - staram się wymigać, wstając nieśmiało.

- Siadaj. - rozkazuje takim tonem, iż bez namysłu padam z powrotem na kanapę, i orientuje się, że jestem niemal trzeźwy, a cała dotychczasowa faza odeszła jak ręką odjął.

Andzelika łąsi się do popadającego w paranoidalny gniew mężczyzny, starając się go zrelaksować, gdyż ewidentnie brakuje mu luzu.

- Zobacz, kochanie. Zobacz. - prosi po chwili, ukazując mu artykuł w telefonie.

Naburmuszony olbrzym nagle rozpromienia oblicze i krzyczy przyjaźnie, lecz nazbyt głośno.

- To ty! Wiedziałem, że skądś cię kojarzę!

Zdziwiony nagłą zmianą nastawienia nieoczekiwanego gościa, zauważam brak prawego, drugiego zęba w górnym rzędzie.

Jacek podrywa się energicznie i zmierza w moim kierunku.

Siada niezdarnie obok mnie i kładąc ubrudzoną dłoń na moim ramieniu, krzyczy mi do ucha, częstując mnie maleńkimi kropelkami śliny oraz odrażającym odorem z ust, który wziął się zapewne przez zaniedbanie codziennej higieny jamy ustnej.

- Nienawidzę pismaków! Nienawidzę! Ale ty jesteś w porządku, bo dzięki tobie przyskrzynili tego chuja! Hehe - sapie mi do ucha, namolnie przyciskając mnie do siebie, jakbym był jego dawno niewidzianym przyjacielem, co irytuje mnie strasznie, więc staram się od niego odsunąć, powodując zmarszczenie jego brwi oraz pytanie, zadane oburzonym tonem.

- Coś nie tak?!

- Nie, nie, po prostu jesteś strasznie ciężki. - odpowiadam bez większego namysłu, co przynosi dobry efekt, gdyż najwyraźniej uradowany rzekomym komplementem kolos, po raz kolejny uśmiecha się radośnie i prężąc mięśnie, zaczyna szukać wzrokiem barmana.

Ku nieuciesze tego młodego Latynosa, znajduje go wzrokiem i przywołuje do siebie ruchem ręki i jękiem, który można opisać w taki sposób.

- Eee...!

Złękniiony wyglądem i zachowaniem swojego klienta barman, niepewnie zbliża się do nas, spoglądając pytająco w naszym kierunku.

- Litra czystej i dwa litry soku pomarańczowego. Teraz! - zamawia Jacek.

Młodzieniaszek nerwowo zapisuje zamówienie w notesiku, dopytując.

- Trzy kieliszki i szklanki?

- A co...? Chce pić z nami?! Hehe - krzyczy, spoglądając na nas w celu uzyskania aplauzu po swoim niebagatelny żarcie, który niestety otrzymuje, w postaci nieszczerych uśmiechów, gdyż nikt w jego otoczeniu, nie zamierza chociażby w najmniejszym stopniu, go rozgniewać.

- Nie, nie. - mający srodze już złękniiony.

- A szkoda! Hehe - podsumowuje, puszczając Andżelice oczko.

Jacek wstaje i wyciąga z kieszeni telefon, pytając barmana.

- Ile się należy?

- Sto trzydzieści dwa złote. - odpowiada niepewnie, nie spuszczać wzroku z notesu.

- Gdzie macie terminal?

- Nie zapłaci pan telefonem. Tylko gotówka. - informuje młodziak, którego oczy, w przeciągu kilku ułamków sekundy, powiększyły się niemal dwukrotnie.

- Co?! Jak to kurwa nie ma?! Ty wiesz kim ja jestem?! Co to kurwa ma być?!

Śmieciu! Gdzie jest twój szef?! - krzyczy oburzony.

- Bardzo pana przepraszam, ale nie ma prądu, dlatego nie możemy zrealizować transakcji za pomocą telefonu. Nieopodal jest bankomat, tam może pan wybrać pieniądze. - tłumaczy, wskazując drżącym palcem budynek, mieszczący się około trzystu metrów od lokalu.

Jacek energicznie uderza pięścią w stół, przewracając karteczkę z numerkiem i jedną ze szklanych ozdób, powodując swoim niekulturalnym zachowaniem, poderwanie się na równe nogi Andżeliki.

- Kochanie uspokój się! - syczy stanowczo, podchodząc do swojego mężczyzny, i łapiąc go pod ramię, stara się zaciągnąć rozgoryczonego jegomościa na kanapę.

- Ja zapłacę. - wychylam się, chcąc pomóc Andżelice ujarzmić tego trolla, i wstaję do barmana, po czym odchodzimy razem w kierunku baru.

Spoglądam kontem oka na zniesmaczoną i rozgniewaną Andżelikę, która tłumacząc coś Jackowi, macha energicznie rękoma, powodując na jego twarzy szczerą, niemal dziecięcą, smutek.

- Proszę dopisać do rachunku, dobrze? - proponuję barmanowi, gdyż również nie posiadam przy sobie gotówki.

- Dobrze. - odpowiada, rzucając mi porozumiewawcze spojrzenie wraz z wyrozumiałym i współczującym uśmiechem.

Wracam do stolika i widzę jak napełniony skrucą Jacek, namolnie stara się złapać Andżelikę za rękę, lecz ta, zniesmaczona jego nieprzyzwoitym zachowaniem, nie godzi się na takie czułości.

Widząc władzę, jaką dzierży Andżelika w tym związku, nabieram pewności siebie, gdyż poczułem, iż teraz, to ja, posiadam władzę nad nią, czyli poniekąd, również nad nim.

Siadam pewnie na kanapie i z nieco szyderczym uśmiechem pytam zagubionego

we własnych myślach Jacka.

- A ty czym się zajmujesz?

- Jestem ochroniarzem, ale wcześniej byłem żołnierzem, a tak w ogóle to zawsze chciałem być sławnym sportowcem. - odpowiada, nie zważając na to, iż dodaje multum informacji, o które nie pytałem, jednocześnie zagracając moją przepelnioną głowę.

Podirytowany jego niesatysfakcjonującą mnie zdolnością interpretacji zadanych mu pytań, ironicznie podtrzymuję rozmowę w nieinteresującym mnie temacie, komicznie udając zainteresowanie.

- O... A w jakiej dziedzinie?

- Co w jakiej dziedzinie? - pyta, marszcząc brwi i spoglądając co chwilę na Andżelikę, podejrzewającą powoli moją grę, od której nigdy nie stroniłem.

- W jakiej dziedzinie sportu chciałeś być sławnym sportowcem? - doprecyzowuję.

- A nie wiem. Obojętnie. - odpowiada z uśmiechem, po czym dodaje.

- Oby była kasa i dupeczki. Hehe

Andżelika rzuca mi zawstydzone spojrzenie odzwierciedlające niesmak i upokorzenie.

- A dlaczego nie pracujesz już w wojsku? - dociekam, nie ściągając szyderczego uśmiešku z mojej twarzy, tonem, który wzbudzał nieco podejrzeń w moim rozmówcy, dając do zrozumienia, iż ta rozmowa, dałaby mi najwięcej radość w chwili, w której by się zakończyła.

- Eee... Takie tam... - burczy niepewnie, wiercąc się na kanapie.

- Wywali cię? - pytam, podnosząc obydwie brwi do góry.

- Jeden chuj się na mnie uwziął. - odpowiada niechętnie.

- Ale jak? - pytam szczerze już zainteresowany, gdyż wyczuwam zbliżającą się okazję do zastosowania iście wężowej, skrytej szydery.

- Pojeb taki, że szkoda gadać. Myślał, że jak jest wyższy stopniem, to może mi rozkazywać.

- A nie? - wtrącam radośnie.

- No ale kurwa... Pomyśl, że siedzisz w jakimś zasranym obozie na pustyni, a ten frajer wyrzuca cię z roboty, bo uciałeś sobie drzemkę w trakcie manewrów. Przecież to jakiś absurd.

- Zaiste. Chora sytuacja. Jak on śmiał. - komentuję, patrząc na Andżelikę, która znając moje zwyczaje, uśmiecha się do mnie zalotnie.

- No właśnie. Widać, że jesteś w porządku, a nie jak te śmiecie z plutonu, które przyznały temu tępemu chujowi rację. Nigdy ich nie lubiłem. Ale wiesz co było najlepsze na misji?

- Nom...

- Zabijanie. Och jak ja będę za tym tęsknić. Leżysz sobie na dachu... Słonko świeci, gadasz sobie z kumplem od cipkach, bibkach i wakacjach, a tu bach! Ładujesz jakiemuś dzikusowi strzał ostrzegawczy w potylicę. Nasz polski, dobry Tor... Moja malutka zabijaczka dzikusów... - dodaje na koniec z niekłamanym sentymentem.

- A więc byłeś snajperem? - dociekam.

- Tak...

- Strzelałeś do dzieci? - pytam poważnie.

- No pewnie. Co za różnica... Dzikus to dzikus, nie ma prawa żyć.

Cała radość, z drwiącego upokarzania tego osobnika, za sprawą niewyczuwalnego dla niego wzgardliwego szydzenia, mija w mgnieniu oka, po czym, nie bacząc czy mój krok nie będzie nazbyt widoczny i bezpośredni, wypalam z powagą wpatrując się w jego jedno, sprawne oko.

- Czy mi się zdaje czy ktoś cię wołał? - pytam, kiwając głową w losowo wybranym kierunku.

- Co? - pyta, marszcząc brwi i przyglądając mi się z niepewnością, która powoli przeistaczała się w gniew.

- Chyba ktoś cię wołał.

- Wyganasz mnie?! - podrywa się na równe nogi z krzykiem, powodując powstanie Andželiki, która patrząc na mnie ze złością, stara się go ugłaskać.

- Franc cię wołał kochanie. Też słyszałam. - niemal szeptem mu do ucha, nieustannie głaszcząc jego napięte ramiona.

- Franc?! - pyta się jej, nie spuszczając ze mnie wzroku, co zaczyna rodzić we mnie lęk.

- Pewnie potrzebują kogoś do plażówki. Wiesz jak on lubi plażówkę. Ty też lubisz plażówkę.

- Lubię. - burczy, patrząc w oczy Andželiki, która po pocałunku dodaje.

- Idź pograć, a ja zaraz dojdę.

Jacek stoi drgając niepewnie, jakby walczył z samym sobą.

- Szybko go spławię i już do ciebie idę. - szeptem mu na ucho, lecz na tyle głośno, że rejestruję każde jej słowo.

- Dobrze, ale za dziesięć minut widzę cię na kocyku z dupą wypiętą do słońca. -

rozkazuje wojskowym tonem.

- Dobrze kochanie. - odpowiada udając uległość.

Wielki przygłup oddala się w stronę plaży nie żegnając się ze mną chociażby skinieniem głowy.

- Na czym skończyliśmy? - pyta Andżelika po krótkiej chwili ciszy.

- Nie pamiętam. - stwierdzam, śląc jej ledwo widoczny uśmiech, pojawiający się na surowej, zniesmaczonej twarzy.

- Ja też. - przyznaje, ukazując swoje białe, równe zęby spomiędzy różowych, błyszczących ust.

- Przyjechaliśmy tu pociągiem, a wy? - pyta mnie, kręcąc kolejnego jointa, na którego mam niezmierną ochotę.

- Samochodem. W ogóle niezłą akcja. Pod Tczewem zabrakło nam paliwa i stanęliśmy gdzieś w lesie.

- Nie spojrzaleś na kontrolkę? - wtrąca się z drwiną.

- No właśnie zepsuła mi się ikonka ostrzegawcza, a nigdy nie patrzę na licznik.

- Gamoń. - komentuje radośnie, dając sygnał abym kontynuował.

- No i pojawia się nagle jakiś koleś, nie wiadomo skąd, gadający do nas w jakiś dziwnym, niezrozumiałym dla nas języku i coś tam tłumaczy.

- Nieźle...

- No i jakoś tam nam się udaje, po części na migi, po części po polsku, a po części bo angielsku, dogadać, i idę z typem do jego domku w lesie, z kanistrem na paliwo. Wszystko pięknie, ładnie, do momentu, w którym chcę dla typka zapłacić za paliwo i sobie pójść. Koleś zaczyna wydzierać się na mnie, że nie chcę wejść na herbatę, tylko

płace mu jak dla kurwy... Czy jakoś tak... Zaczyna coś pierdolić, że jestem egoistą, bo zostawiam go tam samego, a on mi pomógł. Beka w chuj.

- Wziął kasę?

- Nie. Nawyzywał mnie tylko i zamknął się w swoim obskurnym domku.

- Kto to kurwa był?

- Nie mam pojęcia. Jakiś znachor. - dodaje na koniec, wybuchając śmiechem.

- Masz. - podaje mi skręta.

Odpalam i zaciągam się gęstym dymem.

- Po co ty z nim jesteś? - pytam Andżeliki, uwalniając płuca od gęstej chmury i podając jej jointa.

- Z kim? - udaje głupią.

- No kurwa z Jackiem, a z kim. - irytuję się jej gierką.

- Nie jest taki zły... - burczy nieśmiało, spuszczaając wzrok.

- Przecież to jakiś kretyn. Ja pierdolę...

- Przynajmniej mnie nie bije. - przyznaje z bólem tryskającym z oczu.

Przyglądając się jej atrakcyjnemu, nieco zniszczonemu obliczu, zaczyna mi się jej robić szkoda.

W gruncie rzeczy, nie była to zła kobieta, ale w młodości, poprzez finansowe problemy i nieodpowiednie wzorce, popadła w takie kłopoty, z których teraz, sama, nie miała szansy wyjść, a absurdalnie, ten kretyn w postaci Jacka, okazał się jej cudownym wybawieniem.

- Jest zakompleksionym, tępym, aroganckim chujem, ale słucha się mnie jak pies.
- dodaje po chwili.

- Zauważyłem... - wtrącam z niesmakiem.

- No co? Miałam dalej oddawać się dla naćpanych biznesmenów, który mnie bili, gwałcili i poniżali, za jakieś marne pieniądze? Miałam takie długi, że czasami musiałam dawać dupy za darmo, jak mój alf, przychodził z wujkiem, bratankiem, albo jakimś innym zwyrolem.

- Ale ja nic nie mówię...

- Ale myślisz. I ja dobrze wiem co sobie myślisz. - dodaje ze złością, po czym zakłada nogę na nogę i siada uwydatniając swoją mimiką focha.

Zauważam czerwoną kropę migoczącą w okolicach biustu Andželiki i odkręcając głowę w kierunku, domniemanego źródła owego lasera, spostrzegam dwóch małych, którzy chichrając się pod nosem, celują końcówką złotego palucha w ten przykuwający uwagę cync. Peszą się na widok mojego stonowanego uśmiechu, który wysyłam w ich kierunku.

- Pamiętasz jak byliśmy u dentysty? - zagajam, starając się zachować powagę.

- Pamiętam... - odpowiada nadąsana.

- Chyba się nie obraziłaś? - pytam z niedowierzaniem.

- Nie.

- No to co jest?

- Nic.

- Ja pierdolę, durna babo o co ci chodzi? - wściekam się lekko przesadnie, aby nadać tej scenie komicznego wydźwięku, lecz w głębi czuję, iż jej negatywne nastawienie względem mnie, zaczęło mnie przejmować, co urodziło we mnie

pewnego rodzaju zakłopotanie wymieszane z lękiem.

- Pierdolona manipulantka. - mówię sobie w myślach, spoglądając na nią podejrzliwie.

- Oceniasz mnie jakbyś mnie nie znał, a dobrze wiesz, że jakbym mogła to inaczej bym poprowadziła swoje życie. - odpowiada ze zeszkłonymi oczyma, które unikają kontaktu z moimi.

- Każdy może żyć inaczej... - komentuję.

- Tak?! Kto normalny chciałby się związać z kurwą?! No kto?! - krzyczy, nie hamując już rozżalenia i roniąc niewielkie ilości łez.

Mięknę momentalnie i czuję wyrzuty sumienia, więc podrywam się szybko i siadam obok niej, przytulając ją przyjacielsko oraz mówiąc z cicha.

- Ja chciałem.

- Wiem. Ja też chciałam, ale zasługiwałeś na kogoś lepszego. - wywala z siebie tuszowaną latami tajemnicę, która ożywia we mnie martwą od lat pustkę w sercu, przez co uświadamiam sobie, iż od kilku lat, jedynie staram się zatuszować swoją miłość do niej, innymi aspektami życia, jednocześnie się oszukując.

- Przestań. - szepczę, przytulając ją mocniej i lekko pocierając jej plecy.

Chwila milczenia uspokaja ją nieco, co równocześnie poprawia mi samopoczucie, przez co decyduję się na zmianę tematu, na nieco bardziej luźny.

- Ten brązowy fotel u dentysty... Pamiętasz? - pytam z uśmiechem.

- Pamiętam... Jak ja się go bałam. - przyznaje.

- Ja też.

- Wiem. Przecież trzymaliśmy się za ręce w poczekalni...

- Racja.

- Wiesz, że mnie to w ogóle nie uspokajało? - pyta z przekorą.

- Jak to?

- Chciałam cię po prostu potrzymać za rękę, ale stresowałam się wtedy jeszcze bardziej.

- No ja w sumie też. - przyznaję, dochodząc do wniosku, iż przy niej, nawet stres, wydawał się przyjemny i inny niż zazwyczaj.

- To po tej wizycie poszliśmy do parku z... Jackiem? - pyta, wybuchając śmiechem, podczas wypowiedziania imienia, które dziś kojarzy się jej zupełnie z kimś innym.

- Dokładnie. - przytakuję, racząc nozdrza jej zapachem, który przypomina mi ciepło jej rozgrzanego namiętnością ciała, smak ust i dźwięk wydobywającej się z nich rozkoszy.

Penis podrywa mi się mimowolnie, a ona wpatruje się we mnie swymi wpół smutnymi, wpół radosnymi oczyma, czekając aż ją pocałuję.

W chwili gdy przymierzam się do zamknięcia powiek, dociera do mnie myśl, że tam... Kilkanaście metrów dalej, leży moja żona i obserwuje naszą córkę, zastanawiając się gdzie ja jestem.

Pomimo, iż po ostatnim zawodowym niuansie, nie byłem w stanie sobie spojrzeć w oczy, co pchało mnie w jakimś stopniu do popełnienia kolejnego bestialskiego czynu, w postaci zdrady, postanowiłem nie ulec pokusie.

Andżelika wyczuwając moje stopowanie, odsunęła się ode mnie delikatnie, a jej rozszerzone źrenice, ukazujące radość, poczęły błyskawicznie maleć.

- To bez sensu... - burczy po nosem, spuszczaając wzrok na stolik i tworząc na

twarzy grymas, który przeszywa mnie bolesnym grotem niemocy.

- Mam z nią dziecko. - tłumaczę się, szczerze ubolewając nad obecnym swoim położeniem, pomimo iż niespełna godzinę temu, aspekt, który teraz ciążył mi niezmiernie, był jednym co trzymało mnie na powierzchni, przed utonięciem w wodach depresji.

- Kochasz ją? - pyta mnie z obojętną zadumą.

- Nie wiem. - odpowiadam szczerze, zastanawiając się nad tym co ja wyrabiam.

Siadam nieco z boku i chwytając nerwowo pojemnik z wykałaczkami, wyciągam jedną z nich, dłubiąc nią w papierowej serwetce.

Myśli wirują mi z siłą huraganu, a ja wylewam z siebie wszystko bez zwracania uwagi na wypowiedane przeze mnie słowa.

- Nie wiem... Wiem, że to podłe, zastanawiać się nad tym w kontekście osoby, której przysięgało się przed Bogiem wierność i nieskalaną miłość, aż do śmierci, lecz teraz, gdy jestem tu z tobą, i mówię ci to wszystko, czuję się swobodnie jak przy nikim innym. Laura jest piękna, wierna, dobra i naprawdę ciężko by mi było wymienić jakąś jej wadę, która nie kwalifikuje się w ramach odmiennego charakteru, ale przy niej cały czas gram. Nie jestem sobą. Staram się być dobrym mężem i ojcem, ale nie robię tego w taki sposób jakbym chciał. Ukrywam przed nią pewne sprawy, o których mogę powiedzieć tylko tobie, bo wiem, że mnie zrozumiesz, nie potępisz i ewentualnie pocieszysz, gdy z jej strony, mógłbym liczyć jedynie na krytykę, co z jednej strony dobrze o niej świadczy, gdyż to co zrobiłem było podłe, ale... Nie obraż się... Wydaje mi się, że jesteśmy w takim samym stopniu spaczeni złem, że rozumiemy się nawzajem i jesteśmy w stanie zaakceptować nasze niemoralne posunięcia, które dla ludzi czystych są nie do przyjęcia. Co ja wygaduję?! Mam córkę... Kocham ją... Ciebie też... - urywam w połowie zdania, orientując się co chciałem powiedzieć, i spoglądam na Andżelikę, która słuchając moich słów, jakby zahipnotyzowana, rysuje czerwonym długopisem, niezdarne serce, na papierowej serwetce.

- Co mówiłeś? - pyta po ocknięciu się z transu, i spogląda na mnie z uradowaną

prośbą o przebaczenie tego, iż mnie nie słuchała.

Uśmiecham się mimowolnie na widok jej uroczej, łobuzowatej twarzy, po czym rzucam szybkie spojrzenie na jej rysunek, który sekundę później niknie w jej torebce, powodując na jej twarzy niemal dziewczęcy rumieniec, budzący we mnie kolejną falę pożądania, nie tylko fizycznego.

- Miewasz czasem myśli samobójcze? - pyta się mnie oschle, wprowadzając mnie w niemiły stan, który szybko chcę zniwelować zmianą tematu, gdyż wydaje mi się, że chce o tym porozmawiać, a nie mam na tyle siły, aby po wysłuchaniu jej zwierzeń na temat czarnych myśli, nie wpaść jej w ramiona po raz kolejny.

- Wiesz co... - zaczynam z lekkim przekąsem.

- Zanim przyjechaliśmy na plażę, byliśmy w niewielkim kościele, w jednej z okolicznych wiosek. Laura nie mogła się przestać zachwycać takim jednym obrazem. Totalnie nie wiem co ona w nim takiego widziała.

- Co ukazywał? - pyta zaciekawiona, lecz nieco rozczarowana.

- Stojącego Chrystusa... I jakieś takie błękitno-różowe obłoki. Bohomaz... - kwituję z ignorancją, odwracając teatralnie wzrok i machając ręką.

Patrząc przed siebie, w kierunku plaży, zza którą szumiało lekko wzburzone morze, widzę pijaną nastolatkę, która trzymając szklaną butelkę z piwem w dłoni, biegnie chwiejnie, po gorącym, sybkim piasku. Przyglądając się jej nieskazitelnej figurze, widzę jak w jej kierunku leci duża, tęczowa, piłka, która po chwili trafia ją w głowę, powodując jej efektowny upadek oraz falę śmiechu, nie tylko wśród jej towarzystwa, ale również przy naszym stoliku.

Andzelika ocierając oczy od łez radości, przygląda mi się z uśmiechem, dając tym samym znać, iż w tej samej chwili co ja, przyglądała się tej dziewczynie, oraz o tym, że ją, jej upadek, rozbawił równie mocno co mnie.

Zmęczeni śmiechem, padamy bezwładnie na kanapę, patrząc na siebie znużonymi spojrzeniami, wydobywającymi się z oczu, osadzonych w naszych, opartych o

oparcie głowach.

Jej rude, lśniące włosy, lekko opadają na twarz, przykrywając jej część.

Łapiemy się za dłonie i wpół leżąc, delectujemy się chwilą, w której zdaje się, iż łączymy się w jeden umysł, który komunikuje się między sobą bez pośrednictwa słów, co objawia się, nie tylko obopólną radością, krążącą między naszymi ciałami, ale również wysunięciem i jednoczesnym zaakceptowaniem pomysłu o spenetrowaniu pudełeczka ze skarbami, które miało nam jeszcze bardziej umilić tę błogą chwilę, która razem postanowiliśmy za chwilę zakończyć.

- Po jednej? - pyta retorycznie, z błogim, zmęczonym uśmiechem.

- Po jednej... - odpowiadam znużony.

Andzelika wyciąga z pudełeczka dwie kapsułki z fioletowo-granatową cieczą, znajdującą się wewnątrz plastikowej łuski.

Połykamy je, zapijając wodą z lodem, która w niewyjaśnionych okolicznościach, pojawia się na naszym stoliku.

Nie przejmując się tym faktem, i tłumacząc go narkotycznymi dziurami w głowach, delectujemy się lodowatym trunkiem, który nie tylko boleśnie zalewa nasze gardła, ale również niezwykle przyjemnie kontrastuje z upalnym powietrzem wokół nas.

Odczuwalna temperatura wzrasta jeszcze bardziej, gdy Andzelika przybliży się do mnie i kładąc mi głowę na prawym barku, mrucząc z cicha, zaczyna delikatnie pieścić mojego sterczącego już penisa.

Czując jej oddech na karku i ciepło, jej wciśniętych w moje ramię piersi, odlatuję w błogim haju, nie przejmując się tym, jak ta sytuacja może wyglądać z boku, zwłaszcza z perspektywy Laury, która mogła pojawić się tutaj w każdej chwili.

Stan ekstazy, jest na tyle silny, iż poza nim, nie obchodzi mnie nic.

- Dobrze ci? - pyta namiętnie i z troską, na co kiwam powoli głową.

- Kurwa... Jebany małolat. - burczę z uśmiechem, nie otwierając oczu.

- Co? - pyta, przygryzając mi ucho.

- No ten kurwa animator... Byłem o niego zazdrosny czaisz?

- Zazdrosny?

- No tak... Bo on taki młody, wysportowany, sprawny i uprzejmy, a ja wiesz...

- Nie wiem? Z tego co widzę to jesteś sprawny. - dodaje, odchylając się lekko ode mnie i patrząc mi prosto w świeżo otwarte oczy.

- No ale on się jej podoba, a ja już pewnie nie... Zobacz na mnie... - zrzędzę, aby usłyszeć od niej jakiś komplement, który miałby mi poprawić samopoczucie.

- Przestań. Wiesz przecież, że każdy facet z wiekiem przystojnieje. - komentuje, nie spuszczając ze mnie uwodzicielskiego wzroku, przygryzając lekko wargę i przyspieszając ruch ręką, która cały czas spoczywa na moim penisie.

Patrzę na nią porozumiewawczo i rozumiem, iż ona wie, jakiego komentarza oczekiwałem, dlatego powiedziała to co chciałem usłyszeć, co utwierdza mnie w przekonaniu, iż jest najbardziej pasującą do mnie kobietą jaką w życiu spotkałem.

- Wiesz... Brak mi prywatnej strefy w moim małżeństwie. Nie mam gdzie uciec, gdzie się schować, przed tymi wszystkimi oczami, które dwadzieścia cztery godziny na dobę mnie obserwują. Czy to w pracy, czy to na ulicy, czy to w domu. Zero prywatności, samotności i spokoju.

- Brakuje ci prywatności? - pyta zadziornie, znowu się o mnie ocierając niczym kotka znacząca swój teren.

- Brakowało mi tego... Do teraz.

- Do teraz?

- Z tobą czuję się jakbym był z sobą, jakbym był sam. Nie muszę nikogo udawać, mogę być sobą i wiem, że wszystko zrozumiesz tak, jak chcę aby to zostało zrozumiane. Kocham to... - wypowiadając ostatnie zdanie, powoduję poderwanie się Andželiki z kanapy i schwytywanie przez nią mojej bezwładnej dłoni.

Po chwili ciągnie mnie za sobą w kierunku drewnianych wiat, które zdają się bardziej oddalać niż przybliżać, mówiąc z udawaną złością.

- Mi też czasami brakuje prywatności.

Człapiąc się za nią niezdarnie, czuję na sobie wzrok siedzących w barze turystów, nie przejmując się swoim sterczącym penisem, który nie jest kamuflowany przez luźne, dresowe spodenki, oraz tym, że jestem prowadzony przez uradowaną, wyzywająco ubraną kobietę, w kierunku ubikacji.

Zerkam mimochodem na stojący przy barze zegarek, pokazujący osiemnastą godzinę, która zdaje się, nastąpiła nad wyraz szybko, co wzbudziło we mnie przez chwilę, swojego rodzaju niepokój, który zostaje zastąpiony zachwytem, wywołanym widokiem, rytmicznie poruszających się pośladków Andželiki.

Narkotyczno-alkoholowa mieszanka, połączona z seksualnym podnieceniem, odbierają mi częściowo świadomość.

Nieczuła, czarna otchłań i bezkresna cisza, momentami jest wypełniana szczątkowymi bodźcami, rejestrowanymi przez moje zmysły.

Widzę jak Andželika otwiera drzwi do męskiej toalety...

Całujemy się i pieścimy dłońmi, ignorując mężczyznę, załatwiającego swoje potrzeby fizjologiczne w kabinie obok...

- Wyszedł... - szepce podniecona Andželika, zsuwając mi spodnie.

Jestem w niej...

Czuję smród gówna oraz lepkie, spocone i rozgrzane ciało dyszącej Andżeliki...

Dochodzę...

Kończę w niej...

Siadam bezsilny na brudnej, drewnianej podłodze...

Patrzę na sufit, po którym chodzi pająk.

- Dlaczego ten sufit jest tak kurewsko czerwony? - pyta rozdrażniona Andżelika, wydłubując resztki spermy z pochwy.

- Przecież to niebieski... Daltonistko... - odpowiadam, resztą sił, ledwo co otwierając oczy i spostrzegając dziwną dla mnie czynność, wykonywaną przez kobietę, w towarzystwie której przebywam.

- Co ty robisz, daltonistko? - pytam z niesmakiem, coraz mocniej czując nieprzyjemną woń ludzik odchodów.

- Mówiłam ci, że kobiety nie mogą być daltonistkami. - odpowiada obrażona.

- Przecież mówiłem ci, że to bzdura. Kobiety też mogą być daltonistkami... I co ty robisz do chuja?! - krzyczę, czując nagły przypływ rozgoryczenia i rozdrażnienia.

- Już raz skrobałam twojego bachora i nie chcę tego robić kolejny raz. - syczy bezdusznie, rzucając mi wzgardliwe spojrzenie.

Oszołomiony nowo poznany fakt z jej życia, który tyczył się również mojej osoby, zapadam w letarg, po czym wykrztuszam z siebie.

- Nie wierzę... Nie zrobiłabyś tego.

- Robiłam to nie raz... Zamknij kurwa ryj! - krzyczy w szale, zatykając uszy.

Przyglądam się siedzącej na ziemi, rozkraczonej, rozmazanej, spoconej ladacznicy, która z wyciekami z pochwy, wierzga nogami, wydziera się i kręci spazmatycznie głową.

- To kurwa przez te twoje pierdolenie się bez kondomów! Zawsze kurwa tak chciałeś! Zawsze kurwa mnie naćpasz, a potem wykorzystasz! Ty chuju! Nienawidzę cię! Dlatego zabiłam twoje dziecko! Bo cię kurwo nienawidzę!

- To nie było moje dziecko! - krzyczę, podrywając się i szarpiąc ją agresywnie.

- Twoje kurwo! Twoje!

- Zabiję cię kurwo! Zabiję! - wydzieram się, wymierzając jej mocnego prawego sierpowego, po którym pada na drewniane, wilgotne deski.

- Ty kurwo! Ty jebana zawszona męska kurwo! Masz czelność mnie tak nazywać?! Masz żonę, której ślubowałeś przed Bogiem wierność aż do śmierci. Masz córkę, dla której jesteś autorytetem, a ćpasz jakieś gówna i pierdolisz się z dziwką w nadmorskim, obsranym kiblu, jak najgorszy śmieć! I ty masz czelność nazywać mnie kurwą?!

Prawda, którą dostałem między oczy rozzłościła mnie najbardziej tym, że nie miałem na nią żadnych kontrargumentów, więc postanowiłem wyładować swój gniew za sprawą fizycznych manewrów.

Kopię ją w twarz tak mocno, iż czuję pękający nos.

- Ty kurwo... - syczy wpół przytomna.

- Zajebię cię kurwo. - syczę, śliniąc się ze złości i ledwo co stojąc na nogach od fazy, szalu i chaosu goszczącego w mojej głowie.

- Muszę ją zabić, bo wygada światu całą prawdę o mnie. - tłumaczę sobie w opętanej mózgownicy, która po raz kolejny zaczyna mi ukazywać jedynie skrawki rzeczywistości.

Ciągnę ją po podłodze, szarpiąc za przepocone włosy...

Krzykiem, karzę się jej zamknąć, gdyż wydiera się przeraźliwie...

Uderzam kilka razy jej głową o porcelanową muszę klozetową...

Zamykam drzwi od kabiny...

Leżę na gorącym piasku...

- Ale poryty sen... - mówię do siebie w myślach, po otwarciu oczu, które z bólem przywitały mnie z wiszącym nade mną słońcem.

Czuję, iż jestem cały spocony.

Wstając na nogi, czuję ból stopy, a po chwili przyglądam się swojej dłoni, której kostki są obdarte, jakbym przed chwilą stoczył walkę.

Przerażony rozglądam się wokół siebie, i zdaję sobie sprawę, iż znajduję się zza drewnianą budką, w której znajdują się toalety.

Chcąc utwierdzić się w przekonaniu, iż to był tylko chory sen, wchodzę do męskiej ubikacji, po czym otwieram drzwi do jednej z kabin, za którymi znajduje się nieprzytomna, zmasakrowana Andżelika, której głowa, wisząca na muszli, jest przycięta przez domkniętą klapę.

Wybiegam stamtąd przerażony, i błędnym wzrokiem, staram się odnaleźć jak najwięcej szczegółów, które mogłyby wybić mnie z wrażenia, iż to ja jestem głównym uczestnikiem tej masakry.

Na moje nieszczęście, wszystko wokół utwierdza mnie tylko w przekonaniu, iż wszystko to co wydawało mi się koszmarem, było rzeczywistością.

W jeszcze większy niepokój wprawia mnie fakt, iż cały bar i plaża niemal opustoszały, a większość ludzi, zgromadziła się w grupie, nieopodal morza.

Chcąc jak najszybciej zobaczyć się z żoną i córką, postanawiam udać się w tamto miejsce.

Idąc niezdarnie po gorącym piasku, wyczuwam brak prawego sandała, który zaginął w nieznanych okolicznościach oraz cuchnącą woń swojego ciała.

Niesamowita suchość w ustach, ból głowy i niepełne czucie w kończynach, uprzykrzają mi tę męczącą podróż.

Przecierając spiętrzone usta przedramieniem, pozostawiam na nim śladowe ilości śliny, która bezwładnie gromadziła mi się za dolną wargą i podczas marszu, wyciekała z kącików ust.

Straszliwy ból gardła, powstrzymywał mnie od jej połknięcia, a palące słońce, niemiłosiernie piekło każdy centymetr mojej skóry, nawet ten schowany pod ubraniem.

- Jestem skończony... - mówię sobie w myślach.

- Ta kutwa wszystko wygada... Stracę żonę, pracę, majątek i pójdę siedzieć... Odbiorą mi prawa rodzicielskie... Rodzice się załamią... Kurwa mać!

- Myśl! Myśl! Myśl! - krzyczę niemo, licząc iż uda mi się z tego jakoś wykaraskać za sprawą kolejnej fali kłamstw i znajomości w środowisku prawniczym.

Przedzieram się niezdarnie przez ściśnięty motłoch, który stojąc w kole, szepce i przygląda się kobiecie będącej w towarzystwie ratownika.

- Laura? - pytam po rozpoznaniu swojej żony, która zalana łzami, klęczy w piaskowym kole, mając do siebie.

- Te grające słoneczko było fajne, ale córuś, chyba by wołała pieska... Takiego małego... Miłego pieska...

- Kochanie co się stało? - przyklękam przy niej, przytulając ją do siebie z troską.

- Szukam prezentu urodzinowego dla Dalii. - odpowiada, wpatrując się we mnie nieobecny wzrokiem.

- Gdzie ona jest? - pytam ją, rozglądając się przerażony po zgromadzonych.

- O... Jest i tatuś. - komentuje ktoś z tłumu.

- Chyba jest pijany... - wydobywa się jakiś szept.

- Co za patologia. - dodaje jakiś małolat.

- Biedne dziecko. - wzdycha starsza pani.

- Gdzie jest Dalia?! - krzyczę na Laure, szturchając ją agresywnie, lecz ta, uśmiecha się szaleńczo, patrząc ku morzu w milczeniu.

- Proszę się uspokoić! - wtrąca się ratownik, odciągając mnie od obłąkanej żony.

- Gdzie jest moja córka?! - wydzieram się na niego, starając się wyrwać z profesjonalnego, unieruchamiającego mnie chwytu.

- Szukamy jej od niespełna piętnastu minut. Proszę się uspokoić. - stara się wyjaśnić, niezdolnie spokojny i opanowany ratownik.

- Gdzie?! Puść mnie!

- Proszę się uspokoić, bo nic panu nie powiem. - ponawia prośbę stanowczym tonem, ściskając moją rękę mocniej i powodując tym samym mocny ból.

Uspokajam oddech i nie chcąc patrzeć w stronę rozbitej emocjonalnie żony, wycieczam, z trudem zachowując spokój.

- Gdzie jest moja córka?

- W morzu... Szukamy jej.

- Co?! Jak?! Gdzie?!

- Kochanie... Ja ją widziałam... Machała do mnie... - wtrąca Laura z nieprzytomnym, uśmiechniętym wyrazem twarzy, mówiąc tak spokojnie, jakby dyktowała jakiś przepis.

- Co? - pytam się jej, patrząc prosto w oczy, nie do końca rozumiejąc co ma na myśli.

- Ale wiesz, że nie umiem pływać. - tłumaczy mi się niczym niesforne dziecko, unosząc wpół radośnie brwi i bezradnie wzruszając ramionami.

Po tym, budzącym we mnie szal zachowaniu, z jej oczu, przez tępą mgłę, przedziera się iskra niesamowitego bólu i żalu, po czym ponownie wpada w histerię.

- Zabiłam własne dziecko! - krzyczy do siebie, szarpiąc się za włosy i wijąc się na rozgrzanym piasku niczym przypalany robak.

Skonsternowany ratownik puszcza mnie i podbiega do Laury.

- Proszę się uspokoić, proszę się uspokoić. - nalega, tuląc ją do siebie i kołysząc, jakby uspokajał dziecko.

Nie mogąc... Nie chcąc, przyjąć do wiadomości tego, co się tutaj stało pod moją nieobecność, błędzę szalonym spojrzeniem po gapiach i dostrzegam wśród nich młodego animatora, który jako ostatni, opiekował się moją córką.

- Zajebię cię! Zabiję! - krzyczę, rzucając się na niego z pięściami.

Ktoś z tłumu łapie mnie i obala na ziemię, a ja, szarpiąc się, patrzę na wycofującego się Latynosa, słysząc w tle głos ratownika.

- Znowu ma atak, proszę mi pomóc.

Z twarzą do połowy umieszczonej w piasku, widzę jak jeden z turystów, podaje mojej żonie zastrzyk.

- Teraz jemu. - mówi ratownik, a po chwili czuję lekkie ukłucie, po którym tracę częściowo kontakt z rzeczywistością.

Spadam...

Spadam w bezkresną otchłań...

Piekielny chłód powoduje konwulsyjne drgawki i niesamowity ból...

Chcę krzyczeć, ale z braku powietrza w płucach, nie mogę wydobyć z siebie głosu...

Starając się zaciągnąć powietrzem, wypełniam usta, gardło i przełyk, gęstą, niewidzialną mazią bez smaku, której istnienie wydaje się niemożliwe do odczucia...

Głową mi pęka, a ciało jest ściskane przez pewnego rodzaju ciśnienie, które zadaje się mnie kompresować do wielkości główki od szpilki...

Cały proces robi się coraz bardziej odczuwalny i przyspiesza z każdym ułamkiem sekundy, a świadomość, iż to jest dopiero przedsmak tego, co mnie czeka, napędza mnie strachem, który potęguje ból, niemoc i beznadzieję.

Pojawia się głód, suchość, zmęczenie oraz najbardziej nieznosne z tego wszystkiego, przeogromne, palące uczucie wstydu...

Paradoksalnie, spadając w lodowatą, ciemną, suchą otchłań, płonę żywym ogniem ze wstydu, który przypomina mi wszystkie moje życiowe błędy, na poprawę których, nigdy już nie będę miał szansy.

Chcę krzyczeć... Lecz nie mogę.

Chcę płakać... Lecz nie mogę.

Chcę błagać... Lecz nie mogę.

Chcę wszystko naprawić... Lecz nie mogę.

Nie mogąc pogodzić się z losem, który mnie czeka. W myślach staram się znaleźć rozwiązanie z tej sytuacji i nagle... Słyszę go... Głos, który daje mi ostatnią iskrę nadziei... Głos, który swoim brzmieniem, otwiera we mnie dawno zamknięte drzwi, które skrywały za sobą dawno poznane, lecz zapomniane mądrości, przyswojone przeze mnie w najmłodszych latach. Głos, który najcelniej, choć nie dość precyzyjnie, mogę określić jako... Wszechmocny... Przemawia tymi oto słowy.

- Wiesz co masz robić.

Czuję jak zniewalający mnie w bólu, niewidzialny łańcuch, pęka, a ja odzyskuję władzę nad swoimi kończynami, i choć dalej spadam oraz przebywam w bezkresnej otchłani, w mgnieniu oka klękam, po czym składam dłonie do modlitwy mówiąc.

Ojcze nasz, któryś jest w niebie.
Święć się imię Twoje.
Przyjdź królestwo Twoje.
Bądź wola Twoja.
Jako w niebie tak i na Ziemi.
Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj.
I odpuść nam nasze winy.
Jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.
I nie wódz nas na pokuszenie.
Ale nas zbaw ode złego.

Wiem, iż mój powrót do świata żywych, w rzeczywistości trwał zapewne z ułamek sekundy, lecz z mojej perspektywy, trwało to długą, lecz bliżej nieokreśloną chwilę.

Otwieram oczy i ponownie jestem na plaży, na której gapie, stojący wokół mnie, rozbiegają się pośpiesznie na boki, robiąc miejsce dla lądującego helikoptera.

Nie mogę się ruszyć, przyciskany do podłoża przez jakiegoś rosnącego osobnika, i

patrzac trzeźwym rozumem na obecną sytuację dochodzę do wniosku, że to, iż najprawdopodobniej stracę wszystko co miało jakąkolwiek wartość w moim życiu, jest niczym, w porównaniu do straty, której właśnie doznałem, uświadamiając sobie i godząc się z faktem, iż moja córka nie żyje.

Chcę oddać wszystko co mam na tej Ziemi i skazać się na wieczne cierpienie w miejscu, którego przedśmionek wzbudził we mnie taki strach i ból, iż w ułamku sekundy, przewróciłem do góry nogami cały swój światopogląd, aby tylko móc zwrócić życie swojej córce... Lecz nie mogę.

W skrajnej bezsilności i beznadziei, zamykam oczy, popadając w narastającą obojętności, zastanawiając się, jak będę w stanie żyć z takim brzemieniem.

- Halo! Halo! - słyszę głos młodej kobiety.

Staram się otworzyć oczy, ale nie mam siły.

Suche, piekące usta, za żadne skarby nie chcą się od siebie oderwać, aby umożliwić mi wypowiedzenie jakiegokolwiek słowa.

- Wrócił... - komentuje jakiś mężczyzna.

- Przewieźcie go do małej salki. - rozporządza kobieta o bardziej dojrzałym głosie.

Zasypiam, po czym białe światło, muskający ciepły powiew i cicha muzyka, witają mnie po odzyskaniu świadomości.

Otwierając kilkakrotnie oczy, aby dostosować wzrok do jasnego i rozmytego otoczenia, słyszę podekscytowany głos młodej kobiety.

- Budzi się! Budzi się! - krzyczy, wybiegając z pokoju, co można rozpoznać po odgłosie szybkich, oddalających się kroków.

Chcąc rozwikłać zagadkę mojego położenia, postanawiam przypomnieć sobie ostatnie wydarzenie, które świadomie zarejestrowałem, lecz uświadamiając sobie, iż właśnie się zapętlam, i mogę po raz kolejny, utonąć we wspomnieniach, których

zakończenie zaprowadzi mnie w to samo miejsce, w którym się obecnie znajduję, postanawiam przezwyciężyć ciekawości, po czym resztkami silnej woli, podrywam się gwałtownie na łóżku, otwierając szeroko oczy i biorąc głęboki wdech.

- Witam. - mówi siwy, leciwy mężczyzna, ubrany w czarny, jednoczęściowy, długi do kostek strój, przepasany czerwonym pasem.

- Dzień dobry. - wtóruje mu kobieta w średnim wieku, odziana w biały, rozpięty płaszcz, zza którego można dostrzec niebieską koszulę.

- Gdzie ja jestem? - pytam skonsternowany, nie bacząc na zasady kultury, w kierunku dwojga wchodzących do pomieszczenia, w którym się znajduję, i obserwujących mnie z uwagą ludzi.

- Proszę się położyć. - wtrąca młoda dziewczyna, która wychylając się zza moich gości, rzuca mi promienny uśmiech.

Nie zastanawiając się długo, wykonuję polecenie i padam bezsilny na miękką poduszkę.

- Co się dzieje? - pytam ich, jak i sam siebie, wlepiając wzrok w biały sufit.

Nagle po lewej stronie pojawia się twarz mężczyzny, zaś z prawej przyglądającej mi się z uśmiechem kobiety.

- Jak się pan czuje? - pyta ta druga.

- Dobrze. - odpowiadam nieco zlekniiony ich postawą.

- Pamięta pan co się stało? - pyta starzec.

- Nie wiem...

- Pańska córka... - mówi kobieta, której w słowo wchodzi jej towarzysz.

- Jest w Gdańskim Szpitalu Dziecięcym. - wtrąca, spoglądając z rozdrażnieniem

na kobietę, która postanawia kontynuować swój wywód.

- A żona zajęła pana miejsce w Kabinie Rozpoznania.

- W czym? - pytam zniesmaczony.

Napastująca mnie dwójka spogląda po sobie, po czym odzywa się starzec.

- Jest pan jedną z pierwszych osób, które zostały poddane innowacyjnemu projektowi o nazwie Orion.

- Jest to rządowa inicjatywa, mająca pomóc ludziom z różnego rodzaju defektami psychicznymi, w bardzo szybkim czasie, powrócić do zdrowia. - dodaje kobieta.

- A co tu robi ksiądz?! - przerywam jej ze zdziwieniem, zaobserwowawszy koloratkę na szyi mężczyzny.

- Eminencja jest tutaj, aby nadzorować działanie projektu i zbadać jego zgodność z etyką Kościoła Katolickiego. - tłumaczy, spoglądając na mnie z bezradną obojętnością.

- Jestem tutaj, aby pomóc. - komentuje oschle i ze znużeniem.

- Tak, tak... Po wypadku, który miał miejsce na plaży, został pan przetransportowany, wraz z żoną, śmigłowcem do Łódzkiego Centrum Badań i Terapii Psychiatrycznych. Jako, iż stan pańskiego organizmu, był bardziej stabilny i zrównoważony, to pana, jako pierwszego, umieściliśmy w Kabinie Rozpoznania. Za sprawą idealnego wyciszenia tego pomieszczenia, specjalnie dopasowanych fal magnetycznych, które oddziaływały na pańskie ciało, oraz różnego rodzajów dźwięków o częstotliwości 15 MHz wysyłanych do pana za sprawą słuchawek, umieszczonych w specjalnym hełmie, udało nam się wytworzyć w pańskim umyśle iluzoryczny stan, który miał przypominać ten, rzekomo odczuwalny po śmierci i przed ponownymi narodzinami.

- Zdaniem pewnych religii... - dodał, czujny jak ważka duchowny.

- Tak, tak... W tym stanie, gdy pański mózg, myśli, że umarł, pozostaje jakaś niesprecyzowana jeszcze przez naukę część świadomości, która jest w stanie odnaleźć się w tej sytuacji i rejestrować oddziaływania ze wszelkiego rodzaju wspomnieniami, emocjami, informacjami, wyobrażeniami, planami, traumami, lękami, marzeniami i wszystkim tym, co jest zapisane w naszym mózgu.

- To dusza... - wtrąca po raz kolejny starzec.

- Tak, tak... Tego jeszcze nie udowodniliśmy. - komentuje z dziecinną przekorą, po czym dodaje.

- Ale jesteśmy w trakcie udowadniania, iż po takiej terapii, pacjent jest w stanie świadomie zmierzyć się ze wszystkim, co gnieździło się w jego podświadomości, przez co było poza jego umysłowym zasięgiem. Najlepsze w tym wszystkim jest to, - tutaj zmienia ton na bardziej podekscytowany - iż w trakcie, jak pacjent jest w stanie śmierci umysłu, my, czyli lekarze, poprzez odpowiednie dźwięki, podszepty i wskazówki, jesteśmy w stanie mu pomóc, w jego wewnętrznej walce. - kończy, patrząc na mnie z wyczekiwaniem.

- Nie rozumiem. - odpowiadam szczerze, marszcząc brwi i spoglądając nerwowo na dwójkę, nachylonych nade mną ludzi.

- Pozwól, że mu wytłumaczę. - proponuje ksiądz, posyłając kobiecie życzliwe spojrzenie.

Po tym jak przewraca oczami i robi obrażoną minę, starzec przemawia, patrząc mi prosto w oczy, co w pewnym stopniu, wprowadza mnie w zakłopotanie, którego natury nie jestem w stanie rozwikłać.

- Wyobraź sobie braciszku, że twój umysł to pokój.

Przytakuję w milczeniu.

- No i w tym pokoju masz różnego rodzaju meble. Czasami zdarza się, że któryś z nich jest umieszczony w złym miejscu, albo w ogóle zbędny. Na przykład wyobraź sobie, że na środku pokoju stoi szafa, która przeszkadza ci każdego dnia.

Dotychczasowa psychologia, pomaga ludziom w przemieszczaniu tych mebli, uporządkowaniu umeblowania tego pokoju, który jest twoim umysłem, przez co jest on bardziej funkcjonalny, czysty i przyjemny.

- Chyba rozumiem. - wtrącam niepewnie.

- Ale... Psychologia nie jest w stanie ani dodać, ani usunąć mebli w tym pokoju. Pomaga jedynie w ich rozmieszczaniu i pielęgnacji. Zaś siła, która jest w stanie to uczynić, jest poza ludzkim zasięgiem. My, Katolicy, nazywamy tę siłę duchami, które występują w dwóch postaciach. Dobrej - anioły, które są w stanie nie tylko wyczyścić pułki z kurzu, wyręczając w tym ciebie, ale również dodać do wystroju urokliwą lampę, która umili ci samotne wieczory, albo solidny kredens, w którym będziesz mógł sprawnie przetrzymywać i segregować informacje, na które dotychczas nie miałeś miejsca, albo wyciągnąć z twojego pokoju śmierdzącą, obскую i spróchniałą szafę, którą z trudem przesunąłeś ze środka pokoju w kąt, ale dalej jest uciążliwa, drażniąca i przeszkadza w codziennym życiu.

- A skąd się wzięła ta szafa? - wtrącam z ciekawością dziecka i z takim samym wyrazem twarzy.

- A to właśnie sprawka tych złych duchów - demonów, które podrzucając ci cuchnące śmieci, niszczą pielęgnowane przez ciebie meble i inne elementy wnętrza, jak na przykład ściany, okna, podłogę i tak dalej i tak dalej...

- Po co to robią? - dociekam dalej, rodząc na twarzy starca uśmiech politowania.

- Oj nie mam na tyle czasu, aby ci to dokładnie wytłumaczyć, ale w skrócie powiem, że robią to z zazdrości.

- Z zazdrości?

- Tak... Są sługami tego, który jest zazdrosny o Jezusa Chrystusa.

- Nie rozumiem. - komentuję, czując lekkie zmęczenie, a wieść o Jezusie Chrystusie, budzi we mnie poczucie obcowania z wariatem.

- Reasumując... - wtrąca kobieta, puszczając starcowi stanowcze spojrzenie.

- Pani doktor uważa, że jest w stanie, za sprawą Kabiny Rozpoznania, uczynić z twoim umysłem to, co anioły i demony.

- Dokładnie. - wtrąca z dumą, skinąwszy głową w moim kierunku.

- A ja sprawdzam, czy to rzeczywiście działa.

- Czyli jestem jakimś królikiem doświadczalnym? - pytam z oburzeniem, przyglądając się tej niesympatycznej dwójce.

- O... - zdumiewa się podekscytowany ksiądz i patrzy z triumfem na zapisującą coś w pośpiechu na kartce kobietę.

- Dziwne... - burczy do siebie skonsternowana.

- Czyżbym miał rację? - pyta ironicznie ksiądz, nie spuszczać wzroku z milczącej i wyraźnie poddenerwowanej kobiety.

- Zobaczymy... - syczy niemiło, po czym wychodzi szybko z pokoju, nie przestając notować.

- Nie podoba mi się to. - komentuję całą tę nefarną sytuację, i staram się poderwać z łóżka.

- Spokojnie braciszku. - stara się mnie uspokoić, stoicko spokojny duchowny.

- Gdzie jest moja córka?! - pytam z gniewem, starając się oderwać nieprzyzwoicie mocno zamocowany wenflon.

- Zrobisz sobie krzywdę... Twoja córka jest w szpitalu. Już mówiłem.

- A żona?!

- W sali obok... Pamiętasz?

Jego spokojny i mocny głos, uspokaja mnie nieco, pozwalając mi poukładać sobie wszystko jeszcze raz.

- Co to wszystko ma znaczyć? Z czym miałeś rację? - pytam tonem obrażonego dziecka, nie zważając na nieprzyzwoity zwrot.

- Z tymi meblami? - pyta niepewnie.

- Też...

- Otóż pani doktor jest święcie przekonana, iż jest w stanie nie tylko usuwać meble z pańskiego umysłu, co jak widać zadziałało, ale również dodać nowe, czyste i użyteczne. W tej drugiej kwestii się z nią nie zgadzam, gdyż uważam, że człowiek, jako istota powstała na wzór Stwórcy, ale z mniejszą mocą, jest w stanie przezwyciężyć, samemu, bądź z pomocą, drżące w nim zło, lecz sam z siebie, nie jest w stanie napełnić swojego wnętrza Bożą łaską, do zaczerpnięcia której, potrzebne jest obcowanie z duchami, będącymi w służbie Jezusa Chrystusa, bądź z nim samym.

- Sugeruje pan, że czegoś mi brakuje? - pytam niepewnie, z lekkim niesmakiem, wywołanym przez tę insynuację.

- Dokładnie. - odpowiada bez emocji.

- Czego? - burczę, marszcząc brwi.

- Boga.

- Boga?

- Nie jest pan już nieczysty, ale jest pan pusty. Nie ma pan Boga w sercu.

- Co?!

- Nie zna pan prawdy...

- Jakiej prawdy?

- Słowa Bożego. Pisma Świętego.

- Ma ksiądz na myśli Biblię?

- Dokładnie.

- Że niby mam ją przeczytać?

- Dokładnie.

- Po co?

- Aby poznać prawdę.

- O czym?

- O Bogu.

- Po co?

- Bo tylko w taki sposób pozna pan prawdę o sobie.

- Nie rozumiem.

- Ówczesny świat jest naszpikowany fikcją, która na każdym kroku, stara się nas oderwać od rzeczywistości. Jest to wieloetapowy proces, mający na celu zniewolenie człowieka.

- Nie wierzę w teorię spiskową o tajnych rękach, rządzących światem i starających się zniewolić ludzkość.

- To nie tak. To nie jest zorganizowana, zakonspirowana grupa, która realizuje jakiś globalny plan, utworzony setki lat temu. Większość ludzi, rozsiewających ten szkodliwy ferment, robi to nieświadomie. Po prostu nie zastanawiając się nad tym

jakich słów i gestów używają, nie będąc świadomym ich siły oraz konsekwencji jakie za sobą niosą. W czasie gdy Bóg wygnał Adama i Ewę z raju, stali się oni podatni na działanie Szatana, który zniewalając ich, używał do szczyrzenia się grzechu i potępienia. Później Bóg postanowił wybrać jeden z narodów i obdarzyć go swoją łaską, dzięki której był on w stanie, mocować się ze złem. Ujrawszy, iż człowiek jest zdolny do przezwyciężenia Szatana, zesłał na Ziemię swojego syna, Jezusa Chrystusa, aby ten, poprzez męczeńską śmierć, odkupił grzechy całej ludzkości, umożliwiając jej, walkę ze złem. Jako iż zdecydowana większość ludzi była pod wpływem kłamstwa Szatana, łaska Boża, za sprawą Jezusa, a później jego apostołów, powoli rozprzestrzeniała się po całej planecie, pośród wszystkich narodów świata. Takie ekscesy jak na przykład krucjaty czy inkwizycja, wzięły się poniekąd z nie do końca zrozumianej ewangelii, ale również przez kłamliwe i zdradzieckie posunięcia Szatana, którego moc w tamtych dziejach była innej skali niż dzisiaj, prowadzące do wykorzystania zbawiennych nauk Chrystusa, do własnych, plugawych zamiarów.

- Dalej nie rozumiem... - przyznaję z lekkim wstydem.

- Ech... Świat... W sensie ludzie na nim żyjący... Nieświadomie, gdyż poprzez grzech, są we władaniu Szatana... Czyli nie zdając sobie nawet z tego sprawy... Rodzą w innych poczucie winy, przez co rozprzestrzenia się idea, ukazująca świat jako miejsce walki, rywalizacji i upadku, które opiera się wyłącznie na przetrwaniu, przez co nie ma w nim miejsca na litość, współczucie czy poświęcenie... Szatan utworzył dwa główne nurty iluzji, które są w stanie zawładnąć człowiekiem pogrążonym w grzechu.

- Ale co ma poczucie winy do postrzegania świata. Przecież to się nie dodaje. - wtrącam, irytując starca.

- Człowiek żyjący w grzechu ma bardzo niską samoocenę. Jego dusza tuła się po dnie, wyolbrzymiając jego niedoskonałości, napęnia człowieka niepewnością, lękiem, gniewem. Nie pozwala jasno patrzeć w przyszłość, ukazując wszystko w ciemnych barwach. Brudna dusza hamuje swojego nosiciela, nie pozwalając mu żyć pełnią życia, tak aby czerpać z niego to, co dał nam Bóg. Taki człowiek czuje się słaby, zniedołężniały, przez co przestaje kochać samego siebie, a ten, kto nie kocha siebie, nie jest w stanie pokochać otaczającego go świata, przez co dostrzega jedynie jego negatywne aspekty, które wyolbrzymia w równym stopniu, co swoje wady.

Mówiąc ściślej. To czego nie akceptujesz u siebie, razi cię najmocniej w otaczającej cię rzeczywistości, a akceptując siebie, takim jakim jesteś, będziesz w stanie zaakceptować świat takim, jaki jest.

- Czyli jakim, skoro dla mnie cały ten cholerny świat to zlepek skrajności, których za nic nie da się pogodzić. - wtrącam po raz kolejny z rozżaleniem, gdyż gubię się w tych zawiłych wypowiedziach.

- Widzisz świat tak, a nie inaczej, gdyż jesteś pod wpływem Szatana, który utworzył wiezienie, opierające się na dwóch, głównych iluzjach, o których chciałem ci powiedzieć.

- Ale dlaczego Bóg na to pozwa...

- Po kolei. - przerywa mi ksiądz stanowczym tonem, po czym kontynuuje spokojniej.

- Reasumując... Żyjąc w grzechu, czyli będąc nieczystym, widzisz świat jako zło, które w rzeczywistości drzemie w tobie, i tylko ukazuje ci się poprzez takie symptomy. Zło, którego więźniem jesteś, ma dwie, przeciwległe formy, absurdalnie wykluczające się nawzajem i jednocześnie utwierdzające w przekonaniu, iż są nieodzowną, wieczną, częścią rzeczywistości, której nie da się zmienić, co w gruncie rzeczy, jest olbrzymim kłamstwem, wymyślonym przez Szatana. I teraz... Jasna część kłamstwa, nakazuje, śmiać się, czyli kłamać i bawić, pomimo tego, iż życie jest złe, a druga część, ciemna, nakazuje, narzekać, czyli mówić prawdę i pracować, gdyż życie jest złe i bez tego nie będziesz w stanie przetrwać. Sens w tym, że życie nie jest złe... I my, czyści, żyjący w łasce Boga, to wiemy, czujemy, widzimy, słyszymy i tego doświadczamy. Nasz śmiech i nasza zabawa, wyrażają wdzięczność Bogu za łaski, którymi nas obdarza, a nie są elementem życia towarzyskiego. Nasze narzekania, nie biorą się z uczucia beznadziei, lecz są jedynie dzieleniem się informacjami, dzięki którym będzie nam łatwiej rozwiązać, nękające nas problemy.

- Chyba rozumiem... - burczę bez przekonania i ze zmęczeniem.

- Ale żeby nie było tak pięknie i wesoło, Szatan postanowił stworzyć jeszcze jedną iluzję.

- Jeszcze... - komentuję z lekkim sceptycyzmem.

- Tak. Utworzył własne, fałszywe wyjście ze swojego więzienia, za którym czeka zło w postaci próżności i obojętności.

- Próżność i obojętność? - dociekam, po raz kolejny marszcząc brwi.

- Tak... Powracając do pokoju... Po zabiegu pani doktor, z twojego pokoju zostały usunięte zarówno te złe meble, które były odzwierciedleniem grzechów, jak i te dobre, symbolizujące Boże łaski. Jesteś teraz pusty...

- Dlaczego mnie pan obraża? - wtrącam z oburzeniem ugodzony jego uwagą.

- Ja wcale pana nie obrażam. - odpowiada spokojnie.

- Nazwał mnie pan pustakiem, próżniakiem i egoistą!

- Wcale nie. Powiedziałem tylko, że jesteś pusty. - stara się mnie uspokoić.

- No właśnie! A cóż to niby ma znaczyć?! - nie przestaję krzyczeć, gryząc się w język, aby nie nawrzucać temu zaślepienemu ciemniakowi, który sam nie jest święty, a będzie mnie tu oceniał.

- To że jesteś pusty braciszku, tylko to. Nie dopowiadaś sobie. - odpowiada spokojnie i z uśmiechem, który nieco koi moje nerwy.

- Ale... - burczę nieco zawstydzony, po tym jak dotarło do mnie, że ma racje.

- Nie przejmuj się. To normalnie w takim stanie ducha.

- Nie rozumiem. - przyznaję z pokorą.

- Postaram ci się to wytłumaczyć najdokładniej jak tylko potrafię. Posiadając pusty pokój, człowiek czuje ciągle jakiś niesprecyzowany, dokuczliwy brak, przez co potrzebuje zewnętrznego bodźca, aby się dowartościować i tym samym polepszyć

swoje samopoczucie. Osoby takie łakną pochwał, komplementów, podziwu czy sławy, aby tylko czuć się lepszym. Zaczynają żyć na pokaz, a nie po to aby czerpać radość z życia, tylko po to, aby otrzymywać od ludzi pochlebstwa, które mają im zastąpić Boską łaskę miłości. Ludzie tacy ciągle czują gniew i niedosyt, gdyż żyją pod innych, na pokaz, aby ukazać światu jak im jest dobrze, jacy to nie są szczęśliwi i jak im to niczego nie brakuje. Tym samym ciągle podwyższają sobie poprzeczkę, przez co nie raz, sami sobie tworzą problemy, z których rozwiązaniem muszą się później borykać. Mało tego, tacy ludzie nigdy nie zaznają spełnienia, gdyż poprzeczkę można podnosić wyżej i wyżej, a oni ciągle czują niedosyt. Bierze się to z tego, że są nieszczęśliwi. Człowiek szczęśliwy czuje radość i spełnienie, nie czując potrzeby, ciągłego podwyższania sobie poprzeczki, gdyż dla nich, nie jest najważniejsza opinia otoczenia na ich temat, lecz ich życie. Żyją dla siebie, nie zapominając o innych, gdyż sumienie, ukształtowane przez Boga, nie pozwala żyć w spokoju, przechodząc obojętnie obok cudzego nieszczęścia. To są niepodważalne prawa, tak samo istniejące i funkcjonujące w rzeczywistości jak chociażby zasady dynamiki Newtona, lecz ludzie próżni, tak bardzo niechętnie, rzekłbym z nienawiścią, podchodzą do jakichkolwiek uwag na swój temat, że wolą żyć pod kloszem egoizmu, niż spojrzeć prawdzie w oczy. Ludzie żyjący w tym stanie ducha, nazwijmy to złudnym szczęściem, mniemając iż są najwspanialszy pod słońcem, z agresją reagują na nauki Kościoła, które jasno i stanowczo określają pewne aspekty rzeczywistości jako dobre i złe, co nie zawsze zgadza się z ich osobistym zdaniem, przy czym czują się atakowani. Bierze się do nie tylko z próżności, ale również ze strachu, gdyż zetknięcie się z prawdą, nieodzownie przynosi ze sobą uczucie wstydu, rodzącego się na wskutek spostrzeżenia, z którego wynika, że jakiś okres czasu, dłuższy bądź krótszy, dany człowiek żył w kłamstwie, w które wierzył, gdyż brak mu było Bożej łaski mądrości, aby dostrzec pewne skutki, zależności i prawidłowości występujące w świecie.

- Sugeruje ksiądz, że ludzie niewierzący są głupi? - pytam, niepewny czy dobrze go zrozumiałem.

- A czy można napełnić bak samochodu paliwem nie zajeżdżając na stację?

- Nie można. - odpowiadam, lekko podirytowany odpowiedzią pytaniem na pytanie.

- Tak samo nie można pozyskać mądrości bez obcowania z Bogiem, gdyż on jest jedynym jej źródłem.

- A szkoły?

- W szkole przyswajasz wiedzę, która jest niezwykle pożyteczna, ale nie ma nic wspólnego z mądrością.

- Nie rozumiem.

- Jakby to... O... Wyobraź sobie, że wiedza to różnego rodzaju podzespoły w komputerze, a mądrość to prąd, energia. Pozyskując wiedzę, dokładasz do komputera nową część, na przykład kartę dźwiękową, ale bez odpowiedniej ilości energii, czyli mądrości, nie wystarczy ci mocy, aby uruchomić jednocześnie stare podzespoły i nowy, bardziej rozwinięty, przez co zużywający więcej energii, przy czym albo nie działa on w ogóle, albo zakłóca działanie innych.

- Czyli mam rozumieć, że typowy próżniak, nawet jak ma obszerną wiedzę, nic z niej nie zrobi bez mądrości?

- No prawie... Wiedza to narzędzie, które trzeba odpowiednio użyć, aby nam pomogło, a nie zaszkodziło. Tak samo jak z siekierą. Może tobie posłużyć do porąbania drewna na opał, albo stać się przyczyną twojego kalectwa, bo przez głupotę odrąbisz sobie nią palce. Tak samo wiedza. Może poszerzyć twoje horyzonty albo zadziałać zupełnie na odwrót.

- Powoli, powoli... Zaczynam się w tym wszystkim gubić, za dużo tego... - przyznaję z niechęcią i znużeniem, kładąc głowę na poduszce.

- Od początku... - wzdycham niechęcią.

- Od początku?! - unosi się radośnie i z uśmiechem duchowny, który przygląda mi się z politowaniem.

- Czego nie rozumiesz? Co mam ci wytłumaczyć? Pytaj. - proponuje łagodnie i z wyrozumiałością.

- Jeszcze raz... Dlaczego mam żyć w przymierzu z Bogiem?

- Aby nie wpaść w jedno z trzech wielkich kłamstw Szatana.

- Dlaczego mam nie żyć w kłamstwie.

- Bo będziesz nieszczęśliwy...

- A będąc egoistycznym próżniakiem?

- Też.

- Dlaczego?

- Bo choćbyś osiągnął wszystko co zamierzyłeś z namacalnej strefy życia i tak będziesz odczuwał gniew i niedosyt, które sprawnie przyćmią ci szczęście, którego źródło jest w Jezusie Chrystusie.

- Dlaczego akurat w Jezusie?

- Gdyż to on, poprzez swoją męczeńską śmierć, odpokutował za nasze grzechy, po czym ludzie, ponownie, po tym jak zostali wygnani z raju, nabyli prawo do odczuwania szczęścia.

- Czy nawet człowiek, który na przykład, ma niesamowity majątek, rodzinę, szacunek i poważanie ludzi, zdrowie oraz władzę może się czuć nieszczęśliwym?

- Czy tacy ludzie, gdyby byli szczęśliwi, to nie zatrzymaliby się i nie odpoczęli? Człowiek w pełni szczęścia, nie widzi potrzeby zmieniania czegokolwiek w swoim świecie, ani udowadniania komuś czegokolwiek. Żaden aspekt, jego życia mu nie ciąży, a ludzie sukcesu, jak to się ładnie dzisiaj nazywa, cały czas łaknął więcej i więcej, brnąc w niekończącą się rywalizację... Bez końca... Przecież to szalone. - dodaje na koniec z dziwnym uśmiechem.

- Teraz jestem próżny? - pytam niepewnie.

- To nie do końca tak... Byłeś próżny w momencie zakończenia terapii. Od momentu, w którym otworzyłeś oczy, mówiąc kolokwialnie, w twoim pokoju zaczęły pojawiać się pewne elementy. Nie istnieje w człowieku pokój nieskalanie pusty, czy w pełni wypełniony meblami złymi bądź dobrymi.

- Już się gubię...

- Każdy bodziec zarejestrowany przez twój umysł, to element wystroju pokoju. Wypełniasz go cały czas. Każdy dźwięk, to co widzisz, czujesz, czy sobie wyobrażasz, ma na ciebie wpływ... Czyli na twój pokój. Tak więc podczas naszej rozmowy, pojawiło się już w nim kilka elementów, które go zdobią lub szpecą.

- No to o co chodzi z tym złudnym niebem? - wtrącam uradowany, że udało mi się znaleźć niezgodność w jego wypowiedzi, co uradowało mnie we wnętrzu, dając nadzieję, że jednak wyjdzie na moje, a on przegra tę słowną batalię, w której zaczął się gubić.

- Może rzeczywiście nie do końca dobrze to określiłem, ale ciężko mówi się takich sprawach nie używając prostych słów, które niestety, nie dla każdego są tak samo zrozumiałe.

- Czyli?

- Na przykład, piekło czy Duch Święty. Albo Eucharystia, sakrament, czy psalm.

- Nie rozumiem.

- No właśnie, więc pozwól, że sprostuję. Otóż, chodzi o to, że pomimo iż w rzeczywistości, pokój osoby żyjącej w złudnym niebie, jest wypełniony meblami, to Szatan, nakłada na oczy duszy... Wybacz jak jest to dla ciebie niezrozumiałe, ale jest to zbyt obszerne w tłumaczeniu, jak na moje umiejętności... Nakłada, iluzję egoizmu, przez co taki człowiek, jest w swoim, błędnym mniemaniu, przekonany o pustostanie swojego pokoju, o którego istnieniu tak naprawdę nie wie, dlatego ma takie, a nie inne odczucia.

- Znowu nie rozumiem...

- Wiem, że to trudne do zrozumienia, ale są ludzie na świecie, którzy są przekonani co do tego, że dusza ludzka nie istnieje. Wiem, że to brzmi absurdalnie, gdyż można to porównać do poglądu głoszącego, że grawitacja nie istnieje, bo przecież jej nie widać, ale tacy ludzie, nie wierzą w duszę bo nie rozumieją czym ona jest. Tak samo jak nie wierzą w Boga, bo nie wiedzą, że Boga nie widać tak po prostu, bezpośrednio, ale poprzez przejawy. Ludzie nie rozumieją, że Bóg jest miłością i że widać go w momentach, w których matka, bądź ojciec, pracują nad siłą, aby zapewnić swoim dzieciom spokojne dzieciństwo. Jak siostra bezinteresownie i z czystej miłości, pociesza swojego brata. Jak dziadkowie rezygnują z wymarzonych wakacji, aby spędzić czas urlopu z ukochanymi dziećmi i wnukami, za którymi stęsknili się tak bardzo, iż żadna atrakcja nie zastąpi im rodzinnego spotkania. Jak obcy człowiek, pomaga choremu żebrakowi. Czy chociażby jak idąc miastem, dzielimy się uśmiechem i życzliwością względem obcych nam ludzi. Tak samo jak nie są w stanie zauważyć Boga, nie są w stanie zauważyć duszy, przez co twierdzą w swojej próżności, iż to nie istnieje. Bo ich zdaniem, nie ma prawa istnieć, bo oni tego nie rozumieją, a w swoim mniemaniu są najmądrzejsi, więc musi być tak, jak oni uważają.

- Dalej nie rozumiem...

- Są ślepi! - krzyczy prze zaciśnięte zęby i unosząc zaciśnięte pięści, ale dalej się uśmiechając.

- Och jakie to trudne... - wzdycha po chwili.

- Co takiego?

- Tłumaczenie rzeczy oczywistych.

- Oczywistych?

- Wyobraź sobie taką sytuację. Stoisz na brzegu jeziora. Naprzeciw ciebie, po pas w wodzie, stoi mężczyzna. Trzęsie się, gdyż jest wyziębiony i mokry. Patrzy na ciebie litościwym wzrokiem, jakby chciał poprosić cię o pomoc. Obok niego, na

pontonie, siedzi inny jegomość, który dla zgrywy, dla żartu, dla własnej uciechy i przekory, aby ukazać władzę nad człowiekiem, szepce mu do ucha, zacierając ręce i wskazując na ciebie ruchem głowy.

- Tutaj jest ciepło. Tutaj jest miło. Zostań ze mną. Oni kłamią. Wszyscy kłamią. Chcą cię wykorzystać. Tylko ja mówię prawdę. Zostań ze mną. Tutaj jest miło. Tutaj jest ciepło. Będą ci wmawiali, że tak nie jest. Oni kłamią. Nie prosz ich o pomoc. Bo wyczują twoją słabość i cię zniewolą. Chcą cię wykorzystać.

Najgorsze w tym wszystkim jest to, że tą osobą, która pomimo zimna, wilgoci i narastającego bólu, o których ci mówi poprzez swoje narzekania, jest ktoś dla ciebie bliski, ktoś kogo los nie jest dla ciebie obojętny, a ty nie masz na tyle siły, aby przemówić mu do rozsądku.

Nie masz na tyle siły, aby przekonać go, aby nie słuchał tego kłamcy obok niego, ale żeby sam rozporządził swoim losem, co na pewno poskutkowałoby jego wyjściem z lodowatej wody na ciepły i suchy brzeg.

Wyobraź sobie, że każde twoje słowo z wypowiedzianych do niego, które wskazuje tego szepczącego, słownego prestidigitatora, mistrza kłamstwa, który jest w stanie przewrócić wszystko do góry nogami, w taki sposób, iż wyda się do możliwe i prawdopodobne, jako źródło jego bolączek i trosk, rodzi w nim agresję, wylewaną w twoim kierunku.

Jego towarzysz, ku swojej radość, nakierowuje go przeciw tobie, robiąc z ciebie, jego przyjaciela, największego wroga i to tylko dlatego, że chcesz mu powiedzieć prawdę o tym, że żyje w iluzji, kłamstwie i nieszczęściu, którego źródłem jest ten, którego uważa za swojego przyjaciela...

- Przecież to niemożliwe, że ktoś może być tak głupi. - wtrącam z niedowierzaniem.

- Oj byś się zdziwił mój drogi. - kontruje z uśmiechem, po czym dodaje.

- I dalej... Im bardziej mówisz mu prawdę o jego położeniu, tym większą agresję w nim rodzisz i wiesz, że jak zechcesz wejść do jeziora i wyciągnąć go stamtąd siłą,

to rzuci się na ciebie z pięściami i będzie chciał cię utopić. Szatan, gdyż to jest ten szepczący kłamca, przekonał go, że miejsce, w którym ty się znajdujesz, czyli sucha i ciepła plaża, to wyłącznie wynik twojego wyboru, gdyż on, takie same warunki uzyska wybierając co innego, czyli w tym wypadku lodowatą wodę w jeziorze. Nie jesteś w stanie go przekonać, że jego narzekania na wilgoć czy chłód, odejdą w niepamięć, gdy tylko wyjdzie na ląd. Nie jesteś w stanie go przekonać do tego, że pomimo, iż posiada odwrotność tego czego pragnie, twierdzi, że jest szczęśliwy. Mało tego. Jako iż wytrwale trwasz przy nim, starasz się mu umilić ten nieprzyjemny pobyt w zimnych wodach, cały czas wysłuchujesz jego narzekań i skarg na to, że jest mu zimno i mokro. Mówisz mu.

- No to chodź. Wyjdź na ląd. Chodź do mnie. Tu jest ciepło i sucho.

On odpowiada.

- Nie będziesz mi mówił co mam robić. Ja wiem lepiej czego chcę.

- Chcesz żeby było ciepło i sucho?

- Chcę.

- No to wyjdź na ląd.

- Bo co? Bo ktoś tak ci powiedział? To jeszcze nie znaczy, że tak jest.

- No to chodź i się przekonaj.

- Nie. Dla mnie to głupota. Co to niby zmieni?

- Wszystko.

- O! Znalazł się najmądrzejszy, który zjadł wszystkie rozumy...! A weź skończ już... Męczysz...

Kończy obrażony i z wyrzutem, machając ostentacyjnie ręką.

- Jakbyś się czuł w takiej sytuacji? - pyta mnie w końcu, patrząc na mnie z politowaniem.

- No niefajnie. - odpowiadam, czując że moja odpowiedź jest niefrasobliwa.

- To mój dzień powszedni, braciszku. - stwierdza ze zmęczonym uśmiechem.

- Czyli teraz co? - pytam, wyczekując jakiejś puenty.

- Niemożliwe jest... Powtarzam. Niemożliwe jest życie w szczęściu i radości bez Boga.

- Ale... - staram się wtrącić.

- Tak samo jak niemożliwe jest, aby ten człowiek w jeziorze zaznał ciepła i suchości. Tak samo jak niemożliwe jest, aby kamień zrzucony z dachu budynku, poszybował w górę, zamiast spaść w dół. Tak samo jak niemożliwe jest, aby nasze ciało żyło wiecznie. Tak samo jak niemożliwe jest, aby ryba przeżyła na lądzie. Tak samo jak niemożliwe jest urodzić się starcem, a umrzeć jako zarodek. To jest niemożliwe!

- Nie przekona mnie pan. To tylko pana religia tak uważa, a ja mogę patrzeć na świat zupełnie inaczej. Może ja mogę być szczęśliwym nie przestrzegając przykazań i działając na przekór wszelkim religiom. Ja sam jestem sobie bogiem i nikt nie ma prawa mi mówić co ma robić, albo czego mam nie robić, aby być szczęśliwym, bo to tylko i wyłącznie moja sprawa, bo to moje życie! - unoszę się na koniec, hamując się od wybuchnięcia krzykiem, gdyż ten zarozumiały dziad, który prawie mnie przekonał, dzięki swojemu wykszoleniu, które umożliwia mu sprawne ogłupianie ludzi, aby żyć za ich pieniądze, mocno mnie zirytował.

- Czy nie zauważasz jakiejś analogii w twoim zachowaniu?

- Wyjdź. - syczę ze złością.

- Słucham.

- Proszę stąd wyjść! - krzyczę, podrywając się na łóżku.

- Uspokój się braciszku. - mówi łagodnie.

- Pomocy! Pomocy! - wydzieram się na całe gardło, co powoduje pojawienie się pani doktor i jej asystentki.

- Co tu się dzieje?! - pyta, ta pierwsza oburzona.

- Odbiło mu. - komentuje duchowny z uśmiechem, podnosząc ręce na znak niewinności i wychodząc spokojnie z pokoju.

- Jak się pan czuje? - wtrąca młoda, zza pleców swej przełożonej.

- Zmęczony. Mam dość. - odpowiadam szczerze i ze złością.

- Zaraz podam panu pewien środek, który pana uspokoi. - proponuje pani doktor, stukając zgrabnym palcem w wypełnioną jakimś płynem strzykawkę.

Nagle dociera do mnie myśl, że przez taki szmat czasu, sprzeczam się z jakimś staruchem o nieistotnie sprawy, w momencie gdy moja córka, która na szczęście okazała się żyć, leży w szpitalu, a żona w jakiejś dziwnej sali, w której robią jej pranie mózgu.

- Gdzie jest moja żona. Chcę zadzwonić do córki. - domagam się stanowczym tonem.

- Słucham? - pyta zdziwiona kobieta.

- Chcę zobaczyć swoją żonę. - ponawiam żądanie.

- No dobrze... - odpowiada niechętnie, chowając strzykawkę i rozkazując asystentce odłączenie mnie od licznej aparatury.

Po uporaniu się z mnóstwem kabli, młódka wręcza mi jeżdżący stojak z kroplówką.

Idąc jasnymi, rozświetlonymi licznymi lampami, korytarzami, czuję dziwnego rodzaju napięcie, które wprawia mnie w nieprzyjemny nastrój.

Po chwili docieramy całą trójką do przyciemnianej szyby, zza którą, na łóżku, w dużym, czarnym hełmie, leży moja śpiąca żona.

- Co wy jej robicie? - pytam z przejęciem i nieufnością.

- To samo co panu. Czyścimy jej umysł. - odpowiada spokojnie kobieta.

- Mogę zadzwonić?

- Tak. Telefon wisi obok pana.

Chwytam za czerwoną słuchawkę, której wcześniej nie zauważyłem, i przykładając ją do ucha, słyszę sygnał połączenia, pomimo iż nie wybrałem żadnego numeru.

Patrzę na kobiety ze zdziwieniem, po czym młodsza mówi.

- Do Szpitala Dziecięcego w Gdańsku.

Nieco zakłopotany czekam, aż ktoś odbierze, przyglądając się żonie, leżącej pomiędzy dwoma, wielkimi izolatorami wysokiego napięcia.

Nagle dostrzegam w pomieszczeniu zza szybą jakiegoś człowieka.

Ciemne wnętrze nie pozwala mi go dostrzec dokładnie, ale wydaje mi się on bardzo wysokim mężczyzną, stojącym twarzą do ściany, co uniemożliwia mi ujście jego oblicza.

Jakieś dziwne przeczucie mówi mi, że kobiety stojące obok mnie go nie dostrzegają.

Wyteżam wzrok, aby przyjrzeć się mu bliżej.

Stoi jak wryty. Jakby był wyrzeźbiony w kamieniu. Wygląda jakby przyglądał się z bliska pustej ścianie.

Dziwny lęk i niepokój ogarnia mnie wewnątrz, a na skórze pojawia się gęsia skórka.

Chcąc spojrzeć na moje towarzyszek, spostrzegam, iż nie mam władzy nad swoim ciałem i nie mogę spuścić z niego wzroku.

Strach atakuje mnie ze zdwojoną mocą, a pogłębia się jeszcze bardziej, gdy dźwięk ze słuchawki, którą trzymam przy uchu, zdaje się oddalać z każdą sekundą, a tajemniczy i straszny mężczyzna, staje się jeszcze bardziej nienaturalnie stateczny, iż dotychczas.

Zimne krople potu pojawiają się na moim czole, a dźwięk przenikliwego śmiechu, który pojawia się wewnątrz mojej głowy, choć zdaje mi się wydobywać z osobnika zza szyby, generuje łyzy rozpacz i bezsilności.

W chwili, gdy mężczyzna zaczyna powoli obracać głowę w moją stronę, ukazując mi skrawek swojego profilu, który pomimo ludzkich cech, jasno daje do zrozumienia, iż do człowieka nie należy, z krzykiem i niesamowitym wysiłkiem, przekręcam głowę w stronę kobiet, których już przymnie nie ma.

- Neeee! - krzyczę, podrywając się w łóżku.

Biorę kilka głębokich wdechów, po czym padam na miękką, pachnącą poduszkę.

Czuję jak moje rozpalone ciało lekko drży.

Spocony odkrywam kołdrę. Siadam na łóżku, stawiając stopy na przyjemnie chłodnym, drewnianym parkiecie.

Chowając ze zmęczeniem twarz w dłoniach, zastanawiam się nad tym gdzie ja jestem i co się dzieje. Ogólną konsternację, umila mi śpiew ptaków, docierający do mnie zza okna, wraz z ciepłymi promieniami słonecznymi.

Niezrozumiały dla mnie w owej chwili spokój, nakazuje mi powstanie i podejście do okna.

Słucham się go natychmiast, po czym otwieram okno, wypełniając płuca świeżym, wiosennym powietrzem.

Otwierając oczy, które przymknąłem w trakcie degustacji smaku natury, rozglądam się z uśmiechem po malutkim pokoju, w którym się znajduję.

Jednoosobowe łóżko, na którym leży wymiętolona, biała pościel, jest niemal jedynym wyposażeniem tego jasnego pomieszczenia, z wyjątkiem małego, drewnianego taborecika, który stoi tuż obok niego, niczym szafka nocna.

Podchodzę bliżej, gdyż dostrzegam książkę na nim leżącą.

Gruba księga, w skórzanej, białej oprawie, na froncie której, znajduje się złoty, wygrawerowany krzyż, niemal odruchowo ląduje w mej ręce.

Dzierżąc w dłoni ów przedmiot, postanawiam zajrzeć pod łóżko, w poszukiwaniu kapci, które w moim przekonaniu, powinny się tam znajdować.

Nieomyślne przeczucie mnie nie zawodzi, a wkładając stopy do miękkich papuci, słyszę pukanie do drzwi, nad którymi znajduje się niewielki krzyż z Jezusem Chrystusem.

- Tak? - pytam, zerkając w szparę, która powstała na wskutek delikatnego otworzenia przeze mnie drzwi.

- Szczęść Boże. - wita się ze mną sympatyczny zakonnik średniego wzrostu i wieku.

- Szczęść Boże. - odpowiadam, zapraszając go do środka.

- Nie, nie. Proszę. Ubierz to. - mówi, wręczając mi białe ubrania złożone starannie w kostkę.

Ślę mu porozumiewawcze spojrzenie niosące pytanie, czy aby na pewno nie chciałby wejść do środka, lecz ten odpowiada mi na nie takimi słowami.

- Poczekam tutaj.

Spokojnie, przeczuwając iż pośpiech w tym miejscu jest niewskazany, ubieram świeży strój, przypominający pidżamę.

Wychodząc z pokoiku, wchodzę na dość wąski korytarz, po którego obu stronach, znajduje się kilkanaście, identycznych jak tych do mojego pokoju, drzwi.

Zakonnik kiwa do mnie porozumiewawczo głową, wskazując tym ruchem kierunek, w którym powinniśmy się udać.

Podążając jego śladem, przyglądam się religijnym obrazom, porozwieszanym tu i ówdzie.

Miła woń kadzidła, umiła spokojny spacer, tym jasnym, od kremowej farby na ścianach oraz wpadających poprzez niewielkie okienka promieni słonecznych, pomieszczeniu, które zaczyna się powoli kończyć większymi niż inne, dwuskrzydłowymi, drewnianymi i masywnymi wrotami.

Zakonnik otwierając jedną z jego części, wpuszcza do środka ciepłe, rześkie powietrze, rodzące na mej twarzy błogi uśmiech.

Niesamowita radość i spokój opanowują mnie po wyjściu na zewnątrz, gdzie moim oczom ukazuje się prosty, zadbane i uporządkowany ogród, w którym poza równo przystrzyżonym trawnikiem i kilkoma drzewami tu i ówdzie, znajdują się tylko dróżki z szarego polbruku oraz drewniane ławki, z których niektóre są zajęte przez zakonników, którzy albo w milczeniu i skupieniu wczytują się w jakieś pisma, bądź spokojnie lustrują otoczenie, wymieniając se sobą od czasu do czasu pewne spostrzeżenia i uwagi.

Niemal nieludzki spokój i harmonia tego miejsca, od razu zachwycają moje dotychczas chaotyczne serce, które nakazuje skonsternowanemu umysłowi,

zachować spokój oraz napełnia je zaufaniem i nadzieją.

W tym błogim stanie, pośród miłego i bezpiecznego otoczenia, kroczę spokojnie śladem milczącego zakonnika, który po chwili doprowadza mnie do malutkiej, kamiennej kapliczki, przed którą klęczy, na drewnianym podeście, pogrążony w żarliwej modlitwie duchowny.

- Szczęść Boże, ojcie. - przemawia spokojnie mój przewodnik.

- Szczęść Boże, szczęść Boże. - odpowiada radośnie, powstający na równe nogi, świeżo wyciągnięty z duchowego transu starzec, którego uśmiech w połączeniu z niesamowitym spokojem w spojrzeniu, nieco przypominającym bezgraniczną, martwą obojętność, lecz różniąc się od niej tajemniczym, niesprecyzowanym błyskiem, który pomimo niezbadanej głębi jaką za sobą skrywa, napełnia patrzącego w nań człowieka poczuciem bezpieczeństwa, zaufania i spokoju, koją moją niepewność oraz zakłopotanie.

- Oto adept z celi numer czternaście. - przedstawia mnie mój przewodnik w ten dziwny i niezrozumiały dla mnie sposób, który nie wywołuje u mnie żadnych negatywnych odczuć.

- Chodź ze mną. - proponuje starszy zakonnik, przejmując nade mną zwierzchnictwo.

Idąc u jego boku, delektuję się ciepłymi promieniami słońca, delikatnym wiatrem, śpiewem ptaków oraz szumem liści.

Niezmacony, zewnętrzny spokój, nie pozwala na gościnę jakiegokolwiek chaosu w moim wnętrzu.

Po krótkim spacerze dochodzimy do dużej bramy, osadzonej w wysokim, białym murze, na szczycie którego znajduje się niewielki, skośny daszek, z ceglastoczerwonej dachówki. Nad drewnianymi wrotami w niej osadzonymi, znajduje się wyryty w tynku symbol, przedstawiający coś na wzór słońca, w którym znajduje się krzyż, nachodzący na napis IHS, pod którym umieszczone są trzy gwoździe.

- Co znaczy IHS? - pytam niemal odruchowo, stojącego obok mnie zakonnika, który z równym mojemu zaciekawieniem, wpatruje się w ów symbol.

- Otóż historia tego symbolu jest następująca... W rozdziale czternastym, Księgi Rodzaju, Abraham wygrał, walcząc trzystu osiemnastoma ludźmi. Pierwsi Chrześcijanie, interpretowali tę liczbę symbolicznie. Otóż po grecku, liczbę trzysta osiemnaście zapisuje się jako osiemnaście i trzysta. Druga zasada jest taka, że wszystkie liczby można przenieść na litery i odwrotnie. Tak więc, aby na przykład, napisać imię Neron, należy podać liczbę sześćset sześćdziesiąt sześć. Natomiast połączenie cyfr osiemnaście i trzysta daje wyraz IH i T. Jezus Chrystus i krzyż. Czyli łącznie IHT. Taki znak obowiązywał do piątego lub szóstego wieku. W jaki sposób zamieniono krzyż na literę S - tego nie wiem, ale już w siódmym wieku, Justynian II miał na swoich monetach symbol IHS. Zatem jak tłumaczyć litery z symbolu IHS? IH oznaczają Jezusa Chrystusa i tu nie możemy mieć żadnych wątpliwości, ale co oznacza S? Wyjaśnień jest masa, ale myślę, że najbardziej prawdopodobne jest to, iż oznacza ono to samo co S w symbolu ryby, czyli zbawienie, które dokonało się na krzyżu. Czyli... Jezus Chrystus Zbawiciel(3). - wyjaśnia, po czym, po chwili milczenia, kontynuuje.

- Ale nie po to tutaj przyszliśmy. - przemawia do mnie spokojnie, patrząc mi prosto w oczy, które zapewne zdradzają moje lekkie zakłopotanie, powoli mnie napastujące.

Skrepowany spuszcza wzrok i kieruję go w stronę zamkniętej bramy, która jakby w wyczekiwaniu, czeka na moją decyzję odnośnie moich dalszych poczynąń.

- Nie musisz się z tym śpieszyć. Jeżeli nie jesteś jeszcze pewny co do swojego powołania, możesz pozostać w swojej celi do czasu, aż dowiesz się, czy Bóg oczekuje od ciebie, abyś wstąpił w jego służbę, czy pragnie, abyś założył rodzinę i pełnił swoją służbę w jego sposób.

- Nie wiem... - stwierdzam z lekkim smutkiem, który rodzi na twarzy zakonnika pocieszający uśmiech, wyrażający zrozumienie.

- Zostań tutaj z nami. Niczym się nie martw. Wszystko ci zapewnimy, a ty,

czytając Pismo Święte, przyjmując Eucharystię i modląc się o powołanie, w końcu dowiesz się prawdy o sobie.

- Zostanę, dziękuję. - mówię jakby do siebie.

- Cieszę się, że chcesz szukać prawdy. - stwierdza radośnie, po czym dodaje.

- Ja teraz udam się na modlitwę, a ty odpocznij sobie... Pospaceruj, zapoznaj się z otoczeniem, z ludźmi tutaj przebywającymi... Poukładaj sobie wszystko na spokojnie... I najważniejsze. Nie lękaj się... Bóg z tobą. - mówi kojącym tonem, po czym oddala się spokojnie w stronę kapliczki, spod której się tutaj udaliśmy.

Spacerując po okolicy, trafiam na, znajdujące się w samym centrum, niewielkie wzgórze, na szczycie którego znajduje się prymitywnie zbity, ze średniej grubości bali krzyż i takiej samej, nieco niechlujnej konstrukcji ławka, na której postawiam spocząć.

Zasiadając wygodnie, dając nogom odpocząć, obserwuję z tego wzniesienia, otaczające mnie zabudowania.

Otoczony białym murem teren, mieści w swej północnej części, liczne, podłużne, wąskie, parterowe budynki. Zdaje mi się, że to właśnie w takim czymś, znajduje się moja cela.

Zachodnia część przeznaczona została na park, który graniczy z bramą, przy której rozstałem się z wesołym zakonnikiem.

W południowej części, zauważam obszerniejszy i wyższy budynek z wysoką wieżą, na której szczycie, wisi dzwon. Zapewne jest to kościół, do którego prowadzi inna, jakby oddzielna, również brukowa ścieżka, która kończy swój bieg w bramie, znajdującej się w południowym murze.

We wschodniej części, widzę kilka większych, lecz również niskich budynków. Obok jednego z nich znajduje się ogród, na terenie którego starannie i w skupieniu, pracują zakonnicy, uprawiający w nim jakieś warzywa i zioła.

Przy kolejnym, zauważam kilkanaście długich sznurów, na których jakiś duchowny, narzuca zapewne mokre, czarne habity.

Ogólnie ta część jest najliczniej wypełniona, ubranymi w ciemne stroje mężczyznami, który liczną grupą, zasiadając przy stolikach, ustawionych w pobliżu kolejnego z budynków, zajądają z apetytem potrawy, podawane im przez innych, którzy rychło wychodzą z jego wnętrza.

Nieopodal kolejnej, wschodniej bramy, stoi jakaś ciężarówka, której logo, namalowane na masce, daje mi do zrozumienia, iż jest własnością jakiejś masarni, a ja zapewne jestem właśnie świadkiem dostawy, którą odbiera, dzierżąc w dłoni jakiś kajet, kolejny z zakonników.

Po tej części wzgórza, które otoczone jest kolorowym, kwiecistym ogrodem z licznymi, przyozdobionymi kapliczkami, dostrzegam jeszcze kilka, pomniejszych budynków, których funkcji, nie jestem w stanie odkryć z tego miejsca.

Zachwycony otaczającym mnie widokiem, staram się sięgać wzrokiem poza mur, i dostrzegam, poza jego północną częścią, piękne, spokojne, otoczone lasem jezioro, które zdaje się być wisienką na torcie.

Uradowany i zauroczony, postanawiam zejść niżej, aby przyjrzeć się wszystkiemu z bliska.

Schodząc krętą, wijącą się wokół wzgórza ścieżką, napotykam na swej drodze leciwego zakonnika, który siedząc na ławce, czyta z radosnym uśmiechem na twarzy, jakąś książkę.

- Szczęść Boże. - witam się z nim uprzejmie.

- Szczęść... O to ty... - dodaje, po chwili zaskoczenia.

- Ja? - pytam skonsternowany i rozbawiony.

- Nie poznajesz mnie?

- Przepraszam, ale nie. - przyznaję lekko zakłopotany.

- Usiądź braciszku. - proponuje radośnie, posuwając się lekko i wskazując ręką wolne miejsce obok siebie.

- Skądś się znamy? - pytam.

- To ja pomogłem ci wyjść z tego chaosu.

- Ty? - pytam zaskoczony, nie do końca rozumiejąc co ma na myśli.

- Tak. To ja cię odnalazłem, przygarnąłem i wyleczyłem. - tłumaczy dalej, a w jego wydawałoby się nieskromnej wypowiedzi, nie dostrzegam żadnej pychy, lecz jedynie stwierdzenie faktu, który budzi we mnie, swego rodzaju wdzięczność, względem tego starca, którego spojrzenie i wyraz twarzy, zaczynają mi się wydawać znajome.

Milcząc, gdyż nie do końca wiem, czy dobrze rozumiem jego niezbyt precyzyjną wypowiedź, szuram bezradnie nogami.

- Masz jakieś pytania? - oferuje się z uśmiechem.

- Całe mnóstwo. - przyznaję.

- No to śmiało! - krzyczy radośnie, zamykając i odkładając na bok, trzymaną wcześniej w rękach, książkę.

- Hmm... Nie wiem od czego zacząć... - dumam, mrucząc pod nosem.

- No śmiało, śmiało. Pierwsze co ci przyjdzie na myśl. - zachęca.

- Czy psychologia... Psychiatria i w ogóle nauka odnośnie ludzkiego umysłu i jego modyfikacji jest zła?

- Nie. Żadna nauka, sama w sobie, po prostu nie może być zła, gdyż jest tylko narzędziem, które człowiek może wykorzystać dobrze, albo źle.

- Na przykład?

- Na przykład... Jak jesteś u dentysty, co... Zakładając hipotetycznie.... Napawa cię stresem i lękiem, a w gabinecie leci relaksacyjna muzyka, która pomaga ci się zrelaksować i rozluźnić, to uważam, że jest to dobre użycie tej wiedzy.

- A zły?

- Zły... - zamyśla się na chwilę, po czym prawi dalej.

- Jak ktoś, znając się co nie co na tych sprawach, dla własnej wygody wykorzystuje innych... Na przykład do wykonywania za niego jego obowiązków czy zaspokojenia jego żądz, wyrządzając tej drugiej osobie krzywdę, to uważam, że jest to złe wykorzystanie tej wiedzy.

- To jak mam odróżnić tę dobrą część nauki, od tej złej?

- To proste... To co dobre, w tym również każda nauka, a nie tylko ta związana z umysłem, jest zgodne z prawdą, a to co złe, jest kłamstwem.

- Ale jak mam to odróżnić?

- He... Z czasem przyjdzie ci to samo. Po prostu pewnego dnia, zaczniesz dostrzegać różnicę pomiędzy prawdą, a kłamstwem, pomiędzy rzeczywistością, a fikcją.

- Co mam robić, aby móc to dostrzegać?

- Po pierwsze... Przestań kłamać. Usuń absolutnie kłamstwo ze swojego życia. Mam namyśli, abys ty przestał kłamać i abys przestał obracać się wokół kłamstwa.

- Nawet w żartach? - pytam, marszcząc brwi.

- Jeżeli chcesz jasno i klarownie odróżniać jedno od drugiego, musisz oczyścić się z kłamstwa. Całkowicie... Nawet w żartach. Bo powiedz mi. Czy jeżeli smakuje ci

posiłek, który spożywasz, to czy musisz mówić żartem, że jest niesmaczny, czy możesz po prostu żartobliwie wychwalać go pod niebiosa? Jeżeli widzisz atrakcyjną kobietę, to czy musisz mówić zakłamanie, szalenie i absurdalnie, że taka nie jest, czy możesz posłać jej żartobliwy komplement? Czy jeżeli miałeś gorszy dzień, to czy musisz mówić sarkastycznie, że było wspaniale, czy możesz powiedzieć wesoło i z dowcipem, że dzień minął ci tragicznie?

- No w sumie...

- Oczywiście nie przyjdzie ci to z dnia na dzień, gdyż dzisiejszy świat, opiera się na takich wywrotowych konwersacjach, które w swoim szaleństwie i zakłamaniu sięgają zenitu, a fakt, że doskonale rozumie się ich prawidłowy, odwrotny przekaz, nie zmienia faktu, iż osoba mówiąca takie kłamstwa, zaczyna mu ulegać, przez co trudniej jej później odróżnić prawdę od kłamstwa w kwestii, do rozwikłania której nie posiada odpowiedniej wiedzy.

- Na przykład? - dociekam, gdyż zaczynam gubić wątek.

- Na przykład otrzymujesz dwie sprzeczne relacje odnośnie jakiegoś wydarzenia, o którym nie masz żadnego pojęcia, gdyż ani w nim nie uczestniczyłeś, ani nie zaczerpnąłeś żadnej wiedzy na jego temat.

- Na przykład? - wtrącam, czując iż zaraz przestanę rozumieć co chce mi przekazać.

- Na przykład... Przychodzi do ciebie dwóch kumpli z czego jeden mówi, że mówił, iż nie lubi majeranku, zaś drugi twierdzi, że nic takiego nie miało miejsca. Jako iż byli sami podczas tej dysputy, nie ma świadków, a ty musisz rozstrzygnąć ten spór. Żyjąc w prawdzie, będziesz wiedział, który z nich mówi prawdę, nawet gdy jeden z nich omylnie zapamiętał tamto zdarzenie i nieumyślnie skłamał.

- Czyli jeżeli ktoś nieświadomie przekazuje kłamstwo dalej, to też jest kłamcą?

- Tak.

- Nawet jeśli jest przekonany o tym, iż mówi prawdę?

- Nawet.

- Czy jest coś jeszcze co mogłoby mi pomóc oczyścić się z kłamstwa?

- Oczywiście. Po pierwsze... Regularne czytanie Pisma Świętego.

- Pisma Świętego?

- Tak... To jest Słowo Boże. Prawda sama w sobie, a bez obcowania z prawdą, ciężko zaobserwować różnicę pomiędzy nią, a kłamstwem, które jest do niej łudząco podobne, gdyż Szatan, jako mistrz kłamstwa, tworzy niemal identyczne iluzje, mające zastąpić miejsce prawdy. Jest to trudne, bo najzwyczajniej w świecie, nie ma się wtedy punktu odniesienia. Czytając Biblię poznasz prawdę. Prawdę o świecie i o sobie, przez co będziesz wiedział jak żyć, aby być naprawdę szczęśliwym.

- Coś jeszcze?

- Regularne sakramenty... Pokuta i Eucharystia to podstawa.

- Coś jeszcze?

- Oczywiście modlitwa. Również regularna. - dodaje z uśmiechem.

- Coś jeszcze?

- Musisz wyzbyć się wszystkiego co grzeszne i nieczyste.

- Coś jeszcze?

- Musisz otworzyć serce dla Boga. Musisz zacząć żyć tak, jak on tego od ciebie oczekuje. Musisz zacząć żyć w prawdzie. Musisz zacząć żyć w miłości.

- Trochę tego dużo... - przyznaję, nieco przytłoczony.

- Tak się tylko wydaje na początku. Poza tym, musisz być świadomy tego, że

każdy z nas jest grzesznikiem, i że każdy z nas, dzień w dzień, prowadzi walkę ze złem, któremu nie zawsze stawia czoła, co kończy się upadkiem, którym nie należy się przejmować, lecz trzeba wstać dalej, z nowym bagażem doświadczeń, i unikając wcześniejszych błędów, dalej dążyć do świętości, której nie możemy wymagać od wszystkich, tak samo jak nie możemy wymagać od wszystkich, aby szybko biegali, podnosili duże ciężary, pięknie śpiewali czy szybko rozwiązywali równania. Co nie znaczy, że możesz się wymigiwać od walki, tłumacząc się brakiem siły.

- Ale jak mam pozyskać siłę, gdy mi jej brakuje?

- Rób to co ci powiedziałem, a z czasem zobaczysz efekty. Jeżeli z każdym dniem, będziesz się starał bardziej i bardziej, to twoja walka nie pójdzie na marne. Zaś jeżeli w pewnym momencie uznasz, że jesteś już na tyle silny, że możesz się zatrzymać, będzie to świadczyć o tym, że zaczynasz przegrywać.

- Miałem dziwny sen... - mruczę po chwili namysłu.

- O czym? - docieka z zaciekawieniem.

- O pokoju. Byłem w pokoju pełnym ładnych, zadbanej i użytecznych mebli, w którym znajdowały się też różne spróchniałe, cuchnące rupiecie, których za nic nie mogłem się pozbyć... Mebli ciągle przybywało, a ja po chwili zacząłem się obawiać, że zaczną mnie przygniatać, lecz w tej chwili, pomieszczenie zaczęło się poszerzać, a w nowym miejscu, zaczęły pojawiać się nowe meble. Co to może oznaczać?

- Ciekawe... - przyznał w zadumie i dodał.

- Wydaje mi się, że w taki sposób ukazała ci się sytuacja twojej duszy, w której otoczeniu znajdują się grzechy i łaski. Te dobre meble to łaski... Na przykład łaska miłości, mądrości czy siły... A te złe to grzechy... Na przykład grzech lenistwa, pychy bądź gniewu...

- Rozumiem, a te powiększenie się pomieszczenia? Co to było?

- Wzrost, rozwój, dojrzewanie... Twoja dusza może się powiększać jak i zmniejszać. Ludzie z większą duszą, mają więcej miejsca na grzechy i łaski, zaś ci z

mała mają go mniej.

- Czym grozi przepełnienie duszy?

- Jeżeli grzechy przestaną się mieścić w twojej duszy... Zwariujesz. Jeżeli zaś łaski przestaną się mieścić w twojej duszy... Przejdiesz w stan łaski uświęcającej, przez co ciężko będzie ci żyć wśród ludzi, gdyż każdy, nawet najmniejszy grzech, któregoś z nich, bądź twój własny, będzie dla ciebie bardzo... Ciężkostrawny, przez co szybko opadniesz z sił, otwierając furtkę dla całodobowo czyhającego zła.

- Jak mam powiększyć swoją duszę?

- Ludzie wielkoduszni wybaczą, a ci mali i słabi, się mszczą.

- Czyli wybacząc powiększam swoją duszę, a mszcząc się ją zmniejszam?

- Dokładnie.

- A co się stanie jak będę miał całą duszę wypełnioną tylko łaskami?

- Będiesz świętym, lecz pamiętaj o tym, że jest to niemożliwe do osiągnięcia tutaj... Na Ziemi.

- A jeżeli miałbym całą duszę wypełnioną po brzegi grzechem?

- Byłbyś potępionym, lecz pamiętaj o tym, że jest to niemożliwe do osiągnięcia tutaj... Na Ziemi.

- Rozumiem... Chyba. - przyznaję z lekkim uśmiechem.

- Czy jest coś... Co powinienem wiedzieć o kłamstwie, które popycha mnie do grzechu?

- Hm... Kłamstwo te... Będzie usilnie starało się cię przekonać, że jesteś słaby, zły, beznadziejny i bezradny. Będzie ukazywało ci twoją sytuację jako niezwykle niekorzystną, przytłaczającą i bez szansy na jej poprawę, jednocześnie podstawiając

ci pod nos różnorakie rozwiązania, które rzekomo mają pomóc ci wyzbyć się tych wszystkich wad i problemów, ale ich skutek, jest zupełnie odwrotny i nakierowuje cię tak, że to upodlenie, które ci wmówiono, po pewnym czasie zacznie stawać się rzeczywistością. Kłamstwo te będzie ci wmawiać, że jesteś niewystarczający. Niewystarczająco inteligentny, zamożny, przystojny, silny, męski, dowcipny, towarzyski czy na przykład asertywny... Można by tak wymieniać i wymieniać.

- Jakie to są te zakłamanie rozwiązania?

- Jest tego mnóstwo, a każde wiąże się z grzechem...

- Na przykład?

- Pycha, próżność, rozpusta, czy wszelkiego rodzaju uzależnienia, poczynając od papierosów i hazardu, poprzez narkotyki i alkohol, na Internecie i telewizji kończąc. Oczywiście bardzo ciężko jest osiągnąć stan całkowitej wolności ducha, gdyż bardzo wiele rzeczy może nas kontrolować i zniewolić, ale jeżeli czujesz, że pomimo chęci, postanowień, czy jakiś okoliczności, nie jesteś w stanie poradzić sobie bez jakiegoś aspektu życia, który tak naprawdę nie jest istotny i niezbędny, to musisz się poważnie zastanowić nad tym, czy ten aspekt cię nie zniewala, co jest bardzo niedobre, gdyż nie po to Bóg dał nam wolność, abyśmy zostali zniewoleni przez jakieś drobnostki.

- To co mam robić skoro czuję się słaby, zły, beznadziejny i bezradny?

- Módl się o łaski.

- Jakież?

- Jakież czujesz, że są ci potrzebne.

- Ale jeżeli ja tego nie wiem? - pytam, wprowadzając go w zadumę.

- Ja na przykład codziennie modlę się o miłość, siłę, mądrość, wiarę i cierpliwość.

- kwituje z lekką bezradnością.

- Dlaczego tak się dzieje?

- Jak?

- Że ludzie wierzą w kłamstwo, które jest totalną odwrotnością rzeczywistości. Przecież mają swój rozum, powinni odróżnić prawdę od fikcji.

- Jest to spowodowane piętnem, wyrytym na naszej duszy przez grzech pierworodny.

- Czyli? - dociekam, rodząc na jego twarzy grymas.

- Obawiam się, że to jest tajemnica wiary, którą sam musisz zgłębić.

- Tajemnica wiary? Jak mam to rozumieć?

- Jest to treść odnosząca się do wiedzy, której przekazanie, nie jest możliwe za sprawą języka ludzi, który jest w stanie opisać tylko to, co namacalne w naszym świecie. Dlatego niektórzy ludzie, robią straszny błąd, starając się zrozumieć niektóre pojęcia w taki sposób, jakby były one materialną częścią rzeczywistości, przez co wnioski ich rozmyślań, kończą się absurdem. Jedynie żyjąc w przymierzu z Bogiem, będziesz w stanie zrozumieć wszystko to, co teraz może wydawać ci się absurdalne i bez sensu. Oczywiście zło nie próżnuje, i Szatan na każdym kroku tworzy swoją alternatywą interpretację, ale wiesz już co masz robić, aby odróżnić prawdę od kłamstwa.

- Chyba zaczynam rozumieć. - stwierdzam niepewnie.

- To mam tylko nadzieję, że jesteś świadom tego, że część z rzeczy, o których ci tutaj teraz mówię, tak naprawdę, nie wygląda do końca tak, jak to opisuję, gdyż, pomimo iż staram się jak mogę, jest niemożliwym, aby przenieść bezpośrednio Słowo Boże, na język ludzki. Jeżeli zaś chodzi o kłamstwo... To my, ludzie, jesteśmy tylko w stanie precyzyjnie wyrażać się na temat kłamstw Szatana, gdyż on, jako upadły anioł, stał się równy nam, gdy zaś żyjący w prawdzie święci, aniołowie i Bóg, którzy są ponad ludźmi i Szatanem, są jednocześnie poza naszym zasięgiem, jeżeli chodzi o bezpośrednie zrozumienie, wynikające z funkcji poznawczych naszego umysłu.

- To co jeszcze możesz powiedzieć mi o kłamstwie.

- Będzie starało się za wszelką cenę, wzbudzić w tobie poczucie winy. Będzie wyolbrzymiać twoje grzechy, które tak naprawdę popełniają wszyscy, abyś czuł się słabym i bezsilnym. Będzie nakazywać ci abyś doszukiwał się swojej winy w swoich niepowodzeniach, ukrywając prawdę o tym, iż w rzeczywistości nie miałeś na to wpływu, gdyż to Bóg tak chciał, a nie zawsze, to co w naszym mniemaniu wydaje się nam niepowodzeniem czy porażką, jest tym naprawdę. Kłamstwo będzie usilnie starało się ciebie przekonać, że nie zasługujesz na szczęście, a każdy jego przejaw, będzie ci przedstawiał jako rzekomy efekt iluzji. Będzie ci zabraniać uwierzyć w to, że Jezus Chrystus, poprzez swoją męczeńską śmierć na krzyżu, odkupił nasze wszystkie grzechy, pozwalając nam na nowo zasmakować szczęścia. Będzie ci usilnie wmawiać, że miłość nie istnieje, że to jedno wielkie kłamstwo. Będzie wyolbrzymiać to co w świecie i ludziach złe, spychając na drugi plan to co dobre. Będzie cię nakłaniać do szukania dziury w całym. Do robienia z igły wideł. Do szukania sobie problemów. Będzie przekonywać cię, że musisz cierpieć, gdyż jesteś zły, tak jak cały świat, który dalej, tak jak przed śmiercią i wniebowstąpieniem Jezusa Chrystusa, tkwi w Bożym przekleństwie, że działa na fundamencie grzechu i potępienia. Będzie podsuwać ci różnorakie szablony osobowości, łudząco zbliżone do twojej duszy, która w rzeczywistości jest jedyna, niepowtarzalna i wyjątkowa, abyś dołączył do rzeszy ludzi, rzekomo twojego pokroju, tracąc tym samym owe odczucia, dzięki którym łatwiej jest nabrać wiary we własne siły, jednocześnie odciągając cię od prawdy o sobie, którą będzie przed tobą skrzętnie maskować i taić. Będzie popychać cię do złudnego raju, błędnego wyjścia z niewoli, w którym będziesz akceptować wszystko, poza naukami Jezusa Chrystusa, gdyż tylko ich, jako iż są niepodważalną i jedyną prawdą, której Szatan nie jest w stanie przedstawić w formie zakłamanej iluzji, gdyż jest już ona poza jego mocą, radząc w twoim wnętrzu, niezrozumiałą niechęć i gniew, przy najmniejszym kontakcie z prawdą objawioną, która jako jedyna, jest w stanie poprowadzić człowieka, do prawdziwej wolności, szczęścia i miłości.

- Czyli jak mam żyć, aby być wolnym? Czym mam się kierować, aby dostać się tam gdzie odnajdę swoje szczęście.

- Po pierwsze... Musisz zaufać Jezusowi Chrystusowi.

- To już wiem. - wtrącam nieco niegrzecznie, co rozbawia mojego rozmówcę.

- Po drugie... Musisz kierować się wiarą i rozumem.

- Wiarą i rozumem? Nie rozumiem.

- Ostatnio mój dobry przyjaciel, wygłosił wspaniałe kazanie na ten temat. Otóż porównał on ów sytuację do lecącego samolotu, który posiadając tylko jedno skrzydło, nie wzbije się w powietrze. Tak samo człowiek, aby żyć sprawnie, musi kierować się wiarą i umysłem. Musi starać się zrozumieć rzeczywistość za pomocą umysłu, a gdy ten przestaje się sprawdzać, wtedy trzeba posłużyć się wiarą, aby pomogła nam wytrwać w prawidłowym dążeniu do odnalezienia prawdy w danym zakresie. Pozwoliłem sobie lekko zmodyfikować owe porównanie, i w mojej wizji wygląda to mniej więcej tak. Wyobraź sobie drogę, na końcu której leży twoje szczęście, coś co wypełni twoją pustkę radością i spełnieniem.

- Yhym...

- Masz rydwan, którym musisz się tam dostać...

- Yhym...

- No i analogicznie... Posiadając jedno koło, nie pojedziesz... Zaś z dwoma, to już inna bajka.

- No tak... Ale kto pociągnie ten rydwan? - pytam z przekorą, myśląc, iż udało mi się zaskoczyć leciwego zakonnika.

- Jezus Chrystus... - odpowiada spokojnie, mierząc mnie radosnym i stopującym zarazem spojrzeniem, którego nie jestem w stanie wytrzymać.

- Kłamstwo wypełniające świat, z jednej strony proponuje kierować się sercem albo rozumem, przez co rydwan jest niesprawny. Zaś fikcyjne niebo Szatana, łączy te dwie cechy, lecz bez pomocy Jezusa, i tak będziesz stał w miejscu, czyli twoje położenie się nie zmieni.

- Kierowanie się sercem jest złe? - pytam lekko zgubiony w interpretacji jego słów.

- Samo serce... Bez Jezusa Chrystusa... Jest prymitywne. Niemal zwierzęce. Koncentruje się tylko i wyłącznie na zaspokajaniu swoich rządź i pragnień.

- Ciężko mi to zrozumieć.

- Rozumiem... To normalne, ale nie przejmuj się. Po zawarciu przymierza, po nawróceniu się, zaczniesz wszystko rozumieć, gdyż twoje życie ulegnie diametralnej przemianie.

- Przemianie? - pytam z niepokojem.

- Można to porównać do przemiany w postrzeganiu rzeczywistości, jakiej doświadcza się... Na przykład po wyprowadzce od rodziców... Po zakończeniu studiów... Po pojawieniu się pierwszego dziecka... Życie ludzkie pełnie jest różnego rodzaju etapów, które są w stanie wprowadzić nas w wyższy, bądź niższy stan świadomości, a nawrócenie się, jest jednym z nich, a w swej mocy, obejmuje wszystkie inne...

Biorę głęboki wdech i prostuję plecy.

- Widzę, że czeka mnie sporo pracy. - komentuję.

- Zobaczysz, że nie będzie do syzyfowa praca.

- Co czytasz? - pytam, po chwili milczenia.

- "Quo Vadis".

- "Quo Vadis"?

- Tak... To moja ulubiona książka. - wyjaśnia, pokazując mi bliżej, starą i nieco nieczytelną, twardą, skórzaną okładkę.

- Ciekawy egzemplarz. - przyznaję.

- Najlepszy. - komentuje żartobliwie.

- Widzę, że masz ze sobą Biblię, którą ci zostawiłem w celi? - pyta.

- Ach tak... - przyznaję, chwytając za książkę, która spoczywała spokojnie na ławce, obok mnie.

- Ojej... Prawie bym zapomniał! - unosi się komicznie.

- To dla ciebie. Zapomniałem go zostawić na stoliku... - przyznaje z uśmiechem, wręczając mi drewniany różaniec.

- Dziękuję. - mówię szczerze, odbierając podarunek.

- No... A teraz zmykaj, bo chcę w końcu zabrać się za czytanie tej wspaniałej lektury. - nakazuje, odganiając mnie niechlujnym gestem ręki.

Wstaję z uśmiechem i odchodząc macham pożegnalnie ręką do krzyczącego w moją stronę zakonnika.

- Pamiętasz co mówił nasz Ojciec Święty?!

- Nie lękajcie się Ducha Świętego... - odpowiadam zniżonym tonem, którego nie był w stanie usłyszeć, lecz jego promienny uśmiech, dał mi do zrozumienia, iż zrozumiał, co mówię.

Wchodząc z powrotem do swojej celi, oznaczonej numerem czternastym, odkładam różaniec(4) na stolik, i siadając na łóżku, otwieram Pismo Święte, w którym znajduje się zakładka, o istnieniu której nie miałem pojęcia.

Znajduje się ona pomiędzy dwoma stronami. Na lewej z nich jest napisane:

03,20 A dla was, czczących moje imię, wszędzie słońce sprawiedliwości i uzdrowienie w jego skrzydłach. Wyjdziecie swobodnie i będziecie podskakiwać jak tuczone cieleta.

03,21 I podepciecie grzeszników, gdyż oni obrócą się w popiół pod stopami nóg waszych w dniu, w którym Ja będę działał - mówi Pan Zastępów.

03,22 Pamiętajcie o Prawie mego sługi, Mojżesza, któremu na Horebie poruczyłem ustawy i zarządzenia dla całego Izraela.

03,23 Oto Ja pošlę wam proroka Eliasza przed nadejściem dnia Pańskiego, dnia wielkiego i strasznego.

03,24 I skłoni serce ojców ku synom, a serce synów ku ich ojcom abym nie przyszedł i nie poraził ziemi izraelskiej przekleństwem.

Na prawej zaś:

NOWY TESTAMENT

Ewangelia według świętego Mateusza
Rodowód Jezusa; 1,1-17

Rodowód Jezusa Chrystusa, syna Dawida, syna Abrahama: (...)

Przeczytawszy pierwsze zdanie z Nowego Testamentu, orientuję się, iż zakładka, która najprawdopodobniej została tutaj umieszczona przez zakonnik, jest obrazkiem przedstawiającym postać Jezusa Chrystusa, na którego odwrocie, widnieje tekst, utworzony za sprawą długopisu.

Zaufaj Mi.

* *****

Przypisy i linki:

1 - "I see you!" - (z języka angielskiego - widzę cię) odniesienie do adaptacji Władcy Pierścieni, J.R.R. Tolkiena w reżyserii Petera Jacksona, w której Sauron wypowiada ową kwestię.

2 - "Hello!" - (czytaj heloooł; z języka angielskiego - cześć) uniwersalne i popularne powitanie wywodzące się z kultury zachodniej.

3 Ów akapit jest niemal przepisany, jeden do jednego, z artykułu ojca Remigiusza Reclawa, do którego link znajduje się poniżej:

<http://www.odnowa.jezuici.pl/szum/r-problemy-i-pytania-mainmenu-69/liturgia-mainmenu-74/54-co-oznacza-symbol-ihs>

4 Poradnik różańcowy w linku poniżej:

<http://rozaniec.web-portals.pl>



Od autora:

Chciałbym z tego miejsca podziękować Jezusowi Chrystusowi, nie tylko za nowe życie, ale przede wszystkim za wszystko co uczynił dla ludzkości. Ogromne podziękowania należą się również mojej mamie, siostrze, ojczymowi oraz całej wspaniałej rodzinie. Nie mogę zapomnieć o moich przyjaciółach, trenerach i nauczycielach oraz wszystkich tych, którzy pomogli mi życiu, pomimo iż byli mi ludźmi zupełnie obcymi. Dziękuję również Tobie, Drogi Czytelniku, za to że wytrwałeś do końca tego pseudoliterackiego tworu, któremu bliżej do pijackiego bełkotu niż do rzeczowej lektury na poziomie.